



„Zupełnie nowy, imponujący głos  
na scenie kryminałów  
z Południowej Afryki”.

*International Noir*

# MAPUCZE

AUTOR BESTSELLERA **ZULU**

**CARYL FÉREY**



CARYL FÉREY

# MAPUCZE

Przełożyła z języka francuskiego  
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO  
SONIA DĄBKA

*dedykuję Alice  
żyjącej dla walki*

*Matkom i Babciom z Plaza de Mayo,  
pamięci ich zaginionych*

*Susanie i Carlosowi Schmerkinom,  
którzy uszli z łap tych drani*

*zderzeniu Hint-Ez<sub>3</sub>kiel,  
moim dostarczycielom wody na pustyni*

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

CZEŚĆ PIERWSZA  
**Młodsza siostra**

# 0

Wiatr wpadający przez drzwi kabiny był poseępnie. Przypięty pasem Parise wychylił łysą głowę nad rzekę. Ledwie było widać muliste wody Rio de la Plata rozlewającej się szeroko u ujścia.

Pilot wziął kurs na pełne morze, na południowy wschód. Nocny lot, przed laty odbył takich dziesiątki. Człowiek w olimpijce khaki nie był taki spokojny jak w tamtych czasach: w miarę jak oddalali się od wybrzeży Argentyny, chmury się rozpraszały, a wiatr dął coraz mocniej, rzucając dwusilnikowym samolocikiem. Przy otwartych drzwiach hałas był taki, że musieli krzyczeć, aby się słyszeć.

– Niedługo wylecimy poza wody terytorialne! – uprzedził, odwracając głowę do tyłu.

Hector Parise zerknął na zegarek z bransoletką; tamci powinni byli już załatwić sprawę... Białe grzbiety fal migotały na oceanie w świetle wschodzącego księżyca. Rosły mężczyzna uczeplił się ścianek kabiny, bo samolotem mocno rzucało w dziurach powietrznych. „Paczka” leżała na podłodze nieruchomo mimo wstrząsów maszyny. Parise przesunął ją do drzwi. Sześć tysięcy stóp: w ciemnościach burzliwej nocy widać było jedynie mruganie odległych świateł pozycyjnych obojętnego frachtowca. Pas bezpieczeństwa drągała fruwał w ciasnej kabinie.

– Teraz! – ryknął do pilota, który podniósł kciuk na znak, że rozumie.

Wiatr smagał mu twarz. Parise chwycił „paczkę” pod pachy, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Miłej zabawy na dole...

Już miał ją zrzucić w wyznaczonej strefie, kiedy w otwartych ludzkich oczach pojawił się błysk – iskra życia i przerażenia.

Drągał zakołysał się pod wpływem podmuchu wichury ogarnięty zdumieniem i lękiem: naszprycowana pentotalem „paczka” nie miała prawa się ocknąć, a tym bardziej podnieść powiek! Czyżby z Parisego naigrawała się sama śmierć? A może to gra nocnych refleksów, czyste przywidzenie? Z odrazą, jakby dotykał trędowatego, Parise chwycił „paczkę” i wyrzucił na zewnątrz.



# 1

*¡Las putas al poder!*

*(Sus hijos ya están en él).* <sup>[1]</sup>

Krwistoczerwone graffiti zdobiło blaszaną ścianę hali. Jana miała dziewiętnaście lat, gdy je namalowała, lecz jej gniew od tego czasu nie zmaliał. Cała klasa rządząca miała w tym swój udział: politycy, bankierzy, właściciele ziemscy, MFW, finansiści, związki zawodowe... Neoliberalna polityka Carlosa Menema wciągnęła kraj w piekielną spiralę, stała się bombą z opóźnionym zapłonem: wzrost zadłużenia, redukcja wydatków publicznych, elastyczność czasu pracy, wykluczenie, recesja, masowe bezrobocie, zatrudnienie w niepełnym wymiarze godzin, a nawet blokowanie depozytów bankowych i ograniczenie możliwości wybierania pieniędzy do kilkuset peso na tydzień. Kapitał uciekał, banki zamykano jeden po drugim. Korupcja, skandale, klientelizm, prywatyzacje, „restrukturyzacje”, wyprowadzanie zysków, Menem, jego następcy na usługach rynków, potem krach na giełdzie w latach 2001–2002 dokończyły dzieła niszczenia tkanki społecznej zapoczątkowanego przez rządy generałów zwane Narodowym Procesem Naprawy.

Kryzys przekształcił się w bankructwo. W Argentynie, której



PKB po wojnie dorównywało angielskiemu, większość ludzi żyła poniżej progu ubóstwa, jedna trzecia poniżej minimum egzystencji. Bieda z nędzą. W szkołach dzieci mdlały z głodu, w czasie wakacji nie zamykano stołówek, aby zjadły jedyny posiłek w ciągu dnia. Na przedmieściach dzieciaki z Quilmes porównywały smak pieczonej żaby i szczura, inne kradły miedziane kable telefoniczne, aluminiowe osłony układów elektrycznych ze słupów sygnalizacji świetlnej, brązowe tablice z pomników... Jana widziała staruszki uczepione krat banków, staruszków wystrojonych w znoszone garnitury płaczących w milczeniu, widziała także gniew zwykłych ludzi: pierwsze rozruchy, grabieże supermarketów rozdmuchiwane przez media jako dowód raczej braku poczucia bezpieczeństwa niż krzyk rozpacz, *que se vayan todos! y que no quede ninguno!*, „wynocha wszyscy! niech tu żaden nie zostanie!”, szarże policji konnej na tłum manifestantów rozpędzanych biczami, koktajle Mołotowa, pochody, dymy, pałowane kobiety, ich córki wleczone po chodnikach, strzały do tłumów – trzydzieści dziewięć ofiar – krew na ulicach i placach stolicy, stan wyjątkowy ogłoszony przez prezydenta De la Rúa, rosnący sprzeciw, marsze z waleniem w garnki, skandowane okrzyki „W dupie mamy wyjątkowy stan”. Blokady na drogach rozmieszczane przez *piqueteros*, zasłonięte chustami twarze młodych, ich nagie piersi wystawione na kule, latające kostki brukowe, rozpryskujące się szyby, grad kamieni sypiący się na pojazdy opancerzone, armatki wodne, oddziały prewencji, tarcze, krzyk matek, prowokujące wymachiwanie argentyńskimi flagami, strach, strzały, deklaracje wygłaszane w telewizji państwowej, *que se vayan todos!*, gotówka wywożona z kraju całymi ciężarówkami, osiem miliardów dolarów w zbrojnych konwojach, podczas gdy banki zamykały podwoje, grube ryby

ukrywające się za granicą w klimatyzowanych pałacach, smród gazów łzawiących, przewrócone samochody, rozruchy z powodu głodu, czarne dymy palonych opon, chaos, ucieczka prezydenta De la Rúy śmigłowcem z dachu Casa Rosada, radość oglądających to ludzi, przywódcy polityczni, którzy po kolei dawali za wygraną, czterej prezydenci w trzynaście dni: *que se vayan todos*, „niech tu żaden nie zostanie!”.

Jana właśnie wstąpiła do Akademii Sztuk Pięknych, gdy przyszedł krach. Opuściła swoją wspólnotę kilka tygodni wcześniej z wełnianym ponczem, które zrobiła jej matka, starym nożem o kościanym trzonku odziedziczonym po przodkach, paroma sztukami odzieży i pieniędzmi na opłacenie czesnego. Kiedy miliony ludzi pogrążył kryzys finansowy, kiedy klasa średnia z hukiem przestała istnieć, kiedy cała Argentyna była na sprzedaż, wykorzeniona Indianka pozbawiona znajomych i mieszkania wciąż mogła walczyć o swoje z psami i nędzaczami błakającymi się po ulicach Buenos Aires.

Podobnie jak inne studentki bez źródła utrzymania Jana musiała uprawiać prostytutkę, aby wyżyć. Aby nie rezygnować z metalowych figur, które rodziły się jej w głowie. Ustawiała się więc po zajęciach przed budynkiem uczelni z paczkami chusteczek w torbie i zimnym gniewem w kroczu.

Mijali ją w mercedesach nadziani faceci, ci sami, którzy doprowadzili kraj do ruiny. Każdy mógł być jej ojcem, przyjeżdżali dobić targu. Sprzedawać ciało, by ratować umysł – sama ta myśl budziła w niej odrazę. Początkowo Jana obciągała z płaczem, później wszystko przełknęła: swój indiański gniew, spermę tych wieprzy, szaleństwo, które trawiło jej duszę i szarpało nią jak pitbul, żeby odpuściła. Stała się ostra jak zasieki z drutu

kolczastego.

Trzy lata studiów...

Nassała się fajfusów w gumkach, fajfusów małych, dużych, miękkich, od wszystkich rzygać jej się chciało, broniła się nożem, kiedy faceci próbowali się dobierać do jej tyłka; mogli sobie myśleć, co chcieli, robić z niej szmacianą kukłę, w którą wycierali cnotę jak mechanik smar, a potem wracać do domu, gdzie w roli dobrego tatusia czule mierzwił włosy najmłodszej pociechy – Jana schroniła się za swoje zasieki z resztkami przyzwoitości i ciałem, które klienci ze sterczącym fiutem, jeszcze hardzi, zajmowali jak miejsce na płatnym parkingu... Wieprze. Wojenni wyzyskiwacze. Jana próbowała się uspokajać – Sztuka, Sztuka, myśl tylko o Sztuce. Sypiała w parkach, opuszczonych budynkach i teatrach, których zespoły dawały darmowe przedstawienia („Buenos Aires zawsze będzie Buenos Aires”), u różnych ludzi, czasami zupełnie obcych; nigdy nie zostawała długo w jednym miejscu, rysowała w barach albo klubach nocnych, w których spędzała resztę nocy, kiedy mogła wytchnąć od roboty i miała dość sił.

Właśnie w jednym z takich szemranych klubów w centrum miasta w dobie największego kryzysu spotkała Paulę.

Paulę, czyli Miguela Michelliniego, transwestytę o porcelanowej buźce i modrych oczach, które zdawały się zatopione w jakimś odległym porcie. Paula zaczepiła Indiankę podpierającą akurat ścianę i zajrzawszy jej głęboko w czarne oczy w kształcie migdałów, uściskała ją serdecznie na powitanie. „Dam ci, co tylko chcesz!” – uśmiechnęła się w światłach lokalu, jakby świat był nie wiadomo jaki wielki.

Jana nie czuła się przekonana: w białych pończochach na iksowatych nogach, ze sztucznymi perłami na smukłej szyi,

z doklejonymi rzęsami i wiśniowymi ustami Paula sprawiała wrażenie wysłużonej lalki. „Możesz mnie prosić, o co tylko chcesz”... Biedaczka, wyglądała na szczerą...

Początek nowego tysiąclecia tu, na ziemi: zapowiedź złych czasów dla słabych, wrażliwych, niezahartowanych. W półświatku było gorzej. Dwa miesiące później w dokach starego portu handlowego Jana znalazła transwestytę półżywego po przejściu kibiców Boca Juniors: bożyszcze Buenos Aires przegrało derby z klubem River, a Paula straciła siekacz.

Tego wieczoru Jana zatroszczyła się o nią na miarę swoich możliwości, pogłaskała ją po czole spoconym ze strachu, pocieszyła paroma słowami, w które sama niezbyt wierzyła, choć włożyła w nie uczucie. Zaprzyjaźniły się wtedy, i to na dobre, zarówno z poczucia uczciwości, jak i z awersji do brutalności skretyniałego świata. Pod powierzchownością „starej maleńkiej” Paula była zabawna, szlachetna, przepełniona entuzjazmem małolaty kontrastującym ze skrywanym głęboko smutkiem, którego żaden normalny człowiek nie mógł jej zazdrościć. Przekroczywszy trzydziestkę, bez wykształcenia i z jednym tylko obsesyjnym pragnieniem, by ubierać się po kobiecemu, Paula ciągle mieszkała z matką, właścicielką pralni w robotniczej dzielnicy San Telmo, i dorabiała, polując na klientów w dokach. Transwestyta – cóż za niespodzianka! – chciał zostać artystą i tak jak Jana marzył o lepszych dniach. Paula także była wykorzeniona – ze swojego ciała. Jana znalazła w niej bratnią duszę w nędzy i nadziei. Nie przywróci jej to tej części kobiecości, z której została ograbiona. Ani piersi...

Prawie dziesięć lat minęło od ich nietypowego spotkania. Dzielnice biedoty i marynarzy przekształciły się w kompleks

wieżowców ze stali i szkła, swoje siedziby ulokowały w nich międzynarodowe firmy – Las Catalinas, niezwykle budowle, które radykalnie zmieniły urbanistyczny pejzaż miasta. Jana mieszkała po drugiej stronie alei w pustostanie, opuszczonej hali dawnego dworca Retiro naprzeciwko czterogwiazdkowego hotelu Emperor.

Rzeźbiarz: u Egipcjan „ten, który utrzymuje przy życiu”.

Jana przejęła pracownię Furlana, artysty, który zajął pustostan przed nią; pełnoetatowy mentor, sporadycznie kochanek, nałogowy pijak, Furlan pewnego pięknego dnia odszedł, zostawiając cały swój kram – ich niewydarzoną miłość, pocętkowanego rdzawymi plamkami forda taunusa na podwórzu, halę wypełnioną szynami z opuszczonego dworca, który teraz oznaczony był jako jej terytorium. Nocami zwijała tu żelazo, spawała, wyginała blachy, tworząc monstrualne formy pasujące do maski Człowieka.

Wygody sprowadzały się do wody bieżącej, elektryczności i piecyka do ogrzewania wydzielającego toksyczne dymy. Latem w hali panował zaduch, w zimie robiła się lodownia. Jana mieszkała tu sama od czterech lat. Podobno Furlan był we Francji, ale miała to gdzieś. Nie potrzebowała już ani jego, ani nikogo innego, by przetrwać. Zasiłki i sprzedaż pierwszych rzeźb pozwalały jej żyć ciut powyżej granicy ubóstwa, nowy prezydent Kirchner, postać nieznana do kryzysu, postawił na nogi gospodarkę, nie licząc się z nakazami MFW, kraj znowu oddychał, a ona czuła się wolna. W wieku dwudziestu ośmiu lat był to jej jedyny luksus.

Jana nie posiadała iPhone'a, telewizora, szafy pełnej ciuchów, kart płatniczych; w swoim atelier miała tylko Sztukę jako odskocznię i ziemię przodków jako cel.

Aktualnie pracowała nad swoim najlepszym dotąd dziełem, nad

mapą południowego krańca Ameryki postawioną na sztorc, monumentalną, osadzoną na żelbetowym cokole – młotem wykuwała na niej leje w miejscach, które niegdyś należały do rdzennych mieszkańców tych ziem.

Jana była Mapucze, córką ludu, do którego na pampie strzelano jak do kaczek.

Czy to jako łowcy uszu, czy bezbożnych dusz chrześcijanie nie mieli litości. Ona jej także nie miała: młot spadł na częściowo już obrobione terytorium ludu Rankulcze, sypiąc jej w oczy odłamkami kamienia. Czarne szorty miała mokre, pot spływał jej po udach, skroniach, szyi, wyschłych piersiach, mięśniach napiętych w dążeniu do celu: do zniszczenia ze zbawczą radością świata, jego betonowej powłoki.

Mapa ludobójstwa:

Charrua.

Ona.

Yamana.

Selknam.

Araukanie.

Chrześcijanie pozbawili ich ziemi, lecz duchy przodków jak czerwone mrówki krążyły we krwi Jany. Oprószona betonowym pyłem dziewczyna z ludu Mapucze raz jeszcze opuściła młot i wpatrzona w miejsce, w które trafił, oceniała zniszczenia. Istna jatka.

Osiemset tysięcy ofiar. Nie, chrześcijanie nie mieli litości.

Właśnie to ich łączyło...

Jana trudziła się nad swoim dziełem, gdy zadzwonił telefon. Popatrzyła na stertę palet pełniącą rolę stołu, sprawdziła godzinę na budziku – szósta rano – nie odebrała: Jesus Lizard wprawiał

w drzenie ściany hali, gęsty deszcz bębnił, nadając rytm pozornemu chaosowi, który panował w pracowni. Jana nie posiadała się z radości. Ruszył się wiatr, sukinsyn David Yow zdierał sobie płuca, w jej indiańskich żyłach jak ciekły azot płynął magnetyczny gniew.

– Hausz... Alakaluf... Mapucze!

Młot opadł w końcu na usianą odłamkami posadzkę. Jana z obolałymi rękami szacowała wzrokiem kraterę na swojej mapie etnობójstwa, kiedy znowu zadzwonił telefon. Budzik wskazywał dwadzieścia po szóstej. Skończyła się płyta Jesusa Lizarda, deszcz ustał. Rzeźbiarka podniosła słuchawkę, myślami będąc gdzie indziej. Jej bose stopy zostawiały wilcze ślady na betonowym śniegu...

Wróciła na ziemię – dzwoniła Paula.

– Ach, wreszcie odbierasz, kochana! – zawołała. – Wybacz, że ci przeszkadzam, ale przysięgam, nie dzwonię z żadną pierdołą! Chodzi o Luz – ciągnęła jednym tchem. – Martwię się, bo zostawiła mi wiadomość na komórce, że ma mi do powiedzenia coś superważnego, ale dzwonię i dzwonię, a ona nie odbiera. To nie jest normalne!

Jana starła z ust warstewkę pyłu – Luz był transwestytą, który od pół roku obstawiał doki z Paulą.

– I dlatego dzwonisz?

– Tylko ciebie znam! – broniła się Paula. – Umówiliśmy się na piątą, dwie godziny już czekam, a ona nie odbiera. Coś jest nie tak!

– O której Luz nagrała się na komórkę?

– O pierwszej dwadzieścia osiem – odparła jej przyjaciółka, przekrzykując gwar.

– Może gliny ją zgarnęły – podsunęła Jana.



– Nie, nie, coś jej się stało, na pewno. Chciała się ze mną widzieć – upierała się Paula. – Przysięgam, że to nienormalne!

Jana nie cierpiała, kiedy przeszkadzano jej w pracy. Nie przejęła się teraz dramatycznym głosem koleżanki.

– Wieczorem Luz łapała klientów? – zapytała.

– Tak!

– Może spotkała księcia z bajki. Dajże mu czas, żeby zsiadł z konia.

– To wcale nie jest śmieszne. Słuchaj, naprawdę się martwię. Tym razem nie ściemniam. Potrzebuję cię. Możesz przyjść?

W tle ogłuszająco grała muzyka.

– Gdzie jesteś?

– W Transformerze – odparła Paula.

W lokalu, w którym zbierały się transetki po odbębnieniu swojego na ulicy. Jana zerknęła na swą betonową rzeźbę, zapowiadając jej chwilę przerwy.

– No dobra – westchnęła do słuchawki. – Zaraz będę...

\*

Gwiazdy jedna po drugiej gasły na kosmicznej bibule; Jana zasunęła spróchniałe drewniane drzwi, zatrzasnęła kłódkę i ruszyła przez nieużytek, który otaczał halę dawnego dworca. Wielki ford niszczał przed bramą pod wydłubanym okiem gigantycznej przerdzewiałej kury – jednej z pierwszych rzeźb Jany z surowców wtórnych: ze stalowych prętów, śrub, spawanego żelaza, belek, zdradzającej jeszcze wpływ Furlana... Inne instalacje także zaczynały korodować.

Jana usiadła w fotelu pokrytym popękany skajem, skinęła ustawionemu przy wjeździe pilotowi z poczty lotniczej i wjechała na

avenida del Libertador, dwunastopasmową trasę przecinającą główne arterie miasta. Nie myślała już o tym, nad czym pracowała; wiatr zamiatał kabinę (jakiś dupek w zeszłym miesiącu wybił jej szybę po stronie pasażera), wzbijając tumany pyłu w tym śmietniku na kółkach. Przy avenida de Córdoba kraty sklepów jeszcze były opuszczone, szelest liści drzew panował nad zgiełkiem w porze, gdy *cartoneros* wracali do domu. Minęła grupę maruderów, zziąjaną watahę przygiętą pod stłuczką szklaną, ciągnącą wózki po nocy spędzonej na zbieraniu.

Palermo Viejo. Jana zaparkowała na miejscu dla dostawców i piechotą poszła do sąsiedniego kwartału. W pośpiechu naciągnęła tylko czarne dreluchy i glany, była w koszulce bez rękawów oprószonej drobinami betonu, w kieszeni nie miała ani grosza.

Wejściem do Transformera była zwykła dziura wycięta w stalowej żaluzji. Obwieszona kolczykami lesbijka, wyszykowana jak na łowy na grubego zwierza, pilnowała, kto wchodzi do klubu: Jil, osiemdziesiąt kilo brutalności usadowione na taborecie postawionym wprost na chodniku. Transwestyci i prostytutki byli posłuszni każdemu jej gestowi, za bardzo się bali, że stracą prawo wstępu do lokalu po pracy i możliwość wyluzowania po nieudanej nocy.

– Cześć.

– Cześć...

Jana dawno nie postawiła nogi w Transformerze, ale nieprzenikniona Jil z tlenionymi włosami na jeża wpuściła ją bez oporu. Indianka przechyliła się w ponurej kiszce, która prowadziła do knajpy, i pchnęła wyciszone drzwi. W środku było prawie tak samo ciemno – najlepszy sposób, by ukryć brud i opłakany stan sprzętów. Widmowe postacie błąkały się na słabo oświetlonym

parkiecie podniesionym na wysokość człowieka; wystrojeni w błyskotki *made in China* dwaj transwestyci wyginali się przy rurze, przykuwając wszystkie spojrzenia – dwaj ćpuni, których nie znała. Poza tym Transformer nic się nie zmienił: wyściełane kanapki z dziurami wypalonymi papierosem, letnie wino musujące i miłość na zamówienie. Pary w ciemności dobierały się po omacku i w pulsujących nieregularnie światłach przechodziły przez parkiet do pomieszczeń na zapleczu, lecz transwestyci wydawali się tego ranka zmęczeni. Nie było amoku paradowania w kolorowych światłach, głośnych śmiechów dla złagodzenia szturchańców i razów: klienci kryli się w mroku pomieszczeń, z których wynurzali się bezrobotni „domownicy”, wpatrując się w nowo przybyłych jak w zbawców.

Podeszwy butów lepiły się jej do brudnej podłogi. Jana skierowała się do baru, gdzie wreszcie wypatrzyła Paulę wśród napranych bywalców. Wciągała kokę z kontuaru przy Jorgem, szefie knajpy, który na widok Indianki rzucił:

– Proszę, proszę, kto zawitał w nasze skromne progi. Pampa we własnej osobie...

Tak ją przezywali z racji klatki piersiowej płaskiej jak argentyńskie równiny. Jana nie cierpiała tego skurwysyna.

– Zdawało mi się, żeś się zrobiła wielka artystka – dodał z zadęciem agenta nieruchomości. – Co tu robisz?

– Duszę się, jak czuję twój oddech. Nie widać?

Krępy Jorge zarżał szyderczo, aż zadzwoniły mu bransolety na rękach i gruby złoty łańcuch zdobiący gęsto owłosioną klatę wychylającą się spod rozpiętej białej koszuli. Zręcznie zrobił trzy paski kokainy na kontuarze i z kpiącą miną podał Janie wilgotną słomkę.

– Niucha dla córki marnotrawnej?

– Nie.

– Z tym też skończyłaś?

– Odwal się, dobrze? – odparła, odrzucając ciemne włosy.

Paula skrzywiła się pod purpurowym neonem, który oświetlił jej pobielające nozdrza: jeden gest szefa i Jil je wyrzuci, może nawet podduszone, jeśli jej się spodoba. Jana pociągnęła kumpelę na drugi koniec knajpy, gdzie było nieco ciszej.

– Powinnaś dać sobie spokój z tą koką, skarbie – mówiła do Pauli drepczącej na wysokich obcasach. – To sam proszek na przeczyszczanie. I powinnaś się trzymać jak najdalej od tego gnoja.

Jorge drwiąco obserwował je zza kontuaru.

– Strasznie byłam zdenerwowana – wyznała Paula, strząsając pył z nosa.

– Prawda, że koka uspokaja.

– Słuchaj, z Luz coś się stało – powtórzyła Paula – to pewne. Inaczej bym nie dzwoniła.

Miała na sobie białą sukienkę z falbankami i kolczyki w kształcie serca; o świcie niewiele zostało z podkładu na twarzy, a kędziorki mogły rozczulić najwyżej krawężnika.

Jana pokręciła głową.

– Od prochów dostajesz tej paranoi.

– Przysięgam, że nie – zapewniła Paula z oczami wielkimi jak spodki. – Pytałam się dziewczyn – mówiła, oglądając się na tamte dwie przy rurze. – Też nie widziały dzisiaj Luz. Z dziesięć kart przeputałam na wiadomości. Choćby nawet Luz zgubiła komórkę, już by tu była. Nie wiem, co się dzieje...

– Jaką dokładnie zostawiła ci wiadomość?

– Tylko że chce mi powiedzieć coś ważnego i że umawiamy się

tutaj o piątej, jak wrócę z Niceto...

Niceto było lokalem w Palermo, Paulę zaproszono do niego na przesłuchanie.

– I co? – zainteresowała się Jana. – Jak poszło?

– Dobrze. Powiedzieli, że się odezwą.

Paula się uśmiechnęła, patrząc wzrokiem jelonka Bambi po barbituranach – to było jej pierwsze spotkanie ze światem artystycznym.

– A z kim gadałaś? Z portierem? – zażartowała Jana.

– Nie, no, z choreografem! Gelman się nazywa, facet w stylu Andy’ego Warhola, tylko młodszy. Wyobraź sobie, widziałam kawałek próby, wygląda mi na całkiem dobry show!... Słuchaj – spochmurniała – Luz nie mogła mnie wystawić. To nie w jej stylu, zwłaszcza jeśli chciała mi powiedzieć coś ważnego. No i jeszcze to przesłuchanie w Niceto... – Położyła rękę na dłoni Jany. – Mam złe przeczucia. Inaczej naprawdę bym ci nie zawracała głowy. Wiesz, jak mi zależy na Luz. Proszę, pomóż mi ją znaleźć.

Zmarszczyła zadarty noseć, robiąc minkę, którą tylko one znały. Jej uśmiechowi brakowało jednego zęba, posztukowana reszta dobrze się trzymała. Jana westchnęła głęboko w zaduchu knajpy.

– No dobra...

W mroku przemykały sylwetki hulaków zbierających się do wyjścia, stałych bywalców, naćpanych gejów, zatwardziałych jebaków, zdeterminowanych prawiczków, balanga na zapleczu miała osiągnąć wkrótce apogeum. Wtem głos Jorgego przebił się przez latynoamerykańskie rytmy disco.

– Hej, Pampa! – ryknął do Jany. – Dwóch takich się tu pyta, czy dalej można cię przelecieć za sto peso! Hej, Indianka! Słyszysz?

– Nie słuchaj go – szepnęła Paula. – To dupek.

Jana czuła w ustach żelazisty posmak. Za barem Jorge śmiał się z wdziękiem naczepy w deszczu. Wzięła Paulę za rękę i pociągnęła w stronę wyjścia.

Mogła stąd uciec albo podpalić tę spelunę.

\*

Buenos Aires powstało z niczego na błotnistej ziemi porośniętej chaszczami przy estuarium otwartym na ocean, znad którego wieją wiatry w stronę lądu. Tutaj kolonizatorzy zbudowali port handlowy, La Boca, szczęki zaciśnięte na ziemi Indian. La Boca zabarwiona była krwią bydła, które tu ubijano, aż posoka spływała chodnikami, oraz dziewczyn, które myślały, że przybywają z Europy do nowego eldorado, albo zwabione zostały obietnicą małżeństwa, a lądowały w jacie: sześćdziesięciu klientów na dobę siedem dni w tygodniu w marynarskich burdelach – tak było kiedyś.

Port był teraz opuszczony, a La Boca sławę zawdzięczała jedynie domom z blachy falistej pomalowanej resztkami farby ze stoczni, uliczkom rzemieślniczym i ładnym budynkom przy Caminito z pstrokatymi galeriami, gdzie Maradonę, Evitę i Guevara odmieniano przez wszystkie przypadki. Można tam było spotkać sobowtóry słynnego Pibe de Oro w wersji z czasów schyłku kariery w spodenkach w barwach Argentyny, sklepikarzy podrywających cudzoziemki, smarkaczy w strojach piłkarskich, knajpy ciągnące się jedna za drugą i tyłuż naganiaczy. W ciągu dnia w La Boce roiło się od turystów, ale po zmierzchu dzielnica pustoszała: wylegały wtedy prostytutki, dilerzy, nędzarze, wszelka hołota i podejrzane towarzystwo, błakając się aż do świtu. Nawet kolorowe domy przybierały wtedy makabryczny wygląd.

Ford Jany toczył się wolno wzdłuż doków, model z lat osiemdziesiątych pasujący jak ulał do otoczenia. Przeciekające statki dokonywały żywota w dawnym porcie handlowym, już na poły zatopione albo obrośnięte wodorostami; wysoko sterczały szare wieżowce z mieszkaniami socjalnymi, prezentując balkony obwieszane praniem jak językami wystawionymi obyczajności mieszkańców stolicy. Paula wyglądała na to miejsce rui i porubstwa przez okno z wybitą szybą; odjazd po koce dodawał jej tupetu, czuła się odpowiedzialna za Luz, a złe przecucia ścisnęły jej żołądek.

*Los bosteros*, wieśniacy – tak nazywano ludzi z La Boki; Luz, która swą karierę transwestyty zaczynała od obciążania kierowcom ciężarówek w Juninie, wcale nie czuła się obco w tej dzielnicy, kiedy w niej wylądowała. Luz, a właściwie Orlando, od swojego losu na stacji benzynowej uciekł drogą numer 7, mając jedynie kontakt do krewniaka, który go wyrzucił, gdy odkrył w walizce babskie ciuchy. Młody transwestyta błąkał się po barach i knajpach w nadziei, że trafi na faceta, który go przygarnie takiego, jaki jest, aż natrafił na Paulę.

O ile większość transwestytów widziała w takich samych jak oni w najlepszym razie amatorów, w najgorszym zaś konkurencję, o tyle Paula miała serce dla każdego. Była jak samarytanka, przeszła bowiem dość, by wiedzieć, jak kończą tacy jak ona. Nie mogąc zapanować nad przemożną potrzebą ubierania się po kobiecemu, Luz straciła już wszystko – rodzinę, pracę, przyjaciół. Po pierwszych przygodach przeżytych na rondach bardziej dla spełnienia marzeń niż z przyczyn materialnych, prostytutka szybko stała się jej kołem ratunkowym. Potem miało przyjść wyczerpanie, które doprowadza do rozchwiania zębów. I śmierć w rynsztoku.



Zagubionemu w Buenos Aires transwestycie Paula zaproponowała spółkę w dokach w La Boce: będą się nawzajem chroniły, czekając na lepsze czasy, Paula nauczy Luz zawodu...

– Nie martw się na zapas – odezwała się Jana. – Luz na pewno poszła do siebie z jakimś facetem.

– Nie, nie – odparła Paula. – Zasada numer jeden: pieprzymy się u innych, nigdy u siebie. Jak trafisz na czubka, który chce cię ukatrupić, będzie musiał pozbyć się ciała, a u ciebie wystarczy, że zatrzaśnie drzwi... Nie, nie – powtórzyła, jakby samą siebie przekonując – Luz w życiu by nie popełniła takiej nieostrożności.

Jana powolutku jechała pod kapryśnymi latarniami ulicznymi, przepatrując cienie między porzuconymi magazynami, porośnięte chaszczami nieużytki. Zdezelowany parowiec, któremu niewiele już czasu zostało, ze zgrzytem uderzał o zrujnowane nabrzeże, dalej kilka steranych żurawi portowych i barka z piaskiem dopełniały obrazu opuszczenia. Wraz z nastaniem dnia ulice opustoszały: transwestyci, śmieciarki w wyścigu prostytucji, wrócili do domów...

– Najwyżej psy tu można obwąchać – zauważyła Jana.

Paula kiwnęła głową, ściskając na kolanach pasiastą torebkę z imitacji skóry.

– Przejedźmy koło stadionu – poprosiła. – Mamy tam paru stałych klientów, może akurat...

Stadion w La Boce był żółto-szaroniebieską betonową sześcienną bryłą ozdobioną logo Coca-Coli. To tutaj Maradona zdobywał pierwsze szlify, a potem sam jeden dokopał Anglikom, biorąc odwet za upokorzenie kraju na Malwinach.

Dieguito lobował, ogrywał Anglików, strzelał Gola Stulecia i zaczynał od nowa.

– Łaaaaa...

Dieguito ogrywał gwiazdy. Taki był efekt *paco*, najgorszych odpadków śniegu, który wciągnął po rundce w dzielnicy.

Sto tysięcy *cartoneros* codziennie przybywało z przedmieść, by zbierać surowce wtórne: papier, metal, szkło, plastik sprzedawane później po czterdzieści dwa centavo za kilogram – po kilka eurocentów. W tym wiele dzieci, które skupiały się w grupy dzielnicami albo klubami piłkarskimi. Dieguito i jego banda nosili koszulki Boca Juniors, klubu piłkarskiego założonego w La Boce, kiedy klub River wyniósł się do bogatszych dzielnic – tej zdrady nigdy mu nie wybaczone. Numer 10 z natury rzeczy przypadła przywódcy.

– Łaaaaa...

Dieguito śnił. Reszta bandy popijała z plastikowych butelek koktajl z soku pomarańczowego i dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu, wyłożywszy się nad zdeptanych trawnikach przy bramie północnej. Nikt nie zauważył forda zatrzymującego się w cieniu stadionu.

Za chwilę Dieguito poczuł, że ktoś nad nim stoi, zmrużył oczy, aby popatrzeć, i cofnął się odruchowo: miał nad sobą transetkę w poplamionym kremowym płaszczu z kołnierzem i sukience za kolana... Potrzebował kilku sekund, aby wrócić do rzeczywistości i rozpoznać Paulę.

– Co tu robisz? – wybełkotał.

– Szukamy Luz – odparł jego anioł stróż. – W nocy polowała na klientów w dokach. To wasz sektor, pewnie ją widziałeś, co?

Dieguito oparł się plecami o betonowy słup. Z transetką była jakaś Indianka, na którą chłopak zagapił się z niesmakiem – nawet cycków nie miała.

– Luz? – powtórzył bełkotliwie. – Eee, nie...

– Nie widziałeś jej, boś się nawalił, czy w ogóle jej nie było?

– Teee... – Chłopak się otrząsnął. – Całą noc żeśmy tyrali, jak ciebie pieprzyli jeden po drugim. Wiesz, gdzie se możesz wetknąć te myślątka?

– Słuchaj, chcesz torebką w pysk?

Reszta bandy wolno wracała do rzeczywistości; chłopaki podnosiły się bez entuzjazmu.

– Spytała tylko, czy widzieliście w nocy Luz – zauważyła Jana.

– Ja tam nic wiem! – burknął małolat.

– Nie widziałeś jej w nocy? – nalegała Paula.

– Nie! Ile razy mam powtarzać?

– A grzeczniej nie można, gnojku?

– Wal się!

Banda zaczęła niespiesznie okrążać rozmawiającą trójkę.

– Coś nie tak, Dieguito? – rzucił jeden z *cartoneros*.

Paula poczuła ciarki pod falbaniastą kiecką. Niektóre wyrostki już się schylały po kamienie...

– Idziemy – szepnęła Jana.

Wróciły do auta odprowadzane wrogim wzrokiem śmieciarzy w krótkich majtkach i odjechały, nie reagując na obelgi. Czarne chmury wisiały na porannym niebie. Paula zaczynała podupadać na duchu.

– Może Luz jest chora – odezwała się Jana. – Może została w chacie i śpi jak zabita. Widać sprawa, o której chciała ci powiedzieć, to nic takiego... Nie przejmuj się tak, króliczku.

– Uprzedziłaby mnie – odparła Paula markotnie. – Byłyśmy umówione...

Indianka ziewnęła za kierownicą swojego gruchota.

– Okaze się jutro – powiedziała. – Odwiozę cię do matki.

– Nie mogłabym zostać u ciebie? – przymilnie spytała Paula. – Tylko dzisiaj...

– Nie, za bardzo kopiesz.

– To dlatego, że strasznie dużo biegam we śnie.

– Tia... gepard z polakierowanymi pazurami.

– Boję się, że dostanę ataku paniki, Jana. No zobacz – dodała, kładąc rękę na swoich wypchanych piersiach – serce mi się tłucze, jakby miało parkinsona!

– Ciii...

Avenida Don Pedro de Mendoza: jechały portową ulicą, która prowadziła w kierunku centrum, kiedy na końcu nabrzeża zobaczyły pulsujące światła radiowozu.

\*

Dawny prom kisił się w słonych wodach Riachuela śmierdzących błotem i zgnilizną. Przy spróchniałym pomoście wyrosły nieliczne rachityczne krzewy, trochę trzciny, przy których zbierały się tłuste resztki, korki i plastikowe butelki. Rosły mężczyzna, ze sto dwadzieścia kilo żywej wagi, stał nachylony nad mętną wodą, a przy nim chuderlawy facet przesuwiał ręczny reflektorek wzdłuż metalowej konstrukcji.

– Coś mi tu śmierdzi, szefie – zauważył Troncón.

– Świeć, a nie gadaj, baranie... – burknął sierżant Andretti, śledząc wzrokiem drżącą wiązkę światła.

Wśród puszek i zatłuszczonego papieru unosiło się ciało na poły zanurzone w gęstym bajorze. Białe nagie ciało młodego chłopaka, które wyrzucono przy promie.

Policjant obejrzał się na samochód, który stanął na końcu nabrzeża. Wysiadła z niego zaraz dziwna para, transwestyta

i czarnowłosa dziewczyna ubrana na miejskiego partyzanta.

– Czego tu szukacie?

Paula zrobiła kilka kroków w kierunku gliniarzy schylonych przy pomocy i w świetle latarki zobaczyła zwłoki pływające w gęstej mazi... Wbiła paznokcie w rękę Jany, wytrzeszczając oczy: Luz.

---

<sup>[1]</sup> „Władza dla kurew! (Ich synowie już ją mają)”

## 2

– Co jest? – zagadnął Andretti. – Kumpela źle się czuje?

Paula rzygała na jezdnię jak kot, kiedy dwaj gliniarze wezwani na pomoc wyczyniali akrobatyczne sztuki przy kadłubie promu. Jana zmierzyła wzrokiem policjanta miarowo oświetlanego blaskiem obracającego się koguta.

– Bawi to pana?

Fabio Andretti nosił sumiaste wąsy i choć sam w sobie był potężnie zbudowany, na pewno miał dobre trzydzieści kilo nadwagi. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Płacili mu za oczyszczanie dzielnicy z zadymiarzy, a transwestytów zostawiał obyczajówce. Jego partner trzymał się z tyłu – agent Troncón, którego musiał obudzić kopniakami w celi na komisariacie, żeby jechać na patrol. Jesus Troncón, pryszczaty dwudziestolatek w za dużej czapce, czuł się mocno niewyraźnie: nigdy dotąd nie widział nagich zwłok w takim bajorze. Właśnie je wyciągali na nabrzeże.

Andretti poprawił pas, na którym dźwigał rynsztunek i uparcie rosnący brzuch. Nad szarymi blokami socjalnymi niebo już pojaśniało – żadnych innych świadków prócz tych dwóch cudaków... Odwrócił się do Indianki, która z wysoko podniesioną głową wpatrywała się w niego nieruchomym wzrokiem.

– No dobra – westchnął. – Zaczniemy jeszcze raz... Jak on się

nazywa?

– Luz – odparła Jana.

– A dalej?

– Nie wiem.

– Myślałem, że go znałaś?

– Znam tylko ksywkę – wyjaśniła Jana.

– Aha... A ty? – spytał sierżant faceta w kiecce. – Wiesz, jak ten truposz naprawdę się nazywał?

Paula na wysokich szpilkach szlochała rozdzierająco, śmiesznie drobna przy byłym rzeźniku. Nie mogła uwierzyć, że ta małpeczka skulona na nabrzeżu to Luz.

– Or... Orlando – wykrztusiła wreszcie.

– I tyle?

Paula kiwnęła głową, uświadamiając sobie z goryczą, że nie poznała nawet nazwiska Luz. Z pasiastej torebki wyjęła chusteczkę higieniczną, by otrzeć usta, Andretti tymczasem zapisywał uzyskaną informację w notesie długopisem, który ledwie było widać w grubych paluchach.

– Czego szukacie tu o tej porze? – wrócił do wypytywania.

– Luz wystawiła koleżankę – wyjaśniła Jana. – Wiedziałyśmy, że pracowała tutaj, więc przyjechałyśmy sprawdzić.

Owiewał ją zapach gliniarza, jakby płyn po goleniu do nóg.

– Co sprawdzić?

– Czemu nie przyszła na spotkanie. Luz i Paula razem tu pracują, powinien pan to wiedzieć, przecież pan z tej dzielnicy.

Andretti obrzucił wzrokiem jej płaski tors.

– A ty coś za jedna?

– Przyjaciółka.

– A ona – rzekł, wskazując Paulę – to kto? Jego ciocia?



Fabio Andretti miał posturę podstarzałego zapaśnika i pieski nastrój.

– Gdyby matka płakała nad swoim zamordowanym dzieckiem, inaczej by pan mówił – zauważyła Jana. – Ale jak pedał opłakuje dziwkę, to bardzo śmieszne, prawda?

– Uważaj na słowa, mała.

– Ty też.

Troncón aż się wzdrygnął jak dźgnięty. W Argentynie ludzie łatwo przechodzili na „ty”, lecz ta negrita igrała z ogniem. W ospałym wzroku sierżanta pojawił się błysk.

– Chcesz, żeby cię zgarnąć razem z tym pedałem?

Już łapał za pałkę zawieszoną u pasa – miło będzie porachować jej zebra – kiedy jeden z policjantów odezwał się za jego plecami.

– *¡La concha de tu madre!* – zaklął. Szefie! Niech pan patrzy!

– Co jest?

– Szefie...

Andretti spojrzał na ociekające cuchnącą wodą zwłoki Luz, które właśnie wyciągnięto na nabrzeże, i przełknął urazę: chłopak nie miał genitaliów... Penis, jądra, wszystko odcięto od wzgóрка łonowego po mosznę. W tym miejscu ziała czarna cuchnąca rana zanieczyszczona błotem.

– Szlag... – mruknął pod wąsem.

Błądą jak ściana przerażoną Paulą znowu wstrząsnęły torsje – bluznęła czarną treścią na nogi Troncóna, który za późno się cofnął. Zbladł także Andretti nad wykastrowanymi zwłokami chłopaka. Gliniarze z nocnego patrolu stali w milczeniu, skrzyżowanymi rękami osłaniając przyrodzenie.

– Rozciągnąć mi tu taśmę – szepnął Andretti. – Ale już!

Na końcu nabrzeża zaczęli się gromadzić ludzie. Sierżant

wciąż kuczał przy zwłokach, nad paskiem spodni widać mu było przedziałek między tłustymi pośladkami. Nie taka była procedura, ale co tam: naciągnął gumowe rękawiczki i obrócił trupa. Na plecach nie znalazł śladu po pocisku, tylko głęboką ranę pod lewą łopatką. Może od noża, trudno ocenić, taka była ubłocona... Głowa nie nosiła żadnych śladów przemocy, poniżej pasa też nic nie widział. Nigdzie w pobliżu nie było ciuchów ani torebki. Sprawdzą okoliczne kubły na śmiecie, przy odrobinie szczęścia znajdą to, czego morderca pozbył się ukradkiem... Uwagę sierżanta zwrócił naraz pewien szczegół. Andretti przyjrzał się okolicom mocno pokiereszowanego odbytu: wystawało tam coś nieforemnego, kłęb skóry i włosów. Przełknął ślinę. Penis?... A co innego?... Co innego niż penis tego chłopaka?

Andretti wyprostował się ociężale. Jego ludzie już odgrodzili taśmą miejsce zbrodni, nadjeżdżała straż pożarna, wabiąc gapiów.

– No dobra – powiedział do podwładnych. – Zwijamy się...

Dwa kroki dalej stał Troncón z zarzyganymi butami.

– A co z tymi dziwkami, szefie?

Transwestyta ciągle szlochał podtrzymywany przez Indiankę.

– Zgarniamy – burknął Andretti.

\*

„Pelotudos”, „Cornudos”, „Soretas”, „Larvas”, „Culos rotos”, „Flor de san puta”<sup>[2]</sup>: sądząc po graffiti, które pokrywały mury komisariatu, wszyscy gliniarze z La Boki warci byli tyle samo.

Dowódca nocnego patrolu, Fabio Andretti, zaczął swoją karierę jako pomocnik rzeźnika w Colalao del Valle, miasteczku w Tucumán, niedługo jednak kumpel wuja zaproponował mu, by wstąpił do policji, w której „znał ludzi”. Fabio się zgodził i szybko

pojął, jakie korzyści może mieć z tej roboty. Plącząc się po nędznych komisariatach i zrujnowanych posterunkach, nieraz uczestniczył w bitce razem z oficerami i ich podwładnymi, którzy dorabiali sobie na boku, łupiąc opryszków, złodziei czy handlarzy, bo wiadomo było, że tacy nie złożą skargi. Awanse za dobrą lojalną służbę i przenoszenie na wyższe stanowiska doprowadziły Fabia Andrettiego do nocnego patrolu w dzielnicy La Boca w Buenos Aires, gdzie dzięki stopniowi sierżanta przed nikim nie musiał się opowiadać prócz komisarza, który między jedną a drugą mową na temat nowych wytycznych, olewanych przez wszystkich po kolei, od czasu do czasu robił rundkę po ludziach, odbierając koperty. Powszechna praktyka stosowana nie od dziś. Za prezydenta Alfonsína poleciało parę głów zbyt wystających pod koniec dyktatury, ale Menem przymykał oko na wszystko, co nie wiązało się z pieniędzmi, toteż większość policjantów utrzymała stanowiska i nadal funkcjonowała jak przedtem, właściwie bezkarnie. Zabójstwa, „przypadki pochopnego użycia broni”, bezprawne zamykanie ludzi, torturowanie albo pobicia, tysiąc skarg rocznie składano na dręczenie albo duszenie małoletnich w komisariatach.

Komisariat w La Boce cuchnął starymi butami i naftaliną: dwa złamane krzesła koło uschniętej rośliny zdobiły poczekalnię, w której Paula i Jana tkwiły od trzech kwadransów na ławce naprzeciw dyżurki. Nie pozwolono im zadzwonić, odmówiono szklanki wody i wstępu do toalety, zdaje się, że zatkaniej.

– Będzie dobrze, skarbie – szepnęła Jana. – Będzie dobrze, jak tylko stąd wyjdziemy...

Paula płakała cichutko, łyż do reszty rozmazywały makijaż na policzkach.

– Straszne – powiedziała z nosem w chusteczce higienicznej. –

Widziałaś, co mu zrobili?

Luz po śmierci na powrót stał się mężczyzną.

– Staraj się o tym nie myśleć. – Jana pogładziła przyjaciółkę po szczupłej dłoni.

Paula jednak nie posłuchała.

– Co za bestia mogła zrobić coś takiego? Jaki potwór? A Luz... Nie rozumiem, że dał się tak podejść...

Luz była jej protegowaną, kociakiem znalezionym na poboczu drogi, współpracowniczką, Paula pomogła jej oswoić noc, poznać dzielnice, nauczyła ją, których godzin należy unikać, jak rwać naiwniaków, wprowadziła do hoteli na godziny i pokoiów na zapleczu knajp, wskazała zagrożenia i zasady, jakimi należy się kierować: w głowie się nie mieści. No i czemu od razu zabijać? Dlatego, że była inna? Dlatego, że znajdowała się w dole drabiny społecznej, a na takich jak świat światem ludzie zawsze się wyżywali?

– Koszmar.

– No – przytaknęła Jana. – Ale nie ma w tym twojej winy.

– Gdybym nie miała przesłuchania w Niceto, może bym z nią była i wszystko by się potoczyło inaczej.

– Nie gryź się, to nic nie da.

Agent Troncón pilnował ich kątem oka. Teraz nie był taki bojowy jak w obecności szefa. Wychowany kopniakami przez ojca, który nawet z rana wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z pulperí i – wiejskiego baru w czasach gauczów – pryszczaty Jesus Troncón z wąsikiem cienkim jak pajęczce odnóża nad naburmuszonymi wargami wyrwał się z posępnej równiny zdeformowanej przez jego krótkowzroczność. Policyjny nowicjusz krążył chwilę w kusym mundurze, w końcu zawołał z korytarza:

– Hej! Teraz wy!

Paula skuliła się w tanim kremowym płaszczu. Znała ze słyszenia sierżanta Andrettiego – należało się od niego trzymać jak najdalej. Jana pomogła jej wstać z ławki, na której kwitły, gromiąc wzrokiem żółtodzioba w policyjnej czapce. Biuro szefa znajdowało się w głębi korytarza po prawej, zaraz za pustym dystrybutorem.

– Ruszać się, nie ma czasu na głupoty! – warknął Troncón dla formy.

Paula szła drobnym kroczkiem.

– Tylko nie świruj, dobrze? – szepnęła kumpeli przed wejściem.

– Nie. Słowo.

W biurze wisiał odór starego potu, ściany obwieszane były listami gończymi, afiszami, które ostrzegały przed narkotykami, i niezbyt świeżymi plakatami z gołymi babkami. Andretti z tłustym dupskiem wpasowanym w skrzypiący fotel, poruszając sumiastymi wąsami, zmierzył je wzrokiem – tranzystora o żyrafiej szyi wystrojonego w niesamowitą falbaniastą kieckę i Indiankę płaską jak decha, w dopasowanych czarnych drelichach na tyłku. Pedalami się brzydził, ale ta kurewka z krągłą dupką i nogami po samą szyję mogłaby spędzić trochę czasu w celi...

– Możemy się dowiedzieć, co tu robimy? – zagaiła Jana na wstępie.

– Jak to, co robicie? Mamy morderstwo, laluniu – prychnął gliniarz. – I to ja zadaję tu pytania. W trzech przypadkach na cztery winny jest ktoś bliski ofiary, wiesz?

Paula skuliła się na krześle.

– Mnie się zdaje, że jesteśmy świadkami, nie podejrzanymi – zauważyła Jana.

– A wiesz o tym, że zabójca wraca na miejsce zbrodni?

Na plakacie za plecami Andrettiego dziewczyna

z wymodelowanymi piersiami i z zalotną minką gryzła się w palec wskazujący.

– Gadanie! – burknęła Jana.

– A to się jeszcze okaże. Gdzie byłaś między północą a szóstą rano?

– U siebie – odparła niespieszona. – W pracowni.

– W jakiej pracowni?

– Jestem rzeźbiarką.

– Aha, a co rzeźbisz? Totemy?

– Bardzo zabawne.

– No i widzisz, nie masz alibi, laluniu. Tak ja to widzę – oznajmił dowódca nocnego patrolu. – A ty, cudaku? – zwrócił się do Pauli. – Gdzie byłeś w nocy?

Pauli z żalości tusz całkiem spłynął, szpilki i pończochy miała spryskane rzygowinami, odbierało jej mowę na wspomnienie okaleczonego Orlanda. I potwornie się bała tego obleśnego grubasa.

– Była w Niceto na przesłuchaniu do zespołu – odparła za nią Jana. – To taka knajpa w Palermo. Dwa tysiące osób potwierdzi.

– Co znaczy, że wasz kumpel Orlando był sam w dokach, kiedy go napadnięto – wydedukował policjant.

– Ściśle mówiąc, zmasakrowano.

– Tiaaaa... Miał jakichś wrogów ten Orlando?

Mapucze pokręciła głową.

– Nie... Znamy kupę gnojków, ale żaden nie jest taki.

– Może jakieś porachunki? Myślałaś o tym?

– Orlando i moja przyjaciółka – Jana wskazała Paulę – pracują na własne konto i ledwie zarabiają na utrzymanie. Gra niewarta świeczki.

Policjant jakby tego nie słyszał.

– Luz miał jeszcze kogoś bliskiego?

Jana obejrzała się na skuloną przyjaciółkę.

– Tylko nas... – wymamrotała Paula, nie podnosząc głowy.

– O, wróciła ci mowa! – zauważył sierżant. – To co, nie znasz nikogo, kto wie coś więcej o Orlandzie?

– Nie...

Grubas rozwalił się w fotelu jak basza, potężne łapska założył na kark.

– Jeśli dobrze rozumiem, twierdzicie, że ofiara nie miała innych przyjaciół prócz was, a wy byliście z nią blisko, ale nie na tyle, żeby znać jej nazwisko – rzekł drwiąco. – Piękna przyjaźń, nie ma co!

– To nie przyjaźń. To samotność – powiedziała Jana.

– Ho, ho! A wiecie przynajmniej, gdzie mieszkał ten wasz przyjaciel?

Mapucze się skrzywiła – nie miała pojęcia.

– W mieście – wyręczyła ją Paula. – W Villa 21.

Dzielnica biedoty w centrum.

– Rodzina?

– W Junínie... Znaczy tak mi powiedziała Luz... Orlando... Zerwał z tamtym życiem przed przyjazdem do Buenos Aires...

– Gdzie trafił na niewłaściwą osobę w niewłaściwym miejscu – podjął Andretti.

Paula wyłamywała sobie palce. Sierżant odsunął klawiaturę komputera, który przypominał nędzne budynki w tej dzielnicy.

– Skoro nic więcej nie macie do powiedzenia, możecie iść – oznajmił.

– Nie spisz pan naszych zeznań? – zdziwiła się Jana.

– A co mam spisywać? Że znacie jego imię?

– Ale rodziców chyba powiadomicie?

Andretti skrzywił się szpetnie.

– Wiesz, Indianko, jak to tutaj mówią: zajmuj się swoimi sprawami...

Stara maksyma, która robiła furorę w czasach dyktatury. Wtedy Jany jeszcze nie było na świecie.

– Naszego kumpla zmasakrował jakiś psychopata i możliwe, że kręci się gdzieś w okolicy – powiedziała. – Luz miała torebkę, była w ubraniu. Jeżeli nie znaleźliście tych rzeczy, znaczy, że facet zabrał Luz do wozu, gdzieś zamordował i wyrzucił ciało w porcie...

– Te, byle kurewka nie będzie mnie uczyła mojego fachu! – warknął policjant, aż mu się zatrzęsły tłuste policzki. – Spadaj, *India de mierda*, bo cię wsadzę na dołek. Na golasa by ci pasowało?

Paulę przeszły ciarki. Mury komisariatu przesiąknięte były przemocą, samowolą i gwałtem. Jana ze wzrokiem płonącym nienawiścią wstrzymała oddech. Nie tylko dla Jorgego, szefa Transformera, ale i dla gliniarzy zawsze będzie jedynie lodziarą, podczłowiekiem albo wyrzuconą poza nawias istotą, którą można sobie podsylać z auta do auta, kundlem wyrosłym w nędzy i ciśniętym do miasta jak do więzienia, Indianką, która szcza krwią swoich: nikiem.

Zwykłą kurwą...

Wzięła Paulę za lodowatą rękę.

– Spadamy!

---

[2] „Matoly”, „Rogacze”, „Jełopy”, „Gnoje”, „Złamidupce”, „Cnota świętej kurwy”.



### 3

„Meksykanie pochodzą od Azteków, Peruwiańczycy od Inków, Kolumbijczycy od Majów, Argentyńczycy ze statków”, mówi szydercze porzekadło.

Zasadniczo Buenos Aires istniało przede wszystkim dzięki oczom Europy. Grze lustrzanych odbić, która ożywiała ducha w *Porteños*, jak się nazywa mieszkańców stolicy. Po zlikwidowaniu tubylców przegrani ze Starego Świata znaleźli się w zapiaszczonym, pozbawionym nabrzeży porcie, do którego docierali w ciągniętych przez konie wozach do połowy zanurzonych w wodzie. Klnąc na to pustkowie, ledwie pył po Indianach opadł, europejscy koloniści zbudowali miasto Buenos Aires, które tak kochał Daniel Calderón.

Czy dlatego tak często je opuszczał niczym namiętą kochankę, aby tym milsze było ponowne spotkanie? Kiedy Daniel o nim mówił, miał *el duende*, błysk geniuszu twórczego drogi Lorce, dostrzegany czasami w wypadzie toreadora, głosie pieśniarki albo uniesieniu tancerki flamenco. *El duende* „odsyła muzy i anioły niczym w błoto uczone psy”, a Rubén odnajdywał go w wierszach swego ojca, w światłach i ogniach, które olśniewały go w dzieciństwie. Daniel i Elena Calderónowie dali mu to imię w hołdzie Rubénowi Daríowi, inicjatorowi ruchu dążącego do wyzwolenia ich języka i prekursorowi manifestu „Martín Fierro”,

awangardowego pisma poświęconego poezji, które naznaczyło w Argentynie początek XX wieku, Daniel Calderón zaś był jednym z jego najbardziej nowatorskich spadkobierców.

Rubén odkrywał Buenos Aires oczami swego ojca, poety związanego z ojczystym miastem jak równina z deszczem: wcześniej Daniel opowiedział mu o swoich wyskokach, o barach, w których do świtu palono, rozprawiając o polityce, o tangu, które wyszło z burdeli, i o kobietach skupionych na pragnieniach innych, oglądających wszystko przez pryzmat barw prześladującej je Europy. Godzinami przesiadywali w lokalach lub kawiarnianych ogródkach w dzielnicy Florida – ojciec uczył go obserwować ludzi, poznawać, która nastolatka pierwszy raz znalazła się sama na ulicy i wzruszająco dumnie demonstruje, że jest wolna, odgadywać, o czym dumają starcy w parkach, i wyłapywać ich ulotne myśli, podglądać bezczelne koty na cmentarzach, zauważać spokojną radość dojrzałych kobiet na nowo zakochanych, chwytającą za serce energię innych, gdy ofiarowywały swój wdzięk światu na nowo przez to zaczarowanemu. Razem wyobrażali sobie życie przechodniów, na przykład spotkanego przed operą człowieka w kapeluszu, który idąc trasą Borgesa, uściśnie w końcu rękę Pinochetowi (tradycyjny żart, wielki pisarz bowiem z jednej strony wytyczył „idealną trasę” po planszy Buenos Aires, z drugiej zaś uściśnił prawicę chilijskiemu dyktatorowi i dopiero potem „odrobinę” się wycofał). Kiedy Rubén dorastał, ulubionym elementem tej zabawy stały się kobiety i tu wyobraźnia okazywała się najpłodniejsza. Wiersze i idee wypełniały zeszyty, w których je zapisywali, dążąc do hiszpańskiego *el duende*.

*Piękno, piękno...!*

*Chciałbym umrzeć z tobą w pięknie!*

Rubén podążał śladami giganta, gdy doszło do *golpe*, puczu Videli 24 marca 1976 roku...

„Jeden martwy to smutek; milion – informacja”. Trzydzieści tysięcy: tyle osób zaginęło.

Metoda stosowana przez wojskowych była powieleniem nazistowskich praktyk z czasów wojny: ludzi uprowadzano. Plusy tej techniki: brak jakichkolwiek informacji na temat warunków przetrzymywania, zachowana twarz w oczach społeczności międzynarodowej, możliwość eliminowania osób chronionych przez wiek (nieletnich), płeć (dziewczęta, kobiety ciężarne) albo popularność. Nawiązanie kontaktów z francuskimi weteranami wojny w Indochinach, potem z członkami grup Delta OAS-u, którzy wrócili z Algierii, upowszechniło rażenie prądem elektrycznym jako dodatkowy element terroru – regularnie wykorzystywano ten sposób na zatrzymanych. Nazywano go *la picana*. Te metody i nawiązania do faszyzmu nie były niczym nowym: Juan Perón, ikona narodowa, otrzymał ongiś znaczne pieniądze za osiem tysięcy paszportów wystawionych agentom państw Osi szukającym schronienia. Tym sposobem wielu nazistowskich oficerów szkoliło argentyńskich żołnierzy i policjantów, w koszarach krążyły broszury typu „SS w akcji”, „Może Hitler miał słuszość” czy osławione „Protokoły mędrców Syjonu”, które ciągle jeszcze można było nabyć w antykwariatach przy avenida Corrientes. Oprócz tych instruktorów przez kraj przewinęli się najwięksi zbrodniarze wojenni: Mengele, Boorman, który uchodził za posiadacza „skarbcza nazistów”, Eichmann, który mieszkał w domu z widokiem na cmentarz żydowski.

Generał Camps, jeden z najwyższych rangą członków argentyńskiej junty, na wzór komendanta Auschwitz oświadczył, że

„osobiście nigdy nie zabił dziecka”, co mu nie przeszkodziło w epoce najdotkliwszych represji zaproponować aresztowanie dzieci dysydentów w wieku szkolnym, by zapobiec ewentualnym buntom. Pod naciskiem skrupulatnej administracji prezydenta Cartera ostatecznie Videla, pierwszy przywódca junty, zrezygnował z tego – z przyczyn wizerunkowych...

Wszyscy wojskowi byli zamieszani w tajne operacje, personel podlegał rotacjom. Mieli zakaz opowiadania o misjach „oczyszczania” i komentowania ich, pozwalano jednak na drobne przecieki w celu zastraszania ludności. Bywało, że ze strachu przed odwetem ludzie pogłaścili radio, by zagłuszyło krzyki uprowadzanych sąsiadów. Po mieście jeździły nieoznakowane fordzy falcony z oficerem na tylnym siedzeniu. Zatrzymań dokonywano głównie nocą lub o świcie, najchętniej w weekendy: grupa interwencyjna wyłączała elektryczność w całej dzielnicy, jeśli zanosilo się na delikatną operację, a w razie oporu strzelała do tłumu – „szturm antyterrorystyczny”, notował wtedy oficer w raporcie. Następnie zabierano wszystkich z domu i przeciwników politycznych posyłało do „sanatoriów”.

Udział w zebraniach studentów o poglądach lewicowych bądź w działalności związkowej, krytykowanie na głos wojskowych, noszenie takiego samego nazwiska jak ktoś z podejrzanych, obecność przy uprowadzeniu kogoś, żydowskie pochodzenie, nauczanie lub studiowanie socjologii, doradzanie ubogim albo podejrzany w kwestiach prawnych, leczenie podejrzanych lub biedaków, pisanie wierszy, powieści, przemówień, cudzoziemskie pochodzenie albo „głośnie zachowanie”, status uchodźcy z kraju o reżimie wojskowym, figurowanie na liście poszukiwanych z przyczyn politycznych, wykonywanie zawodu psychologa bądź

psychoanalitka – ze względu na wpływy teoretyków żydowskich – granie recitalu przed robotnikami lub wieśniakami, „zbytne” zainteresowanie historią, bycie młodym żołnierzem, który za dużo wie albo coś kontestuje, „nadmierna” fascynacja Zachodem, kręcenie filmów „zbyt” nakierowanych na tematykę społeczną lub sprzecznych z „właściwą moralnością”, działalność w organizacjach walczących o prawa człowieka, posiadanie brata, siostry, kuzyna czy przyjaciela osoby zaginionej – to wszystko mogło być powodem uprowadzenia. Za wywrotowca uznawano każdego, kto występował przeciwko „argentyńskiemu stylowi życia”.

„Wywrotowe poglądy stawiają ojca przeciwko synowi”, oznajmił generał Videla. Rozciągnięty na całe społeczeństwo paternalizm fallokratyczny ideologicznie wywodził się z katolicyzmu: trzysta czterdzieści czynnych obozów koncentracyjnych i zagłady utworzono w jedenastu z dwudziestu trzech prowincji kraju, wszystkie działały z maksymalną skutecznością – dziewięćdziesiąt procent osadzonych nie ujrzało więcej światła dziennego...

Rubén Calderón należał do ocalałych.

W dobie powszechnej radości po zwycięstwie reprezentacji narodowej w mistrzostwach świata w piłce nożnej uwolniono go pewnego lipcowego dnia 1978 roku bez słowa wyjaśnienia.

Niewątpliwie chodziło o to, by znaleźli się ludzie, którzy opowiedzą o okrucieństwach popełnianych w tajnych więzieniach, i to na tyle przekonująco, że ostudzą buntowników. A może oszczędzono go, by zrelacjonował, co się wydarzyło w czasie jego pobytu w więzieniu, by zrelacjonował to swojej matce Elenie i jej nieszczęsnym towarzyszkom, również matkom, które co czwartek zbierały się na plaza de Mayo: by po prostu doprowadził ją do szaleństwa...

Rubén tymczasem milczał.

Opowiadanie o tym, czego nie dało się ująć w słowa, oznaczałoby przeżywanie tego na nowo, poddawanie się na powrót strachowi, smutkowi, bólowi – mówienie o tym byłoby przywróceniem katom prawa do zmiżdżenia go. Nic nie powiedział matce o miesiącach więzienia w ESMA, Szkole Mechanicznej Marynarki Wojennej, a to, co się stało z jego ojcem i siostrą, po prostu nie mogło mu przejść przez usta.

Ponieważ Elena Calderón przyłączyła się do ruchu Matek z Plaza de Mayo, Rubén nie mógł zostać w Buenos Aires, stałby się bowiem dla prześladowców środkiem nacisku. Ukryto go zatem na wsi u znajomych, którzy nie zajmowali się polityką – jak wielu ludzi w tamtych czasach „nic nie wiedzieli” albo nie chcieli wiedzieć. Schowany na zaadaptowanym strychu ich domu, obłożony książkami jak mól, Rubén zawsze witał matkę zwodniczym uśmiechem.

Zaprzyjaźnił się z sowami i skałami. Wyżywał się nocami na ugorach, biegał i zatrzymywał się, dopiero gdy stracił dech, a płuca płonęły mu żywym ogniem, padał wtedy na trawę, by wspominać historie, które opowiadali sobie niegdyś w kawiarnianych ogródkach – poeta już nie żył, lecz jego głos wciąż rozbrzmiewał w zdumiewającej pamięci syna – historie, w których kobiety jak koty przemykały w mroku wśród drzew; w których w kilku wyruszało się na koniach w uprzęży nabijanej ćwiekami; historie przechodniów, które Rubén powtarzał sobie pod gwiazdami, gromadząc odwagę, aby kiedyś je opisać, skoro nie mógł o nich mówić. Słowa mu jednak umykały. Zawsze umykały...

Matka przysyłała mu wieści z Buenos Aires, gdzie coraz głośniej odzywały się głosy sprzeciwu. Gospodarka leżała w gruzach, nie

przestrzegano prawa, odbywały się strajki: po sześciu latach dyktatury odradzała się nadzieja. Rubén nic nie mówił, trwał zwrócony do swojego świata wewnętrznego, grobu otwartego na wielką ciszę, on, posłaniec wieści, której nigdy nie przekazał.

Duszę miał jednak marzyciela. Skrywał to głęboko, kręcąc się przy siostrach z sąsiedniego gospodarstwa – czy taki słodki kochanek mógł nosić w sobie rany? – pracował nad muskulaturą kończyn, aż była jak u zwierzęcia wyrosłego na wolnym powietrzu, które jutro doda mu skrzydeł.

– Jakiś ty urodziwy, synku! – cieszyła się zaślepiona Elena, kiedy go odwiedzała.

Owszem, Rubén coraz bardziej przypominał ojca – miał taki jak on krok, pochylenie głowy, żywe spojrzenie i kolor oczu, i ten rozbrajający uśmiech, który działał na najbardziej opryskliwych. Oczywiście Elena była nieobiektywna, rolę matki traktowała jako dodatek, wciąż kochała swego zaginionego męża. Nie widziała, że jej syn hoduje w sobie potwora – tym silniejszego, im dłużej Rubén zachowywał milczenie. Wiejskie dziewczęta lubiły jego chmurne spojrzenie, nie wiedząc, na kim spocznie pewnego dnia, lubiły jego sękaty ramiona, które próbowały je obściskować, a przebiegające go dreszcze brały za powrót do pieaszczot. Wyszędłszy z łóżka którejś, Rubén wracał chwiejnym krokiem, rozerwany pomiędzy wdzięcznością i lękiem. Prenumerujący „La Nación” ludzie, którzy udzielali mu gościny, widzieli w tym jedynie ogień...

Rubén miał dwadzieścia lat, kiedy przegrana wojna o Malwiny przyspieszyła upadek dyktatury. Abuelas de Plaza de Mayo i inne stowarzyszenia ofiar natychmiast wniosły pozwy o nadużywanie władzy w czasie Narodowego Procesu Naprawy: to była epoka pierwszych procesów sądowych, które miały się ciągnąć latami.

Kolejne amnestie i wyłączenia winy oraz znużenie spowodowały, że z sieci wymiaru sprawiedliwości wymknęło się wojsko, policja i większość oprawców. W końcu już tylko Babcie z Plaza de Mayo nawoływały na pustyni, na której ginęła pamięć narodu.

Rubén porzucił dziennikarstwo, z którego żył po powrocie do Buenos Aires, i na rogu ulic Perú i San Juan znalazł mieszkanie, które miało się stać jego agencją detektywistyczną. Zajął się studiowaniem technik przesłuchiwania z użyciem tortur, kwestii odporności na ból, metod śledczych, gorliwie doksztalał się z historii, nauk politycznych, ekonomii, badał nazistowskie siatki na emigracji, uczył się prawa międzynarodowego, antropologii sądowej, szkolił się w strzelaniu do ruchomego celu, w sztukach walki oddziałów bojowych Montoneros, Rewolucyjnej Armii Ludu i Mosadu: aby móc oddawać ciosy.

Zadaniem jego agencji detektywistycznej nie było odnajdywanie zaginionych – już on dobrze wiedział, że zostali zlikwidowani – lecz odpowiedzialnych za zniknięcia.

W kraju, w którym dziewięciu na dziesięciu sędziów sprawujących swą funkcję w czasach dyktatury pozytywnie zweryfikowano po jej upadku, Rubén Calderón był ich zdeklarowanym wrogiem, zbrojnym ramieniem stowarzyszenia Abuelas de Plaza de Mayo, człowiekiem, który otrzymywał pogróżki telefoniczne, obelgi, pocztą przychodziły do niego zwierzęce łby. A on gromadził raporty z dochodzeń, wyrównywał rachunki.

Wojskowi go nienawidzili, połowa gliniarzy chętnie by mu porachowała zebra, reszta długo by po nim nie płakała: Calderón polował na ich terenie.

*Ricardo Ravelli, ur. 7 VII 1952, dowódca korwety wcielony do*



*ESMA, gdzie do 1981 r. sprawował funkcję śledczego, podejrzewany o maczanie palców w sprokurowanym wypadku samochodowym jego ekscelencji Angelellego, biskupa opowiadającego się za ustaleniami Soboru Watykańskiego II, pozostającego w opozycji do ultrakonserwatywnego Kościoła argentyńskiego, który wspierał generałów: popełnił samobójstwo.*

*Victor Taddei, ur. 19 I 1943, w policji federalnej w latach 1967 – 1984, współpracował wtedy z wywiadem wojskowym: w 2000 r. wraz z rodziną wyjechał z kraju, nie zostawiając adresu.*

*Ricardo Perez, ur. 2 V 1941 w Mendozie, sędzia sądu wojskowego (1975 – 1982), potem Sądu Najwyższego: znaleziono go leżącego we własnych ekskrementach kilka kroków od domu.*

*Juan Revalde, ur. 25 XI 1950, oficer śledczy w Campo de Mayo (1976 – 1980), agent wywiadu (SIDE) aż do emerytury, na którą przeszedł w 2003 r., po objęciu władzy przez Kirchnera: niemy od dwóch lat, przebywa w szpitalu psychiatrycznym w Rosario.*

*Hector Mancini, ur. 14 VI 1948, dowódca fregaty marynarki wojennej (1971–1981), dwukrotnie odznaczony podczas wojny o Malwinę: heroinista, obecnie bez stałego miejsca zamieszkania.*

*Miguel Etschecolaz, ur. w 1929, szef grupy dochodzeniowej w policji prowincji od marca 1976 do grudnia 1977, podejrzewany o zaplanowanie „nocy ołówków”, kiedy to kilkunastu uczniów uprowadzono, a potem torturowano i zamordowano: znaleziony nagi pewnego dnia o świcie na ugorze należącym do Wielkiego Buenos Aires.*

*Juan Cavallo, minister Carlosa Menema i były minister transportu w rządzie Isabel Perón, która w 1975 r. podpisała dekret o „wyplenieniu buntowników” w prowincji Santa Fe: zrujnowany, wyjechał do Paragwaju w 2006 r.*

Lista była długa i nie zamknięta. Elena Calderón nie o wszystkim wiedziała – taki był ich los, los ocalałych. W ciągu piętnastu lat działania na rzecz Babć z Plaza de Mayo Rubén uszedł cało z dwóch strzelanin na ulicy, jednego ulatniania się gazu, potrącenia przez samochód bez tablic przed własnym domem, ponadto grożono mu zgwałceniem matki i trzy razy niegroźnie go pobito. „Pamięć, prawda, sprawiedliwość”: od jego wyjścia z więzienia Abuelas w niczym nie zmieniły swojej metody nękania. Żadna groźba, ustawa czy dekret nie zmusiłyby ich do rezygnacji: bo teraz one były młynami historii.

\*

Lato dobiegało końca i falę upałów, które od miesiąca wisiały nad miastem, naraz przepędził silny wiatr: po zapadnięciu wieczoru strumienie wody lunęły na avenida de Mayo, przeganiając sprzedawców losów loterii z chodników pod kioski z gazetami.

Przemoczeni turyści stali w kolejce przed Café Tortoni mimo późnej pory. Rubén obsztorcował broniącego wejścia szpakowatego odźwiernego, który pod parasolem w nienagannej liberii podprowadził go do ciężkich drzwi z mosiężnymi klamkami. Tortoni był najstarszym barem w Buenos Aires: Borges miał tam ciągle swój stolik, a Gardel posąg pod wypucowanymi witrażami. Stłumiony gwar klientów kontrastował z koncertem talerzy, które odstawieni kelnerzy wynosili do kuchni. Rubén szedł przez salę

o przepychu z innej epoki, ociekając wodą, która wsiąkała w gruby dywan. Przez szybę salonu dla palaczy dojrzał dobroduszną twarz Carlosa. Na powitanie serdecznie uścisnął przyjaciela.

Carlos Valkin, wywodzący się z żydowskiej rodziny, która uciekła z Ukrainy przed pogromami, walczył w szeregach Montoneros, organizacji rewolucyjnej o ideologii peronistowskiej. Aresztowano go w 1975 roku (wtedy zatrzymań dokonywano jeszcze zgodnie z prawem) w siedzibie gazety, w której wówczas pracował, uratowały go jednak protesty Daniela Calderóna i innych artystów oraz znanych osobistości. Carlos schronienia poszukał za granicą. Nie był montonerem od wojny o Malwiny, kiedy to w obliczu patriotycznego szaleństwa i pod pretekstem brytyjskich zapędów imperialistycznych kierownictwo działającej w podziemiu organizacji próbowało rekrutować żołnierzy, by walczyli pod dowództwem tych, którzy ich do tej pory zabijali. Ot, takie rozczarowanie pokoleniowe, choć nie przygasiło jego pragnienia sprawiedliwości: Carlos zrezygnował z walki zbrojnej, lecz nie z polityki, ponieważ obecnie był dziennikarzem śledczym w „Página 12”. A to w Argentynie zajęcie niebezpieczne.

Rubén pracował z nim dla centrolewicowego dziennika. Razem w barach naprawiali świat nocami, w porze, gdy rozpacz puszcza się z dymem, gadali o kobietach i miłości, o dawnych czasach, a zwłaszcza o tych, które nadejdą. Sześćdziesięcioletni Carlos żył jak trzydziestolatek, jego uśmiechniętą twarz zdobiła krótka siwa broda, ducha w sobie miał niewzruszonego mimo potwornych doświadczeń, a oczy błękitniejsze od nieba łakomie spoglądały na świat.

Ściany saloniku dla palaczy, cudownie pustego, udekorowano starymi obrazami. Zamówili butelkę malbecu i dwa *bife de lomo*,

gadając o tym i owym. Ponieważ stary rytuał nie pozwalał dzielić się złymi wieściami, póki się nie najedzą, poczekali, aż kelner ich obsłuży, po czym przystąpili do konsumpcji.

Kultura McDonalda w ogóle się nie przyjęła w Argentynie, gdzie mięso bydła żywionego świeżą trawą na pampie stanowiło nieodłączną część tradycyjnego *asado*, niedzielnego grilla. Będąc smakoszem mięsożernym z natury, Carlos psioczył, że od niedawna najlepsze kawałki, wołowinę premium, przeznacza się na eksport.

– Zobaczysz, kiedyś nasze krowy też przeniosą przymusowo! – wieszczył, celując widelcem w rokokowy sufit.

– Niby gdzie? Do Indii? – zaśmiał się Rubén.

– Żartuj sobie, żartuj... Za nasze najlepsze czerwone wina płaci się jak za zboże, białe zalatują wanilią, nawet nasze kobiety się zbiesiły!

– Mnie tam wszystko jedno: czy siedzą w domu, czy latają po świecie... – stwierdził Rubén, kończąc mięso. – A właściwie, dalej jesteś z tą swoją... Alex?

Spytał o nią, bo przez całe lato się nie widzieli.

– Nie – odparł Carlos z nutką tęsknoty w głosie. – Nie, biedulka miała mnie dość. Ale znalazłem sobie wdówkę, taką jedną Niemkę. Bardzo fajna. Inteligentna, bogata, seksowna... znaczy na ile sześćdziesiątka może być seksowna – mówił z zapałem kochliwy dziennikarz. – Ach! Ruth! „Czar poznania byłby niewielki, gdyby na drodze do niego nie trzeba było tyle pokonywać wstydu” – wyrecytował z uczuciem w oczach.

– A to czyje? Goethego? – spytał Rubén.

– Nietzschego. Ale przetłumaczone na nasze, rozumiesz – uściślił Carlos.

– Aha!

– A ty, draniu, dalej żadnej nie masz? Nie?... Ech! – prychnął na widok wzruszenia ramion przyjaciela. – Tak to jest z takimi jak ty psami na baby!

– Jedna na raz wystarczy – rzekł Rubén.

Carlos nie miał pewności, czy Rubén żartuje, lecz jako stuprocentowy facet przyjął, że tak.

Para starszych Amerykanów w kraciastych szortach zajrzała do saloniku dla palaczy. Rubén zapalił papierosa, kiedy Carlos zabierał się do deseru.

– No dobra – powiedział – raczej nie chciałeś się ze mną widzieć, żeby gadać o kobietach.

– Właściwie tak...

Carlos otarł usta papierową serwetką, zgniecioną rzucił na resztki tarty i z kieszeni kurtki wyjął zdjęcie cyfrowe, portret, który podsunął przyjacielowi. Rubén zobaczył twarz brunetki około trzydziestki o zamglonym spojrzeniu osoby, która myśli o czym innym przed obiektywem aparatu. Włosy kręcone, raczej ładna...

– Znasz ją? – zapytał Carlos.

Rubén pokręcił głową.

– Nie.

– Maria Victoria Campallo. Wczoraj zostawiła mi wiadomość w gazecie, że zadzwoni. Ale się nie odezwała. Parę razy ja dzwoniłem, bez skutku. Zaszedłem do niej i pocałowałem klamkę. Maria Victoria jest fotografem – wyjaśnił.

– Jaką wiadomość zostawiła?

– Tylko że chce się ze mną pilnie zobaczyć. Byłem w terenie, wiadomość odsłuchałem dopiero dziś rano.

Rubén trochę bardziej zadymił salonik.

– I w czym problem?

– Maria jest córką Eduarda Campalla, tego biznesmena. Jak wiesz, niedługo w mieście są wybory. Campallo to główny sponsor kampanii burmistrza Torresa. Nie mam pojęcia, czy to się jakoś wiąże, ale córka Campalla na pewno zna barwy naszej gazety.

Jego przenikliwe oko błyszczało za kłębem dymu cygaretki, którą zapalił, czekając na odpowiedź przyjaciela.

– Zostawiła ci numer komórki? – spytał Rubén.

– Nie. Dzwoniła z *locutorio*.

Czyli z rozmównicy publicznej.

– Campallo rzadko się pokazuje z Torresem – ciągnął Carlos – wspiera jednak finansowo jego kampanię. Zaczynał od budowlanki w latach siedemdziesiątych, kiedy przejął interes po ojcu, mocno rozwinął firmę, a potem się obłowił na przetargach w czasach prywatyzacji. Od tej pory sypie groszem naokoło, poczynając od swoich politycznych przyjaciół. Zasila też związki i wazeliniarzy, którzy się kręcą przy Casa Rosada, lobbystów... W pewnym sensie inwestuje – ironizował, aby ukryć rozgoryczenie. – Dawno mamy go na celowniku, ale to gruby zwierz. Nie wiem, czego chciała ode mnie jego córka, nie wiem, czemu w końcu się nie odezwała, przyznaj jednak, że u progu kampanii wyborczej skojarzenia same się nasuwają.

Rubén wpatrywał się w niego badawczo.

– Czemu mi o tym opowiadasz?

– Bo jesteś detektywem – odparł Carlos z dwuznacznym uśmiechem.

– Zajmuję się zaginionymi i ich dziećmi – przypomniał Rubén – a nie bogaczami.

– Maria Victoria należy dziś do zaginionych...

Rubéna wyraźnie to nie przekonało.

– Skoro dzwoniła z rozmównicy – zauważył – może komórka jej padła, może wyjechała na reportaż albo w podróż poślubną.

Carlos potrząsnął siwą czupryną.

– Nie. Pogadałem z dozorcą budynku, nie widział Marii Victorii od dwóch dni, a w korytarzu pod drzwiami mieszkania miauczał jej kot. Dozorca wziął go do siebie, póki jego pani nie wróci, ale ona się rozplynęła w powietrzu... Rubén, nic nie mam na poparcie swoich przypuszczeń, chyba że ty coś wywąchasz.

Rubén przyglądał się przyjacielowi.

– Pieniądze, polityka, władza... Kazesz mi się grzebać w gównie – podsumował.

– Tylko ty się w nim nie ubabrasz.

Rubén pokręcił głową – gadanie.

– Maria Campallo nie daje znaku życia – nalegał Carlos z powagą w głosie. – Może się ukrywa, może poradzono jej, żeby zniknęła, zmieniła klimat... sam nie wiem. Pomóż mi ją odnaleźć.

Siwy dziennikarz zgniótł niedopałek w marmurowej popielniczce. Stożące na starym drewnianym blacie szklanki były puste.

– Potrzebowałbym więcej informacji o Campallu – westchnął Rubén. – O jego córce też... Nic o nich nie wiem.

Carlos wyjął z kieszeni szarą kopertę.

– Tu masz wszystko – powiedział.

Buenos Aires – skupisko budynków, brukowanych dróg, marmurów, żelastwa i śmieci, centrum rewolucji południowoamerykańskiej, dla którego pucz był jakby drugą naturą, peronistyczne wyniosłe miasto kultury wiedziało, że jego złoty wiek minął i już nie wróci.

Teraz przed wieżowcami w centrum błąkały się obdarte wyrostki, bezdomni spali na ulicach i w parkach na rozłożonych kartonach,

grzebali w śmietnikach, przesiadywali na chodnikach, po calle Florida i na skrzyżowaniach krążyli ludzie obwieszani planszami reklamowymi, zdezelowane taksówki, nie zawsze legalne, wolno przemierzały zasmrodzone spalinami arterie, sklepy ze starzyzną w San Telmo pełne były minionej świetności – sprzętów, sreber i prawdziwych rodowych klejnotów, które tuczyły żywiołową nostalgię. Gigantyczne kina przy głównych ulicach ustąpiły miejsca franczyzowym interesom albo bulwarom o bezosobowym luksusie, a chociaż kultura małych knajpek przetrwała, zaporowe ceny centrum miasta trzymały Porteños na dystans; banki i wielkie międzynarodowe firmy obrobiły politycznego trupa kraju i odpłynęły, pozostawiając plwocinę na lustrzanych szybach biurowców.

Uprawiano tu zatem naturalnie i bez umiaru sztukę znieważania; mury stolicy przesiąkły gniewem, lecz bijący od nich zapach wygnania nie przeszkadzał starym i młodym parom całować się namiętnie na ulicy, bez wstydu i ceregieli, jakby ci ludzie zaklinali los, który uwziął się na Argentynę. Mieszkańcy Buenos Aires mieli skórę i serca białe jak żelazo, które naznaczyło ten wiek.

Dzielnice San Telmo, w której mieszkał Rubén, klasa średnia opuściła po epidemii żółtej febry: dziś chwasty wyrastały z murów budynków o odpadających tynkach i na balkonach z kutego żelaza. Ten bastion biedoty w południowej części centrum władze miasta próbowały przywrócić do świetności w okolicach plaza Dorrego, jego barów i pchlego targu. Rubén Calderón mieszkał przy calle Perú w kamienicy w stylu art nouveau, której staromodny urok bardzo mu odpowiadał – posadzka z szarego marmuru, boazerie z epoki, klamki i wanna z 1900 roku. Przeszklona ściana z niebieskawymi



refleksami wychodziła na wewnętrzne podwórze, kuchnia była ślepa, za to z okna sypialni widziało się róg calle San Juan.

Deszcz ustał, kiedy detektyw pchnął pancerne drzwi agencji; szarą kopertę położył na niskim stoliku, w salonie pełniącym rolę biura otworzył okno, by wywietrzyć zastały smród dymu papierosowego, i przygotował sobie koktajl. Pisco, sok z cytryny, cukier, kurze białko, lód: mocno wytrząsł wszystko w shakerze, po czym przelał do kieliszka. Pisco sour, efekt stymulujący gwarantowany. Nastawił kupione poprzedniego dnia CD grupy Godspeed You! Black Emperor i łyknął koktajlu, patrząc na niebo nad dachami przy akompaniamencie zmysłowych lamentów gitar.

Z biegiem lat biuro agencji zajmowało coraz większą część mieszkania, aż przestrzeń prywatna ograniczyła się do sypialni w głębi korytarza. Rozwój informatyki pozwolił zmniejszyć liczbę segregatorów, poszerzyć pole poszukiwań i krzyżowo porównywać źródła – bank DNA zidentyfikowanych zaginionych, pochodzenie zbiegłych lub ułaskawionych oprawców, zeznania świadków – z kartotekami Matek z Plaza de Mayo, które Elena uaktualniała na bieżąco, i Babć z Plaza de Mayo, które skupiały się na poszukiwaniu dzieci osób zaginionych. Rubén utrzymywał agencję z honorariów swego ojca wciąż wydawanego za granicą, z tego, co klienci mogli zapłacić, oraz z prywatnych datków i kwot wydzieranych czasem dawnym prześladowcom. W każdym razie pieniądze go niespecjalnie interesowały – człowiek traci jedynie czas na liczeniu, ile mu brakuje, a on bezspornie miał tylko czyste straty.

Wilgotne powietrze na zewnątrz przeganiał wiatr, który zawiewał aż do niego. Rubén odstawił kieliszek na stolik, usiadł na kanapie w stylu lat sześćdziesiątych naprzeciwko biblioteki

zapchanej książkami i rozerwał szarą kopertę.

Carlos był odpowiednim człowiekiem do rozgryzienia finansowych powiązań i odgałęzień imperium Campalla: z wykształcenia specjalista ekonomii politycznej, należał do grupy nacisku złożonej z jurystów, intelektualistów i adwokatów domagających się powołania państwowej komisji (podobnej do CONADEP-u), która miałaby postawić przed sądem odpowiedzialnych za zrujnowanie Argentyny w czasie kryzysu 2001–2002 roku. Grupa Carlosa winą obarczała szczególnie właścicieli ziemskich, którzy kontrolując główne źródło dewiz w kraju, blokowali dolary otrzymane za wyeksportowane towary i ukrywali rzeczywiste przychody, aby zapłacić niższe podatki. Oligarchowie ci powiązani z finansjerą wywieźli ogromne nadwyżki kapitałów za granicę, spekulując przeciwko peso i własnemu krajowi, aż wycyckali go do cna.

Eduardo Campallo należał do tych, którzy zręcznie potrafili się w porę wycofać. Z wykształcenia inżynier i urbanista, kształcił się w Stanach, potem przejął stery w rodzinnej firmie, gdy przedwcześnie zmarł jego ojciec – można powiedzieć, że przy pracy. Eduardo kierował Nuevos, firmą budowlaną w Buenos Aires, od roku 1975. W następnym roku wojskowa władza zleciła mu zrównanie z ziemią slumsów w centrum i postawienie nowych budynków. Gigantyczny plac budowy pozwolił rozwinąć skrzydła młodemu przedsiębiorcy, a przy okazji zaowocował kontaktami. Martínez de Hoz, minister finansów dyktatury i następnych rządów (de Hoza przechrzczono na Hood Robina, bo grabił biedaków, by dawać bogatym), ukończył w Stanach tę samą szkołę wyższą co Campallo. Łączyła ich zwykła znajomość po linii? Nuevos, które z czasem stało się STG, a potem Vivalią,

czterokrotnie zwiększyło obroty w czasach dyktatury, a za Menem dosłownie eksplodowało. Kontynuując politykę nieangażowania się, państwo upłynniało wtedy tereny uzbrojone w centrum Buenos Aires, Campallowi zaś powierzyło wybudowanie na nich centrum biznesowego. Wzrost wartości: dwieście procent. Taką samą operację przeprowadzono dwa lata później z luksusowymi rezydencjami w Puerto Madero i z przebudową starych doków na lofty – rekordowe również tutaj zyski wyniosły Campalla do grona tuzów gospodarki. Prowizje, transfer kapitału do banków zagranicznych za pośrednictwem firm-słupów, fałszerstwa i wykorzystywanie fałszerstw – Carlos i jego koledzy podejrzewali, że Eduardo Campallo solidnie futrował polityków mających coś do powiedzenia w sprawie tych interesów w zamian za ich życzliwość.

Później Campallo zdywersyfikował swoją działalność, inwestując w media i telekomunikację – miał kilka dzienników, tabloidy i pisma karmiące się sensacją, prywatne radio oraz udziały w kilku sieciach kablowych. Krach roku 2001 spowolnił ekspansję imperium Campalla w centrum stolicy, ale nie w prowincji Buenos Aires, najgęściej zaludnionej w Argentynie: Vivalia zbudowała między innymi superbezpieczne osiedle Santa Barbara, otoczoną murem „wioskę” położoną pięćdziesiąt kilometrów od miasta, połączoną nitką dojazdową do międzynarodowego lotniska do wyłącznego użytku rezydentów, z uzbrojoną ochroną, terenami sportowymi, służbami miejskimi, terenami zielonymi... Campallo obracał się wśród elit kraju, w którym nie brakowało chętnych do współpracy. Niektórzy stali się naturalnie jego przyjaciółmi, jak choćby burmistrz Buenos Aires Francisco Torres.

Rubén dopił pisco sur. O ile Carlos zdobył niemal komplet informacji o biznesmenie, o tyle na temat jego rodziny niewiele

wygrzebał. Eduardo Campallo ożenił się w 1974 roku z Isabel De Angelis wywodzącą się z miejscowej bogatej burżuazji. Licząca obecnie pięćdziesiąt dziewięć lat, katoliczka, matka dwojga dzieci – Marii Victorii i młodszego o dwa lata Rodolfa – Isabel Campallo udzielała się w różnych przedsięwzięciach charytatywnych nie mających związku z działalnością męża. Posiadaczka dużego majątku osobistego. Ich syn Rodolfo pracował jako prezenter w prywatnej stacji radiowej należącej do ojca, Maria Victoria jako fotografka. Często wyjeżdżała, powiedział dozorca, który karmił wtedy jej kota. Co kot robił w korytarzu? Carlos dołączył do materiałów zdjęcie Marii Victorii, jej adres i kod umożliwiający wejście do budynku.

Rubén ubrał się na czarno i przygotował sprzęt.

\*

Najpierw młoda cyganeria opanowała Palermo, za nią pojawiły się markowe butikie, topowe bary i restauracje, które uszczęśliwiały turystów i spekulujących nieruchomościami. W ten sposób dokonał się podział dzielnicy na dwie części: Palermo Viejo i Hollywood – tę część tak nazywano, odkąd przenieśli się do niej artyści i ludzie kina.

Calle Nicaragua 1255, godzina trzecia nad ranem. Krzykliwie pomalowany autobus z chromowanymi elementami przejechał w oddali jak bajkowy statek przemierzający noc. Rubén przydeptał niedopałek na chodniku z nierównych marmurowych płyt i wstukał kod w wejściu do budynku. W sieni nie było windy ani żywego ducha; minął portiernię z zaciągniętymi zasłonkami i wszedł na schody, którymi wspinał się na trzecie i ostatnie piętro. Po sąsiedzku grała muzyka. Obejrzał zamek, z zestawu wytrychów wybrał

właściwy i manipulował nim, póki ciche szczęknięcie nie oznajmiło, że drzwi stoją otworem. Bezszelestnie wszedł do loftu Marii Victorii, pierwsze kroki skierował do przebijającego z zewnątrz światła, zaciągnął zasłony na oknie od ulicy i zapalił lampy w mieszkaniu. Było przestronne, nowoczesne i urządzone niewyszukanie: kuchnia z salonem, dwie długie czarne kanapy ozdobione kolorowymi poduszkami, stół z uchylnym blatem pod wysoką przeszkloną ścianą i studio fotograficzne urządzone za parawanem – lampy parasole, reflektory, białe tło... Rubén zrobił kilka kroków po ciemnym parkiecie: na sznurku rozciągniętym w rogu pomieszczenia wisiało dwanaście zdjęć przypiętych klamerkami do bielizny. Na pewno ostatnio zrobione odbitki. Poznał nieobecny wzrok ładnej brunetki o kręconych włosach – autoportret Marii Victorii z milutką wytatuowaną jaszczureczką, która wspinała się pod uchem – inne fotografie, z estrady, przedstawiały piosenkarza rockowego; ogolona głowa, umalowane na czarno oczy, wyszukane pozy coś Rubénowi mówiły... Smartfonem pstryknął im zdjęcia, naciągnął gumowe rękawiczki i zajrzał do kącika z biurkiem.

Nad lampą w stylu vintage wisiała maksyma: „Nie tworzyć modeli życia, lecz życia modelowe”. Zobaczył sterty materiałów prasowych, przypięte do ściany fantazyjne pocztówki, duży plakat, na którym wysoka naga blondynka na szpilkach patrzyła prosto w obiektyw, dwie popielniczki bez niedopałków, za to z wizytówką miejscowego szewca, skrzyneczkę w stylu peruwiańskim pełną kawy ziarnistej, a pośrodku biurka chyba miejsce na laptop... Rubén oglądał mieszkanie, chłonał jego atmosferę.

Jedzenie w lodówce, świeże zakupy, ubrania w pralce... wiele wskazówek może podważyć hipotezę ucieczki albo samobójstwa.

Zajrzał do szafek kuchennych, do lodówki. Zaczęta butelka soku owocowego, resztki przygotowanych posiłków, kilka jajek i jogurty sojowe – to wszystko szybko się psuje. I niewiele mu powiedziało. Zabytkowy polaroid stał na komodzie koło telefonu stacjonarnego. Rubén włączył odsłuchiwanie automatycznej sekretarki: mechaniczny głos powiadomił o pozostawionej wiadomości nagranej w południe – niejaka Miss Bolivia dziękowała za zdjęcia... Rubén zanotował dane. Przy telefonie nie znalazł notesu z adresami ani kalendarza. Szybko przerzucił rachunki ułożone w teczce, wziął ostatnią fakturę za komórkę i na wszelki wypadek wybrał jej numer: połączenie niemożliwe do zrealizowania. Czyżby Maria wyłączyła telefon? Poszedł na piętro pełen wątpliwości, powstrzymał się przed zapaleniem papierosa.

W sypialni łóżko było posłane, leżały na nim rzucone w poprzek ciuchy. Ani śladu laptopa. Najwyraźniej Maria go zabrała, wychodząc. Skierował się do przyległej łazienki, otworzył apteczkę: słoiczek tabletek nasennych, anksjolityk, poza tym kosmetyki. Nie znalazł żadnej recepty. Wrócił do sypialni, zaglądał kolejno do szuflad w szafce nocnej – różne drobiazgi, prezerwatywy, krótki chromowany sztuczny penis, żel rozgrzewający, kilka pism fotograficznych, torebka marihuany zapachowej częściowo zwiędzalej, w drugiej jakiś proszek... Nabrał odrobinę na palec, skosztował: kokaina. Podłej jakości. Wszystko można było dostać w Buenos Aires, w szczególności kokę, aczkolwiek bliskość Kolumbii nie wpływała na osłabienie posmaku benzyny. Zostawił komódkę, otworzył szafy, naliczył ze dwadzieścia par butów. Dokładne przeszukanie zakietów, kurtek i spodni nic nie dało, podobnie jak ubrań zostawionych na łóżku. Schylił się i na poduszce zobaczył trzy splątane włosy, długie, kręcone, podobne do

włosów fotograficzki. Schował je do woreczka foliowego, po czym zszedł na dół kręconymi schodami.

Po drodze zabrał z popielniczki wizytówkę szewca, w przedpokoju wyjął z pralki wygniecione ciuchy. Nie zostały jeszcze uprane. Sprawdził kieszenie i w tylnej dzinsów znalazł wygnieciony kawałek opakowania papierosów z nabazgranymi ołówkiem słowami „Ituzaingó 69”...

Już pół godziny tu spędził. Po raz ostatni obrzucił wzrokiem loft. Trudno powiedzieć, czy przed nim ktoś przeszukał mieszkanie, czy Maria wybiegła stąd w popłochu. I dlaczego nie dawała znaku życia? Nie zauważył na zamku zadrapań, nie włamano się zatem do środka, coś jednak mu tu nie pasowało, chociaż nie potrafił tego określić. Przed wyjściem zajrzał jeszcze do ubikacji – kuweta kota była brudna – i zauważył dziwną kolekcję wisiorków na wprost drzwi, artystycznych kompozycji z plastiku zamocowanych na sznurku. Jej specjalność, można by powiedzieć. Coś w rodzaju zabawnych ready-made: „Oczy mam wyżej”, „Najpierw masa, potem rzeźba”, „Adihash”, „Punkboy”, „Dawca orgazmów”, niektóre były podpisane, inne nie... Wtem wpadł mu w oko test ciążowy zawieszony na drzwiach toalety.

Wynik testu był pozytywny.

## 4

Rubén nie miał kota. Wiecznie po nim skakały, tarzały się w jego ciuchach, jeśli przypadkiem zostawił je na wierzchu, ocierały się o niego pyszczkiem, szukając pachy, a on w sumie wolał towarzystwo kobiet, choćby epizodyczne. To, że nigdy z żadną nie mieszkał, nie przeszkadzało mu roić o kobietach ani pragnąć nowych przygód: po prostu nie trwały długo i już. Minęły lata, zanim psychicznie doszedł do siebie po miesiącach spędzonych w więzieniu. Równowaga była krucha, bardzo niepewna, ale co tam. Rubén żył w jaskini pełnej archiwów, twarzy, które gdzieś znikły, zbyt grubej warstwy nagromadzonego kurzu, teczek z aktami, trupów między kartkami i na ścianach – żył w klatce, z której wyglądał na przechodzące kobiety. Żadna nie zatrzymała się na dłużej, a raczej on żadnej nie zatrzymał, to nie było to samo, lecz dla niego wychodziło na jedno: mówił sobie, że dla faceta w wieku czterdziestu siedmiu lat jest za późno. Nie oczekiwał niczego szczególnego i jego samotność nikogo nie potrzebowała. Czas przelotnych znajomości z kobietami minął, wiersze ojca, które miał w małym palcu, na nic się nie przydawały, skazany był na milczenie, na nicość, słowa już dawno go zdradziły, gwiazdy miały to gdzieś.

Trwał w pustce. A jeśli chodzi o poszukiwanie bratniej duszy, to



już ją znalazł, była zamknięta w szafie koło łóżka, w którym nigdy nie spała żadna kobieta...

Włożył do odtwarzacza płytę Ufomammuta, by zagłuszyć hałas dolatujący z systemu wiaduktów nad skrzyżowaniem San Juan, przewietrzył pokój, w którym się obudził, i zjadł śniadanie: kawa plus rogalik plus papieros, które po zbyt krótkiej nocy z trudem postawiło go na nogi. Nie dawała mu spokoju ta historia z kotem: skoro dozorca znalazł zwierzę miauczące pod drzwiami, znaczy, że Maria Victoria wypuściła je z mieszkania, by ktoś się nim zajął – a to by z kolei znaczyło, że uciekła, nie poprosiwszy dozorcę o opiekę – albo kot się jakoś sam wydostał... Jak? Okna w lofcie były pozamykane, zwierzak mógł tylko uciec przez uchylone drzwi. Może się wystraszył najścia kogoś nieznajomego?

Wesolutkie wróbelki ćwierkały za oknem, przywiezione tu z Francji urocze potworki, które wypędziły miejscowe kalandrie. Rubén wysypał im okruszki po śniadaniu, wziął prysznic, po czym ułożył sobie w myślach listę tropów:

- wiadomość na sekretarce zostawiona z komórki poprzedniego dnia („Miss Bolivia”);
- zdjęcia piosenkarza rozwieszane na sznurku;
- zmięty skrawek papieru w dzinsach wrzuconych do prania z notatką, która wyglądała na adres („Ituzaingó 69”);
- wizytówka miejscowego warsztatu szewskiego;
- trzy włosy na poduszce;
- rachunek za telefon z poprzedniego miesiąca;
- trochę dragów w szafce nocnej – marihuana, kokaina;
- brak komputera, kalendarza, notatnika;
- test ciążowy z wynikiem pozytywnym.

Wracając z mieszkania Marii Victorii, Rubén wrzucił test

i torebkę z włosami do skrzynki na listy Centrum Antropologii Sądowej, dołączając kilka słów wyjaśnienia dla Raúla Sanza, który kierował zespołem przeprowadzającym badania. Wynik będzie pod koniec dnia, jak poinformowano go esemesem... Było południe. Najpierw zadzwonił pod numer zachowany na automatycznej sekretarce Marii Victorii, czekał. Miss Bolivia nie odbierała, zostawił jej więc wiadomość w poczcie głosowej, po czym zaczął grzebać w internecie.

„Ituzaingó 69”: wyszukiwarka dała dziesiątki odpowiedzi, poczynając od słynnej bitwy wojsk argentyńskich i brazylijskich, która miała zdecydować o losie Urugwaju, poprzez miasto w prowincji Corrientes, grupę grającą rock garażowy i kilka adresów w Wielkim Buenos Aires. Adresy Rubén zanotował, po czym wszedł na stronę internetową fotograficzki, która systematycznie ją aktualizowała. Maria Campallo jeździła za artystami na trasy koncertowe albo plany filmowe, co tłumaczyło jej liczne podróże. Spisał muzyków, z którymi pracowała: ostatni, dość banalny piosenkarz popowy, który robił furorę w Ameryce Łacińskiej, grał miesiąc wcześniej w Santa Cruz, potem z zespołem pojechał w trasę po Kolumbii... Surfując po witrynie, Rubén natknął się na twarz człowieka, którego zdjęcia wisiały w atelier. Data koncertu świadczyła, że fotografie zostały zrobione pod koniec listopada w czasie festiwalu rockowego w Rosario. Komplet z czarnej skóry, buty z cholewami, fryzura napomadowanego ogiera, podkreślone czarną kredką obłąkane oczy, parę kilo nadwagi, lecz bezsprzecznie otaczała go aura pośród wrzasków fanów, których musiał mieć na pęczki: Jo Prat, tak brzmiało nazwisko wampira, byłego lidera Desaparecidos, nie do poznania w tym makijażu i z nadwagą. Rubén zadzwonił do Pilar, koleżanki

prowadzącej strony kulturalne w „Clarínie”.

Pilar Dalmontes lubiła się bzykać z mężem, ale także z innymi facetami. Odebrała po trzecim dzwonku.

– Kopę lat, draniu! – przywitała go, zobaczywszy informację na wyświetlaczu.

– Miło, że mnie pamiętasz.

– Wolałabym zapomnieć – przyznała Pilar, wyraźnie w dobrej formie w porze obiadowej. – Ale wiesz, jaka jestem...

– Cudowna.

– Lizus! Nie mów, że znalazłeś dla mnie godzinkę.

– Minuta może być?

– Przy takiej taryfie nie wiem, czy na coś ci się przydam.

– Potrzebowałbym kontakt – wyjaśnił Rubén. – Z Jo Pratem.

Masz może jakieś namiary?

– Hm, lubię, jak mówisz takim aksamitnym głosem – ironicznie rzekła dziennikarka. – Czego chcesz od niego, Nosferatu?

– Wnieść w jego życie promyk słońca.

– A twoje jak leci?

– Super.

– Nigdzie cię nie widuję, nocny marku. Masz coś przeciwko bliźnim? Mężatkom?

– Przeciwnie. To jak?

Pilar szukała w adresowniku.

– Gurruchaga trzydzieści jeden osiemdziesiąt. Chcesz jego telefon czy mój wystarczy ci do szczęścia?

– Zgadnij.

– Mam tylko stacjonarny.

– Poradzę sobie. Nie wiesz, czy Prat jest teraz w mieście?

– Zdaje się, że jest w programie festiwalu w Lezámie

w przyszłym tygodniu.

– OK.

Rubén zapisał numer telefonu, podziękował królowej plotek, która udawała, że się do niego mizdrzy, i od razu zadzwonił do piosenkarza. Włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawił swoje nazwisko i namiary, prosząc Prata, aby pilnie się z nim skontaktował. Za oknami salonu niebo wciąż było zaciągnięte. Odgrzał resztkę paelli, potem wybierał kolejno numery widniejące na rachunku telefonicznym Marii Campallo – wszystko kontakty urzędowe lub zawodowe, które nic mu nie dały. Podobnie jak zakład szewski zamknięty tego dnia i nazajutrz – szewc, niejaki Gonzalez, miał wolne w poniedziałki. Niewiele z tego wszystkiego wyszło. Odezwała się w końcu Miss Bolivia.

Uprzejma młoda kobieta umówiła się z nim w Trastiendzie, lokalu niedaleko miejsca, gdzie trwało nagrywanie materiałów promocyjnych jej albumu. Ona także była piosenkarką: Rubén znalazł jej profil na Facebooku, zapisał sobie informacje. Na zewnątrz zanosilo się na burzę. Wiatr wygonił wróble z parapetu okna. Kiedy Rubén wyszedł z agencji, z nieba lały się strugi wody.

Kryte targowisko w San Telmo nie przyciągało tłumów sklepikami, które na wystawach eksponowały przedpotopowe spodnie, straganami ze starzyzną i zapyziałymi kramami z wyrobami kowalskimi. Na plaza Dorrego kilku dziadków przygrywało na skrzypcach, dorabiając do emerytury obciętej przez Menema. Nie ruszała ich ulewa, która dała się we znaki stoiskom wędrownych sprzedawców i handlarzy starzyzną. Rubén przeszedł przez plac, po którym dreptali turyści, kryjąc się pod plastikowymi wiatami, i znalazł Miss Bolivię przy kontuarze Trastiendy, jednej z wielu kawiarni z muzyką w tej dzielnicy.

Miała głos etnicznej żywiolowej raperki, metr czterdzieści pięć wzrostu ginące w szortach, grube buty sportowe na sprężynującej podeszwie. Miss Bolivię otaczało sześć fanek, laleczek lesbijek, które nie odstępowały jej na krok. Porozumienie nawiązało się natychmiast. Rubén postawił wszystkim colę. Raperka potwierdziła, że poprzedniego dnia dzwoniła do Marii w sprawie okładki następnego albumu. Mała Boliwijka nie widziała jej od sesji, która się odbyła dziesięć dni wcześniej, była wtedy końcówka wakacji, wszyscy chodzili trochę niepozbierani. W każdym razie Maria Victoria nie była jej przyjaciółką od serca, widywały się jedynie w pracy. Nie wiedziała, czy fotograficzka ma stałego faceta ani co porabia nocami, czy interesuje się polityką, astrofizyką czy pielęgnacją psów.

– Mogę tylko powiedzieć, że Maria jest hetero – oświadczyła Miss Bolivia.

Laleczki zachichotały za ich plecami. Rubén wyszedł z baru z płytą raperki.

Cycate dziewczyny prężyły biust jak panienki z ulotek podłej jakości: Rubén pozbył się dziesięciu naganiaczy, którzy działali na plaza Dorrego, i wrócił do domu. Kiedy wchodził przemoczony niemal do suchej nitki, zadzwonił Jo Prat.

\*

Jo Prat stworzył swój zespół rockowy na początku lat osiemdziesiątych, gdy wojskowi musieli trochę odpuścić wskutek nacisków społecznych. Los Desaparecidos powitali zwycięstwo demokracji na stadionie Obras Sanitarias na fali entuzjazmu tłumu żadnego zemsty:

*Milicos, hijos de puta! Qué es lo que han hecho con los desaparecidos?!*

*La guerra sucia, la corrupción son la peor mierda que ha tenido la nación!*

*Qué paso con las Malvinas?*

*Esos chicos ya no estan, no podemos olvidarlos y por eso vamos a luchar!<sup>[3]</sup>*

Ciąg dalszy już nie był taki chlubny: zespół rozgrzewał do białości sale koncertowe i festiwale przez cztery lata z rzędu, bez dnia odpoczynku, cały czas w stresie, tłumie ludzi i na haju, potem ego wzięło górę, zaczęły się kłótnie i alkohol. Kolumbijskie dragi i błyskotki lat rządów Menema dopełniły dzieła zniszczenia: burdy, depresja, odwyk... Jo Prat przebył kilka pustyń, na których tysiące razy wysychał. Rozczarowania i ciągi zebrane od ludzi, którzy jeszcze wczoraj głaskali go z włosami, sprawiły, że przycichł, spochmurniał i zgorzkniał – „Żar pod gołym niebem”, jak śpiewał w swoich piosenkach... Odważnie czy wręcz zuchwale Jo Prat w wieku lat pięćdziesięciu rozpoczął karierę solową albumem i trasą koncertową, w którą wyruszył w listopadzie, przed sezonem letnich festiwali.

Gurruchaga 3180, Palermo Hollywood. Brukowane ulice ocieniały platany o pniach pociętych miłosnymi wyznaniem. Dwa kwartały od plaza Cortazar słynącego z piwiarni, gigantycznych ekranów i niebotycznie drogich modnych butików, Jo mieszkał w dwupoziomowym białym domu z balkonem ukrytym w koronie drzewa gumodajnego.

Malarz wpięty w uprzęż malował okiennice sąsiedniego niedużego budynku przy wtórze przeraźliwego ujadania kundla. Rubén obrzucił wzrokiem zmęczoną twarz robotnika, kopniakiem

przepędził burka, rzucił papierosa do studzienki odpływowej i wszedł po schodach z marmuru patynowanego. Uprzedzony o jego przyjeździe piosenkarz zjawił się natychmiast.

Najnowszy Grinderman leciał w salonie apartamentu o wyrafinowanym designie, który kłócił się z ponurym wyglądem gospodarza: otyłego, o umalowanych oczach, w czarnych skórzanych

– Nie wygląda pan na prywatnego detektywa – zauważył, gdy Rubén wszedł do jego jaskini.

– Spodziewał się pan faceta w kapeluszu i z flaszką w kieszeni?

– Piję tylko zieloną herbatę – oświadczył stary rockman. – Ma pan ochotę?

– *Vamos...*

Na ścianie wisiał fender i sztychy, a na stole salonu japońskiego parowała ozdobna herbaciarka. Biały kot angorski, jak żywcem wyjęty ze starych filmów Walta Disneya, zeskoczył z fotela, z którego górował nad podłogą, i zaintrygowany przybyszem, a zwłaszcza jego włoskimi butami, obwąchał ich cholewki sumiennie, jak na zawodowego drapieżcę przystało.

– Ledzep – przedstawił go Jo Prat.

Zwierzak otarł się o buty, jakby chciał wypędzić z nich dzinna, po czym rozluźnił się nieco. Rubén poukładał sobie nogi pod japońskim siedziskiem, gdy gospodarz nalewał herbatę. Na stole poniewierał się inhalator. Ventolin.

– No więc? – zagaił piosenkarz.

Rubén wyjaśnił, z czym przyszedł, powiedział o telefonie Marii Victorii do redakcji „Página 12” i o tym, że od tamtej pory słuch o niej zaginął. W miarę jak mówił, twarz Jo Prata tężała, co wcale nie służyło jego podwójnemu podbródkowi.

Kot koniecznie chciał się wepchnąć na kolana Rubénowi, który z trudem siedział na japońską modłę.

– Widział ją pan ostatnio albo rozmawiał z nią? – spytał z twarzą w kocim futrze.

– Nie – odparł Jo. – A co, sądzi pan, że coś jej się stało?

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć... Mogę zapalić?

– Tylko bez dmuchania mi w twarz...

Ledzep nie ucieszył się z papierosa, ale pozostał skupiony na swoim celu.

– Maria opowiadała panu o sobie albo o swoich problemach? – ciągnął Rubén.

– W zasadzie nie... W trasie gada się głównie o pierdołach. Albo to, albo stres – dodał muzyk rzeczowo.

– Znalazłem u niej anksjolityki. Czy Maria ma skłonność do depresji?

– Ba...

– Chodzi na jakąś terapię?

– Jak każdy tutaj.

Buenos Aires – miasto z najwyższym odsetkiem psychoanalityków na świecie.

– Hm... A jakie są jej stosunki z rodziną?

Jo wzruszył ramionami.

– Normalne.

– Czyli?

– Z tego co zrozumiałem, rzadko widuje swoich starych.

– Wie pan dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Jej ojciec należy do grona najbogatszych w kraju – przypomniał Rubén.



– No właśnie, nie ma czym się chwalić – burknął rockman buntownik i ponownie nalał im zielonej herbaty.

– Maria coś do niego ma?

– Do ojca?... Ba, wiem, że jak była małolatą, miała okres fascynacji grunge'em czy gotykiem, ale to takie tam, nie było powodów do rzucania się z mostu. W dodatku w tym wieku każdy stawia się starym. Jej starzy może i śpią na kasie, ale Maria w fotografii znalazła swoją drogę i sposób na niezależność. I od starych, i od reszty świata.

– Samotnica?

– Raczej ktoś, kto potrafi podzielić życie na dwie części: z jednej strony prywatne, z drugiej zawodowe. To nas zbliża.

Za cenę ostrej walki z siłą grawitacji Ledzep znalazł równowagę na kolanach Rubéna. Zejdzie mu z godzinę, zanim się ułoży.

– Była zaangażowana politycznie? – zapytał detektyw.

– Chodzi panu o lewicę?

– Tak.

– A zna pan prawicowych artystów? – spytał Jo Prat z kpiną w głosie.

– Nikt nie jest doskonały – zgodził się Rubén, odsuwając puszysty ogon, który zasłaniał mu rozmówcę. – Ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Nie, jakoś szczególnie się nie angażowała. Tyle co przy robocie. To i tak dobrze – zauważył Jo. – A właściwie, Calderón, czemu nie spyta pan jej rodziców? Mnie się zdaje, że jeśli ktoś może panu pomóc, to chyba tylko oni, nie?

Według Carlosa, któremu udało się pogadać ze służącą Campallów, jej chlebodawcy mieli tego dnia wrócić z Mar del Plata. Rubén zgniótł papierosa w miseczce do sashimi, ostrożnie, by nie

przeszkodzić kotu.

– Mieszka pan w tej samej dzielnicy co Maria i nie widzieliście się od tygodni – zauważył.

– Od początku lata jestem w trasie – odparł piosenkarz. – Wpadam do domu między dwoma cyklami koncertów. I tak zresztą można powiedzieć, że nie widzujemy się poza pracą... Czemu o takie rzeczy mnie pan pyta?

Ledzep udawał nieżywego, toteż aby sięgnąć do kieszeni kurtki, Rubén musiał go przenieść na podłogę. Uruchomił galerię zdjęć w smartfonie i pokazał Pratowi fotografie znalezione w lofcie Marii.

– Zrobiła je pod koniec listopada – powiedział – w czasie pańskiego koncertu w Rosario. I co pan na to?

Piosenkarz skrzywił się, patrząc na wyświetlacz. Grymas ujawnił, że zaczynają mu obwisać policzki.

– Niezłe, co?

Zirytowany Ledzep z urazą patrzył na gościa.

– Po wywołaniu ich Maria nie skontaktowała się z panem?

– Powiedziałbym panu, gdyby to zrobiła.

– Chyba że ma pan coś do ukrycia.

– Mam dość roboty z ukrywaniem kałduna – ironicznie rzekł rockman.

– W szafce nocnej znalazłem u niej maryskę i kokę. Bierze?

– Jeśli bzykanie po ecstasy sprawia panu problem, pańska sprawa. Maria nie jest ćpunką – zapewnił Jo. – Od jakiegoś czasu wyczuwam takich na kilometr.

Jasne.

Rubén z drugiej strony stołu wpatrywał się w niego antracytowymi oczami.

– Można wiedzieć, czemu tak mi się pan przygląda?

– A temu, że Maria Victoria jest w ciąży – wypalił detektyw.  
Jo oniemiał na chwilę.

– W ciąży?

– W trzecim miesiącu, czego dowiodły badania – przytaknął Rubén. – Nie znam się na tym, ale moim zdaniem Maria chce donosić.

Piosenkarz zmarszczył brwi, aż czoło przecięły mu grube zmarszczki.

– Często sypiacie razem? – zapytał Rubén jak o coś oczywistego.

– Mniej więcej zawsze, kiedy się spotykamy – odparł Jo Prat bez mrugnięcia.

– Ostatnim razem pod koniec listopada w Rosario?

– Możliwe. Jeśli włącza mnie pan do grona potencjalnych ojców, to proszę pamiętać, że w ciągu trzydziestu lat jeżdżenia w trasy dorobiłem się pewnie z dziesięciu bękartów.

Rubén zapalił papierosa, już nie bawiąc się w uprzejmości.

– Widzę, że ojcostwo wzrusza pana do łez...

– Nigdy nie chciałem mieć dzieci, którymi nie mógłbym się zajmować – wyjaśnił Jo. – Resztę niech pan sobie dopowie. No i nie wspomnę, że w tym samym czasie Maria mogła sypiać z innymi.

– Badania dowodzą, że zaszła w ciążę pod koniec listopada, byliście wtedy razem przez tydzień, pana zdjęcia wiszą w jej mieszkaniu. Przykro mi to mówić, ale wszystko wskazuje na to, że dziecko jest pańskie...

Worki pod oczami Prata wydłużyły się nieco pod makijażem.

– Przypuszczam, że nie powiedziała panu, bo nie chciała robić pokątnej aborcji, gdyby pan nalegał – dodał Rubén.

W Argentynie nadal usuwanie ciąży było nielegalne. Jo Prat otrząsnął się z posępnych myśli.

– Myśli pan, że ciąża ma związek z jej zniknięciem?

– Nie wiem.

Na ulicy zawyła syrena. Wieść postawiła byłego gwiazdora na polu minowym. Przez chwilę siedział bezradnie przed wystygłą herbatą. Do głowy cisnęły mu się obrazy: uśmiech Marii, kiedy się bzykali w pokoju hotelowym w Rosario, szampan, którego ledwie skosztowała, on bez prezerwatywy – jak zwykle z kobietami, które dobrze znał – jej łagodna spokojna twarz na poduszce, gdy potem przytuleni ułożyli się do snu... Czy jakimś babskim sposobem Maria już wtedy wiedziała, że nosi jego dziecko? Zamierzała powiedzieć mu o tym?

W ciszy, która zapadła po tych rewelacjach, dobitniej zabrzmiał głos Nicka Cave'a z głośników. Jo podniósł głowę ozdobioną czupryną usztywnioną żelem.

– Co pan jeszcze wie, Calderón?

– Że ojciec Marii Campallo finansuje kampanię Torresa, że Maria zostawiła wiadomość opozycjnemu dziennikarzowi i później zniknęła bez śladu. Na razie tyle. Mniej więcej.

Wampir zbladł w świetle zmierzchu sączącym się przez żaluzje. Nawet jeżeli Maria ukryła przed nim tę ciążę, nawet jeżeli szukała w nim tylko reproduktora, wybrała jego. Nie mógł jej tak zostawić, zagubionej nie wiadomo gdzie...

– Dla kogo pan pracuje? – zagadnął detektywa.

– Dla nikogo.

– Myśli pan, że Maria zaginęła?

– Tak.

– Dlaczego?

– To właśnie próbuję ustalić...

Jo Prat wahał się chwilę. W końcu wstał bez słowa, zrobił krok

nad kotem rozłożonym na parkiecie i podszedł do sekretery przy wejściu. Wyjął coś z szuflady i wrócił do Rubéna ciągle uwięzionego na japońskim siedzisku.

– Tu jest trzydzieści tysięcy peso. Jako zaliczka... – Na stoliku wylądowała koperta. – Niech pan ją znajdzie – zakończył rockman. – Ją i tego cholernego dzieciaka.

---

[3] Wojskowi, skurwysyny! Coście zrobili z zaginionymi? Brudna wojna, korupcja, to najgorsze gówno, jakie otrzymał naród! Co się stało na Malwinach? Tych dzieci już nie ma, nie możemy o nich zapomnieć, dlatego będziemy walczyć dalej! spodniach mimo wilgotnego upału. Jo Prat przywitał go raczej chłodno.

## 5

W gazetach w krótkiej wzmiance napisano o znalezieniu niezidentyfikowanych zwłok przy starym promie w La Boce: mężczyzny w wieku około trzydziestu lat. I nic więcej. Barbarzyńskie okaleczenie, ślad wskazujący na zbrodnię na tle seksualnym, typ ofiary – wszystkie ohydne szczegóły sprawy pominięto milczeniem.

Jana wstała wcześniej, by kupić gazety, i od razu zadzwoniła na komisariat w La Boce, żądając wyjaśnień. Według gliniarza, z którym rozmawiała, śledztwo było w toku. Nie dowiedziała się, jak brzmi pełne nazwisko ofiary, czy powiadomiono rodzinę, czy policja przesłuchiwała świadków, czy odnalazła w okolicy torebkę Luz. Jana nie dawała za wygraną, aż w końcu gliniarz przy telefonie wkurzył się: jeśli wie o czymś ważnym dla sprawy, może się umówić z sierżantem Andrettim, inaczej nie ma po co dzwonić.

Potężne wietrzysko omiatało metalowe struktury w hali dawnego dworca Retiro. Była dziesiąta rano, Jana w zamyśleniu kończyła śniadanie, kiedy drzwi się odsunęły i stanęła w nich Paula.

Transwestyta miał na sobie kremową sukienkę i czarne pończochy, naszyjnik z opalizujących pereł i tapetę na twarzy nieświeżą po rundce po klubach.

– Cześć!

– Cześć, Jana. Już na nogach? – Pod jej obcasami zgrzytały drobiny szkła i betonu, którymi usiana była podłoga. Paula stanęła przed monumentalną rzeźbą. – Remont?

Wyspa Wielkiego Żółwia i terytoria autochtoniczne unicestwione staraniem Jany – jej największe dzieło.

– Chcesz piwo?

Paula zerknęła na resztki śniadania na barku, na tanie ciasteczka z ptasim mleczkiem zwane alfajor, przysmak dzieci, i poszła na całość:

– Nie masz kawy?

Deszcz znowu zaczął bębnić w dach. Jana poszła do kuchni, Paula zaś rozsiadła się na kanapach z peugeota 404 w „kąciku salonowym”. Odsłuchiwała wiadomość, którą Luz zostawiła jej na komórce w noc morderstwa. Powiedziała krótko: „Muszę z tobą pogadać o superważnej sprawie” i już, tylko w tle słyhać było jakąś muzykę.

– I co? – spytała Mapucze, odkręcając górną część włoskiej kawiarki.

– Obeszłam wszystkie bary, kluby, nocne knajpy i jebodromy – westchnęła siedząca beczynn timer Paula. – Nikt nigdzie nie widział Luz... Cholera, mam dość. – Wyjęła z torebki lusterko i sprawdziła makijaż. Nieciekawo.

– Proszę – powiedziała Jana, podając nocnemu markowi filiżankę czarnej kawy.

– Dzięki...

Jana usiadła obok niej na kanapie samochodowej.

– Było po pierwszej, kiedy Luz zostawiła wiadomość, i słyhać muzykę. Może w ogóle nie poszła do roboty.

– Powiedziałyby mi.

– Chyba że z jakiegoś powodu chciała to przed tobą ukryć. Jeśli na przykład umówiła się z jakimś wyjątkowym gościem – podsunęła Jana.

– Który miał coś wspólnego z tą „superważną sprawą”?

– Niewykluczone.

Paula wykrzywiła rozmazaną twarz.

– Gdyby ten ktoś był mordercą, Luz nie miałyby czasu dzwonić i umawiać się później. Wołałyby o pomoc albo powiedziałyby, o co biega.

– Hm...

Jana układała różne scenariusze, lecz żaden jej nie pasował. Gliniarze z La Boki zatajali informacje – nie chcieli widocznie stawiać na nogi gazet karmiących się sensacją, równie tandetnych jak wszędzie, woleli uniknąć wywołania psychozy, a najpewniej w ten sposób pragnęli ukryć swoją niekompetencję. Zdaniem Pauli policja rozwiązywała sprawę tylko w sytuacji, gdy miała do czynienia z tak beznadziejnym przestępcą, że dzwonił z komórki zabranej ofierze.

– Kim na ogół byli klienci Luz? – spytała Jana. – Ćpuny?

– Też. Najczęściej samotni.

– A ona brała?

Paula wzruszyła ramionami, ściskając kolana na kanapie.

– Pfff...

– Crack? Kokę? Herę?

– Eee, nie... Czasem wciągała kreseczkę. Ale nie była uzależniona.

– Jak Chet Baker.

– Gdzie jej do niego!...

– Zajmowała się dilerką?



– Nie, o tym też bym wiedziała... – Paula nie zdołała powstrzymać ziewnięcia. – Biedna Luz – westchnęła smutno. – I pomyśleć, że nie znam nawet jej nazwiska. A ty chociaż wiesz, jak ja się nazywam?

– Michellini. Miguel Michellini. Nie martw się, nie grozi ci anonimowość. – Zgasła papierosa na spodku, na którym zgromadziło się już kilka niedopałków od śniadania. – W każdym razie nie ma mowy, mała, żebyś teraz łapała klientów. Nie wychodzisz na ulicę, póki ten szalenciec lata po dokach.

Paula powiodła modrymi oczami po kanapie.

– Wszystko pięknie ładnie, kopciuszku, ale w kieszeni mam może ze dwieście peso. Jak nie dorobię, nie dociągniemy do końca miesiąca na samej pralni. Wiesz, marnie nam idzie – dodała ze zmartwioną miną. – Leczenie mamy kosztuje coraz więcej, nie ma z czego płacić, na dokładkę z łepetyną jej się pogarsza. Wiesz, co ostatnio zrobiła? Wczoraj wieczór naszłam ją, jak żuła pokwitowania. Tak, tak, faktury! – zapewniła. – Wszystko potrafi zeżreć! Kurwa, możliwe nawet, że zeżarła banknoty!

Mapucze się skrzywiła.

– Stara rogata czarownica?

– Dobrze wiesz, że to dużo bardziej skomplikowane – westchnął transwestyta.

Jane się zastanowiła – widziała kiedyś staruszkę w pralni: kompletnie szurnięta.

– Gadałyśmy już o tym – powiedziała. – Czemu nie wprowadzisz się do garderoby? Jest gotowa, wystarczy przywieźć graty i zorganizować materac.

– To nie załatwia problemu z matką – odparła Paula. – Nie mogę jej zostawić, szczególnie teraz: z jednej strony długi, z drugiej jej

stan, a na dodatek ten choreograf, który nie dzwoni... Co z nami będzie? – jęknęła. – Muszę pilnować roboty w dokach!

– Ani się waż, póki ten psychopata się tam kręci – powtórzyła rzeźbiarka kategorycznie. – Chcesz skończyć jak Luz?

– Nie, ale...

– Obiecuj, że tam nie pójdziesz! Coś wymyślimy.

Paula kiwnęła głową, widząc wpatrzona w siebie ciemne oczy, w których lśniła czysta przyjaźń.

– OK – zgodziła się. – Ale wymyślajmy szybko... – Spojrzała na zegarek i zerwała się na równe nogi. – O rany, dziś niedziela, spóźnię się! Cholera, muszę zmyć makijaż, inaczej staruszka połknie różaniec!

– Dobry pomysł – przyznała Jana.

Paula wskoczyła w szpilki i przeszła przez atelier jak po niewidzialnym sznurku.

– Zadzwoń potem! Bye, bye, aniołku!

Jana chciała jej powiedzieć, by posłała matkę na drugi koniec kosmosu, lecz jej druga „połowa” już wyszła na deszcz.

Niewielu transwestytów ma zniewieściały wygląd: psychika jest w nich kobieca, lecz barki nie. Miguel Michellini miał delikatne rysy twarzy, drobną budowę, subtelne maniery... Jana nie wiedziała, dlaczego nie zmienił płci: nigdy nie był mężczyzną.

I właśnie to mu zarzucano.

\*

Miguel marzył o zaufanej dziewczynie, która pożyczalaby mu ciuchy, a w zasadzie o dziewczynie, która dawałaby mu złudzenie, że zmusza go do ubierania się po kobiecemu – i że on ulega temu żądaniu... Odkąd pamiętał, zawsze go pociągał kobiecy świat:

sposób poruszania się, ubrania, zabawy. Początkowo opierał się temu, ale skłonność ta wracała zależnie od okoliczności i towarzystwa – zawsze kobiecego. A potem pewnego dnia w początkach okresu dojrzewania kuzynka, która bawiła się w przebieranie go, zobaczyła, jak pod sukienką rośnie mu wybrzuszenie: ten szelest, uczucie, że zbroi się w jedwab, kiedy go na siebie naciąga, gorący dreszcz na skórze, to było po prostu rozkoszne. Tamtego dnia w letnim pokoju, w którym śmiała się kuzynka, określona została jego orientacja seksualna.

Pragnienie, aby to powtórzyć, rosło razem z jego ciałem. Miguel zawsze czuł się sam na świecie. Jakby mu brakowało kawałka siebie, nie miał ojca ani brata, a przede wszystkim nie miał siostry: namiętność do świata płci przeciwnej wypełniła mu z czasem samotność. Nigdy nie czuł się dobrze w swojej skórze. A raczej w skórze obcego człowieka. Jakby zajmował nie swoje miejsce, jakby wypełniała go dojmująca pustka, jakby mu brakowało siebie, własnej tożsamości... Szybko nieodzowne stały mu się damskie ubrania; kryjąc się przed matką, najpierw wygrzebywał je ze śmietników, potem chodził po bazarach i wyprzedazach w dyskontach. Widok niektórych sztuk odzieży wzbudzał w nim niepokój seksualny, który niebawem doprowadził do tego, że Miguel masturbował się tylko w przebraniu. Później pozostało mu oswojenie ulicy. Zrozumiał, że skromny strój niedostatecznie stwarza iluzję, ekstrawagancki to przesada, ubierał się zatem stosownie do okoliczności. Nauczył się chodzić po kobiecemu, znosić spojrzenia ludzi, odczuwać w przebłysku, co postrzega przechodzień, kiedy się mijają, siedzieć ze stulonymi kolanami; z czasem nauczył się być Paulą. „Ona” przed lustrem mogła tysiąc razy powtarzać ten sam gest, jakby chciała nim nasiąknąć –

właśnie ten autoerotyzm sprawiał, że Miguel był taki samotny. Bo pierwszą publicznością transwestyty jest on sam...

– Załatwiłam ci wizytę u lekarza – powiedziała Rosa z zaplecza pralni. – Tym razem powinieneś iść.

Miguel obejrzał się na matkę: staruszka przebierała w palcach paciorki różańca zawieszzonego na poręczy wózka inwalidzkiego, patrząc na niego nieruchomym wzrokiem. Miguel odstawił żelazko na podstawkę.

– Mamo, nie muszę iść do lekarza – powtórzył to co zawsze. – Nie jestem chory.

– Papież mówi inaczej. – Rosa schowała chore dłonie pod kraciastym kocem. – Ojciec Josef też.

– Ech, jego zaczynam mieć powyżej uszu.

– Mówią, że to wbrew naturze! – denerwowała się. – No przecież oni wiedzą o tym więcej niż ty!

Miguel składał koszule, nie słuchając jej głędzenia. Biedaczka wszystko mieszała, papieża, Matkę Boską, Guadalupe, Boga i własną matkę... Miguel nie potrafił złościć się na nią o to. Rosa miała ciężkie życie, a z wiekiem nieszczęść przybywało: po trzydziestu latach samotnego życia we wdowieństwie kryzys i obniżka świadczeń sprowadziły rentę wojskową, którą miała po mężu, do poziomu nędzy, na koniec zaś biodro odmówiło jej posłuszeństwa, skazując ją do końca życia na wózek inwalidzki. Miguel, który zajmował się rachunkami i pomagał w pralni, przynosił z doków dość, żeby przetrwali. Pół dzielnicy wiedziało, że się prostytuuje, ale matka?... Po biodrze także głowa zaczynała jej odmawiać posłuszeństwa: biedaczkę byle co doprowadzało do białej gorączki, a wtedy wszystko jej się dokumentnie mieszało. Świadectwem jej choroby była nowa mania, która ją od jakiegoś

czasu nękała.

Otóż Rosa ze wszystkiego, co jej wpadło w ręce, robiła kulki: odrywała kawałek papieru, zwijała, żuła resztką zębów i połykała. Pół biedy, jeśli były to książki albo głupie czasopisma, lecz faktury, pokwitowania, dokumenty księgowy?... Stawało się to nie do zniesienia. Pascual, jedyny kuzyn, z którym Miguel utrzymywał kontakty, niedawno ożeniony, stanowczo odmówił pomocy („jedna histeryczka w domu starczy”), a na gosposię, dom opieki czy starców nie było ich stać. Wariatkowo – oto co los przeznaczył jego matce: pralnia przy calle Perú nie była nic warta, klientów miała niewielu, a i to przynosili ubrania z litości, Rosa nie miała oszczędności, niczego do sprzedania prócz pomnikowego bohatera poległego w walce i niewydarzonego syna.

Tego również Rosa nigdy nie zrozumiała. Albo nie chciała zrozumieć. Albo przerastało to jej możliwości. Uważała, że Pan Bóg ciężko ją doświadcza, wystawia na próbę: chciała dziecko, najlepiej syna, ale nie... to, nie bladego dzieciaka, który zamykał się w pokoju, zamiast kopać piłkę z chłopakami z sąsiedztwa; nie zniewieściałe chuchro, które w szkole młode byczki przedrzeźniały, zwijając się ze śmiechu i szorując tyłkami po wyimaginowanym drągu; nie to pośmiewisko, cherlaka niezdolnego przebiec dziesięciu metrów bez zadyszki, ciotę w każdym calu; nie Miguela mięczaka, jak dziewczyna wachającego kwiatki, z tą jego groteskową wrażliwością, delikatnością, skłonnościami nie do zniesienia, ohydny. Rosie wstyd było za takie zgorszenie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego mąż wyjechał, zostawiając jej śmierdzące zawiniątko z dzieciakiem w środku, z tą ćwiartką niedorobionego człowieka opętanego przeklętym seksem: on miał obsesję, popapraniec! Jeśli o to idzie, trafił im się towar

wybrakowany! Nie taki zamawiali! Pan Bóg się wypiął na nich, to była jej pokuta, jej droga przez mękę sypialni, tajemnica jej i Wiekuistego, który wycinał numery, żeby dać jej nauczkę. Wszystko mieszało jej się w głowie, wspomnienia i terażniejszość, Rosa już nie wiedziała, czy to kryzys czy kara boska odwiodła klientów od pralni – jakby ludzie przestali pracować, krochmalic i prasować koszule! – czy musi płacić za swoją winę, za to opętane dziecko, a przy tym jeszcze cierpiała męczarnie przez to diabelskie biodro i stale głowa ją bolała, i nie mogła już ścierpieć wrzasków dzieciarni na ulicy, i pod czaszką koszmary jej buzowały jak w szybkowarze. Tak, Miguel złapał dziewczynską chorobę: kolejne święństwo Pana Boga, coś, z czego musi się wypowiadać w konfesjonale, jak z tego dnia, kiedy zaskoczyła go w pokoju przebranego od stóp do głów w towarzystwie drugiego chłopaka! Ohyda, grzech!!!

– Słyszysz, co mówię? – syknęła, celując laską.

Miguel wąchał lawendowy zapach koszul ułożonych w stertę na stole do prasowania.

– Aj! – pisnął z bólu.

Zaskoczony dźgnięciem odwrócił się żywo i skrzywił: staruszka wymachiwała mu przed przerażonymi oczami laską z bolcem na końcu, taką jak te, którymi sprzątacze zbierają papiery w rowach odpływowych – skąd wzięła coś takiego?

– To bolało! – zgromił ją, pocierając pośladek.

Rosa nie zważała na jego słowa wsłuchana w swój gniew, na lśniących od śliny ustach mając skrawki przeżutego papieru.

– Co ty znowu jesz?! Mamo!

– Zawsze byłeś chory! – ofuknęła go. – Zawsze!

W oczach miała nienawistny błysk. W chudej zwiędłej ręce

trzymając laskę, wywijała ostrym szpicem przed jego twarzą. Miguel spojrzał w jej oszalałe oczy i cofnął się do stołu.

– Odłóż to, mammo!

– Nie dotykaj mnie! – Ciężko chwytała powietrze. – Słyszysz?!

– Rzuć laskę, proszę!

– Nigdy! – krzyknęła Rosa. – Nigdy!

– Mammo!

Wychyliwszy się, dziabnęła go laską. Miguel uchylił się przed czubkiem wymierzonym w swoją pierś i złapał drąg w chwili, kiedy Rosa opadała na oparcie, lecz wczepiła się w laskę jak kleszcz. Z ust wyleciały jej na kwiciastą bluzkę przeżute kawałki papieru, szarpała się w fotelu.

– Dawaj tę cholerną laskę!

– Pomocy! – Wygięła się w łuk. – Pomocy!

Furia nie ustępowała: z purpurową twarzą, zwichrzonymi włosami spiętymi w kok, Rosa wrzeszczała, wybałuszając wyblakłe oczy.

– Ojczy Josefie! – wyła. – Zaraz przyjdzie, zobaczysz! – zapowiedziała. – I wybije ci z głowy te głupoty!

Miguel wypuścił laskę i w panice umknął na zaplecze. Teraz miał już pewność: jego matka traciła rozum... Nadawała się do kaftana bezpieczeństwa.

\*

Jana przebrała się w sprane szorty zawieszane na starym parawanie, który oddzielał sypialnię, i zabrała się do rzeźby, plastycznej mapy planowego etnobójstwa. „Podboju pustyni” według oficjalnej terminologii, jakby Mapucze w ogóle nie istnieli.

Zgnieciono ich militarnie podczas Wielkiej Bitwy na pampie,

strzelano do nich jak do królików z remingtonów, potem oddawano do szkół religijnych albo jako niewolników wielkim właścicielom ziemskim, którzy podzielili się ich terytorium; zamknięci, poddani akulturacji, zmuszani do milczenia, kłamiący na temat swojego pochodzenia podczas nielicznych spisów ludności, Mapucze ze wstydu albo lenistwa zapomnieli swoją kulturę i przez całe stulecie przeszli niczym zjawy. Upiory. Przekreślając dwadzieścia pięć lat obowiązywania traktatów podpisanych z Hiszpanią, konstytucja z 1810 roku zwyczajnie wykreśliła z historii Mapucze, „ludzi ziemi”, którzy od dwóch tysięcy lat wiedli tutaj życie koczownicze.

Ziemia dla nich była wszystkim: świątynią przodków, siedzibą bogów, mitem i punktem wyjścia dla każdego symbolicznego przedstawienia, fundamentem rytuału i częścią składową tożsamości. Bez niej Mapucze byli niczym. Niektóre wspólnoty kurczowo trzymały się swoich gospodarstw i stad, wiele jednak musiało sprzedać ziemię pod przymusem, aby w ogóle nie zniknąć, i to bez śladu, nie figurowali bowiem w żadnych dokumentach urzędowych. Dzisiaj Mapucze stanowili zaledwie trzy procent ludności Argentyny. Ich skupiska znajdowały się w ubogich regionach na południu albo ginęły w dzielnicach biedoty na odległych peryferiach miast...

Jana pracowała przez całe popołudnie bez wytchnienia: przycinała żelazo, szlifowała betonowe kratery, wprawiała kolaże z płótna i szkła w barwach ludów autochtonicznych, ale chociaż bardzo starała się skupić na rzeźbie, nie przestawała jej chodzić po głowie śmierć Luz i to, co zaszło potem.

Paula była postrzelona i działała bez namysłu, gdy chodziło o własny interes, lecz w jednym miała słuszność: jeśli odpuści sobie klientów z doków w La Boce, kto opłaci rachunki i leczenie jej



matki? Wydawało się, że to sytuacja bez wyjścia. Zabójca dopadł Luz, a okrucieństwo mordu kazało żywić obawy, że nie skończy na tym. Gliniarze ociągali się z dochodzeniem z przyczyn, które Janie umykały, los anonimowego transa nikogo nie obchodził... No chyba żeby kogoś nim zainteresować. Tylko kogo? Prywatnego detektywa? Jana oderwała się od pracy i otworzyła książkę telefoniczną. Przelatywała wzrokiem nazwiska ułożone w porządku alfabetycznym. Wynotowała niejakiego Calderóna, który prowadził agencję przy calle Perú, kilka kwartałów od pralni. Znak?

Niebo ciemniało nad dawnym dworcem Retiro, kiedy do pracowni wpadła roztrzęsiona Paula: zadzwonił choreograf, kazał jej przyjść o dziesiątej, przed otwarciem Niceto, w związku z rewią, do której kandydowała na castingu. Jeszcze dziś! Transwestyta był potwornie zdenerwowany: od matki wyszedł oczywiście ubrany po męsku, a dobry makijaż zajmuje ze dwie godziny, wymachiwał rękami gorączkowo, miotał się jak ćma dopuszczona do światła, nie wiedział, za co się brać.

– O dziesiątej!... W życiu nie zdążę!

– Skarbie, wyluzuj – uspokajała go koleżanka. – Jeszcze słońce nie zaszło.

– Zasuwa jak porąbane!

Jana się uśmiechnęła. Dziwnie było widzieć Miguela z gładko uczesanymi krótkimi włosami, nieumalowanymi oczami i w luźnych spodniach, które tuszowały jego sylwetkę.

– Och, Jana! – mówił podekscytowany, ściskając rękę przyjaciółki. – Wyobraź sobie, że Gelman weźmie mnie do rewii! Po tym, co się ostatnio stało, to... to obłęd!

Ależ się porobiło: doki, Luz, Niceto, co jedno to lepsze. Nie wiadomo, śmiać się czy płakać?

– A, słuchaj, znasz może tego detektywa z calle Perú? – spytała Jana.

Paula znieruchomiała na moment pośród rzeźb, grzebiąc w burzliwym strumieniu wspomnień.

– Calderóna? Tak, tak, widzimy się czasem na bazarze. A co? – zaciekała się. – Chcesz, żeby się zajął sprawą Luz?

– On albo kto inny.

– Lepiej on.

– Czemu?

– Jak idzie, wygląda jak puma, która kołysze barami! – z zachwytem wyjaśniła Paula.

Jana strzepnęła zakurzone włosy – gadanie.

– Co to za jeden? – zapytała. – Były gliniarz?

– Nie wiem, zdaje się, że poszukuje zaginionych. Nigdy z nim nie gadałam, ale mówią, że jest powiązany z Abuelas.

– Aaa...

– To może być wyjście – przyznała Paula. – Jak zobaczysz jego oczy!...

– A co ma piernik do wiatraka?

– Boś ich nie widziała! Nie wiem, ile facet ma lat, ale nie wygląda na tyle – dodała. Popatrzyła na plastikowy zegarek na przegubie. – Jezu, muszę się pospieszyć, inaczej zawalę!... Detektyw to dobry pomysł. – Paula tanecznym krokiem podbiegła do przesuwanych drzwi i naraz zastygła. Odwróciła się do Jany. – Tylko wiesz, jest jeden problem.

– Mianowicie?

– Jak mu zapłacimy? Nie mamy kasy.

Jana wzruszyła ramionami.

– Coś wymyślę... No idźże zrobić się na bóstwo.

– Już lecę!

Paula wybiegła, nie zauważywszy posępnego wzroku Indianki.

\*

Vega 5510, Palermo Hollywood. Przez brudną przednią szybę forda widać było mrugający neonowy szyld klubu Niceto. Paula poprawiła ciemną perukę, po raz piąty obejrzała makijaż w lusterku z podobizną Marilyn, schowała kosmetyczkę do pasiastej torebki i odwróciła się do przyjaciółki za kierownicą.

– I jak wyglądam? – spytała z uśmiechem. – Wybity ząb się nie liczy – dodała.

– Trochę za bardzo stuningowane, ale poza tym OK.

Paula jednak nie знаła się na motoryzacji. Była dziesiąta wieczorem, jej twarz migotała w świetle latarni ulicznych, nocne hulaki śmiały się na mokrych chodnikach Palermo, gromadząc się w barach i restauracjach w oczekiwaniu, aż zostaną otwarte nocne lokale.

– No idź, bo mi tu jajo zniesiesz – zachęciła ją Jana.

– Racja... No to cała naprzód!

Paula wystawiła złączone nogi z przerdzewiałego forda, pomachała jeszcze Janie przez okno z wybitą szybą i pobiegła, klucząc między kałużami, z głową osłoniętą przed deszczem torebką. Rzeźbiarka poczekała, aż znikła w wejściu dla artystów, i ruszyła, kierując się w stronę San Telmo.

Calle Perú, numer 1030: deszcz rozbryzgiwał się na chodniku, kiedy zadzwoniła domofonem.

## 6

Nieskazitelnie biały obelisk dumnie się wznosił na avenida 9 de Julio. Za kilka centavo bosonogie dzieciaki zonglowały przed samochodami czekającymi na czerwonym świetle. Niespełna czteroletni brzdąc upuścił przed maską jedną z dwóch piłeczek cyrkowych. Jego starszy brat, może sześćioletni, miał większą praktykę: trzy piłki tańczyły w powietrzu nasyconym spalinami. Rubén dał dwie monety smarkaczowi, zanim zielone światło rozproszyło dzieciarnię jak stadko wróbli.

Dwa miliony ubogich rodzin, co piąte dziecko niedożywione. Rubén zasalutował Don Kichotowi, który rządził ruchem na skrzyżowaniu wielkiej arterii, i ruszył w stronę centrum z budynkami o zakratowanych tarasach – rabunki, włamania, kryzys zostawiły tutaj swój ślad... Ulewa smagała sklepowe witryny, przeganiając gości pod krawatem ku bankom, które znowu wyrastały jak grzyby po deszczu. Rubén uchylił szybę, aby zapalić, nienawistnie zerkając na białe kołnierzyki – na tych, którzy zrujnowali kraj. Kawalek dalej garstka demonstrantów z flagami i transparentami zawierającymi żądania socjalne blokowała usianą ulotkami avenida Sarmiento. Otaczało ich ze stu policjantów w hełmach, z armatkami wodnymi i pojazdami opancerzonymi – elitarne oddziały Torresa potrafiły zastraszać. Pewnie w związku

ze zbliżającymi się wyborami. Rubén ominął manifestację i jechał dalej, aż do Malby, centrum sztuki współczesnej.

Recoleta była dzielnicą ambasad, prywatnych posiadłości, starego pieniądza nie podlegającego wirtualnym wahaniom, republikańskich złocen. Szerokie czyste ulice wydzielały zapach prywatnych pałaców w stylu bardzo europejskim, z mediolańskimi spękanymi fasadami i architekturą sprzed stu i więcej lat. Rubén zaparkował samochód w przecznicy i ruszył pod wielkimi drzewami namorzynowymi, których korzenie wybrzuszały asfalt: Campallowie mieszkali kawałek dalej w domu z początku XX wieku częściowo obrośniętym bluszczem, widocznym między liśćmi drzew.

Spokojne miejsce w porównaniu z amokiem panującym w ścisłym centrum, dobre dla ludzi, którzy tak czy owak nie są skłonni zadawać się z tłumem. Wstępu do posiadłości broniła czarna krata najeżona ostrymi szpicami i kamera monitorująca najnowszej generacji. Pod okiem kamery Rubén wcisnął guzik domofonu.

Po długiej chwili odezwał się głos. Kobięcy.

– Tak?

– Dzień dobry – powiedział, przysuwając się do mikrofonu. – Czy pani Campallo?

– Tak – odparł metaliczny głos. – Czego pan chce?

– Pomówić o pani córce, Marii Victorii. Jestem znajomym.

– Nie ma jej... A o co chodzi?

– No właśnie o to, że jej nie ma – odparł grzecznie. – Od paru dni nikt nie ma o niej wieści, dlatego jej szukam.

W domofonie na chwilę zapadła cisza.

– Jak to nie ma wieści?

– A pani jakież ma?

– No nie... Kim pan jest?

– Rubén, znajomy. – Zgniółł papierosa na chodniku. – Proszę pani, na pani miejscu bym otworzył...

W domofonie zapadła głucha cisza, odległe echo wątpliwości. Zdawało się, że trwa ze dwie albo i trzy wieczności, wreszcie rozległo się szcęknięcie otwieranej bramy.

Biała żwirowa alejka wiła się między wielkimi roślinami. Główną rezydencją biznesmena był duży ładny dom, prawdziwy dworek postawiony w cienistym parku. Rubén wciągnął nosem zapach kwiatów, powiódł wzrokiem za spiralą owadów, które wyleciały wraz z przejaśnieniem nieba. Matka Marii Victorii czekała na podeście z rękami założonymi pod bordowym kaszmirowym szalem. Ciemne okulary z krzykliwą oprawą zasłaniały jej połowę twarzy.

Isabel De Angelis mogła była zrobić karierę jako królowa piękności, gdyby nie ta partykuła przy nazwisku, która nie pozwalała jej pracować. Kiedy miała dwadzieścia lat, Eduardo zerwał ją niczym ledwie rozkwitłą różę, aby mieć ją dla ozdoby, i trzymał jako talizman nieuniknionego sukcesu. Isabel Campallo miała farbowane włosy spięte w kok, markową sukienkę za kolano i surową twarz, jakby czekała na wagarowicza. Z daleka mogła uchodzić za jedną z podstarzałych opalonych piękności, które na lexiomilu walczą z anoreksją kartami American Express, z bliska prezentowała wąskie wargi pociągnięte szeroko pomarańczową szminką i sztywną minę mającą trzymać wszystkich na dystans.

Koło niej pyzaty trzydziestolatek kołysał się na piętach.

– Kim pan jest? – zagadnął gościa.

– Domyślam się, że pan jest bratem Marii Victorii? – odbił piłeczkę Rubén. Zaokrąglony brzusek pod białą koszulą bez krawata, ray-bany nasadzone na łysiejącą głowę, zegarek marki

Porsche i wypucowane mokasyny: Rodolfo Campallo bez kompleksów obnosił dobre samopoczucie człowieka sukcesu. – Rubén Calderón – przedstawił się, pokazując licencję detektywa.

– Mówił pan, że jest znajomym Marii Victorii – zdziwiła się Isabel.

Rodolfo otaksował wzrokiem przybysza: przydługie ciemne włosy, elegancja niby to spokojna pod czarną zamszową kurtką, atletycznie zbudowany i arogancki mimo pozorów klasy, wyzywająca mina, antracytowe oczy – wszystko go w nim denerwowało.

– Czego pan tu szuka?

– Chodzi o pańską siostrę – odparł Rubén, wciąż stojąc u stóp schodów. – Od trzech dni nie ma jej w domu i nie odbiera komórki. Pomyślałem, że to państwa zainteresuje...

Campallo junior nadał się urażony. W cieniu kołyszącej się dużej wierzby stał stolik z drewna tekowego, z głębi parku dobiegały echa pracy ogrodnika, który sekatorem coś przycinał. Rubén obrócił się do Isabel Campallo otulonej szalem.

– Woli pani rozmawiać na stojąco? – spytał uprzejmie.

– Nie... nie...

Sztywnym krokiem skierowała się do salonu ogrodowego i ignorując spojrzenie syna, usiadła w fotelu ostrożnie jak zwiędły bukiet.

– Co pan wie o mojej córce? – spytała, nie zdejmując ciemnych okularów.

– Niewiele – uspił jej czujność detektyw. – Widziała się pani z nią w ostatnim czasie?

– Cóż, ostatnio nie... Byliśmy z mężem na urlopie w Mar del Plata – wyjaśniła była gwiazda rajdów bogatej burżuazji. – Ja

spędziłam tam miesiąc, mąż dwa tygodnie, a Maria Victoria nie jest fanką telefonów... Mówi pan, że nie ma o niej wieści? – spytała.

We wgłębieniu pomarszczonego dekoltu wisiał złoty krzyżyk z Chrystusem.

– Powiedzmy, że nie można się z nią skontaktować... Kiedy rozmawiała z nią pani ostatni raz?

– No... zostawiłam jej wiadomość jakieś dziesięć dni temu – odparła – ale wie pan, jakie są dzieci: dzwonią, jeśli znajdą wolną chwilę. Wiem tylko, że planowała wykorzystać okres wakacyjny i obrobić zdjęcia. Zwykle tym się zajmuje o tej porze roku.

Westchnienie spowodowało, że zapadła się w sobie. Rodolfo dołączył do nich pod wierzba.

– Dla kogo pan pracuje? – zagadnął.

– Nieważne – odpowiedział Rubén, skupiając się na matce. – Przychodzi pani do głowy jakieś wytłumaczenie milczenia córki?

Isabel pokręciła polakierowaną głową, mocniej otulając się szalem na wietrze, który porywiście szarpał gałęziami.

– Nie – rzekła stropiona. – Nie...

– Może jakiś wyjazd, spotkanie albo coś wyjątkowego?

– Nie, nie... – Gorączkowo szperała w pamięci. – A czemu pan pyta? Co się dzieje?

– Maria Victoria spodziewa się dziecka – oznajmił Rubén.

Po raz pierwszy matka i syn mieli taki sam wyraz twarzy.

– Od trzech miesięcy – podjął. – Najwyraźniej nic państwo o tym nie wiedzieli...

Isabel wzięła się w garść.

– Nie wiedzieliśmy...

– A skąd pan wie o tym? – wtrącił Rodolfo.

– Jak pani sądzi, czemu córka nic państwu nie powiedziała? –



ciągnął Rubén.

– Nie wiem – wyjąkała poruszona Isabel. – Jesteśmy rodziną głęboko katolicką, Maria Victoria wie, że dziecko ze związku pozamałżeńskiego bardzo by nas zasmuciło, ale... nie, nie rozumiem.

– Domyśla się pani, kto może być ojcem?

– Mój Boże, nie!

– Maria Victoria nikogo państwu nie przedstawiła? Nigdy?

– Nie... Zamażpójście, niestety, to najmniejsza z jej trosk.

– Cięża mogła wstrząsnąć jej życiem – zauważył Rubén. – Tłumaczyłaby jej milczenie albo ucieczkę.

Zdesperowany Rodolfo wciąż kiwał się na piętach pod wierzbą.

– Nie odpowiada pan na pytania! – zwrócił się do detektywa z pretensją w głosie. – Dla kogo pan pracuje?

– Z tego, co wiem, Maria Victoria jako nastolatka i później nie zawsze była grzeczną dziewczynką – mówił Rubén, nie zwracając uwagi na Rodolfa. – Buntowała się przeciwko swojemu środowisku?

– Do czego pan zmierza? – ostudziła go Isabel.

Rubén zapalił papierosa – coś w tych ludziach go drażniło, coś, co nie miało nic wspólnego z pieniędzmi, luksusem czy ostentacją.

– Czy Maria Victoria angażowała się może politycznie? – rzucił.

– To znaczy?

– No na przykład przeciwko pani mężowi i jego potężnym przyjaciółom.

– Co to za gadanie? – zdenerwował się Rodolfo. – Moja siostra nie ma nic wspólnego z komunizmem.

Rubén uśmiechnął się szpetnie – dziwne, jak niektórzy potrafią używać ekstremów, by uzasadnić prawdziwość swego punktu widzenia. Ten spaślak zaczynał go wkurzać.

– Pani mąż zbudował swoją fortunę w czasie rządów junty, potem wypłynął na kryzysie – rzekł do Isabel. – Maria Victoria mogła zadawać sobie pytania, w jaki sposób doszedł do takiego majątku.

– Po coś pan tu przyszedł, Calderón? – wybuchnął młody Campallo. – Mieszać w gównie?

– Tak pan myśli o życiu swojej siostry?

– Nie! – Rodolfo spurpurowiał. – O pańskim fachu!

– Zdaje się, że twój fach też jest całkiem, całkiem, chłopie – drażnił się z nim Rubén. – Prezenter radiowy, tak? Głupie dowcipy i ubaw po pachy. Mam nadzieję, że podziękowałaś tatusiowi...

Opięty białą koszulą Campallo junior jeszcze mocniej poczerwieniał – jako dyżurny komik w porannej ramówce prywatnego radia należącego istotnie do jego ojca, Rodolfo miał za zadanie wkurzać ludzi przez telefon, podając się za kogoś innego, wkręcać ich w zmyślane afery, które bawiły nie wiadomo kogo.

Przez chwilę słysząc było jedynie w oddali szczęknięcie sekatora i szum wiatru w liściach wierzby nad nimi.

– Nie zostanę ani sekundy dłużej w towarzystwie tego typka – syknął w końcu Rodolfo do matki.

– Kurczę, dobry pomysł – podchwycił Rubén.

– Wywal go, mamó, albo wezwę ochronę.

– Tak.

Jednakże ukryta za ciemnymi okularami skamieniała Isabel Campallo ani drgnęła. Rodolfo wahał się sekundę: jego matka była wstrząśnięta, facet, który przyniósł złe wieści, prowokował ich, lecz mglisty strach nie pozwalał mu zrealizować zapowiedzi, a komórkę zostawił w domu.

– Zawołam tatę – rzekł w końcu oschle i obrócił się na pięcie.

Isabel mocniej ściągnęła szal na wątłych ramionach, była blada

mimo opalenizny przywiezionej z wakacji nad morzem.

– Pani coś wie, prawda?

– Nie. Nie, ale mój syn ma słuszość. – Isabel zdołała się opanować. – Nie wiem, skąd ma pan ten informacje, proszę jednak, żeby pan wyszedł. Natychmiast – podkreśliła, znowu dominując.

Rubén zgasił papierosa.

– Próbuję ustalić, czy pani córka żyje. To dla pani problem?

– Szaleję z niepokoju, jeśli chce pan wiedzieć.

– Pani coś wie – powiedział z wyrzutem. – Coś, o czym ja nie wiem...

Jego niebieskie oczy słały iskry, które przenikały ją na wskroś.

– Nie – zaprzeczyła przyciśnięta do muru. – Nic nie wiem, a pan nie jest u nas mile widziany. Proszę wyjść – szepnęła. – Już!

Obróciła głowę w stronę podestu i chciała wstać, lecz Rubén przytrzymał ją za nadgarstek.

– Kłamie pani. Dlaczego?

– Proszę dać mi spokój. Nie mam nic do powiedzenia. Niech pan mnie puści.

Powietrze w ogrodzie było przesycone elektrycznością. Rubén nieświadomie mocniej zacisnął palce.

– To boli!

– Kłamie pani.

– Nie!

– Więc proszę powiedzieć, czego pani się boi.

Isabel Campallo wzdrygnęła się, spojrzawszy w twarz detektywowi, który nie odrywał od niej dociekliwego wzroku. Miał ochotę zmiążdżyć jej nadgarstek. Połamać kości.

– Pana... – odparła drżącym głosem. – Pana...

Z ciemności z rykiem wypadła ciężarówka. Rubén zgniótł papierosa na obrzeżu balkonu, głuchy na pisk opon na metalowych płytach. Okna pokoju wychodziły na wiadukt będący częścią węzła autostrady, która przecinała dzielnicę na skrzyżowaniu ulic Perú i San Juan. Rozpędzone ciężarówki gnały tamtędy dzień i noc, plując spalinami, lecz Rubén słyszał tylko płacz dziecka pod betonowymi filarami, taki sam od dwóch tygodni.

Pod wiaduktem mieszkała rodzina, małżeństwo *cartoneros* z dwójką zapchlonych dzieci, które nie wiedziały co to łóżko ani szkoła. Znały jedynie ten wiadukt. Już dwa lata służył im za schronienie, mieli sprzęt kuchenny, butelki z wodą, konserwy, nędzne klamoty, które dla nich były skarbem. Urodziło im się kolejne dziecko, trzecie, chyba na nieszczęście, pieluszki miało takie, na jakie rodziców było stać. Gdzie ta kobieta urodziła? Na ulicy? Oni nie tylko zbierali kartony, ale także żyli pośród nich. Cała rodzina, anonimowa rodzina, również surowiec wtórny. Zbudowali sobie barykadę, pustą w środku skorupę, w której zamykali się na noc, aby chronić się przed chłodem, bezdomnymi psami, wariatami; wyłaniali się z niej rankiem zeszywniali po śnie bez marzeń, okryci łachmanami, brudni, niezdolni podziękować nielicznym przechodniom, którzy im rzucali jakieś drobne.

Sami stali się kartonami.

Rubén kołysał się w wilgotnym wietrze, płacz niemowlęcia przywołał natrętne reminiscencje. Czas się cofnął. Szlochania, krzyki dzieci biegających wyżej, drobne kroki beztroskich sierot nad jego celą... Głucha nienawiść ścisnęła mu serce. Na fiołkowym niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. Z pobludłymi kostkami palców Rubén przełknął ślinę. Wkrótce została tylko zjawa zawieszona na balkonie i niemowlę kwilące w ciemności...

– Tata wróci?

– Pewnie, a czemu pytasz?

– Zagranica to daleko. No i zawsze opowiada takie historie...

– Nooo... To jego specjalność.

Rubén się uśmiechał, ściskając rękę młodszej siostry. Uważał, że jest zabawna. I łebska: Elsa już w wieku dwóch lat mówiła niemal płynnie, nie szczebiotała po dziecięcemu, mimo że niektórych to rozczulało. Jego młodsza siostra miała język giętki jak Lucky, wielki czarny pies, który eskortował ich w drodze do szkoły.

– Zagranica jest tak zrobiona, żeby z niej wrócić – oświadczył Rubén, aby ją uspokoić. – Jak się nie jest za granicą, jest się u nas.

Elsa podniosła głowę, patrząc na długowłosego nastolatka, który trzymał ją za rękę – ale on stary, chociaż ma niecałe piętnaście lat! Nie bardzo zrozumiała, co powiedział, udała jednak, że tak.

Ich ojciec przed trzema tygodniami pojechał do Francji, a Rubén się zmienił, jakby teraz on był głową rodziny. Jakby wiedział o rzeczach, o których jej nie powiedziano, uważając może, że jest za mała: a przecież dwanaście lat to nie byle co! Elsa była przekonana, że brat coś przed nią ukrywa. Nawet ich matka, z reguły taka pogodna, nie była sobą.

– Myślisz, że będziemy musieli wyjechać? – spytała. – Zostawić dom?

– Nie pasowałoby ci?

Elsa potrząsnęła ciemnymi warkoczykami.

– Nie. Może trochę...

Rubén uśmiechnął się do jej piegów koło noska wyglądających jak miejsca, skąd wyrastają kocie wibrysy. Szła dopiero do gimnazjum, niewiele jeszcze wiedziała o świecie. Ołowiana cisza na ulicach Buenos Aires, wisząca w powietrzu zagrozenie, nauczyciele wbici

*w bluzy, które wyglądały obco, jakby kreda z tablicy mogła ich zdradzić: oprócz Lucky'ego (ale jego mogli zabrać) Elsa niczego by nie żałowała, gdyby przyszło im opuścić Argentynę. Udać się na wygnanie. Wielu tak uczyniło.*

*– Jaka jest ta Francja? – spytała.*

*Rubén wzruszył ramionami.*

*– Podobno mają tam strasznie dużo serów.*

*Zaśmiała się. Może być.*

*Argentyński mundial był jeszcze odległy, zostało do niego kilka miesięcy, junta jednak wykorzystała to wydarzenie, aby wzmocnić poczucie tożsamości narodowej, zwieść zagraniczne media, kiedy Argentyńczycy będą kibicować drużynie narodowej. Dlatego pod pretekstem wykładów Daniel udał się do Francji, aby organizować ruch oporu, nieoficjalnie obnażać oszustwo związane z mistrzostwami świata przed dziennikarzami, z którymi się zetknie, albo postaciami znanymi z mediów, które opowiedziały się po stronie aspiracji demokratycznych Argentyńczyków. Należało zepsuć święto, obrócić sytuację na swoją korzyść. O tym Rubén nie miał pojęcia. Rodzice nic mu nie powiedzieli, Daniel tylko poprosił, by opiekował się siostrą pod jego nieobecność; miał po męsku panować nad sytuacją...*

*Była końcówka lata, słońce przeglądało się w kałużach pozostałych po burzy, gdy wracali ze szkoły. Elsa i Rubén szli, trzymając się za ręce, Lucky obwąchiwał chodnik, jakby sterta kości uciekała mu sprzed pyska, dochodzili do kwiaciarni na rogu Perú i San Juan: pies najpierw stanął jak wryty, potem położył uszy po sobie. Skądś wyłonił się naraz samochód, omal nie przewracając kwiatów wystawionych na chodnik, zielony ford falcon bez tablic. Zablokował ulicę, wyskoczyli z niego trzej uzbrojeni mężczyźni.*

*Rubén pociągnął siostrę do tyłu, lecz w tej chwili ciężka ręka chwyciła go za kark. Bronił się, nie puszczając Elsy, która krzyczała:*

*– Rubén!!!*

*Próbowali ich rozdzielić. Lucky ugryzł jednego z napastników, który puścił wiązkę przekleństw, i zaraz jeden z mężczyzn wyjął broń spod skórzanej kurtki – strzelił psu najpierw w łędźwie, potem dobił go strzałem w oko. Uczepiona brata Elsa przeraźliwie wrzeszczała. Rubén usiłował się uwolnić, wymierzał razy na oślep, jego siostra rozpaczliwie kopała – na próżno; klnąc, mężczyźni rzucili ich na ziemię, po czym przystawili im broń do głowy, podnieśli ich, brutalnie zaciągnęli do forda i cisnęli na tylną kanapę. Rubén nie stawiał już oporu. Widział jak przez mgłę. Wszystko trwało zaledwie parę sekund, oczy zalewała mu krew.*

*Prerażony wzrok kwiaciarki, martwy Lucky na chodniku, przechodnie zastygli jak kamienne posągi, tylne siedzenie forda falcona, jutowe worki, które naciągnięto im na głowę, przytłaczająca ciemność, zduszony szloch siostry tuż obok, jego drżące ciało przyklejone do siedzenia, przekleństwa, groźby, jazda: czas się skurczył.*

*– Rubén...*

*– Zamknij się, gnojaro!*

*Kilometry przerażenia. Wreszcie samochód stanął. Wyciągnięto ich na zewnątrz. Ciemność zgęstniała pod workiem, kiedy popychani kolbami znaleźli się w chłodniejszym miejscu. Zakaz mówienia, zakaz poruszania się. Nie byli sami, Rubén to wyczuwał: byli tam jeszcze inni więźniowie, również przerażeni. Smród opon, smaru. Dopiero gdy zdjęto im worki z głów, Rubén odzyskał kontakt z rzeczywistością. Żarówka, która na chwilę ich oślepiła, wisiała*

pod sufitem piwnicy warsztatu samochodowego: w ostrym świetle stało dwanaście osób obojga płci, wszyscy drżeli jak stadko owiec, słysząc ostre śmiechy otaczających ich wilków. Młodych butnych mężczyzn pełnych żołnierskiej pewności siebie – niektórzy byli w mundurach, inni w rozchełstanych koszulach, z olstrami pod pachą, z otwartymi ustami żując gumę.

– Rozbierać się! – rozkazał ten, który wyglądał na dowódcę.

Uderzenie pałką ponagliło niezdecydowanych. Z trzewiami ściśniętymi strachem wykonali polecenie. Niedługo nadzy więźniowie zaczęli dygotać na zimnym cemencie warsztatu. Elsa płakała w milczeniu, tuląc nogę do nogi: zapowiedziano im, że kto otworzy usta, otrzyma śmiertelną nauczkę, zaciskała więc różowe wargi, popiskując tylko jak myszka. Tamci naśmiewali się z ich nagości – jakie to zabawne! Rubén ledwie miał odwagę podnieść wzrok. Jego siostra była najmłodsza i najbardziej przerażona: czuł ją obok siebie, była potwornie zażenowana, że przed tymi ludźmi stoi naga z pączkującymi dopiero piersiami i młodzieńczym puszkiem na podbrzuszu, które prowokowały niestosowne uwagi. Niedługo jednak trwała ta uciecha: wąsaty oficer wyrzeszczał obelgi, „czerwone psy”, „hipisy”, „komuniści”. Rubén nie wiedział, co z nimi robią, mimo że podstuchiwał, jak rodzice w kuchni kiedyś rozmawiali o porwaniach nocą... Nie poddawał się strachowi. Jeszcze nie. Rozdzielono ich w wielkim zamieszaniu, mężczyźni stanęli po jednej stronie, kobiety po drugiej: posypały się razy pod obscenicznie gołą żarówką w warsztacie.

– Rubén! Rubén!!!...

Wtedy po raz ostatni widział siostrę: zapłakaną namiastkę kobiety, która błagalnie patrzyła wielkimi zielonymi oczami, rozpaczliwie próbując skrzyżować nogi, by osłonić dziewiczą płeć.



*Elsę, która wzywała go na pomoc, kiedy szarpnięto ją brutalnie i zabrano pośród przerażonych krzyków.*

*– Rubén!!!...*

Ryk ciężarówek dobiegał od balkonu. Rubén powąchał sukienkę, którą trzymał w rękach, swoją ulubioną, czerwoną o odcieniu pomarańczowym z czarnym kołnierzykiem. Głęboko wciągnął powietrze. Zapach już dawno się ulotnił, mimo to zawsze go wyczuwał.

„Zaginiony to ktoś, kogo nie ma, do kogo jednak się mówi”...

Po powrocie z wygnania na wieś Rubén zastał ubrania Elsy na swoim miejscu, starannie poukładane w szafie w jej pokoju. Matka niczego nie tknęła. Nie tknie niczego, ani pióra, ani pary skarpetek, póki jej mąż i córka „nie wrócą do życia” – takie miały hasło Matki z Plaza de Mayo. Jednakże ani Daniel, ani Elsa nie wrócili. I nie wrócą. Jak tysiące innych na zawsze pozostaną duchami. Po latach Rubén zaproponował w końcu matce, by oddali ubrania siostry potrzebującym – nie brakowało ich w mieście, a jeśli nawet Elsa kiedyś wróci, te rzeczy nie będą na nią pasowały, prawda? Zmęczona walką Elena zgodziła się ostatecznie. Może tak będzie lepiej... Ale Rubén okłamał matkę. Nie oddał rzeczy siostry biednym: przeniósł je do kupionego właśnie mieszkania przy calle Perú, naprzeciw przekłętą skrzyżowania San Juan, na którym uprowadzono ich pewnego letniego dnia 1978 roku. Poukładał rzeczy Elsy w szafie w swojej sypialni, w Szafie Zakazanej, nad którą czuwał bez ustanku.

Wszystkie jej sukienki tam były, poskładane na górnej półce, czerwona o odcieniu pomarańczowym przypominająca piegi Elsy, jej bluzki, krótkie spodenki. Rubén spał z tym, co pozostało mu z siostry, z jej smętnymi ubrankami i szkolnym zeszytem,

w którym zamknął ich koszmar.

Ofiara.

Czyli ścierwo.

Odłożył sukienkę na miejsce i zamknął oczy, pragnąc już nigdy ich nie otwierać.

– Mój kwiatuszku...

Padał deszcz, kiedy wcisnęła guzik domofonu.

## 7

Wysoka jak na Indiankę Jana była smukłą kobietą o pódługich włosach czarnych jak jej oczy, z których pradawny smutek zdawał się kapać wraz z deszczówką na słomiankę.

– Pan Rubén Calderón? – spytała chrapliwym głosem.

– Tak...

Indianka Mapucze, sądząc po oczach w kształcie migdałów. Miała na sobie obcisłe ciemne drelichowe spodnie, stare glany o wytartych czubkach, przemoczoną płócienną bluzę, którą trzymała w ręce, i koszulkę bez rękawów podkreślającą krągłość ramion. Była bez stanika – nie potrzebowała go.

– Dowiedziałam się, że pan szuka zaginionych – powiedziała. – Od syna praczki tu niedaleko...

– Tak. Tak, proszę wejść... – Rubén otrząsnął się z zamyślenia i wskazał jej fotel klubowy, w którym zazwyczaj sadzał gości. – Proszę spocząć.

– Jestem Jana – przedstawiła się. – Wolę postać.

Szybko obrzuciła wzrokiem agencję – kuchnia z salonem, biblioteka, zagracone biurko z secesyjną lampą i ogłoszenia o poszukiwaniu zaginionych przypięte do ściany, uprowadzeni świadkowie w procesach, dziesiątki twarzy, które zdawały się spojierać na nią z nieoznaczonego grobu. Jana obróciła się do

detektywa, który zamknął właśnie pancerne drzwi, i rozpoznała obraz zawieszony nad kanapą w stylu lat sześćdziesiątych – *Panny dworskie Velázquez*.

– Oryginał? – spytała żartobliwie.

Rubén się uśmiechnął.

– Kawy?

– Nie.

– Może coś innego?

– Nie, dziękuję.

Paula miała słuszość co do Calderóna – szczyt elegancji w porównaniu z jej łąchami i antracytowe oczy pocętkowane maleńkimi niezapominajkami, których przejrzysty błękit pozbawił ją tchu. Wyglądał, jakby dopiero co płakał...

– Nie przeszkadzam?

– Nie – skłamał. – Gdyby pani przeszkadzała, nie wpuściłbym pani.

Jana rozluźniła się trochę.

– Calderón to pana prawdziwe nazwisko? Takie jak tego poety?

Detektyw uniósł brwi.

– Zna go pani?

Jana wzruszyła ramionami. Mroczna poezja Daniela Calderóna niegdyś kołysała ją w ciemnościach – i przepędziła je na zawsze. Pisarz zniknął w czasach Narodowego Procesu Naprawy. Jak Haroldo Conti, jak Rodolfo Walsh... Torturowani, bici, straceni.

Rubén nie miał ochoty rozmawiać o ojcu.

– Mogę spytać, co panią sprowadza?

Jana zapomniała o twarzach zmarłych na ścianie i niezapominajkach ślących rozpaczliwe sygnały.

– Parę nocy temu popełniono zbrodnię w porcie w La Boce –

odparła. – Koło starego promu znaleziono zwłoki mężczyzny... Słyszał pan o tym?

– Tak, zauważyłem notatkę w gazecie.

– Ma pan dobre oczy, mało kto zwrócił na to uwagę – stwierdziła Jana. Rubén zapalił papierosa z paczki leżącej na niskim stoliku i czekał na dalszy ciąg. – Ofiara to nasz przyjaciel. Luz, transwestyta, który łapał klientów w dokach. Policja zataiła, że Luz była torturowana, zanim jej ciało porzucono w porcie. Obcięto jej genitalia – dodała posepniejszym głosem. – Myślę też, że została zgwałcona.

– Skąd pani o tym wie?

– Z przyjaciółką szukałyśmy Luz i wtedy natknęłyśmy się na gliniarzy, którzy wyciągali zwłoki z wody. Zabrali nas do komisariatu na przesłuchanie, ale ostatecznie nie chcieli spisać naszych zeznań i zwyczajnie nas wywalili – wyjaśniła. – Dzwoniłam tam dziś rano, żeby spytać, jak posuwa się śledztwo, spławili mnie jednak. Ktoś musi się tym zająć. Facet, który zmasakrował Luz, nie skończy na tym – mówiła z przekonaniem. – Do niej na pewno nikt niczego nie miał, znaczy żadnych osobistych wątw. Morderca to czubek, zboczeniec najgorszego rodzaju.

Rubén wpatrywał się w nią, w nią i w jej czarne oczy przemyte deszczem.

– Moja praca polega na poszukiwaniu zaginionych w czasie rządów junty i ich oprawców. – Westchnął. – Przykro mi, sprawy prywatne to nie moja broszka.

– Syn praczki też jest transwestytą. To mój jedyny przyjaciel i zależy mi na nim. Ktoś morduje transwestytów w La Boce, policja ma to gdzieś, a ja nie chcę, żeby Paula była następna.

– Pani przyjaciel też się prostytuuje?

– Nie każdy ma szczęście pracować w rewii.

– Ani się zestarzeć.

– Dlatego tu jestem – odparła Jana. – Nikt nie widział Luz przed zabójstwem, ani w dokach, ani nigdzie indziej. Nie wiadomo, co się stało, czy morderca jest klientem czy po prostu sadystą. Wiemy tylko, że w nocy Luz zostawiła Pauli wiadomość na komórce, chciała o czymś ważnym jej powiedzieć, a o świcie w porcie znaleziono jej zwłoki... Paula wzięła ją pod swoje skrzydła – dodała dla wyjaśnienia. Z kieszeni spodni wyjęła arkusik, kartkę wyrwaną z notatnika. – Nie mam zdjęcia Luz, ale narysowałam ją... z pamięci. – Podała kartkę Rubénowi. – Może się przyda.

Autobus przejechał z takim rykiem, że szyby w oknach zadrżały. Rubén rozłożył kartkę, ujrzał twarz młodego mężczyzny o melancholijnych oczach... Rysunek wykonano węglem.

– Jest pani artystką?

– Rzeźbiarką. Na odwrocie wypisałam miejsca, w których Luz i Paula zwykle plątały się nocą. Wczoraj Paula obeszła wszystkie i nic nie znalazła, ale może pan będzie miał więcej szczęścia. Jak Luz nagrywała wiadomość, w tle grała jakaś muzyka. Pewnie to miejsce publiczne...

Jana z przemoczoną kurtką w rękach próbowała odgadnąć myśli mężczyzny skrytego za obłokiem dymu. Stał przed niskim stolikiem w salonie, nieco górując nad nią.

– To jak? Zajmie się pan tym?

Rubén zwrócił jej rysunek.

– Przykro mi, nie mam zupełnie rozeznania w środowisku transwestytów. A przede wszystkim nie mam czasu.

– Ale zgodzi się pan.

– Tak? Czemu tak pani myśli?

– Bo to jedyny sposób, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Mówiła syllogizmami. Nie wzięła od niego rysunku, położyła go więc na stole.

– Myli się pani co do mnie – powiedział. – Nie jestem człowiekiem, którego pani potrzebuje. Nie do takiego dochodzenia.

– Przecież tego pan nie wie, dopóki nie spróbuje – nalegała Jana.  
– Niech mi pan pomoże zatrzymać tego gnoja, zanim znowu kogoś dopadnie. Zanim dopadnie moją kumpelę.

Rubén otoczył się gęstszą chmurą dymu. Nie powinien był jej wpuszczać.

– Zajmuję się zaginionymi za dyktatury – powtórzył. – Tylko zaginionymi.

– Paula musi szukać klientów na ulicy, żeby wyżyć. Boję się o nią, boję się, co może ją spotkać. Rozumie pan to czy pan też jest z kamienia?

Łzy już dawno wyschły w jej czarnych oczach. Rubén czuł ich dramatyczne spojrzenie, gdy Jana zrobiła krok w jego kierunku.

– Nie mam kasy, ale mogę zapłacić inaczej – powiedziała zadziornie.

Zastygł, kiedy położyła kurtkę na oparciu fotela.

– Nie potrzebuję pieniędzy.

– Ale na pewno ma pan ochotę mnie przelecieć.

Zmierzył ją krótko wzrokiem.

– Nie.

Oczy mu błyszczały. Kłamca.

– Niech pan nie zgrywa dżentelmena sztywniaka – cynicznie rzuciła Jana. – Wszyscy mają ochotę na dymanko. A mnie nie zależy.

Rubén zgasił niedopałek, który parzył go w palce.

– Przykro mi.

– Tylko panu.

Oczy Indianki wpatrywały się w niego jak wilcze ślepia w wylot lufy.

– Źle pani trafiła. Nic nie mogę zrobić. A tym bardziej po takiej zachęcie. Nie jestem z tych, co wykorzystują wojnę albo rozpacz, proszę wybrać, co pani pasuje.

Jana czuła suchość w gardle. Wyzywająco spojrzała na niego z wysokości swego metra siedemdziesięciu pięciu centymetrów.

– Nie podobam się panu?

Otoczający ich świat był podły.

– Proszę wrócić do domu – powiedział Rubén nagle potwornie zmęczony.

Jana nie rozwarła zaciśniętych zębów – ma nauczkę, żeby nie prosić o pomoc takich jak ten *winka*. Rumieniec rozlał jej się na policzkach, gdy pomyślała o swoich szczurzych piersiach pod bluzką. Pewnie poczuł się nimi zniesmaczony ten Porteño o pięknych delikatnych dłoniach, pewnie przywykł do innego towaru. Ze wstydu zaraz zamieni się w kamień tutaj, pośrodku jego biura.

– Przykro mi – powtórzył Rubén, widząc łzy perlące się na rzęsach Indianki. – Nie mam teraz czasu, ale znam kogoś, policjantkę biegłą w swoim fachu. Mogę jej szepnąć...

– Nie trzeba – ucięła Jana.

Złapała kurtkę i wyszła, nie obdarzywszy detektywa ani jednym spojrzeniem. Przeciąg pomógł jej z hukiem zatrzasnąć pancerne drzwi, ożywiając na chwilę twarze zmarłych na ścianie...

Za otwartym oknem grzmiało. Rubén stał bez ruchu szarpany sprzecznymi uczuciami. I oczywiście zaraz dopadła go chandra. Jego wzrok padł na kartkę zostawioną na stole, na twarz, którą



Indianka węglem narysowała dla niego, niewątpliwie przekonana, że przyjmie zlecenie... Za gardło chwyciła go litość – rysunek był kapitalny.

\*

Prababka na łożu śmierci dała Janie nóż. Angela była ostatnią kobietą z ludu Selknam, braci Mapucze, który od wieków żył na Ziemi Ognistej. Pewnego dnia na ich zimne, pokryte lodem wyspy dotarły statki rybackie, przywożąc choroby i broń, i wszyscy Selknamowie poumierali. Została jedynie ona, Angela, tak stara, że jej dłonie składały się z samych zmarszczek. Jana miała zaledwie siedem lat, lecz była najstarsza i trochę krwi Selknamów płynęło w jej żyłach. Angela wręczyła dziewczynce swój wysłużony nóż z trzonkiem z kości wieloryba, aby przetrwało przynajmniej wspomnienie o niej, ale co najważniejsze, powierzyła jej sekret niezwykłego teatru, jakim był rytuał hain. Jana jedno i drugie zachowała na honorowym miejscu w pamięci pełnej historii, niesamowitych historii, które staruszka opowiadała jej od najmłodszych lat: występował w nich Shoort, Xalpen, Shenu, Kulan, która zstąpiła z niebios, by dręczyć ludzi...

Jana dorastała na pampie w prowincji Chubut, pośród równin najżyźniejszych na świecie. Wtedy liczyły się dla niej zwłaszcza dwie krowy: nieśmiała jałówka, której trzeba było szukać w brzuchu matki, Eyew („Tam” w języku mapudungun) i jej siostra Ti Kude („Stara” – nie wiadomo dlaczego). Jana, dziecko delikatne, żywe i ciekawe, znała śpiew wysokich traw pieszczonych wiatrem, rozróżniała ich rozliczne dźwięki, posępny szelest liści i krótkie pogwizdywanie łodyg sztywnych jak drut, jęki wiatru, które narastały i gasły między gładkimi trzcunami na bagnach, niosąc

wieść o mżawce albo burzy. Płaskie tereny pozwalały jej widzieć to, czego człowiek się domyśla, i domyślać się tego, czego nie widzi. Jedenastoletnia Jana, jak wszystkie dziewczynki Mapucze w okolicy, niewiele wiedziała o świecie. Znała stanowczy głos ojca, pracowite ręce matki i jej uśmiech rzadko goszczący na ustach, gonitwy i kłótnie z bratem, lecz nie znała żadnego *winka* – obcego. Tradycyjnie Mapucze uznawali państwo i społeczeństwo zachodnie w najlepszym razie za ciało obce, w najgorszym za niepokonanego wroga. Dla niej *winka* byli jeszcze abstrakcyjnymi postaciami, imionami.

Niektórzy przyjeżdżali do nich czasem wielkimi autami ubrani w obcisłe stroje i krawaty. Rozprawiali z jej ojcem, Cacho, który był werkenem, przedstawicielem wspólnoty. Elokwencja dawała mu prawo przemawiać w imieniu innych. Od jego umiejętności porozumienia zależał los wszystkich. Liczono na niego, ponieważ problemy się mnożyły. Cacho z dnia na dzień coraz bardziej posepniał. Nie mówił dzieciom, że *winka* przepędzają wspólnotę, która domaga się pozostania na ziemi przodków – nie mówił im, że mają się uczyć, iść na studia i zostać prawnikami, aby bronić praw swojego ludu.

Nikommu przez myśl nie przeszło, co się stanie. Jana spała w łóżku z siostrą, gdy żandarmi wyłamali drzwi domu. Wielkoludy o stalowych głowach wpadły do nich z bronią w garści, wrzeszcząc jak opętane. Dziewczynki obudziły się przerażone. Wyciągnęli je z łóżka i popchnęli w objęcia matki, która w kuchni drżała ze strachu z resztą rodziny. Wymyślali im po kastylijsku, z dzikim zapalem niszcząc cały ich skromny dobytek. Łomotali podkutymi buciorami, ciskali rzeczami o ściany, barczyste chłopcy o dudniących głosach z wojennymi znakami na mundurach, w hełmach na

głowie... Jana skamieniała zahipnotyzowana wściekłym natężeniem ich gwałtowności.

Kiedy nie zostało już nic, kiedy wszystko było w ruinie, zaczęli bić jej ojca, przedstawiciela wspólnoty, bili go kolbami i pałkami po głowie, po plecach; szli na całość w kilku, wrzeszcząc, by nawzajem dodawać sobie odwagi, gdy werken leżał twarzą w piachu. Jego żona sparaliżowana strachem jęczała jak puma przed strzelbą myśliwego, tuląc dziewczynki do nocnej koszuli. Jana widziała tylko ich: *winka* byli ohydni, straszni, wielcy jak buldożery niszczące wszystko na swej drodze, bluzgający słowami, których jedenastoletnia dziewczynka nie rozumiała. Jej pobity ojciec, leżący pośrodku zrujnowanej kuchni, już nie protestował. Spomiędzy rozbitych warg wyciekała mu strużka zakrwawionej śliny. Cacho miał zamknięte oczy, toteż nie widział, jak ludzie w hełmach odsuwają dzieci, aby zająć się ich matką. Jana natomiast widziała.

Zobaczyła Zło. W oczach. Zobaczyła jego białe wykrzywione oblicze, widziała matkę jęczącą, kiedy ze śmiechem zrywali z niej koszulę, aby ją upokorzyć.

Jana miała wtedy jedenaście lat i od tamtej nocy piersi przestały jej rosnąć. Ani drgnęły. Mijały dni, miesiące, lata, a jej pierś pozostawała rozpaczliwie sucha, jałowa, pozbawiona życia, jak przodkowie Mapucze wypędzeni ze swoich ziem. Biust stał się dla Jany tabu, jej cierpieniem i wstydem. Największą okrutną zniewagą dla kobiecości, czymś, z czego wszyscy mężczyźni się naigrawali – piersi z kości, dwie grudki wypalanej ziemi, dwie rybki przypięte na wierzchu, przyszpilone motyle, piersi, które niczego nie mogły dać, najwyżej nieco mleka zważonego krwią, piersi bez kobiety, które nigdy nie nakarmią dziecka: w wieku jedenastu lat Jana dokonała ich autoamputacji.

Nie mówiła o nich, nikomu ich nigdy nie pokazała, nawet Pauli. Pierwszy chłopak, któremu się oddała, nie zadawał pytań, następni myśleli tylko o seksie, Farlan o swoich rzeźbach, żaden inny facet nie tracił z nią więcej czasu, niż potrzebował, by sobie ulżyć... Jana waliła brodą w kierownicę forda – co sobie myślała? Że ugłaska Calderóna taką szpetną namiastką cycków?!

Wycieraczki poruszały się miarowo na deszczu. Vega 5510, Palermo Hollywood. Paula czekała przy Niceto schowana przed deszczem, a kiedy dostrzegła reflektory gruchota, wypadła na chodnik, stukając obcasami, z pasiastą torebką nad głową, aby ochronić perukę, nawet nie pośliznęła się na mokrym bruku, otworzyła drzwi auta i z płaczem rzuciła się Janie w ramiona.

– Co się dzieje? – zaniepokoiła się Indianka. – Źle poszło?

Bezskutecznie próbowała uspokoić przyjaciółkę, lecz jej drobne ramiona drżały niepohamowanie pod płaszczem spryskanym perlistymi kroplami deszczu. W końcu łagodnie odsunęła Paulę, której tusz się rozmazał na policzkach rozpalonych po spotkaniu w lokalu.

– I co?

– Jestem... jestem przyjęta do rewii – wydusił wreszcie transwestyta. – Ktoś z zespołu zrezygnował... Widziałam się z Gelmanem, tym choreografem. Angażuje mnie na trzy występy w Buenos Aires... To... taka niespodzianka, Jana, taka niespodzianka!

Mapucze się skrzywiła łobuzersko, choć radośnie, patrząc na łzy Pauli: trzy występy w modnej knajpie nie wydobędą jej z kłopotów, nie pozwolą zrezygnować z numerków w samochodzie ani nie ustrzegą przed utratą zębów w razie niefortownego spotkania, ale pierwszy krok jest zawsze najtrudniejszy, prawda?

– Ekstra, staruszko, na pewno zrobisz furorę! No już – besztala ją łagodnie – przestań ryczeć, wszystko upaśćkałaś tuszem!

Deszcz wciąż zalewał popękana przednią szybę forda. Szczęście dosłownie dusiło Paulę, i to tak mocno, że potrzebowała dobrych dwóch minut, aby się pozbierać. Jana podała jej paczkę chusteczek, które się kurzyły w schowku, pomogła jej otrzeć łzy.

– Dzięki... – Paula pociągnęła nosem. – Dzięki... A tobie jak poszło? – spytała, kiedy udało jej się opanować emocje. – Udało się z tym detektywem?

– Odprawił mnie z kwitkiem – przyznała się rzeźbiarka, pochmurniejac.

– Ojej...

– No.

– Kurczę, szkoda – powiedziała Paula ze smutkiem. – A wyglądał na równego gościa.

– Jak widzisz, to nie wystarczy.

Zanim Jana wsiadła do samochodu po wyjściu od Calderóna, dobry kwadrans chodziła w deszczu, żeby się uspokoić – tak, naprawdę zachowała się jak ostatnia kretynka!

– Ale to nic – oświadczyła. – Poradzimy sobie bez niego.

– Tak?

– W przyszłym tygodniu zespół skończy występy w Niceto, a ty znowu trafisz na ulicę. Nie ma mowy, żebyś się włóczyła po nocy, skoro w pobliżu kręci się morderca. Może Luz zostawiła w squacie jakieś papiery, które pozwolą ją zidentyfikować. Wtedy gliniarze będą musieli powiadomić rodzinę i przeprowadzić śledztwo jak należy. Wiesz, gdzie Luz mieszkała, tak? Wpadnijmy tam, może uda się coś znaleźć.

Na króciutką chwilę zapadła cisza.

– Chcesz chodzić po dzielnicy? – Paula przełknęła ślinę. – Po nocy?

– Nie martw się, o tej porze nikogo tam już nie ma.

– No właśnie! A jeśli nas zaatakuje?

Wykrzywiła się tak paskudnie, że Jana zachichotała, co obu im znakomicie zrobiło – ona też była u kresu wytrzymałości nerwowej.

Na szachownicy miasta bieda się rozcieńczyła. W przeciwieństwie do stref nędzy w Wielkim Buenos Aires, ulokowanych na wysypiskach albo terenach zalewowych, barrios, dzielnice właściwego miasta, tworzyły wyspy w samym jego sercu. Ludzie, którzy się tu cisnęli, znali warunki życia, o jakich nawet się nie śniło klasie średniej, niespotykane nigdzie indziej na kontynencie południowoamerykańskim. Wyrzuceni z centrum w czasach dyktatury, na powrót zajęli wolną przestrzeń po powrocie demokracji – było ich teraz sto pięćdziesiąt tysięcy rozproszonych w barrios. Tym ludziom wszystkiego brakowało – wody pitnej, edukacji, leków. Analfabetyzm, przemoc i przestępczość uzupełniały obraz życia ubogiej ludności, której położenie było nie do pozazdroszczenia.

Wciśnięta za dworzec autobusowy w Retiro, gdzie przesiadali się robotnicy przybywający z przedmieść i turyści kierujący się do wodospadu Iguazú, Villa 31 była najbardziej zauważalną strefą biedoty w Buenos Aires. Luz mieszkała na sąsiadujących z nią nieużytkach w okolicy dworca kolejowego San Martín – pozostawione odłogiem pięć hektarów, które setki rodzin, często obcokrajowców, kilka miesięcy wcześniej zajęły z wielkim wrzeniem. Przy tej okazji padło także kilka strzałów na rozsądzenie sporów. Burmistrz Francisco Torres posłał tam siły policyjne, lecz squattersi je odepchnęli, domagając się terenu

z dostępem do wody i prądu.

Ford Jany niezbyt odstawał tutaj od otoczenia: w podłodze pojawiały się dziury, wybite okno zasłaniał zatknięty za drzwi ręcznik kąpielowy, aby deszcz nie padał do środka. Dojeżdżały do rejonów, które wyglądały jak dotknięte klęską żywiołową, do szeregów byle jakich baraków ledwie widocznych po ciemku. Według Pauli, która pomogła swojej protegowanej urządzić się tutaj, Luz mieszkała w budzie w pobliżu obory.

Przecinająca barrio droga gruntowa usiana była odpadkami. Ford ostrożnie omijał dziury i śpiące psy, unikał cieni wyłuskiwanych z ciemności przez reflektory. Minęły kilka nieoświetlonych baraków, nad którymi krzyżowały się nielegalnie podciągnięte przyłącza, i wreszcie natrafiły na oborę. Luz zajmowała lokum po sąsiedzku, budę z cegieł i pustaków nakrytą blachą falistą.

Jana zgasiła reflektory, samochód pogrążył się w ciemności. Miejsce było ponure i puste.

– Idziemy – powiedziała, wyjmując latarkę ze schowka.

Ostrożnie zatrzasnęły drzwi, jakby ciemności mogły ich zdradzić. Choć Paula szła jak po sznurku, obcasy ślizgały jej się w błocie.

– I jak, Lady Di? – szepnęła Jana.

– Kurwa!... – zakląła Paula, chwytając się jej ramienia.

W świetle latarki pojawiły się dwa błyszczące punkciki: ślepią pokrytego parchami psa, który się kręcił za barakiem. Na ziemi leżała kłódka. Łańcucha nie było. Jana pchnęła uchylone drzwi i omiotła latarką wewnątrz squatu. Przybory kuchenne, zmajstrowane własnoręcznie meble, szafa na ubrania, parawan ze wschodniej tkaniny, nawet tapety – wszystko znikło. Pozostały tylko okna zasłonięte workami plastikowymi, które wydymał nocny

wiatr. Widocznie sąsiedzi pozabierali, co się dało... Jana poświeciła na ziemię, znalazła opakowania po jedzeniu, kawałki plastiku, klamerki do bielizny, podeptane zdjęcia z czasopism.

– Jeśli Luz miała jakieś dokumenty, to je wywiało – powiedziała.

– Uhm...

Paula rozmyślała o perukach. Luz zaczęła od tanich, chciała mieć jak najdłuższe włosy, tymczasem podkreślały męskie cechy rysów, ale potem za radą Pauli dobrała krótszą perukę, która zupełnie zmieniła jej twarz.

– Peruki – szepnęła w ciemności.

– Co: peruki?

– Luz miała pudło na kapelusze, które jej podarowałam w prezencie, jak tu przyszłam. Na pewno gdzieś je schowała. Za ładną perukę trzeba zapłacić jak za zboże, więc Luz nigdy by ich nie zostawiła na widoku. A bez peruki człowiek jest niczym – dodała. – Jeżeli miała do ukrycia coś cennego albo ważnego, włożyła to tam.

Wiatr wciskał się przez dziury w plastiku. Jana jeszcze raz omiotła latarką ziemię.

– Zdziwiłoby mnie, gdyby pod tą kupą gnoju było ukryte wejście...

Paula ściągnęła kremowy płaszcz pod szyję, kiedy Mapucze oglądała ceglane ściany; wszystkie były jednakowe z wyjątkiem oddzielającej kącik kuchenny od sypialni, wyraźnie grubszej... Schyliwszy się, Jana stwierdziła, że jakieś dwanaście cegieł nie jest spojonych zaprawą. Podała latarkę kumpeli, która dygotała za jej plecami.

– Poświeć mi tu, zamiast się brandzłować.

– No wiesz!... – obruszyła się Paula dla formy.



Jana wsunęła ostrze noża w szparę i raz-dwa wyłuskała pierwszą cegłę. Kolejne wyszły łatwiej. A na koniec wyciągnęła ze skrytki okrągły przedmiot.

– Właśnie to – potwierdziła Paula, zaglądając jej przez ramię. Pudło na kapelusze, które sprezentowała Luz.

Jana zdmuchnęła kurz z wieka, zanim je zdjęła. W środku faktycznie była peruka, wenecki blond, krótkie równo obcięte włosy, które Luz często nosiła, poza tym boa, czarne aksamitne rękawiczki, różowe pióro wieczne i... koperty. Dziesiątki zaklejonych kopert bez znaczków, zaadresowanych tak samo: Państwo Lavallo, Junín... Rodzice? Zajrzała na dno pudła i znalazła dwa słoiczki po aspirynie, wysypała ich zawartość na dłoń. W świetle latarki zobaczyły malutkie torebeczki, w każdej były kryształki jakiejś substancji. Jana nabrała odrobinę na język, skrzywiła się: no jasne, *paco*, poprodukcyjne odpadki dragów, które rozpirzają najuboższych... Paula wyraźnie się speszyła.

– Nie ćpała, co? – mruknęła Jana.

\*

Za czytanie listów wzięły się dopiero po powrocie do atelier Jany, gdzie zasiadły z mrożoną wódką, aby dojść do siebie.

Było ich około trzydziestu, napisane zostały w formie pamiętnika co najmniej dziwnego... Orlando „Luz” Lavallo udawał, że koresponduje z rodzicami w najczystszej południowoamerykańskim stylu. Pierwsze listy pochodziły z okresu, gdy przyjechał do stolicy kraju. Opowiadał o pięknie Buenos Aires, licznych muzeach, uroczych parkach, w których koty śpią między modernistycznymi rzeźbami, o architekturze budynków publicznych, operze zupełnie jak paryska. Duch estety

bił ze zdań skreślonych przez rozgorączkowanego młodego mężczyznę, archetyp prowincjusza przybyłego do wielkiego miasta. W następnych listach Orlando pisał, że znalazł pracę jako pomywacz, potem jako chłopak do parzenia kawy, wreszcie jako kelner w restauracji przy calle Florida, jednej z głównych ulic centrum. Płaca według niego była przyzwoita, liczył, że przeniesie się z pokoiku na poddaszu, który wynajmował, słono płacąc staremu zgryźliwemu kutwie nazwiskiem Angelo Barbastro. Dalej mówił o swoim spotkaniu z Alicią, dziewczyną, która często zaglądała do restauracji i pewnego wieczoru zapytała go, kiedy kończy pracę, bo mogliby się spotkać w modnej kawiarni w Palermo, gdzie schodzi się artystyczna młodzież. Alicia była malarką piękną jak dzień, który ich połączył. Zwróciła uwagę na szkice Orlanda, w wolnych chwilach bowiem dla zabawy rysował sobie klientów. Sportretował ją, wyjątkowo mu się udała ta praca i Alicii bardzo się spodobała. Alicia zna wielu artystów, ludzi niespotykane wesołych, którzy mu pomogą, jeśli będzie chciał. Ciężką pracą można wszystko osiągnąć, a Orlando swoją pasję mógł opłacić choćby galerniczym trudem, gotów był na wszystko. Potem pewnego wieczoru Alicia odprowadziła go do jego służbówki na poddaszu, pocałowali się i odtąd byli nierozłączni, znajomi artyści przyjęli go do swojego grona, wspaniale rysuje, bla-bla-bla... Orlando zmyślił wszystko od początku do końca.

Rzeczywistość była inna: brud, głód, strach, wstawanie o chłodzie albo w dusznym skwarze squat u pozbawionego wody i prądu, załatwianie potrzeb fizjologicznych na polu odpadków, mycie się w miednicy, pomoc zbieraczowi mąki w upieczeniu chleba, karmienie dzieciaków z oczami obsiadłymi przez muchy, przygotowanie się do wyjścia, snucie marzeń, póki patrzył na swoje

odbicie w lusterku, po czym jak zwykle razy, groźby, gliniarze, agresywni homofobiczni kibice, których należało unikać, by nie stracić zębów jak Paula, lesbijka Jil o żelaznych pięściach przy wejściu do Transformera, Jorge uzależniony od kokainy i inni, rzeczywistością była Luz, mały transfałek, który szukał klientów na końcu nabrzeża w dokach i którego brano sobie za parę peso, o ile nie obrywał po pysku, żeby się nauczył być pedałem, *paco* wciskane innym ćpunom, wszystkie te patetyczne kłamstwa wymyślane, aby wytrzymać i nie sprawić przykrości rodzicom, którzy przecież o niczym nie wiedzieli.

Paula poczuła się oszukana, zdradzona. Nie dość, że jej protegowany nie wszystko jej powiedział, to jeszcze oszukiwał wszystkich. Jana też zwiesiła nos na kwintę, siedząc na samochodowej kanapie w swojej pracowni. Młody transwestyta nie był przypadkową ofiarą okrutnej zbrodni popełnionej w dokach: zamordowano go z konkretnego powodu, który na razie im umykał...

## 8

Zapach kadzidła unosił się znad marmurowych przejść między nawami. Rosa Michellini zaciągnęła dokładniej zasłonkę konfesjonału, jakby ktoś mógł ją zobaczyć. Kościół tymczasem był pusty o tej porze.

– Rozmawiała pani z synem? – zapytał ksiądz Josef.

– Och, nie! Mój Boże, nie!

– Ale to, co mi pani kiedyś opowiedziała... – przypomniał duchowny.

Rosa rzuciła czujne spojrzenie na człowieka w sutannie, którego postać rysowała się za kratką: o czym on mówi?

– O Miguelu, swoim synu – ciągnął łagodnym głosem. – Pamięta pani?

– A, tak! – zawołała, przypomniawszy sobie w samą porę. – Tak, powiedziałam mu, żeby się leczył! Że jest chory na kobiety! Tak, tak – cieszyła się. – Kazałam mu iść do lekarza.

Przebierała paciorki różańca jak Chińczyk, który liczy w myślach.

– I tyle?

– A co? – zuchwale odparła staruszka. – To mało po tym, co przez niego musiałam znosić? Dziś w nocy znowu wrócił o pogańskiej porze!

Więcej Rosa nie pamiętała. Za dużo grzybków w barszczu.

– Nic więcej mu pani nie powiedziała? – drażył ksiądz. – No wie pani, nie o wszystkim się pamięta. Niezbadane są ścieżki Pana, ale spokój duszy osiągniesz przez spowiedź. Mów, córko, mów, a Pan Bóg ci pomoże.

– Tak, tak... tak...

Jednakże Rosa Michellini zdawała się znowu nieobecna: trzymaną na kolanach broszurkę kościelną potargała na drobne kawałki, które z osobliwym zapamiętaniem zwijała teraz w kulki. To oznaka dużej nerwowości, pomyślał ksiądz, który już widział, jak to samo robi z włosami – nawiasem mówiąc, obraz był dość przerażający.

– Roso... – rzekł kojącym tonem. – Mogę pani pomóc.

Praczką uśmiechnęła się bezwiednie, reagując na pieszczotę jego głosu. Na krótko nastał spokój w jej głowie nękanej burzą: modliła się przecież, modliła się za Miguela, modliła się dzień i noc za zbawienie jego wynaturzonego ciała i duszy, nie mogła się więcej modlić na darmo, jakby jej złożone dłonie nie były dobre, jakby one także płaciły za winy, których nie popełniły, a raczej popełniły nie naprawdę – nie same... W sumie przecież, myślała, jej mąż także maczał w tym palce, mimo że tylko ona chciała mieć dziecko, ale można powiedzieć, że biedaczyna wcale się nie spisał!

Zwijała nerwowo papierowe kulki, myślami błądząc gdzie indziej.

– Nie powiedziała pani synowi o tej wizycie z zeszłego tygodnia? – nalegał ksiądz Josef aksamitnym głosem.

– Nigdy nie przyjmuję wizyt! – Rosa aż podskoczyła na wózku inwalidzkim. – A Miguel tym bardziej. Nie pozwoliłabym mu!

Połknęła papierową kulkę, nie zdając sobie z tego sprawy.

– Roso, chodzi mi o wizytę, o której pani powiedziała, pokazując

mi ten dokument. Pamięta pani? Ma go pani jeszcze? Syn go widział?

– A skądże!

– To znaczy?

– Wie ksiądz, że on bierze jakieś pigułki? Widziałam kiedyś na zapleczu. Hormony, na pewno hormony! Żeby mu piersi urosły! – pieniała się nieszczęsna staruszka. – Zobacz ksiądz, on kiedyś każe sobie obciąć przyrodzenie!... Ajja-jaj, mój Boże! – jęczała przy konfesjonale. – Mój Boże, co takiego zrobiłam, żeś mnie tak pokarał? Życie to jedno wielkie gówno! Ojciec Josefie, proszę, ratuj mnie! Ratuj mnie ode Złego!

Kapłan odchrząknął, zachowując cierpliwość.

– A ten dokument, który oglądałem... ma go pani?

– To tajemnica!

– Tak, tak – uspokoił ją. – Komuś jeszcze pani o nim powiedziała?

– Co?

– Może Miguelowi, swojemu synowi?

– Musi ksiądz z nim pogadać! – ożywiła się staruszka. – Zaraz! Musi ksiądz przyjść, zanim będzie za późno!

– Co... o czym pani mówi?

– O jego przyrodzeniu! – oznajmiła, połykając znowu kulkę z broszury. – Demon jest zdolny do wszystkiego! Nawet może go sobie uciąć! Straszne!... Trzeba... musi ksiądz mi pomóc! – I zakrztusiła się.

Zaczęła kaszleć niepohamowanie, aż z oczu pociekły jej łzy. Stropiony ksiądz Josef westchnął za kratką konfesjonału: staruszka popadała w demencję.

– Dobrze – powiedział wreszcie. – Pogadam z pani synem...

Na jej ustach widział poprzyklejane strzępki papieru.

– Ha!... – Rosie aż odebrało mowę na moment. – Biada mu! Tym razem biada mu! To dopiero będzie!

Tak, pomyślał kapłan, z dnia na dzień ma większą demencję...

## 9

Rubén i Anita Barragan dorastali w tej samej dzielnicy, w San Telmo. Znali się tylko z widzenia – dziewczyna zdecydowanie miała zbyt jasne włosy, aby się nią zainteresował – dopóki Anita w dwunastym roku życia nie urosła o dziesięć centymetrów.

Metamorfoza nie przeszła w dzielnicy niezauważona, lecz Anicie pozostał ten sam problem co dotąd: nieładna twarz, którą skrywała za jasnokasztanowymi teraz włosami, za grzywką jak kurtyna zaciągnięta na jej żalnym teatrze. Co tam wymiary, co tam nowe duże ciało, które aż się prosiło o użycie – Anita co rano budziła się z tą wstrętną gębą. „Jak po randce w O.K. Corral”, mawiała. Garbaty nos, w jej mniemaniu krzywy, za małe oczy, zbyt jasna skóra, usta jak z bibułki papierosowej... Anita nie mogła ścierpieć swojego nijakiego nieruchomego oblicza, na dodatek asymetrycznego, oblicza, które nie odpowiadało kanonom piękna żadnej epoki. Unikała luster z tą swoją uśmiechniętą maską, unikała odbicia w witrynach, jakby jej „wstrętna gęba” zajmowała całe miejsce. Chłopaki zresztą wyraźnie jej to uświadamiali: o ile czasem któryś szedł za Anitą ulicą, gwizdząc, o tyle żaden się za nią nie obejrzał.

Anita żyła odwrócona tyłem.

Rewersem.



Awers straciła.

Anita sobie roiała.

Od najmłodszych lat była zakochana: uważając się za brzydulę, wybrała najładniejszego, najbardziej imponującego, najbardziej niedostępnego chłopaka w dzielnicy, Rubéna Calderóna oczywiście, wysokiego bruneta o niesamowicie seksownym chodzie, faceta, który w czasie Narodowego Procesu Naprawy stracił ojca i siostrę – krótko mówiąc, bohatera o oczach takich, że serce pękało, o wrodzonej powadze i z niedużym nosem będącym przeciwieństwem jej organu powonienia. Anita zaczepiła go na ulicy, kiedy rozmawiał z ładną brunetką w minispódniczce. Stała przed nim, podając mu starannie zapakowaną paczuszkę, którą młody wówczas chłopak otworzył w końcu z pełną rozbawienia ciekawością. W środku znajdował się niby to naiwny obrazek – statek unoszący się na morzu łez, w charakterze kapitana Anita, która pozdrawiała go z mostka... „Żeby Ci towarzyszył w życiu, w którym nigdy nie będziemy razem”, podpisała obrazek nastolatka najpiękniej, jak potrafiła. Rubén pożegnał wtedy ładną brunetkę i postawił Anicie truskawkowe lody włoskie, najpyszniejsze, jakie kiedykolwiek jadła.

Spotkali się ponownie kilka lat później pod oknami Juana Martína Yedra, ułaskawionego policjanta: Anita i jej koledzy studenci, upojeni pieśniami odwetu młodzieży karmionej iluzjami po upadku dyktatury, oblali czerwoną farbą ściany domu oprawcy, potem trzymając się pod rękę, podskakiwali z okrzykami: „Federały, narodowy wstyd!”. Rubén, wówczas dziennikarz, stał samotnie z boku, jakby obserwował teren przyszłych łowów. A potem zaprosił ją na lunch. Tak się zaczęła ich dorosła przyjaźń. To, że siedem lat później Anita Barragan wstąpiła do tej samej

policji, w której był tamten oprawca, wcale nie było największym paradoksem. Po ukończeniu studiów prawniczych pomyślnie zdała egzamin na inspektora, po czym machistowskie kierownictwo przerzuciło ją z posterunku na posterunek, aż wylądowała w komisariacie w San Telmo, dzielnicy, w której się wychowała, w brygadzie 911 patrolującej centrum Buenos Aires.

Komisarz Ledesma, stary paternalistyczny gliniarz względnie odporny na korupcję, kierował zespołem mniej więcej czterdziestu agentów, których ostatecznie zmarginalizowała nowa elitarna policja powołana przez burmistrza.

Adwokat, biznesmen i były prezes klubu Boca Juniors, Torres celował w najwyższy urząd – w pałac prezydencki. Jego ojciec Ignacio zarobił fortunę na winie w czasie boomu lat 90. i sfinansował pierwszą kampanię wyborczą syna: Francisco Torres otwarcie skłaniał się ku prawemu skrzydłu peronistów, które tworzyło trzon opozycji, i powszechnie było wiadomo, że burmistrz stanie na jej czele. Wyposażenie, broń, techniki śledcze, naukowe wsparcie policji, kształcenie – burmistrz zmodernizował system represyjny w Buenos Aires przy wielkim wsparciu systemów łączności. Kierowanie elitarną jednostką policji, mającą się stać „argentyńską policją jutra”, powierzył Fernandowi Luquemu. Nie skąpiono ani na środki, ani na metody: rok wcześniej Luque został oskarżony w sprawie nielegalnych podsłuchów, uniewinniono go jednak – zarzuty oddalił sędzia bliski Torresowi.

Tymczasem dwukolorowy fiat dziewięćsetjedenastki zgarniał pijaków, damskich bokserów, mącicieli, nielicznych złodziei, kieszonkowców. Anicie, inspektorowi bez dochodzeń, pozostało szkolenie pryszczatych stażystów, którzy więcej czasu spędzali na gapieniu się na jej piersi niż na obserwowaniu ulicy, co było mało

motywującym zajęciem dla osoby o jej kompetencjach. Marzyła niegdyś o nieziemskich namiętnościach, a teraz, z czterdziestką na karku, mieszkała samotnie w kawalerce w dzielnicy Parque Patricios z Obłokiem, szarym kotem, który squatował kawałek jej łóżka, wiodąc żywot równie marny jak agentka z patrolu.

Anita i Rubén spotkali się w El Cuartito, starej pizzerii w centrum zatłoczonej w porze lunchu. Ściany aż do przesytu obwieszane były pożółkłymi plakatami z Maradoną i innymi piłkarzami w obcisłych spodenkach z lat 70. i 80., pozwalając zapomnieć o napływającym z kuchni zapachu sera taśmowo topionego. Pośród urzędników Anita i Rubén odrywali po kawałku pizzy XXL, anonimowi w gwarze komentarzy odnoszących się do meczu, który niebawem miał być rozegrany. On był w koszuli i czarnej zamszowej kurtce chłonej na krzesła kuchenne zapachy, ona w granatowym mundurze z trzema górnymi guzikami rozpiętymi, aby jej wspinała pierś mogła oddychać. Detektyw opowiedział Anicie o telefonie Marii Campallo do gazety, o swojej wizycie u jej rodziców, o reakcji matki, kiedy się dowiedziała o ciąży córki, o ojcu dziecka, piosenkarzu, który zlecił mu odnalezienie fotograficzki.

Kelnerzy lawirowali między krzesłami, dźwigając tace zastawione parującymi daniami. Anita nachyliła się do swojej miłości z dziecięcych lat, aby nie przekrzykiwać hałasu.

– I czego ode mnie oczekujesz? Że ot, tak – strzeliła palcami – roześle komunikat o zaginięciu w sprawie córki jednego z najpotężniejszych ludzi w kraju?

- Nikt nie zgłosił jej zaginięcia – zauważył Rubén.
- O samobójstwie pomyślałeś?
- Spotkałaś się z samobójstwem ciężarnej?

– Zależy, co nosi w brzuchu – powiedziała policjantka. – Wyobraź sobie, że to nie jest dziecko Jo Prata, tylko jakieś monstrum, owoc gwałtu czy nie wiadomo jakiej potworności.

– Czytasz za dużo babskich pism, *querida*.

„Kochanie”, tak ją nazywał, aby pomóc jej polubić siebie. Otarł usta papierową serwetką, którą zmiął i rzucił na talerz.

– OK – podsumowała Anita. – Przyjmijmy, że Maria Victoria się ulotniła, że odkryła coś w związku z działalnością ojca albo kogoś z jego przyjaciół powiązanych z kampanią Torresa, wyobraźmy sobie, że ze strachu się ukrywa. Widziałeś dużo dzieci, które zarzucają rodzicom nabijanie sobie kabzy?

– Maria nie zadzwoniła do gazety, żeby pogadać z Carlosem o wyprawce dla dziecka – zwrócił uwagę Rubén.

– Była zaangażowana politycznie? Znaczący przeciwko ojcu?

– Z tego, co wiem, nie.

– Przyznaj, że do rozesłania komunikatu to trochę mało.

– Jej komputer też znikł. No chyba że zabrała go ze sobą. Może jest w nim klucz do sprawy. Carlos pracuje nad tym, ale zejdzie mu trochę – ciągnął. – Anita, potrzebuję twojej pomocy, żeby ją odnaleźć. Jeśli poczuła się zagrożona, mogła uciec za granicę. Sprawdź w imigracyjnym, czy zostawiła jakiś ślad. Potrzebowałbym też billingów z jej komórki – mówił Rubén, pisząc jakieś cyfry na rogu stołu. – Mam tylko zestawienie z zeszłego miesiąca... – oderwał kawałeczek papierowego obrusu i wsunął pod szklanę Anity. – Tu masz jej numer.

Anita dmuchnęła w swoją blond grzywkę – pociła się w mundurze wśród tylu samców wydzierających się w rytmie pizz wyjeżdżających z pieca, a Rubén dołował ją rozbrajającym uśmiechem, którym boski drań posługiwał się po mistrzowsku.

– Wiesz, że nikt nie może cię powiązać z gliniarzami? – przypomniała mu. – Jeśli ktoś się dowie, że to informacje od ciebie, oberwę jak nic.

– Poradzisz sobie.

– Nie ty będziesz na celowniku.

– Ani przy celowniku. Masz chyba jakiegoś kumpla w imigracyjnym, nie?

– Już dawno nie sypiamy ze sobą – odparowała policjantka.

– Na pewno snuje ciepłe wspomnienia.

– Ciii...

Anita rozmyślała nad obrzynkami brzegów pizzy. Lata służby przygasiły jej cerę, mundur pozbawiał ją seksapilu, lecz Rubén widział w niej małąlatę z lodami truskawkowymi i oczami podlotka, którymi pożerała go bez reszty.

– No dobra... – westchnęła, chowając numer telefonu Marii do kieszeni. – Zobaczę, co da się zrobić.

– Dzięki, *querida*.

– Taaa...

Wstała pośród gwaru, cisnęła swoją serwetkę Rubénowi w twarz, po czym starym jak świat babskim sposobem zmyła się do toalety, kołysząc biodrami. Rubén zamówił dwie kawy i korzystając z nieobecności Anity, uregulował rachunek.

Blondynka szybko wróciła przypudrowana, prawie pociągająca mimo stroju.

– Dzięki – powiedziała, widząc pieniądze na stole.

– Była paskudna – przyznał, żeby poczuła się lepiej.

Rozlazły uśmiech Anity przypominał pizzę. Szybko uporali się z kawą.

Czarne chmury zasnuwały niebo, kiedy wyszli z knajpki

w centrum. Rubén zapalił i poczuł się lepiej na świeżym powietrzu. Myślał o rzeźbiarce, która poprzedniego wieczoru go odwiedziła, o jej prośbie w związku z morderstwem w La Boce. Już przedtem pokazał Anicie podobiznę transwestyty narysowaną węglem. Policjantka słyszała o trupie znalezionym przy starym promie, ale nie miała pojęcia, jak go okaleczono...

– Jasna cholera! – krzyknęła, spojrzawszy na zegarek. – Jestem spóźniona!

Uścisnęła go szybko – pachniała wanilią, wonią najpowszechniejszą na świecie.

– Jeszcze coś – zatrzymał ją Rubén na momencik. – Ituzaingó sześćdziesiąt dziewięć... Mówi ci to coś?

Anita o dziwnie asymetrycznej twarzy zmarszczyła brwi.

– Nic – odparła. – A co to jest? Klub swingersów?

\*

Ituzaingó 69, słowa nabazgrane na skrawku papieru znalezionym w dzinsach Marii Campallo. Rubén podjechał pod noszący taką nazwę budynek przy San Martín, wypytał także parę związkowców, którzy wraz z falą prywatyzacji stracili wszystko, zatrudnienie i godność, a teraz jako tako żyli, udzielając się w klubach swingersów. Nigdy nie słyszeli o Marii Victorii Campallo ani o jej ojcu. Ostatniej nocy detektyw ruszył innym tropem – grupy rockowej Ituzaingó z dzielnicy o tej samej nazwie w Castelar Norte: dwa tygodnie wcześniej muzycy grali w Teatro de la Piedad na rogu Bartolomé, dość podłym nocnym barze związkowym, gdzie tego wieczoru basistka grupy produkowała się solo. Głos oczyszczony przez komputer, nastrój w stylu CocoRosie na stacji księżycowej: zapytana po występie młoda brunetka oświadczyła, że

nigdy nie spotkała fotograficzki – są skromną grupą powstałą spontanicznie na północnym przedmieściu.

Ten trop zatem prowadził donikąd. Rubén dał sobie z tym spokój i pojechał do Palermo, gdzie szewc Marii Victorii po dwóch dniach weekendu otworzył zakład. Nie zważając na smród kleju i przepoconych butów, pokazał mu wizytówkę znaną w popielniczce w lofcie. Szewc, człowiek dość miły, potwierdził, że panna Campallo tydzień wcześniej zostawiła u niego parę butów do podzelowania.

– I nie przyszła po nie?

– Nie – odparł szpakowaty szewc. – Podobno jej się spieszyło, ale dotąd ich nie odebrała... Ech, młodzi! – prychnął wyrozumiale.

– Wie pan, czemu jej się spieszyło?

– No, potrzebne jej do tańca.

– Do tańca?

– Oczywiście do tanga.

Oczywiście.

– Mogę je zobaczyć?

Po chwili szewc postawił na kontuarze damskie buty do tanga, które musiały deptać po niejednym parkiecie.

– Jeśli pan też się przymierza, radzę wybrać inny fason – zażartował.

– Wygląda na to, że Maria często tańczy. Wie pan gdzie?

– Wiem, że lekcje ma w La Catedral – odparł szewc. – Już od jakiegoś czasu...

W klubie tanga niedaleko centrum. Rubén chciał zapłacić za podzelowanie butów i za fatygę, lecz szewc odmówił.

– Dziewczyna sama po nie przyjdzie.

To nie było takie pewne.

Rubén wrócił do domu z nieco większym ciężarem na sercu. Wciąż myślał o Indiance, która poprzedniego wieczoru zapukała do drzwi agencji, o jej czarnych oczach obmytych deszczem, o jej propozycji. Biedna, czyżby tak bardzo była zdesperowana? Wieczne cienie zaczynały spowijać fasady budynków przy calle Perú, kiedy na jego komórkę zadzwoniła Anita. Według imigracyjnego Maria Victoria Campallo nie opuściła kraju w ubiegły weekend, natomiast we środę, czyli dwa dni przed zniknięciem, udała się do Colonii w Urugwaju i tego samego dnia wróciła.

– Do Colonii?

– Tak. Promem.

Rubén wpisał nazwę do wyszukiwarki internetowej. Bingo. „Ituzaingó 69”: to nie był adres w Argentynie, lecz w Colonia del Sacramento w Urugwaju.

\*

Sterna wywalonych rzeźb zalegała wzdłuż porzuconych hal – kawały żelastwa, silnik, ramy rowerowe, koła rykszy, rury, przerdzewiałe tablice, mutry od lokomotywy, wały korbowe obrośnięte cierniami. „Garderobera” Pauli znajdowała się w głębi ogrodzonego terenu dawnego dworca, za kretyńskim gigantem z giętej blachy przedstawiającym policję federalną: ustawiona na pustakach omszała przyczepa kempingowa, w której transwestyta trzymał swoje babskie skarby z dala od oczu matki.

Paula potrzebowała błyskotek, perfum, ludzi jak „ona”, w których wyuzdanym śmiechu pobrzmiwała samotność; Miguel potrzebował mężczyzn, którzy braliby go za kobietę. Matka nigdy go nie rozumiała ani nie akceptowała takiego, jaki był. Czy byłoby inaczej,



gdyby w domu mieszkał mężczyzna? Miguel niewiele zachował wspomnień z dzieciństwa, prawie wcale nie pamiętał swego ojca Marcela poległego w czasie wojny o Malwinę, kiedy okręt flagowy argentyńskiej floty poszedł na dno wraz z trzystoma marynarzami. Czarna karta w dziejach Argentyny. W tym miejscu urywała się ich historia. Miguel miał wtedy pięć lat, został sam z matką, Rosą, kobietą pobożną, lubiącą czystość i porządek – tyle że wcześniej ujawniły się jej skłonności maniakalno-depresyjne. Już jako małego chłopca układała go do snu tak starannie, że łóżeczko wyglądało jak sarkofag: z pierściami mocno owiniętymi pościelą Miguel spał zawsze z uczuciem, że się dusi – może to psychosomatyczne wytłumaczenie jego problemów sercowych? Wszystkie przedmioty i sprzęty ustawione były z iście wojskową dokładnością, zabawki ograniczały się do zestawu samochodzików i figurek żołnierzy, choć chłopczyk nie umiał się nimi bawić. Życie zastygło po śmierci ojca, bohatera, którego kult Rosa pielęgnowała. Śmiech w domu uważany był za obrazę zmarłego zajmującego swoją nieobecnością całe miejsce.

Miguel wychodził tylko do szkoły i nigdzie więcej, najwyżej z matką do kościoła, gdzie atmosfera była nie inna od domowej. Za to, jak sobie mówił, wizyty kuzynek powodowały przejście do czynów. Musiał zapełnić pustkę, którą miał w sercu, straszną pustkę, której nie potrafił sobie wytłumaczyć... Bez wykształcenia, zmuszony pomagać Rosie w pralni, nigdy nie przedsięwziął prób uniezależnienia, nie mając w gruncie rzeczy takiej możliwości. Odwzajemniona miłość z pewnością pomogłaby mu odejść od matki, lecz jego potrzeba przemiany kłóciła się z pożądaniem i drugim człowiekiem: w wieku dwudziestu lat Miguel zrozumiał, że nigdy nikogo nie zdoła pokochać. Tak naprawdę pokochać – tak, jak

ludzie powszechnie to sobie wyobrażają. I z tego powodu umrze. Albowiem tym drugim człowiekiem był on.

Narczyż. Historia z odbiciem, okrutnym brakiem siebie, który daremnie próbował wypełnić, przebierając się. Nie tylko Miguel był „chory”: zaalarmowany pogorszeniem stanu matki, wywiedział się o jej maniackalne stany.

Ludzie dotknięci geofagią jedzą ziemię, koprofagią – ekskrementy; osoby cierpiące na zespół Roszpunki zjadają własne włosy, przeżuty papier, różne pozostałości po jedzeniu. Rosie groziła niedrożność jelit i inne poważne powikłania związane z tym, co medycyna uważała za zachowania bulimiczne. W każdym razie nieodzowne było leczenie psychiatryczne. Jeszcze jedno zmartwienie dla Miguela. Od jak dawna matka chorowała na zespół Roszpunki? Czy zjadała, co miała pod ręką, ledwie odwrócił się do niej tyłem? Jak dużo zjadała? Czy powinien ją oddać do szpitala, i to szybko? I jeszcze ten choreograf, rewia w Niceto – co by się stało, gdyby miał możliwość pojechać z zespołem dalej w trasę, co Gelman dał mu do zrozumienia? Czy nadal powinien się wyrzekać wszelkich myśli o szczęśliwym życiu i opiekować się szaloną matką?

Tego wieczoru Paulę czekała premiera. Ledwie miała czas, by powtórzyć swój układ, zderzenie z rzeczywistością wprawiało ją w mętne podniecenie – czy stanie na wysokości swoich marzeń? Peruka w kolorze wenecki blond, jej ulubiona, spoczywała na podstawce. Kiedy weszła Jana, Paula kończyła makijaż, siedząc przed przechylnym lustrem z opaską na gładko spiętych włosach, w otoczeniu błyskotek i wacików.

– Gotowa? – spytała Indianka od drzwi „garderoby”.

Paula krótko mrugnęła żyrafimi rzęsami.

– Prawie!

W przyczepie pachniało pudrem i paczuli. Paula odłożyła przybory kosmetyczne, przyjrzała się z uwagą swojej twarzy.

– O której ta rewia się zaczyna?

– O drugiej na scenie – odparła artystka – z tym że muszę być o jedenastej do charakteryzacji i kostiumów... Och, Jana! Umieram z tremy, ale to boskie! – trajkotała, przewracając oczami przed lustrem. – Trasa, wyobrażasz sobie? Mogłabym wstawić sobie ząb, może nawet kupić... kupić...

– Gumę do żucia – odpowiedziała koleżanka.

– Na przesłuchaniu mocno bajerowałam, ale nigdy nie pokazałam takiego show! – ciągnęła Paula w swojej bańce ozdobionej cekinami. – Niewykluczone, że zrobię się jak żółw: po prostu skamienieję! Wiesz, co mówią o tremie? Że podobno można się nawet porobić w majtki!

– No to pięknie ci wyjdzie występ – zauważyła Jana.

– Przyjdiesz, co?

– Jasne.

Paula zdobyła zaproszenie dla przyjaciółki, która właściwie nigdy nie zostawiała tych swoich blaszanych rzeźb. Dobrze jej zrobi taka odmiana.

– Paula?

– Tak, skarbie?

– Czemu nie przeprowadzisz się tu na stałe? Nie czekaj, aż twoją matkę wezmą do szpitala. Wcześniej czy później ją zamkną, a ta trasa to może twoja życiowa szansa. Nie zmarnuj jej.

Jana miała przed oczami starą wariatkę z siwiejącymi płoworudymi włosami i złą twarzą, kobietę niezdolną nikogo kochać. Niech szejnie w piekle!

– No? – ponagliła Paulę.  
– Nie wiem... – westchnął syn praczki. – Nic już nie wiem...  
– Taka okazja nie co dzień się trafia. Dostałaś znak. Życie jest usłane znakami. Idź za nimi.  
– Może i masz rację. Może to Luz posyła mi znak z miejsca, gdzie teraz jest... Biedaczka...  
– To jak?  
Nałożywszy perukę, transwestyta obrócił się na krześle wysłanym różowym misiem.  
– Jestem gotowa!  
Uśmiechnięta Paula makijaż miała jak na ślub na Wenus. Jana westchnęła – uparciuch, że szkoda słów...

Sarmiento 4006 na rogu Medrano: z dala od klubów San Telmo, w których wielkie głosy produkowały się dla starannie dobranej publiki, La Catedral nie prezentowała się zachęcająco z holom oświetlonym neonówkami, ze schodami z lat 50. wyłożonymi glazurą i ze wstępem za dziesięć peso.

Na piętrze jednak wszystko się zmieniało.

Testosteron, toksyny, *empreintes codées* i feromony zderzały się jak ślepe namiętności w spowitej półcieniami sali. Rubén wkroczył w trzewia tanga, wszedł do teatru tańca, który ponad stulecie wcześniej narodził się w *conventillos*, starych kamienicach wynajmowanych rodzinom imigrantów albo przekształconych w domy schadzek. Nazwa tego miejsca wzięła się od starej drewnianej katedry, w której dzisiaj mieściła się świątynia innego rodzaju. Ciepłe światło iskrzyło się na ogromnych czerwonych draperiach ograniczających przestrzeń. Wyglądało to imponująco pięknie. Gigantyczny portret Gardela górował nad parkietem, na którym pary stawały w szranki: tańczono tu tanga krokiem

skrzyżowanym, zawsze wprawiające w zdumienie. W mroku siedzący przy stołach tancerze, którzy czekali na swoją kolej, obserwowali się nawzajem w subtelnej grze znaczących spojrzeń: za chwilę przyjdzie im się objąć, często partnerzy w ogóle się nie znali, czasem nie zamienili nawet słowa, a będą musieli wyczuć i odgadnąć intencje prowadzącego, zanim uczynią nieunikniony pierwszy krok.

Dwie blondynki typu skandynawskiego czekały w pobliżu parkietu, aż jakiemuś ogierowi wpadną w oko. Rubén pomyślał o swoim ojcu (Daniel Calderón napisał kilka wierszy o „dwugłowym potworze” tanga), po czym skierował się ku ciężkim czerwonym kotarom zasłaniającym bar, długi kontuar ze starego drewna, przy którym miłośnicy tanga wychylali kielicha między jednym tańcem a drugim. Pod koślawymi lampionami stare plakaty pięły się po ceglanych murach odartych z tynku; z głównego wiązania dawnej katedry zwisała rzeźba jakiegoś plastyka, wielkie szkarłatne zakneblowane serce, które zdawało się unosić pod belkowaniem.

– Coś to panu przypomina? – usłyszał, gdy wpatrywał się w górę.

Rubén obrócił się do czterdziestoletniej brunetki o stromych piersiach, dość pociągającej mimo haczykowatego nosa.

– Miłość, nie? – odpowiedział.

Obrzuciła wzrokiem wiszące nad nimi dzieło.

– Uhm – przytaknęła. – Tańczy pan?

Zauważył, że jest w butach do tanga.

– Jak ostatnia noga – wyznał Rubén.

– Tak? Nie wygląda pan na takiego! – I roześmiała się zaraźliwie.

– W tym świetle tak się wydaje, ale marny ze mnie tancerz. Często pani tu przychodzi?

– Nie.

– Szkoda.

– Tak – uśmiechnęła się. – Szkoda...

Elegancki młody człowiek z trzydniowym zarostem sprzątał puste kufle z kontuaru. Rúben zostawił samotną tancerkę, zamówił u barmana pisco sour i pokazał mu zdjęcie Marii Victorii.

– Znasz tę dziewczynę? Może ją tu widziałeś?

– Nie – odparł chłopak po chwili. – Tu przychodzi dużo ludzi...

– Maria Victoria Campallo – rzekł Rubén, kiedy chłopak miażdżył lód. – Powiedziano mi, że przychodzi tu tańczyć.

Barman skończył przygotowywać koktajl, zerknął znowu na zdjęcie na kontuarze, skrzywił się wymijająco, potrząsając shakerem.

– Ja tam nie wiem... – Napełnił kieliszek białym musem. – Trzeba spytać Lolę i Nica. Oni znają wszystkich.

– Gdzie ich znajdę?

– O, tam. – Skinieniem głowy barman wskazał stolik obok.

Lola i Nico w przerwie tańca siedzieli z dala od innych. Rubén zostawił barmanowi hojny napiwek i zabrał kieliszek z koktajlem.

Mocny makijaż, czarny kapelusz, siatkowe pończochy, czerwona suknia opływająca biodra – Lola miała na sobie kompletny strój do tanga z wyjątkiem tenisówek włożonych, aby stopy odpoczęły. Jak wielu Argentyńczyków oboje musieli dorabiać, toteż w ciągu dnia produkowali się na tarasach barów w La Boce, gdzie turyści niedojdy, zafascynowani udawanym spółkowaniem w tangu, w zamian za kilka peso fotografowali się uwieszeni na nich w zmysłowych pozach. Wiezorami udzielali lekcji w La Catedral. Nico mówił w *lunfardo*, żargonie *conventillos*. Jego partnerka Lola siedziała nabzdyczona: wolałaby być opiekunką do dzieci niż

uliczną tancerką podniecającą frajerów. Kiedy Rubén podszedł do ich stolika w rogu, masowali sobie stopy po wieczornych lekcjach. Przedstawił się, krótko wyjaśnił, o co mu chodzi, na poparcie swych słów pokazując zdjęcie Marii Victorii. Nico, cały kanciasty, pochylił się nad fotografią na matowym papierze.

– Znam – przyznał zaraz. – Dałem jej kilka lekcji w lecie... Miła dziewczyna, dość zdolna.

Lola siedziała wyniośle skrzywiona.

– Widziałeś ją ostatnio? – spytał Rubén.

– Przelotnie w zeszły weekend. Była tam – odparł Nico, wskazując stolik w cieniu pod reflektorami. – Ale nie miała lekcji.

Detektywowi przeszły ciarki po skórze.

– Kiedy to było?

– W piątek.

W dniu, gdy Maria zadzwoniła do Carlosa do redakcji. Nowe chmurne pary uwijały się na parkiecie, lecz dla Rubéna nie istniały.

– Była z kimś?

– No. Z taką małą rudą mocno umalowaną w stylu disco-brokat-solarium – zakpił Nico, by uniknąć zgromienia przez swoją panterę. – Posiedzieli pewnie z godzinę... A co?

– Posiedzieli? – podchwycił Rubén.

– Nie trzeba być znawcą, żeby się zorientować: ta ruda to transwestyta! – zawołał wypomadowany tancerz, przekrzykując dźwięki bandoneonu.

Rubén miał przy sobie rysunek węglem wykonany przez Indiankę. Rozłożył kartkę bardziej nerwowo, niż chciał okazać.

– Ktoś taki?

Nico przyglądał cieniutki wąsik, zerkając na swą partnerkę,

która przyzwoliła obojętnym wzrokiem.

– Tak – potaknął. – Dość podobny.

Rubéna przeszedł dreszcz w ciepłym świetle reflektorów: Luz.



# 10

Zalany w trupa młody Jankes wysiadł z taksówki z piwem w ręce i rzucił szoferowi kilka peso za kurs. Wyraźnie chcąc się popisać przed czterema laskami, które z nim były, ominął długą kolejkę przed wejściem do klubu Niceto, pyskował, że mu się należy jako naturalnemu przywódcy wolnego świata, zaprotestował, kiedy Rubén wszedł przed nim, i w końcu bramkarz wyrzucił go wraz z jego gwiazdami na koniec kolejki przy wtórze dogadywań ze strony nocnych hulaków.

Najmodniejsza w Buenos Aires knajpa pękała w szwach w związku z zapowiedzianym przedstawieniem, które właśnie osiągało apogeum: muzyka mechaniczna, stroboskopy na tłumie ogarniętym ekstazą. Setki ludzi cisnęły się przed ogromną sceną. A prezentowany show na chwilę odebrał Rubénowi mowę.

Blondynka o posągowych kształtach jak wyjęta z komiksu erotycznego, wystrojona w króciutką spódniczkę i mundur marynarski, tańczyła wyuzdanie w świetle jupiterów, a przy okazji lizała swoją partnerkę, ubraną w męski garnitur smukłą brunetkę o wypomadowanych włosach, która obejmowała lachona łakomymi nogami. Nie zważając na pieszczoty dwóch piękności, łysy transwestyta, sto sześćdziesiąt kilo żywej wagi okryte jedwabiem, brał od tyłu młodego muskularnego gladiatora w masce i z

trójzębem w garści; jego kumple legioniści rzymscy wpychali miecze między pośladki strasznie uległym chłopcom, lizali plastikowe klingi i stroili lubieżne miny do nagrzonej publiki, która była w siódmym niebie. Seksualna egzekucja, rozpusta bez zahamowań, częste zmiany partnerów, lesbijki, pedały, transwestyci, poniżane kobiety albo faceci – wszelkie pozycje i układy tworzyły się na scenie w Niceto, orgiastycznym lupanarze wymyślonym przez kreatywnego współczesnego Sade’a. Club 69, tak się nazywał zespół prezentujący ekstrawagancką pornokomiczną choreografię.

Była czwarta rano, trzeci lokal, który Rubén tej nocy odwiedzał. Paula w lewej części sceny kręciła tyłkiem w czerwonej kiece z migotliwych cekinów; promieniejąc, z dziesięciokaratowym uśmiechem z racji brakującego zęba, syn praczki robił loda gigantycznemu dziobowi różowego łabędzia, który zdobił scenę w głębi. Od lat mijali się na calle Perú. Nasycona Paula poklepała ptaka po kuprze na znak, że ma dobry gust, odwróciła się do publiki, która owacjami przyjmowała wszystko, i wtedy rozpoznała człowieka przed proscenium – detektywa, który na migi powiedział jej, że czeka w barze po przedstawieniu.

Rubén przepchnął się przez mocno wstawiony tłum i zamówił drinka przy najbliższym kontuarze. Zobaczył sterylnie seksowne młode Amerykanki, które się wyginały przy rytmach techno house, odebrał swoją szklankę nad rzędem klientów, których średni wiek nie przekraczał trzydziestki. W zamyśleniu obserwował, jak schlane ogiery krążą wokół blondynek, gdy naraz przy drugim końcu baru dostrzegł Janę. Niknące w mroku czarne włosy, czarna koszulka bez rękawów i boskie ramiona. Ona także go dostrzegła.

Przecisnął się przez tę schlaną menażerię.

– Co pan tu robi? – spytała rzeźbiarka zaskoczona spotkaniem, które nie mogło być przypadkowe.

– Szukam pani – odparł Rubén, przekrzykując hałas.

Jana chciała mu zrobić miejsce, lecz ze wszystkich stron pchano ich na kontuar.

– Myślałam, że nie warto sobie nami zawracać głowy? – udawała zdziwienie. – Skąd pan wiedział, że tu będziemy?

Rubén nachylił się do jej ucha.

– Zostawiła mi pani listę knajp, do których chodzą ci pani transwestyci – powiedział w jej włosy. – Obszedłem trzy, a jak tutaj gość przy wejściu powiedział mi o przedstawieniu, od razu pomyślałem sobie: oho!

– Brawo, Sherlocku! – zaśmiała się gardłowo.

Rubén położył banknot na kontuarze zalanym piwem.

– Jeśli postawię pani drinka, nie oberwę nim w pysk?

– Nie śmiałabym zniszczyć takiego wytwornego stroju – zastrzegła uprzejmie.

Calderón na koszuli miał skórzaną kurtkę, fason z lat sześćdziesiątych. Wartą pewnie tyle co jej dwie, trzy rzeźby.

– Nie wychowywałem się ze srebrną łyżeczką w ustach – poinformował.

– Była za duża?

Rubén wybuchnął śmiechem pośród pijaków i naraz odmłodził o dziesięć lat.

– No to czego się pani napije?

– Tego samego co pan – odparła.

Ściągnął wzrokiem barmana, zamówił dwa pisco sour. Jana była niemal jego wzrostu, stała tak blisko, że czuł jej piżmowy zapach.

– Czego pan chce od Pauli? – spytała.

– Powiem pani, jak dostaniemy drinki. Za duży tu bajzel.

Musieli niemal krzyczeć, aby nawzajem się słyszeć.

– W każdym razie wtedy u pana skłamałam – wyznała Jana popychana przez podcięty tłum. – Wcale nie mam na pana ochoty!

– I tak by się pani zawiodła.

– Nie jest pan w moim typie.

– Co? – nachylił się do niej, by powtórzyła.

– Nie jest pan w moim typie! – krzyknęła.

Rubén podał jej kieliszek, który właśnie wylądował na kontuarze, i pociągnął ją w poszukiwaniu spokojniejszego miejsca. Ludzie tańczyli nawet w przejściach i korytarzach, wszędzie kręcili się naprani goście. Znaleźli zastawiony pustymi kieliszkami stolik na tyle daleko od parkietu, by można rozmawiać; na kanapce obok chrapał jednooki facet w pirackiej opasce i rozchełstanej koszuli, prawdopodobnie zostawiony tu przez kumpli. Nie ruszając pijaka, usiedli na wolnych miejscach. Rubén zdjął kurtkę, poprawił mankiety koszuli.

– No to po co chciał się pan z nami zobaczyć? – spytała rzeźbiarka, rzuciwszy płócienną kurtkę na kanapę.

– Tego waszego kumpla, tę Luz, widziano w klubie tanga w zeszły piątek – wyjaśnił. – Był z kobietą, z Marią Victorią, córką Eduarda Campalla, bogatego biznesmena, który finansuje kampanię burmistrza. Kojarzy ją pani?

Jana patrzyła na jego ręce. Przez słomkę duszkiem wypila połowę pisco, odpowiadając grymasem.

– W życiu o takiej nie słyszałam.

– Maria Victoria zniknęła tego wieczoru, kiedy Luz został zamordowany – ciągnął detektyw. – Nie wiem, co się z nią stało, szukam jej od soboty. Okazuje się, że dwoje świadków widziało ich

razem w La Catedral kilka godzin przed zabójstwem tego waszego kumpla transwestyty... – Tu Jana się skrzywiła. – Maria Campallo jest fotograficzką. Pomyślałem, że może z pomocą pani i Pauli uda mi się poskładać to do kupy.

– Jakaś porąbana historia – skomentowała Jana.

– Ano...

– Myśli pan, że córka Campalla też została zamordowana?

– Wiadomo by było, gdyby gliny przeczesaly port. Ale mówiła pani, że raczej nic nie robią w tej sprawie.

Mapucze kombinowała nad kieliszkiem, zapomniawszy o wstydzie, który ją ogarnął poprzedniego dnia, kiedy wyszła z agencji Rubéna – dziwne spotkanie...

– Jak to się czasem śmiesznie sprawy obracają, prawda? – zauważyła.

– Po prostu są powiązane.

Skrzyżowali swobodnie spojrzenia. Jana w sposób zupełnie naturalny przeszła na „ty”.

– Nie wiem, czy na coś ci się to przyda, ale wczoraj w nocy przeszukałam z Paulą squat, w którym mieszkała Luz. Znalazłyśmy listy zaadresowane do jej rodziców w Junínie. Chciałam się z nimi skontaktować, nie znalazłam jednak nazwiska w książce. Może mają telefon zastrzeżony albo nie żyją. Luz bajerował wszystkich – wyjaśniła – od rodziców poczynając. Pasowałoby do nich pojechać, ale nie wiem, czy mój gruchot wytrzyma.

Junín leżało w szczerzej pampie pięćset kilometrów od Buenos Aires.

– Jak się nazywają?

– Lavallo. Luz naprawdę nazywała się Orlando. Orlando Lavallo.

W squacie znalazłyśmy też dragi – dodała Jana. – Działki *paco*, które Luz rozprowadzała pewnie w dzielnicy. Pauli nigdy się do tego nie przyznała.

Rubén kiwnął głową: fotograficzka miała w szafce nocnej kokę i trawkę, nic takiego w porównaniu z *paco*.

– Wiesz, kto mu dostarczał towar? – zapytał.

– Nie, ale Luz mogła wleźć w paradę jakiemuś dilerowi z La Boki i bydlak zmasakrował ją ku przestrodze.

Wojna gangów i córka Eduarda Campalla w samym centrum strzelaniny... La Boca przylegała do San Telmo. Rubén znał miejscowych ćpunów, tych, którzy mogli przystawić nóż do gardła, by zdobyć kasę na dragi. Ich zwłoki znajdowano czasami na tym czy innym podwórku przeludnionej kamienicy. Maria w towarzystwie Luz mogła się znaleźć w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, lecz coś w tym scenariuszu nie pasowało.

– Maria była w ciąży, kiedy znikła – powiedział – a *paco* to najgorsze gówno na rynku. Nie bardzo mi się widzi, żeby truła dziecko takim świństwem.

– Chyba że chciała się go pozbyć.

– Ty to masz pomysły!

– Ale po coś się spotkali.

Jana dopiła koktajl przy namiętym brzmieniu basów. Ponad ramieniem detektywa zauważyła Paulę usadowioną na kolumnie greckiej, którą dwaj gladiatorzy w stringach popychali do fosy. Paula podrygiwała w rubinowej sukni oświetlonej reflektorem punktowym, posyłała pudrowane całusy rozhisteryzowanemu tłumowi, niemal ekstatycznie uśmiechając się ze szczęścia.

Rubén wpatrywał się w Janę, myślami wyraźnie błędząc gdzie indziej. Skorzystała z jego nieuwagi, by przyjrzeć się wymyślnym

kosmykom ciemnych włosów, które opadały mu na czoło.

– Wiesz, jak się nazywa policjant, który zabrał Luz z portu? – ocknął się.

– Andretti. Dowódca nocnego patrolu. Facet zdolny do wszystkiego.

Rubén znał ze słyszenia tego oszołoma. Zerknął na zegarek: dochodziła piąta rano.

– OK – potwierdził.

– Co: OK?

– Pogadam z nim – rzekł ze sposępniałym wzrokiem.

Odstawił kieliszek na wilgotny blat. Kieliszek Jany był już pusty. W jej indiańskich żyłach płynął teraz alkohol, czuła w nich mrowienie.

– Idę z tobą.

\*

Wszelkiej maści bandziory i gangi traktowały argentyńską policję jak rywala, jeszcze jedną uzbrojoną grupę mającą bronić przestępczości na wysokim szczeblu przed pospolitą. Porządek był ustalony: broń krążyła w nielegalnym obiegu powiązanim z policją i wojskiem, aresztowanym młodym oprychom spuszczano solidne manto i dopiero potem negocjowano z nimi uwolnienie w zamian za część albo całość łupu. Ale że łupy były mizerne, co tłumaczyło słabość gliniarzy do rozwiązań ostatecznych, przejście na stronę wroga było dla przestępców sposobem na „legalne” zarobki, a dodatkowo ratowało im skórę.

Popychadło, funkcjonariusz na patrolu, człowiek do wszystkiego – rola agenta Troncóna zmieniała się w zależności od nastroju przełożonego, którym był Andretti. Jesus Troncón najpierw czyścił

kible w komisariacie i cele po zgarniętych pijakach, potem sierżant wpadł na pomysł, aby powierzać mu zadania specjalne. „Praktykant elektryk” – tak stało w jego karcie. Mógł więc się przydać do rozbierania alarmów, odcinania prądu w squatach na korzyść inwestorów budowlanych...

Tego wieczoru posadzono go w dyżurce. Troncón poznał Indiankę, która wparowała nocą do komisariatu, nie miał natomiast pojęcia, kim jest przybyły z nią wysoki brunet. Facet z ogniem w oczach przypadł do kontuaru dyżurki.

– Jest sierżant Andretti? – rzucił, nie racząc się przedstawić.

Jesus odłożył „świerszczyk” pod stertę marnych fotokopii. Elegancki strój faceta kontrastował ze zdewastowanym komisariatem, Troncón nie bardzo też rozumiał, co z nim robi ta *negrita*.

– Zajęty – oświadczył z miną stosowną do okoliczności. – O co chodzi?

– O zamordowanego transwestytę, którego wyłowiliście w porcie – odparł Rubén.

– A, tak.

– Idź po niego.

Jana przestępowała z nogi na nogę koło sztucznych roślin. Komisariat świecił pustką, nie było nawet zatrzymanego pijaka ani ćpuna na głodzie wrzeszczącego w celi.

– Otrzymałem rozkazy. Ja tu decyduję! – zeźlił się agent Troncón, marszcząc niskie czoło. Ale widać było, że jest zdetonowany.

– Dobrze, dobrze – zniecierpliwiał się Rubén. – Gdzie biuro szefa?

– W głębi po prawej – wtrąciła Jana.

– Nie ma go – ostrzegł młodzik.



– Robisz zeza, jak kłamiesz, Averell.

– Zakaz wstępu! – Troncón stanął pośrodku korytarza z rękami na biodrach, na których miał pas z bronią. – Trzeba się umówić.

Rubén odetchnął kretyna pod ścianę.

– Szefie! – wrzasnął policjant, łapiąc spadającą czapkę. – Szefie!

– Co jest? – zagrzemiał w korytarzu donośny głos. Zaalarmowany hałasami potężny policjant wyłonił się ze swego biura: sierżant Andretti, sto trzydzieści kilo żywej wagi, trochę już sflaczały, lecz wciąż zdolny uderzeniem pięści powalić ciełą. – Co to za burdel?

On także znał Calderóna, i z widzenia, i z reputacji jako choleryka napalonego na wszystko, co się wiąże z prawami człowieka, węszącego wszędzie i kolekcjonującego materiały o dawnych oprawcach. Za detektywem Andretti dojrzał Indiankę, tę, którą przesłuchiwał niedawno, i skrzywił się szpetnie.

Rubén stanął przed opasłym gliniarzem.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie zniknięcia pewnej osoby i śmierci Orlanda Lavallego – oświadczył, nie pokazując licencji. – Transwestyty, którego wyłowiliście parę dni temu w porcie. Wiem, że był torturowany, zanim wrzucono go do wody. Jakie są wyniki sekcji?

– Nie muszę ci odpowiadać – rzekł Andretti w koszuli z zakasanyimi rękawami, które odsłaniały owłosione przedramiona. – Nie lubię prywaciarzy. Zjeżdżaj razem z tą dziwką!

Dawny łamignat ubiegał się o pierwszeństwo w wysokości poziomu testosteronu.

– Ta pani jest świadkiem w sprawie o morderstwo. A może chcesz, żeby prasa się o tym dowiedziała? – dopytywał Rubén. – Transwestyta z La Boki z obciętyimi jajami i ciepnięty jak gównno do wody w porcie... Dla niejednej gazety temat jak znalazł na pierwszą

stronę. I co, staruszkę?

Sierżant skrzywił się szpetnie. W głębi korytarza dojrzał wychylającą się głowę Troncóna. Prychnął przez nos.

– No więc? – naciskał Rubén. – Co wyszło w sekcji?

– Nic nie wyszło – odpowiedział Andretti. – Nic nie wyszło, bo nie było sekcji. Nie znaleźliśmy torebki tego gościa, w jego squacie też nic nie było. Żadnych dokumentów, nic, żeby go zidentyfikować.

– To was nie zwalnia z wypełniania swoich obowiązków.

– Mamy oszczędzać. Wiecie, ile taka sekcja kosztuje? – rzekł sierżant, biorąc Janę na świadka.

– Wygodne, nie?

– Nie ja wydaję rozkazy.

– Gdzie ciało?

– W zbiorowym grobie.

– W miejscu dla ludzi takich jak on, prawda? – Rubén skupił uwagę na zmieszanych oczach policjanta. – Pozbywamy się zwłok i już nie musimy prowadzić dochodzenia.

– Było dochodzenie! – bronił się Andretti. – I trwa! Co ty sobie wyobrażasz?... W tej chwili dwa radiowozy patrolują doki. Sami widzicie, że komisariat jest pusty. Robimy co w naszej mocy!

– Robicie co w waszej mocy, żeby kolejne morderstwo nie obnażyło waszej partaniny – podchwycił Rubén. – A jakie wnioski zawarłeś w raporcie, Andretti? Że niezidentyfikowany transwestyta urznął sobie fajfusa i wydepilował podbrzusze, a potem goły skoczył do wody?

– Ha, ha!

– No słucham! – nie ustępował Rubén, lodowatym głosem domagając się odpowiedzi.

Sierżant zmierzył wzrokiem Calderóna wyraźnie gotowego

walczyć o swoje, zważył za i przeciw.

– Tamtego wieczoru nikt nie widział transwestyty w dokach – oświadczył. – Nie ma żadnego punktu zaczepienia.

– Ten Luz-Orlando miał u siebie dragi – drażył detektyw. – Kilkadziesiąt działek *paco*, które rozprowadzał w dzielnicy. Wiesz, kto był jego dostawcą?

– Nie – burknął Andretti, opierając zwaliste ciało o drzwi biura.

– Ty, Andretti – powiedział Rubén. – Ty i twoi kumple z nocnego patrolu. Przecież musicie dostać co wasze.

Potężny gliniarz wypiął klatę.

– Ty skur...

– W dupie mam twoje machloje! Zamknąłeś dochodzenie, żeby nikt nie wtykał nosa w wasze sprawy, tak? Odpowiedz mi na jedno pytanie. Tylko to mnie interesuje. Wiem, że Maria Campallo widziała się z transwestytą kilka godzin przed jego śmiercią. Dlaczego?

W korytarzu zza rogu wciąż wystawał kawałek czapki Troncóna. Jego szef czerwieniał w oczach.

– Nie znam tej Marii – odparł szybko. Pokręcił głową, aż zatrzęśły mu się policzki. – Co to za jedna?

Jego niewinna mina przyprawiała o ból zębów.

– Córka Eduarda Campalla – wyjaśnił Rubén. – Bogacza, który finansuje kampanię burmistrza.

Pokazał mu zdjęcie fotograficzki, które gliniarz obejrzał ostrożnie.

– Nie znam... Nigdy jej nie widziałem, ani tu, ani gdzie indziej.

– Ale była z Orlandem niedługo przed zabójstwem.

– Może – odparł Andretti, wruszając byczymi ramionami. – Nie w naszym rewirze...

Rubén kątem oka zerknął na Janę w ostrym świetle korytarza – choć raz tłuścioch wyglądał na szczerego.

– Luz miała stałych klientów? – zapytał. – Klientów z wyższych sfer?

– Nie wiem – burknął policjant. – Nie mój biznes.

– A pewnie, twój biznes to wtrącanie dragów gołemu transwestycie, żeby wykańczał innych golców. Chcesz zarobić złoty medal u dobroczyńców ludzkości?

Mierzyli się wzrokiem – dwa krokodyle w stawie w porze suchej. Gliniarz nic nie mówił, pinił się tylko w wymownym milczeniu...

– Jeśli jesteś w tym umoczony, Andretti – szepnął detektyw – przysięgam, że będziesz żarł własne sadło.

– Spierdalaj, Calderón – warknął dowódca nocnego patrolu, ale poczuł się nieswojo.

Rubén dał znak Janie, że pora się ewakuować. Wyszli z komisariatu w La Boce, nie obdarzywszy ani jednym spojrzeniem sieroty w dyżurce.

Powietrze na dworze było ciepłe, niebo ametystowe. Jana, która obserwowała starcie, pozwoliła Rubénowi zejść na gościnniejszy teren. Przeszli kawałek chodnikiem w wilgotnej mgle i wietrze niosącym kurz. Prawie obleciał ją strach, kiedy Rubén na komisariacie patrzył na Andrettiego. Detektyw mamrotał teraz coś pod nosem, jego alkaliczna dusza dymiła pod przewodami elektrycznymi podłączonymi do *conventillos*.

– Fałszywy trop, co? – odezwała się Jana, czytając mu w myślach.

– Tak można powiedzieć.

Samochód zaparkowali kwartał dalej.

– Co robimy? – spytała rzeźbiarka.

Rubén spojrział jej w oczy roziskrzone w blasku księżyca w ostatniej kwadrze.

– Odwiozę cię...

\*

Reflektory obudziły lotnika o oczach na sprężynach trzymającego straż przy wejściu do opuszczonego dworca. Jana zostawiła kluczyki forda w garderobie w Niceto, lecz Paula jeszcze nie wróciła. Rubén zaparkował za ogrodzeniem otaczającym zabudowania.

– Przyniosę adres rodziców Orlanda – powiedziała Mapucze, wysiadając z samochodu.

Poszła do pracowni, Rubén zaś wykorzystał ten czas, by obejrzeć jej włości. Gigantyczne czerwone mrówki ze sterczącymi wysoko czułkami żerowały w pokrzywach pod ironicznym okiem krokodyla o zębach ze śrub; dalej zardzewiały waran ze sworzni od lokomotywy błąkał się w zaroślach skazany na zatracenie... Nad halą wstawał dzień, pojedyncze ptaki zaczynały świergolić na gołych słupach. Wróciła Jana.

– Proszę – powiedziała.

Rubén zgasił papierosa na stopie lotnika, schował do kieszeni kopertę z adresem rodziców Orlanda.

– Dzięki...

– Zamierzasz pojechać do Junínu?

– Hm... na razie poszukam informacji – odparł wymijająco.

Puścił Anitę tropem Colonii. Jaki był związek między Luz-Orlandem i wycieczką Marii Campallo do Urugwaju? Gdzieś zegar wybijał godzinę szóstą. Rubén czuł, że zmęczenie zaczyna dawać mu się we znaki.

– Wejdiesz napić się czegoś, zanim wróci Paula? – zaproponowała Jana. – Jak ją znam, zjawi się nie wcześniej jak koło dziesiątej.

Uniósł wygięte brwi.

– Okłamałam cię przedtem w klubie – dodała tonem zwierzenia.  
– Kiedy powiedziałam, że mi się nie podobasz...

Rubén uważnie spojrzał na nią pod gasnącymi gwiazdami: po raz pierwszy w jej migdałowych oczach była odrobina radości.

– Wyglądasz, jakbyś miała nadmiar energii i chciała jej trochę odstąpić. – Uśmiechnął się lekko.

– Oddaję gratis... U mnie wszystko jest gratis. Nie zauważyłeś?

Rubén próbował uciec przed spojrzeniem jej podłużnych oczu, lecz bezskutecznie. Przechwyciła jego wzrok i nie puściła. Ich dłonie od dawna na siebie czekały.

– Jana...

– Ciii... – szepnęła, przysuwając się.

Przywarła wargami do jego ust i poczuła, że się rozpływa jak cukierek, kiedy ich języki się zetknęły. Po chwili słyszała już tylko kwilenie ptaków. Rubén położył rękę na jej pośladkach i przytulił ją tak czule, że dała się ponieść jego otwartym oczom: czarnym, szarym, niebieskim, burzowe snopy wybuchały co rusz przed wejściem do obskurnej hali. Jana nie chciała już myśleć ani oddychać, gładziła jego miękkie włosy, drobne loki na czole, poczuła jego męskość w kroczu i zamruczała z rozkoszy. Zelektryzowała ją lekka przemożna namiętność. Jego dłoń na pośladkach zdawała się unosić ją nad ziemię, ich języki były dwoma wężykami słodkiej wody, która spływała jej aż do wklęsłości między udami. Całowali się pożądliwie... Wtem rozdzielił ich klakson ciężarówki.

Ptaki poderwały się do lotu z sercem walącym jak ich serca

dwieście na minutę.

Jana przez chwilę stała bez tchu z wargami jeszcze wilgotnymi, kiedy ciężarówka się oddalała. Chciała wyrazić rzeczy proste, te, o których nigdy nie mówiła, bo nigdy ich nie przeżywała, lecz jakiś cień przeobraził twarz Rubéna.

– Muszę iść – powiedział, puszcżając jej dłoń.

Jana cofnęła się o krok stropiona.

– Teraz?

– Tak... – Rubén ruszył do samochodu. – Na razie...

I zostawił ją tam pod scentrowanym okiem lotnika w żelaznym ubraniu.

# 11

Niż, który nagle przyszedł nad Buenos Aires i wisiał nad nim przez trzy dni, odpłynął, zostawiając błękitne niebo końca lata. Rubén zgasił papierosa w skrzynce z kwiatkami; w szklanej hali stacji portowej mieściły się sklepy z pamiątkami, trafika i stanowiska urzędniczek noszących uniformy w barwach swoich przewoźników.

Bezbarwna blondynka umalowana na tukana uśmiechała się do niego: kupił bilet Buquebusa do Colonii po drugiej stronie estuarium, okazał paszport straży granicznej. Prom do Urugwaju kołysał się z pluskiem na ciemnej wodzie portu. Rubén z miną ponurą mimo słonecznej pogody wszedł między pasażerów, którzy się zachwycali tandetnym luksusem salonu głównego. Po powrocie od Jany zdrzemnął się krótko, czuł się ciągle rozgorączkowany, niepokojące obrazy mąciły mu umysł. Przez głośnik zapowiedziano, że prom zaraz odbije. Zamówił espresso przy ladzie z politurowanego drewna, rozłożył gazetę, żeby się odciąć od muzyki tła: pisano o przyszłych wyborach, o Franciscu Torresie, burmistrzu miasta, który według ostatnich sondaży zgarniał jedną trzecią głosów, o piłce nożnej i nowych wybrykach Maradony – i słowem się nawet nie zająknięto o zniknięciu Marii Victorii Campallo... Ledwie statek odbił od nabrzeża, kędzierzawy crooner ustawił klawiaturę na scenie salonu głównego, szykując się do



występu. Publiczność składała się głównie z wiekowych pań o sflaczałych ramionach obwieszonych złotem – bawidamek zaintonował „My Way”, mrugając zalotnie do babć.

Daleko mu było do Pistols.

Rubén poszedł na piętro – znajdował się tam bar na wolnym powietrzu i złocenia działające mu na nerwy – lecz nie było lepiej: z dwóch wzmacniaczy leciało ogłuszające techno house, przeganiając podróżnych na ławki górnego pokładu. Czy aż tak się bano, że ludzie będą się nudzili? Przewoźnik w przekonaniu, że wypełnia czas podróży, tworzył puste przestrzenie. Z dala od basów, które nadal opróżniały pokład, Rubén znalazł w miarę spokojne miejsce na rufie, gdzie oparty o reling palił zapatrzony w mulistą ciecz wyrzucaną spod śruby promu. Żurawie w porcie handlowym strzegły kontenerów, kiedy wypływali na wody estuarium. Błyszczący trójmasztowiec kierował się do mariny. Rubén nie mógł przestać myśleć o Janie, o jej zapachu, gdy trzymał ją w ramionach, o tym, co go popchnęło, aby ją pocałować przed wejściem do opuszczonego dworca. Mapucze wyłoniła się znikąd: czemu miałyby tam nie wrócić? Wiek, pochodzenie społeczne i etniczne, wszystko ich dzieliło. Namiętność pocałunku o brzasku zdradzała istnienie w obojgu głębokiej rozpacz, a on nie czuł się na siłach stawić jej czoło. I tak zresztą było za późno, za późno na wszystko...

Z dala od lądu wiatr zrobił się chłodniejszy. Smog tworzył szary pas nad odległym teraz Buenos Aires, statkiem zadymionym od tego, czym pluły fabryki na przedmieściach. Rubén zapomniał o Indiance i falach marszczących powierzchnię wody.

Anita dokopała się do szczegółowych informacji w związku z tym adresem w Colonii i krótką podróżą Marii odbytą trzy dni przed

zniknięciem: José Ossario, który mieszkał pod numerem 69 przy calle Ituzaingó, nie figurował w spisie telefonów, ale w aktach drogowki Anita trafiła na ślad jego samochodu – białej hondy zarejestrowanej w Colonia del Sacramento. Reszta była w internecie.

José Ossario, Argentyńczyk z pochodzenia, pracował najpierw dla różnych czasopism science fiction, w 1992 roku wydał pierwszą książkę, „Ukryta twarz świata”, będącą mieszanką scjentyzmu, teorii spiskowych, opisów działalności szpiegowskiej, astrologii i ostrej paranoi. Przedstawiał w niej wypracowaną własną prawdę, prawdę szaloną, lecz przekonującą, która zyskiwała na popularności w kręgach wtajemniczonych. Później pracował jako paparazzo, a wreszcie zaczął zakładać agencje prasowe, które kończyły niezmiennie tak samo: niewypłacalność, dziwne sztuczki księgowo, upadłość, machlojki... Specjalista od szantaży i wyszukiwania sensacji, Ossario zawsze spadał na cztery łapy aż do roku 2004, kiedy opublikował serię zdjęć, na których były dyrektor gabinetu Menema, Rodrigo Campes, i córka przywódcy największej centrali związkowej w kraju widnieli w skąpych strojach na plaży w Punta del Este, gdzie zajmowali apartament w luksusowym hotelu – rachunku za ten pobyt żadne z nich nie regulowało. Afera wykraczała poza zwykłą sensacyjkę kroniki towarzyskiej, Ossario zatem uznał, że oto ma swoje pięć minut, szybko jednak rzeczywistość zaskrzeczała. Nie po raz pierwszy mając do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, przygnieciony kosztami sądowymi i adwokackimi, wpisany na czarną listę, ostatecznie dał za wygraną. Odkąd trzy lata wcześniej wyemigrował do Urugwaju, było o nim zupełnie cicho. W tym czasie ukazała się tylko jego książka „Przeciwprawdy”, szokująca

opowieść wydana w nakładzie tysiąca egzemplarzy w małym wydawnictwie w Montevideo – ze strony czytelników natrafiła na mur milczenia. Teraz liczący pięćdziesiąt jeden lat były paparazzo mieszkał pod numerem 69 przy calle Ituzaingó. Najwyraźniej sam...

Rubén zgniótł papierosa na metalowym pokładzie.

Prom dopływał do Colonii.

\*

W Urugwaju, tak jak w Brazylii, amnestia dla oprawców dyktatury zagwarantowała przemiany demokratyczne. Ostatnie postępy pozwalały dojrzeć światelko w tunelu, niemniej kraj zdawał się żyć w zwolnionym tempie, jakby tuszowanie przeszłości utrwaliło teraźniejszość w wosku.

Colonia del Sacramento, stolica kraju w czasach osadnictwa, nie odstawała od powszechnej senności. Zaniedbane stare budynki, secesyjne latarnie uliczne, sypiące się balkony przeżarte rdzą, poobijane fordy z lat pięćdziesiątych, ramblery, americany i staroświeckie fiaty 500, które zażywały chłodu pod drzewkami pomarańczowymi... O ile to przywodziło na myśl przebrzmiały wdzięk belle époque, o tyle sklepiki z pamiątkami straszyły fabrycznymi potworkami: porcelana, odzież, wyroby rzemieślnicze, wszystko było w koszmarnej złym guście. Rubén szedł brukowanymi ulicami w cieniu palm, aż dotarł do plaza Mayor.

Wróble ćwierkały pod obrotowym zraszaczem na zieleniutkim trawniku, kolorowe papużki, które obsiadły stuletnie drzewo, podrywały się czasem na chwilę, by pofiglować z wiatrem; w porze, gdy słońce paliło żywym ogniem, tylko nieliczni staruszkowie drzemali na ławkach. José Ossario mieszkał trochę dalej, na końcu

wybetonowanej uliczki otwierającej się na morze.

Ituzaingó 69. Słońce odbijało się od otaczającego posesję muru, który zasłaniał dom o płaskim dachu ledwie widoczny z ulicy. Rubén wcisnął guzik domofonu, nad pancerną bramą zauważył kamerę monitoringu, ponownie zadzwonił, lecz nikt się nie odezwał. Cofnął się trochę, aby poszerzyć pole widzenia, jednakże nad murem dostrzegął tylko kawałek pobielonej fasady i dwie zamknięte okiennice. Zajrzał przez szparę w bramie, zobaczył ogród z przywiedłymi kwiatkami i pozamykane okiennice na parterze... Uliczka była pusta, żar lał się z nieba. Wtem Rubén wyczuł w pobliżu czyjąś obecność.

Zza żywopłotu po sąsiedzku ktoś go obserwował: chudy łysy starzec około siedemdziesiątki o jasnoniebieskich oczkach w pobrużdżonej zatroskanej twarzy.

– Czegoś pan szuka? – zapytał.

Rubén wskazał dom byłego paparazza.

– Tu mieszka José Ossario, tak?

– Zgadza się.

Sąsiad nosił dyskretne okulary, koszulkę polo i szorty odsłaniające białe nieowłosione nogi. Rubén podszedł do żywopłotu.

– Wie pan może, od jak dawna go nie ma?

Staruszek wzruszył ramionami.

– Pewnie parę dni. – Obrzucił Rubéna zaciekawionym wzrokiem.

– Pan jest Argentyńczykiem, prawda?

Akcent Rubéna nie pozostawiał wątpliwości.

– Martín Sanchez – przedstawił się. – Tak, jestem z Buenos Aires.

– Franco Díaz – z uśmiechem odparł sąsiad. – Emerytowany botanik... Pan szuka pana Ossaria? – spytał uprzejmie.

– Tak. Pracuję dla firmy rewindykacyjnej – skłamał Rubén. – To sprawa dość skomplikowana i... powiedzmy, że pilna.

– Ach... – Díaz wahał się z sekatorem w ręce i błyskiem ciekawości w blisko osadzonych oczkach. – Na pewno panu gorąco na tym skwarze – zauważył takim tonem, jakby zaniedbał gospodarskie powinności. – Niechże pan wejdzie, napije się oranżady – dodał uprzejmie. – Przyjemniej będzie się gadało... Lubi pan kwiaty?

Maki.

Staruszek otworzył bramkę, rozprawiając o słonecznej pogodzie po pochmurnych i wietrznych ostatnich dniach. Franco Díaz mieszkał samotnie w domku nad morzem, gdzie zdawał się wieść spokojny żywot emeryta: jako doświadczony botanik – jego ogród, w przeciwieństwie do ogrodu sąsiada, prezentował się imponująco – założył oczko z liliami wodnymi na tarasowym dachu dawnej gospody, skąd rozpościerał się widok na *río*. U stóp stromego brzegu znajdowała się niewielka zatoczka ocieniona wierzbą płaczącą, przy niej ziemista plaża usiana plastikowymi śmieciami wyrzuconymi przez rzekę. Rubén przyjął poczęstunek w postaci napoju orzeźwiającego, wysłuchał przechwałek emeryta, który opowiadał o swoich rzadkich kwiatkach, wreszcie poruszył interesujący go temat.

Ponieważ wyczuł, że botanik zachowuje pewną rezerwę wobec sąsiada, podążył w tym kierunku – José Ossario był winny pieniądze klientom Rubéna, stary dług związany z ubezpieczeniem, które niedawno zlikwidował. Díaz słuchał z bladą, niemal melancholijną miną. Wyznał, że utrzymuje ograniczone kontakty z sąsiadem, z czasem stał się rozmowniejszy: otóż Ossario, piniacz nad piniacze, w ubiegłym roku wytoczył mu proces

o zanieczyszczanie herbicydami wód gruntowych. Czy to jego wina, że sąsiad nie ma ręki do roślin i wszystko mu marnieje, podczas gdy u niego rośnie jak na drożdżach?

– To człowiek z tych, którzy atakują producentów kuchenek mikrofalowych, bo ich kot usmażył się w takiej! – podsumował emeryt ze staromodną ironią.

– Okienne są zamknięte – zauważył Rubén. – Widział go pan ostatnio?

– Nie, od piątku albo soboty... W każdym razie samochodu nie ma.

– Ktoś go może odwiedził?

– Nie... chyba nie. Prawdę mówiąc, jego nikt nigdy nie odwiedza.

– Na łysej głowie Díaza perlily się kropelki potu mimo chłodu idącego od oczka wodnego. – Jeszcze oranżady? – zapytał.

– Poproszę.

Rubén skorzystał, że uprzejmy emeryt udał się na dół, i wyjrzał na dom paparazza: dość pospolity, z balkonem zwieszającym się nad rzeką. Nieco dalej widać było groblę przystani żeglarskiej z motorówkami i żaglówkami kołyszącymi się na fali. Franco Díaz wrócił na taras z zimnymi napojami w rękach.

– Myśli pan, że sąsiad wyjechał? – zagadnął botanik, nie kryjąc ciekawości. – Znaczy na zawsze?

– Mam nadzieję, że nie! – zawołał samozwańczy rewindykator. – A co? Ma pan powody, by sądzić, że zwiął?

– Nie, czemu? Z powodu długów?

– No wie pan, jacy są ludzie, gdy idzie o pieniądze... – zasugerował Rubén.

Díaz kiwnął głową nad oranżadą. On także mówił z lekkim akcentem argentyńskim. Wtem życzliwa twarz botanika

znieruchomiła. Rubén obejrzał się na dom Ossaria: na ulicy zatrzymał się samochód. Trzasnęły drzwi, potem zaskrzypiała furтка...

Calderón pożegnał się czym prędzej.

Biała honda stała przy krawężniku. Nowy model, podobny do tego, którym jeździł były paparazzo. Rubén położył dłoń na masce: silnik był gorący. Nacisnął guzik domofonu posesji numer 69 i czekał na odpowiedź, stojąc na wprost kamery monitoringu. W końcu rozległ się zgrzytliwy głos:

– Kim pan jest?

– Calderón. Prywatny detektyw z Buenos Aires. Pan José Ossario, prawda?

Rubén pokazał swoją licencję wpatrzonemu weń oku kamery. Przez chwilę trwała cisza.

– Skąd pan wiedział, że wracam dzisiaj?

– Nie wiedziałem. Gawędziłem z pańskim sąsiadem, kiedy usłyszałem samochód – wyjaśnił Rubén. – Muszę z panem pomówić, to ważne.

– O czym?

– O Marii Victorii Campallo – odpowiedział. – Szukam jej... Proszę mnie wpuścić.

Przez kilka sekund z głośnika domofonu dobiegało jednostajne skwierczenie. Rubén przydeptał niedopałek na chodniku rozmiękłym w popołudniowym upale. Wreszcie szczęknięcie powiadomiło go, że bramka jest otwarta. Zarośnięty chwastami ogródek ciągnął się do uchylonych drzwi. Rubén stanął przed nimi.

– Ma pan broń? – spytał Ossario zza obitych blachą drzwi.

Nie zdjął łańcucha. Jeden kopniak i drzwi staną otworem.

– Nie – odparł Rubén.

– A ja mam.

– Proszę się nie zranić...

Ossario zdjął łańcuch i wpuścił detektywa do swojej jaskini. Przejście z jasnego światła słonecznego do mroku wewnątrz oślepiło na chwilę Rubéna – przez te dwie, trzy sekundy Ossario zdążył obejrzeć sobie przybysza. Rubén podniósł ręce na znak pokojowych zamiarów, zlokalizował gospodarza za swoimi plecami.

– Dla kogo pan pracuje? – zapytał Ossario, zamykając drzwi.

– Na własny rachunek.

– Niech pan się nie rusza – polecił, obchodząc detektywa.

Rubén dostrzegł w półmroku błysk broni. Na parterze mieściło się laboratorium fotograficzne, stół montażowy...

– Niech pan rozchyli kurtkę – rozkazał Ossario.

Rubén wykonał polecenie.

– OK, proszę iść przodem.

Schody prowadziły do salonu, przez półprzymknięte żaluzje sączyło się w nim światło dzienne. Rubén zobaczył bladą twarz Ossaria, który w napięciu wpatrywał się w niego z rewolwerem w garści. Kaliber .32. Gospodarz ubrany był w drelichy khaki, koszulę i kamizelkę myśliwską, skórzane rangersy; muskularny, z wygoloną głową i zarostem metalowca ze słabością do piwa, José Ossario wyglądał raczej na gotowego do natarcia niż do obrony.

– Mogę zapalić czy detektory wlepią nam mandat? – zagadnął Rubén.

Ossario nie docenił jego poczucia humoru.

– Jak mnie pan znalazł?

– Po adresie nabazgranym na świstku w kieszeni dzinsów, których Maria Victoria nie zdążyła uprać. Niech pan schowa tego gnata, z łaski swojej.



Mężczyzna coś wymamrotał pod nosem. Przy drzwiach balkonowych stała wersalka, obok niej sterta materiałów fotograficznych. Kiedy Ossario się zastanawiał, Rubén zerknął szybko na półki biblioteczeki – Meyssan, Roswell, Faurisson, historie o UFO, trójkącie bermudzkiem...

– Co pan wie o Marii Campallo? – odezwał się Ossario, nie odkładając broni.

– Że była u pana dwa dni przed zniknięciem.

Ossario zbladł jeszcze bardziej.

– Niech pan mówi dalej.

– Maria chciała się skontaktować z gazetą niechętną jej ojcu, Eduardowi, i odtąd nie ma o dziewczynie żadnych wieści. Prawie tydzień jej szukam... Proszę schować pukawkę, jeśli nie chce pan, żebym ją skonfiskował.

Rubén zapalił papierosa, obserwując jego reakcję, lecz Ossario milczał. Przed oknem wychodzącym na ogród sąsiada stała kamera cyfrowa na statywie.

– Idiotka – szepnął wreszcie były paparazzo.

Rubén popatrzył na niego pytająco.

– Mówiłem jej, żeby się zamknęła – mruknął Ossario, wyraźnie z jednej strony wstrząśnięty, z drugiej rozzłoszczony. – Mówiłem jej, żeby pozwoliła mi działać... Idiotka!

Z niepewnością w oczach nerwowo schował broń do kabury.

– W związku z czym miała się zamknąć? – spytał Rubén. – Chodziło o działalność jej ojca, Eduarda Campella?

– Eduarda?... Jej ojca?... Och! – zawołał ze złośliwą radością. – Przecież on nie jest jej ojcem! W żadnym razie!

– Jak to?

Ossario patrzył na niego wyłupiastymi oczami zadowolony

z efektu.

– To pan nie wie?

– O czym?

– Maria Victoria została adoptowana. I ona, i jej brat!... No nie – triumfował. – Naprawdę pan nie wiedział?

Teraz Rubén pobladł.

– Chce pan powiedzieć, że Maria została adoptowana w czasie dyktatury?

– No pewnie!

Z dołu dobiegał szum fali przybojowej. Ta wieść zmieniała wszystko – to dlatego Maria próbowała się skontaktować z Carlosem w redakcji, dlatego ją porwano: była jedną z osób, które wojskowi ukradli w niemowlęctwie.

– Ma pan dowód?

– Mam dowody! – chełpliwie oznajmił Ossario.

Rubén odnosił wrażenie, że rozmawia z wariatem, ten człowiek jednak nie kłamał.

– To pan wyjawiał Marii prawdę o jej adopcji, tak?

– Ano ja. Owszem. Chciałem, żeby była moim świadkiem na Wielkim Procesie.

– Zamierza pan wytoczyć proces Campallowi?

– Och, nie tylko jemu! – zapalił się. – Innym też! Wszystkim tym kombinatorom, tak zwanym elitom i głosicielom jedynie słusznej myśli, którzy zakneblowali mi usta, żebym milczał! Wielki Proces! Wielki Proces! Oto moja odpowiedź! Prasa Campalla mnie wykończyła – mówił podniesionym głosem. – Jasne, że stałem na zawadzie! Bruździłem na każdym kroku! Pod takim szedłem sztandarem!

Nie posiadał się z radości, wylewając swoje urazy.

– Wie pan, co się stało z Marią Victorią? – wtrącił Rubén.

– Nie. – Skrzywił się. – Ale się domyślam! Idiotka, chciała odnaleźć brata! I do czego to ją doprowadziło?

Rubén poczuł, że atmosfera wokół się zmienia. Naraz zaczął się pocić.

– Maria Victoria ma jeszcze jednego brata? Nie tylko Rodolfa?

– Rodolfo urodził się w ESMA, ale nie jest jej bratem – obwieścił Ossario tonem prawie przerażającym. – Wymieniono go po urodzeniu za jej prawdziwego brata! Biedak był chory albo nie za dobrze potraktowano jego matkę na tajnej porodówce, więc Campallo wymienił go na inne dziecko urodzone w więzieniu, na naszego osławionego Rodolfa. Ten to ma zdrowie! Ale nie jest jej bratem! Na sto procent!

ESMA. Szkoła Mechaniczna Marynarki Wojennej. Dla Rubéna także historia dostała czkawki.

– Tej nocy, kiedy Maria zniknęła – powiedział, starając się mówić obojętnie – został zamordowany człowiek. Transwestyta, którego świadkowie wcześniej z nią widzieli. Myśli pan, że to był jej brat?

Ossario był coraz bardziej podniecony.

– Idiotka! – gderał w uniesieniu. – A mówiłem, żeby siedziała cicho, że wszystkim się zajmę! Nie posłuchała i proszę!

Do Rubéna dobiegł jakiś dźwięk z zewnątrz, lekkie skrzypnięcie. Oderwał się od regału, o który się opierał, i uchylił żaluzję na oknie od ulicy: przed hondą stała zaparkowana biała furgonetka z przyciemnionymi szybami.

– Idiotka!... – żołądkował się Ossario.

Rubén się nachylił, zobaczył wyłamana furtkę, potem cienie tańczące na żaluzji.

– Uważaj!!!

Z trzaskiem w mgnieniu oka ustąpiły oba skrzydła drzwi balkonowych: do środka wpadli dwaj osobnicy w kominiarkach. Ossario patrzył oniemiały, na sekundę zastygł. Czerwona laserowa kropka zatrzymała się na jego piersi. Przyklejony do ściany Rubén wyprysnął w stronę strzelca i potężnym prostym przyładował mu w szyję, wytrącając taser z ręki. Mężczyzna stęknął, zachwiał się na odłamkach szkła. Drugi widząc, że kumpel jest w kłopotcie, nacisnął spust paralizatora dokładnie w chwili, gdy Rubén zasłonił się przeciwnikiem jak tarczą. Detektyw nie czekał, aż tamten przeładuje: odepchnął od siebie porażoną prądem kukłę, skoczył do drugiego i wymierzył mu potężnego kopa w krocze.

– Kryj się! – wrzasnął do Ossaria.

Widoczny pod światło napastnik zastygł pod wpływem bólu promieniującego z podbrzusza. Paparazzo wreszcie się ocknął: wyrwał rewolwer z kabury i rzucił się do schodów, gdzie wpadł na drugą ekipę, która wtargnęła przez okno na parterze. Dał ognia, rzucając się na nich. Elektrody tasera trafiły go prosto w pierś, napięcie pięćdziesięciu tysięcy woltów zmieniło kierunek lotu pocisków – pierwszy trafił w sufit, drugi Ossaria w czoło, kiedy padał wstrząsany drgawkami.

Rubén nie miał broni. Depcząc po rozbitych szybach i zerwanych żaluzjach, wyskoczył na balkon i krzyknął z bólu. Nadział się na piątego. Zrobiło mu się niedobrze, kiedy na gardle poczuł zaciskającą się stalową linkę, zrozumiał bowiem, że zaraz umrze: wystarczy, że tamten pociągnie mocniej i przetnie krtań. Zebrał siły, głową przywalił do tyłu i jeszcze raz, i jeszcze, za każdym razem celnie, obcasem zmiażdżył grzbiet stopy. Zabójcę lekko oszołomiło, nie dawał się jednak. Rubén się dusił. Ossario leżał u szczytu schodów z odstrzelonym ciemieniem, dwaj inni

napastnicy byli tuż-tuż. Całą garścią złapał przeciwnika za jaja, mocno zacisnął pięść i zaczął szarpać na wszystkie strony. Faceta rzuciło na balustradę. Rubén czuł jego masę, krew spływała mu po koszuli coraz obficie, w miarę jak linka zagłębiała się w skórę. Miażdżył mu jądra, lecz bydlak nie popuszczał. Rubén drugą ręką sięgnął za siebie i całym ciężarem ciała gwałtownie napał do tyłu.

Musnęły go dwie elektrody paralizatora, kiedy przelatywali nad balustradą.

Pięć metrów dzieliło ich od rzeki. Głową naprzód wpadli do mulistej wody, która płynęła pod balkonem. Prąd porwał ich natychmiast. Rubén nic nie widział w mętnym nurcie, ciągnęły go w dół wiry i ucepiony morderca. Szamotał się jak wariat, płuca paliły go żywym ogniem, ciosy wymierzane łokciami na oślep nic nie dawały, ciemna zawiesina wciąż niosła ich dalej. Ostatkiem sił podduszony Rubén zdołał się obrócić, dojrzał wśród baniek powietrza głowę wroga i wraził mu w oczy po kciuku. Do ust wdzierał mu się pierwszy haust wody, gdy wreszcie uchwyt zelżał. Odepchnął się z całej mocy, by wypłynąć na powierzchnię, za moment zobaczył światło i łapczywie zaczerpnął powietrza. Nie myślał teraz o zabójcy, krwawiącym gardle, Ossariu – myślał tylko o tym, aby oddychać. Aby przeżyć, wywinąć się z pułapki zastawionej w domu paparazza. Płynął przed siebie z biegiem rzeki, przystań żeglarska znajdowała się jakieś dwieście, trzysta metrów dalej. Pośród drobnych wirów i roślin wodnych, czując w ustach smak błota, odważył się w końcu zerknąć za siebie. Domu Ossaria nie było już widać, zasłaniały go drzewa rosnące na skarpie, nie było też śladu po zabójcy, który razem z nim zleciał z balkonu. Widział jedynie biały pomost przystani przed sobą i blask zachodzącego słońca, które promieniami muskało lustro

wody.

U kresu sił dopłynął do brzegu i dowlókł się do skrawka plaży przed pomostem. Ciepła krew nadal spływała mu po szyi, ciężko dyszał. Leżał na wilgotnym piasku, ociekając błotnistą wodą, jeszcze cały rozdygotany po ataku. Usiadł w końcu pośród plastikowych odpadków i muszli, czując ból w płucach po długim nurkowaniu.

– Coś nie gra? – zawołał do niego rybak z łódki.

Nie odpowiedział. W ustach ciągle miał smak błota, paniczny strach ogarniał go całego. Zrobiło mu się niedobrze i wymiotował czarną treścią na perłowe odłamki muszli.

Te gnoje o mało go nie zabiły.

# 12

Spośród pięciuset niemowląt ukradzionych w czasach dyktatury wielu nie odnotowano w BNDG, argentyńskim banku genetycznym. Rodzice większości zniknęli z tego świata – zostali unicestwieni dynamitem, spaleni w tajnych ośrodkach, pogrzebani na cmentarzach, zalani betonem, zrzućeni z samolotu. Jeśli ciało nie ekshumowano, jeśli rodzina nie wszczęła poszukiwań, takie dziecko na zawsze pozostawało widmem.

Dzieci oddawano bezpłodnym parom z kręgów władzy, oficerom, policjantom, czasem nawet oprawcom, prokurując fałszywe dokumenty. Apropiador: tak nazywano rodziców adopcyjnych. Lista oczekujących była długa, na porządku dziennym stały „przysługi”. Apropiadorzy czekali, aż więźniarka urodzi, po czym zabierali owoc jej łona. Nie obchodziło ich, czy matka potem zostanie zlikwidowana: te dzieci stanowiły część „łupu wojennego”.

Tyle że nielegalnie adoptowane dzieci pozbawiano ich historii: po prostu je z niej ograbiano. Ci, którzy trzydzieści pięć lat później mieli jakieś wątpliwości co do swojego pochodzenia, mogli się zwrócić do CONADEP-u, instytucji zajmującej się ustalaniem tożsamości zaginionych. Kiedy poznawali prawdę, często uczucia brały górę i wiele osób, odrzuciwszy przeszłość, zwracało się do swej biologicznej rodziny – dziadków, wujów, kuzynów. W każdym

przypadku był to naprawdę wielki wstrząs psychiczny: z jednej strony zanegowane zostawało pokrewieństwo i przeniesienie cech, z drugiej okazywało się, że więzi łączące skradzione dzieci z adopcyjnymi rodzicami oparte są na kłamstwie i zbrodni. Tacy ludzie w dorosłym życiu nie mogli kochać, żywić nadziei, budować i rozwijać się, kłamstwo przenikało wszystko, mąciło umysły, rzutowało na czyny, kłało uczucia.

Babcie z Plaza de Mayo słusznie uczyniły, uruchamiając komórkę pomocy psychologicznej, aby wspierać osoby po takiej traumie. Udało im się odszukać około stu skradzionych dzieci. Maria Victoria Campallo należała do czterystu dotąd nie odnalezionych. Ona i Luz-Orlando, jej brat, którego poszukiwała...

Rubénowi udało się jeszcze załapać na ostatni prom do Buenos Aires. Jego komórka nie przetrwała kąpieli w rzece, a uwagi urugwajskiej straży granicznej i pieski humor, który nie odstępował go od przymusowego nurkowania, wcale nie umniejszały morderczych zapędów.

W końcu ze statku płynącego do Argentyny dodzwonił się do Anity. I porobiło się jeszcze gorzej.

\*

Rezerwat przyrody w rejonie Buenos Aires rozciąga się na brzegach Río de la Plata, estuarium, którego muliste wody wpadają do oceanu. Nieprzebyte zarośla, bagna rojące się od komarów, flamingi i maskonury na łowach dają wyobrażenie o tym, co pierwsi konkwistadorzy pięć wieków wcześniej zastali tutaj po wylądowaniu. Przylegający do Puerto Madero rezerwat oddziela od dzielnicy biznesowej zwykła ulica, do której nikt nie chciał się przyznać. Zmierzch krzeszał ogniste refleksy na wieżowcach, kiedy



patrol Anity Barragan zjawił się na miejscu.

Novo, aktualny stażysta, prowadził dwukolorowego fiata brygady interwencyjnej. Jarvis, strażnik w rezerwacie, koszmarne wyglądający w zielonym mundurze i służbowej czapce, jak co wieczór robił obchód, by przegonić małolatów, którzy po zmierzchu lubili urządzać sobie tutaj pikniki, popalając skręty przy muzyce. Właśnie on znalazł ciało i zaraz zadzwonił pod 911.

Fiat podskakiwał na kamienistej drodze wijącej się przez ten skrawek dżungli, stanął, gdy przed nimi pojawił się ocean.

– Tam – powiedział Jarvis.

Miejsce, które wskazał, znajdowało się jakieś dwadzieścia metrów niżej za zagajnikiem akacjowym. Wysiedli z wozu i resztę drogi przebyli pieszo. Za wysokimi trzcinami widoczne były w oddali wieżowce miasta. Weszli w chmurę komarów wyjątkowo natrętnych o zachodzie słońca, przedarli się między skarłowaciałymi drzewami i wreszcie znaleźli się na plaży, skrawku brudnej ziemi pokrytej połamanymi gałęziami i różnymi śmieciami.

Drobne oleiste fale brunatnej wody uderzały o brzeg, rozsiewając mdły zapach zgnilizny. Po obniżeniu się poziomu argentyńskich wybrzeży zmieniły się także prądy morskie, które na plaży wyrzucały teraz tony plastikowych butelek, a mięczaki i puste muszle wpychały do estuarium. Anita pełna obaw szła do granicy wody, wypuściła powietrze z płuc, aby stawić czoło Śmierci... Ciało z odartą czaszką unosiło się pośród plastikowych worków i wodorostów. Niebieskie płócienne spodnie, T-shirt, butów brak. Kobieta, sądząc po splątanych kosmykach czarnych włosów oblepionych piaskiem i owadami, które skakały to tu, to tam. Zwłoki wzdęte, nie do rozpoznania. Anitę przeszedł dreszcz, kiedy

pochyliła się nad twarzą: larwy, które ciasno obsiadły oczodoły, kończyły wyjadać gałki oczne... Smród był nie do zniesienia. Anita nie wiedziała, na co patrzeć, w ogóle ledwie mogła znieść widok nieszczęsnej kobiety o poranionej czaszce, na poły rozłożonej przez morską wodę.

Novo, zajęty buntem swoich wątpi, trzymał się na dystans, strażnik odwrócił wzrok na dżunglę. Anita starała się zapanować nad trzewiami. Myślała, że najgorsze już widziała, kiedy zbierała zwęglone zwłoki, tymczasem okazywało się, że najgorsze także nie ma granic. Dla odmiany pomyślała o swoim kocie, przełknęła, choć w ustach miała sucho, wyrzuciła z głowy odór zgnilizny i kąsające komary i przykucnęła w mule. Trup musiał leżeć w wodzie kilka dni, skoro był w takim stanie. Górna część głowy była oskalpowana równym cięciem – to na pewno dzieło śruby statku. Widok twarzy Anita z trudem znosiła przez to robactwo rojące się w oczodołach, szyja jednak była nienaruszona... Pod uchem widniał jeszcze blady tatuaż: malutka jaszczurka wspinająca się ku małżowinie.

Anita się wyprostowała, czując zimny pot wzdłuż kręgosłupa. Gdzieś już widziała taki tatuaż. Na cyfrowym zdjęciu Rubéna. Maria Victoria Campallo miała taką samą jaszczurkę pod uchem...

Tłuszcz z kanapki spływał Alfredowi Grundze na koszulę. Toro znał miasto jak własną kieszeń, kiedyś bowiem przemierzał je wzdłuż i wszerz fordem falconem – w starych dobrych czasach, jak mówili ci, którzy niezmiernie go wspominali. Siedzący obok Picador przerzucał w radiu kanały w poszukiwaniu jakiejś miłosnej piosenki dla odprężenia. Na głównej arterii Buenos Aires panował duży ruch: urzędnicy wracali do domów, wierząc w swoją pracę funkcjonariuszy państwowych, w rodzinę, w łataną codzienność.

*O divina...*

*Toda, toda mía...*

Picador znalazł wreszcie odpowiadającą mu stację. Posłał krzywy uśmiech kumpłowi, który za kierownicą przerobionego vana dojadł serową empanadę: po obwisłych policzkach pot spływał mu tak samo jak tłuszcz na koszulę jeszcze prawie białą – ależ z tego Tora wieprz!

– Ściszcie to kretyńskie wycie! – warknął łysy siedzący z tyłu.

Parise znał tych popaprańców jak zły szeląg, a tym razem nie mogli się rąbnąć.

Zasłużony weteran 3A (Argentyńskiego Aliansu Antykomunistycznego), Hectore Parise należał do grupy tych, którzy w 1973 roku czekali na powrót Peróna na lotnisku w Ezeizie, gdzie przybyły dwa miliony ludzi, by powitać starego bohatera. Parise i jego ludzie, przyczajeni w pobliżu oficjalnej trybuny, zaczęli strzelać do tłumu jak do kaczek, koncentrując ogień na członkach Montoneros, najaktywniejszych bojownikach. Trzydzieści ofiar śmiertelnych, czterystu rannych, boeing Peróna zawrócony do bazy wojskowej i potworna panika, która była zapowiedzią rozstania generała z lewym skrzydłem swojej partii – 1 maja z balkonu Casa Rosada, dokąd bojownicy Montoneros przybyli masowo ze wsparciem, Perón wyzwał ich od „głupich gołowásów”, „zdrajców”, „najemników”. Świetnie zostało to rozegrane, ponieważ dwa miesiące później Perón umarł, zostawiając władzę swojej żonie, tancerce omotanej przez Lópeza Regę z jego szwadronami śmierci, w których służył także Parise – taki był początek wyścigu zakończony ostatecznie puczem Videli.

Stare dzieje.

Avenida Independencia. Toro wycierał palce w koszulę, kiedy

Parise poruszył się w tyle vana – miał prawie dwa metry wzrostu, toteż przy każdym jego ruchu samochód się kołysał.

– Pierwsza w lewo – rozkazał.

\*

Miguel wybrał białą obcisłą sukienkę, na to rozkloszowany ściągnięty w pasie płaszcz, który eksponował jego kostki – bałwochwalczo kochał pantofle na wysokich obcasach i zawsze kupował za ciasne, aby stopy „były mniejsze”. To miał być jego coming out. Nieważne, czy go wyśmieją czy też nad nim zapłaczą. Show w Niceto zmienił wszystko. Zadziałała magia sceny, która ściska trzewia i wyzwala. Po szalonej nocy spędzonej na tańcach, zabawie i piciu z innymi artystami Miguel zrozumiał, że w jego życiu dokonuje się właśnie przemiana. A już szczytem szczęścia było to, że Gelman i performerzy Clubu 69 zaangażowali go na tournée do Rosario z perspektywą kolejnych tras, od Mendozy po Santiago. Atak był frontalny, odpowiedzieć musiał pilnie (trupa wyjeżdżała za dwa dni) i decyzję podjął ostateczną: koniec z czyhaniem na klientów w dokach, zaczyna życie artystki. Wstawi sobie wybity ząb i kiedyś... czemu nie?... zmieni może płęć, nazwisko, rozpocznie nowe życie z dala od matki, która go pętała. Przeobrazą się w Paulę, przepoczwarzy się jak motyl: na zawsze...

Spojrzał na malutki cukierkoworóżowy zegarek, który podkreślał lamówki sukienki: pora zamykać, metalowa roleta pralni już była opuszczona. Z bijącym mocno sercem, postukując obcasami, szedł korytarzykiem, który prowadził na zaplecze („wejście dla artystów”, jak mawiał) – no, staruszko, dodawał sobie odwagi, bądź mężczyzną, pierwszy i ostatni raz w życiu bądź mężczyzną!

Ledwie otworzył drzwi, rozległ się krzyk.

– No jest! – Rosa podskoczyła na wózku inwalidzkim. – Ach!...  
Aaaach!!! – Staruszka o mało się nie udusiła na widok tak  
wystrojonego syna, najpierw chwyciła się podłokietników, jakby  
diabeł przyprawiał jej skrzydła, potem zacisnęła chude dłonie na  
kraciastym kocu. – Jak śmiesz?! – oburzała się, gromiąc go  
wzrokiem. – Jak śmiesz, ty diable?!

Nie była sama na zapleczu pralni: znajdował się tam również  
człowiek w sutannie z koloratką, czterdziestolatek o miękkim  
uśmiechu. Pewnie ten ojciec Josef, o którym do znudzenia  
opowiadała.

– Ściągnęłaś posiłki? – spytał Miguel.

– Niech ksiądz na niego popatrzy! Widzi ksiądz chorobę, która  
w nim siedzi? Trzeba odprawić egzorcyzmy! O Boże!

– No, no... – Kapłan poklepał parafiankę po zwiędłym ramieniu.  
– Proszę się uspokoić.

Rozzłoszczony, ale i lekko rozbawiony Miguel pokręcił głową  
w peruce.

– Taki wstyd! – lamentowała Rosa. – Jak on wygląda! Błazen!...  
Pedał w przebraniu!... Coś takiego zrobić matce! I to przy kapłanie!  
Jeszcze się śmieje! Ojciec...

– Naprawdę proszę się uspokoić – temperował ją ksiądz Josef. –  
Zaraz porozmawiam z pani synem.

Jego ojcowska mina cuchnęła znową na kilometr. Miguel miał  
tego dość.

– Stary, tobie nie mam nic do powiedzenia – oznajmił stanowczo.  
– Chcę pogadać tylko z matką.

– Co za diabelskie nasienie!

– Niech go pani dopuści do słowa. Syn chce powiedzieć coś  
ważnego. Mów, synu. Jestem tu, żeby pomóc wam obojgu.

Kapłan z kościoła Immaculada Concepción nosił dyskretne okulary, jego blada pospolita twarz tchnęła Chrystusową dobrocią. Miguel wygładził sukienkę, wzruszył ramionami.

– No dobra... – Odetchnął głęboko dla dodania sobie animuszu. – Mamo, chcę ci powiedzieć, że zabieram swoje rzeczy i wynoszę się stąd. Dostałem angaż w rewii transwestytów. Za dwa dni jedziemy do Rosario, trasa jest po całym świecie i już nie wrócę. W każdym razie tutaj nie wrócę. Mam w nosie, co sobie pomyślisz, skoro nigdy nie myślałaś o mnie, tylko zawsze o sobie. Nie mam o to pretensji. Gdyby tata żył, byłoby inaczej. I tak zresztą za późno. Odtąd Miguel będzie się ubierał jak Paula, czy to ci się podoba czy nie. Nigdy mnie nie kochałaś – ciągnął, nie dopuszczając jej do głosu. – Od małego wszystko robiłem źle. Stale mnie sztorcowałaś, jakbyś mnie chciała zdusić, jakbym nie był tym, którym miałem być... ech, trudno. Dziś odchodzę. Zmywam się. Znikam!

– Co?

– Tak, mamo, mam dość życia w naftalinie, słuchania, jak mi wymyślasz od chorych i nadymasz się jak indor. Nie przyszedłem pytać cię o radę ani o pozwolenie, tylko po swoje rzeczy. Wpadnę czasem, żeby ci pomóc, jeśli będziesz chciała.

– Ty sobku! – zaskrzeczała Rosa.

– Tak. Będę sobie żył wśród ludzi, którzy lubią mnie takiego, jaki jestem.

– Oszust!

– Zgadza się.

– Oszust! – wydarła się staruszka. – Przynosisz mi wstyd, zboczeńcu! Pragniesz, żebym umarła, przyznaj! Taki wstyd, mój Boże, taki wstyd!

– Miguel – wtrącił się ksiądz – czemu tak nagle opuszczasz

matkę? Pewnie ostatnio stało się coś, co wpłynęło na twoją decyzję...

– Śmieszne – zauważył Miguel. – Jak człowiek staje się wolny, wszyscy uważają, że gada od rzeczy. Wiesz co, ojciec Josefie? Skoro ty i ten twój Bóg jesteście tacy cwani, teraz wy będziecie się zajmowali moją matką.

– Miguel – rzekł duchowny uroczystym tonem – na twoim miejscu powiedziałbym... Wiem od twojej matki o wizycie w zeszłym tygodniu. Byłeś przy niej?

– Oszust – złościła się Rosa. Włożyła do ust drażetkę z puszki, którą trzymała pod kocem. – Zawsze byłeś oszustem...

– O jaką wizytę chodzi?

– No, tej kobiety – odparł kapłan. – Dała twojej matce pewien dokument, ważny dokument. Rosa twierdzi, że nie pamięta, gdzie go schowała, ale ty na pewno wiesz. Przecież ty się zajmujesz papierami, prawda?

Jego pojednawczy głos brzmiał równie fałszywie jak zgoda na przedłużenie terminu spłaty długu. Miguel popatrzył na matkę, lecz jej wyblakły wzrok już się zagubił w otchłani szaleństwa.

– Słuchaj – rzekł do kapłana – nie wiem, co ci nagadała moja matka, ale widzisz przecież, że ma w głowie nie po kolei.

Rosa ze sterczącymi kosmykami włosów, które się wysunęły z koka, grzebała w puszcze z drażetkami, powtarzając monotennie:

– Oszust... oszust...

Kapłan przestąpił z nogi na nogę przed stołem do prasowania.

– Miguel, to bardzo ważne – rzekł z naciskiem. – Muszę wiedzieć, czy widziałeś dokument, który zostawiła ta kobieta.

– O Boże! – zdenerwował się transwestyta. – O czym ty gadasz?

Na zapleczu pralni przez chwilę dawało się wyczuć niepewność.

Ksiądz Josef spływał potem pod sutanną. Podszedł do Miguela i konfidencyjnie szepnął mu do ucha:

– Matka ci nie powiedziała?

– O czym?

– No, że... że nie jest twoją matką.

Miguel zmarszczył starannie wyregulowane brwi.

– Jak to nie jest moją matką?

– Musisz mi powiedzieć prawdę – prosił kapłan po cichu.

– Jaka prawdę?!... Mamo! – wrzasnął, odwracając się do Rosy. –

Coś ty mu znowu naopowiadała?

– To ty jesteś chory! Oszust!

Wszystko jej się mieszało, przeszłość i terażniejszość dotąd starannie rozgraniczane.

– Co to za historia? – naskoczył na nią syn. – Jak to nie jesteś moją matką? Mamo, to prawda? Nie jesteś moją matką?... Mamo, kurwa, odpowiedz!

Ale staruszka na wózku inwalidzkim mamlała coś w ustach z drapieźnym spojrzeniem wlepionym w urojoną zdobycz. Miguel stropiony pokręcił głową.

– Wystarczy – burknął wtedy czyjś głos za ich plecami.

Do pomieszczenia wkroczył łysy drańgal o czaszce pociętej siatką żył, za nim dwaj mało pociągający osobnicy: przysadzisty brunet o grubym karku, brzuchaty, lecz jak wyciosany z jednego głazu pod wątpliwej czystości garniturem, i typ pokroju starego podrywacza o wyniosłym spojrzeniu tego, kto w gruncie rzeczy nie ma nic do powiedzenia. Miguel cofnął się i oparł o stół do prasowania: ci trzej kryli się dotąd w magazynku, metalowa roleta była już opuszczona, a ich zakazane mordy mogły wzbudzić strach.

– Coście za jedni? – rzucił. – Co tu robicie?



Parise stanął przed drzwiami do magazynku, odcinając ostatnią drogę ucieczki.

– Matka nic ci nie powiedziała? – spytał ze złym błyskiem w oczach.

Nagle Miguelowi zrobiło się bardzo gorąco w białej sukience.

– O czym? – odezwał się drżącym głosem.

Nikt nie zwracał teraz uwagi na Rosę Michellini. Trzymający się nieco z tyłu ksiądz Josef spływał potem.

– Ty masz dokument? – dopytywał łysy olbrzym.

– Jaki dokument? Nic z tego nie rozumiem! – bronił się Miguel. Mimo woli przeszedł go dreszcz pod badawczym spojrzeniem intruza. – Kim... kim jesteście?

Parise obejrzał się na sześcienny zwał mięśni o wylupiastych oczach. Toro naciągał właśnie gumowe rękawiczki i czepek kąpielowy.

– Pospiesz się.

Miguel przełknął ślinę, widząc wymierzoną w siebie dziwną broń. Wyładowanie elektryczne trafiło go w ramię, dwa harpuniki na lince sparaliżowały mu ciało... Ledwie zdążył krzyknąć, po raz ostatni spojrzął w wykrzywioną twarz matki i porażony prądem jak kukła runął na ziemię.

– Co...

Parise przystawił ostrze sprężynowca do pomarszczonej szyi Rosy.

– Zamknij się, wrono, albo przybiję cię do ściany – ostrzegł. – Łapiesz?

Biedaczka zastygła ze strachu, ściskając w rękach cenną puszkę. Jej syn wstrząsany drgawkami leżał koło stołu do prasowania. Toro przykucnął, aby przytrzymać przebierańca, Picador wyciągnął

rolkę taśmy klejącej. Miguel czuł pod policzkiem chłód posadzki, słyszał chrapliwy oddech mężczyzn, którzy go pętali. Nie był w stanie wymówić słowa ani wykonać żadnego ruchu.

– Przyrowadzę vana pod drzwi – powiedział Picador.

– OK.

Parise przyklęknął koło głowy związanego transwestyty.

– Ty ostrzegłeś Ossaria?

– N...n...

– Twoja matka też nie, więc kto?!

Miguel przewrócił oczami na znak, że nie wie. Olbrzym popatrzył na praczkę, która z fotela złowrogo na niego spoglądała: zdawało się, że przerażenie uwięziło ją w świecie martwych aniołów i boskich furii, obnażając jej kłamstwa albo nie mogąc ich dosłyszeć. Parise zaklął – przeszukali całe mieszkanie i nic nie znaleźli.

– On chyba nic nie wie – wtrącił ksiądz Josef, wskazując głową leżącego na ziemi transwestytę. – Na pewno... na pewno by mi powiedział.

W kieszeni szefa ekipy zaskrzeczało walkie-talkie: droga była wolna. Na jego znak Toro zarzucił sobie obwiązaną „paczkę” na ramię – piórko, tak samo jak córka Campalla i tamten przebieraniec, którego omyłkowo zidentyfikowali... Rosa wypuściła z rąk puszkę z drażetkami, które potoczyły się pod ścianę, i szarpnęła się w wózku jak rażona gromem.

– Co robicie z moim synem?!... Zostawcie go! – Machnęła w kierunku mężczyzn laską zakończoną szpikulcem. – Zostawcie go, diabły!

Toro parsknął śmiechem na jej żalosne wywijanie laską.

– To mój syn! – wrzeszczała Rosa z zaślinioną brodą, plując na

wszystkie strony. – Mój syn! – Zamachnęła się, o mało nie poleciała do przodu, znowu sieknęła, czerpiąc siły z rozpacz. – Boże Wszechmogący! Boże Wszechmogący!

Parise podniósł z ziemi szalik transa i obszedł wózek inwalidzki: jednym ruchem wyrwał starej laskę, którą próbowała go dziabnąć, i odrzucił w drugi koniec pomieszczenia.

– Boże Wszechmogący! Boże Wszech...

Otoczył szalikiem chudą szyję staruchy, zacisnął. Rosa rzucała się w fotelu, szybko zaczęła tracić oddech. Aby udusić człowieka, trzeba pięciu minut, dużo szybciej idzie złamanie karku. Parise napiął mięśnie, ścisnął z całych sił, aż mięśnie mu zadrżały: Rosa zacharowała w agonii, oczy wyszły jej z orbit. Trzasnęły kręgi, głowa znieruchomiła na wieczność zwieszona na kwiecistej bluzce.

Parise rozwarł palce z koszulą mokrą od potu. Cuchnęło tu praniem i śmiercią. Wszyscy byli już w vanie, pora i jemu się zbierać. Wykrzywił się jeszcze do rozczochranej mumii na wózku inwalidzkim. Język jej zwisał jak różowy wąż, spieniona ślina ściekała po brodzie...

Stara wiedźma.

\*

Jana miała bezsenną noc. Na niczym nie mogła się skupić, nawet na rzeźbieniu. To jej się nigdy nie zdarzało. Zaczęła wygładzać krawędzie kraterów na betonowym cokole, ostrzyć stalowe pręty, by osadzić na nich chorągiewki w kolorach ludów autochtonicznych na zdewastowanych terenach, lecz wspomnienie tamtej nocy wytrącało ją całkowicie z wątej zresztą pewności. Rzeźbiarz, ten, kto ożywia... Rubén położył ciepłą dłoń na jej pośladkach, przytulił ją i niemal uniósłszy, przycisnął do swojego podbrzusza, po czym

jak w marzeniu, w którym jego oczy uwalniały komety, pocałował tak namiętnie, jak jeszcze nikt dotąd, a potem zostawił niczym kretynekę przed lotnikiem o zdezelowanym uśmiechu... W co on pogrywa? Zafundował jej terapię szokową czy tak postępuje ze wszystkimi kobietami? Jana nie wiedziała, co o tym myśleć. Zmieniła się oś jej świata, jego barwy – antracytowa szarość przyprószona niebieskim. Wpadła w pułapkę. Jak się z niej wydostać? Czy w ogóle chce się wydostać? Późnym rankiem Paula wpadła do swojej „garderoby”, ona także podniecona po szalanej nocy w Niceto, i natychmiast zauważyła zmienione spojrzenie Indianki.

– Oj, staruszko, jesteś zakochana!

Jana wzruszyła ramionami.

– E, tam...

– No co ty! Oczy ci błyszczą, skarbuniu! Coście robili? Całowaliście się?

– Trochę.

– Poszliście do łóżka? – ucieszyła się. – Opowiadaj!

– Widzisz Fukuszimę? To tak samo: wszystko rozpirzone.

– Nie wierzę, odważniaczko! Ha, ha! – zaśmiała się i trajkotała dalej: – Jana zakochana! Cudownie!

Gadanie!... Nie zdołała zasnąć, niewiele popracowała, teraz ziemia usłana była narzędziami, na które spode łba patrzyły jej zmontowane monstra, Paula zabrała fordą i pojechała do matki, a Jana już sama nie wiedziała, jak sobie poradzić ze swymi uczuciami... Parzyła kawę, aby się pozbierać po nieprzespanej nocy, kiedy na zewnątrz rozległ się warkot silnika, zaraz trzasnęły też drzwi samochodu. Czujnie podniosła głowę – nikt nigdy tu nie zaglądał. Ktoś szedł po trawie ku uchylonym przesuwającym

drzwiom. Do pracowni wkroczył Rubén Calderón. Nic nie zostało z jego wcześniejszej elegancji: piękna czarna kurtka, koszula, włoskie buty z krótką cholewką, wszystko było utyłane zaschniętym błotem.

– Robisz mi konkurencję? – rzuciła Jana.

Rubén zapomniał o uśmiechu. Włosy także miał brudne, w poprzek szyi biegło paskudne proste rozcięcie, na którym zakrzepła krew.

– Co się dzieje? – Jana spochmurniała. – Skąd masz tę ranę?

– Napadnięto mnie – odpowiedział. – W Colonii. To byli ci, co zabili Luz i Marię Campallo.

– Kogo?

– W rezerwacie przyrody znaleziono zwłoki. Leżały tam kilka dni. Ona też... – mówił, a Jana patrzyła na niego, jakby się z choinki urwał. – Rozmawiałem z tym facetem z Colonii – ciągnął.

– Z Ossariem, kiedyś paparazem, który miał pewne kompromitujące dokumenty. Według nich Maria Campallo była dzieckiem zaginionych. Ten wasz kumpel Luz-Orlando też. Z przyczyn medycznych wymieniono go na innego dzieciaka urodzonego w więzieniu, tego Rodolfa, aktualnie oficjalnego brata Marii. W każdym razie Campallowie są zamieszani w kradzież dzieci. Ossario nie zdążył mi powiedzieć nic więcej. Zginął, kiedy mordercy wdarli się do jego domu. Gdzieś siedzieli przyczajeni. Mnie ledwie udało się uciec.

Jana patrzyła na niego oszołomiona – za dużo informacji naraz.

– Trzeba to przemyć – powiedziała wreszcie, wskazując paskudną ranę na szyi.

– Przemyłem na statku.

– Czym? Morską wodą?

– Będzie dobrze.

– Tego bym nie powiedziała.

Rubén w zamyśleniu zapalił papierosa z paczki kupionej na promie.

– Co teraz? – spytała Jana.

– Trzeba przekonać rodziców Orlanda, żeby złożyli zeznania. Oni też ukradli dziecko. Mogą opowiedzieć, co się działo w ESMA, o nielegalnych adopcjach, podmienianiu dzieci, mogą pogrążyć Campalla i tych, którzy go chronią...

Jana kręciła głową powątpiewająco.

– Coś mi w tej historii nie pasuje – powiedziała po chwili.

– Mianowicie?

– Orlando. Miał dwadzieścia pięć lat.

Po tych słowach spojrzenie Rubéna znieruchomiało.

– No właśnie – ciągnęła Jana. – Był za młody, nie urodził się w czasach dyktatury... Ten gość z Colonii naopowiadał ci bzdur.

Rubén wspomniał słowa Ossaria odnoszące się do zaginionego brata Marii, do poszukiwań, które jego siostrę, gdy się o nim dowiedziała, doprowadziły aż do La Boki, gdzie transwestyta zarabiał na życie... Zbladł.

– Ile lat ma syn tej praczki?

– Trzydzieści cztery.

Tyle właśnie lat liczyły dzisiaj dzieci zaginionych.

– Cholera.

Jana przełknęła ślinę. Do niej również docierała prawda.

– Bratem, którego szukała Maria, nie był Orlando Lavallo – wyszeptał Rubén. – Mordercy uprowadzili go razem z Marią po wyjściu z klubu tanga, ale się pomylili...

Wymieszano kostki, karty ułożono na opak, zmieniono kolejność

odpowiedzi: bratem fotograficzki był Miguel, a nie Orlando. Właśnie dlatego Luz zadzwoniła do Pauli wtedy w nocy, właśnie to chciała wyjawić, tyle że została zamordowana. Miguel został adoptowany w czasach dyktatury.

Jana w samochodzie dygotała ze złości: matka Miguela to zaraza w czystej postaci. Ona była apropiadorem, a nie rodzice Orlando, ona wraz z mężem żołnierzem wyraziła zgodę na ohydny targ bogatych Campallów. Janie było serdecznie obojętne, czy Rosa Michellini miała wybór czy nie: jej mąż poległ w walce, a ta psychopatka mściła się na adoptowanym synu, jakby go uważała za odpowiedzialnego za swoje nieszczęścia – za odejście współnika bohatera, za orientację seksualną Miguela, za jego stan zdrowia. I dlatego chłopak czuł się taki samotny, niezrozumiany i odtrącany: brakowało mu siostry, rodziców, tożsamości, korzeni.

Jana dzwoniła na komórkę, lecz Paula nie odbierała. Avenida 9 de Julio. Rubén był niespokojny. Po drodze powiedzieli sobie co najważniejsze i teraz w samochodzie panowała ciężka cisza. Dojechali o zmierzchu na calle Perú pustą w porze kolacji. Na drzwiach pralni zobaczyli opuszczoną metalową roletę.

– Jest drugie wejście od tyłu – powiedziała Jana.

Rubén zaparkował wóz w poprzecznej uliczce, ze schowka zabrał chromowanego colta czterdziestkępiątkę i ukrył pod kurtką.

– Idziemy.

Rudy kot, który wylegiwał się na chodniku, poderwał się na cztery łapy i umknął czym prędzej. Weszli w zaułek, dotarli do zarośniętego chwastami podwórka, na które prowadziło wyjście z zaplecza pralni. Jana w prostych płóciennych szortach i czarnej bluzce bez rękawów zapukała, lecz wewnątrz panowała cisza. Wymienili spojrzenia. Rubén wyjął pistolet i pchnął drzwi.

W środku panował mrok. Wycelował z broni, drugą ręką przytrzymując Indiankę, która pchała się za nim: Rosa Michellini siedziała na wózku inwalidzkim, z ust zwisał jej siny język, na szyi zaciśnięty był szalik... Rubén jak błyskawica przemknął przez pomieszczenie, by zajrzeć do magazynku. Jana na chwilę została sama. Zapaliła światło i wzdrygnęła się mocno, ujrawszy twarz staruszki: wybałuszone oczy, siną twarz zwieszoną na pierś. Matka Miguela nie żyła.

Wrócił Rubén.

– Zamknij drzwi na klucz – powiedział.

Jana wykonała polecenie, on tymczasem zaglądał do pozostałych pomieszczeń. Wrócił po chwili – wszędzie było pusto. Mapucze stała bez ruchu zahipnotyzowana zwłokami w fotelu. Mimo stęchłej woni prania nad wszystkim dominował odór starości.

– Szalik – powiedziała. – To szalik Pauli... Miguela – poprawiła się. – Miał go dzisiaj na szyi.

Rubén zmełł w ustach przekleństwo – mordercy zostawili ślad pozwalający oskarżyć Miguela o zabójstwo, a przynajmniej zmylić tropy.

– Myślisz, że go porwali?

– Gdyby chcieli go zabić, znaleźlibyśmy jego trupa – odparł Rubén rzeczowo.

Naciągnął gumowe rękawiczki. Matka Miguela wydawała się o połowę mniejsza pod wytartym kocem okrywającym chore nogi i w oślinionej bluzce. Na posadzce leżały drażetki, które się wysypały z upuszczonej puszki. Pochylenie szyi sugerowało, że kręgi zostały złamane, temperatura ciała, że zgon nastąpił godzinę, dwie wcześniej. Nie było innych śladów przemocy, tylko twarz wykrzywiona z powodu duszenia ze skrawkami przeżutego papieru



przyklejonymi do warg i satynowym szalikiem, który należał do jej syna... Na zapleczu zrobiło się duszno. Rubén uniósł głowę praczki, otworzył jej usta i zobaczył, że coś utknęło w przełyku. Papierowa kulka na poły przeżuta. Wyciągnął ją czubkami palców.

– A to co? – mruknął do siebie.

– Stara miała nie po kolei w głowie. Zespół Roszpunkki – powiedziała Jana stojąca obok. Rubén się skrzywił. – Zjadała rachunki, dokumenty, włosy, wszystko, co jej wpadło w ręce – wyjaśniła. – Miguel zamierzał zwrócić się do psychiatry, ale... – urwała ogarnięta z jednej strony żalem, z drugiej mdłościami.

Rubén wytarł o kurtkę zaślinioną kulkę wyjętą z gardła staruszki, rozprostował papier. Pismo było drobne, maszynowe: cyfry, które przypominały jakieś zestawienie, ciąg liter... Schylił się. Na podłodze leżała puszka i jej rozsypana zawartość. To nie były cukierki, lecz kulki, które matka Miguela z maniacką starannością porobiła sobie z potarganego papieru. Detektyw je pozbierał, było ich sześć. Rozprostował wszystkie na stole do prasowania. Na pomiętych świstkach były różne cyfry, a także nazwiska.

– Co to jest? – szepnęła Jana, zaglądając mu przez ramię.

– Na pewno nie rachunki. Powiedziałbym raczej, że... kartoteka.

Cyfry zdawały się ułożone w jakimś szyku. Wśród nich Rubén dostrzegł datę: „19/09/1976” i przypisane mu zaszyfrowane oznaczenie. Wrzesień 1976. Czas rządów junty.

– Kartoteka więzienna – dodał.

Rubén popatrzył na martwą staruszkę. Miał tylko siedem strzępków. Ile czasu upłynie, zanim przeprowadzona zostanie sekcja zwłok Rosy? Dziesięć, dwanaście, dwadzieścia godzin? Za dużo. Do tej pory soki żołądkowe wszystko zniszczą. Odchylił na

oparcie fotela nieruchome ciało, zdjął kurtkę, zakasał rękawy koszuli.

– Co robisz?

– Połknęła resztę dokumentu – wyjaśnił, wskazując Rosę. – Przy odrobinie szczęścia kwasy jeszcze nie wszystko rozpuściły.

Jana nie od razu zrozumiała, o czym Rubén mówi. Wzrok mu się zmienił, jakby detektyw zapadł się w siebie. Oniemiała dziewczyna cofnęła się o krok. Calderón wypuścił powietrze, by pozbyć się napięcia, wyjął nóż i otworzył, po czym rozciął z przodu bluzkę staruszki, która wpatrywała się w sufit niewidzącymi oczami. W ostrym świetle pomieszczenia ukazało się jej zwiędłe ciało.

– Na twoim miejscu bym się odwrócił – powiedział.

Indianka ani o centymetr nie umknęła wzrokiem.

Jej wybór...

Rubén wbił nóż w brzuch Rosy Michellini i rozciął powłokę mięśni.

# 13

Księżyc wspinał się nad dachami, kiedy przekroczyli pancerne drzwi agencji. Nikt ich nie widział, gdy wychodzili z pralni na calle Perú. Detektyw mieszkał dwa kwartały dalej. Jana szła za nim po nierzeczywistym chodniku z głową wypełnioną obrazami śmierci, ledwie słyszała, co mówił po drodze, rozmawiając krótko przez telefon z tą swoją koleżanką policjantką: myślała o Miguelu, o parszywym losie, który jakby od dzieciństwa się wziął na niego... W mieszkaniu było bardzo ciepło, jak to letnią nocą w Buenos Aires. Rubén rzucił ubłoconą kurtkę na kanapę, poprawił zaciągnięte zasłony i rozłożył na biurku cenne, na poły przeżute skrawki papieru. Większość była mokra, w żalonym stanie. Zostawił je, aby wyschły. Podeszwy jego butów skrzypiały na marmurowych płytach. Także były zniszczone do cna.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

Jana pokręciła głową. Chciało jej się rzygać. Rubén nie dość, że miał tę paskudną ranę na szyi, to jeszcze chodził w koszuli schlapanej krwią starej wariatki.

– Pójdę się umyć – oświadczył.

Mapucze nie zareagowała, trwając bez ruchu ze skrzyżowanymi rękami i pustką w wielkich czarnych oczach. Zachować zimną krew, nie myśleć, co mogą robić Pauli właśnie w tej chwili...

Zajęczało w przewodach pod płytkami łazienki. Jana słuchała długiej skargi wody w rurach i dalekiego, bardzo dalekiego łkania wiatru w trawach.

Mieszana krwi, wody i materii organicznej wypłynęła na koc, kiedy Rubén wyjął żołądek staruszki. Położył go na stole do prasowania, jeszcze ciepły i ociekający krwią, i zupełnie jak na kursie anatomopatologii sądowej zaskakująco wprawnie rozciął błony, a następnie czubkiem noża rozkładał go wzdłuż. Soki częściowo przetrawiły jedzenie, ale papierowe kulki wciąż były widoczne w treści żołądka. Znalazł ich siedem, oczyścił z grubsza, po czym obydwój z Janą wybiegli z pralni jak wariaci.

Prysznic wreszcie ucichł. Zły sen.

Po chwili Rubén wszedł do pokoju w czarnych spodniach bez paska i w śliwkowej koszuli opiętej na muskularnych ramionach. Jana poczuła się jak żebraczka w wyblakłych szortach, koszulce bez rękawów i sfatygowanych gładach, jakby różnica wieku między nimi grała na jej niekorzyść. Rubén napełnił szklanek zimną wodą z kranu i podał Indiance jakąś pastylkę.

– Wypij – powiedział. – Pomoże ci przez to przejść.

– Co to?

– Środek relaksujący.

– Nie mam ochoty na relaks.

– A ja nie mam ochoty oglądać cię w tym stanie... Proszę.

Znowu patrzył przyjaznym wzrokiem. Jana połknęła tabletkę, popiła wodą, nie widząc, że Rubén nie odrywa od niej oczu. Wciąż myślała o Pauli, o jej migotliwych marzeniach, które wzięły w łeb, o ich bezsennej nocy, po której nastąpił koszmar.

– Często ci się to zdarza? – spytała, wreszcie nad sobą panując.

– Co?

– Wypruwanie flaków staruszkom.

– Nie... Nie wszystkim tak odbija palma.

Rana na szyi lśniła od maści gojącej. Rubén podszedł do barku, zaczął przygotowywać pisco sour.

– Lepiej, żebyś nie wracała do siebie – rzekł, mieszając składniki.

– Zostań tu na tę noc. Potem zobaczymy.

Nocny autobus wprowadził w drżenie szyby mieszkania. Rubén napełnił kieliszek po brzegi, zapalił papierosa i zerknął na świstki porozkładane na biurku. Prawie wyschły. Z jego włosów skapywała woda na sponiewieraną szyję. Plum, plum, deszcz łez ronionych nad tym, co przeżywali.

Jana podeszła.

– Co robisz?

– Układam puzzle... Znaczy to, co z nich zostało.

Całe kawałki tekstu znikły pod wpływem kwasów żołądkowych, lecz przez to, że kulki były ciasno zbite, ponad połowa treści się zachowała.

– Jak te papiery trafiły w ręce starej?

– Pewnie za pośrednictwem Marii Victorii. Albo Ossaria. Ewentualnie trzymała je w ukryciu od czasów adopcji i teraz próbowała zniszczyć... Zobaczymy.

Rubén zaczął składać dokument do kupy w rozproszonym świetle lampy art déco, z Janą rzucającą cień na biurko. Nie wiedział, kiedy staruszka zaczęła połykać cenne kulki ani ilu kawałków mu brakowało. Pracowicie dopasowywał do siebie kolejne elementy. Mijały minuty w dziwnej atmosferze. Jana wbrew sobie ziewnęła.

– Możesz się położyć w mojej sypialni, jeśli chcesz – odezwał się Rubén. – Widzę, że jeszcze mi tu zejdzie...

Rzeźbiarka padała z niewyspania. Niewątpliwie działała zażyta

tabletki – skumulowane zmęczenie i rozluźniające się nerwy.

– A Miguel? – szepnęła cichutko. – Myślisz, że jego też załatwią?

– Jak wszystkich świadków sprawy – odparł głosem, któremu starał się nadać brzmienie obojętne. – Ty również do nich należysz.

– Ty też.

– Owszem. Ale nie zostawię cię samej.

Jana nie była pewna, czy ma się z czego cieszyć. Od tamtego pocałunku koło lotnika trzy wieki temu nawet się nie dotknęli. Rubén nie zwracał na nią uwagi skupiony na dopasowywaniu elementów układanki. Wkrótce zaczęły się pojawiać nazwiska, miejscowości, potem nagłówki z godłem ESMA. Kartoteka, tak jak przypuszczał. Czy ta sama, którą Ossario pokazał Marii Campallo na dowód, że została adoptowana? Jak były paparazzo zdobył taki dokument? Trudził się dalej, nie odczuwając już zmęczenia: senność mu przeszła, świat zniknął w otchłani, która zabrała go w czasie sprzed trzydziestu pięciu lat. Przesuwał skrawki papieru, dopasowywał ich brzegi. W mieszkaniu panowała cisza ledwie mącona szumem ruchu ulicznego na napowietrznej autostradzie nad tym przeklętym skrzyżowaniem. Jana usnęła na kanapie, nie zrzuciwszy nawet glanów. Upłynęła jeszcze godzina, zanim uzyskał zadowalające wyniki.

Dokument najwyraźniej składał się nie z jednej kartki, lecz z trzech: z trzech słabej jakości fotokopii kartoteki założonej w ESMA latem 1976 roku.

Na podstawie elementów, którymi dysponował, Rubén ułożył wstępny scenariusz zdarzeń. Ossario skontaktował się z Marią Victorią, żeby pokazać jej więzienną kartotekę, która obciążała rodziców adopcyjnych dziewczyny, liczył bowiem, że zdoła ją namówić do zeznań na jego „Wielkim Procesie”. Fotograficzka

jednak nie zastosowała się do instrukcji tego oszołoma: odnalazła praczkę, do której trafił jej biologiczny brat, na dowód mając kopię dokumentu. Miguela wtedy nie było, matka wzięła dokument, niewątpliwie obiecując, że odda go synowi, wypowiada się przed nim szczerze w cztery oczy. Maria widocznie nie uwierzyła starej wariatce i kontynuowała poszukiwania, wypytując ludzi z sąsiedztwa. Posłano ją do doków w La Boce, gdzie syn praczki w damskim przebraniu od lat łapał klientów. Maria natrafiła wtedy na Luz-Orlanda i albo go zabrała do klubu tanga, albo umówiła się tam z nim później, nie wiedząc, że zabójcy ją obserwują.

Rubén główkował nad odtworzonym kawałkiem układanki. Kartoteka była dziurawa, z nazwiskami, miejscowościami czy datami niewidocznymi po pobycie w żołądku, ale dawało się wyczytać schemat organizacyjny wojskowych zamieszanych w uprowadzenie i uwięzienie rodziców Marii Victorii, których nazwisko było czytelne: Samuel i Gabriella Verón. Nazwisko Eduarda Campalla również figurowało w dokumencie: oddano mu dzieci 21 września 1976 roku... Detektyw przez chwilę stał nad kręgiem światła rzucanym na biurko. Mimo fatalnego stanu dokumentu nigdy nie widział tak dokładnie wypełnionej kartoteki więziennej: nazwiska, daty, zmiany miejsca pobytu – wszystko skrupulatnie odnotowano. Wiele czasu mu zajmie, zanim się z tym upora, zanim spíše nazwiska winnych i ich współników, porówna je ze swoimi fiszkami... Nie, tym razem sam sobie nie poradzi. Będzie potrzebował pomocy. Carlosa, Anity, Babé z Plaza de Mayo...

Stare upiory plątały się po agencji, kiedy podniósł głowę. Jana spała na czerwonej kanapie w salonie. Była tam, w odległości

raptem dwóch metrów, powalona tabletką. Wypukłość jej śniadych nóg lśniła w świetle lampy art déco, kawałek jej twarzy, włosy rozsypane na podłokietniku... Bose stopy poniosły go bezgłośnie do kanapy, na której złożyła swoje nieszczęście. Zwinięta w kłębek Mapucze przyciskała ręce do piersi, ale jej uśpiona twarz była twarzą dziecka. Wzrok przesłoniła mu mgiełka od łez, które zawisły na rzęsach, napłynąwszy z czeluści piekieł. Rubén przyklęknął u wezgłowia aniołka i czubkiem palców pogładził go po czole.

Moja słodka... moja słodka siostrzyczka...



CZEŚĆ DRUGA  
**Smutny zeszyt**

# 1

Franco Díaz poczuł łzy w oczach na widok majestatycznych ombu na argentyńskim niebie – drzew, które botanicy umieścili wśród gigantycznych traw typowych dla pampy. Ile to czasu ich nie widział, pędząc życie emeryta w Urugwaju? Piętnaście lat?

Jako żarliwy katolik i patriota Franco Díaz był człowiekiem z zasadami – nie żałować, nie zdradzać. Przez prawie trzydzieści lat argentyńska armia była jego jedyną kochanką, wymagającą i wierną. Rodzina to dobre dla cywilów. Ale z wiekiem zmienił zdanie: wcześniejsza emerytura pozwalała na godne życie, Franco zatem powziął zamiar, że zestarzeje się z kobietą – łagodną i uległą jak jego matka, z kobietą, która byle przestrzegała porządku rzeczy, a w pełni go uszczęśliwi. Zdawało mu się, że to nic trudnego. Przeniósł się do Colonia del Sacramento, urugwajskiego portu położonego naprzeciwko Buenos Aires, licząc, że znajdzie taką, która mu przypasuje. Tymczasem musiał spuścić z tonu. Ponieważ do dawnego miasta kolonialnego ściągali głównie turyści albo rodziny w szortach i z cyfrowymi aparatami fotograficznymi, wolne kobiety w jego wieku trafiały się rzadko, w większości z nadzorem policyjnym czy nawet ateistki, tak że z czasem, po epizodycznych mało szczęśliwych doświadczeniach, Franco Díaz zapomniał o pomysle, aby zestarzyć się we dwoje.

Może powinien był pomyśleć o tym wcześniej. A może za dużo brzydkich rzeczy się naoglądał i kobiety pewnie to wyczuwały. Franco nie odczuwał żalu: co jest do zrobienia, należy zrobić, najważniejsze zaś, że w kwiatach znalazł odmianę, której brakowało mu w koszarowym życiu.

Początkowo sądził, że botanika pomoże mu pokonać samotność, nie pozwoli zgnuśnieć. Tymczasem miał coś więcej niż hobby – wraz z kwiatami odkrył inny wymiar czasu. Czasu wzrostu... Dzikie irysy z bagien, błyszczące mieczyki, dumne róże czy azalie, wszystkie kwiaty były jego pokutą.

Albowiem Franco Díaz pragnął umrzeć w pokoju.

Zżerający go rak wątroby dawał przerzuty. Lekarze z Montevideo mówili, że może pożyje jeszcze z pół roku. Nikt o tym nie wiedział. Nawet jego dawni przełożeni. Choroba się rozwijała od ataku do ataku, każdy kolejny był gwałtowniejszy i wkrótce nic ich nie powstrzyma. Franco był sam wobec Śmierci, przerzutów, którymi rządziła, oraz jej Tajemnicy, która toczyła go może nawet bardziej niż sam rak.

„Mów, a Pan Bóg ci pomoże”, mawiał jego obecny przyjaciel i spowiednik.

W ostatnich miesiącach życia Franco Díaz stał się mistykiem. Słyszał Głos czasem po żarliwych modłach i ekstatycznych wezwaniach, gdy umysł mu szwankował albo ból w trzewiach stawał się nie do zniesienia. Wówczas Głos mu doradzał, wszechwiedzący, a przecież taki bliski, bardziej kojący niż tabletki z morfiną: właśnie On podsunął mu pomysł, by ukrył swój Sekret, pozostawił działanie czasowi. Posadził puchowiec, argentyńskie drzewo narodowe, jak pomnik nagrobny, mauzoleum. Świat nie był jeszcze gotowy: najpierw musi odejść jego pokolenie... Ironia losu –

kiedy Franco Díaz szykował się do odejścia, dopadła go przeszłość.

Wszystko zaczęło się tydzień wcześniej. Emeryt odnotował wówczas niezwykle ruch na ulicze: szary samochód i ludzi krążących wokół domu sąsiada. Nazajutrz zjawił się jakiś człowiek, który go wypytywał, dobrze zbudowany dryblas – podawał się za przyjaciela Ossaria będącego tutaj przejazdem. A Ossario wtedy od trzech dni nie otwierał okiennic, samochodu też nie było, wszystko więc wskazywało na to, że wyjechał. Dryblas udawał sympatycznego, Franco jednak odgadł, że kłamie. Ossaria nigdy nie odwiedzali znajomi, a jego dom ewidentnie był monitorowany. Przybyły z Argentyny agent ubezpieczeniowy kłamał także co do swojej tożsamości. Czemu wszyscy nagle ściągali do Ossaria? Franco Díaz wyczuł zagrożenie. Coś musiało wyciec, coś, co dotyczyło jego. Szantaż, wyłudzenie pieniędzy, wystawienie na aukcję „rewelacji” – dawny paparazzo zdolny był do wszystkiego: mógł przeprowadzić jakieś swoje dochodzenie, mógł dowiedzieć się od kogoś, kto zdradził albo poczuł wyrzuty sumienia, kim jest on, Franco Díaz. Otrzaskany z przesłuchaniami Díaz wiedział, że ludzie, którzy odwiedzili Ossaria, to zawodowcy, gliniarze albo tajniacy z jakiegoś biura. Gdyby przysłali ich jego druhowie, na pewno by mu powiedzieli... Wszystko przyspieszyło nieoczekiwany powrót Ossaria i napaść na jego dom.

Inaczej niż wypłoszeni dawni wojskowi, którzy sprzedawali domy we Floridzie *for a quick sale*, Díaz uciekł, zostawiając wszystko: rzeczy osobiste, dom na brzegu estuarium, cenne rośliny, których wyhodowanie zajęło mu tyle lat i które zmarnieją w jego tajemnym ogrodzie. Jeszcze tego wieczoru przekroczył w swoim audi granicę i przenocował w Argentynie, ukochanej ojczyźnie, w hoteliku, w którym zameldował się pod fałszywym nazwiskiem. Jechał teraz

cienistą szosą z głową ciężką od myśli. Uciekał. „Mów, a Pan Bóg ci pomoże”, powtarzał mu jego powiernik. Tak, tylko do kogo miał mówić? Camps, Viola, Galtieri, Bignone... Większość generałów uwikłanych w Narodowy Proces Naprawy nie żyła. Kto jeszcze wiedział? Kto zdradził? Komu zaufać w tej grze z góry przegranej?

Z ludzi tamtych czasów pozostał mu jedynie spowiednik. I Głos, który podpowiadał, aby go odnaleźć, póki jeszcze ma siły – odnaleźć go, zanim będzie za późno...

## 2

Był czwartek: słońce znowu świeciło, wróble na plaza de Mayo kąpały się w fotannie z obeliskiem, czekając na przybycie Babć.

Ściągały do punktu zbiórki po dwie albo grupkami, szły niepewnym krokiem, najstarsze wspierały się na córkach. Pozdrowiały Elenę Calderón, która rozkładała prospekty, DVD i publikacje stowarzyszenia na oczach patrzącego obojętnie oddziału policji – słynnej elitarnej policji. Matka Rubéna poprawiła na głowie *pañuelo*, którym szarpał wiatr, i odpowiedziała na powitania towarzyszek nieszczęścia.

Elena Calderón nigdy nie myślała, że przypadnie jej w udziale los taki jak tych kobiet.

Pochodziła ze starej burżuazji osiadłej w Buenos Aires, była dziedziczką oligarchów, którzy zbili fortunę pod koniec XIX wieku, kiedy Argentyna, pozbywszy się rdzennej ludności za pomocą remingtonów, otworzyła się na handel międzynarodowy. Jej dziadek, oficer u generała Roki, otrzymał w nagrodę ogromne połacie ziemi i umocnił swoją fortunę, przyłączając się do innych bogatych rodów, które podzieliły między siebie kraj. Tym sposobem jego syn Felipe odziedziczył tysiące hektarów, na których wypasano bydło dające najlepszą wołowinę na świecie, karmił odbudowywaną Europę, czerpiąc z tego ogromne zyski, i budował sieć powiązań

z rozmaitymi prądami politycznymi w Argentynie, gdzie armia, zawsze blisko związana z władzą, załatwiała karuzelę zamachów stanu.

Upadek Peróna, który po śmierci Evity afiszował się z trzynastolatką, niczego nie zmienił. Rozpieszczana, żyjąca w dostatku Elena wychowywała się w bogatym domu w Recolecte, a gdy rozkwitła urodą, szybko synowie najlepszych rodów stolicy zaczęli się starać o jej rękę. Jednakże w odróżnieniu od swych braci i sióstr, którzy poddawali się rytuałom przejścia obowiązującym w ich klasie społecznej – świętowanie piętnastych urodzin dziewcząt, bale przy dźwiękach bolera i wzmożony romantyzm – najmłodsza córka marzyła o emancypacji. Kiedyś podczas odczytu w Querandí, zadymionej kawiarni, gdzie się zbierała kontestująca młodzież, Elena zetknęła się z młodym poetą i polemistą Danielem Calderónem, którego płomiennie słowa rywalizowały z ognistym spojrzeniem. To była miłość od pierwszego wejrzenia – ze wzajemnością. Odtąd stali się nierozłączni.

Dwa lata później urodził się Rubén, potem Elsa.

Postępowiec jak każdy porządny argentyński mieszczuch i inteligent, Daniel potrafił jakoś lawirować między oczkami wszechobecnej cenzury wojskowej. Jego wiersze zaczynało wydawać za granicą w przekładach, a żona zachęcała go do pisania, głęboko wierząc, że najlepsze jest ciągle przed nim. Daniel Calderón miał w sobie *el duende*, magiczny urok. Nastanie dzień, kiedy świat tak jak ona zachwyci się jego osobowością i siłą słowa, uśmiechem, który spokojną promiennością rozbraja wszystkich – Elena była zakochana...

A potem 24 marca 1976 roku przeprowadzono pucz.

Videla, Massera, Agosti. Z powodu swojego pochodzenia Elena

czuła się protegowaną generałów, z których każdy reprezentował inną część sił zbrojnych. Mianowali się strażnikami chrześcijańskiej moralności i porządku: zainicjowali osławiony Narodowy Proces Naprawy. Mimo szczególnych wyborów życiowych Elena była przedstawicielką starej prawicy, w swoim czasie peronistowskiej. Szybko jednak jej złudzenia się rozwiały. Zakaz czytania dzieł zagranicznych, kontrola publikacji, palenie książek historycznych i innych zbyt naznaczonych „marksizmem” – pod wpływem wszechobecnego strachu i autocenzury następował rozkład życia literackiego. Niektórzy pisarze znikali.

Książki z zakresu socjologii, filozofii, psychologii, polityki, a nawet matematyki stały się wkrótce niedostępne. Ten sam los spotkał pismo i tomiki Daniela Calderóna. Według miejscowych władz wywrotowcy „przebierali się za ludzi ulicy”, co usprawiedliwiało szerokie represje.

Każdy przypadek zniknięcia człowieka był osobnym światem, niewysłowionym bólem i nieodwracalną zmianą dla tych, którzy pozostawali.

Strach: każdy Argentyńczyk był potencjalnym celem, toteż w pierwszej kolejności dbał o bezpieczeństwo własne i bliskich.

Niewiedza: w mediach nie mówiono o uprowadzeniach, przekazywano jedynie oficjalne komunikaty policji i wojska, według których będące na porządku dziennym ponure odkrycia były wynikiem starć z wywrotowcami, a nawet porachunków między nimi.

Niepewność: czy ta przemoc nie zaczęła się jeszcze przed zamachem stanu, w chaosie i powszechnej korupcji za reżimu peronistowskiego? Czy partyzantka nie walczyła z poprzednią dyktaturą, czy nie odrzuciła włączenia się w przemiany



demokratyczne i nie wywindowała przemocy na niedopuszczalny poziom?

W Buenos Aires represje były okrutne, atmosfera ponura. Ludzie unikali witania się na ulicy, rozmów z nieznajomymi, bojąc się oskarżenia o konspirację, a nawet aresztowania wyłącznie dlatego, że przechodniowi przypalili papierosa. Elena i Daniel mocno się głowili. Trzeba było coś zrobić, tylko co? Kto mógł dać odpór wojskowym? Kościół? Kościół współpracował. Partie polityczne? Zostały zawieszane. Intelktualiści, dziennikarze? Byli na linii strzału.

Mimo wszystko Calderónowie postanowili działać.

Ponieważ junta kontrolowała przesyłki pocztowe, Elena wydeptała u przyjaciół ojca wizę dla Daniela, którego Sorbona zaprosiła na cykl wykładów o argentyńskiej poezji XIX wieku. Po paru miesiącach pertraktacji przyznano mu wizę wyjazdową. Daniel Calderón wyjechał do Francji na początku roku 1978 z rękopisami ukrytymi w podwójnym dnie walizki – paryski wydawca miał opublikować pod pseudonimem jego najnowsze wiersze, Daniel zaś nawiązać kontakty z grupami oporu wobec dyktatury, złożonymi w większości z uchodźców politycznych, którzy próbowali zwrócić uwagę organizacji broniących praw człowieka na rzeczywistość w kraju w obliczu zbliżającego się mundialu. Francja, gościnna Francja, która przyjmowała uciekinierów z Argentyny. Daniel przekonał Simone Signoret, by stała się rzeczniką ich walki w mediach – aktorka wspaniałomyślnie z własnej kieszeni opłaciła transparenty i ulotki – oraz nakłonił Danielle Mitterrand, by wykorzystwała swoje wpływy w sferach politycznych, a jako była członkini ruchu oporu w czasach drugiej wojny światowej, znała się na rzeczy.

Daniel Calderón wygłaszał wykłady na Sorbonie, kiedy się dowiedział o porwaniu swoich dzieci w drodze ze szkoły.

Czy ktoś go zdradził? Gdzie: w Argentynie czy we Francji? Jakkolwiek było, należało dzieci czym prędzej odnaleźć, zanim znikną na zawsze wessane przez aparat państwowy. Daniel mimo obaw żony natychmiast wrócił do Buenos Aires i został zgarnięty przez agentów SIDE jeszcze na lotnisku.

„Operacja powrót” w żargonie wojskowych, taktyka polegająca na zastawianiu pułapek na uchodźców dzięki infiltrowaniu ich organizacji za granicą. Czy Daniel otrzymał francuską wizę wyłącznie po to? Elena Calderón stawiała na głowie, by odszukać swoją rodzinę, uruchomiła wszystkie znajomości – bez efektu. „Pani mąż zbiegł!”, odpowiedziano jej bezczelnie. Wówczas Elena zwróciła się do tych, którzy wspierali Daniela we Francji. Sprawa trafiła do najwyższych instancji, o ile jednak ojczyzna praw człowieka potępiała pucz Videli, o tyle za kulisami nie wyglądało to tak różowo: francuski kontrwywiad został ostrzeżony o wydaniu fałszywych dokumentów agentom junty mającym wyłapywać dysydentów na terytorium Francji, lecz Poniatowski, minister spraw wewnętrznych, nie zrobił nic, aby ich zatrzymać. Dawni oasowcy byli w tajnych służbach zarówno we Francji, jak i w Argentynie, gdzie niektórzy tajniacy po wyjeździe z Algierii prowadzili szkolenia w zakresie przesłuchiwania z użyciem przemocy. Nie tylko zresztą oasowcy: w latach 1957–1983 wyżsi oficerowie regularnej armii prowadzili w Paryżu za pośrednictwem „misji francuskiej” kursy dla przyszłych oprawców, przygotowując ich do wojny przeciwko buntownikom i do terroru psychicznego, który miał okiełznać ludność... Gra na dwa fronty? Elena Calderón spotkała się z francuskim ambasadorem w Buenos Aires,

wykształconym uprzejmym człowiekiem, który okazał się bardziej chętny do doskonalenia swojego passing shota na korcie tenisowym niż do zażądania informacji na temat zniknięcia jakiegoś tam poety po powrocie z Paryża.

W końcu tak jak inne żony i matki Elena musiała się pogodzić z bezprawiem: wojskowi uderzali, gdzie chcieli i w kogo chcieli, śmiejąc się szyderczo w twarz tym, którzy się domagali nakazu sądowego.

Codziennie przed każdy komisariat w mieście przychodziły ich dziesiątki, pytając o najbliższych. Elena Calderón dołączyła do kobiet zżeranych niepokojem, w większości żon prostych robotników, których dzieci uprowadzane były przez siły policyjne krążące w nieoznakowanych pojazdach i po cywilu. Dopiero w zetknięciu z nimi z przerażeniem odkryła położenie wielu rodaczek – niektóre po raz pierwszy w życiu wychodziły same na ulicę! Te kobiety nic nie wiedziały, ich rola sprowadzała się do prowadzenia domu i wychowywania dzieci. Polityka ich nie dotyczyła – tak przynajmniej uważały – obce im były wszelkie terminy prawne, czytały niewiele, a jeśli już przypadkiem coś drukowanego wpadło im w ręce, była to „La Nación”, organ rządowy w czasach Narodowego Procesu Naprawy. Przede wszystkim zaś nie rozumiały tego, co je spotykało: „oni” musieli się pomylić...

Te matki i żony godzinami stały na ulicy zgnębione, bezsilne, w swej rozpaczynie trapione bezsennością. A władze śmiały im się w nos: „Twój syn pewnie zwiął z jakąś lalunią!”, „Znowu porachunki między terrorystami!”. Która miała więcej szczęścia, otrzymywała trumnę ze zwłokami syna albo męża pod strażą uzbrojonych żołnierzy pilnujących, by nie została otwarta – ujrzano

by wtedy ślady po torturach albo że trumna jest pusta...

Kobiety postanowiły stawić opór.

Tylko czternaście ich przyszło na pierwsze spotkanie 30 kwietnia 1977 roku na plaza de Mayo. W Argentynie nie dałoby się znaleźć miejsca lepiej strzeżonego: plaza de Mayo był ośrodkiem władzy wojskowej, symbolicznym miejscem politycznej pamięci kraju położonym między Cabildo, niegdyś siedzibą kolonialnego rządu hiszpańskiego, a Casa Rosada, rezydencją, przez którą przewinęli się wszyscy rządzący, odkąd w 1810 roku usunięto ostatniego hiszpańskiego wicekróla i proklamowano republikę.

Kobiety zgromadziły się przed obeliskiem, każda z dziecięcą pieluszką na głowie, *pañuelo*, symbolizującą uprowadzone dzieci. Otwarcie wyzywając władze, Matki z Plaza de Mayo domagały się „pokazania żywych” bliskich – odmawiały noszenia żałoby zgodnie z przyjętą zasadą: dzieci zabrano żywe, toteż dopóki oprawcy nie przyznają się do zbrodni, ci „zaginieni” pozostaną żywi. Policja najpierw je postraszyła, potem chciała rozgonić, one jednak chwyciwszy się pod ręce, wyzywająco zaczęły krążyć w kółko po placu, raz zgodnie z ruchem wskazówek zegara, raz w kierunku przeciwnym. „Wariatki”, uznała władza.

I później wracały. W każdy czwartek.

Szczuto je psami, szarżowała na nie policja konna, dokonywano grupowych zatrzymań: rozgonione Matki z Plaza de Mayo zawsze wracały, ustawiały się na powrót, ich szeregi rosły, zasilaly je bowiem siostry, córki, przyjaciółki. Zaczęły sporządzać listę funkcjonariuszy junty, wypytywać nielicznych uwolnionych, gromadząc mnóstwo informacji, choć drogo za nie płaciły: opuszczone przez hierarchów kościelnych, zinfiltrowane, po czym zdradzone przez Astiza (wojskowego tak okrutnego, że koledzy

używając antyfrazy, nazywali go „blond aniołem”), przybite uprowadzeniem i zniknięciem trzech matek założycielek oraz dwóch francuskich sióstr, które je wspierały... Mimo to co czwartek krążyły przed Casa Rosada, domagając się sprawiedliwości.

Upadek dyktatury nie na długo je uspokoił. Na wprowadzone przez wojskowych ustawy o „przywróceniu pokoju w narodzie” nowy prezydent Alfonsín, wybrany w głosowaniu powszechnym, najpierw odpowiedział zawieszeniem amnestii, doprowadzając do oskarżenia najważniejszych generałów i odesłania na wcześniejszą emeryturę połowy oficerów, potępił także działania Rewolucyjnej Armii Ludu i Montoneros, których przywódcę aresztowano. Teoria „dwóch demonów” okazała się fatalna: wojsko zagroziło buntem, Alfonsín zatem wycofał się z tych decyzji, zapowiedział, że przestępstwa z tytułu łamania praw człowieka zostaną osądzone przez trybunały wojskowe, anulował klauzulę „obowiązku posłuszeństwa”, która z wyjątkiem „przypadków dowiedzionego okrucieństwa” zdejmowała de facto winę z wykonawców rozkazów.

Powołano Narodową Komisję do spraw Osób Zaginionych, CONADEP, lecz bardziej się przykładała do wydawania aktów zgonu osób porwanych niż do osądzania winnych. Uchwalona wkrótce ustawa o „Punto final”, „Kropce”, dawała jedynie sześćdziesiąt dni oskarżycielom na postawienie przed sądem członków sił zbrojnych, a na koniec jeszcze Menem dołożył swoje, ogłaszając *indulto*, wybaczenie... Po piętnastu latach postępowania sądowego Videla, Galtieri, Viola, Massera, najważniejsi generałowie, wywinęli się kilkoma latami spędzonymi w odpowiednio przystosowanym więzieniu, a łupieżcy, oprawcy i ich wspólnicy, wszyscy poniżej stopnia pułkownika, zostali oczyszczeni z zarzutów.

Był to policzek dla Matek i Babć z Plaza de Mayo, odtąd jeszcze bardziej nieugiętych. Bez dochodzenia nie będzie ekshumacji szczątków ani osądzania winnych, nie będzie pośmiertnego hołdu ani odszkodowań, aby spłacić dług, nie będzie pojednania z Kościołem.

*¡Iglesia! ¡Bassura!*

*¡Vos sos la dictadura!* <sup>[4]</sup>

Babcie będą walczyły do ostatniego tchu – bez żądy zemsty, ale też bez przebaczenia, a tym bardziej zapomnienia. „Może udało im się zabić naszych mężów i dzieci, nie zdołali jednak zabić naszej miłości”, powtarzały.

Minęło ponad trzydzieści lat, Elena Calderón nie była już dumną dystygowaną kobietą, która częstowała daiquiri chilijskich uchodźców goszczących u niej przelotnie, lecz jej determinacja nie miała ani zmarszczki.

Na plaza de Mayo czuć było atmosferę walki. Elena przygotowywała stoisko, przy którym będzie rozdawała ostatnie biuletyny informacyjne stowarzyszenia, kiedy jej syn pojawił się między przytłoczonymi duchotą turystami w szortach. Rubén miał na sobie na pozór zwyczajną śliwkową koszulkę wypuszczoną na idealnie skrojone czarne spodnie, krokiem szedł sprężystym, zwinnym, jakby na nim także czas się nie odciskał. Elena uśmiechnęła się na swój brak obiektywizmu: miała tylko jego i tak bardzo przypominał jej Daniela...

– Cześć, mamó.

– Dzień dobry, skarbie!

Rubén uścisnął matkę, poczuł jej delikatny zapach i serce bijące przy jego sercu ze szczególnym wzruszeniem.

– Wyglądasz na zmęczonego – powiedziała z uśmiechem, ciesząc

się, że go widzi.

– Mogło być gorzej.

Wtedy dopiero Elena zauważyła czerwoną ranę na jego szyi, strupy posmarowane maścią, i jej piękne niebieskie oczy pociemniały.

– Co się dzieje? – spytała.

– Wczoraj wieczór znaleziono zwłoki – wyjaśnił – wyrzucone na brzeg na terenie rezerwatu. Marii Victorii Campallo, córki Eduarda, przyjaciela burmistrza. Maria odkryła, że jest dzieckiem zaginionych. W zeszłym tygodniu zadzwoniła do Carlosa do „Páginy”, bo pewnie chciała uregulować rachunki z rodziną. Na to przynajmniej wygląda. Zamordowano ją, zanim cokolwiek powiedziała.

Elena zapomniała o ranie na szyi syna, o swoich biuletynach, o *pañuelo* na głowie.

– Mój Boże...

– No... Znalazłem też dokument, kartotekę więzienną ESMA, w której jest mowa o osadzeniu biologicznych rodziców Marii i narodzinach jej brata w więzieniu. Eduardo Campallo figuruje w niej jako apropiador.

Rubén obrzucił nieprzyjaznym wzrokiem szeregi uzbrojonych po zęby gliniarzy, którzy pilnowali placu. Jego matka z zaskoczeniem i smutkiem słuchała wieści.

– Biedna dziewczyna – wzruszyła się.

– Uhm... Zwłaszcza że Maria była w ciąży, kiedy ją porwano.

– Och!... Ale czemu nie przyszła do nas? – zastanawiała się Elena. – Pomogłybyśmy jej! Czemu zwróciła się do „Páginy”?

– A co, miała dzwonić do „Clarínu”?

Podjezwano, że szefowa centroprawicowego pisma sama jest

apropiadorem. Elena pokiwała głową wciąż jeszcze wstrząśnięta tym, co usłyszała. Eduardo Campallo był blisko z Torresem, burmistrzem zaczynającym kampanię wyborczą w walce o urząd prezydenta, cała ta historia więc śmierdziała na odległość, a jej syn generalnie dążył do podkładania ognia pod beczkę z prochem. Bardzo jej się to nie podobało.

– Nie wiem, jak mocno Campallo jest w to umoczony – ciągnął Rubén. – Nawet jeśli papiery, które znalazłem, ewidentnie go oskarżają, Maria pozostaje jego córką. Sprawa się komplikuje. Potrzebuję was, żeby odszyfrować ten dokument i odnaleźć ślad zamordowanych rodziców. Mam ich nazwisko, ale w naszych spisach nie figurują.

– Czemu dokument trzeba odszyfrowywać?

– To długa historia. Opowiem ci po drodze.

Na zmęczonej twarzy jego matki zmarszczki się pogłębiły. Elena nie miała już tyle energii co w czasach pierwszych manifestacji, pierwszych procesów (kiedy o tym myślała – trzydzieści lat! – nieugiętość w tej walce przyprawiała ją o zawrót głowy), nogi jej ciążyły, sukienki wisiały na ciele znowu jak dziewczycim, lecz dążenie do prawdy i sprawiedliwości dodawało jej sił jak w pierwszych dniach. Obrzuciła wzrokiem plac i Abuelas, które zwierały szeregi za transparentami: wiceprzewodnicząca stowarzyszenia kiwała na nią, aby się przyłączyła do nich pod obeliskiem, skąd bojowniczkami zaczynały tradycyjny czwartkowy przemarsz wokół placu, na głowach zamiast hełmów mając pieluszkę niemowlęcą. Elena przyłożyła kamieniem stertę ulotek, by nie rozwał ich wiatr.

– Powiem Susanie i zaraz wracam – rzekła do syna.

\*



Siedemdziesięciosześcioletnia Susana Arguan, wiceprzewodnicząca Babć z Plaza de Mayo, nosiła wiosenne sukienki w grochy na ciele wciąż żwawym (ona jedna zawiązywała *pañuelo* jak Marilyn wychodząca z kopalni) i posługiwała się ironią z udawaną beztroską osoby zawziętej w swej rozpacz. Ta córka robotnika komunisty straciła wszystko, kiedy o świcie pewnego dnia 1977 roku uprowadzono jej córkę z małym synkiem. Portret zaginionego anioła zajmował poczesne miejsce na ścianie koło biurka, miłość w barwach czarno-białych niewzruszona jak wiara w potrzebę jej poszukiwania. Elena Calderón, zwana „Księżną”, zastanawiała się, czy ta drobna staruszka jest siłą natury czy też urodzoną robotnicą z gatunku czerwonych mrówek. Na pewno była przyjaciółką.

Wyspecjalizowane w poszukiwaniu dzieci zaginionych w czasach dyktatury Abuelas dowiadywały się o ich istnieniu z listów, anonimowych telefonów albo kiedy ofiary trapione wątpliwościami same się zjawiały w siedzibie stowarzyszenia przy calle Virrey Cevallos. W budynku, który bardziej przypominał dom mieszkalny niż biuro, Babcie urządziły sztab, prawdziwą machinę walczącą z kłamstwami państwa. Sekretariat, księgowość, sala komputerowa z zatrudnionym informatykiem, biuro do spraw rozpowszechniania i kontaktów z mediami, pokój przyjęć osób, które przychodziły spontanicznie, z zapewnionym wsparciem psychologów, biuro śledcze, pokój adwokatów, którzy co wtorek udzielali tu porad, kuchnia oraz blisko wejścia gabinet, którym dzieliły się przewodnicząca i wiceprzewodnicząca: na rzecz stowarzyszenia pracowało na stałe lub dorywczo czterdzieści osób. Abuelas przyjmowały tu świadków, sympatyków, dziennikarzy albo uczniów, pisały listy do sądów, stąd nękały polityków oraz emerytowanych wojskowych i policjantów. Zastraszanie, okradanie,

znikanie ważnych dokumentów lub komputerów – podobnie jak Matki z Plaza de Mayo, z którymi blisko współpracowały, Babcie zaznały wszystkiego. Ich czas był policzony, przez co każde zwycięstwo stawało się tym cenniejsze.

W biurach szykowano uroczystość z okazji spotkania sto szóstego zaginionego dziecka z prawdziwą rodziną, gdy wiceprzewodnicząca wparowała do siedziby stowarzyszenia z Eleną Calderón i jej synem detektywem.

Rubén po drodze opowiedział im, co wie: o rewelacjach, które przekazał mu Ossario, zanim zginął, o zasadzce zabójców przed jego domem w Colonii, porwaniu Miguela i kopii dokumentu ukrytego przez jego matkę, o uduszeniu jej; o swoim telefonie do Anity z prośbą, by zabrała zwłoki znalezione w rezerwacie przyrody; o tym, że rankiem z peruki transwestyty znajdującej się w jego „garderobie” zebrał próbki włosów i zawiózł do Centrum Antropologii Sądowej, później zaś pojechał do szpitala Duranda, gdzie przechowuje się DNA zaginionych. Jeżeli Maria Victoria Campallo miała wątpliwości co do swojego pochodzenia, jedynym sposobem, by odnaleźć jej biologicznych rodziców, było zrobienie testów DNA, co równało się ze wszczęciem procedury sądowej przeciwko Eduardowi i Isabel Campallom. Tego Maria Victoria nie uczyniła.

– Na pewno nie zdążyła – uznał.

– Być może. Ale jeżeli DNA Miguela i Marii Victorii będzie zgodne, zyskamy dowód, że Campallowie ukradli dzieci.

– Nigdy się nie zgodzą na testy. Chyba że dostaną nakaz, jeśli oficjalnie sprawa zostanie wniesiona.

– A ten jej brat, ten Rodolfo?

– Posadził tłusty zadek na stercie złota i nie ruszy go.

– Ładny charakterek, nie ma co – skomentowała Susana. – No dobra, bierzmy się do roboty...

Pokoik był malutki, lecz pomieścili się jakoś. Nikt nie pomyślał nawet o herbacie. Starsze panie poprawiły okulary, kiedy Rubén rozłożył na biurku swój łup: trzy kartki poskładane z kawałków miejscami nieczytelnych, posklejanych teraz taśmą. Kilku fragmentów brakowało, mimo to na widok całości Babciom odebrało mowę.

Każdy więzień osadzony w tajnym ośrodku otrzymywał numer identyfikacyjny, zakładano mu też „ściśle tajną poufną” kartotekę: nazwisko i imię, imiona i nazwiska rodziców, zawód, poziom zagrożenia. Kartotekę znali jedynie oficerowie śledczy. I taki właśnie dokument Elena i Susana teraz miały przed oczami. Maszynowa czcionka była drobna, kopia złej jakości, niemniej dawało się odczytać, dokąd przewieziono zaginionych, nazwiska niektórych śledczych, skład „grupy roboczej”, numery więźniów, daty i godziny tortur, stan więźniów po przesłuchaniu – „normalny” albo martwy... Studiując ten urzędowo precyzyjny dokument, starsze panie wydawały bojowe pomruki: Samuela i Gabriellę Verónów uprowadzono 13 sierpnia 1976 roku i zawieziono do Szkoły Mechanicznej Marynarki Wojennej wraz z półtoraroczną córeczką. Gabriella Verón była wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Jej nie torturowano, Samuela owszem. Codziennie. Tę, która później otrzyma imiona Maria Vicotria, odizolowano wraz z innymi dziećmi więźniów czekającymi na adopcję przez ludzi bliskich ośrodkom władzy. Gabriella urodziła chłopca 19 września w tajnej porodówce w ESMA (nazwisko lekarza wojskowego wymazano). Ponieważ u noworodka stwierdzono niewydolność serca, jego możni apropiadorzy, Isabel i Eduardo Campallowie, wymienili go na inne

dziecko zaginionych urodzone dziesięć dni wcześniej, „Rodolfa”, wówczas należącego już do Rosy Michellini i jej męża Javiera, podoficera marynarki wojennej.

Starszym paniom mocno waliły serca. W kartotece znajdowały się nie tylko nazwiska złodziei dzieci, ale także oprawców, ich współpracowników, miejsca, daty... Dokument był wyjątkowy, lecz miały jedynie niekompletną jego kopię.

Pierwsza ochłonęła Susana.

– A oryginał? Ma go ten paparazzo? – spytała.

– Pewnie miał.

– Myślisz, że mordercy go odzyskali?

– Niewykluczone. – Rubén poklepał się po kieszeniach kurtki, starsze panie tymczasem rozmyślały. Zwrócił się do wiceprzewodniczącej stowarzyszenia: – Mogę zapalić przy otwartym oknie?

– Jasne. W dniu, kiedy mnie beatyfikują – odparła była komunistka.

– Ale z pani uparciuch!

– I ciągle nie mam raka. Niesamowite, co?

– Rubén, co zamierzasz z tym zrobić? – wróciła do sprawy jego matka. – Uderzysz w Campallów?

– Mamy niepełną ledwie czytelną kopię dokumentu sprzed trzydziestu pięciu lat – podsumował, krzywiąc się. – Adwokaci Campalla będą dyskutowali o jego autentyczności: trzy kartki posklejane z kawałków, wszystko mogło zostać sfałszowane. Nie, nie. Musicie odszukać jakiś ślad zaginionych rodziców, Samuela i Gabrielli Verónów, członków ich rodzin, dowiedzieć się, dlaczego dotąd milczą. Może zostali jacyś świadkowie, ludzie, którzy się ukrywają, bo się boją albo nie chcą pamiętać...

Starsze panie pokiwały głowami nad rozłożoną łamigłówką. Około jednej czwartej słów brakowało, mimo to mogły odtworzyć schemat organizacyjny wojskowych i ich współpracowników zamieszanych w uwięzienie małżeństwa, w kradzież dzieci; mogły ustalić pewne rzeczy, dotrzeć do rodzin Verónów.

– Tak – zapewniła Susana, myślami już będąc gdzie indziej. – Tak, zajmiemy się tym.

– Dałem też kopię tego Carlosowi – poinformował Rubén. – Zajmie się ówczesnymi powiązaniem Campalla z wysokimi rangą wojskowymi, którzy mogli mu dostarczyć dzieci. Skontaktuje się z wami.

– Świetnie.

W malutkim biurze powietrze było ciężkie. Rubén przyglądał się wiszącemu na ścianie czarno-białemu portretowi dwudziestopięcioletniej zaledwie kobiety, której nigdy nie widział na oczy: czemu tak łagodnie się uśmiechała? Dlaczego patrząc na nią, miał ochotę ją kochać? Z powodu tego, co jej zrobili? Elena badawczo spojrzała na rozgorączkowane oczy syna. Takie wzburzenie było nie tylko skutkiem głodu nikotynowego.

– A ty? – spytała.

– Zajmę się zwłokami rodziców biologicznych – powiedział wyrwany z zamyślenia. – Jeśli je znajdę, ich DNA będzie dowodem na pokrewieństwo Marii i Miguela i obejdzie się bez zgody Campallów na badanie. Muszę też umieścić w bezpiecznym miejscu świadka, przyjaciółkę Miguela, u której trzymał cały swój kram transwestyty. Była ze mną, kiedy znalazłem zwłoki praczki.

– Masz świadka? I gdzie ona jest?

– Zamknięta w agencji.

– To nieostrożne – zauważyła Susana. – W tej chwili mordercy

z Colonii mogą już wiedzieć, kim jesteś.

– No właśnie, wy też uważajcie na siebie – ostrzegł. – Ten, kto zlecił porwania i morderstwa, na pewno jest w naszych bazach danych.

Elena czuła, że Rubén nie wszystko mówi, tak samo jak nigdy nie mówił o miesiącach uwięzienia w ESMA, nawet Carlosowi (spytała go o to pewnego wieczora, zebrawszy się na odwagę), niewątpliwie swemu najbliższemu przyjacielowi. To, co trzymało jej syna na baczność, mogło go zabić – czy był tego świadomy? Kiedy go wypuścili, Elena spytała, czy miał jakieś wieści o Elsie i Danielu. Odpowiedział przecząco. Widocznie zostali rozrzućeni po różnych tajnych więzieniach. Problem w tym, że Rubén unikał tego tematu, zamiast martwić się jak ona. Wszystko, co się wiązało z jego uwięzieniem, było tabu. Torturowanie kompletnie go odmieniło. Nie dało się z nim pogadać o kobietach, dzieciach, pochodzeniu, o żadnej z tych rzeczy, o których matka chciałaby porozmawiać z synem. Co nie zmieniało faktu, że znała go na wylot. Wzruszyła drobnymi ramionami.

– O nas się nie martw, jeśli to cię trapi – powiedziała, obrzucając go wzrokiem. – Raczej ty jesteś w niebezpieczeństwie. Ty i twój świadek.

---

[4] Kościele! Śmieciu! Ty jesteś dyktaturą!

### 3

Rubén wiedział, co ryzykuje. Néstor Kirchner po dojściu do władzy w 2003 roku zniósł amnestię wobec członków junty wojskowej, bez wahania odwołał pięćdziesięciu czterech generałów i admirałów, rozkazał usunąć z koszar portrety ludzi reżimu represyjnego i przekształcić ESMA w Centrum Pamięci. Ale gdy ruszyły pierwsze procesy, pewien stolarz, ofiara tortur i główny świadek oskarżenia, zniknął bez śladu. Potem inne osoby uwikłane w zbrodnie lub gotowe zeznawać umierały w dziwnych okolicznościach – od kuli w głowę, po zażyciu cyjanku – albo po prostu także znikwały.

Tym sposobem trzydziestu oficerów uznanych za winnych zbrodni w czasach dyktatury wyszło na wolność z powodu zbyt długo ciągnącego się dochodzenia. W roku 2008 spośród ośmiuset spraw w toku wszczętych po zniesieniu amnestii tylko dwanaście zakończyło się wyrokiem skazującym trzydziestu sześciu oskarżonych.

„Usuwać wszystkich”, oświadczyła wtedy przewodnicząca Babć z Plaza de Mayo.

Ponieważ Cristina Kirchner kontynuowała politykę zmarłego męża, od roku 2010 wzrosło tempo procesu dotyczącego ESMA: wniesiono osiemset nowych aktów oskarżenia, w prawie trzystu

sprawach wydano wyroki skazujące – oznaczało to ukaranie średnio zaledwie dwóch zbrodniarzy na jedno tajne więzienie. Dawnym prześladowcom grunt palił się pod nogami, podejrzanych zgonów świadków nawet już nie liczono, nie badano skandali wywoływanych przez nieznanymi autorów. O ile bowiem niektórzy sędziowie i ministrowie faktycznie przejawiali dobrą wolę, o tyle wśród dochodzeniowców często górę brało prawo milczenia: w śledztwie wychodziły sieci powiązań grup interesów i protekcji, które przetrwały upadek dyktatury, nikt jednak nie śmiał nawet wymówić nazwisk osób starających się pozacierać swoje ślady. Abuelas domagały się odwołania pasywnych sędziów i przedłużenia pobytu w areszcie śledczym, lecz presja była ogromna. Czy porwanie Marii Campallo miało związek z którąś z prowadzonych teraz spraw?

Rubén część nocy spędził na wprowadzaniu do bazy danych nazwisk i miejsc z kartoteki więziennej, jedną jej kopię złożył w skrytce, drugą dał Carlosowi, a trzecią do rozgryzienia pustych miejsc zostawił Babciom. Nie miał pojęcia, jakim cudem wariat pokroju Ossaria zdobył ten papier, jeśli jednak miał oryginał, to dokument przepadł wraz z jego śmiercią. Ktoś go zdradził, aczkolwiek wbrew sobie: Maria Victoria. Porywacze widocznie zmusili ją do mówienia i tym sposobem dotarli do Ossaria, na którego czekali w Colonii. Ale kto zdradził Marię? Praczką, której Maria nieopatrznie zostawiła kopię dokumentu? Czy Rosa Michellini miała taką demencję, że własne dziecko wydała zbrodniarzom? W każdym razie oprawcy wyprzedzali Calderóna. Podwójne porwanie w sercu Buenos Aires, ciało transwestyty porzucone w porcie, by morderstwo wyglądało na dokonane na tle seksualnym, obserwacja domu Ossaria, atak, niemal równoczesne



zamordowanie Rosy i uprowadzenie jej syna – przy operacjach na taką skalę nie można improwizować, potrzebna jest cała logistyka, pojazdy i broń niemożliwe do zidentyfikowania, jakaś meta na przesłuchania, wyszkoleni ludzie, pomocnicy. Takimi możliwościami Rubén nie dysponował.

Stracił godzinę w sklepie we Floridzie na zakup dwóch telefonów na kartę, drugą zajęło mu zorganizowanie kryjówki, po czym pojechał do San Telmo.

Anita Barragan czekała w księgarni artystycznej przy calle Perú, kilka kroków od komisariatu. Żaden gliniarz nigdy tam nie zaglądał.

Księgarz, niejaki Oscar, w głębi sali ustawił dwa wiklinowe stoliki i skórzane fotele o wytartych podłokietnikach, w których można było poczytać, popijając mate. Anita nie była zagorzałą czytelniczką, lubiła jednak spokój tego miejsca, spojrzenia klientów i gorzki napój, którego nie żałowano. Bardziej nerwowo niż zwykle popatrzyła na zegarek, tani gadżet reklamowy (zegarki i w ogóle wszelkie błyskotki miała gdzieś). Dzięki Rubénowi znalazła dwa trupy w niecałe dwadzieścia cztery godziny. Faceci u sterów wymiaru sprawiedliwości sprowadzili ją do roli paprotki, ale ona im pokaże, że się pomylili, i to na całej linii.

Rubén punktualnie stawił się na spotkanie, na które umówili się nieco wcześniej, pozdrowił księgarza ze szpakowatym wąsem siedzącego za ladą, wypatrzył blondynkę w czytelnice. Była w mundurze, włosy za to miała nie w regulaminowym koczku, tylko rozpuszczone, by zasłoniły puszek porastający jej policzki – szczypta kobiety z brodą według jej Kompleksu nr 12.

– Nie wyglądasz za dobrze, pożeraczu serc – zauważyła.

Czarna bawełniana kurtka z niebieskimi lamówkami na szwach

pasowała do jego oczu. Wydawał się mocno spięty.

– Widać się starzeję – przyznał, opadając na fotel przeznaczony dla niego.

– Niemożliwe – sprzeciwiła się przyjaciółka z dzieciństwa. – Jesteś nie do zdarcia. Jak David Bowie.

Rubén pokręcił głową: był brunetem, zaprawionym w bojach Argentyńczykiem z Buenos Aires, a po angielsku mówił z akcentem meksykańskiego kojota. Wtedy zauważyła czerwoną pręgę przecinającą jego szyję, pohamowała dreszcz – na pewno pamiątka po tych typach z Colonii.

– Ładny naszyjnik – skomentowała. – Ma zdobić?

– Tak, przywozłem sobie z Urugwaju. Były też takie z muszelek, ale uznałabyś, że są trochę pedalskie... – Rzucił okiem nad półkami. Ostatni klienci gawędzili przy kasie z Oscarem. – Masz jakieś wieści?

– A mam. Dom Ossaria spłonął wczoraj po twojej wizycie. W zgliszczach znaleziono ciało. Mężczyzny, który odpowiada rysopisowi właściciela. Nic więcej na razie nie wiem, ani o podejrzanych, ani o ewentualnych świadkach.

– Jeden świadek był – rzekł Rubén. – Díaz, sąsiad, z którym gadałem, zanim Ossario wrócił. Naściemniałem mu, ale wie, że jestem Argentyńczykiem. Imigracyjny bez problemu znajdzie mnie na liście pasażerów.

– Mogę podzwonić do paru kumpli, może się coś wywiem. Na twoim miejscu przyczałabym się na jakiś czas... Zaprosiłabym cię do siebie – dodała – ale mam tylko jedno łóżko.

– Poradzę sobie, *querida* – odparł, odpowiadając na jej krzywy uśmiech.

Zadzwoił do niej poprzedniego wieczoru po wyjściu z pralni.

Anita zmyśliła historię o ciuchach, które musiała koniecznie oddać do prania przed objęciem służby – spuszczone żaluzja na drzwiach punktu usługowego wzbudziła w niej niepokój o starszą panią, weszła i ujrzała miejsce zbrodni. Nawiasem mówiąc, mało apetyczne.

– A co z morderstwem na calle Perú?

– Znalezienie zwłok nie stanowi problemu – odparła Anita. – Problemem jest to, komu przypadnie dochodzenie.

– Ledesma ci je odebrał?

– Wypichciłam raport, ale Stary potrzebuje odzyskać twarz, dlatego przejmuje sprawę. Zostawia mnie przy niej do pomocy. Jak zwykle... Na razie trwają próby skontaktowania się z synem ofiary. Znaczą, że daleko im do znalezienia zabójcy – dodała z gorzką ironią w głosie.

Anita wdychała zapach mate, kiedy jej przyjaciel się zastanawiał. „Stary” Ledesma nie był jeszcze najgorszym gliniarzem, Rubén jednak nie mógł sobie pozwolić, by policja siedziała mu na karku.

– Zwłoki Marii Victorii zidentyfikowano?

– Tak, jej ojciec rozpoznał ciało wczoraj wieczorem. Oficjalnie nie ogłoszono jeszcze zabójstwa, ale wszczęto dochodzenie. Oczywiście prowadzi je policja naukowa.

– Luque?

– Roncero – odparła. – Na jedno wychodzi.

Komendant wydziału zabójstw elitarnej jednostki policji.

– Widziałaś zwłoki Marii na plaży – rzekł Rubén. – Były na nich ślady brutalności?

– Oskalpowany czubek głowy to twoim zdaniem co?

– Charakterystyczne ślady tortur?

– Nic takiego nie zauważyłam. Trudno powiedzieć, była w takim

stanie... – Anitę przeszedł dreszcz na wspomnienie zwłok leżących wśród muszel i robactwa. – Coś więcej będzie wiadomo po sekcji. Właśnie trwa. Robi ją Muñoz.

Naczelnny lekarz Instytutu Medycyny Sądowej, przydupas Luquego gotowy na każde skinienie. Koło się zamykało.

– Jesteś dobrze poinformowana jak na zwykłego krawężnika – pochwalił Rubén. – Gdzie masz informatora?

Anita uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

– W kostnicy. To Guillermo, stażysta.

– Dobra robota, Barbarello.

– Czego nie da się powiedzieć o twoim wypadzie do Colonii – wytknęła mu. – Urugwajska policja zaraz będzie cię miała na celowniku, nasi chłopcy z przyjemnością wezmą cię w obroty, Luque zabije pierwszego, który wejdzie mu w paradę, Ledesma uprzejmie poprosił, żebym się zajęła lakierowaniem paznokci, kiedy on będzie rozwiązywał sprawę z calle Perú. I jak zamierzasz się z tego wykaraskać? Nogami do przodu?

– Nieładnie tak mówić...

– Nie zalewaj. Jedyne wyjście to o wszystkim opowiedzieć Staremu.

– I oddać się pod ochronę policji? – zgryźliwie zapytał. – Nie, potrzebujemy dowodów. Kiedy będzie pogrzeb Marii?

– Jutro pod wieczór.

– Tak szybko?

– Nie widziałeś zwłok – rzekła Anita, krzywiąc się smętnie. – Poza tym Campallowi zależy na pochowaniu córki, zanim prasa się rzuci na nius.

W głębi księgarni zapadła cisza. Po wyjściu ostatnich klientów Oscar kończył robić kasę. Rubén główkował, siedząc w starym

fotelu.

– Muszę obejrzyć ciało Marii Victorii – powiedział wreszcie.

– Niemożliwe – ucięła Anita. – Zaraz po sekcji do roboty biorą się tanatolodzy, żeby przygotować zwłoki.

– Będzie mi też potrzebna kopia raportu z autopsji Muñoza: rentgeny, zamówione analizy, zdjęcia ciała... co tylko uda ci się zdobyć.

– Co?

– Załatw to jakoś z tym swoim stażystą, *querida*.

Anita chętnie by usłyszała choćby cień zazdrości w jego głosie, lecz Rubén jedynie miał na twarzy taki sam uśmiech jak pierwszego dnia znajomości, kiedy postawił jej lody truskawkowe...

\*

Od wielu już godzin Jana tkwiła w swojej wieży z kości słoniowej, rozpamiętując dręczące ją niepokoje. Pogrzebała w internecie, lecz nigdzie nie znalazła choćby wzmianki o zwłokach, porwaniu Miguela, zabójstwie praczki. Za wcześnie? Krążyła jak drapieżnik w klatce. Nie mogła czytać ani oglądać telewizji, nie mogła się skupić na niczym. Włączyła sobie muzykę, sądząc, że się uspokoi: Godspeed You, Barn Owl, This Morn'Omina, Lustmord, Glass, Eno, Marc Sens, w płytotece Rubéna mnóstwo było muzyki instrumentalnej, brzmienia od tragicznych po posępne, ale też rozrywkowe i elektroniczna sieczka. Odbicie jego duszy? Z rana tylko chwilkę się widzieli: obudziła się, akurat kiedy zbierał się do wyjścia, najwyraźniej w ogóle nie spał w nocy, poprosił, żeby została u niego zamknięta na cztery spusty i czekała, aż wróci... Słońce chyliło się nad dachami calle Perú, gdy usłyszała szcęk klucza w zamku.

Rubén. Nareszcie.

– Sorry, że tak późno – powiedział, wchodząc do środka.

Wyglądał na dość sponiewieranego.

– Wyrosły mi nowe włosy. Chcesz zobaczyć?

Uśmiechnął się blado i postawił na podłodze płócienną torbę, po którą wstąpił z rana do jej pracowni.

– Zabrałem z szafy, co tam było – rzekł. – Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

– Dobrze. Dowiedziałeś się czegoś?

– Jeszcze nie, ale wciągnąłem w sprawę Babcie i Anitę, tę moją kumpelę policjantkę. Niedługo będziemy więcej wiedzieli. Na razie znalazłem ci metę – mówił, nie zdejmując kurtki. – To kwestia paru dni. Później będziesz mogła wrócić do siebie.

– Mam to w dupie – prychnęła Jana, czując mrówki w nogach. – Interesuje mnie odnalezienie Miguela.

– Mnie też, wyobraź sobie. Posłuchaj, mordercy widzieli mnie w Colonii, może wiedzą już, kim jestem. W tej chwili najważniejsze to wiać stąd.

– W porządku. Gdzie?

– Do takiego jednego gościa. Po drodze ci powiem.

Kiwnęła głową, krzywiąc się, i zaczęła grzebać w swoich rzeczach w torbie. Rubén tymczasem zabrał laptop z biurka, zostawił Janę, żeby się spokojnie przebrała, sam zaś wyszedł do przedpokoju. W sypialni z zasłoniętymi oknami panowała wilgotna duchota. Rubén wyciągnął starą skórzaną torbę podróżną spod komody, pod którą się kurzyła, schował do niej komputer, buty, parę ciuchów wyjętych z szafy. Leżał w niej także Smutny Zeszyt na półce między sukienkami, których Elsa już nigdy nie będzie nosiła – makowej i innych... Przez chwilę się wahał. Czy wystraszył się, że

zabójcy wtargną do niego i znajdą tę relikwię, czy ogarnęło go irracjonalne przeczucie? Kiedy wsuwał szkolny zeszyt do torby, skrzyknięcie za plecami sprawiło, że się wzdrygnął. W drzwiach stała Jana. Zamiast szortów miała teraz na sobie te same czarne dreluchy co tamtej nocy oraz wojskową kurtkę w stylu radykalnie clashowym. Zobaczyła torbę na podłodze, jasnobrązowy skórzany sakwojaż pewnie z czasów Bolívara, i zmieszanie na twarzy Rubéna, jakby go na czymś przyłapała.

– Co jest?

– Nic... Nic...

Głos mu drżał.

– Zbladłeś – zauważyła.

– To ze zmęczenia. Przejdzie.

Na czole perliły mu się kropelki potu. Przesunął komodę, podwinął dywan.

– Strzelałeś kiedyś z broni palnej? – spytał, unosząc głowę.

– Bracia mieli karabiny.

– To nie będzie strzelanie do balonów.

– Chodziliśmy polować w lesie. Byłam najlepsza, jeśli chcesz wiedzieć... A co, zamierzasz zabijać ludzi?

– Mam nadzieję, że nie będzie trzeba.

Skrytka znajdowała się pod starym meblem, wyjmowane płytki idealnie pasowały do reszty parkietu. Rubén trzymał w niej nieoznakowaną broń różnego kalibru, gotówkę wyduszoną na dawnych oprawcach, karabin snajperski z celownikiem, granat obronny, kajdanki. Jana z ciekawością nachyliła się nad tym arsenałem. Dla niej Rubén wybrał rewolwer kaliber .38 z bębniem, który nie groził, że się zatnie, wziął poza tym colta .45, dwa pudełka naboju, teleskopową pałkę, nóż bojowy i pół

paczki banknotów. Następnie ustawił komodę na swoim miejscu.

– Gotowa?

– Od samego rana.

Rubén trzy razy obszedł pokój – nie widział nic podejrzanego. Wziął do ręki torbę, która należała do jego ojca.

– Chodźmy, póki droga jest wolna.

\*

Od rogu ulicy dobiegły głośne dźwięki cumbii wypływające przez otwarte okna przeładowanego polo: młodzież jechała się zabawić... Rubén pilotem zamknął drzwi swojego samochodu i ruszył chodnikiem za Janą.

Bez trudu nakłonił Jo Prata, żeby ich przechował. Maria Victoria nosiła jego dziecko i została zamordowana, ona, córka zaginionych – jego ciotkę Noemi także uprowadzono w czasach Narodowego Procesu Naprawy, i kuzynów znanych mu tylko ze zdjęć, wciąż jeszcze oplakiwanych przez starszych krewnych, ludzi, którzy nie mogli odbyć żałoby ani pochować bliskich, ludzi zniszczonych zniknięciem drogich im osób okrutniejszym niż sama śmierć. Gurruchaga 3180: schody po lewej prowadziły na piętro, innych nie było. Rubén nie od razu nacisnął dzwonek – zza pancernych drzwi słychać było muzykę, Hint-Ez3kiel, postrock z niesamowitymi riffami. Piosenkarz po chwili otworzył. On także wyglądał, jakby wstał z grobu.

– No, no – powiedział na widok dwojga przybyłych.

Calderón był z wysoką brunetką ubraną na miejskiego partyzanta, płaską jak deska pod czarną koszulką bez rękawów – Mapucze, sądząc po rysach twarzy naprawdę ślicznej.

– Jo – przedstawił się z uśmiechem na pyzatej twarzy.



– Jana.

Uścisnął dłoń Indianki, poprosił, by zostawiła torbę w przedpokoju, ściszył sprzęt. Rubén zamknął drzwi, a Jana rozejrzała się po lofcie muzyka – ceglany barek pośrodku wysokiego pokoju dziennego, schody ze szkła i stali z siecią rybacką w charakterze balustrady, na ścianach artystyczne zdjęcia, instrumenty muzyczne, kanapa i japońskie meble, dalej kolaż Dao Anh Vieta...

– Miło tu – powiedziała Jana.

– Cieszę się, że się pani podoba – odparł Jo swoim najpiękniejszym niskim głosem, uśmiechając się.

Rockman wydał jej się trochę kiczowaty z mocno umalowanymi oczami i w skórzanych spodniach, ale w sumie przystojny mimo wałków na brzuchu.

– Co mogę pani zaproponować? – spytał uprzejmym tonem, jakiego Rubén jeszcze u niego nie słyszał.

Jo bowiem wolał kobiety od mężczyzn.

– Czy ja wiem? – odparła afektownie. – Obejrzenie piazza Navona w Rzymie, zwłaszcza fontanny Borrominiego z muzą, która ściska szyję łabędzia... To sztuka baroku, zna pan?

– Marzę o tym, żeby poznać. A może coś bardziej, powiedzmy, osiągalnego?

– Ma pan czym wysadzić jakiś bank albo szyb naftowy?

– Tak na zawołanie to nie – przyznał. – Ale mogę napisać piosenkę z apelem, żeby na całym świecie zapanował pokój. Chce pani?

Uniosła brwi.

– Wierzy pan w takie rzeczy?

– To przychodzi z wiekiem. Daje pocieszenie...

Ze szklanych schodów duży biały kot obserwował obcych z czujnością w oczach jak dwie złote kulki.

– Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko starym kocurom?

– Nie, dopóki korzystają z kuwety – odparła, przyglądając się zwierzakowi. – Jak się wabi?

– Ledzep. Co prawda to już nie młodzieniaszek, ale po dwudziestu czterech godzinach będzie pani jadł z ręki.

– Nie ma pan misek?

Piosenkarz się uśmiechnął i zwrócił do Calderóna:

– Na piętrze jest kanapa, tam będziesz spał – poinformował, po czym wskazał korytarz, który prowadził na prawo. – Odstępuję pani swoją sypialnię – rzekł do Jany. – Przylega do niej prysznic, a na górze jest jacuzzi, gdyby chciała pani wziąć kąpiel. Widok jest bardzo ładny, jeśli lubi pani błękit nieba.

– Wykurzamy pana – przepraszająco rzekła Indianka nienawykła do takich względów.

– Życie na walizkach to dla mnie nic nowego – zapewnił Jo.

– Szczęściarz.

– Że panią jeszcze zobaczę?

– Znaczy, że żywą?

Rubén zostawił ich z tymi przekomarzankami i niechęć przeganiając Ledzepa, który uciekł po schodach, poszedł na górę ze swoimi kłopotami. Pokój był mansardowy, z niskim stolikiem na kółkach, rozkładaną kanapą o białym obiciu, łazienką wyłożoną mozaiką i ciężką przeszkloną ścianą z widokiem na taras, na którym rozpięto żagiel nad tekowym stołem otoczonym dorodnymi roślinami. Rubén postawił torbę na kanapie i raz jeszcze dokonał inspekcji tego miejsca przeprowadzonej już po południu. Urządzenia do grillowania, prysznic na zewnątrz, bambusowa

przegroda oddzielała ich od sąsiadów, których taras widoczny był poniżej. Drzwi do loftu były opancerzone, a oprócz Carlosa i Anity nikt nie wiedział, że Prat zatrudnił go do odnalezienia Marii Campallo... Wieczorna bryza uzmysłowiła mu, że przez ostatnie dwie doby nawet trzech godzin nie przespał. Powykładał swoje rzeczy na kanapę, nie zauważywszy kota schowanego pod nią, postawił komputer na stole i włączył go, usłyszał zatraskujące się drzwi wejściowe, pohamował kilka ziewnięć, zanim ikony na pulpicie ułożyły się jak należy.

Wkrótce na szklanych stopniach zatupały bose stopy. Rubén ledwie zwrócił na to uwagę wpatrzony w niebieski ekran ciekłokrystaliczny. Jana z bielusieńkim ręcznikiem w ręce zerknęła mu przez ramię.

– Wezmę kąpiel.

– OK.

Nie słuchał jednak, co mówiła. Jana udała się do jacuzzi, on zaś wczytywał się w informacje na monitorze. Kilka nazwisk prześladowców z karty więziennej, wyżartych przez kwasy żołądkowe albo brakujących, przepadło bezpowrotnie – kapelana, jeśli w ogóle był, ginekologa położnika, części śledczych. Wśród nazwisk do wykorzystania Rubén odnotował Victora Heintzego, Pedra Meneza, Manuela Camponiego, kolejnych strażników zaginionych rodziców. Dwaj pierwsi widnieli w jego bazie danych (rubryka: zmarły), trzeci wyemigrował do Włoch w połowie lat osiemdziesiątych. Skupił się na osobach zaangażowanych bezpośrednio w zlikwidowanie rodziców Miguela i Marii Victorii.

Według dokumentu Samuel, ich biologiczny ojciec, torturowany był codziennie aż do porodu Gabrielli 19 września 1976 roku. Z ESMA „usunięto” małżonków trzy dni później, lecz o dziwo,

zlikwidowano ich dopiero po dwóch dniach, czyli 24 września. Miejsce egzekucji niestety cenzura wycięła, podobnie jak nazwisko oficera, który wykonywał to zadanie, dawało się natomiast odczytać niepełne nazwisko kaprała, który mu towarzyszył: „...do Montañez”. Nie figurował w bazach danych Rubéna, który próbował go odszukać za pośrednictwem książki telefonicznej: Leonardo, Fernando, Orlando, Eduardo, Ricardo, Bernardo, Alfredo, znalazł dziesiątki Montañezów rozrzuconych po wszystkich zakątkach kraju... Czas płynął, Jana w końcu wyszła z jacuzzi owinięta na wysokości pach dużym białym ręcznikiem.

Jej mokre włosy wydawały się dłuższe, opadały na odkryte ramiona. Zobaczyła torbę i rzeczy detektywa, bez słowa usiadła na rozkładanej kanapie, podwijając nogi.

– I jak? – machinalnie rzucił Rubén.

Ponieważ nie odpowiedziała, oderwał wzrok od monitora i podniósł głowę. Jej migdałowe oczy były zamglone, posępne. Smutne. Pozbawione marzeń.

– Czemu pocałowałeś mnie wtedy w nocy? – spytała zniecierpliwiona.

Westchnął lekko.

– Niewątpliwie miałem ochotę...

Jana patrzyła na niego spod mokrych włosów.

– Co znaczy „niewątpliwie”?

Rubén milczał. Niedługo będzie trzydzieści pięć lat praktyki. Jana przycisnęła ręcznik do ciała – licha ochrona przed tym, co ją paliło od środka.

– No? – nalegała.

– Mam czterdzieści siedem lat, dziecko – rzekł w końcu. – Obawiam się, że każda moja odpowiedź będzie zła.

– Jestem rzeźbiarką, mogę ci udzielić innych.

Mydlany zapach jej skóry dolatywał aż do niego. Rubén zapalił papierosa, żeby dodać sobie animuszu, lecz nie podziałało.

– Bzykałam się z grzechotnikami, żeby przetrwać – rzuciła Jana przez zęby. – I to wcale nie znaczy, że całuję się z pierwszym lepszym. Moja przyjaciółka zniknęła, w tobie moja jedyna nadzieja na odnalezienie jej, a ty nic mi nie mówisz, nic nie pokazujesz, tylko zamykasz się w tajemniczej Wielkiej Ciszy, którą na kilometr czuć kosmiczną pustką. Na czym polega twój problem, Calderón? Całujesz mnie o świcie, jakbym tylko ja istniała dla ciebie na świecie, i zaraz zostawiasz jak dziwkę przy tej mojej kupie żelastwa, wpadasz jak po ogień i zabierasz mnie do starej wariatki, którą na moich oczach haratasz nożem, potem zamykasz mnie na cztery spusty wśród swoich zaginionych bliskich, zakazując mi wychodzić. Za kogo mnie bierzesz? Za bezmyślną głupią laskę? Nie zasługuję na żadne wyjaśnienia, na choćby parę miłych słów, żebym wiedziała, jak się odnaleźć w tym burdelu? Uważasz, że jestem dziewczyną na raz, taką chusteczką higieniczną, w którą można się wytrzeć w razie potrzeby?

– Nie o to chodzi.

– Zdaje się, że z tobą zawsze chodzi o co innego – mówiła, hamując złość. – Co masz w sercu oprócz zmarłych? Żyjesz przeszłością, Rubén, tak mocno w niej tkwisz, że nie stać cię na wyobrażenie sobie przyszłości. Po drodze straciłeś niektóre zmysły, *winka*, ty, nie ja. Straciłeś świadomość zapachu mchu, która odróżnia nas od tych skurwysynów. Ja wierzę w to, co robię, w to, co mnie podtrzymuje na duchu. Dzisiaj ty mnie podtrzymujesz. Dlatego, że jeszcze jest szansa na odnalezienie Miguela i że nikt mnie nigdy tak przyjemnie nie całował.

Jana nie odrywała od niego oczu, siedząc ze śniadymi nogami

podwiniętymi pod ręcznikiem.

– Wybacz – powiedział.

– Co mam wybaczyć? Żeś mnie pocałował? Nie wierzę ci, stary.

– Ukrywamy się.

– A co to zmienia? Kolor oczu mam inny?

Jana pragnęła, aby wziął ją w ramiona jak tamtej nocy przed starym dworcem i tymi swoimi cholernymi niezapominajkowymi oczyskami dosięgnął jej serca, pragnęła przez niego raz na zawsze wykorkować, skoro los skazał ich na siebie... Wtem zadzwonił smartfon leżący na niskim stoliku.

Detektyw zobaczył imię Anity na wyświetlaczu, odebrał. Rozmowa była krótka – mieli godzinę...

Jana wciąż nie odrywała od niego oczu, siedząc na kanapie z mokrymi czarnymi jak węgiel włosami.

– Muszę iść – powiedział.

Była jedenasta wieczorem.

– Gdzie?

– Do kostnicy.

\*

Anita Barragan nie była erotomanką w pełnym znaczeniu słowa: czy to jej wina, że faceci, normalnie tacy dumni ze swojego zdrowego rozsądku, tracą głowę na widok pary cycków? Czyżby im przypominały mamusię? – pokpiwała sobie. Ponieważ tej skłonności do ratowania biedaczków dorównywało tylko uparte ignorowanie jej uroków przez jedyne go kawalera, o którym śniła, Anita najchętniej sypiała z żonatymi, decydując się na przygody zazwyczaj bez przyszłości. Guillermo Piezza, młodszy od niej o piętnaście lat kudłaty lekarz, który kończył staż w kostnicy

sądowej, zasadniczo nigdy nie powinien być zostać jej kochankiem: nie zamierzał się żenić, a czterdziestoletnia Anita uważała się za zbyt pospolitą, by wzbudzać namiętności w młodzieży, mimo to należy przypuszczać, że Guillermo lubił stare panny posługujące się seksem i humorem z całym paradoksem zakompleksionej zdeprawowanej osoby – tak mówiła o sobie na osłodzenie. Czasami Guillermo odbywał z nią stosunek analny w toalecie na piętrze, to była taka nic nie znacząca podniecająca gierka, która będzie trwała, dopóki jedna ze stron nie poczuje się zraniona. Anita niczego od Guillerma nie oczekiwała; a on niczego nie mógł jej odmówić.

Należący do Wydziału Medycznego stary Instytut Medycyny Sądowej w Buenos Aires został przeniesiony na avenida Comodoro Py, niedaleko Retiro i nowego portu. Kostnica sądowa, otwarta z wielką pompą w nowej dzielnicy budynków publicznych, mieściła się w nowoczesnym budynku, który zdecydowanie zrywał z surowością w stylu epoki Mussoliniego dominującym w ubiegłym wieku. W wyłożonym marmurem wielkim holu mieściła się recepcja, kawiarenka, część przeznaczona na wykłady oraz pomieszczenia zarezerwowane dla rodzin ofiar. Na piętra, gdzie znajdowały się laboratoria i kliniki tanatologiczne, prowadziły dwie windy: jedna dla gości i urzędników, druga wyłącznie dla personelu medycznego i osób upoważnionych oraz do przewożenia zwłok.

Anita zdenerwowana, że ktoś ją przyłapie, czekała przed podjazdem dla karettek, kiedy zjawił się Rubén.

- Nikt cię nie widział? – szepnęła.
- Nikt oprócz paru satelitów szpiegowskich.
- Ho, ho, ho... – Anita przypięła mu do kurtki identyfikator otrzymany od Guillerma. – No, nie traćmy czasu.

Długi marmurowy korytarz, łagodne światło, szklane balustrady i schody – gładka architektura Instytutu Medycy Sądowej przypominała raczej międzynarodowy port lotniczy niż klinikę zmarłych. Niewysoka Boliwijka, która bez przekonania zmywała podłogę w białej maseczce na śniadej twarzy, ledwie podniosła głowę, kiedy przechodzili. Anita szła szybkim krokiem w rozproszonym świetle neonówek: Rubén nie miał czego szukać w siedzibie policji naukowej, naprawdę ryzykowała utratę pracy, angażując się w tę sprawę.

– Ciało jest już przygotowane do pochówku – szepnęła, prowadząc detektywa przez meandry gmachu high-tech. – Kuźwa, lada chwila przyjadą z zakładu pogrzebowego. Trzeba mieć zdrowo nawalone, żeby tu być!

Rubén ominął zasięg kamery monitoringu za zakrętem korytarza i podążał dalej za blondynką aż do chłodni.

– Mamy najwyżej pięć minut – powiedziała Anita, popychając drzwi.

W pomieszczeniu zapach amoniaku mieszał się z wonią tanich toaletowych kostek zapachowych. Gładkie białe ściany, ostre światło, rząd komór po prawej. Zwłoki umieszczano w nich kolejno w miarę przywożenia. Numer 23: Anita wysunęła stalową szufladę, odwracając wzrok.

Podchodząc, Rubén wyrzucił z siebie wszelkie uczucia. Muñoz po sekcji próbował zwłokom nadać jaki taki wygląd, ale przy braku górnej części czaszki, fatalnym stanie powłok i pustych oczodołach biedna Maria była nie do poznania. Rubén przełknął ślinę, myśląc o autoportretach, które wisiały w jej mieszkaniu. Teraz rozumiał, dlaczego rodzina tak szybko chce urządzać pogrzeb.

– Cztery minuty – szepnęła Anita, patrząc w ścianę.



Skóra była nadgniła, wyblakła, czaszka odcięta na wysokości łuków brwiowych, co było widoczne mimo opatrunku z bandażu. To na pewno dzieło śruby jakiegoś statku. Reszta twarzy wyglądała potwornie. Oczu nie było, wargi zdążyły zjeść robaki. Maria Victoria Campallo. Ciało przezroczyste, niemal mleczne, krągłe piersi, brzuch lekko wzdęty, zszyty byle jak...

– Wichura, która szalała na wybrzeżu, spowodowała trochę zniszczeń w portach i marinach – odezwała się Anita, wciąż trzymając się na dystans – ale według władz nie było żadnej katastrofy w rejonie Río de la Plata.

Rubén kiwnął głową. Biała barwa zwłok świadczyła o długim przebywaniu w wodzie, kilkudniowym, sądząc po stanie skóry, która w kontakcie z powietrzem zaczynała gnić. Nie było śladów po pocisku ani nożu, ani przypalania papierosem...

– Co jest w raporcie Muñoza?

– Gdybym wiedziała, nie odmrażałabym sobie tutaj tyłka – odparła policjantka. Zwłaszcza zapach jej przeszkadzał, wgryzał się w każdy zakątek jej mózgu.

Rubén naciągnął rękawiczki chirurgiczne, drugą parę podał Anicie.

– Weź. Pomóż mi ją odwrócić.

Anita dmuchnęła w jasną grzywkę. Taki tik. Razem przewrócili ciało Marii na brzuch. Nie było widocznych ran mimo ewidentnych licznych złamań... Frachtowce, promy, trawlerzy... Trup musiał jakiś czas unosić się na powierzchni, zanim trafił w pobliże śruby, która ścięła czubek głowy. Rubén zapomniał o brzydocie śmierci i wszystkim co z nią związane, położył dłonie w rękawiczkach na plecach zwłok. Zmysły zaraz mu się wyostrzyły, jakby cała wiedza o antropologii sądowej, którą przekazał mu Raúl, spłynęła w końcu

palców: obmacywał kości, ostrożnie badał nierówne krawędzie złamań. Połamane były szczęki, obojczyki, żebra...

– Wyniki badań toksykologicznych będą dopiero za parę dni, ale Guillermo ma coś dla ciebie – powiedziała Anita, żeby go pogonić. – Spadajmy stąd, dobrze?

Młody lekarz pełniący dyżur tej nocy znał Calderóna ze słyszenia – jako tego, co się babrze w gównie tak samo jak on na pohybel wyższym władzom, które darzył umiarkowanym szacunkiem. W czasie kryzysu przyszedł lekarz sądowy obrzucał kamieniami pojazdy opancerzone i wraz z tysiącami takich jak on długowłosych półnagich małolatów wystawiał środkowy palec, kiedy odpowiedzialni za bankructwo wsiadali na dachach do śmigłowców, salwując się ucieczką. Guillermo nie asystował Muñozowi przy sekcji, lecz sprzątał, gdy waźniak zakończył swoje działania. I znalazł dwa zdjęcia rentgenowskie w koszu przeznaczonym na takie odpady – zwędził je, zanim zostały zniszczone.

Rubén umieścił klisze na podświetlonym panelu w salce, w której spotkali się z lekarzem. Krawędzie złamań w niektórych miejscach nie były czyste. Oglądał je długą chwilę. Nie tylko szczęki, obojczyki i żebra były połamane, ale także główki kości udowych, pięty – ciało Marii jakby zostało poddane implozji.

Charakterystyczne złamania nie pozostawiały wątpliwości: dziewczyny nie pobito żelazną sztabą, nie zmiążdżył jej także kadłub statku, kiedy zwłoki unosiły się na wodzie. Marię Campallo wyrzucono z samolotu.

– Co jest? – spytała Anita.

Teraz Rubén był blady jak ściana: „loty śmierci”...

Uśpionych pentotalem, zakneblowanych, związanych, w worku na głowie dysyduentów ładowano na ciężarówki albo do samochodów

osobowych, przewożono na któreś lotnisko wojskowe, po czym żywych zrzucano ze śmigłowców, a najczęściej z samolotów nad Río de la Plata. Zawsze nocą. Czasami na urugwajskim wybrzeżu znajdowano skrępowane zwłoki, ciała porozrywane lub okaleczone przynieszone przez prądy estuarium. Niespodziewana burza, która przeszła tydzień wcześniej, przyniosła zwłoki fotograficzki do Buenos Aires. Jak w najczarniejszych godzinach „brudnej wojny”.

Pogrążonemu w myślach Rubénowi stawały przed oczami kolejne obrazy: po wyjściu z La Catedral porwanie Marii Victorii i człowieka, którego wzięła za swojego brata, torturowanie transwestyty na jej oczach, aby ją zmusić do mówienia, krzyki, wyznania, rozdzielenie, zabranie Orlanda na puste nabrzeże w La Boce, oszołomiona narkotykiem Maria przewożona na jakieś lądowisko z dala od miasta, córka bogatego biznesmena sprowadzona do paczki zamkniętej w bagażniku samochodu, do numeru, który można skreślić, wymazać, bezwładna Maria ciśnięta do kabiny, przelot nad strefę zrzutu, czarna powierzchnia oceanu migocząca w świetle księżyca, Maria wciąż pogrążona w chemicznym śnie, nie czuje wiatru ani strachu, muliste żarłoczne wody ujścia estuarium w dole – zostaje wyrzucona z pokładu samolotu, spada, spada bez końca do oceanu na ślepych oczach księżyca... Przy spadku z dwóch tysięcy metrów lustro wody jest jak z betonu: kości Marii eksplodowały od środka.

Rubén jechał wzdłuż Corrientes wstrząśnięty tym, co zobaczył w Instytucie Medycyny Sądowej. Przez opuszczoną szybę wystawił rękę na wiatr. Koszulę miał mokrą od potu, załadowanego colta wrzucił do schowka. Potężne bryki sunęły ruchliwą arterią w centrum miasta; włączone neonowe szyldy luksusowych sklepów migotały, oświetlając starsze panie w futrach, które szpakowaci

rycerze prowadzili na kolację po wieczornym przedstawieniu. Ludzie z centrum zdawali się bogaci, szczęśliwi, zdrowi. Pielęgowali ducha rodowitych mieszkańców stolicy. W tym wieku byłby teraz jego ojciec, gdyby żył...

Kiedy Rubén dotarł do apartamentu w Palermo, oczy piekły go ze zmęczenia. Światło w japońskim salonie było zapalone, zasłony zaciągnięte, lecz pokój był pusty.

– Jana?

Od szklanych schodów zalatywał zapach trawki. Znalazł Janę na piętrze. Siedziała po turecku przed niskim stolikiem przyklejona do komputera.

– Drakula zostawił mi *flores* – powiedziała, podając mu skręta.

Miała narzuconą na ramiona szarą przetartą koszulę i czarne dzinsowe szorty równie sfatygowane jak poprzednie. Niedopałek nielegalnej trawki – lokalnej marihuany – zdążył ostygnąć w popielniczce pod czujnym okiem białego kocura, który wreszcie wylazł z kryjówki i rozsiadł się na komodzie. Rubén wyrzucił z głowy obrazy śmierci, które go dręczyły, odkąd opuścił Instytut Medycyny Sądowej, wsunął dzointa w usta i nachylił się nad monitorem ciekłokrystalicznym.

– Ten Montañez, którego szukasz, musi mieć teraz co najmniej pięćdziesiąt lat – powiedziała Jana. – Jeśli żyje – zastrzegła. Pokazała mu notatki nabazgrane na luźnych kartkach. – W internecie znalazłam dziesięciu w tym wieku. Może jest wśród nich ten były kapral.

Rubén przejrzał jej zapiski: transport drogowy, restaurator, delikatesy, usługi pisania pism i listów... Żaden z Montañezów znalezionych przez Janę nie pracował w prywatnej agencji ochrony – ani ludzi, ani mienia.

– W kostnicy coś znalazłeś? – spytała Mapucze.

– Marię Campallo wyrzucono z samolotu – odparł przeciągle. – Prądy wyniosły ciało na brzeg. Co oznacza, że musiał być pilot, odpowiednia maszyna, lotnisko na tyle blisko Buenos Aires, żeby zorganizować przerzut, wspólnicy...

Oddał jej dzointa.

– Mogę się tym zająć – oświadczyła rzeźbiarka.

– Nie znasz moich baz danych, sposobów sortowania...

– Masz mnie za ciemną babę ze wsi? Powiedz raczej, czego szukać.

Buntownicza mina ją odmłodziła.

– Nazwisk pilotów – powiedział Rubén. – Trzeba je porównać z tymi, które są w mojej bazie. Sprawdź też, co robili wcześniej, typ samolotu użytego w ten weekend, kiedy zamordowano Orlanda i Marię, lotniska w pobliżu miasta, zarówno z wieżami kontrolnymi, jak i bez nich... Wszystko, co znajdziesz.

– OK. A Montañez?

– Pasowałyby sprawdzić w archiwach marynarki. Zwrócić się z podaniem do właściwych organów. To może potrwać nawet parę tygodni. – Ziewnął przymulony trawką piosenkarza i bezsenną ostatnią nocą.

– Dobra. Idź spać, zajmę się lotniskami. Połóż się w pokoju na dole.

Kiwnął głową. Twarz Indianki była bliziotko, jej delikatnie zarysowane pełne wargi... Rubéna podniosło. Zakołysał się nad nią – już surfowała po internecie.

– Dobranoc – powiedział.

– Postaraj się zasnąć, uparciuchu.

Ledzep, który słuchał rozmowy na komodzie, zeskoczył i pobiegł

za Rubénem.

Nadzieja na odnalezienie Miguela żywego malała z każdą godziną. Według detektywa wynosiła jeden procent – bez niego Jana nawet na to nie mogłaby liczyć. Zapaliła dzointa i zaczęła przeglądać strony. W okolicach miasta znajdowało się sześć lotnisk, prywatnych aeroklubów, które ledwie ciągnęły, toteż nie bardzo się przyglądały, kto i co przewozi, korzystając z ich pasów. Najskromniejsze nie miały wieży kontrolnej, widocznie prowadziły tylko kursy pilotażu. Dwa położone były przy drodze numer 9, trasie biegnącej najbliżej Rí o de la Plata. Na stronie pierwszego Jana znalazła nazwiska pilotów, trzech kozaków o uśmiechu chojraków z Top Gun, wprowadziła je kolejno do bazy Rubéna. Wyszukiwanie. Weryfikacja. Obejrzenie zdjęć. Porównanie z danymi oprawców i ich współników – wszystko na darmo: żaden z trzech pilotów nie figurował na czarnej liście detektywa. Na wszelki wypadek zanotowała ich nazwiska.

Drugie lotnisko nie miało swojej strony w internecie, tylko ogólne reklamy ze zdjęciami, które zdawały się pochodzić z lat siedemdziesiątych. Żadnych nazwisk, jedynie cennik lotów i świadczone usługi... Ledzep, który widać wyleciał z pokoju na dole, ocierał pyszczek o jej gołe nogi z sumiennością drapieznika oznaczającego swój teren. Jana spojrzała na zegarek. Późno. Zbyt spięta, aby zasnąć, zostawiła komputer w stanie czuwania i zeszła po szklanych schodach. Przez głowę przemykały jej obrazy, jeden posepniejszy od drugiego – czy mordercy już wyrzucili Miguela do estuarium? Zapaliła skręta z czystej marihuany, patrząc zza zasłony na ulicę. Na fioletowym niebie światła miasta odbijały się jak robaczki świętojańskie. Poczuli się naraz zagubiona, obca w tym miejscu, jakby czas upływał bez niej. Bez niego? Rubén

zachowywał dystans, jak gdyby coś nieuniknionego miało się wydarzyć i zmieść ich oboje. Jany nie obchodziły różnice między nimi, jego ledwie hamowana gwałtowność, nawet jego wiek. Ciało ma własne odczucia, które nie kłamią. Jego gorące dłonie, członek, namiętny uścisk tamtej nocy przed opuszczoną halą dworca...

Miauczenie Ledzepa wyrwało ją z tych somnambulicznych myśli – on także chciał iść spać. Mając dość wszystkiego, Jana zgasiła dzointa, napiła się wody i umyła zęby w łazience przy sypialni. Designerskie lustro, łoże XXL, minimalistyczne sprzęty, przytłumione wschodnie oświetlenie dla stworzenia zmysłowego nastroju. Na stoliku nocnym Jo Prat postawił bukiet kwiatów, oczywiście czerwonych róż, wspaniałych. Rubén spał niespokojnie w białej pościeli, zrzuciwszy tylko buty, rękami przyciskając poduszkę, jakby mogła mu uciec. Jana się położyła. Nadzieja, beznadzieja. Pod wpływem THC przez chwilę wirowało jej w głowie, zamknęła oczy przed klęską i bez żalu osunęła się w cień jej ramion.

Dwie czarne dziury wystrzelone w pustkę.

## 4

Wobec braku polityki zagospodarowania przestrzennego mieszkańcy Buenos Aires osiadali wzdłuż linii kolejowych, wymuszając urbanizację typu promienistego. Fabryki z kolei wciskały się między „promienie” i coraz dalej spychały rozrastające się przedmieścia. Rubén jechał zakorkowaną „dziewiątką”, cierpliwie znosząc nadawane bez przerwy informacje radiowe. Przespał osiem godzin jednym ciągiem, a resztki zmęczenia z ostatnich dwóch dni rozplynęły się w czarnej kawie. W wiadomościach podano komunikat o śmierci Marii Victorii Campallo, której ciało znaleziono na brzegu w rezerwacie przyrody. I chwilowo nic więcej prócz tego, że śledztwo trwa. Ani słowa o pogrzebie mającym się odbyć pod wieczór ani o tym, że to morderstwo, co przecież stwierdzono. Czy takie polecenie wydał jej ojciec mający wpływ na media?

Jana wyszukała trzy lotniska, na których Marię mogli załadować na nocny lot, jedno na południu miasta, dwa na północy. Wracał z aeroklubu w San Miguel, gdzie wszyscy piloci udzielili wyjaśnień na temat swoich lotów w noc porwania. Teraz, wczesnym popołudniem, skwar rozgrzewał kabinę do czerwoności, rury wydechowe rzygały spalinami. Detektyw mijał smutne obszary zastawione tablicami reklamowymi, nudne jak flaki z olejem centra



handlowe wyrastające po uświęceniu Wal-Martu i kapitalizmu finansowego, tandetny hedonizm kopący w pustkę, która niebawem ogarnie całą planetę. Rozpacz z kodem kreskowym. Rozmyślał o śmiertelnych falach, przecinając przedmieście rezydencjalne Tigre.

W czasach belle époque w miasteczku Tigre, położonym w delcie Parany na północ od stolicy, dobrze urodzeni wznosili sobie wiejskie rezydencje. Teraz kluby wioślarskie, pływackie, krykietowe zwabiały tu co weekend licznych mieszkańców Buenos Aires, którzy tłoczyli się w lokalach i przystaniach, skąd wypływali na rejsy spacerowe po kanałach drewnianymi statkami oferującymi luksus z innej epoki. Domy tutaj tonęły w kwiatkach, w ogrodach była urządzona przestrzeń wypoczynkowa, trawniki wygłaskane. Po burzy jaskrawe przejaśnienia migotliwie odbijały się w kałużach na jezdni. Według mapy lotnisko znajdowało się kawałek za miastem.

Za łąką porośniętą soczystą trawą, na której leniwie pasło się kilka krów przeznaczonych na eksport, pojawiły się mokradła. Dalej było ogrodzenie z drutu kolczastego – za nim Rubén dostrzegł białoczerwony rękaw lotniska wzdęty przez wiatr. Wjechał na kawałek wysuszonej ziemi pełniącej rolę parkingu, przeciągnął się.

Koło dystrybutora paliwa przy pasie startowym stał zniszczony barak z pozamykanymi okiennicami. Lotnisko w Tigre było tak małe, że nie miało wieży kontroli lotów, a jedynie hangar z blachy falistej, budynek biura z prefabrykatu i samolot szkoleniowy, który suszył się na płycie – małą dwumiejscową maszynę pomalowaną na biało wieki temu. Wiejskie lotnisko, puste, miejsce, gdzie czas jakby się zatrzymał. Rubén obszedł główny budynek, zerknął na samolot na płycie i pomaszerował do hangaru. W głębi zobaczył

drugą maszynę, cessnę 185. W zasięgu wzroku nie widział ani pilota, ani mechanika. Zawrócił, idąc w cieniu baraku.

Wentylator ustawiony na poplamionym kontuarze przegarniał duszne powietrze w biurze. Siedzący przed komputerem otyły mężczyzna bez przekonania co rusz ocierał pot z twarzy, zmięte chusteczki rzucając w okolice klawiatury. Valdés, szef pilotów, ledwie uniósł głowę na widok Rubéna. Kierownik aeroklubu kiedyś dobrze grał w rugby na pozycji filara, myślał nawet, żeby przejść na zawodowstwo, ale dali mu popalić napakowani koleisie z Tucumánu. Zrobił więc licencję pilota, a ponieważ nie trenował, raz-dwa przybrał pięćdziesiąt kilo, których jakoś nie kwapił się zrzucić.

Rubén pokazał mu licencję detektywistyczną.

– Chciałbym pogadać z jednym z pańskich pilotów – powiedział, zapuszczając żurawia do pomieszczenia obok. – Ale zdaje się, że nie ma nikogo...

Valdés, któremu obcy przerwał wykładanie elektronicznego pasjansa, podniósł tłusty jak u morsa podbródek.

– A czego pan chce od moich pilotów?

– Ile osób tu pracuje?

– Sekretarka jest w ciąży po same zęby, więc zostałem sam z całą papierkową robotą – odparł gburowato. Wyglądało na to, że taki już ma sposób bycia. – Jest tylko Del Piro. Jeśli raczy się zjawić w robocie...

– To jeden z pańskich pilotów?

– Jedyne. Prócz mnie. Ale ja nie latam dużo – dodał grubas.

– Rozumiem... Gdzie znajdę tego Del Piro?

– Wziął tydzień wolnego na kurs akrobacji. Bo co?

– Nie ma pan innych instruktorów?

– Od dwóch lat nie mam – odparł szef pilotów. – Kryzys jest, nie słyszał pan?

Rubén obrzucił wzrokiem zakurzone półki, szuflady za potężnym facetem.

– Czy as akrobacji miał loty pod koniec zeszłego tygodnia? – zapytał.

– Nie wiem – burknął Valdés. – Tutaj się uczy latać, a nie udziela informacji.

Były rugbysta na powrót wpatrzył się w monitor, przesunął karty w chłodnym nadmuchu wentylatora. Rubén nachylił się nad kontuarem i wyciągnął kabel zasilania komputera. Valdés poderwał głowę z miną filara przed atakiem.

– O co ci chodzi?

– O nocny lot – powiedział Rubén. – Prowadzi pan rejestr tego, co tu się dzieje, czy samoloty wietrzą się tylko?

Valdés zmierzył go ponurym wzrokiem. Detektyw ani mrugnął.

– Wyjmij ten cholerny rejestr!

Obrotowy wentylator dmuchnął mu w twarz.

– Nie ma takiego prawa, które by mnie do tego zmusiło, chłopie – odparł Valdés.

– Zajmie ci to dwie minuty. A jeśli odmówisz, możesz zarobić dwa lata pierdła. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa, które interesuje też gliny. Na pewno z radością pogrzebią w twoich papierach. Kokosów nie masz z tego interesu – dodał Rubén, obrzucając wzrokiem otoczenie.

Valdés drapieźnie odsłonił zęby otoczone nalotem z nikotyny.

– Chcę tylko sprawdzić parę rzeczy w rejestrze – podjął Rubén, starając się mówić pojednawczo. – Potem dam ci spokój. Chyba że masz powód, żeby mi odmówić.

Valdés wzruszył ramionami, sapnął jak smok na znak zgody, przeturlał się koło biurka i otworzył w końcu rejestr z planem lotów.

– Weekend ósmego, he? – burknął. – Nic tu nie ma.

Rubén obrócił do siebie księgę. Faktycznie niczego nie odnotowano.

– Może pilot nie wpisał lotu? – zasugerował.

– A czemu miałyby nie wpisać?

– Bo chciał się tylko wyszczać na dwóch tysiącach stóp.

– To nie w stylu Del Pira – rzekł Valdés szyderczo.

– Tak? A co jest w jego stylu?

– Baby. Jak wszystkich pilotów.

– Aha... A ty? Gdzie byłeś w tamten weekend?

– Z żoną. Były jej urodziny. Dwudziesty raz się męczyłem. Jeśli masz z tym problem, to wiedz, że ja też.

– Mogę zobaczyć kartotekę Del Pira?

Valdés mruknął niechętnie, wyjął kartoteki z metalowej szuflady i właściwą położył na kontuarze, okazując irytację.

Gianni Del Piro, urodzony 15 IV 1954, zamieszkały w Tigre. Szczupła śniada twarz, szpakowate bokobrody, dość przystojny mimo drapieżnego orlego spojrzenia, które rzucał, pozując do zdjęcia.

– Del Piro licencję robił w wojsku?

– Jak dziewięćdziesiąt procent pilotów, których znam – odparł Valdés.

Rubén wyjął smartfon, sfotografował zdjęcie Del Pira i jego dane. Valdésowi z oburzenia trząsał się obwisły podbródek.

– Mieszkasz w tamtym baraku? – spytał Rubén.

Grubas pokręcił głową.

- Nie. Od wieków stoi pusty. Mieszkam w mieście.
- Czyli w nocy nikogo tu nie ma.
- Ano nie.
- Del Piro ma swoje klucze do hangaru?
- Jasne – fuknął Valdés. – To mała firma. Piloci nie będą czekać z lotami szkoleniowymi, aż ja się zjawię... Długo będziesz mi jeszcze zawracał dupę?
- Rubén zabrał rejestr lotów.
- Daj mi klucze do tej cessny w hangarze.
- A co? Chcesz się przewieźć nad Andami tym latadelkiem? – zażartował szef pilotów.
- Detektyw pozostał chłodny.
- Pospiesz się, nie mam czasu na głupoty.
- Valdés rzucił klucze na kontuar.
- Oddasz potem, tak? – zapytał, wskazując rejestr.

W hangarze śmierdziało olejem silnikowym i smarami. Rubén chwilę oglądał składowane tu materiały, po czym skierował się do cessny stojącej w głębi. Awionetka mogła zabrać dwie osoby do kabiny i ładunek podobnej wagi z tyłu. Po podniesieniu drzwi można było w locie wyrzucić ciało i jakby nigdy nic wrócić na lotnisko. Rubén wspiął się do kokpitu.

Piloci po każdym locie odnotowywali liczbę przelecianych kilometrów. Rubén porównał wpis w książce ze wskazaniem licznika. Zgadzało się. Aczkolwiek Del Piro mógł odłączyć licznik. Rubén sprawdził poziom paliwa w zbiorniku, po czym nałożył gumowe rękawiczki i dokładnie przeszukał kokpit, następnie latarką oświetlił każdy skrawek tylnej części maszyny: podłoga, siedzenia, tył kabiny, wszystko było czyste albo niedawno umyte. W każdym razie nic nie wskazywało na tajny nocny lot.

Kiedy wyszedł z hangaru, słońce oślepiło go na chwilę. Minął płytę lotniska i skierował się do dystrybutora paliwa, pięćdziesiąt metrów od biura Valdésa. Dystrybutor był z tych najprostszych, znajdował się przy nim rejestr, do którego piloci wpisywali każde tankowanie. Rubén przejrzał wykaz: nie było żadnego wpisu z interesującą go datą.

Wyliczył średnie zużycie paliwa na podstawie częstości napełniania zbiornika przy dystrybutorze, porównał z lotami cessny i stanem paliwa w zbiorniku maszyny. Skrzywił się. Rachunek się nie zgadzał. Del Piro za wcześniej tankował po tamtym weekendzie.

Rubén kilka razy sprawdził swoje obliczenia. Gwałtownie skoczył mu poziom adrenaliny: brakowało paliwa wystarczającego na dwie, trzy godziny lotu.

\*

Spośród czterdziestu dwóch Montañezów znalezionych w książce telefonicznej Janie udało się dodzwonić do trzech czwartych – bajerowała każdego loterią opartą na dacie urodzenia. Efektem tylu nudnych rozmów było ustalenie, że jedenaście osób jest w wieku byłego kaprała zamieszanego w morderstwo Verónów.

DDHH (rodzaj ministerstwa praw człowieka), ANM (Archiwum Pamięci Narodowej ulokowane w dawnej ESMA), CONADEP – Jana przejrzała wykazy członków sił zbrojnych umoczonych w prześladowania, wykazy w Centrum Studiów Prawnych i Społecznych udostępnione Babciom z Plaza de Mayo, materiały zgromadzone w komputerze Rubéna. Nigdzie nie było żadnego Montañeza. Miała zatem tylko jedenaście nazwisk wypisanych na kartce, jedenastu podejrzanych rozrzuconych po całym kraju. Za

długo by trwało sprawdzenie wszystkich, Paula by tego nie doczekała... Pozostawały archiwa wojskowe.

Tajne dokumenty dotyczące uwięzienia i zamordowania trzydziestu tysięcy zaginionych spalono po nastaniu demokracji (ewentualne kopie także prawdopodobnie zniszczono), ale marynarka, jak wszystkie korpusy wojska, zachowała swoje archiwa. Dostępu do nich nie było z prostego powodu: marynarka nie wyrażała na to zgody. W wyjątkowych wypadkach „osoby uprawnione”, które uzasadniły „konieczność konsultacji”, mogły mieć do nich wgląd – czyli mało kto, a i to za cenę starań, które rzadko doprowadzały do celu. Właśnie to powiedział jej Rubén rano przed wyjściem, kiedy wyłaniała się z oparów snu.

Ledzep wyrwany gwałtownie z drzemki objawił się efektownie, gdy otworzyła lodówkę. Obwąchał resztki śniadania pozostawione na stole w salonie, lecz błagalny wyraz pyszczka jasno mówił, że przydałoby się coś mięsnego. Jana wypijała zimne piwo dla kurażu i w samo południe opuściła kryjówkę.

Za sprawą makabrycznej ironii właściwej dla Argentyny budynek, w którym mieściły się archiwa marynarki, znajdował się niedaleko kostnicy sądowej przy avenida Comodoro Py. Gmach ochrzczony mianem Libertad, Wolność, dziesięciopiętrowy blok świeżo pomalowany na biało, miał pomóc w zapomnieniu okrytej smutną sławą Szkoły Mechanicznej Marynarki Wojennej, przekształconej obecnie w muzeum i miejsce pamięci.

Jana przyjechała autobusem miejskim z czarną płócienną torbą na ramieniu i dowodem osobistym w kieszeni drelichowych spodni. Po burzy niebo lśniło błękitem, wiatr lekko poruszał wątlymi drzewkami na obrzeżach parkingu. Indianka weszła po schodach, pełna zrozumienia pokazała torbę dwóm bykom przy drzwiach,

przeszła przez detektor metali i znalazła się przy recepcji.

Czterdziestoletnia kobieta o skrzekliwym głosie rozmawiała przez telefon najwyraźniej z przyjaciółką. W ogóle nie wzruszyło jej przyjście interesantki, ponieważ przez chwilę ciągnęła pogawędkę, wreszcie odwróciła się do Jany, która przestępowała z nogi na nogę przed kontuarem.

– Poczekaj moment – rzuciła recepcjonistka do koleżanki, po czym przycisnęła słuchawkę do piersi. – O co chodzi?

Jana dokonała nadludzkiego wysiłku, aby się uśmiechnąć.

– Szukam kuzyna – powiedziała, podchodząc do laminowanego biurka. – Nazywa się García Márquez, był kapralem w marynarce. Straciłam z nim kontakt i próbuję teraz go odnowić. Z przyczyn rodzinnych i prawnych. – Ponieważ urzędniczka skrzywiła twarz pokrytą tapetą, tłumaczyła dalej: – Chodzi o spadek, trzeba wypełnić jakieś papiery. Notariusz, który się tym zajmuje, powiedział mi, że odnajdę kuzyna za pośrednictwem waszych archiwów. Wie pani, gdzie to jest?

Szpakowaci wojskowi z teczkami pod pachą przemierzali rozległy hol, inni wychodzili z budynku. Recepcjonistka niecierpliwym machnięciem ręki wskazała windy.

– Dziesiąte piętro. Trzeba złożyć podanie we właściwym biurze, wypełnić formularze uzasadnienia i przyjść, jak dostanie pani odpowiedź, na ogół nie wcześniej jak po dwóch tygodniach – wyrecytowała jednym tchem. – Ma pani dowód?

Jana podała jej dokument, który urzędniczka skserowała, nie wstając z krzesła na kółkach, po czym machinalnie rzuciła na kontuar przepustkę.

– Odda mi ją pani przy wyjściu!

– Dziękuję bardzo.



Recepcjonistka już trzymała słuchawkę przy uchu.

– No już, Gina, jesteś tam?

Jana przypięła przepustkę do kołnierza czarnej dżinsowej kurtki i czując naraz silne parcie na pęcherz, skierowała się do wind. Koło wyjścia ewakuacyjnego stał uzbrojony wartownik w marynarskiej czapce. Dziesiąte piętro: w obszernym lśniącym holu tańczyły słoneczne refleksy wpadające przez przeszklone ściany, które wychodziły na nowy port. Nieduże tabliczki wskazywały drogę do różnych biur. Jana udała, że wybiera numer na komórce otrzymanej od Rubéna i niby to prowadząc rozmowę, rozglądała się dokoła. „Tak... Nie...” Krążyła po holu, nikt nie zwracał na nią uwagi. Archiwum znajdowało się na końcu po prawej.

Dostępu do niego bronił żołnierz za biurkiem, blada kopia Seana Penna mimo wyglądu łajdaczyny. U pasa miał radiotelefon, pistolet i pałkę. Była pora lunchu: jadł kanapkę zawiniętą w papier, gapiąc się na czyściutką przestrzeń, która tak jak on nudziła się pośród roślin w donicach. Jana usiadła w pewnej odległości na jednym z krzeseł ustawionych pośrodku holu. Nie знаła rozkładu pomieszczenia, w którym trzymano archiwa, ale wartownik był sam. Na dnies torby znalazła ogryzek czarnego ołówka do brwi, umalowała się, by trochę zmienić wygląd. Wartownik napił się wody z małej butelki, którą wkrótce opróżnioną odstawił na biurko. Po kilkunastu minutach zszedł ze stanowiska, kierując się do pobliskiej toalety.

Jana nie czekała, aż zniknie w łazience. Przyspieszyła kroku, była kilka metrów od drzwi archiwum, kiedy z WC ktoś wyszedł. Mężczyzna w mundurze jak spod igły kroczył prosto na nią, nieznacznie zmarszczył brwi, zauważywszy jej przepustkę, minął ją bez słowa. Chwilowo droga była wolna. Jana minęła opuszczone

biurko, z ciarkami na grzbiecie wśliznęła się przez lakierowane drzwi, które ciuchutko zamknęła za sobą, i przywarła do prostopadłej ścianki na wprost.

Klimatyzator w sali pracował pełną parą. W półmroku rozbrzmiewały czyjeś kroki, po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwi. Pod Indianką nogi się uginały. Na Boga, co ona tu robi?! Poczekała, aż toksyna spłynie z miękkich jak wata ud, rozleje się i wsiąknie w ziemię, po czym wreszcie odważyła się wyjrzeć. Sala była pusta. Dwa komputery z płaskimi monitorami mruczały na biurkach sąsiadujących z imponującymi szeregami regałów – było ich ze dwadzieścia, świątynia papierowych dokumentów słabo oświetlonych w bunkrze bez okien... Jana wsunęła się w najbliższy korytarz i przeszła na drugi jego koniec w kucki, jakby to czyniło ją niewidzialną. Parcie na pęcherz było coraz mocniejsze. Pracownicy archiwum niebawem wrócili, ich chrapliwe głosy dudniły. Rozmawiali o piłce nożnej, lecz Jana nie słuchała. Po twarzy zaczynał jej spływać pot. Przycupnęła na końcu rzędu regałów i spojrzała w górę. D3, takie zobaczyła oznaczenie.

Teraz rozmowa urzędników na drugim końcu korytarza między regałami była niezrozumiała. Jana próbowała się zorientować w tym labiryncie. Odszukała regały oznaczone M – M1, M2, M3... Półkę z nazwiskiem Montañez znalazła na regale M4. Setki teczek były w tej alejce, która się kończyła kawałkiem odkrytej przestrzeni. Jana chwilę się zawahała. Instynkt? Znak, który ją zatrzymał?... Dwadzieścia metrów od niej przeszedł wyprostowany jak struna jeden z archiwistów, nie zauważając Indianki.

Koszulkę miała mokrą od potu. Wstrzymując oddech, skradała się między ścianami dokumentów, które ją zasłaniały. Monterubio, Monteramos... Montalban, Montamas, Montañez – piąta półka, tuż

nad jej głową. Jana chwyciła plik teczek, usłyszała kroki, wstrzymała oddech: ktoś szedł dwie albo trzy alejki od niej.

Upłynęła minuta naznaczona paskudnym smakiem wieczności. Kroki wreszcie się oddaliły. Mapucze z sercem walącym jak młot zaczęła szybko przeglądać książeczki wojskowe. Montañez Oswaldo, urodzony 10 II 1971: za młody. Montañez Alfredo, urodzony 24 VIII 1967: też za młody. Kropla potu spadła na pożółkły papier dokumentów, które drżącą ręką przerzucała. Montañez Ricardo, urodzony 6 XII 1955 w Rufino. Data urodzenia pasowała, podobnie jak data przyjęcia do ESMA, którą opuścił pod koniec 1976 roku w stopniu kaprała. To on. To musiał być on. Przycupniętej u stóp regału Janie wyszło w gardle. Wzdrygnęła się nagle, słysząc:

– Co to za zapach?

Strachu.

Jej strachu, który oblepiał ciało.

Facet był w sąsiednim przejściu, wywęszył jej obecność.

– Hej, kto tu jest? – krzyknął na wszelki wypadek.

Jana już wsunęła książeczkę do kieszeni spodni. Byle jak odłożyła teczki na półkę i na paluszkach ruszyła do wyjścia ewakuacyjnego widocznego na końcu alejki. Zerknęła w prawo, w lewo. Nikogo nie było. Pchnęła ognioodporne drzwi i zniknęła.

– Hej, kto tu jest?!

Dziesięć pięter. Uprzedzą wartowników, którzy zwyczajnie zgarną ją na dole. Prowadzona zielonym światelkiem zbiegała po schodach, opierając się na poręczy, by stłumić tupot butów, serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, kiedy dotarła do dziewiątego piętra. Wojskowi rozmawiający w grupce przy przeszklonej ścianie ledwie na nią popatrzyli. Jana przywołała windę, starając się

zachować zimną krew. Alarmu wciąż nie było. A przecież facet z archiwum musiał usłyszeć szczęknięcie drzwi ewakuacyjnych. Winda szybko przyjechała. Jana wcisnęła guzik, drzwi się zamknęły, kabina ruszyła na dół. Mapucze ocierała pot z twarzy, błagając bogów swoich przodków, aby tym razem ją oszczędzili, gdy winda stanęła. Piąte piętro. Do kabiny wszedł bez słowa postawny mężczyzna w mundurze z galonami: ten sam, z którym się minęli przedtem, kiedy wyszedł z toalety.

– Na dół? – zapytał.

– Tak.

Niedługo utrzymał uprzejmą minę. Ledwie winda zaczęła zjeżdżać, wyraźnie go spięło: w kabinie śmierdziało nieprzyjemnie. Wykrzywił się sztywno do Indianki wpatrzonych w swoje buty. Drzwi rozsunęły się wreszcie w głównym holu. Jana przełknęła, chociaż w ustach nie miała ani kropli śliny, i poszła w stronę recepcji, giętka trzcina na wietrze. Nikt jej nie zatrzymywał. Jeszcze nie. Położyła przepustkę przed obojętną skrzekliwą urzędniczką i musiała mocno nad sobą panować, by nie pobiec do wyjścia.

Zatrzeszczały radiotelefony facetów pilnujących głównych drzwi. Jana przeszła koło nich w chwili, kiedy odbierali połączenie, znalazła się na schodach prowadzących na parking. Wartownicy rzucili się biegiem do środka gmachu. Za późno. Wiatr chłodził jej twarz, autobus właśnie podjeżdżał na przystanek...

\*

Ośrodek wypoczynkowy w Tigre opustoszał wraz z końcem lata. Kluby wioślarskie zapadły w drzemkę, tylko kilku kretynów szalało z rykiem silników na skuterach wodnych między próchniejącymi pniami cytrynowców, które pływały po akwenie. Rubén jechał

główną ulicą z kanapką w ręce kupioną po drodze w kiosku koło przystani. Gianni Del Piro mieszkał na końcu ulicy w domu z ogródkiem nie pasującym do wypasionych rezydencji wzniesionych wiek wcześniej.

Na trawniku stał zaparkowany samochód małowitrazowy. Rubén cisnął resztkę kanapki kundlowi, który grzebał w śmieciach sąsiada, zadzwonił do drzwi. Otworzyły się po krótkiej chwili, stanęła w nich żona pilota, Anabel, tleniona pucołowata blondynka z uśmiechem na jaskrawoczerwonych ustach. Sądząc po wielkości dekoltu w kształcie serca, nie przyznawała się do pięćdziesiątki.

– Dzień dobry – powiedziała do przystojniaka, który stał na podeście.

Szeroko uśmiechnięty Rubén przedstawił się jako kumpel z wojska mający skrzyknąć eskadrę, by uczcić przejście na emeryturę wspólnego przyjaciela. Oczarowana galanterią gościa Anabel wyjaśniła, że Gianni w zeszłym tygodniu wyjechał do Neuquénu na kurs „doskonalenia akrobatycznego”, wróci w niedzielę, ale może do niego zadzwonić i powiedzieć o wizycie kolegi.

– Oczywiście jeśli pan sobie życzy – zastrzegła kokieteryjnie.

– Wolałbym zrobić mu niespodziankę – zrewanżował się.

– Jak pan woli.

Rubén uważnie obejrzał sobie kobietę, która tkwiła w drzwiach. Zalotne spojrzenia i niewinna mina nie budziły raczej wątpliwości. Zostawił Anabel botoksowemu losowi, wrócił do samochodu zaparkowanego kawałek dalej i oparty o maskę zaczął dzwonić do aeroklubów w Neuquénie. Jeden z nich owszem, oferował kursy prowadzone przez doświadczonych pilotów, ale najbliższe szkolenie w akrobacjach miało się odbyć dopiero za miesiąc.

Zatelefonował przy okazji do Anity.

Policjantka nie czytała raportu Muñoza z sekcji zwłok Marii Victorii Campallo, udało jej się jednak pozbiierać strzępy informacji, z których wynikało, że wykluczono podejrzenie zbrodni. W ogóle ekipa kapitana Roncera, który na rozkaz Luquego zajmował się tą sprawą, nie badała żadnego wątku: wypadku, samobójstwa ani morderstwa.

– Raport z sekcji jest nieprawdziwy – zawyrokował Rubén. – Oboje dobrze o tym wiemy.

– No... Co daje dwie osoby przeciwko reszcie świata. Marię właśnie pochowano i nikt nie wyrazi zgody na ekshumację, żeby powtórzyć autopsję. Chyba że udowodnimy brak pokrewieństwa między Campallami a ich ukradzionymi dziećmi... A tobie jak idzie?

– Mam nazwisko faceta – odparł Rubén. – Gianni Del Piro, były pilot wojskowy, teraz pracuje w małym aeroklubie w El Tigro. Podejrzewam, że to on wiózł Marię i nie wpisał lotu do rejestru, żeby nie było po nim śladu. Nałgał żonie i pracodawcy, że jedzie na kurs do Neuquénu. Z domu zniknął w zeszłym tygodniu, w przeddzień tych dwóch morderstw. Mogłabyś mi namierzyć faceta po komórce?

– Przypominam ci, że moja władza sprowadza się do kierowania samochodem patrolowym w towarzystwie kolegi płci męskiej i do wypisywania raportów, bo ci *pajeros*<sup>[5]</sup> mają dwie lewe ręce – odparła Anita.

– A ten twój kumpel z telekomu?

– Monitorowanie połączeń jeszcze by przeszło – mruknęła – ale przy lokalizacji nie obejdzie się bez poparcia Ledesmy.

Czyli szefa jej komisariatu.

– Luque i ten jego specoddział traktują go jak sralucha. Może Ledesma chciałby zagrać im na nosie? – podsunął Rubén.

– Dwa lata przed emeryturą Stary nie będzie się podstawiał bez mocnych dowodów – z przekonaniem oceniła podwładna Ledesmy.

– Powiedz mu, że to się wiąże z morderstwem na calle Perú. Że widziano syna tej praczki w klubie tanga z córką Campalla przed jej zniknięciem.

– Kurwa, Rubén, jak mu powiem, że równolegle prowadziłam dochodzenie w sprawie tej Campallo, będę zgarniać bezdomnych na najdalszym przedmieściu!

– Wymarzona okazja, żeby zmienić fach, nie sądzisz?

– Dziękuję bardzo. A co, proponujesz mi posadę?

– Del Piro jest w to umoczony – nalegał Rubén. – Daję głowę. Może nas doprowadzić do Miguela i morderców. Weź opakuj to ładnie dla Ledesmy, żeby połknął haczyk, i zlokalizuj mi faceta. A już ja go przycisnę, żeby wszystko wyśpiewał.

Jeśli chodzi o to ostatnie, można było mu zaufać.

– Przez ciebie robię głupstwo za głupstwem – zrzędziła jego przyjaciółka z dzieciństwa. – Stary będzie chciał wiedzieć, skąd mam te informacje.

– Powiedz mu, że Babcie mają poważne wątpliwości co do tożsamości Marii Campallo, że ograniczacie się w sumie do sprawy Michellinich, że Del Pira podejrzewa się o udział w porwaniu Miguela, który zniknął, a jest głównym świadkiem.

Anita szybko to rozważyła – tak, to mogło się udać.

– No dobra – zgodziła się. – Zobaczę, co da się zrobić. Ale i tak będzie cię to kosztowało kolację w knajpie. Przy świecach! – uściśliła.

Oparty o maskę samochodu Rubén uśmiechnął się szeroko – obok

na rowerze przejeżdżała dziewczynka z gołymi nogami.

– I jeszcze coś – dodała policjantka. – Mam wieści z Colonii. Ciało znalezione w zgliszcach domu zidentyfikowano jako Joségo Ossaria. Zginął od strzału w głowę, kaliber dwadzieścia dwa. Broń należała do niego. Legalnie. Dochodzenie trwa, ale pożar namieszał mocno, zwłaszcza że nie zgłosił się żaden świadek.

– A sąsiad Ossaria? Ten Díaz? Policja go nie przesłuchiwała?

– Powtarzam, co mi powiedziano: brak świadków. Twój botanik musiał się zmyć – wysunęła przypuszczenie Anita. – Albo ze strachu siedzi cicho. Może nawet został zlikwidowany. Może zrzucono go z samolotu.

– No tak... – przyznał, choć bez przekonania.

– Zauważyłeś, że w twoim otoczeniu ginie dużo ludzi?

W tej chwili smartfon wydał dźwięk informujący o próbie połączenia: telefonowała Jana.

– Przepraszam cię, Anita, muszę kończyć – powiedział szybko. – Postaraj się przekonać Ledesnę. Zdzwoniemy się później. – Odebrał połączenie z sercem szybciej bijącym. – Tak, Jana?

– I jak tam, asie?

– Co jest?

– Znalazłam kaprała, tego Montañęza. W archiwum wojskowym.

Rubén się skrzywił, gdy zza chmur wyrzało jaskrawe słońce.

– Co?

– Poszłam tam zaraz po południu – wyjaśniła. – Ricardo Montañez, tak się nazywa. Rok urodzenia w książeczce wojskowej pasuje do jednego z facetów, których bajerowałam wczoraj przez telefon.

Rubén rozejrzał się za odrobiną cienia przy willowej ulicy.

– Grzebałaś w archiwach armii?!



– Tam trzymają książeczki wojskowe – odparła Jana. – Sam mi powiedziałeś.

– Ale nie mówiłem, żebyś tam szła!

– A kto miał iść? Może ty? W wojsku cię nie znają, co? Założę się, że cię tam kochają. Mam rację?

Rubén kręcił głową, nie posiadając się ze zdumienia.

– Wariatka! Wyobraź sobie, że ktoś by cię przyłapał! Cholera, mogłaś mnie uprzedzić.

– O czym? Że wychodzę bez twojego pozwolenia? Nie jesteś moim ojcem, a nie po to wyrwałam się z rezerwatu, żeby słuchać byle kogo, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Nie rozumiem.

– Nieważne, i tak już po ptakach – rzekła Jana, by zamknąć temat.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Właśnie wróciłam.

– Nie ruszaj się stamtąd. Proszę.

– OK – zgodziła się. – O której wrócisz?

– Nie wcześniej jak koło ósmej. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Później ci powiem.

– Dobra...

– W każdym razie należą ci się brawa – dodał, zanim się rozłączył. – Za archiwum. Nie wiem, jak to zrobiłaś, ale wyszło po mistrzowsku.

– Nie widziałeś mnie w łóżku – pochwaliła się Jana. – Istna puma!

Rubén uśmiechnął się mimowolnie – bez dwóch zdań kompletnie porąbana dziewczyna.

---

[5] Leserzy.

## 5

Porywy wiatru szarpały woalkami pań zebranych przy rodzinnym grobowcu; panowie łapali się za kapelusze, panie za ich ramiona. Nie było dzieci, tylko jedno niemowlę, które jeszcze nie czuło strachu przed cmentarzem.

Cmentarz w Recolecte przyjmował na ostatni spoczynek kwiat kraju: prezydentów, gubernatorów, ministrów, celebrytów – aby dojść do grobu Ewy Duarte, zwanej Evitą, wystarczyło podążać śladem wiązanek. Campallowie należeli do uprzywilejowanych. Co nie było dla nich pocieszeniem. Ciężkie szare chmury zawisły po południu nad miastem, okrywając cieniem posępne twarze. Około dwudziestu osób w czerni tłoczyło się przy trumnie ze zwłokami Marii Victorii: postawny Eduardo, świeżo ogolony, w markowym garniturze; jego żona Isabel tak drobna, że ledwie widoczna pod woalką, uwieszona ramienia męża; ich syn Rodolfo w spodniach z zakładkami, z ustami tak zaciśniętymi, że ginęły w nalanej twarzy. Za nimi cisnęło się kilka zgarbionych staruszek z chusteczką zwisającą z wysuszonych palców, dwóch nastolatków wbitych w garnitury i na siłę gładko uczesanych, tak że co rusz przyglądali sobie kosmyki włosów zwichrzone przez wiatr. W pewnym oddaleniu za kręgiem rodziny wygolony na zero mięśniak, z surową miną na twarzy przysłoniętej ciemnymi

okularami, dbał o to, by trzymać z dala ewentualnych reporterów.

Eduardo Campallo postarał się, aby pogrzeb córki odbył się z zachowaniem jak największej dyskrecji już po oficjalnym zamknięciu cmentarza. Ze złożonymi rękami modlił się przy trumnie. Nie pozwolił żonie zobaczyć zwłok Marii, uznawszy, że byłoby to zbyt traumatyczne przeżycie. Ksiądz o mizernej twarzy odprawiał nabożeństwo po łacinie. Był taki chudy, że w sutannie wyglądał, jakby się kołysał na wietrze. Pokropił wodą święconą dębową trumnę. Isabel ledwie trzymała się na nogach. Ostatnia modlitwa za zmarłych, ostatnie łzy – Eduardo skinął na grabarzy, aby umieścili Marię Victorię w rodzinnym grobowcu. Wzmogły się szlochania.

Posąg generała Richieriego trzymał zbędną wartość na placyku w kształcie gwiazdy. Rubén, który przed zamknięciem cmentarza bawił się ze strażnikiem w chowanego, znalazł sobie punkt obserwacyjny kawałek dalej – przy pomniku z białego marmuru przywołującym wspomnienie „podboju pustyni” zilustrowanego raczej lichymi sztychami Indian Mapucze na koniach. Zlął z podwyższenia, kiedy zamykano grobowiec po złożeniu w nim trumny.

Pręgowany kot, który dumnym krokiem przechadzał się między grobami, przyszedł dopomnieć się o pieśczoły, obojętnie patrząc zaropiałym okiem. Rubén poklepał go po prądkowanym łebku i wszedł w boczną alejkę.

Smutni żałobnicy zaczynali się rozchodzić między szarymi krzyżami upstrzonymi mchem. Eduardo Campallo prowadził żonę pod rękę, gdy niedaleko placyku zobaczył kogoś przed sobą. Isabel, która szła ze spuszczoną głową, także go zobaczyła. Zacisnęła palce na ramieniu męża.

– Muszę z panem pomówić – rzekł Rubén do Campalla, podchodząc bliżej.

Twarz biznesmena w garniturze od Prady i wypastowanych butach wyrażała godność, smutek i rozpacz. Isabel szepnęła mu coś na ucho, Eduardo jeszcze bardziej sposepniał.

– Nie mam panu nic do powiedzenia, Calderón. Pańska obecność tutaj jest niestosowna i nieuzasadniona. Wiem o pana wtargnięciu do naszego domu – dodał, nie kryjąc złości. – Policja też wie. I uprzedzam, że jeszcze pan o mnie usłyszysz.

– A pan poczyta o sobie w prasie, kiedy dziennikarze się dowiedzą, że za dyktatury adoptował pan dwoje dzieci – ostudził go Rubén.

Ochroniarz o mocno zarysowanym podbródku, w marynarce z poduszkami w ramionach, zbliżył się do nich natychmiast.

– Jakiś problem, proszę pana?

Rubén pomachał foliowym woreczkiem jego pryncypałowi.

– To włosy pańskiej córki – powiedział ze śmiałością w oczach. – To znaczy adoptowanej córki. Marii Victorii. Porównałem wasze DNA: nie jesteście ze sobą spokrewnieni... Woli pan pogadać o tym teraz czy tłumaczyć się przed dziennikarzami?

Twarz Campalla jak woskowa maska jeszcze bardziej zbladła. Jego syn Rodolfo dochodził właśnie do placyku.

– Co się dzieje? – zapytał, widząc poruszenie.

Nie zważając na łysego goryla, który czekał na polecenia szefa, Rubén ciągnął:

– Marię Victorię najpierw uprowadzono, potem zamordowano. Ją i osoby, które się z nią zetknęły. Maria szukała swojego brata. Prawdziwego brata, Miguela Michelliniego. To nazwisko coś panu mówi czy nigdy pan nie spotkał rodziny, która wzięła udział

w podmianie noworodków?

Na chwilę zapanowała wyczuwalna niepewność. Eduardo spurpurowiał.

– Nie ma pan za grosz manier ani współczucia...

– Czytał pan raport z sekcji? – przerwał mu Rubén.

– Maria Victoria się utopiła – warknął Campallo. – To panu nie wystarczy?

– Niech pan spyta Muñoza, czy miała wodę w płucach, czy żyła, kiedy wrzucono ją do oceanu! – warknął Calderón. Miał ochotę gryźć.

– Co mi pan tu opowiada?

– Złamania są charakterystyczne. Pańską córkę wyrzucono z samolotu jak za starych dobrych czasów dyktatury. I teraz jedno z dwóch: albo o wszystkim pan wie, co by oznaczało, że większego skurwysyna niż pan ze świecą szukać, albo o niczym nie ma pan pojęcia, a w takim razie doradzałbym pogadać z przyjaciółmi.

– Nie słuchaj tego wszarza, tato – syknął Rodolfo.

Isabel jakby się kryła za plecami męża. Kilka osób otaczało teraz bizensmena.

– Maria odkryła, że nie byliście jej biologicznymi rodzicami – kontynuował Rubén. – Że jej prawdziwych rodziców porwano i zlikwidowano w czasach dyktatury. Dowiedziała się również, że ma brata, który urodził się w więzieniu. Ale to nie ty, Rodolfo – dodał, zwracając się do Campalla juniora. – Jej prawdziwego brata wymieniono po urodzeniu, bo miał niewydolność krążeniową. I właśnie jego Maria szukała, kiedy ją porwano. Miguela Michelliniego... Jak to było naprawdę? – zapytał apropiadorów. – Dzieciak był w gorszym stanie, toście się go pozbyli i wzięli sobie nowego? Ile was to kosztowało?

Rodolfo nie posiadał się ze zdumienia. Jego ojciec zaś ani mrugnął, stał skamieniały na placyku. Spod woalki Isabel spłynęła łza.

– Ty bydlaku! – warknął junior.

– Daj mu mówić – wyszeptał Eduardo.

Rodolfo z przerażeniem popatrzył na ojca.

– Córka zamierzała pana pozwać – rzekł Rubén. – Pana i pańską żonę. Zamordowano ją, zanim zdążyła coś powiedzieć. Tego jestem pewien.

Campallo w oczach miał gradowe chmury.

– Nie zabiłem córki – oświadczył drżącym głosem.

– Kto inny mógł to zrobić za pana. Maria Victoria miała dokument, który pana pogrążył – dobijał go Calderón. – Pana i osoby zamieszane w uwięzienie jej rodziców. Siedem lat odsiadki. Tyle państwu grozi jako złodziejom dzieci.

Blady jak płótno Eduardo zachwiał się na nogach.

– Co?... To prawda, tato?... Tato!

– Nie słuchaj tego diabła – odezwała się w końcu Isabel.

Campallo jakby kij połknął. Jego świat się walił. Stał bez ruchu z pustką w oczach, porażony. Tuż obok miał syna.

Rodolfo położył rękę na ramieniu przytłoczonego ojca.

– Tato?... Tato?!...

\*

Rubén wrócił z cmentarza w Recolecte napakowany adrenaliną. Rzucił rzeczy w przedpokoju i zobaczył Ledzepa wyciągniętego na plecach i pedałużącego przednimi łapkami w powietrzu. Japońskie lampy w salonie były zapalone, zasłony zaciągnięte.

– Jana?

Bez odzewu, słyszał jedynie stłumiony ruch uliczny. Nie czuł też ulotnego zapachu trawki. Przeszedł nad kotem i wbiegł po szklanych schodach – może jest w jacuzzi. Komputer na niskim stoliku był włączony, torba i rzeczy porozrzucane na kanapie, łazienka pusta. Otworzył drzwi na taras zwabiony światelkami za przeszkloną ścianą.

– Jana?

Stół był nakryty białym obrusem, stylowe talerze i sztuce rozłożone, skupiska świeczek w szklanych pojemniczkach płonęły chwiejnie w ciepłym wietrze, tu i ówdzie leżały rozrzucone płatki róż, po rzeźbiarce jednak ani śladu... Z tyłu miauknął kot, ze zjeżonym grzbietem otarł pyszczek o jego nogawkę. Gdzież ona się podziała? Ledzep biegł przed nim, gdy schodził na dół zaniepokojony. Kot miłośnie wpatrywał się w lodówkę z puszystym ogonem postawionym na sztorc. Rubén wszedł w korytarz, zobaczył uchylone drzwi do sypialni...

Nagrzane powietrze zgęstniało, kiedy znalazł się w środku. W mroku unosił się oszołamiający różany zapach, z dziesięć świeczek paliło się w pobliżu łóżka. Zastygł. Jana leżała na pościeli z zamkniętymi oczami. Miała na sobie tylko czarną koszulkę bez rękawów i zdawała się spać z rękami ułożonymi wzdłuż boków... Rubén patrzył na ciemne runo na jej podbrzuszu, na usta i ruchliwe refleksy na skórze w złotawych cieniach rzucanych przez świece. I nie śmiał się poruszyć. Usłyszała, gdy wszedł? Przez moment chciał się wycofać, wrócić trzydzieści lat wstecz do czasów przygodnych znajomości i miłosiernie składanych przysiąg, lecz ręce go nie posłuchały: same dotknęły policzków Mapucze, którą przebiegło drżenie pod wpływem tego kontaktu.

Rubén pocałował ją jak pierwszego wieczoru, czule, całym sobą.



– Twoja ślina ma smak trawki – szepnął.

Dopiero wtedy Jana uniosła powieki, uśmiechnęła się, widząc go nad sobą, i rozchyliła nogi: wargi w kroczu zdobiły trzy płatki czerwonej róży.

– Bierz mnie, zamiast pleść bzdury...

Jana nie miała wielu mężczyzn – przecież to nie zawody. Najpierw było niezręczne obściskiwanie się w młodzieńczych latach, potem zobaczyła uchylone bramy raju, kiedy Arturo, który zabrał Indiankę na stopa, gdy jechała do Buenos Aires, zaprosił ją do siebie na upojną noc we dwoje tym piękniejszą, że jedyną przed przyjazdem do stolicy, gdzie Jana zderzyła się z murem rzeczywistości: w kraju trwał kryzys i każdy radził sobie na miarę swoich możliwości. Furlan capnął ją jak jabłko przedwcześnie spadłe na zrujnowane pole i pożarł niedojrzałe. Później byli jeszcze dwaj faceci – student na wernisazu i pięćdziesięcioletni konserwator muzealny, który zaprosił ją na kolacyjkę do Taberna Basca w San Telmo, a potem uprzejmie zaproponował spędzenie nocy w hotelu – byli jak muszelki znalezione na dnie kieszeni, wspomnienia usuwane prawie niepostrzeżenie.

Choć Jana stwarzała wrażenie dzikiej kocicy, w gruncie rzeczy była sentymentalna. Nie, jej spotkanie z Rubénem nie miało w sobie nic ze zrzędzenia losu. Zrzędzenie losu było niczym szczęście, było sloganem *winka*. Bezwolność elit i dyktat finansjery rzuciły ją żywą do rynsztoka świata, tam gdzie szczury cisnęły się w kolejce, aby nauczyć ją, jak mieć dziewiętnaście lat, lecz studentka wzniosła wokół siebie zasieki, aby nikt nie naruszył domostwa, w którym dorastać miała Miłość. Dla tego wyimaginowanego ogniska oddałaby wszystko, nawet swoje rzeźby.

Jeszcze się tliło w cieniu świeczek, przy których ich znużone ciała

dochodziły do siebie po podróży. W pomiętej pościeli Jana widziała dziwne kształty, zwierzęce uszy, stare ludziki, lodowce takie jak ona, wszystko skotłowane. Dopiero co skończyli się kochać, ślady tego były wszędzie; wewnątrz ud miała wilgotne, ciężkie gwiazdy wisiały na suficie, różane płatki leżały porozrzucane wśród soków ich miłości. Jana obawiała się tego zbliżenia, bo pierwsze wrażenie jest najważniejsze, lecz Rubén objął gładkimi rękami jej nogi, pogładził jej włosy jak jedwabistą sierść zwierzęcia i pieścił ją łakomie: kostki u nóg, zgięcie kolan, pachwiny, wargi, *winka* lizał ją, kreśląc językiem drobne koncentryczne kółeczka i taktownie omijając piersi, jego miękki język prześliznął się wzdłuż jej ramion, pach, szyi, sięgnął ucha, co ją zelektryzowało. Rubén podniósł się następnie, aby skosztowała jego męskości tak nabrzmiałej, że zaraz złąkniona rozkoszy przyjęła ją w siebie.

Resztki smutku się rozwiewały. Hipnotyzujące suwanie członkiem po łechtaczce, jego szept i oczy, kiedy w nią wchodził, jedwabiste ruchy, cierpliwe oczekiwanie, aż ona dojdzie, dojście – Janie wszystko się podobało. Teraz noc zapadała za zasłonami sypialni, a ona na wygniecionej pościeli marzyła o dziwnych rzeźbach, świat urósł o jedną trzecią, wystawał nawet ze wszystkich stron. Leżała obok niego, smakując ciszę, która ich spowijała w półmroku szpanerskiej sypialni należącej do kogo innego. Takich emocji nie znała, to było coś nowego w porównaniu z przeszłością – jeszcze nigdy z miłości albo bez niej nikt jej w taki sposób nie kochał...

– Powiedz, działałam na ciebie, co? – odezwała się wreszcie, by przełamać krępującą ciszę.

Rubén się uśmiechnął. Leżał z prześcieradłem naciągniętym na tors. Wstydlawy?... Zauważyła dziwne ślady na jego ciele, lecz nie

pora było o tym mówić.

– Zgłodniałeś? – spytała.

– Ba!...

– Przygotuję coś, a ty się zdrzemnij.

– OK.

Jana wyskoczyła z łóżka, naciągnęła szorty i koszulę na obcisłą bluzkę bez rękawów, której nie zdjęła.

– Za dziesięć minut będzie!

Pobiegła do kuchni, zostawiając go w sypialni. Zaraz Ledzep wskoczył na łóżko, przytulił pyszczek do twarzy Rubéna i zaczął mrużyć jak parowiec płynący w górę Missisipi.

– Kurczę... – burknął Calderón, otrzepując twarz. – Wszędzie sypiesz kłakami.

Kotu jednak obojętne było jego zdanie.

Kiedy Rubén wyszedł spod prysznic, w salonie rozbrzmiewały ostre hałaśliwe dźwięki „Beat’em up” Iggy’ego Popa. Znalazł Janę na tarasie, gdzie nakryła stół. Miała delikatny makijaż – pierwszy raz. Ruban usiadł przed dymiącym talerzem.

– Co to?

– Nie mam pojęcia – odparła.

Produktom makrobiotycznym, którymi wypełniona była lodówka piosenkarza, brakowało charakteru. Ledzep siedzący na brzeжку stołu również bez przekonania przyglądał się zawartości talerzy. Rubén odkroił kawałek kotleta z soi i zaczął opowiadać, co osiągnął tego dnia. Różane płatki na obrusie przywodziły wspomnienie tego, co razem niedawno przeżyli, noc była ciepła, sąsiedzi niewidoczni za bambusową przegrodą, która chroniła oboje przed światem. Jana wysłuchiwała relacji, odżyła w niej nadzieja na wieść o ustaleniu danych pilota, potem ona opowiedziała o swojej akcji

w gmachu marynarki. Kiedy mówiła o odejściu wartownika od drzwi archiwum, udanej ucieczce z paszczy lwa i powrocie autobusem z książeczką wojskową Montañeza, zaokrąglone oczy Rubéna wyglądały jak ślepia Ledzepa patrzącego na nich z brzegu stołu.

– A gdyby cię przyłapali? – zbeształ ją.

– Jak psa przy szperce?

– Ciii...

Jana zgrywała się teraz, ale w życiu tak się nie bała jak wtedy. Rubén otworzył książeczkę wojskową, którą ukradła. Na zdjęciu widniał pryszczaty puciołowaty chłopak: Ricardo Montañez służył w Campo de Mayo, później wstąpił do ESMA (5 stycznia 1976 roku), którą opuścił po wygaśnięciu kontraktu w listopadzie tegoż roku w stopniu kaprała. Wszystko się zgadzało: data urodzenia, data przejścia... Jana miała jego namiary z książki telefonicznej: Ricardo Montañez był aktualnie właścicielem hotelu La Rosada w Rufino (brak strony internetowej), w którym najwyraźniej też mieszkał.

– Warto by przepytac faceta, nie? – zauważyła Jana.

Rubén przytaknął w zamyśleniu. Centrum Antropologii Sądowej w Rivadavii potwierdziło genetyczne pokrewieństwo Marii Campallo i Miguela Michelliniego, lecz porównywanie ich DNA ze zinwentaryzowanym DNA anonimowych szczątków odkrytych w zbiorowych mogiłach na razie nie dało żadnego efektu. Jeżeli zaginieni rodzice zostali zlikwidowani w trakcie „przewożenia”, tylko Montañez i oficer, który dowodził akcją, znali miejsce ich pochówku. Odnalezienie szczątków zamordowanego małżeństwa pozwoliłoby dowieść ich pokrewieństwa z Marią i Miguelem, a wtedy Eduardo Campallo i jego żona musieliby się przyznać do

kradzieży dzieci, potwierdzając tym samym autentyczność karty więziennej, nawet niepełnej, Samuela i Gabrielli Verónów.

Rufino, zapadły kąt na pampie. Jana podjęła ogromne ryzyko, lecz wykonała kawał dobrej roboty.

– Pisco sour? – zaproponowała.

Rubén wyrwał się zamyślenia. Wyciskacz, cytryna, cukier, shaker, alkohol, jajko – Jana przygotowała wszystko na jednym końcu stołu.

– Pójdę po lód – odezwał się, wstając.

– Jest tu.

Faktycznie – stał w kubełku pod roślinami w donicach. O wszystkim pomyślała. Zaczęli razem przygotowywać koktajl, potem napełnili kieliszki alkoholowym musem, tręcili się, pijąc za ten szczególny dzień. Bambusy miękko się kołysały na wieczornym wietrze, który powiewał między budynkami. Opadało z nich napięcie. Wypili drinki i zapomnieli o dochodzeniu, o tym, co im groziło. Resztki sojowych smakołyków oddali Ledzepowi, po czym zapalili, by wzmocnić upojenie. Nad tarasem zapalały się kolejne gwiazdy. Rubén uświadomił sobie, że nic nie wie o Indiance.

– Gdzie się wychowałaś? – zapytał z ławki naprzeciwko Jany.

– W Chubucie.

– Na terytorium Mapucze?

– Tak... – Podniosła ze stołu różany płatek, w skupieniu rwała go na kawałeczki. – Ale wyrzucono nas z naszych ziem – dodała. – Włoska spółka wielonarodowa...

– United Colors?

– Tak. Pewnie nasz kolor nie był odpowiedni... – Pod ironią nie zdołała ukryć goryczy.

– Dlatego przyjechałaś do Buenos Aires?

– Nie. Z powodu rzeźb – odparła. – Kiedy byłam małą, *machi*, szamanka wspólnoty, która nas przyjęła, zachęcała mnie do rzeźbienia swoich marzeń. I tak to się zaczęło: od wycinania w drewnie araukarii tego, co mi się śniło... Szkoła plastyczna przyszła później.

Jana mówiła powściągliwie – śliski temat.

– Ta *machi* nie chciała ci przekazać swojej wiedzy? – dopytywał Rubén.

– Nie, moja siostra się od niej uczy... Ale to inna historia. Chronienie mapuczańskiej tożsamości co innego znaczy dla nich, co innego dla mnie. Mnie z ziemią łączy siła nie tak organiczna. Ja używam symboli, materiałów... Interesuje cię to?

– Masz mnie za jakiegoś ćwoka?

Uśmiechnęła się.

Niewielu Argentyńczyków wiedziało, jakie jest położenie tych, których uparcie nazywano „Indianami”. Jana opowiadała o świecie nędzy i nieufności, o wioskach zagubionych na pogórzcu andyjskim, gdzie cywilizacja sprowadzała się do paru traktorów, o skorumpowanych czasem radach plemiennych, które po kawałku wyprzedawały ziemię przodków z trudem odzyskane, o świecie, w którym bojownicy znikali albo ginęli i nikt nie dociekał, co się z nimi stało, o świecie ludzi, którzy nikogo nie obchodzili. Rubén słuchał, czujnie wychwytyjąc zmiany w jej głosie świadczące o narastających emocjach. Jana nie czekała na Furlana ani kurs historii sztuki, aby zrozumieć, że kultura mapuczańska ma swoje miejsce pośród innych kultur: dla niej afirmacja tożsamości i wiedzy ludu Mapucze była nie tyle możliwością zaistnienia innego świata – skoro pieniądz stał się bronią masowego rażenia, świat ów właściwie był już martwy – ile zawartym z ziemią paktem

o stawianiu oporu. *Winka* ukradli ziemię Mapucze, ale nic nie pojmowali z nieprzerwanego dialogu, który łączył ich ze światem. Ich ignorancja będzie dla niej elementem kluczowym.

Rubénowi stanęła przed oczami monumentalna rzeźba w pracowni Jany. Wszystko zaczynało mu się układać w całość.

– Nie korciło cię, żeby wrócić do swojej wspólnoty?

– Nie... – Pokręciła głową. – Nie.

– Dlaczego?

Jana zgmiotła w palcach ostatni płatek róży.

– Bo ciężko z niej odejść. Poza tym tak jak powiedziałam: to zupełnie inna historia...

Jej oczy posmutniały, były takie jak wtedy, gdy zapukała do jego drzwi. Coś przed nim ukrywała. Może coś fundamentalnego.

– Mogę się położyć z głową na twoich kolanach? – spytała.

Rubén przesunął się, by zmieścić się na ławce. Kieliszki były puste, wiatr po północny ochłodził się znacznie. Jana paliła zapatrzona w gwiazdy, głowę opierając na jego udach. Nazajutrz czekał ich ciężki dzień z długą jazdą do Rufino, lecz żadne nie miało ochoty na sen.

– A ty nigdy nie myślałeś, żeby się ożenić, Sherlocku? – rzuciła naraz lekkim tonem. – Nie chciałeś mieć dzieci?

Rubén wzruszył ramionami.

– Była jakaś kobieta w twoim życiu?

Siostra.

– Nie. Kobiety nie było... Znaczy nie w tym sensie, o jaki pytasz.

– A facet?

Pogłaskał ją po policzku.

– W agencji masz ogłoszenia o poszukiwaniu różnych osób i osobno zdjęcie młodego brodacza z kumplami pod wieżą Eiffla –

ciągnęła. – Kto to? Twój ojciec?

Sepiowa twarz Daniela Calderóna z towarzyszami broni – innym argentyńskim poetą oraz wydawcą na wygnaniu, który nadal publikował jego wiersze w przekładach.

– Tak. To jego ostatnie zdjęcie. Dostałem je od paryskiego wydawcy... Ojca zgarnięto, kiedy wrócił z Francji.

– Tak, czytałam o tym... Czemu zostałeś detektywem? Żeby go pomścić?

– Pomszczenie zmarłych nie przywróci ich do życia – odpowiedział Rubén wymijająco.

– Żywym nie zawsze dobrze się wiedzie.

– To prawda...

Świeczki gasły jedna po drugiej. Jana uniosła głowę – po ciemku trudno było zobaczyć, czy mówi o sobie. Ona miała przodków, on zaginionych. I oboje uganiali się za tym samym: za duchami. Mając ojca poetę takiego kalibru, pomyślała, Rubén na pewno lubi opowieści. Opowiedziała mu więc historię Selknamów, krewniaków patagońskich olbrzymów, od których się wywodziła dzięki swej prababce Angeli, ostatniej przedstawicielce tego ludu Ziemi Ognistej. Opowiedziała mu o jej pomarszczonych starych dłoniach, które gładziła w dzieciństwie, o nożu przodków i tajemnicy hainu, którą staruszka wyjawiała jej na łożu śmierci... Otóż rytuał hain był istnym teatrem kosmogonicznym, przedstawieniem wykonywanym przez mężczyzn, by straszyć kobiety i utrzymać nad nimi władzę. W tym celu Selknamowie wcielali się w fantastyczne postacie, przywdziewając niesamowite przerażające stroje duchów, które zaludniały ich mitologię i zmieniały ludzi wręcz nie do poznania; pewne postacie okazywały się gwałtowne, inne śmieszne lub obsceniczne. Nie mając pojęcia, że to mężczyźni w przebraniu,



kobiety reagowały stosownie do postaci, wyśmiewały je albo przygarniały do siebie dzieci. Najstarsze odrywano od matek i poddawano piekłu trwającemu trzy dni – były poniżane, bite, ścigane po śniegach i lasach przez najpotworniejsze duchy. W tym kosmogonicznym teatrze Janę fascynowała szczególnie Kulan, „straszna kobieta”. Jako duch z ciała i kości Kulan zstępowała nocami z niebios, by dręczyć swe męskie ofiary: mężczyźni zapowiadali ją śpiewem, kobiety i dzieci kryły się przed nią. Duch Kulan, młodej i szczupłej, uosabiał kloketen, dziecko lub dorastająca dziewczynka bez piersi, z twarzą ukrytą za dziwną stożkową maską, ciałem obwiązany białą szarfą aż do osłoniętego przepaską krocza. Kulan porywała nocą mężczyzn, by uczynić z nich niewolników seksualnych, trzymała ich tydzień albo dłużej nie wiadomo gdzie. Kobiety zносиły do niej modły, lecz apetyt zmory był nienasycony: mężczyźni wracali do obozowiska, chwiejąc się na nogach, wycieńczeni, umęczeni wymaganiami Kulan, która karmiła ich samymi jajkami, z włosami pokrytymi niebiańskimi odchodami...

Rubén z uśmiechem głaskał głowę Jany na swoich kolanach, smakując magię tej chwili, której ulotności oboje byli świadomi.

– A tajemnica na czym w końcu polega? – zapytał.

– Tajemnica hainu? Dowiesz się następnym razem.

Jej oczy przyćmiewały gwiazdy.

– Czyli nie rozstajemy się, jak rozumiem – stwierdził Rubén.

– Nie... – Jana już się nie uśmiechała. – Nie – powtórzyła. – Nie rozstajemy się...

Już nigdy.

## 6

– Montañez. Mówi panu coś to nazwisko? Ricardo Montañez.

– Do licha, nie. Kto to?

– Były kapral powiązany z ESMA – odpowiedział Luque. – Montañez służył tam w siedemdziesiątym szóstym i właśnie powiadomiono mnie, że jego książeczka wojskowa zniknęła. Ktoś bezprawnie wtargnął do archiwum marynarki, Indianka, jak wynika z monitoringu. Jana Wenchwn. Zostawiła dowód w recepcji. Nie notowana przez policję. Wenchwn. To nazwisko też nic panu nie mówi?

– Nie – odparł jego rozmówca.

– Podejrzewamy, że uciekła z Calderónem. Nie wiem, na co jej potrzebna ta książeczka wojskowa, ale ponieważ Montañez służył w ESMA, pomyślałem, że to pana zainteresuje.

– Hm... Dobrze pan zrobił.

Torres zastanawiał się, trzymając słuchawkę przy uchu. Calderón pracował dla Matek z Plaza de Mayo, a te wścibskie baby potrafiły poruszyć niebo i ziemię. To w ich stylu.

– A wie pan, co się dzieje z tym Montañezem? – zapytał.

– Z pierwszych ustaleń wynika, że prowadzi hotel w Rufino. To taka dziura przy krajowej „siódemce”. Pozostaje sprawdzić, co ma do powiedzenia.

Na łączach zapadła wymowna cisza. Linia była zabezpieczona przed podsłuchem, zagrożenie niewielkie. Komendant policji nabrał odwagi.

– Czy mam powiadomić...

– Nie, nie – przerwał mu Torres. – On o niczym nie wie. Uprzedzę generała. Jeśli ktoś zna Montañeza, to tylko on. Odezwę się później.

– Rozumiem.

– Do widzenia.

– Do widzenia.

Fernando Luque odłożył słuchawkę zamyślony. Przez Torresa siedzi teraz w gównie po samą szyję i nic nie może zrobić. Dowódca elitarnej policji włączył interkom.

– Sylvio, proszę mnie połączyć ze służbą celną...

\*

Za ostatnimi przedmieściami Wielkiego Buenos Aires wiatr owiewał równiny, pampero gauczów. Ongiś były tu tak wielkie stada, że kiedy przyływały wrogie statki, mieszkańcy Buenos Aires wypuszczali bydło, aby ze zwierząt stworzyć wał obronny. Pampa, na której stada ciągle wypasano, ciągnęła się aż po Andy na przestrzeni tysiąca kilometrów, „pejzaż bez kształtu ni wyrazu, jednostajnie nudny, coś jak przedstawienie nicości”, który według pisarza Ernesta Sábato karmił metafizyczną wyobraźnię literatury argentyńskiej. Już konkwistadorzy daremnie szukali bajecznych kopalni srebra, o których mówiły legendy i które dały nazwę temu płaskiemu eldorado – Argentyna, pustkowie łąk i jezior przecięte dzisiaj asfaltową szosą bez widocznych zakrętów.

Na drodze krajowej numer 7 Rubén rozmyślał o swoim ojcu,

wypatrując widocznych z dużej odległości świateł ciężarówek. Jana drzemała na siedzeniu obok, kilometry umykały. Detektyw co jakiś czas zerkał w lusterko wsteczne. Niedawno, opuszczając prowincję, minęli kontrolę policyjną. Funkcjonariusz na motocyklu poprosił o dokumenty samochodu, zapisał ich nazwiska i pozwolił im jechać dalej. Broń mieli ukrytą pod siedzeniem, rzeczy osobiste w bagażniku wraz z zakupami zrobionymi rankiem w centrum handlowym na przedmieściu. Jeszcze czterysta kilometrów do Rufino. Rubén palił przy opuszczonej szybie kołysany mrużeniem silnika. Jana obudziła się w końcu, jeszcze nie całkiem przytomna oparła nogi w glanach na schowku.

– I jak?

Słońce świeciło w zakurzoną przednią szybę, łąki ciągnęły się jak okiem sięgnąć, zielony ocean usiany ciemnymi krowami.

– OK – odparł półgębkiem.

Kiedy drzemała z głową opartą o drzwi, przyśnił się jej Miguel. Wspomnienie snu zostawiło jej wstrętny smak w ustach.

– Napiłabym się kawy – powiedziała po chwili.

Niedaleko przy drodze pojawiła się akurat stacja benzynowa.

Zatankowali benzynę, podczas gdy ciężarówki stały w kolejce do dystrybutora z olejem napędowym, rozprostowali nogi, oglądając naczepy. Wiatr niosący pył zamiatał pole manewrowe nagrzane słońcem stojącym w zenicie.

– Zmienię cię za kółkiem – powiedziała Jana, pragnąc się otrząsnąć ze snów.

– Może później.

– Prowadzę lepiej niż ty – zażartowała, jak zwykle w czarnej koszulce bez rękawów.

Rubén nie przejmował się samochodami. Jego hyundai jeździł

dobrze i to mu wystarczało. Położył palec na ustach Indianki, przekazując zostawione na nim pocałunki dla niej.

– Na co masz ochotę? – spytał.

– Zgadnij.

W barze na stacji śmierdziało zimnymi frytkami. Napili się kawy z automatu, obserwując nędzną norę, w której rozprawiali kierowcy ciężarówek, pocałowali się ukradkiem po drodze do toalety, potem spotkali się w sklepiku. Zapłacili za paliwo w kasie, przy której leżały sterty czekoladowych paskudztw, wzięli jeszcze w miarę świeże empanady zapakowane próżniowo. Siedzieli na zewnątrz pod pożółkłym reklamowym parasolem, kiedy Rubén otrzymał esemesa od Anity. Lakonicznego. „Stary się zgadza”.

– Co to znaczy?

– Że niedługo będziemy mogli namierzyć komórkę Del Pira, tego pilota.

Dziesięć minut później Jana już orzeźwiona siadła za kierownicą. Do odtwarzacza włożyła płytę Jesusa Lizarda pożyczoną z mieszkania Jo Prata, wyjechała na szosę i podążyła śladem ciężarówek, które wyziewami z rur wydechowych przyciemniały lazur nieba. „Goat”. Chacabuco, Junín, Vedia, miejscowości jedna po drugiej przemykały wzdłuż krajowej „siódemki”.

\*

Miasteczko Rufino, miejsce przystanku na drodze do Mendozy, żyło powoli, w rytmie wakacyjnym. Przetwórnia soi z dymiącymi kominami stanowiła główne źródło aktywności, poza tym było tam kilka stacji benzynowych, na których tłoczyły się opasłe naczepy, parę sklepów z wystawami jak z Dzikiego Zachodu i dwa hotele przy głównej ulicy, niemal pustej mimo zapadającego sobotniego

wieczoru. Żaden nie nazywał się La Rosada. Z obolałymi plecami po długiej jeździe Jana i Rubén zjedli kolację w restauracji hotelu, który wyglądał na mniej przygnębiający. Młoda kelnerka zdawała się śmiertelnie znudzona, dekoltem i wysoko podciągniętym biustem sugerowała, że marzy, by ktoś ją wyrwał z marazmu. Według niej La Rosada leżała przy wyjeździe z miasta, za rondem, skąd był zjazd na drogę krajową. We wzroku dziewczyny, początkowo uprzejmym, pojawiło się rozgoryczenie...

Podziurawiona asfaltowa uliczka prowadziła na północ. Idąc za wskazówkami kelnerki, minęli stację BP o wyblakłych kolorach i przejechali jeszcze kilometr. Szyld La Rosady pojawił się wkrótce między krzewami, nędzna tablica, na której strzałki zdawały się pochodzić z czasów powrotu z San Martín. Jana zaparkowała hyundaia na zwirowym podwórzu. Na tyłach budynku ciągnął się szereg pustych boksów na samochody, jeden z nich zasłonięto niebieską plastikową plandeką. Wysiedli i rozejrzeli się, na próżno szukając wejścia do hotelu.

– Dziwne miejsce – rzekła Jana.

Rubén wychylił się ku zasłoniętemu boksowi, zauważył koła samochodu wystające spod plandeki.

– Dobry wieczór! – rozległo się za ich plecami.

Odwrócili się: zmierzał ku nim mężczyzna o zrytej bruzdami twarzy. Miał na sobie dziurawy wełniany sweter rozszerzający się ku dołowi, na krótkich nogach powypychane spodnie od dresu i zniszczone sandały na stopach w poprzecieranych skarpetkach każda od innej pary. Obrzucił wzrokiem Indiankę i białego, uśmiechnął się, odsłaniając zęby w nie najlepszym stanie.

– We dwójkę? Sto pięćdziesiąt za pokój – oznajmił pewnym głosem. – Za pół godziny! – dodał z dobrodusznym mrugnięciem.

Czarny z brudu paluch wystawał mu z zielonej skarpetki. Jana i Rubén przyglądali się podejrzliwie facetowi, lecz nie dał się zbić z tropu.

– Jak chcecie zostać godzinę albo dłużej, dogadamy się co do ceny. No, niech będzie moja strata – mówił jowialnie. – Sto peso!

Jana obejrzała się na otwarty boks, zobaczyła nalepkę w kształcie czerwonego serca przyklejoną byle jak taśmą do drzwi w głębi, które pewnie prowadziły do milusiego pokoiku... La Rosada była domem schadzek dla kierowców ciężarówek i niewiernych mężów, którzy zajeżdżali tutaj, by złamać monotonię rozległych równin.

– Pan jest Ricardo Montañez? – spytał Rubén, krzywiąc się.

– E, nie! – odparł niedomyty karzeł. – Montañez to szef, a ja tylko prowadzę boksy. Paco jestem. Co do pokoju możemy się dogadać – ciągnął, szczerząc spróchniałe zęby. – Dwieście peso za całą noc pasuje?

Paco na głowie miał perukę, ale tak prymitywną, że bardziej przypominała czapkę. Ciemne worki pod oczami nadawały mu wygląd smutnej pandy, w głowie jakby miał bambusową sieczkę.

– A gdzie szef? – spytał opryskliwie Rubén.

– Gdzie ma być? U siebie. – Paco wskazał dom za drzewami.

W zmierzchu zapalały się światła częściowo ukryte za gęstym żywopłotem. Kierownik przydrożnego burdelu obrzucił wzrokiem Indiankę, napotkał spojrzenie wysokiego bruneta, który rozglądał się dokoła, i zaryzykował:

– Pięćdziesiąt! Pięćdziesiąt peso za godzinę!

Tępak. Rubén złapał upierdliwca za oszywkę szmaty, która pełniła rolę swetra, i warknął mu w przepitą mordę:

– Idziesz z nami, Don Juanie.

– Hej! Nie możecie iść do pana Montañeza! – wykrztusił przyduszony Paco, którego Rubén ciągnął po żwirze. – To teren prywatny! Hej! Teren prywatny!

– Zamknij się, mówię.

Zobaczyli niedużą posesję, parterowy domek obrośnięty bluszczem, niewidoczny z drogi. Girlanda lampionów i glicynia zdobiły wejście, okna były pozamykane.

– Montañez ma żonę, dzieci?

– Rozwiedziony chyba.

– Co za biznes prowadzi?

– Hotel!

– I co jeszcze?

– Nie wiem... – wybełkotał kierownik boksów. – Pokoje... Ja się zajmuję tylko pokojami!

Nocny ptak zaczął w gałęziach. Rubén popchnął faceta na podest i podał Janie czterdziestkępiątkę.

– Gdyby ten wszarz próbował uciec, strzel mu w nogę.

– OK.

Paco rozejrzał się wokół niczym mewa, która na plaży znalazła porzucony łup.

– No co wy? Odwaliło wam?... Co chcecie...

– Drugą kulkę dostaniesz w dupę, jak się będziesz zgrywał na chojraka – syknął Rubén. – Dzwon!

Pacowi drżały krótkie nogi w dresie. Nacisnął dzwonek kilka razy. Z dala od czasu do czasu dobiegał warkot ciężarówki, pod glicynią fruwały owady. Nikt nie podchodził do drzwi – były otwarte. Rubén popchnął przed sobą karła w peruce, kazać mu stulić pysk. Ciemny korytarz oświetlony świecami prowadził do dwuskrzydłowych białych drzwi ozdobionych złożonymi reliefami.



Pachniało tam jaśminem, płomyki świeczek tańczyły. Paco szedł drobnym kroczeniem po różowym marmurze, rozsiewając smrodliwą woń. Zza złotych szerokich drzwi dobiegał szmer głosów: kobiece przeciągłe pojękiwanie przerywane ekstatycznym pokrzykiwaniem, którego z niczym nie dało się pomylić. Dwuskrzydłowe drzwi zamknięte były na klucz. Rubén potężnym kopniakiem wyłamał zamek i mocno pchnął obszarpańca na środek pokoju.

To nie było sekcyparty notablów Rufina ani nawet orgietka z luksusowymi prostytutkami opłacanymi od westchnienia: Ricardo Montañez był sam w pomieszczeniu, goły jak go Pan Bóg stworzył, z szampanem w kubelku z lodem w zasięgu ręki. Ogromny ekran połączony z komputerem stał naprzeciw bąbelkującego jacuzzi pod głośnikami, z których wychodziły gromkie dźwięki orgazmu. Na ekranie w rozmiarze XXL wyginała się dziewczyna w pończochach na pasku, z wilgotną łechtaczką i wygolonym podbrzuszem w standardowym pokoju domu schadzek. Montañez jako miłośnik cyberseksu łączył się z performerkami wyspecjalizowanej strony internetowej – w cenie pięćdziesiąt peso za dziesięć minut dziewczyny oferowały stymulacje seksualne wszelkiego rodzaju: na żądania klientów odpowiadały, wystukując krótką odpowiedź na klawiaturze i dla formy wyrzekając. Montañez ujrzał swego pracownika na czworakach na akrylowych skórkach zwierzęcych i towarzyszącą mu parę. Zareagował dopiero po chwili zaskoczenia.

– Czego tu szukacie? – ryknął. – To... to prywatny pokój!

Po tylu latach biznesowych obiadków mleczne ciało Ricarda Montañeza, wysmarowane teraz wonnymi olejkami, zdążyło zwiotczeć, tłusty brzuch niemal zasłaniał mu chłopięce prącie: prącie pozbawione owłosienia, prącie dziesięciolatka.

Rubén ruszył w jego kierunku, Jana tymczasem wyłączyła

dźwięk. Zawstydzony i rozwścieczony Montañez wyprostował się i rzucił do szlafroka leżącego na łóżku, aby okryć przyrodzenie.

– To... to pogwałcenie prywatności! – żołądkował się.

Ricardo Montañez od żołnierskich czasów przytył dobre pięćdziesiąt kilo, na pewno jednak był kapralem, o którego im chodziło.

– Posłuchaj, grubasku – zaczął Rubén, stając przed nim. – Prowadzę dochodzenie w sprawie podwójnego morderstwa popełnionego w czasach dyktatury. Chodzi o Samuela i Gabriellę Verónów. Wiem, że służyłeś wtedy w ESMA, wiem też, że brałeś udział w przewożeniu tych dwojga i w zamordowaniu ich. We wrześniu siedemdziesiątego szóstego. Małżeństwa, któremu ukradziono dzieci.

– Co... coś pan za jeden? – Montañez spurpurowiał. Rozejrzał się wokół, lecz widział tylko sprośny przekaz wideo i ogłupiałego pracownika.

– Nie licz, że ktoś ci pomoże – uprzedził Rubén.

– Ale...

– W dupie mam twoje problemy seksualne, Montañez. Chcę się tylko dowiedzieć, jak się nazywa oficer, z którym byłeś tamtej nocy, i gdzie pogrzebaliście zwłoki.

Tłuścioch mocniej otulił się szlafrokiem, kompletnie zdetonowany.

– Będziesz gadał czy mamy ci pociąć fiutka? – ponagliła go Indianka.

– To nie ja... – wyjąkał. – Ja... ja byłem tylko szoferem... To stara historia...

– Nie dla nas. Jak się nazywał oficer, który przewoził Verónów?

Montañezowi pot spływał grubymi kroplami po natłuszczonej

skórze. Rubén złapał go za kołnierz szlafroka.

– Słyszałeś pytanie?

– Ja nic nie wiem! – wyjęczał grubas. – Nic mi nie powiedzieli... Oficer... on nie był z ESMA. W każdym razie nigdy o nim nie słyszałem. Ja nic nie wiem, przysięgam!

– Gdzie pogrzebaliście ciała?

– Nie... nie pamiętam.

– Gdzie?! – Poddusił go lekko.

– W Andach... niedaleko granicy chilijskiej.

– Gdzie w Andach?!

– Na przełęczy... – wykrztusił były kapral. – Nic więcej nie wiem!

Paco wycofywał się ku drzwiom, z przerażeniem patrząc na szkarłatnego szefa, którym ten brunet tak poniewierał.

– Hej, ty! Ani kroku dalej! – syknęła Jana, wymierzając mu kopniaka.

– Na przełęczy... – wystękał szef. – Na szlaku do Puente del Inca... Tam... gdzieś tam!

Montañezowi zaczynało brakować tchu. Rubén go puścił.

– Zaprowadzisz nas tam – oznajmił ponurym głosem.

– C...co?

– Na przełęcz, gdzieś ich pogrzebał.

Montañez drżał na całym ciele, które jakby wklęzło.

– Co takiego?!... Przecież... to tysiąc kilosów stąd! – powiedział, poprawiając wymięty kołnierz kimona.

Rubén zmierzył wzrokiem faceta z chłopcym fiutkiem rozdygotanego w jedwabnym szlafroku.

– Ubieraj się, stary.

Jana prowadziła, podczas gdy Rubén z tyłu wyciągał z gościa, co się dało. Przycupnąwszy w rogu kabiny, Montañez albo wystraszony

pogrózkami detektywa, albo skwapliwie wykorzystując okazję, aby sobie ulżyć po tylu latach milczenia, opowiedział całą swoją historię.

Wychował się w tych stronach, pomysłu na życie nie miał, a jedynym jego dyplomem było prawo jazdy na samochody ciężarowe (jego ojciec też był kierowcą ciężarówki), toteż jako dziewiętnastolatek pod wpływem impulsu zaciągnął się do wojska, co miało efekt bumerangu. „Koty” nie miały wyboru: kto nie wykonywał rozkazów, nawet jeśli mu się nie podobały, przelatywał na drugą stronę barykady. Ricardo najpierw trafił do Campo de Mayo, które przez swoje polowania na „wywrotowców” stało się dużym obozem koncentracyjnym, potem dostał przydział do ESMA jako szofer. Wyznaczono go do wywiezienia pary więźniów, nie miał pojęcia, że to misja specjalna. Nie wiedział, kim są więźniowie, którym na czas podróży podano narkotyk, pamiętał jednak jazdę bez końca, częściowo także nocą, aż dotarli do gór. Jechał z nim oficer, pułkownik, ale się nie przedstawił. Montañez prowadził furgon, nie zadając pytań. Kiedy dotarli do stóp Andów, oficer powiedział, że teraz on będzie prowadził, a Montañez ma naciągnąć na głowę kaptur, taki sam, jakie nakładano wywrotowcom, i siedzieć cicho. Jechali bez słowa godzinę, może dwie, aż dotarli do samotnego gospodarstwa gdzieś w głębi doliny. Montañez pomógł pułkownikowi wyprowadzić z furgonu tych dwoje, którzy akurat się obudzili. Ręce mieli związane na plecach, mężczyzna był zarośnięty, ubrana w sukienkę kobieta w opłakanym stanie, tak że ledwie szła. Ktoś czekał na nich w gospodarstwie. Pułkownik wszedł do środka z więźniami, Montañez został w furgonie, odmrażając sobie jaja. Wszyscy troje wrócili godzinę później. Ricardo na powrót wdział kaptur, wciąż bez słowa, i odjechali

w noc. Chyba po jakiejś godzinie pułkownik zboczył w krętą drogę i wkrótce zatrzymał samochód na zupełnym pustkowiu.

Więźniowie dygotali ze strachu, kiedy ich wyprowadzali z auta. Oficer z rewolwerem w ręce kazał im kopać własny grób, ale odmówili. Ostatecznie ta robota spadła na Ricarda. Odpowiedzialny za wykonanie zadania pułkownik osobiście zabił wywrotowców strzałem w potylicę, najpierw kobietę, potem brodacza... Po czym rozkazał Montañezowi sięść za kierownicą i trzymać gębę na kłódkę, jeśli nie chce ściągnąć na siebie kłopotów. Co też Montañez uczynił. Armię opuścił dwa miesiące później, gdy skończył mu się zaciąg, i osiadł w rodzinnych stronach z nadzieją, że nigdy więcej nie usłyszy o tym okresie swojego życia.

Były szofer wojskowy pocił się teraz na tylnej kanapie hyundaia, policzki mu się trzęsły, kiedy samochód podskakiwał na wybojach. Rubén dręczył go dalej pytaniami:

- Dali ci kasę, żebyś cicho siedział?
- Nie.
- Za co kupiłeś ten zapchlony hotel?
- Rodzice pomarli... Zostawili mi trochę oszczędności.
- Na pewno później widziałeś jeszcze tego pułkownika.
- Nie. Nigdy. On nie był z ESMA, na sto procent!
- Opisz go.
- Wysoki... gęste czarne włosy... Wtedy był dość młody, koło czterdziestki... To było tak dawno, nie pamiętam.
- No dobra. Miał jakieś znaki szczególne?
- Nie... nie... Nie widziałem go nigdy wcześniej ani później. Chcę zapomnieć o tamtym czasie i...
- Opisz miejsce egzekucji.
- Na szlaku do Puente del Inca... Pamiętam czarne skały wzdłuż

drogi, wielkie rumowisko... To było tyle lat temu!

Rubén mełł w ustach przekleństwa. W opowieści kaprała były luki – położenie gospodarstwa, co się tam działo, kim był właściciel, nazwisko oficera, któremu powierzono przewiezienie i zlikwidowanie więźniów. Przesłuchanie trwało ponad godzinę. Montañez w końcu przysnął wykończony nerwowo po wyznaniach... Rubén długą chwilę rozmyślał na tylnym siedzeniu. Jana uważnie patrzyła na drogę, wyglądając zablakanych krów, z którymi mogliby się zderzyć. Wreszcie Calderón nachylił się do niej.

– Zmienić cię?

– Nie, daję radę... Wiesz co? – szepnęła rzeźbiarka. – Przyszło mi coś do głowy.

– No?

– Co z kotem? Będzie chodził głodny, biedak...

Rubén pogładził ją po karku i uśmiechnął się w ciemnościach.

– Nie martw się o niego...

\*

Przełęcz Uspallata przecina góry na wylot: wewnątrz skał jest tam żółte, czerwone, szare, czarne, zielone, cud natury towarzyszący wąwozowi na całej długości. Przed świtem przejechali przez Mendozę i kierowali się dalej drogą pnącą się w Andy. Tu i ówdzie plac dla ciężarówek zatrzymujących się na postój i niesamowite wieże wiertnicze jakby przeniesione z epoki podboju Zachodu zdawały się zastygłe w pierwszych promieniach słońca. Kawałek dalej kapliczka z majstrowana z rury odpływowej prezentowała swoje wota. Minęli malownicze parowy, jezioro o turkusowej wodzie z górującymi nad nim płaskowyżami zwanymi tu *mesas*, efektowne kotliny, w których drzemały kluby raftingowe zamknięte wraz

z końcem lata. Jechali dziewięć godzin prawie bez postojów. Ponieważ zaczęli odczuwać brak snu, zatrzymali się na kawę w górskim hoteliku, który właśnie otwarto.

Wyrwany z wirtualnej ekstazy Ricardo Montañez otrząsnął się tymczasem na tylnym siedzeniu. Miał na sobie w pośpiechu wdziane lniane spodnie i beżową bluzę oraz mokasyny na gołych nogach.

– Muszę się odlać – powiedział.

Stołówka była pusta o tej porze. W czasie gdy Montañez udał się do toalety, Rubén zamówił śniadanie i wyszedł na zalany słońcem taras. Gigantyczne skały spoczywały po drugiej stronie drogi upadłe tu przed wiekami. Jana z miauknięciem przeciągnęła zeszywniałe ramiona. Nad szczytami wstawał dzień, wysoko na poróżwiałym niebie krążył drapieżny ptak. Na wysokości dwóch tysięcy metrów powietrze było chłodniejsze, widoki miały kinową ostrość.

– Nigdy tutaj nie byłam – powiedziała Mapucze. – Pięknie tu...

Niedługo mieli dotrzeć do Aconcaguy, Kamiennego Strażnika, dachu obu Ameryk, którego ośnieżone wierzchołki ginęły w chmurach. Rubén stanął koło Jany, chłonąc zapach jej włosów.

– Myślisz, że Montañez ściemnia? – spytała. – Jęczy tylko z tyłu i jęczy.

– Niedługo się przekonamy.

Na poziom hoteliku wtoczyła się ciężarówka, ciągnąc na dwójce.

– Lepiej mu nie ufać – rzekła Jana, krzywiąc się. – Facet wygląda mi na krętacza. Z takim minipisiorem...

Na usta zaczął jej wypływać uśmiech. Rubén nagle zapragnął ją pocałować, powiedzieć, że tamten wieczór był cudowny, ale właśnie Montañez wrócił z toalety blady jak prześcieradło.

Puente del Inca: ostatnia przełęcz przed drugą stroną łańcucha opadającą ku Chile. Pomarańczowy kurz unosił się nad asfaltową szosą. Teraz z rzadka mijali ciężarówki kierujące się do przejścia granicznego. Montañez nadal cierpiał, obficie się pocąc na tylnym siedzeniu hyundaia, śniadanie ani trochę nie dodało mu animuszu. Po wyjeździe z Las Cuevas na kamienistym zboczu dojrzelili dwie zagubione lamy, nigdzie jednak nie było ani śladu człowieka. Stoki gór mieniły się kolorami od fiołkoworóżowego do czerwonego w coraz mocniej palącym słońcu. Jana przyhamowała przed przejazdem przez tory zapomnianej linii kolejowej: stary żelazny most zapowiadał Puente del Inca, południowy skraj dawnego imperium Inków.

– Coś ci się przypomina? – zapytał Rubén siedzący za kierownicą.

Montañez był mokry od potu pod bluzą. Bał się swoich wspomnień, bał się, że spędzi wiele lat w więzieniu za coś, czego nie zrobił. Ponieważ cofnięto przedawnienie w sprawach przestępstw przeciwko państwu, detektyw dobił targu z byłym wojskowym: Montañez nie będzie ścigany, jeżeli podejmie współpracę. Przejechali wzdłuż stromizny wyschniętego koryta rzeki, potem przez imponujące rumowisko po wypadku w wąwozie. Montañez rozglądał się w skupieniu.

– W prawo – rzekł wkrótce.

Lodowa tafla lśniła w księżycowym cieniu skalistego szczytu. Wjechali na drogę gruntową, która prowadziła w prawo. Przez opuszczone szyby wpadało cieplejsze powietrze. Hyundai toczył się u stóp zerodowanych przez wiatry gigantów, kiedy grubas dał znak Rubénowi, aby zwolnił w miejscu, gdzie strumień lawy zastygł w pobliżu wierzchołka czarnej skały o stalowych refleksach.

– To tutaj?



– Tak... tak mi się zdaje.

Były kapral nigdy nie wrócił na miejsce zbrodni, lecz niepodobna zapomnieć takich kontrastów. Zostawili samochód na poboczu. Montañez nic nie mówił zahipnotyzowany metalicznymi refleksami skały, która wzbijała się do nieba. Rubén wyjął narzędzia z bagażnika. Ricardo z obawą spoglądał na ziemię, jakby zmarli mogli z niej powstać. Wreszcie wskazał miejsce u stóp rumowiska.

– Chyba tu.

Ziemia była wysuszona, usiana drobnymi kamieniami. Rubén rzucił mu nowiutką łopatę i kilof pod nogi w śmiesznych mokasynach z frędzlą na podbiciu.

– Kop.

Słońce wspięło się wysoko nad szczyty serca Andów. Montañez stękał zgięty wpół nad łopatą: już dwie godziny kopał na skraju przepaści. Skarżył się na pęcherze na rękach, skurcze, ból w plecach. Ziemia była twarda, słońce mocno go paliło, mimo że wygoloną głowę owinał szmatą. Siedząc w samochodzie z drzwiami pootwieranymi dla przewiewu, Jana i Rubén obserwowali jego zmagania.

Jana nigdy nie była w północnej części Andów, wiedziała jednak, że w tym regionie znajduje się dawne miasto Huarpów, równie potężne jak Machu Picchu centrum energetyczne, w którym szamani rozmawiali z kosmicznym umysłem. Huarpowie, pokojowo nastawiony rosły lud, nie zostali unicestwieni przez niewysokich Inków, lecz przez jezuitów, którzy podporządkowali ich sobie, twierdząc, że to dla ich dobra. Rubén słuchał jej, paląc papierosa i obserwując postęp prac Montañeza. Wrócił myślami do ich rozmowy na tarasie. Mapucze także rozmawiali z Ziemią. Jej siostra, *machi*...

– A właśnie – odezwał się – w końcu nie powiedziałaś. Co to za tajemnica hainu?

Prawnuczka kobiety z ludu Selknamów posłała mu uwodzicielskie spojrzenie.

– Może kiedyś się dowiesz. A może nie.

Wydmuchnął dym przez otwarte drzwi. Nie bardzo rzeczywista była ta jej opowieść... Dwadzieścia metrów dalej Montañez u stóp zwałów skał twardo nadal psioczył na nielitościwą ziemię. Bluzę miał pobrudzoną, mokasyny zakurzone, ręce pokryte pęcherzami. Mozolił się w palącym słońcu, stojąc do pasa w wykopanym dole, i drażył, drażył, drażył. Aż odsłonił kość.

– Coś mam! – zawołał.

Odłożył łopatę, z ukosa patrząc spod szmaty na głowie. Jana z Rubénem podeszli do dołu, z którego grubas z trudem się gramolił. Na dnie widać było kawałki kości. Rubén postawił na ziemi walizeczkę, którą otrzymał od Raúla Sanza, wskoczył do dziury. Jana pilnowała Montañeza czerwonego na twarzy, bliskiego apopleksji.

Przyborami archeologicznymi – szczypcami, grabkami, oskardem – Calderón ostrożnie precyzyjnymi gestami zdjął ostatnią warstwę dość miękkiej ziemi. Jana pochyliła się nad grobem. Odsłoniły się inne kości, kręgosłup, kawałek barwnej tkaniny, potem ludzka czaszka... Montañez wciąż ocierał z potu twarz, siedząc w cieniu górującego nad nimi czarnego szczytu.

– Chodź tu, zobacz. Taką sukienkę miała na sobie? – przywołał go Rubén.

Były kapral zmęczonym krokiem dowlókl się na skraj mogiły, zajrzał, kiwnął głową. Rubén dalej odsłaniał szczątki. Były tam zwłoki drugiego człowieka splątane z pierwszymi, mężczyzny

o podstawie czaszki strzaskanej przez pocisk. Samuel i Gabriella Verónowie. To musieli być oni.

Detektyw nie odkrywał całych szkieletów małżonków objętych także po śmierci: zabrał tylko czaszki, które schował do plecaka wojskowego przeznaczonego do tego celu. Jana nic nie mówiła. Słońce paliło ostro w środku dnia. Rubén ze wzruszeniem myślał o tych dwojgu młodych ludziach, którzy po sześciu koszmarnych tygodniach spędzonych w kazamatach ESMA znaleźli się w środku nocy w Andach, z drzeniem tuląc się do siebie nad kopanym dla nich grobem... Najpierw dziewczyna, powiedział Montañez, potem brodac. Dwoje młodych ludzi, dwudziestopięciolatek, którym ukradziono dzieci. Dwoje zakochanych...

\*

Szarobura wściekła nawałnica omiatała powierzchnię doliny. Przejechali przez chmury, kierując się promieniem słońca przebijającym przez gęstwą mgły. Jana prowadziła bez słowa. Chwilę wcześniej wydostali się z drogi gruntowej na asfaltową, która wiła się aż do Uspallaty. Kości Verónów leżały w bagażniku wraz z narzędziami i ich rzeczami. Rubén przysypał ziemią resztę ich szczątków – miał nadzieję, że później uda mu się przenieść ich na godne miejsce spoczynku. Na tylnym siedzeniu Montañez powoli dochodził do siebie, licząc popękane pęcherze na serdelkowatych palcach. On także był wstrząśnięty. Jechali wzdłuż dzikich zdumiewająco pięknych skał, nie spotykając żadnego pojazdu. Detektyw rozsyłał wiadomości ze smartfonu, kiedy Jana zwolniła po wyjściu z kolejnego zakrętu.

Drogę zastawiali jacyś ludzie.

– Rubén...

Podniósł głowę. Pikieta. W odległości stu metrów stali nieliczni ludzie, o których zapomniano w czasach wzrostu gospodarczego, zgromadzeni pod transparentem wypisanym na chybcika. Wiele wyczytać się nie dało – żądania pracy. Dziwne. Bezrobotni na środku drogi dawali jakieś znaki. Dojeżdżając do zapory, Jana przyhamowała, opuściła szybę. Na spotkanie wyszedł im człowiek ubrany w znoszony dres, w wyblakłej włóczkowej czapce na głowie. Demonstrant z brzydką szramą na nosie uśmiechnął się szeroko, machając jakimiś prospektami.

– *¡Hola, señorita!* – powiedział, nachylając się do okna.

Pod transparentem było ich sześciu w słomkowych kapeluszach. W pobliżu skał nie widzieli nikogo, tylko na poboczu stał pikap z obserwującym ich facetem za kierownicą.

– Ruszaj! – wrzasnął Rubén, sięgając pod kurtkę. – Gazu!

To nie byli demonstranci. Człowiek przy drzwiach hyundaia rzucił prospekty, którymi zasłaniał broń, i wycelował w Indiankę za kierownicą. W chwili gdy przygniatała pedał gazu, w kabinie huknął strzał. Rubén strzelił pierwszy, nie mierząc nawet. Facet z blizną trafiony w brzuch runął na asfalt.

– Gazu, gazu!

Jana nie słyszała krzyku Rubéna ani ryku silnika – strzał huknął kilka centymetrów od jej uszu i teraz przenikliwy gwizd ranił jej bębenki, świat zdawał się walić. Minęła „demonstrantów”, którzy odskoczyli na boki, dobywając broń ukrytą pod ubraniem. Posypały się strzały jak na strzelnicy, tylna szyba hyundaia rozprysła się w drobny mak.

– Głowa niżej, Jana! – wrzasnął Rubén. – Kurwa! Opuść głowę!

Mapucze wpatrywała się w drogę, kurczowo ściskając kierownicę. Nadal sypały się na nich pociski, rozsiewając odłamki szkła po całej

kabinie. Jana gnała z gazem wciśniętym do dechy, wciąż jednak nie dość szybko. Zderzak i reflektory ucierpiały, bagażnik był podziurawiony kulami. Montañez wrzeszczał na kanapie z tyłu. Jana jeszcze mocniej uchwyciła się kierownicy, kiedy wybuchła opona. Zaraz też straciła panowanie nad samochodem, który gwałtownie skręcił. Nie było w tym miejscu barierki ochronnej, tylko jałowa ziemia, która zamortyzowała wypadnięcie z drogi. Dokoła nadal gwizdały pociski spadające na gruntowe pobocze.

– Jedź! Jedź!

Jana przejechała jeszcze ze sto metrów, zanim usłyszała pierwsze dźwięki: Rubén pokazywał jakiś punkt przed nimi, ruinę położoną wyżej, na szczycie pagórka. Hyundai pokonał ze trzydzieści metrów i znieruchomiał przed pryzmą kamieni i piasku. Rubén porwał trzydziestkęósemkę spod fotela kierowcy i otworzył drzwi.

– Spadamy, szybko!

Jana wyprysnęła z auta, Rubén zaś skoczył jeszcze do bagażnika po plecak. Montañez wytoczył się z auta, jęcząc w bluzie poplamionej krwią: oberwał w ramię. Pociski bez ustanku gwizdały w chmurze pyłu, który ich jeszcze zasłaniał, ogłupiały Montañez stał skrzywiony, przyciskając zranioną rękę do boku. Rubén z rewolwerem w garści pociągnął go za Indianką biegnącą w stronę ruin. Za nimi coraz bliżej był pikap z pięcioma ludźmi na pace. Zatrzymał się koło hyundaia, broń znowu bluznęła pociskami w opadającym kurzu. Sto metrów przewagi. Napastnicy zeskoczyli na ziemię, podzielili się na dwie grupki, porozumiewając się na migi, i ruszyli w pościg.

Rubén zostawił Montañeza, którego ramię obficie krwawiło, i popędził za Janą dobiegającą właśnie do szczytu pagórka.

Schronienie znajdowało się nieco wyżej, za kolejną niedużą stromizną. Nie oglądając się, gnał za nią z wojskowym plecakiem na ramieniu. Pociski rykoszetowały od skał. Zbocze przed samą ruiną było dość spadziste – dotarli do niej równocześnie. Montañez pozostał w tyle, biegł z wytrzeszczonymi oczami, kryjąc głowę w ramionach przed świszczącymi pociskami. Zgubił naraz mokasyn, chciał go podnieść i wrzasnął przeraźliwie. Oberwał w pierś, upadł na zbocze. Opanowany panicznym strachem czepiał się kamieni, które usuwały mu się spod rąk, nie mógł uwierzyć, że nadeszła jego ostatnia godzina. Wtem z ust trysnęła mu krew i był kapral osunął się na skały. Jego mordercy byli tuż-tuż, sześciu ludzi w dwóch grupach przypuszczało atak na wzgórze. Rubén odzyskał oddech, policzył naboje wyjęte z kieszeni: pięć. Plus siedem w magazynku colta. Trzydziestkaósemka miała pełny bębenek. Razem dwadzieścia dwie kule.

– Schowaj się – powiedział, głową wskazując rumowisko kamieni.

Strzelanie do ruchomych celów: ich cotygodniowe spotkania z Anitą... Trzymając broń w wyciągniętej ręce, wycelował do facetów, którzy próbowali ich okrążyć, i trzy razy nacisnął na spust. Jeden z napastników runął trafiony w brzuch. Rubén oddał dwa kolejne strzały do grubszego gościa w brudnych dżinsach, którego aż odrzuciło do tyłu, schylił głowę i pobiegł w deszczu niecelnych pocisków. Jana przycupnęła za zrujnowanym kamiennym murem, próbowała przetkać sobie uszy.

– Jesteś cała?

– Nic nie słyszę!

Znajdowali się nie w ruinach gospodarstwa zagubionego w górach, lecz w dawnych cieplicach, które lawina kamieni

zniszczyła przed wiekiem. Luksusowy hotel stał nad Río las Cuevas płynącą dwadzieścia metrów niżej. Rubén przypadł do okna pełniącego teraz funkcję otworu strzelniczego, obok postawił plecak z czaszkami.

– Jana, słyszysz mnie?

– Tak, już ciut lepiej.

Włożył jej do rąk trzydziestkęósemkę.

– Do których mam walić? – spytała.

– Do tych z lewej – odparł, pokazując trzech podchodzących ludzi.

Mapucze nigdy nie strzelała z rewolweru, zawsze ze strzelby albo karabinu. Odbezpieczyła broń. Miała policzek skaleczony odpryskiem skały albo szkła.

– Gotowa? – spytał Rubén, a gdy kiwnęła głową, rzucił: – Teraz!

Równocześnie wychylili się z okna i oddali strzały: Jana nie trafiła nikogo, jej cele bowiem padły na ziemię, Rubén wyeliminował człowieka, który zmierzał w ich stronę z prawej. Adrenalina buzowała mu w żyłach. Chwycił plecak z ziemi i wraz z Janą pobiegli skalną galerią.

Na całej długości wąwozu spływała kaskada, przelewając wodę bogatą w żelazo i siarkę, która zabarwiła na żółtopomarańczowy kolor skały liczące miliony lat. Biegli pod cienistym sklepieniem dawnych cieplic, dotarli do miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się łazienki. Nad zieloną rzeką przerzucono drewniany mostek. Z bijącym sercem oparli się o skałę tarasu przy mostku. Chmura rozpylonej wody ze szczytów, która spadała do rzeki, trochę ich ochłodziła.

– W porządku? – wydyszał Rubén, uzupełniając pociski w magazynku pistoletu.

– Tak. Zajmij się lepiej tymi ścierwami...

Napastników zostało trzech, byli lepiej uzbrojeni. Słysząc było ich kroki odbijające się od sklepienia galerii. Od kolorowej rzeki dolatywał silny zapach siarki, lecz już go nie czuli. Tamci znajdowali się w odległości kilku metrów, ich cienie przesuwają się wzdłuż ścian. Czujnie przepatrywali teren. Rubén ścisnął w dłoni czterdziestkępiątkę. Jana kuciała obok wciśnięta we wgłębienie w skale z rewolwerem wycelowanym w napastników – zostało jej ledwie parę pocisków... Zabójcy kryli się teraz w cieniu łazienek. Zdenerwowany Rubén trzymał palec na spuście. Napastnicy znali ich pozycję: jeśli z tak bliska zaatakują, zasypią ich gradem pocisków, a on miał raptem pięć kul... Woda spadająca w przepaść nasyciła wilgocią powietrze, które naraz stało się ciężkie nie do zniesienia. Jana wstrzymała oddech, dłonie miała mokre od potu. Rubén zamierzał oddać dwa strzały na oślep, aby zabójcy się ukryli i tym samym dali im czas na skok z mostku: dwadzieścia metrów do lustra rzeki. Skoro lato się kończyło, mogli skrócić sobie kark.

Wtem od strony kamiennej galerii dobiegł dźwięk dzwonka telefonu komórkowego. Jana spojrzała pytająco na Rubéna, który na migi jej powiedział, aby była gotowa do skoku. Przez kilka sekund, które zdawały się długie jak wieczność, nic się nie działo. Napastnicy jakby się naradzali. Jeden wycofał się trochę, aby odebrać połączenie. Nad wszystkim zawisła niepewność przy akompaniamencie huku wodospadu. Potem spod sklepienia ciepłoc dobiegł ich stłumiony głos, zapadła cisza, wreszcie usłyszeli kamyk osuwający się spod buta. I tupot kroków... Kroków, które się oddalały.

Znowu popatrzyli na siebie wyczekująco. Rubén przez kilka chwil nie ruszał się z miejsca, później dał znak Janie, by została, a sam odszedł cicho jak kot. Zręcznie wspiął się wyżej na skałę, by mieć



szerszy widok: trzech ludzie pospiesznie schodzili ze wzgórza, dźwigając trafionych pociskami kompanów. Wycofywali się.

Montañez, świadek podwójnego morderstwa sprzed lat, nie żył. Widocznie to wystarczyło tym, którzy na nich napadli. Rubénowi nie. Zbadał topografię miejsca, popatrzył na Janę ukrytą z bronią w garści. Patrzyła nań pytająco.

– Weź plecak! – polecił z góry.

Sam ostrożnie ruszył za tamtymi.

Zsunął się po pierwszej stromiźnie w tumanie żółtego kurzu, potknął na śliskich kamieniach, o mało nie zleciał głową naprzód, w ostatniej chwili złapał równowagę.

Poniżej napastnicy ładowali się do pikapa. Jeden z postrzelonych nie ruszał się, dwóch innych, którzy ledwie szli, szybko podsadzono na pakę. Samochód z napędem 4 x 4 zakołysał się na nierównościach terenu, po czym wyjechał na asfalt. Rubén pognął w dół, pragnąc przeciąć im drogę, zrozumiał, że nie zdąży, zmienił naraz kierunek i wspiał się na niewielką pochyłość po lewej. Na jej szczycie stało uschnięte drzewo – dziesięć metrów niżej zabójcy akurat przejeżdżali na jego wysokości. Miał tyle czasu, by wycelować z grubsza, tamci już bowiem wjeżdżali w zakręt: Rubén opróżnił magazynek, celując w pakę pikapa. Na zimno, panując nad złością.

Trafiony w pierś bandyta zwałił się na kabinę, drugi chwycił się za strzaskaną szczękę. Jeden z wcześniej ranionych podskoczył, gdy znowu ugodziła go kula, leżący obok martwy kumpel oberwał jeszcze w twarz. Rubén wypuścił powietrze z płuc, nie odrywając wzroku od ruchomego celu, i zaklął: nie trafił kierowcy, a magazynek miał pusty. Uciekli mu.

Pustynny wiatr rozwiewał chmurkę pyłu wzbitego przez

samochód. Rubén jeszcze przez moment widział pikapa znikającego za zakrętem z kabiną z zewnątrz zachłapaną krwią i trupami na pace... Zacisnął zęby wkurzony, bez tchu.

Skurwysyny.

## 7

Jana obserwowała jego atak ze spróchniałego mostku w dawnych cieplicach. Lodowaty wiaterek towarzyszył jej aż do miejsca, gdzie Rubén klął z jeszcze rozgrzanym pistoletem w garści. Ubranie miał pokryte kurzem, twarz zupełnie bladą, po policzkach spływał mu pot.

– Rozwaliłeś ich?

– Nie wszystkich...

Pocierał sobie ręce, gdy zsuwał się po zboczu. Jana postawiła plecak na ziemi, zauważyła łuski po pociskach w krzakach, popatrzyła w rozgorączkowane oczy Calderóna.

– Ciebie lepiej mieć w swoim łóżku...

Rubén nie zareagował. Śmierdzieli oboje potem, strachem i śmiercią. Przywarli naraz do siebie, aby poczuć, że naprawdę są razem, że są żywi. Napięcie wolno z nich opadało. Zabójcy uciekli równie nagle, jak się pojawili. Rubén obejrzał zraniony policzek Jany – zwykle draśnięcie... Indianka czuła krzepiącą siłę mięśni jego ramion, które ją obejmowały, delikatność dłoni. I zrobiło się jej lżej. Chwilowo ich położenie prezentowało się mocno nieciekawie: w połowie zbocza spoczywał trup Montañeza, którego zakrwawione ciuchy już wysyłały sygnały węchowe padlinożercom, nie wiadomo gdzie leżały porzrzucone łuski z ich broni, podziurawiony hyundai

stał kawałek od drogi – byli unieruchomieni na pustkowiu.

Rubén puścił rękę Jany wciąż do niego przytulonej.

– Nie siedźmy tu...

Zeszli na dół, przepatrując zbocza i drogę wijącą się wśród skał. Obejrzelili samochód. Chłodnica wytrzymała, zwichrowała się natomiast maska, gdy wóz utknął w stercie piachu. Kabina zasypana była odłamkami szkła, tylne siedzenie zalane jeszcze nie do końca zakrzepłą krwią. Z felgi zwisały strzępy kauczuku, ale pozostałe opony zdawały się nietknięte, klucz tkwił w stacyjce. Rubén wsiadł, przekręcił go. Silnik pracował normalnie.

– Co robimy z Montañezem? – spytała Jana.

– Nie ma czasu na pochówek. Trzeba stąd wiać, zanim dopadną nas gliny... Chodź, pomóż mi.

Cień w pełni popołudnia był drogocenny. Rubén wyjął zapasowe koło, Jana tymczasem waląc glaniem w maskę, próbowała rozprostować blachę. Asfłatowa szosa wiła się kilkadziesiąt metrów od kamienistego terenu, na którym wylądowali. Rubén ciągle jeszcze drżał. Nie miał pojęcia, jakim cudem fałszywi demonstranci zdołali tak szybko zastawić na nich zasadzkę w sercu gór. Wiedział jedynie, że o mało nie przypłacił tego życiem.

– Jak myślisz, skąd oni się wzięli? – zagadnęła Jana, gdy mozolił się nad kołem.

– Bo ja wiem?... Może pilnowali Montañeza. Pewnie w archiwum odkryto, że zniknęła jego książeczka, i raz-dwa informacja dotarła do kogo trzeba. A ten ktoś posłał za nami swoich ludzi. Chyba że wytropiono nas po śladach.

– Po jakich śladach?

– Posterunki graniczne między prowincjami.

– Chcesz powiedzieć, że gliny są w to wmieszane? – skrzywiła się

Jana.

– Nie wyobrażam sobie, żeby patolog sfałszował raport z sekcji Marii bez zgody Luquego. On tu pociąga za sznurki i najwyraźniej nałgał Campallom.

Oparta o maskę Mapucze zmarszczyła brwi.

– Wydawało mi się, że Campallo to kumpel burmistrza. Torres powołał tę elitarną policję, prawda?

– Tak – przyznał. Pocięte ręce miał teraz czarne z brudu. – Coś mi nie pasuje w całej tej historii. – Zdjął wreszcie uszkodzone koło, założył zapasowe. – Cholera, ktoś jedzie...

Od strony przełęczy nadjeżdżała ciężarówka, stary ford z czasów, gdy w samochodach jeszcze nie montowano elektroniki. Przystanęła na ich wysokości. W szoferce siedzieli dwaj wieśniacy w słomkowych kapeluszach.

– Potrzebujecie pomocy? – zawołał kierowca przez opuszczoną szybę w pociętych drzwiach.

– Damy radę, dzięki!

Jana uspokajająco pomachała do nich, byle tylko odjechali. Gruchot potoczył się dalej, szofer na pożegnanie podniósł rękę w przyjaznym geście. Nie zauważył ciała leżącego kawałek dalej na słońcu...

Złany potem Rubén nareszcie skończył. Koło wytrzyma do najbliższej miejscowości, ale wydawało mu się, że oś mocno ucierpiała. Wydostali się z kamienistego terenu przy drodze i wjechali na asfalt.

„Uspallata 22 km” poinformowała ich niebawem tablica przydrożna. Rubén zapalił dwa papierosy, jednego wetknął w usta Janie za kierownicą, załadował broń jej i swoją. Trochę czasu upłynie, zanim lokalna policja znajdzie zwłoki Montañeza – przy

odrobinie szczęścia oni będą już daleko. Mętne świadectwo wieśniaków, którzy ich minęli, kiedy zmieniał koło, niewiele będzie znaczyło, dużo bardziej natomiast martwił go ten typek z burdelu w Rufino, chociaż mocno go nastraszył... W milczeniu jechali krętą drogą biegnącą przełęczami wśród gór Aconcaguy. Na niebie usianym frontowymi chmurami orzeł zataczał leniwie kręgi. Rubén po raz chyba dziesiąty roztrząsał strzelaninę.

– Bracia nauczyli cię strzelać? – zapytał, gdy wyjechali z długiego wirażu.

– Tak.

– Na co polowaliście z karabinami?

Jana wzruszyła ramionami.

– Na żandarmów...

Popatrzył na nią pytająco, lecz nie odpowiedziała.

Droga numer 7 prowadziła wśród andyjskich zboczy. W kierunku przeciwnym niż oni ciągnął się sznur ciężarówek przyblokowany konwojem. Jana prowadziła ostrożnie, obawiając się patrolu policyjnego. Przez wybite szyby wpadał ciepły wiatr. Rubén z bronią w zasięgu ręki uważnie przepatrywał pobocza drogi, wyloty wąwozów, ale zabójcy ulotnili się jak kamfora.

Uspallata, „Kły Ziemi”, miasteczko śpiące w upalne niedzielne popołudnie: w porze sjesty lady przed sklepami świeciły pustką, podobnie jak ogródki przy lokalach. Przejechali główną ulicą, zwolnili przed zamkniętym kasynem na skrzyżowaniu trzech dróg. Kawalek dalej dostrzegli szyld warsztatu samochodowego przy stacji benzynowej z parkingiem osłoniętej gęstą roślinnością.

Mechanik, który wyszedł z warsztatu, skrzywił się na widok auta.

– Co to się stało? – zapytał, oglądając karoserię. – Wypadek?

– Nie, ukradli nam – skłamał Rubén bezczelnie. – Znaleźliśmy go w takim stanie.

– A to pech!

Mechanik nie był głupi, udał jednak wariata.

– Musimy dojechać do Mendoza. Da pan radę jakoś go ogarnąć?

Na zalane słońcem podwórko wyszedł brat mechanika, wytarł ręce w kombinezon roboczy, skinął głową na powitanie. Jana udała się do toalety, oni zaś radzili. Tylna szyba, reflektory, oś, nie mówiąc o dziurach w karoserii: dużo roboty, zejdzie im co najmniej do poniedziałkowego południa, a i to pod warunkiem, że dostaną części...

– A jeśli zapłacę podwójnie? – zasugerował Rubén.

– Części przez to nie przylecą samolotem – odparł mechanik. – Nawet jakbyśmy robili nocą, nie da rady przed południem. Najwcześniej! Ten wóz jest nafaszerowany elektronicznym gównem.

Jasne... Zapadła ciężka cisza.

– No dobra – rzekł w końcu Rubén. – Jutro w południe.

Dał im zaliczkę na części, po które jeden z braci miał podjechać do Mendoza, i drugie tyle, by zapomnieli o szczegółach. Po wprowadzeniu auta na kanał Rubén zabrał rzeczy z bagażnika i dołączył do Jany, która myła twarz przy umywalce. Na policzku miała tylko lekkie draśnięcie z już zakrzepłą krwią.

– I co? – zapytała.

– Do jutra jesteśmy tu uziemieni.

Westchnęła.

– Biedny Ledzep...

Rubén umył utyłane ręce w brudnej umywalce.

– A miejscowe gliny? – zagadnęła. – Nie narobią nam kłopotów?

– Najbliższy komisariat jest dwadzieścia kilometrów stąd. A ci z warsztatu wyglądają na gości w porzo... Chodźmy coś zjeść, potem się zastanowimy.

Miasteczko w Andach pod palącym słońcem w senne niedzielne popołudnie. Dochodziła szósta, od gorącego wiatru i niewyspania piekły ich oczy, od rana nic nie jedli. Tleniona blondynka w T-shircie z Hello Kitty sprzedawała w jedynym otwartym punkcie, barze przekąskowym z krzykliwym szyldem, ale zaopatrzonem raczej w lody. Zjedli firmowe bocadillos owiewani kapryśnym wentylatorem. Salka była pusta, cumbia zagłuszała wszystko: Rubén ledwie usłyszał dzwonienie swojej komórki. Wyszedł na zewnątrz, by odebrać telefon od Anity.

Ponieważ żonaci robili sobie wolne na tradycyjne *asado*, a stażysta trzeźwiał z kumplami, z którymi zabalował, Anita wykorzystwała niedzielę na sjęstę ze swoim kotem Obłokiem. Ostatnie wydarzenia zburzyły trochę ich nawyki. Del Piro nadal się nie objawił, Anita trafiła natomiast na ślad botanika dzięki „kumplowi” z imigracyjnego: Díaz faktycznie przekroczył granicę argentyńską w ostatnią środę, czyli w dniu napadu w Colonii. Sąsiad paparazza uciekł. Przed kim? Przed zabójcami czy przed policją? Czy udawał niechęć do Ossaria? Dlaczego? Chciał coś ukryć?... Anita miała wątpliwości.

– Kto powiedział, że botanik nie jest we wszystko wmieszany? Może to wojskowy, były nazista, stary bydlak, który pod fałszywym nazwiskiem ukrył się w Urugwaju, albo współnik tego twojego bossa?

– Hm...

Zabłąkany pies, który obwąchiwał uliczne kosze na śmiecie w cieniu splekanych murów, obszedł Rubéna z podkulonym ogonem.



- Masz jakieś zdjęcie Díaza? Możesz mi je przesłać? – zapytał.
  - Mogę zeskanować paszportowe.
  - OK. Prześlij je też Carlosowi i do Babć. Może Díaz figuruje w naszych aktach pod innym nazwiskiem.
  - Kiedy wracasz?
  - Nie wcześniej jak za dwa dni.
  - A ci fałszywi demonstranci?
  - Ledwie mi mignęli przed oczami. Z wyjątkiem tego, który nas zatrzymał: przysadzisty, ze szramą, średni wzrost, czterdziestka... Poproszę Janę, żeby zrobiła portret pamięciowy, jeżeli znajdziemy papier w tej dziurze.
  - Janę? – podchwyciła Anita.
  - A jak mam ją nazywać? Picasso?
  - Potrafi też rysować zabójców spotkanych na drodze? – udała zdziwienie. – Co za talent!
  - Jesteś zazdrosna?
  - Piekielnie.
  - Ciii...
  - Jestem w tobie zakochana od dziecka, draniu.
  - Nie jesteś już dzieckiem, *querida*. Dobra, to wszystko?
  - No... Dam ci znać, jak tylko Del Piro skorzysta z komórki – powiedziała Anita na koniec. – *Ciao, bello!* Całusy dla wiesz kogo!  
Uroczą przyjaciółka...
- Jana czekała przed barem z torbami. Według Hello Kitty jedyny hotel w Uspallacie zamknięto przed rokiem. Do dyspozycji gości pozostały tylko domki z prefabrykatów o urodzie czopków – można było się ich domyślić za żywopłotem otaczającym kemping.
- Fúj... – skrzywił się Rubén.
  - Albo to, albo nocka pod gołym niebem – zauważyła Jana.

Czarne oczy już jej błyszczały.

\*

Pustynna strefa za miasteczkiem rozciągała się na przestrzeni kilometrów, andyjski płaskowyż otoczony sinofioletowymi szczytami, nad którymi krążyły sokoły. Rubén i Jana maszerowali na północ, dźwigając cięższe teraz torby na ramieniu. Przy brunatnej drodze gruntowej co rusz bieleły zwierzęce szczątki. Słoneczny skwar stawał się mniej dotkliwy, w miarę jak zagłębiali się na tereny pozbawione roślinności. Marsz zmusił ich do milczenia wobec bezmiaru gór, jakby poza nimi nic nie istniało. Wkrótce wokół były tylko kamieniste koryta potoków i skały, kruche krzewy i trawy. Szli tak kilka kilometrów otoczeni powiewami wiatru, który śpiwną falą przetaczał się po piaskach. Natura była tak imponująca, że zapomnieli o tym, co przeżyli tego dnia.

– Jak tam? Dajesz radę? – zagadnęła wreszcie Jana Rubéna, który dźwigał najcięższe torby.

– Parę metrów jeszcze przejdę – zapewnił. – A ty?

– Muszę włożyć glany...

Do Skały Siedmiu Barw prowadziła kamienista ścieżka. Jana, która od miasteczka wędrowała boso, przystanęła, aby nałożyć buty. Dziwna bestyjka. Minęli krowi szkielet zażywający ochłody pod nędznym drzewkiem i znaleźli łąkę piasku, na której zdecydowali się rozbić obóz. Miejsce to, położone na dnie wąwozu, zapłonęło czerwienią w zmierzchającym świetle dnia. Rozłożyli koce i zakupy – sałatkę z przetwórnicy, chleb z wielkiego pieca, dwa piwa jeszcze w miarę chłodne i kawałek wołowiny, którą zamierzali upiec, jeśli znajdą drewno. Jana zapalniczką zerwała kapsle, gdy

Rubén znosił kamienie na ognisko, poczekała, aż usiadł obok niej na wprost tęczowej skały, i podała mu butelkę. Po Quilmesach, górskim ludzie, który dał się zapakować do rezerwatów na równinach i tam wymarł, pozostała tylko nazwa piwa: Quilmes...

– Niesamowite, jak chrześcijanie potrafią uczcić pamięć tych, których wymordowali – zauważyła Mapucze.

– A co wyście robili swoim ofiarom? Wyrwaliście im włoski z nosa?

– Taaa, zębami, żeby dzieciarnia miała uciechę... – Stuknęli się butelkami. – Za życie.

– Za życie...

Rubén trącił się z nią bardziej poruszony, niż okazywał. Nie opuszczał go strach, że ją straci. Zapragnął przytulić Janę pod byle pretekstem, uścisnąć ją, aż poczuje jej indiański puls w swoich żyłach, lecz jakąś częścią siebie ciągle był tam... Zapatrzył się na skały. Jana niepostrzeżenie się przysunęła, jakby odebrała echo ciszy spowijającej jego otchłań, i oparła mu głowę na ramieniu. Powietrze nad Andami nabierało różowego odcienia. Przez chwilę siedzieli, kontemplując pustynię, wierzchołki spowijane światłem zmierzchu. Piękno świata: było tam, przed ich złąknionymi oczami, a Rubén widział jedynie duchy...

Niebo zlewało się ze skałami, gdy Jana szepnęła:

– Rubén... nie powiedziałam ci o czymś. Wtedy wieczorem w pokoju, kiedyśmy się kochali, widziałam ślady na twojej skórze, te blizny...

Czarne w blasku świeczek szramy na piersiach, pod pachami, straszne rany, których czas nie usunął. Rubén nie odpowiadał, lecz w jego oczach drżały kwiatuszki.

– Torturowali cię, tak? – ciągnęła Jana. – Oni ci to zrobili? To

oparzenia od prądu?... – Nadal nie odpowiadał. – Ciebie też trzymali w ESMA... Ale wyszedłeś z tego cało – dodała, aby mu pomóc. – Ciebie nie wykończyli.

– Wykończyli... – Wzrokiem błędził po piasku. – Wykończyli.

– Nie, Rubén, nie. Żyjesz. Żyjesz bardziej niż wielu ludzi na świecie.

– Nie.

Pęknięcie stało się teraz ziejącą dziurą. Dotąd nic nikomu nie mówił, niczego nie pokazywał. Widział Śmierć, tę Śmierć, której pod żadnym pozorem nie powinno się oglądać. Chyba że chce się postradać zmysły.

– Twoja matka dużo przeżyła – rzekła Jana głosem, któremu postarała się nadać łagodne brzmienie.

– Nie wie, co się stało.

– Domyśla się.

– Nie... Nie.

Rubén czuł się, jakby miał kamienie w ustach. Popatrzyła na niego raptem zaniepokojona. Duchy unosiły się wokół nich, duchy skał. Jana знаła uczucie wiecznej samotności, żyła z nim przez wszystkie te lata, gdy piersi jej nie rosły – znała samotność, gniew i zamęt.

– Dzisiaj o mało nas nie zabili – powiedziała odważnie. – Może zginiemy jutro, wychodząc z kawiarni albo z jakiegoś budynku, a wtedy będzie za późno. Chcę dzielić z tobą wszystko, Rubén, nie tylko najmiłsze nawet pieszczoty w łóżku obcego faceta. Twoje ręce poznały inne kobiety, ale nie chcę być taka jak tamte. Ani dziś, ani jutro. I to nie jest żadna moralna kokieteria. Czego się boisz? Mnie? Myślisz, że coś ci odbiorę? Może twój największy skarb? Za kogo mnie masz, za *winka*?

Uśmiechnął się tak blado, że jakby się w ogóle nie uśmiechnął.

– Mogę wszystko – oświadczyła śmiało. – Po tym, co przeżyłam bez ciebie, mogę wszystko.

– Człowiek nie może wszystkiego.

– Trzeba najpierw chcieć. A ja chcę.

– Co chcesz?

– Ciebie. Chcę ciebie w ustach, w ramionach, całego cię chcę. Takiego, jaki jesteś.

Zwiesił głowę...

– Uważasz, że to za dużo? – dodała.

Gładziła jego dłoń błędzącą po piasku przepelniona nieznaną jej czułością, jakby dziewiczą. Teraz ciemności zaczynały obejmować Skałę Siedmiu Barw. Rubén przeniósł wzrok na starą torbę podrózną ojca – wszystko w niej było, w zasięgu ręki... No pewnie... Wcale nie ze strachu, że zabójcy przetrząsną jego mieszkanie, zdecydował się opróżnić szafę, tylko przez nią... przez swoją siostrę...

Podniósł się, otworzył torbę, pogrzebał w środku i podał Janie szkolny zeszyt. Na okładce widniały skreślone wyblakłym niebieskim atramentem słowa: „Smutny zeszyt”. Rozpoznała charakter pisma... Charakter pisma Rubéna. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Pójdę poszukać drewna na ognisko – oznajmił Rubén.

Spokojną pustynię zaczynał okrywać zmierzch. Jana z ciekawością otworzyła zeszyt. Rubén już odchodził – zgarbiona sylwetka pod gasnącym niebem.

Przeczytała zeszyt z zapartym tchem do samiotkiego końca.

I zelektryzowała ją zgroza.

# Smutny zeszyt

*Tumba: tłusta woda o zapachu flaków, kawałki gotowanego mięsa pływały po wierzchu, chleb maczany w niej z obawą jak w bloku i oczy zamykane, gdy przyszło to przełknąć... Niestrawność świata, poezja złańionych. O poezji pomówmy – a raczej już nigdy o niej nie mówmy. Kiedy człowiek jest głodny, istnienie nie ma godzin, to życie zastygłe w wosku, pływający wrak statku zmiażdżonego przez lody, twarze pozbawione spojrzenia, które kołyszą się wyraźnie, jak niedźwiedzie zadowolają się klatką, oczy zawiązane, które nic już nie skrywają albo skrywają tak niewiele, kraty, za którymi się siedzi, no i burczenie w brzuchu, żołądek skręcający się z pustki i tyle jeszcze rzeczy, o których muszę ci powiedzieć, siostrzyczko... Mocz ściekał po murach. Mimo że było wiadro z zaschniętym gównem na plastiku – wystarczyło unieść kaptur, by zauważyć, że moje jest czerwone – taki towarzysz z celi, o ile miało się co wydalić. Nawet marzenia stawały się szare, sny pozbawione kobiet i miłości, ledwie pozwalające uciec od rzeczywistości, razów, gorączki, krzyków, brudu. Jak dawno nas rozdzielono? Ostatni raz widziałem cię chwiejącą się na nogach w warsztacie samochodowym, w oczach miałaś czyste przerażenie, za wszelką cenę starałaś się zasłonić swoją nastoletnią nagość. Jak dawno jesteśmy rozdzieleni, siostrzyczko? Dwa miesiące? Trzy? Najpierw kazano mi się położyć*

w piętrowej skrzynce, w szerokiej na osiemdziesiąt centymetrów trumnie z otwartym wiekiem, tak bowiem łatwiej było nas pilnować – „sardynki”, jak dowcipnie mówili osławieni zwykli wykonawcy rozkazów. Pierwsza odmiana, żeby się wpasować w warunki. P45, to było moje nazwisko. Zakaz ruszania się, porozumiewania. Ułożeni rzędem więźniowie całymi dniami mogli tak leżeć w „lwich klatkach”. Z początku nie wiedziałem nawet, że jestem w Szkole Mechanicznej Marynarki Wojennej: podczas przewożenia cały czas miałem kaptur na głowie i zamknięto mnie osobno w klatce-trumnie. Nie wiedziałem, czemu tak mnie trzymają, jak długo to potrwa, czy mnie zabiją czy doprowadzą do obłędu. A potem pewnego dnia przenieśli mnie do celi, boksu metr pięćdziesiąt na dwa, który – o czym dowiedziałem się później – znajdował się w podziemiach ESMA. Było gorzej. Przywiązany, nagi, ze spętanymi zgiętymi nogami, w kapturze na głowie, mogłem tylko czekać na kolejny seans pikany. Poznałaś to? Czy dwunastoletnią dziewczynkę traktowali jak dziecko czy jak osobę dorosłą? Widziałem zmarłych, siostrzyczko, zmarłych z panicznego strachu, kiedy przychodzili po nich z zapowiedzią, że potną ich piłą elektryczną – uruchamiali maszynę w korytarzu, by więźniowie głośniej krzyczeli – albo gdy dzięki otwieranym i zamykanym z trzaskiem drzwiom słyszałem krzyki innego, który już był mną. Strach był tak wielki, że zapominało się o własnym smrodzie, o sokach strachu, które spływały nam wzdłuż ud: widziałem jedynie w górze wlepione we mnie oczy oprawców i elektrody, które mi mocowali, zanim zaczęli ściągać skórę. Skóra bardzo śmierdzi, kiedy się ją przypala, siostrzyczko. Niektórzy oficerowie śledczy zgrywali dobrych wujaszków: „Czemu nie mówisz, chłopcze? Zobacz, w jakim stanie jesteś!”. Widziałem ciała całe poczerniałe wywlekane

*z cel, tak pokryte przypaleniami, że widać było tylko oczy, czarne jak węgiel ciała ludzi, którzy umarli albo się poddali i znajdowano ich unurzanych w ekskrementach, z nastroszoną brodą powtarzających ciągle to samo, ich cienie albo to, co z nich zostało, ludzi nie dowierzających, że będą uczestniczyć we własnym pochówku – ludzi, którzy przypominali mnie bez wątpienia... Gdzie ty byłaś? Uznali cię za kobietę czy za dziecko? Na was najbardziej się wyżywali: ciała kobiet były dla nich polami walki, zwłaszcza tych najładniejszych, które strażnicy zawzięcie gwałcili, aby je oduczyć wychodzenia z domu i noszenia minispódniczek. Kurwy i tyle. Przynajmniej ich zdaniem. Słyszałem, jak się ze śmiechem przechwalali swoimi wyczynami erotycznymi, jak wybierali najlepszą, na przykład tę trzydziestoletnią brunetkę, z którą minąłem się raz na korytarzu – i zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Nie wiedziałem, jak się nazywa, ale ochrzciłem ją Hermiona, poetyckim imieniem. Kobiety znałem wtedy jedynie z pocałunków dziewcząt, z którymi spotykało się w kinie, by odkrywać je w ciemnościach, ze Steve'em McQueenem albo Faye Dunaway na ekranie, lecz tamta brunetka o takim dumnym, takim inteligentnym spojrzeniu była dla mnie zjawiskowym objawieniem w sercu nicości. Uczepiałem się jej wieczorami, trzymałem mocno, trzymałem się tych jej dużych niebieskich oczu, które przewierciły mnie w korytarzu. Przybliżała mnie do przechodniów, o których ocieraliśmy się na tarasach kawiarni, do szczęśliwego życia, życia przedtem. Hermiona... Minąłem ją raz jeszcze później, szła z błędnym wzrokiem, nie mogła ustać na nogach po „roboczym seansie”. Na pewno mnie wtedy nie widziała, bo jej niebieskie oczy niczego już nie wyrażały: oszalała... Strażnicy notowali wyniki – ona miała numer „322”. Zgwałcili ją trzysta dwadzieścia dwa*



razy... Gdzie byłaś, siostrzyczko?

Schody prowadzące do więzienia zamurowali przed przybyciem Komisji Praw Człowieka. Nagie mokre ciała na żelaznych płytach, gwałty, rażenie prądem – wystannicy społeczności międzynarodowej nic z tego nie zobaczyli. Mistrzostwa świata w piłce nożnej mogły się odbyć. Goście odjechali ze swoimi dyplomatkami zawierającymi rekomendacje, zostawili nas samych na łasce oprawców. I wszystko znów się zaczęło. Zakazy – mówienia, patrzenia, siadania – odór kapturew przesiąkniętych krwią wcześniejszych więźniów, którzy przygryzali sobie język, kiedy ich torturowano, moje krzyki, gdy po raz dziesiąty prowadzono mnie do „pracowni”, pikana, która opróżnia wnętrze, żarty oprawców, nieugaszone pragnienie, walenie serca odzywające się aż w skroniach, sto trzydzieści, sto czterdzieści, sto pięćdziesiąt, znów uderzenia, nagość, izolacja, utrata punktów odniesienia, niemal bliski smród odchodów, strach, jeszcze ciosy, których nadejścia w kapturze nie widziałem, zniewagi, pogrożki i paniczna rozpacz, gdy pomyślałem o tobie. Straszne myśli... Gdzie byłaś, siostrzyczko? Słyszałem krzyki torturowanych nowych więźniów, filmy animowane albo komedie, które strażnicy puszczały w świetlicy, by zagłuszyć wrzaski, drżałem na myśl, że może ciebie właśnie rozciągają na ławie. Wypytywali mnie o tatę, chcieli wiedzieć, gdzie jest – we Francji – co tam robi – pisze wiersze – powtarzali, że kłamię, że jestem czerwone ścierwo, a oni są po to, by wyplenić chwasty, że jestem takim chwastem. Tato nic mi nie mówił o komunistach, montoneros, terrorystach zbiegłych za granicę. Nie potrafiłem udzielić odpowiedzi, co uprawiało ich w szat, choć może tylko udawali. Rzęsiste tzy, błagania, ich upór – szaleństwo czaiło się wszędzie. Czas przestawał istnieć, życie było jak ołówek. Bałem się, że stanę się jak tamte zombi, jak ludzie,

*którzy nigdy nie walczyli i nie byli przygotowani na śmierć w imię obcej im sprawy, jak ludzie, którzy nie będąc w stanie wziąć się w garść, popadali w obłąd, jak ludzie, którzy stawali się wiernopoddańczy, wierząc, że w ten sposób ułagodzą oprawców, albo godzili się na współpracę, by wreszcie to wszystko się skończyło.*

*Umrzeć albo oszaleć.*

*Umrzeć albo oszaleć.*

*Umrzeć albo oszaleć.*

*Umrzeć albo oszaleć.*

*Guma w kapturze ścisnęła mi szyję, piłowała ją pomalutku, ból był rozdzierający, nieznośny; trzy same płynęły nocą albo w dzień, już nie wiedziałem, czas się rozmył, zawiesił, martwe życie – obłąd niebawem już nie krążył w pobliżu, lecz podczołgiwał się, czyhał na najmniejszą choćby chwilę słabości, aby mnie unieść niczym owoc w szponach. Czułem przez ściany obecność innych więźniów, tak jak ja pozbawionych nazwiska i praw, będących tylko numerem w spisie, numerem, który dręczono do woli; abstrakcyjny świat, w którym uległość pozwalała przeżyć, wstrętna zupa, którą nas karmiono, przerażenie nocą, kiedy niespodzianie nas budzono i bito pejczem albo pałką, chłostano, stosowano chwytów karate, podtapianie, wieszanie za stopy ze szmatą na twarzy i zrzucanie do wanny pełnej lodowatej wody: szok, brak oddechu, ból w płucach, gdy wlewa się do nich woda, śmierć przez uduszenie. Lekarze mieli obowiązek reanimować podtopionych, aby oprawcy mogli zacząć od nowa – raz, dziesięć razy, ciągłe umieranie, potem wytresowane do zabijania psy bojowe szczute na wychudzonych biedaków, skóra i kości, na moich sąsiadów, których widywałem, gdy wyprowadzano nas z cel na zbiorowe bicie, przypalanie papierosami, polewanie*

*wrzątkiem, żelazo rozgrzane do czerwoności, obcinanie, kiereszowanie, nacinanie, obdzieranie ze skóry, nowe więźniarki, którym pozwalano wybrać między tą gehenną a gwałtem zbiorowym, sadystyczne metodyczne szykany, siedzenie na ziemi bez prawa oparcia się o mur celi od pobudki o szóstej rano do gaszenia światła o ósmej wieczorem, czternaście godzin w tej pozycji, kto się przewracał, był bity, kto się odezwał, był bity, kto obrócił głowę, był bity, i jeszcze więźniowie zmuszani do walki w kapturze, zapisany pod numerem 412 robotnik, o którym dosłownie zapomniano, ofiara jakiegoś błędu urzędników zmarła z pragnienia i głodu, wyrafinowane upokorzenia, znowu razy za nic, rutynowe czyny, aby nas ukarać za to, żeśmy się urodzili jako długowłosi, nosili okulary, wychodzili wieczorem do knajpy... Gdzie byłaś? Z czasem udało mi się porozumieć z tymi z sąsiednich cel, szepnąć kilka słów w trakcie przepychanek albo gdy ktoś z nich roznosił jedzenie. Nie został po tobie ślad. Niekiedy słyszałem na górze krzyki dzieci, lecz nie trwały długo. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że oddawano je bezpłodnym małżeństwom z kręgów wojskowych. Miałaś dwanaście lat, siostrzyczko: byłaś za duża, aby cię komuś oddano... A potem pewnego wieczoru, kiedy odbierałem miskę tumby, kolega mi szepnął:*

*– Twój ojciec tu jest...*

*Serce zabiło mi tak mocno, że o mało nie wylałem zawartości miski: tato dał się uwięzić, żeby odnaleźć nas, swoje zaginione dzieci?! Kompletne szaleństwo!*

*Mundial trwał w najlepsze, strażnicy odrobinę nam poluzowali, a raczej przenieśli uwagę na drużynę narodową. Nadszedł 17 czerwca 1978 roku, dzień moich piętnastych urodzin. Nowy więzień podał mi zupę przez lufcik w drzwiach, bacznie pilnował go*

*strażnik zwany Turco. Już miałem się rzucić na skrawki mięsa pływające po wierzchu, gdy w lepkiej brei zauważyłem kulkę z folii aluminiowej. Oczyszcziłem ją w ustach, potem ostrożnie rozwinąłem: to był pokryty folią aluminiową papier z pudełka po papierosach zawierający na odwrocie skarb. Wiersz, siostrzyczko, napisany drobnym maczkiem na części papierowej...*

Nie bój się  
Gigantów zaszypanych  
Ścinają błyskawicę  
Aby ogrzać materię  
Patrz,  
Skóra gwiazd jest miękka  
Ich równiny są nagie  
Idź, mały mężczyzno,  
Idź.  
Ta sama dłoń pięści i zabija  
Wspomnienie noża...

Zostaliśmy tylko we dwóch  
W jaskini lwa,  
Widzę tu ruiny  
Katedr  
Świetlne znaki,  
To błyskawica na naszych śladach,  
Spójrz,  
Wojna przeminęła  
Las zamilkł  
Idź, mały mężczyzno,  
Idź,

Ta sama dłoń pięści i zabija  
Wspomnienie noża!

*Wiersz taty na moje urodziny. Na piętnaste urodziny. Ostatni wiersz Daniela Calderóna... Nie mogłem go zniszczyć, siostrzyczko: ten wiersz był moim życiem. Czytałem go dziesiątki razy tego wieczoru z jakąś chorą radością, nauczyłem się na pamięć, później zwinąłem papier w kulkę i ukryłem w szparze w ścianie celi. Był niewidoczny. Oprawcy odebrali nam wolność, pozbawili nas czystości, ale nie miłości... Tydzień później w środku nocy strażnicy przeprowadzili szczegółowe przeszukanie cel, wyrzuciwszy więźniów na korytarz. Wtedy właśnie, między dwiema seriami razów, zobaczyłem zarośniętą twarz taty. Torturowali go, wiedziałem jednak, że się nie dał. Nie zamieniliśmy ani słowa, dał mi tylko uspokajający znak (musiał wiedzieć, że jest w sąsiedniej celi), wtem ktoś złapał mnie za włosy.*

*– Co to jest?!*

*Znaleźli kulkę ukrytą w szparze: mój skarb.*

*Daniel Calderón, numer więzienny 563, nie bał się umrzeć: wiedział, dlaczego tam jest. Nie dość, że nie chciał mówić, to jeszcze pisząc wiersz, złamał regulamin. Rzucił twarde wyzwanie władzom. Oprócz normalnego traktowania, razów i pikany, dodano mu wtedy głodówkę.*

*Nie wszyscy oprawcy byli sadystami czy skończonymi gwałcicielami, lecz raczej zwykłymi brutalami, którym popuszczono cugli; Turco miał być ich marionetką. Mijały kolejne dni i jeszcze następne. Wiadomo było, że osłabiony „Poeta”, jak sarkastycznie go nazywali, już długo nie wytrzyma. Ja wcześniej zaznałem takiego dotkliwego głodu w lwiej klatce, w której przez wiele dni trzymali mnie na leżąco. Najgorsza była pora zupy, kiedy szczekanie łyżek*

sprawiło, że żołądek się skręcał i do oczu napływały łzy. Turco i inni dokładali się do tego, naigrawali się z Poety przez judasza, wyśmiewali go, syci kretyni. Nadszedł wreszcie wielki dzień, na który czekał cały kraj: 25 czerwca 1978 roku. Strażnicy, oficerowie śledczy, wszyscy mówili tylko o meczu: drużyna Menottiego wygra ten pieprzony finał. Ze świetlicy, gdzie zainstalowali telewizor, dobiegały ich wrzaski. Koniec przymusowego postu albo ofiara złożona bóstwu futbolu: tego dnia Poeta dostał miskę tumbi. Strażnicy wydzierali się jak najęci: mecz zakończył się wynikiem jeden do jednego, Argentyna z Holandią będą jeszcze walczyły w dogrywce. Korzystając z przerwy, Turco ze swoją bandą wpadli do celi taty: zobaczyli pustą miskę, wylizaną do czysta, i zaczęli się śmiać jak hieny. Słyszałem z korytarza ich komentarze, lecz nie rozumiałem, co ich tak rozweseliło.

Telewizor ryczał na cały regulator, kiedy potężny wrzask powitał trzeciego gola dla Argentyny. Strażnicy nie posiadali się z radości: „Argentyna! Argentyna!”. Echo zwycięstwa potężniało na ulicach. Stadion River Plate, na którym rozgrywano mecz finałowy, znajdował się niedaleko ESMA. Strażnicy przed telewizorem za głośno krzyczeli, aby to usłyszeć, lecz głuchy dźwięk dobiegający z sąsiedniej celi, taki miarowy, ja zidentyfikowałem jednoznacznie: tato walił głową w mur.

Człowiekiem, który tłukł czaszką o ścianę i skomlał jak szczenię, był on, siostrzyczko.

Niedługo później przyszli do mnie. Turco i inni. Przedtem zaczekali, aż Poeta skończy jeść ohydną zupę, i pokazali mu, co ukrywali za plecami – na to samo patrzyłem teraz ja. Z twarzy odplynęła mi cała krew: widziałem twoją głowę, siostrzyczko. Twoją dziecięcą główkę, którą wymachiwali jak trofeum. Te bestie

*zostawiły otwarte twoje orzechowe oczy: widać w nich było jeszcze zdziwienie, które musiało cię ogarnąć w chwili, gdy ścinali ci głowę.*

*Umrzeć albo oszaleć: Daniel Calderón wolał umrzeć. Już nie uderzał zresztą głową w ścianę mojej celi. Poeta umarł na niestrawność – nie mógł strawić tego świata, nie mógł strawić ciebie w postaci gotowanego mięsa, które Turco i jego kumple dali mu do zjedzenia domieszane do tumbi...*

*Nie, ludzkie okrucieństwo nie zna granic.*

*Uwolnili mnie dwa dni później na fali radości narodowej, żebym opowiedział waszą historię. Ale nic nikomu nie opowiem, siostrzyczko. Nigdy. Nikomu prócz ciebie, mój ty maczku.*

\*

Jana z nieruchomym wzrokiem zamknęła zeszyt, przeżuwając kamyki nienawiści.

Nie, ludzkie okrucieństwo nie zna granic...

Gwiazdy mrugały nad skałą, która jakby stała w ogniu, lecz Jana nie widziała barw ani ptaków unoszących się na tle ośnieżonych szczytów, ani kolorów pustyni o zachodzie słońca. Nie widziała niczego prócz biednej dziewczynki i jej piętnastoletniego brata w cuchnących kazamatach ESMA, widziała miłość zdekapitowaną – i od tego wszystkiego z oczu płynęły jej zimne łzy. Błada jak płótno ścisnęła przeklęty zeszyt, w którym spały jego koszmary. Umrzeć albo oszaleć: Rubén przeżył. On jeden.

Ciemnogrnatowa fala ogarniała niebo, kiedy Mapucze podniosła głowę. Rubén wracał właśnie do ich obozowiska na pustkowiu z naręczem rachitycznych gałęzi. Jana przełknęła gniew, który ścisnął jej gardło, i podniosła się.

– Znalazłeś, czego szukałeś? – zagadnęła.

Rubén stał blady w świetle wschodzącego księżyca. Rzucił gałązki na kamienie.

– Nie...

– A ja tak – powiedziała.

Zdjęła obcisłą koszulkę bez rękawów, upuściła ją na piasek i stanęła twarzą w twarz z Rubénem. Jej mizerne piersi sterczały, dwa cycuszki w świetle gwiazd. Rubéna wcale nie ogarnęła litość przed niedorozwiniętym ciałem Indianki: olśniło go jej tragiczne piękno.

Jana objęła Rubéna, przywarła doń mocno i pocałowała go. Nie bała się *winka*, którzy próbowali ich zniszczyć. Mapucze stawili opór Inkom, konkwistadorom, regularnej argentyńskiej armii, hodowcom bydła i tym, którzy za opłatą obcinali im uszy, elitom politycznym i finansowym, które wykrwawiły kraj: Jana była potomkinią tych, co przeżyli.

Ich stopy przez chwilę tańczyły na piasku, Jana całowała Rubéna, całowała.

– Chodź – powiedziała wreszcie, odrywając się od niego. – Chodź...

Zrzucili ubrania, zniknął ich wstyd, przeszłość, przyszłość i to, co przeżyją razem albo nie, zniknęła wieczna samotność i słowa niewypowiedziane: kochali się drżący na stojąco, wpatrzeni nawzajem w swoje oczy, jakby mogli się zgubić, zwarli się aż do bólu, by przepędzić śmierć, która na nich dybała, i jednocześnie dostąpili rozkoszy iście demonicznej.



## 8

Elsa Calderón była jednym ze stu siedemdziesięciorga dwojga dzieci zamordowanych w czasach Narodowego Procesu Naprawy.

Nie mając wieści o rodzinie, Elena przyłączyła się do Matek z Plaza de Mayo dwa miesiące przed osławionymi mistrzostwami świata w piłce nożnej. Dzięki swej znajomości wroga szybko stała się jednym z mózgow Stowarzyszenia Obrony Praw Człowieka. Wojskowi właśnie ją atakowali w pierwszej kolejności. Najpierw cios spadł po zinfiltrowaniu stowarzyszenia przez Astiza, który podawał się za zaginionego czyjegoś brata – wtedy dwanaście osób wprowadzono po wyjściu z kościoła Santa Cruz, wśród nich pierwszą przewodniczącą stowarzyszenia i dwie francuskie zakonnice. Koniec roku 1977. Junta opublikowała fałszywy dokument, by oskarżyć Montoneros, dość prymitywny fotomontaż, który obiegił cały świat, lecz na oszustwo się nie nabrano. Zaczęły się podnosić głosy sprzeciwu. Sprawą zainteresowała się społeczność międzynarodowa. Ponieważ poruszenie, jakie wywołało zniknięcie pierwszych Matek, groziło zmąceniem futbolowego święta, postanowiono skorzystać z subtelniejszego sposobu pozbycia się tych wariatek, które miały czelność stawiać się władzy. Groźby okazały się nieskuteczne, toteż aparat represji wymyślił wielotorową zagrywkę mającą dopiec im mocno,

szczególnie Elenie Calderón.

Uprowadzenia, nielegalne przetrzymywanie w areszcie i systematyczne torturowanie były orężem stosowanym równolegle przez zhierarchizowany i zbiurokratyzowany system skutecznie siejący niespotykany dotąd terror wśród ludności; celem tych działań było również dręczenie wyobraźni żywych. Ocalałych. Rubén wiedział, że przedstawienia z egzekucją Elsy i samobójstwem ojca kanibala nie wymyślili więzienni strażnicy. Turco i jego pomagierzy byli prostymi brutalami, ciemnymi i posłusznymi. Uwalniając Rubéna, autorzy tego scenariusza chcieli uczynić z niego kolportera bólu, ocalałego świadka, który opowie swej zwariowanej matce, jak umarli jej najbliżsi, byli bowiem pewni, że prawda zabije Elenę, jak zabiła jej męża.

Umrzeć albo oszaleć. Rubén tymczasem uparcie milczał.

Od trzydziestu lat co czwartek widział, jak jego matka maszeruje dokoła obelisku na Plaza de Mayo, nieugięta w swej walce o Prawdę: nic i nikt nie skłoni ich do ustąpienia, taka była umowa. Tej umowy nie mogła złamać.

Nagość, kontakt cielesny, dźwięki, zapachy... Minęły lata, zanim Rubén był w stanie znieść okoliczności kojarzące się z torturami. Rany fizyczne dość szybko się wygoiły, psychiczne natomiast zabliźniały się znacznie dłużej: nieznośne cierpienie duchowe zastąpiło cierpienia fizyczne, których doświadczył, zgroza wnikała w niego każdym porem, aż zapragnął skończyć ze sobą, aby dać dowód wolnej woli. Daniel Calderón to zrozumiał: odebrał sobie życie od razu, waląc w mur celi głową, aż ją roztrzaskał...

On nie.

Zamyślony Rubén zapalił papierosa. Ciemność spowijała pustynię u stóp Andów, Jana spała przy ognisku owinięta w koc.

Płomienie rumieniły jej twarz spokojną po miłości, a on nie mógł zasnąć. Przez głowę mu przemykały obrazy, miał w niej mętlik zapętlających się uczuć z różnych epok. Marzenie, które chciał tchnąć w niego ojciec, zniknęło pewnego czerwcowego wieczoru w 1978 roku, radosnego wieczoru. Zdradziły go słowa. Słowa z wiersza urodzinowego, na którego zniszczenie Rubén nie potrafił się zdecydować... Napisał „Smutny zeszyt” wiele lat później jednym ciągiem, jakby się wyrwał ze śmiertelnego uścisku, a zrobił to, aby wyrzucić z siebie demony przeszłości. Pamięć o nich ukrył w szafie pod sukienkami młodszej siostry w mieszkaniu z widokiem na skrzyżowanie, na którym ich porwano. I później nie dopisał już ani słowa.

Tej nocy wszystko uległo zmianie.

Rubén wsunął gałęzie w żar ogniska i w świetle chwiejnych płomieni zrobił coś, czego nigdy by się nie spodziewał. Mając śpiącą Janę w zasięgu wzroku, otworzył zeszyt Elsy na ostatniej stronie i zaczął pisać. Minęła godzina, może dwie. Czas abstrakcyjny, obojętny na epokę, duchy dzieci i śmierć. Skończywszy, Rubén wyrwał kartkę i wyprostował się w świetle księżyca. Jana wciąż spała z zamkniętymi pięściami, skulona na piasku. Po raz ostatni zacisnęła palce na zeszycie.

Moja słodka... moja słodka siostrzyczko...

I cisnął go w ogień.

\*

Skąła Siedmiu Barw odcinała się w głębi wąwozu. Obudzili się równocześnie, owinięci jednym kocem. Z gałęzi pozostał jedynie popiół między poczerniałymi kamieniami paleniska. Nad poszarpanymi szczytami wstawał dzień. Przeciągnęli się, aby

odegnać poranny chłód, pocałowali się na dzień dobry.

– Masz lodowatą pupę – powiedział Rubén, wsunąwszy jej dłoń pod majtki.

– A ty ciepłą rękę. Brrr!

Wtuliła się w niego. Rubén nie myślał o tym, co się stało w nocy, twarz Jany już promieniała – cud młodości.

– Wyspałaś się?

– Aha...

Wstała w bladych promieniach słońca, nogi miała gołe. Wytarła nos wilgotny po nocy spędzonej pod gwiazdami.

– Wszędzie mam piasek – powiedziała, strzepując koszulkę.

Zdjęła figi, także je wytrzepała, po czym wyjęła z torby czyste, czarny bawełniany trójkącik, który nałożyła, nie okazując wstydu.

– Co jest? – zapytała, czując, że Rubén ją obserwuje.

– Nic – odparł. – Rozweselasz mnie...

– Tak... Tak – powtórzyła. – Nigdy o tym nie zapominaj.

Spróbuj. Słowo.

Wraz ze wschodem słońca wiatr się ocieplił, góry rozpościerały swoje kamienne tęcze. Rubén zbierał resztki jedzenia, którym zajęły się już mrówki, i wtedy Jana na jego torbie, która posłużyła mu w nocy za poduszkę, znalazła zgiętą na pół kartkę: kartkę wyrwaną z zeszytu, zanim przemienił się w popiół. Rozłożyła ją i poczuła, że gardło jej się ściska...

*Nie widząc w rosie*

*Nic prócz toalety skazańca*

*Brzask się rozłupał*

*Jak polano.*

*Z horyzontu pozostała*

*Tylko skorupa,*

Wyrwy,  
Oblicza grozy,  
Powłoki...  
Kto zabija psy  
Gdy smycz jest za krótka?  
Ptaki uciekły z nieba  
Na malowanym pejzażu,  
Ślady skrzydeł.  
Z ciszy  
Pozostaje tylko gwar  
Drobnymi kropkami,  
Spękane chmury  
Oblicza grozy,  
Powłoki...  
Kto zabija psy  
Gdy smycz jest za krótka?  
Pożerać słowa z ust innych  
To jak cień w twoich oczach,  
Przywieram do niego,  
Osuwam się na kolana bez modlitwy, by kochać cię w środku,  
Druga strona gwiazd tam lśni,  
Twoja skóra, zobacz, zaraz migocze,  
Dotykam jej,  
Muskam ją,  
Syce się nią,  
Jeszcze,  
To twoje przepastne serce,  
Smutek na słomie,  
W pół drogi niczego,

*Dłużę się w tobie jak marsz pod koniec dnia,  
Twe dłonie palce uda, kocham wszystko,  
Patrz,  
Moje wymięte łzy w ciebie spadają,  
Stopione lodowce,  
Wypadek przy pracy, na jedno wychodzi,  
A błyskawice z opóźnionym zapłonem gasną  
O cudownym brzasku,  
Który odchodzi  
Jednak...  
Drzewa, oddajcie gałęzie,  
Zasypcie dołki!  
Wam sprzedaję przestrzeń  
Na najburzliwszy  
Użytek  
Przypadku  
I czasu,  
Nieważne zbrodnie,  
Z drogi  
Nie oddam ani kamyka,  
Ani odłamka najmniejszego  
Posłuszny jestem rzekom  
Jeziorom  
Złotonośnym które je unoszą do morza  
Dla ciebie wydobędę ten proszek  
Sprzedawca niczego  
Na pustyni skalistej  
Albo piaszczystej,  
Z ostrego piasku,*

*Gdy stanę się znowu krzemieniem  
Dobędę szabli,  
Życie ma swoje głowy,  
I w lustrze płomieni  
Tańczących na powierzchni  
Gładkiej  
Czekam.  
Jeśli nie ty, Jana... Wiatr.*

Wiersz. Pierwszy wiersz. Dla niej... Jana trzymała w drżących palcach drogocenną kartkę: Daniel Calderón nie był już sam, jego syn także miał *el duende*. Rubén, który po tysiącokroć został zgnieciony i cudem się z tego podniósł, Rubén, zakochane widmo, które uczciwie kochała. Dla niej także wszystko się zmieniało. Nie wstydziła się już nawet brzydoty tych swoich śmiesznych piersi. Jana nigdy dotąd nie czuła się piękna – nigdy nie czuła się taka piękna...

– Czemu płaczesz?

Podszedł, ale Jana nie mogła mówić. Otarł łzy spływające jej po policzkach i ujął twarz w dłonie.

– Kocham cię – powiedział. – Kocham cię, moje ty pumiątko...

Na poparcie swoich słów zrobił lekkiego zeza. Jana uśmiechnęła się w końcu, szeroko, z oczami jak diamenty. I świat się przeobraził: ona także miała duszę marzycielki.

\*

Kamienista droga, łachy piasku, zbielełe kości na pustyni, wydłużone cienie kierujące się do szosy – w odwrotnej kolejności oglądali te same widoki co poprzedniego dnia. Byli głodni,

spragnieni, lecz nie miało to większego znaczenia. Do Uspallaty dotarli w porze, gdy pierwsze pojazdy już przemierzały główną ulicę, minęli zamknięte kasyno i zjedli śniadanie w otwartej właśnie kafejce po drugiej stronie skrzyżowania. Jajecznice na boczku, grzanki, herbatę.

– Wrócił ci apetyt – zauważyła Jana.

– Dzięki tobie, pulpeciku.

Wymienili rozbawione spojrzenia.

– Idę zrobić się na bóstwo – oznajmiła Jana wyzywająco. – Sam zobaczysz...

Rubén patrzył na jej zgrabną pupę i biodra kołyszące się, kiedy szła, zapalił pierwszego papierosa. Delikatność i zmysłowość, które kontrastowały z okolicznościami. Nie było żadnych wieści od Anity, Babć, Carlosa, za to hyundai miał być niebawem gotowy. Doprowadzili się do porządku w łazience kafejki, kupili gazetę, trochę jedzenia i wodę na drogę. Mieli do Buenos Aires trzy tysiące kilometrów w linii prostej. Powrót do rzeczywistości na razie przebiegał łagodnie. Dopiero gdy koło południa odbierali samochód z warsztatu, dopadła ich zła nowina: Eduardo Campallo popełnił samobójstwo.

Znaleziono go rano w domu z kulką w głowie.



## 9

Trzy pakt wiążały różne korpusy wojska argentyńskiego i policji: pakt o krwi, gdy trzeba było wyeliminować lub torturować dysydentów, pakt o posłuszeństwie, który łączył wszystkich w hierarchii o kształcie piramidy, oraz pakt o korupcji związany z podziałem łupów po zaginionych. Alfredo „El Toro” Grunga i León „El Picador” Angoni wzbogacili się w czasach dyktatury, odsprzedając zdobycze antykwariatom albo sklepom z rzeczami z drugiej ręki, w których przymykano oczy na pochodzenie towaru. Dobrze to były czasy – czasy łatwego pieniądza i lgnących dziewczyn.

Picador miał zaczesane do tyłu szpakowate włosy, cienki wąsik, wystające kości policzkowe; nosił odrobinę niemodne trzyczęściowe garnitury szyte na miarę i dwukolorowe buty, przez co przypominał stręczyciela z początków XX wieku. Małomówny i porywczy, wyspecjalizował się w pikanie, wynosząc ją do rangi wyrafinowanej sztuki, w której jego kumpel mógłby dostrzec przenikanie przeciwieństw, gdyby miał jakiś pomysłu. Kumpel zwany Toro. Już ojciec Tora z przyczyn atawistycznych lub z powodu wrodzonej przeciętności zmarł w najgłupszy możliwy sposób – sikał pod drzewem i drzewo się na niego zważyło. Krótkonogi krępy zadziorny Toro kierował się instynktem i uważał Picadora za przyjaciela.

Żaden nigdy nie wyróżniał się w szkole: wojsko ofiarowało im coś więcej niż przyszłość.

Razem z Hectorem Parisem zwanym Pelado tworzyli patotę, bandę zadymiarzy, jak nazywano takich jak oni. Kiedyś wspólnie porywali czerwonych na ulicach albo wyciągali ich z domów, roztrzaskali łeb niejednemu Żydowi, inteligencikowi, działaczowi związkowemu, czarnuchowi, czasami nawet na ulicy, wyciągali z ludzi zeznania szczypcami lub pikaną, pijali szampana z kieliszków ludzi, którzy się szamotali pośród zgliszczy swojego domu, wznosili toasty z okazji urodzin kolegów, wygłupiali się i robili jeszcze tyle innych rzeczy nieomal zapomnianych, że wszystko to traktowali jako wspomnienia burzliwej młodości.

Upadek dyktatury był momentem zwrotnym w ich karierze: Toro i Picador wdali się w handel luksusowymi samochodami z ambasadą Związku Sowieckiego, o mało jednak nie przyłapano ich na gorącym uczynku, tak że odeszła ich chęć do prowadzenia biznesów. W tym brakowało im doświadczenia. I za bardzo byli narwani. Woleli oddać się pod komendę Hectora Parisego, byłego oficera śledczego i mózgu ich grupy, człowieka, któremu zawsze się trafiał dobry interes.

Ten miał im się naprawdę opłacić.

Dom, który służył grupie jako baza, był wygodny, chociaż leżał trochę za bardzo na uboczu jak na ich gust. Już cztery dni gnili w wilgotnej dżungli, gdzie komary bzycały jak traktory. Parisego i innych dokądś poniosło, toteż dwaj kumple wreszcie mogli poleniuchować nad rzeką. W domu nad deltą dołączył do nich jeszcze jeden gość, niejaki Del Piro, na którego mówili „pilot”. Niewiele się odzywał i trzymał się od nich na dystans, zgrywając ważniaka.

– Czemu nie chcesz zagrać w truco? – spytał Toro jaśniepana, który siedział nadęty w trzcinowym fotelu. – *Tilingo!*<sup>[6]</sup> Co innego masz do roboty?

– Nie chce mi się i tyle – odparł zagadnięty.

Gianni Del Piro nie miał ochoty grać w karty ani w domino, ani w nic innego z tymi dwoma. Domino go wpieniało, a truco nie znał. Do szału go doprowadzały te wściekłe komary, żarłoczne bestie kęsające nawet przez ubranie. Jeszcze złapie dengę – delta była zakażona tym wirusem. Gianni Del Piro tkwił markotny nad rzeką. Zamierzał razem z Lindą wyskoczyć do Punta del Este, jak tylko skończy się ta akcja, a nie grać w domino w domu zagubionym w głuszy z dwoma ćwokami nieczułymi na ukąszenia komarów – z grubasem naprawdę odrażającym w koszuli z tłustymi plamami i z jego chudym kompanem, patentowanym milczkiem.

Akcja się przedłużyła, czego Del Piro nie przewidział. Linda, w przeciwieństwie do jego pulchnej żony, nie była z tych, które można przelecieć w motelu po pizzy na wynos. A ci, którzy nie pierwszy raz go zatrudniali, płacili na tyle dobrze, że warto było trochę zmienić plany i zarobić tyle, by wystarczyło na parę skoków w bok. Gianni Del Piro okłamał wszystkich, szefa, żonę Anabel, paru ciekawskich znajomych, ale pechowo utknął w Argentynie, bo ci tutaj nie dali mu wyboru. Z Anabel nie będzie kłopotu, co innego z piękną Lindą. Młoda kochanka czekała na niego od południa w hotelu w Punta del Este, zasypywała go esemesami, na które nie wolno mu było odpowiedzieć, a że się nie odzywał, stawała się coraz bardziej uszczypliwa. Eufemizmem byłoby nazwanie Lindy zazdrosną: zaborcza, domagająca się bez przerwy uwagi, podejrzewająca drugą stronę o nieuczciwość, jakby chwyty poniżej pasa i zdrada były z założenia nieuniknione, kupująca jego

bajerowanie o rozwodzie, póki przysięgał, że nie tyka żony. Wydzwaniała do niego kilka razy na dzień i przy pierwszym podejrzeniu, które się nasuwało jej pokręconemu umysłowi, nie wierzyła nikomu, zwłaszcza jemu, Gianniemu, swojemu włoskiemu facetowi... A trzeba przyznać, że pilot miał spore wzięcie u kobiet, którym imponował jego zawód. Lindę pewnie do szaleństwa doprowadzało, że Gianni teraz milczy. Cóż, nie mógł inaczej.

– To co? Grasz? – zawołał Toro z tarasu.

– Nie.

Pilot siedział zły pod sosnami rosnącymi na brzegu rzeki. Komary zaczynały atakować o zmierzchu, a jego szlag trafiał na myśl, że straci Lindę – ależ ona ma tyłeczek, rany! Chwilę wcześniej w pobliżu przepłynęła wodna taksówka, ale za daleko od pomostu, aby ktoś ich dostrzegł, wzbudziła tylko parę leniwych fal, które rozeszły się przy brzegu. Pierwszy statek od dwóch dni. Naprawdę zapadły kąt...

– *Putta madre!* – zaklął Toro z kartami w ręce. – Do dupy się gra we dwóch!

– No!

Na ocienionym tarasie było gorąco. Grubas z ożywieniem obrócił się do karcianego partnera.

– Mam pomysł! – zawołał szyderczo. Rzucił karty na stół. – Chodź!

Nie pytając, co to za pomysł, Picador podniósł się i poszedł za Torem do drewnianego domu. Kiedy wrócili na taras, Gianni Del Piro spryskiwał sobie ubranie preparatem One, jedynym sprajem na komary dostępnym w tej okolicy. Wyprowadzili więźnia, transwestytę, który nie mógł ustać na nogach, tak że nieśli go pod pachy.

Miguel Michellini miał tusz rozmazany na powiekach zmrużonych przed światłem wieczornego słońca przenikającym między gałęziami. Del Piro zeszywniał w fotelu: odwiązali go.

– Kurwa, co wy wyrabiacie? – ofuknął ich, krzywiąc się.

– Ha, ha, ha!

Toro rechotał transwestycie w twarz. Biedaczek, mocno się popłakał, kiedy mu przedtem dogadzał. Picador nie chciał się przyłączyć do zabawy, zostawił cudaka kumpłowi, który użył sobie ile wlezie – suknia ślubna zboczka była cała we krwi.

– No, laluniu – mówił Toro, pryskając śliną – chodź z nami zagrać!

Dźwignęli Miguela jak kukłę i cisnęli na krzesło. Transwestyta jęknął z bólu, uczeplił się brzegu stołu. Oprawcy przypominali mu warany z Komodo całą sforą napadające na łup, ohydne bestie, których ukąszenie zatruwa krew ofiary skazanej przez to na śmierć. Potwory. Oszczędzili jego twarz, aby zrobić mu potem makijaż – przecież transwestyta to jakby Barbie! – i dla hecy wymazali go fekaliami. Wyszły na zapadniętych bladych policzkach chuderlaka.

– Te, Madonna, może partyjkę w karty? – Toro chuchnął mu w nos odorem piwa.

Miguel poczuł łzy na zaschniętej skorupie na twarzy.

– Pieprz się, wieprzu.

– Ho, ho, ho! Patrzcie tylko! Wierzgamy?

Picador, nie wychodząc z roli, jedynie uśmiechnął się okrutnie. Jego kumpel zerwał się podekscytowany.

– Rozdaj karty, zaraz wracam.

Del Piro pokręcił głową, zamasyście opędził atakujące go komary. Nie uczestniczył w „roboczych seansach”, ale słyszał

rozdzierające wrzaski transa. Spodziewał się teraz najgorszego i nie zawiódł się. Toro wrócił niebawem na taras, wesoło dzierżąc w wielkich łapskach miednicę. Nie trzeba było do niej zaglądać, aby się zorientować, że zawiera gówna.

Picador, który rozdał karty na oczach przerażonego Miguela, cofnął się z krzesłem.

– Świeżutkie! – cieszył się Toro.

Zadowolony z siebie postawił cuchnącą miednicę na stole. Miguel odwrócił głowę, by nie czuć smrodu, grubas tymczasem naciągał gumowe rękawice.

– Przytrzymaj go!

Picador chwycił nieszczęśnika.

– Co wy wyczyniacie, jak pragnę zdrowia? – burknął Del Piro, spryskując się sprajem. – Wykończycie go przecież!

– Spokojna głowa! Tylko go pomagujemy! Ha, ha, ha!

Miguel nie miał sił, by stawić opór, zdołał jedynie splunąć im w twarz. Wyznał wszystko, co wiedział, nie rozumiał, dlaczego trzymają go ciągle przy życiu, dlaczego się nad nim pastwią. Zamknął oczy, kiedy Toro rozmazywał mu fekalia na twarzy.

Smród docierał aż do pomostu.

– Kurwa, ale z was wieprze! – skomentował Del Piro, nie ruszając się z fotela.

Toro tworzył rzeźbę *in vivo* zachęcany sardonicznym chichotem kumpla.

Pilot westchnął zniecierpliwiony – niedobrze mu się robiło przy tych typkach – i uciekł do domu. Niech się babrzą w gównie, skoro sprawia im to przyjemność; on zadzwoni do Lindy, póki są zajęci, na dwie minutki, żeby ją ugłaskać. Uda mu się przy odrobinie starań i szczęścia... Zapadał wieczór, komary i ćmy tłukły się

o szyby w kuchni. Gianni Del Piro zobaczył jeszcze trzech mężczyzn przy stoliku: wąłego transwestytę z kartami przyklejonymi do twarzy pomazanej gównem i dwóch pięćdziesięciolatków pokładających się ze śmiechu.

– No graj, Madonna!

Parise zadzwonił tego wieczoru. Córka Campalla nie powiedziała, że była w ciąży, kiedy poharatali tranwestytę porwanego wraz z nią po wyjściu z klubu tanga. A Calderón o tym wiedział. Kto mógł mu powiedzieć, jeśli nie ojciec dzieciaka? Była w trzecim miesiącu – taką wiadomość ujawnił Eduardo Campallo w dniu swojego samobójstwa. Parise wreszcie miał trop. A kalendarz załatwiał resztę...

---

<sup>[6]</sup> Buc, ważniak.

# 10

Abuelas de Plaza de Mayo powołały do życia w siedzibie stowarzyszenia komórkę kryzysową. Obowiązywała absolutna dyskrecja co do celu poszukiwań, połączenia telefoniczne ograniczono do minimum, wszelkie spotkania przeniesiono *sine die* z przyczyn zdrowotnych – w ich kwaterze głównej wrzało. Potargany dokument, który dostarczył Rubén, przypominał greckie pisma z czasów przedsokratejskich, ale Babcie zaczęły od wprowadzenia czytelnych nazwisk do swoich baz danych. Dokumenty szpitali cywilnych i wojskowych, archiwa, procesy sądowe, protokoły – działaczki próbowały dziesiątki razy, często na oślep, zweryfikować dane. Samuel i Gabriella Verónowie, zaginieni rodzice, nie figurowali ani w banku DNA szpitala Duranda, ani w bazach danych stowarzyszenia, co pozwalało przypuszczać, że nikt z członków rodziny ich nie poszukiwał. Czy bliskich Verónów także wchłonął aparat państwowy? Jeżeli DNA szczątków odkopanych przez Rubéna okaże się zgodne z DNA Marii i Miguela, Abuelas będą mogły oddać sprawę do sądu, zażądać ochrony dla świadków, ujawnić Eduarda Campalla i jego żonę jako apropiatorów, zmusić tych, którzy próbowali zatuszować sprawę, do wyjścia z cienia.

Ale kiedy się dowiedziały o samobójstwie biznesmena, ziemia



usunęła im się spod nóg.

Ponieważ służba miała wolne, ciało rankiem znalazła jego żona. Eduardo siedział w fotelu w gabinecie z kulą w głowie, w ręce ciągle trzymał broń. Isabel natychmiast wezwała pogotowie, lecz pocisk wystrzelony przy samej skroni rozplątał czaszkę, tak że połowa mózgu się rozprysła. Eduardo zginął na miejscu. Nie zostawił żadnego listu, ale ślady prochu, odciski palców i oparzenia wskazywały, że to on nacisnął na spust. Pistolet marki Browning należał do niego – zezwolenie na posiadanie go było ważne – toteż hipotezę samobójstwa należało uznać za bardzo prawdopodobną. W obliczu nadchodzących wyborów był to ciężki cios dla Francisca Torresa, burmistrza, który stracił przyjaciela i jeden ze swoich filarów finansowych.

Dla Rubéna i Babé była to strata najważniejszego świadka. Jeszcze jednego.

Detektyw w drodze z Andów odbył długą rozmowę z Babciami i Carlosem. Ponieważ komórka pilota wciąż milczała, mały nadzieje na odnalezienie Miguela. Śmierć Campalla zmuszała ich do zrewidowania planu batalii, a przy tym pojawiała się nowa postać: Franca Díaza.

Abuelas przeszukały swoje bazy danych po nazwisku i zdjęciu paszportowym dostarczonym przez Anitę Barragan. Znalazły człowieka z Colonii – informacje o nim Elena przesłała synowi na smartfon.

Franco Díaz, urodzony 8 XI 1941 roku w Córdobie. Wykształcenie wojskowe odebrał w Panamie (1961–1964), później służba w Santa Cruz, Mendozie, wreszcie w Buenos Aires. W kwietniu 1979 przeniesiony do SIDE, argentyńskiego wywiadu. Potem czarna dziura aż do roku 1982 i wojny o Malwiny: jako oficer

łączości w eskadrze śmigłowców Díaz zostaje odznaczony – jego oddział zajął wyspę, wzięwszy do niewoli garstkę śpiących Anglików. Świadek w procesie generałów w 1986 roku, zeznaje na korzyść generała Bignonego, jednego z głównych odpowiedzialnych za fiasko na Malwinach, podejrzanego zresztą o zniszczenie archiwów związanych z zaginionymi, zanim odszedł z grona rządzących. Franco Díaz pod koniec lat osiemdziesiątych wyemigrował do Urugwaju, gdzie żyje z godziwej emerytury wojskowej. Już nigdy więcej jego nazwiska nie wymieniono.

Bohater z Malwinów, człowiek zasadniczo nie do ruszenia. Jako agent z bliskiego otoczenia Bignonego, Díaz mógł zachować kartotekę ESMA obciążającą Campalla. W jakim celu? Zamierzał ją sprzedać mieszkającemu po sąsiedzku paparazzowi, by wywołać skandal na niespotykaną dotąd skalę? Dlaczego Díaz miałby pogrążyć człowieka, który pozostawał w dobrych stosunkach z jego dawnymi przełożonymi? Chciał się zemścić? Na kim? Na Campallu czy na kimś innym figurującym w sławetnej kartotece? Rubén na smartfon otrzymał zdjęcie Díaza z procesu w 1986 roku, od Anity wcześniej dostał jego fotografię z paszportu. Díaz niewiele się zmienił: ta sama pospolita twarz, wzrok bez wyrazu, łysina. Wypłoszony z Colonii był agent SIDE wrócił do Argentyny. Rubén nie wiedział na razie, czy facet próbuje sprzedać czy oddać oryginalny dokument osobie trzeciej, skoro jednak zaryzykował powrót na miejsce zbrodni, być może doprowadzi ich prosto do tego, kto pociąga za sznurki...

Drogą krajową pędziły na przemian wielkie ciężarówki z naczepami i cysterny. Jana prowadziła w skupieniu, przednią szybę pokrywał pomarańczowy pył przywieziony z Andów. Po odebraniu hyundaia z warsztatu w Uspallacie jechali niemal bez

przerwy, zmieniając się za kierownicą. Kilometry drogi umykały monotennie. Po nerwach na posterunkach policyjnych na granicy między prowincjami noc spędzona na pustyni wydawała się taka odległa... Rubén zmęczony skwarnym dniem drzemał z głową opartą o szybę, a może ostro kombinował z zamkniętymi oczami. Pograżona w myślach Jana pilnowała lusterek. Tamtej nocy coś się stało: jedno z najważniejszych wydarzeń w jej życiu... Czemu więc jest taka smutna? Taka smutna i taka szczęśliwa? Płonący w niej ogień mógł ją doprowadzić do szaleństwa, czuła go we wszystkich porach skóry, parszywej indiańskiej skóry, którą *winka* rzucili psom... „Kto zabija psy, gdy smycz jest za krótka?” Będą wolni. Niedługo.

Słońce zalewało światłem równinę. Mapucze wysunęła rękę przez opuszczoną szybę, aby trochę ją ochłodzić, położyła na powrót na kolanie śpiącego Rubéna i pozwoliła jej się smażyć.

„Buenos Aires 350 km”.

\*

Jo Prat przez cały wieczór grał z zatkanym nosem. Każdy koncert na powietrzu oznaczał potężny katar, tak że piosenkarza nie wzruszyły nawet podekscytowane piski trzech fanek, które przeżyły cycki przed samą estradą. Był zlany potem w dopasowanym skórzanym komplecie, a kiedy schodził ze sceny, dostał ataku astmy. Uciec. Uciec od tych ludzi, dla których liczyła się tylko jego miniona sława.

Jo Prat wciągnął dwie dawki ventolinu i ukradkiem wymknął się z festiwalu wyjściem dla VIP-ów. Tego wieczoru nie miał ochoty na seks, a tym bardziej na rozmowy z obcymi. Wciągnął jeszcze jedną dawkę ventolinu, trzecią, aby zapobiec nadchodzącego kolejnemu

atakowi. Może się starzeje albo przeforsował się tego dnia, przesadził, nieważne, w każdym razie marzył, by wreszcie się znaleźć w hotelowym pokoju, cichym niedużym apartamencie lekko trącącym myszką w zamożnej dzielnicy Belgrano, gdzie nikt go nie rozpozna. Weźmie prysznic, walnie się do łóżka, wyłączwszy klimatyzację, i będzie spał, póki katar nie minie.

Mieszkanie w hotelu nawet mu odpowiadało. Calderón i ta Indianka, która była świadkiem, siedzieli u niego od paru dni, a on obnosił wprawdzie wyniosłą minę, ale czuł się naprawdę przybity śmiercią Marii Victorii. Biedna mała. Kto by pomyślał? Jo nie mógł się pozbierać. Chociaż mu się nie przyznała, że jest z nim w ciąży (bardziej pragnęła dziecka niż męża), nosiła w sobie jego cząstkę, a nie wybrała go przypadkiem. Jego zdjęcia wisiały u niej – mimo wszystko był to jakiś dowód wdzięczności, może nawet głębszego uczucia. Jo obiecał premię detektywowi, jeżeli odkryje, jakie naprawdę były okoliczności jej śmierci. Calderón chwilowo się nie odzywał, lecz Jo miał do niego zaufanie – facet wyglądał na równie gniewnego jak swego czasu piosenki Prata.

Jo ze zwieszoną głową pociągał nosem, idąc z rękami w kieszeniach skórzanych spodni. Przeszedł przez kilka bramek z identyfikatorem na szyi. Kiedy wychodził z parku Lezama, towarzyszył mu księżyc w drugiej kwadrze. Jo rozmyślał o Marii, o dziecku, które umarło razem z nią, gdy naraz zatrzymał go zmierzający z naprzeciwka człowiek.

– Jo Prat? – zapytał.

Rockman podniósł głowę: stał przed nim rosły facet o dziobatej twarzy, łysy, około sześćdziesiątki. Bardzo się starał wyjść na uprzejmego. Upierdliwiec.

– Przykro mi, spieszę się – rzekł Jo.

– Córka Campalla to pana dziewczyna? – zapytał obcy z chytrym uśmiechem.

Muzyk poczuł na ramionach ołowiany ciężar. Człowiek, który go zaczepił, sprawiał naprawdę niemiłe wrażenie.

– Jeśli jest pan dziennikarzem, proszę przekazać czytelnikom, że nie mam nic do powiedzenia... – Zaniósł się kaszlem. – Podobnie jak policji.

Chciał iść dalej, lecz drągał zagroził mu drogę.

– Tyś jej zmajstrował dzieciaka, co? – rzucił z poufałą napastliwością.

– Głuchy pan? Nie mam nic do powiedzenia.

– Trzeci miesiąc – ciągnął nieznajomy. – Sprawdziłem daty na jej stronie: byliście razem w trasie, jak zaszła. Ty jesteś ojcem. Facetem Marii Campallo, który wygadał wszystko Calderónowi.

Parise widział tę twarz u fotograficzki, kiedy przetrząsał jej mieszkanie, czarno-białe odbitki zawieszona na sznurku jak trofeum. W chwili porwania nie pokojarzył faktów, lecz przedśmiertne wyznania Campalla na temat córki dały mu do myślenia.

Rockman się skrzywił.

– Dla kogo pan pracuje? Dla jej ojca? Wkurwiasz mnie, człowieku! – huknął ochryłym głosem. – Przepuść mnie!

Bolały go płuca, nie zachował czujności – facet o kredowej twarzy złapał go naraz za rękę i w mgnieniu oka zręcznym chwytem unieruchomił. Jo próbował się uwolnić, ale osiłek nie popuszczał – przytrzymał go przedramieniem za gardło tak mocno, że Prатовi łzy napłynęły do oczu.

– Pusz...czaj! – wycharczał.

Parise pociągnął go pod drzewa w pustej alejce parku.

– Calderón wszystko z ciebie wyciągnął, hę? – syknął.

– Odwal... się.

Uchwyt miażdżył mu tchawicę, nie dopuszczał powietrza do płuc. Jo już się dusił, a łysy zdawał się dysponować iście herkulesową siłą. Prat próbował się wyrwać, daremnie jednak. Czuł na twarzy mentolowy oddech napastnika.

– Córka Campalla o czymś ci powiedziała – mówił Parise łagodnie. – O czymś bardzo ważnym. Niedługo przed zniknięciem.

– Nie... widziałem... jej.

– O pewnym dokumencie ci powiedziała – ciągnął draęał, nie zwalniając uchwytu. – Dotyczył jej starych. Maria Victoria na pewno ci o tym powiedziała. A ty powiedziałeś z kolei Calderónowi.

– Nie! – wystękał Jo.

Parise przelotnie rozejrzył się po parkowej alejce – była nadal pusta. Zwolnił uchwyt, którym unieruchamiał ofiarę, zacisnął pięść i przyłożył Pratowi w żołądek. Uderzenie było paskudne, pozbawiło muzyka resztek tchu.

– Nie wierzę – oznajmił były oficer śledczy.

Jo Prat trzymał się za brzuch, bezskutecznie próbując złapać powietrze. Czuł się jak żołnierz na linii ognia. Nerwowo sięgnął do kieszeni po zasobnik z ventolinem i przystawił go do ust. Nie zdążył zaczerpnąć życiodajnego leku – Parise wyrwał mu inhalator z ręki.

– Gadaj, co wiesz, to ci oddam. Ty nająłeś Calderóna?

Jo czuł, że umiera. Kiwnął głową. Teraz dusił się na dobre.

– Tak...

– Gdzie on jest?

– Nie... wiem...

Zanim Prat zdążył zareagować, draęał sprawnie przeszukał mu

kieszenie. Znalazł nieduży portfel i klucz z hotelu Majestic w dzielnicy Belgrano. Dziwne. Z tego, co wiedział, rockman mieszkał w Buenos Aires, w dokumentach widniał adres w Palermo Hollywood.

– Czemu mieszkasz w hotelu, co? Czemu nie śpisz w domu? – Potrząsnął inhalatorem przed szklistymi oczami piosenkarza.

Jo bezwzględnie natychmiast potrzebował lekarstwa. Chwyił za rękę dragala, który widząc, że purpurowy na twarzy muzyk nie może słowa wykrztusić, przystawił mu ventolin do ust. Jo łapczywie wciągnął zbawczy lek, który pozwolił zaczerpnąć tchu, lecz napastnik zaraz zabrał mu inhalator z drżących rąk.

– Jeszcze... – wydyszał Jo. – Muszę... jeszcze...

Sapał jak lokomotywa, ledwie trzymał się na nogach – patetyczna kukła osuwająca się na cierniowy dywan. Parise namyślał się chwilę: Calderón nie pojawiał się w agencji, dziewczyna, która mieszkała z transwestytą, gdzieś zniknęła, obserwacja lokalu Babć nic nie dawała. Detektyw widocznie znalazł dla swojego świadka i dla siebie metę, z której mógł swobodnie operować.

– Wiesz, gdzie jest Calderón – wywnioskował Parise.

Jo nie odpowiedział, patrząc błagalnie, ale facet trzymał go na odległość wyciągniętej ręki.

– Pomieszkuje u ciebie, co? – ciągnął Parise. – Dlatego ty przeniosłeś się do hotelu.

Bliski paniki Prat przytaknął. Wyciągnął dłoń do inhalatora. Nie miał sił, zaraz się udusi. Parise uśmiechnął się w skrywającym ich cieniu drzewa. Jego ludzie czekali w vanie w okolicy bramy.

– Dzięki za info.

Uśmiechnął się w mroku. Rozpylając lekarstwo w powietrzu, aż

się skończyło, patrzył, jak piosenkarz się dusi, leżąc na mchu...

\*

Wieżowce Buenos Aires skrywał smog, kiedy hyundai wjechał na obwodnicę. Siódma rano w okolicach stolicy. Czarne spaliny wylatujące z rur wydechowych, dychawiczne gruchoty, amerykańskie ciężarówki z błyszczącymi chromowanymi elementami... Rubén i Jana minęli betonowe blokowiska obwieszane praniem schnącym w zanieczyszczonym powietrzu, po czym wjechali na Rivadavię, jedną z najdłuższych ulic na świecie – czterdzieści tysięcy numerów.

Dotarli do miasta w porze, gdy *cartoneros* wracali do siebie.

Raúl Sanz czekał na nich w EAAF, Centrum Antropologii Sądowej stworzonym w roku 1984 pod kierownictwem Clyde' a Snowa, amerykańskiego antropologa i lekarza sądowego, który służył Argentyńczykom wiedzą i umiejętnościami oraz wykształcił swoich następców. Ta niezależna organizacja współpracowała w ponad czterdziestu krajach z różnymi instytucjami rządowymi i pozarządowymi. Rubén pod egidą Raúla Sanza nauczył się balistyki, genetyki, archeologii, ekshumacji i identyfikacji szczątków, lokalizowania grobów i rekonstrukcji faktów na podstawie ułożenia ciał, przedmiotów znalezionych na miejscu zbrodni, odzieży, złamań... Raúl, czterdziestolatek zawsze zapięty na ostatni guzik, pocałował Janę w rękę, potem uścisnął dłoń przyjacielowi.

– Zastanawialiśmy się, czy przyjdziecie – powiedział, zapraszając ich do swojej jaskini.

– My też – odparła Jana.

Raúl zerknął pytająco na Rubéna, który dał znak, aby nie drążył



tematu. Postawił torbę na biurku antropologa.

– Ooo, Święty Mikołaj dzisiaj chodzi – uradował się Sanz, zajrzawszy do środka.

Czaszki nie ucierpiały zanadto mimo różnych przejść w czasie podróży. Sanz wyciągnął je jak kociaki z kojca. Zapewnił, że wyniki badania DNA będą za dwadzieścia cztery godziny. Przy czarnej kawie jeszcze chwilę pogadali, po czym Jana i Rubén pożegnali jego ekipę w komplecie i samego Sanza, który odprowadził ich do holu budynku – o dziesiątej byli umówieni w siedzibie Babé z działaczkami stowarzyszenia i Carlosem, zdążą więc wpaść do mieszkania, wziąć prysznic i nakarmić Ledzepa...

– Biedak, pewnie obwąchuje pustą miskę i zastanawia się, co ci ludzie wyczyniają – mówiła Jana po drodze.

– Nie zaszkodzi mu, jak schudnie ze dwa, trzy kilo – odrzekł Rubén. – Jego panu też by się to przydało.

– Paskudo, nie każdy ma szczęście trzymać linię jak ty.

Przeczesała mu włosy palcami, w zamian otrzymała zmęczony uśmiech. Nie zdołała powstrzymać ziewnięcia. Oby jak najszybciej dojechali.

Z wyjątkiem wcześniej otwieranego kiosku na rogu sklepy przy calle Gurruchaga były jeszcze zamknięte. Dwa razy okrążyli kwartał budynków, nim zaparkowali samochód.

Atmosfera w cichym mieszkaniu była jakaś odmieniona, jakby strasznie dawno ich tu nie było. Torby z rzeczami zostawili przy wejściu. Rubén podszedł do okna z zaciągniętymi zasłonami, wyrztał na zewnątrz: wzdłuż chodnika widział tylko zaparkowane puste samochody.

– Co jest?

– Nic... Nic.

Ze zmęczenia wyobraźnia płatała mu figle. Albo z nerwów. Jana w przelocie musnęła wargami jego usta, aby się rozluźnił.

– Idę pod prysznic.

Zabrała swoją torbę z przedpokoju, zastanawiając się, gdzie się podział Ledzep – stary kocur pewnie spał w jakiejś szafie. W sypialni Jo Prata zasłony były także zaciągnięte, róże zwiędły z gorąca. Jana położyła trzydziestkęósemkę na stoliku nocnym, wyjęła czyste ubrania. Spod łóżka dobiegło ją miauknięcie. Schyliła się i zobaczyła dwoje błyszczących oczu.

– Co tu robisz, kotku?

W odpowiedzi Ledzep prychnął jej w twarz.

Idąc po szklanych schodach, Rubén odebrał połączenie od Anity. Po głosie zaraz wyczuł, że policjantka nie ma dobrych wieści. W parku Lezama znaleziono Jo Prata. Martwego. Ciało znalazł wolontariusz pracujący przy festiwalu i natychmiast wezwał pogotowie. Według wstępnych oględzin przyczyną śmierci był atak astmy – w pobliżu leżał pusty zasobnik z ventolinem.

– Cholera.

– Gdzie jesteś? – niespokojnie spytała Anita.

– U niego.

Marokańska lampa obrzucała przytłumionym światłem sypialnię. Jana już miała się rozebrać, lecz coś ją powstrzymało. Wciągnęła nosem powietrze. Przedmioty były znajome, nagle jednak straciła zdolność oddychania... Cofnęła się: w mieszkaniu ktoś był! Wśród ścian wisiał odór potu. Coraz silniejszy. Chwyliła rewolwer leżący koło flakonu z uschniętymi kwiatami, wyczuła po lewej czyjąś obecność.

– Jak się ruszysz albo krzykniesz...

Strzeliła, nie celując. Pocisk z trzydziestkiósemki trafił w ścianę,

posypał się tynk. Nie zdążyła ponownie nacisnąć na spust – dwa harpuniki paralizatora ukłuły ją w szyję.

– *La concha de tu hermana!* – zaklął cicho Toro, trzymając się za ucho.

Sparalizowana Jana zatoczyła się na stolik nocny. Z łazienki wyskoczył Picador zlany potem w trzyczęściowym garniturze. Na wywatowane ramię marynarki skrzywionego Tora kapłała krew ze zranionego ucha. Dziewczyna wstrząsana konwulsjami leżała koło łóżka. Picador postawił na podłodze walizeczkę, wyjął gotową do użycia strzykawkę i rzucił grubasowi opatrunek z plastrem.

– Ruszaj się, kurwa!

Rubén rozmawiał z Anitą na tarasie, kiedy huknął strzał.

– Co się dzieje? – krzyknęła Anita. – Rubén!

Obrócił się i znalazł twarzą w twarz z dwoma bandziorami, którzy wpadli przez przesuwane drzwi: jeden był wysoki łyсы, drugi miał nos zaklejony opatrunkiem. Na tego z opatrunkiem Rubén się rzucił w chwili, gdy facet naciskał na spust, o włos uniknął trafienia i unieruchomił go, owinąwszy ramię wokół jego szyi. Parise wycelował z tasera, lecz Calderon szarpnął Puela do tyłu, osłaniając się nim jak tarczą.

– Zejdź mi z linii strzału! – syknął Parise. – Do kurwy nędzy, zjeżdżaj!

Puel, który kiedyś służył w komandosach, czuł w karku trzeszczenie kości. Kopniakiem do tyłu pozbawił równowagi Calderóna i obaj polecili na bambusową ściankę tarasu. Pod ich ciężarem przepierzenie ustąpiło. Spadli trzy metry niżej na taras sąsiadów.

Depcząc kwiatki i krzewy, Parise przypadł do murku. Puel i Calderón walczyli koło białego plastikowego stołu, który

zamortyzował upadek. Zmagali się dziko, ziejąc nienawiścią, przewagę zyskiwał raz jeden, raz drugi. To była walka na śmierć i życie. Parise bał się strzelić – ruchliwy cel nie dawał pewności, że pocisk trafi gdzie trzeba. Skoczyć też się bał, nie miał bowiem pewności, czy uda mu się wrócić na taras. Tamci dwaj przetaczali się po kamiennych płytach, żaden nie zyskiwał przewagi. Puelowi przeszkadzał opatrunek na nosie, ale tym razem nie popuści: Rubén już leżał na ziemi blokowany przedramieniem wbitym w szyję. Z krzykiem jednak się oswobodził i błyskawicznie dłonią na płask przywalił napastnikowi w złamany nos. Spod opatrunku popłynęła krew, a Puelowi jakby ktoś wbił w mózg rozżarzony pręt. W mgnieniu oka Rubén go unieruchomił. Odetchnął głęboko, by wyrzucić z siebie nienawiść spinającą mięśnie, chwycił go za szyję, już miał skrócić mu kark i... naraz zastygł: na tarasie było dziecko.

Maluch w kąpielówkach patrzył, jak się szamotali, trzy-, może czterolatek równie zdziwiony jak Rubén, spoglądający niebieskimi oczętami spod czapki z daszkiem na kręconych włoskach.

Rubén chwycił przeciwnika za zuchwę i powyżej potylicy i jednym ruchem skrócił mu kark. Głowa mężczyzny bezwładnie opadła na pierś.

Przez sekundę nic się nie działo.

Dzieciak także ani drgnął.

Po czym z mieszkania dobiegł kobiecy głos:

– Emiliano!... Emiliano, gdzie jesteś?

Wychylony z tarasu powyżej Parise dobył automat. Już miał strzelić, licząc, że trafi Calderóna, gdy zobaczył dzieciaka w disnejowskich spodenkach, cholernego smarkacza, który na wszystko patrzył.

– Emiliano, gdzie jesteś, skarbie?

Wiatr wydymał białe zasłonki w drzwiach na taras sąsiadów. Parise przeniósł wzrok na Calderóna, który osłonięty ciałem Puela na oślepek szukał pod jego kurtką broni.

– Emiliano!

Parise zmełł w ustach przekleństwo. Hałas poderwie na nogi całą dzielnicę, matka dzieciaka była coraz bliżej, a nie mógł zlikwidować wszystkich świadków. Klnąc, wycofał się, zbiegł po szklanych schodach. Toro ocierał krew kapiącą mu na wątpliwej czystości marynarce, jego kumpel ciągnął dziewczynę do wyjścia. Była uśpiona, zakneblowana, ręce i nogi miała skrępowane taśmą. Nie ma czasu na zajmowanie się Calderónem.

– *Vamos, vamos!* – rozkazał dowódca.

Etcheverry czekał w vanie zaparkowanym na drugiego.

Rubén uchwycił wzrok łysego, kiedy morderca mierzył do niego z automatu. Namacał w końcu broń pod pachą zabitego, wyrwał ją z kabury, lecz zanim zdążył strzelić, Parise znikł.

Chłopczyk ciągle się na niego gapił, nie zważając na wołanie matki.

– Emiliano!

Zza zasłonki wyłoniła się młoda kobieta. Krzyknęła zaskoczona widokiem na tarasie. Rubén zepchnął z siebie trupa, ocenił sytuację. Mur miał dobre trzy metry wysokości, nie da rady wspiąć się po nim na taras piosenkarza. Kobieta przypadła do dziecka, osłoniła je drżącymi rękami.

– Nie róbcie nam krzywdy... – jęknęła. – Proszę...

W ramionach matki chłopczyk się rozplakał.

Rubén wetknął za pasek berettę mordercy, przesunął stół ogrodowy pod białą łuszczącą się ścianę, na nim umieścił plastikowe krzesło i wspiął się na chwiejną konstrukcję, modląc się,

by na górze nikt nie czekał. Przerazona kobieta patrzyła na niego, ściskając dziecko, jakby mogło odfrunąć. Rubén uchwycił się kawałka wyłamanej przepierzenia i mocno się wysilając, zdołał się podciągnąć na taras Prata. Był pusty, drzwi rozsunięto szeroko. Rzucił się biegiem do schodów z palcem na spuście beretty.

W kuchni i salonie nie było nikogo. Rubén pobiegł do sypialni, zobaczył płócienną torbę na łóżku, zwiędłe róże rozsypane na podłodze. Ledzep jak strzała wypadł z kryjówki prosto na korytarz, ślizgając się na parkiecie. Rubén z berettą gotową do strzału zajrzał do przyległej łazienki – pusta. Wydało mu się, że z ulicy dolatuje pisk opon. Rzucił się do salonu, do drzwi prowadzących na balkonik. Serce waliło mu jak młot.

Za późno: samochód napastników zniknął za rogiem ulicy. Zanim dotrze do swojego wozu, oni będą już daleko...

Dopiero po kilku sekundach dotarła do niego prawda i wtedy Rubén zmienił się na twarzy. Jana!...

# 11

Siedzący w tyle kabiny samolotu Toro zaciskał zęby. Ta kurewka o mało nie zrobiła mu dziury w głowie: gdyby pocisk poszedł odrobinę bardziej w lewo, pożegnałby się na zawsze z premią. Teraz ucho pulsowało bólem, krew nadal ciekła, chociaż tamował ją chusteczką. Siedzący obok niego Picador śmiał się szyderczo.

– A mówią, że głuchnie się od trzepania konia! – zawołał, przekrzykując warkot maszyny.

Wkurzony Toro wzruszył ramionami.

Przed nimi siedział Etcheverry pogrążony w ponurych myślach: pełniący rolę kierowcy vana szef grupy operacyjnej, której bazą była Colonia, stracił właśnie swojego najlepszego człowieka. Puela, którego oglądał w działaniu, gdy godzinami bił słowiańskiego potężnego osiłka (dziw natury – jego kości za nic nie chciały się połamać, a Puel zatłukł go na śmierć, bijąc niemal bez wytchnienia); Puela, którego nie dalej jak w zeszłym tygodniu Etcheverry wyłowił z rzeki, kiedy inni podkładali ogień pod dom. I ten Puel nie żył. A co gorsza, musieli zostawić jego zwłoki...

Etcheverry nachylił się do pilota.

– Kiedy dolecimy?

– Za jakiś kwadrans – odparł Del Piro.

Lecieli nad deltą, paskudnym obszarem zarośniętym dzunglą

pociętą błotnistymi odnogami rzeki. Del Piro na gwałt musiał przylecieć do Buenos Aires, przywożąc wodnopłatem dwóch oprychów, których w pilnowaniu więźnia zmienili ludzie szefa. Dowodzący akcją Parise siedział koło pilota z nogami przyciśniętymi do pulpitu, twarzą ukrytą za szerokimi ray-banami. Właśnie skończył rozmawiać przez komórkę – szef jak zwykle go obsobaczył. Calderón ciągle bujał się w naturze, jeden z ich ludzi został na deskach, w sumie udało im się tylko porwać dziewczynę. Nikt nie zwracał na nią uwagi, była „paczką” rzuconą w głębi kabiny.

W słoneczny dzień turbulencje były niewielkie. Jana się ocknęła, czując się jak wąż w formalinie. Ręce i nogi miała skrępowane, w mózg wgryzał jej się warkot silnika. Samolotowego? Leżała na podłodze z mięśniami jeszcze obolałymi po porażeniu prądem, umysłem zamglonym. Czymś ją nafaszerowali. Bez dwóch zdań. Powiodła wzrokiem ku przedniej części kabiny, zobaczyła jedynie głowy wystające nad oparciami siedzeń. Cztery plus pilota. Wydało jej się, że rozpoznaje grubasa, który przyciskał do ucha zakrwawioną chusteczkę. Poczowała, że znowu odpływa – w oczach jej pociemniało i niepostrzeżenie zapadła w nicość.

W czarną dziurę.

\*

Dom stał na południowym brzegu wyspy zagubionej w dżungli delty. Kanał był tutaj dość wąski, ruch prawie żaden. Drzewa zwalone przez wiatry tarasowały drogę wodnym taksówkom, które pływały po odgałęzieniach rzeki, najbliższa ludzka sadyba znajdowała się w odległości wielu kilometrów. Na wyspie roiło się od komarów, które atakowały, ledwie słońce zaczynało się chylić ku



zachodowi.

Del Piro zaparkował wodnopłat przy pomoście na drugim brzegu, w miejscu gdzie lustro wody, szersze i nie tak bardzo zarzucone gałęziami, pozwalało wodować. Samolot kołysał się sennie na pływakach po porannym locie. Cała ekipa zgromadziła się na wyspie w estuarium: Parise, szef ochrony zamkniętego osiedla Santa Barbara w Buenos Aires; Toro i Picador, jego podkomendni od zawsze; były porucznik Etcheverry odpowiedzialny za grupę operacyjną w Urugwaju; Frei, który uwięziony w gipsowym kołnierzu poruszał się z wdziękiem wieżyczki czołgu; wreszcie Gómez i Pina, którzy daremnie czatowali przed agencją Calderóna.

Szef, generał Ardiles, przybył drogą wodną poprzedniego wieczora w różowej koszulce polo firmy Lacoste i okularach marki Porsche, w towarzystwie małomównego goryla, niejakiego Durana, oraz jak zwykle dziarskiego doktora Fillola – Jaimego „Pentotala” Fillola, jak piloci go nazywali swego czasu. On właśnie w 2005 roku operował swego przyjaciela Ardilesa w prywatnej klinice, on wystawił staremu generałowi zaświadczenie, że nie może się osobiście stawić w sądzie. Ale też Fillol zawdzięczał mu część tego, co posiadał – kliniki wyposażonej w najnowocześniejsze urządzenia, gotówki na kontach w zagranicznych bankach, młodszej żony... Nie lubił wracać do przeszłości, lecz on także figurował w kartotece ESMA wykopanej skądś przez córkę Campalla. Fillol trzydzieści pięć lat wcześniej odbierał poród jej matki, przyjął jej chorego brata na świat. Osobliwe spotkanie... Pamiętał zwłaszcza fioletową główkę noworodka, owiniętą na szyi pępowinę i swoje czynności, by ratować dziecko. To jego zawód. Serce oseska ucierpiało, nie zanosilo się, by malec długo pożył, a jednak mu się udało: Fillol miał go przed sobą teraz, trzydzieści

pięć lat później. Patrzył na Miguela Michelliniego. Tak, osobliwe spotkanie...

– I co myślisz, doktorze?

Fillol przełknął ślinę, patrząc na kukłę rozciągniętą na masywnej ławie, poskładał stetoskop.

– Serce słabe – powiedział – ale powinno jeszcze trochę wytrzymać.

Leandro Ardiles mamrotał coś pod nosem, siedząc na niewygodnym krześle. Zorganizowana w ostatniej chwili operacja zakończyła się częściowym fiaskiem, ponieważ detektyw ciągle chodził wolno...

– No dobra – rzekł generał do łysego, który prowadził przesłuchanie. – Nie traćmy czasu.

Kiedy wcześniej Jana znów się ocknęła, jeszcze otępiała stwierdziła, że znajduje się w pokoju z zasłoniętymi oknami, a ręce i nogi ma przywiązane plastikowymi opaskami zaciskowymi, które wrzynają jej się w skórę. Leżała naga na metalowym blacie ławy. Nie wiedziała, gdzie ją przywieziono ani co się stało z Rubénem. Oszołomiona jeszcze narkotykiem, potrzebowała kilku sekund, aby sobie uświadomić, że nie jest sama: naprzeciw widziała twarz trudną do rozpoznania pod maską z wyschniętego łąjna – twarz Miguela. I to, co pozostało z transwestyty przywiązanego do ławy naprzeciwko. Biała sukienka była potargana, poplamiona krwią, ale Miguel oddychał. Jana nie zdążyła się do niego odezwać: do pokoju wkroczyło kilku mężczyzn, otoczyli Miguela, jeden osłuchiwał go stetoskopem. Na nią nie zwracali uwagi.

Przełknęła ślinę. Pod plecami czuła metalową płytę. Stali w pięciu nad nieszczęśnikiem: stary w koszulce Lacoste'a, o bezbarwnych włosach i ostrym spojrzeniu; drugi też stary, pewnie

lekarz, bo chował stetoskop; dalej łysy drałgal o dziobatej cerze; facet w typie syfiastego alfonsa; i wreszcie grubas o nalanej twarzy, ten, który powalił ją w sypialni Jo Prata. Zaraz zainteresowali się Janą rozciągniętą na ławie naprzeciw Miguela.

Toro obrzucił wzrokiem ciało Indianki, zatrzymał się na piersiach.

– Ale cycata!... – zakpił.

Dupek.

– Do roboty – ponaglił go Parise.

Są ludzie, którzy mogą wytrzymać niewyobrażalny ból fizyczny, mało kto natomiast potrafi znieść spokojnie ból zadawany drugiej osobie, zwłaszcza bliskiej – zwykle kobieta, której dziecko kładziono na brzuchu, by poddać je torturowaniu elektrycznością, wyznawała wszystko po pierwszym wrzasku dzieciaka.

Picador rozłożył maszynkę. Pikanę – podłączone do akumulatora dwa miedziane zaciski, które oprawca przystawiał do najwrażliwszych części ciała: odbytu, genitaliów, dziąseł, sutków, uszu, pach, nozdrzy. Sposób nie był nowy, już w latach trzydziestych XX wieku niejaki Lugones, komisarz policji i syn wielkiego poety argentyńskiego, przetestował urządzenie. Francuscy śledczy wracający z wojny algierskiej znacznie je unowocześnili.

Miguel rozplakał się cicho, gdy Picador przypiął mu zaciski do uszu. Parise nachylił się nad półprzytomną ze strachu Janą.

– Posłuchaj, Indianko. Powiesz wszystko, co wiesz, łącznie z imieniem matki, jeśli je znasz, i nie próbuj kłamać. Spiesz się, a ja nie grzeszę cierpliwością – ostrzegł z krzywym uśmiechem. – Co oznacza, że przy pierwszej złej odpowiedzi twój kumpel pedzio zamieni się w elektrownię, rozumiano?

Jana miała ściśnięte gardło. Kiwnęła głową potakująco, widząc na wprost błagalne spojrzenie Miguela.

– Kto naprowadził Calderóna na ślad? Córka Campalla?

– Nie... nie wiem.

Parise klasnął językiem, co Picador zinterpretował odpowiednio.

– Nie wiem! – krzyknęła Jana. – Nie wiem, to on do mnie przyszedł!

– Kto jeszcze wie o sprawie?

– Abuelas.

– Kto jeszcze?

– Jakaś policjantka... Anita, nie wiem, jak się nazywa. Koleżanka Calderóna... Pomaga mu w dochodzeniu. Nic więcej nie wiem, on mi o niczym nie mówił.

– Kto jeszcze?

– Nikt!

– Kto jeszcze?!

– Nikt, do kurwy nędzy! Nikt!

Na znak szefa Picador uruchomił pikanę. Miguelem rzuciło na żelaznej płycie.

– Mamo!... Ma-mo!...

Toro się uśmiechnął – wszyscy w końcu wzywali matkę.

– Nikt!... – powtarzała Jana z płaczem. – Nikt... Przestańcie... przestańcie, do cholery!

Miguelem ciągle rzucało. Jana zamknęła oczy, lecz wrzaski przyjaciela rozdzierały jej serce. Wreszcie odłączono prąd.

– OK – podjął Parise. – Gadaj teraz, jak wpadliście na Montañeza.

Miguel skomlał jak szczenię, Jana była bliska obłądu.

– Nazwisko... nazwisko było w kartotece – odparła Jana,

odwracając wzrok. – W kartotece... zaginionych.

Parise obejrzał się na generała Ardilesa zajmującego honorowe miejsce na krześle. Chuda twarz wojskowego przybrała szarawą barwę. Generał dał znak, by przesłuchanie kontynuowano.

– Calderón znalazł szczątki?

– Ma czaszki...

– Żeby porównać DNA ich i Marii Campallo?

– Tak. Tak.

Jana dyszała ciężko, musiała znajdować odpowiedzi na pytania.

– Skąd się wzięła ta kartoteka?

– Z ESMA.

– To wiem – burknął łysy. – Pytam, skąd wyście ją wzięli!

– Od starej – wyszeptała Jana. – Od praczki, miała kopię.

Parise skrzywił się szpetnie: stara wiedźma... A przecież przeszukali całą pralnię.

– Calderón ma oryginał? – zapytał.

– Nie, tylko kopię.

– Łżesz, *India de mierda*.

– Nie! Nie! – zapewniła Jana.

– Więc gdzie jest oryginał?

– U Díaza! – przypomniała sobie. – U Franca Díaza!

Parise znowu obejrzał się na szefa, który w odpowiedzi skrzywił się z powątpiewaniem – najwyraźniej nazwisko nic mu nie mówiło.

– Co to za jeden, ten Díaz? – kontynuował przesłuchanie Parise.

– Sąsiad Ossaria. W Colonii. Uciekł zaraz po ataku – mówiła Jana z oczami pełnymi łez. – Kiedyś był w tajnych służbach. Weteran z Malwinów. Nie znam go – dodała szybko. – Nigdy go nie widziałam.

– A Calderón?

– Też nie. Szuka go.

Generał Ardiles zapisał nazwisko w notesie.

– Calderón chciał skompromitować Campalla, ale Campallo nie żyje – podjął Parise. – Kogo teraz ma na celowniku?

– Nie... nie wiem – odparła zdumiona Jana.

– Ściemniasz, dziwko!... Położnik, kapelan, oficer przewożący...

Wszyscy są w tej kartotece!

Rzeźbiarka patrzyła nań stropiona.

– Nie wiem...

– Łżesz!

– Nie! Kurwa, nie! – zapewniała Jana. – I tak nas zabijecie!

Toro obrzucił wzrokiem leszcza na sąsiedniej ławie: fakt, nie wyglądał na takiego, co pociągnie długo.

– No więc?

– Kopia Calderóna jest w złym stanie – wyjaśniła Jana, wreszcie zrozumiawszy. – Brakuje nazwisk, co najmniej połowy! Matka Miguela podarła kartki na kawałeczki. Ona... ona jadła papier, włosy, taka miała manię, była chora, kompletnie jej odwaliło – mówiła. – Te kawałki Calderón wyjął jej z żołądka.

Na chwilę zapadła cisza.

– Myślisz, że uwierzę w taką bajeczkę? – zdumiał się Parise.

Dał znak Picadorowi, który włączył swoją maszynkę. Miguel krzyknął przeraźliwie.

– Przestańcie, błagam! Przestańcie!

– Zmyślasz, głupia suko! – wrzasnął Parise.

– Nie!

– Zmyślasz!

Miguel wył, lecz Jana już go nie słyszała: splunęła w twarz łysemu, trafiając w oko.

Pięścią przyłożył jej w nos.

– Spokojnie! – syknął Ardiles za jego plecami.

Janie głowa aż odbiła się od ławy. Z bólu płonęła jej twarz. Czuła, jak po szyi ścieka jej ciepła krew, oczy miała pełne łez, tak że nic nie widziała. W pomieszczeniu panował potworny gorąc, ciało ją paliło, w żyłach płynął wrzątek. Parise rękawem otarł plwocinę, obrzucił wzrokiem rozciągniętą na ławie Indiankę, jej zakrwawioną twarz. Gestem dał znać szefowi, że zakończył przesłuchanie.

Milczący dotąd doktor Fillol przypadł do byłego oficera śledczego.

– Wierzy jej pan? – spytał nerwowo. – Że mojego nazwiska tam nie ma?

Parise zignorował lekarza.

– Jak złączą grzebać w przeszłości Campalla, mogą dotrzeć do pana, generale – powiedział do Ardilesa. – Musimy przejść do planu B.

– Klasztor?

– Póki się nie wyjaśni, co w trawie piszczy – odparł szef ochrony.

Leandro Ardiles wahał się przez kilka sekund. Odkąd dwa lata wcześniej zmarła jego żona, prawie nie opuszczał dobrze strzeżonej rezydencji. Bo i po co? Ale bliskość zagrożenia wzbudziła w nim na nowo zapomniane uczucia: odwagę, obowiązek, poświęcenie... Czy powinien uciec, jak radził Parise? W każdej chwili przeciwnik mógł go dopaść, a w wieku osiemdziesięciu lat wojskowy nie miał już ochoty na zabawę w ciuciubabkę. Trzeba zabezpieczyć teren, osłonić tyły.

– Co z ojcem Josefem? – zapytał.

– Najpierw wydostańmy się z potrzasku – uciął Parise.

Ksiądz nie miał powodu, żeby ich zdradzić. Ardiles z ponurą miną kiwnął głową. Ufał Parisemu, który z czasem stał się dla

niego kimś więcej niż prostym wykonawcą rozkazów. Niech będzie, wyjadą jak najszybciej.

– A ja? – zapytał Fillol.

– Powinien pan jechać z nami – odparł szef ochrony. – Calderón i te wariatki mają kopię dokumentu. Nawet jeśli jest niekompletny, mogą go opublikować, żeby wywołać dyskusję. Trzeba wyjechać, przyczać się gdzieś. Im wcześniej, tym lepiej.

– Ale... moja klinika... wizyty...

– Woli pan areszt domowy?

Fillol umilkł. Dla niego także wszystko toczyło się za szybko. Parise wyprowadził ich obu z pomieszczenia. Jana obserwowała wszystko, drżąc na całym ciele. Miguel teraz się nie ruszał.

– Co z nimi? – zagadnął Picador, wskazując więźniów.

Łysy drągał ledwie raczył rzucić na nich okiem.

– Zlikwidować – oznajmił, nim zamknął za sobą drzwi.

Toro ze znanstwem popatrzył na szlochającą kukłę.

– Jak na kolesia, który ma słabe serce, nawet nieźle się trzyma! – zauważył i obrócił go na brzuch.

Picador postawił na stole swoją skórzaną walizeczkę, podniósł wieko: w środku znajdowały się różnej wielkości banderille i ostrza. Wybrał najgrubszy grot, stalowy szpikulec długości kilku centymetrów, i stanął nad transwestytą. Jana wstrzymała oddech. Oprawca zastygł na kilka sekund w skupieniu z banderillą wycelowaną w kręgosłup więźnia.

– Nie!... – jęknęła Jana. – Nie...

Nieszczęsnemu Miguelowi łzy płynęły ciurkiem, mieszając się z brunatnymi smarkami. Szpikulec wprawnie pchnięty pod łopatkę przebił serce. Miguel wstrząsnął się mocno, po raz ostatni szarpnął kończynami. To był akt łaski.



Jana drżała z przerażenia na ławie pokrytej metalową płytą. Z rozbitego nosa ciekła jej krew, wzrok miała zamglony, łzy strumieniem spływały po policzkach. Miguel... Poczowała nieświeży oddech. Toro stał nad nią uśmiechnięty, patrząc na jej nagie ciało.

– Calderón cię pieprzy, co, suczko?...

– Twoją siostrę też! – syknęła w twarz opasłego wieprza.

Grubas pociągnął nosem, rozpinając pasek u spodni. Do tej Indianicy nie trzeba Picadora. Rozpiął rozporek i z ulgą uwolnił członek: twardy, gorący, ogromny.

– Odbiło ci? – fuknął jego kumpel.

– Najpierw się zabawię – odparł Toro.

Janę przeszedł dreszcz na widok wielkiego członka. Toro nieraz się zabawiał z więźniami, zwłaszcza z facetami – o, nie było potem co zbierać. Koszarowy humor przykleił mu przyzwisko Toro nie z powodu byczej krzepy, lecz rozmiarów przyrodzenia: grubego i długiego, istnej byczej pały usianej żyłami i zaopatrzonej w jądra, które jak świeżo wyklute martwe pisklęta zwisały między tłustymi owłosionymi udami. Ćwierć metra. Co najmniej. Z takim przyrządem nie było potrzeby gwałcić dysydentów kolbami kukurydzy, jak robiła policja w Rosas: Toro nosił w portkach właściwy sprzęt. Narzędzie śmierci. Porozrywał odbył temu pedziowi, żeby go zmusić do mówienia, podziurawił mu trzewia przy wtórze błagań o łaskę. Coś takiego wyzwalало w nim adrenalinę. Przyrodzenie rośło w oczach.

Toro rozkoszował się strachem Indianki przywiązanej do ławy. Radość pełna namaszczenia rozjaśniała jego twarz, kiedy przystawił swoje narzędzie śmierci do krocza Indianki.

– Zobaczysz – szepnął jej na ucho. – Ty też będziesz wzywała matkę...

## 12

Źródła Parany znajdują się w Brazylii, w odległości czterech tysięcy kilometrów na północ. Uniósłszy po drodze co się da, rzeka tworzy deltę, po czym wpada do Río de la Plata i do morza.

W okolicach Tigre dżungla poprzecinana była odnogami rzeki i mokradłami o powierzchni prawie takiej jak terytorium Urugwaju. Delta liczyła setki kanałów i tyleż wysepek zamieszkanym albo nie, czasami ruchomych, powstałych z nagromadzenia roślin naniesionych przez rzekę. Oprócz motorówek żaden pojazd nie miał wstępu do rezerwatu przyrody; przystanie, luksusowe sklepy, hotele, rezydencje i tanie miejsca noclegowe – to wszystko skupiało się w okolicach Tigre, wystarczyło jednak popłynąć kilka kilometrów dalej, a budynki mieszkalne i domki do wynajęcia niemal zniknęły. Tam dominowała bujna dzika natura.

Rubén z rufy w milczeniu obserwował brzegi. Płynęli wzdłuż gęstych zarośli, płosząc tylko ptactwo, które tam gniazdowało. Anita siedziała na dziobie ze szczegółową mapą okolicy, Oswaldo stał za sterem.

Dowiedziawszy się przez telefon o zamieszaniu w Palermo, Anita wskoczyła w samochód i pojechała na miejsce. Zastała półprzytomnego Rubéna w mieszkaniu Jo Prata. Zwłoki jakiegoś

mężczyzny leżały na tarasie sąsiadów, którzy przerażeni wezwali służby ratunkowe, a jej przyjaciel z dzieciństwa siedział załamany w salonie piosenkarza. Z nieobecny wyrazem twarzy wpatrywał się w broń leżącą na stole, ledwie zareagował, kiedy weszła Anita. I właśnie ona wyrwała go z letargu. Uprowadzono mu kolejnego ważnego świadka, lecz nie wszystko jeszcze przepadło: poprzedniego wieczoru Gianni Del Piro skorzystał z telefonu. Z informacji, które policjantka otrzymała, wynikało, że znajdował się wtedy gdzieś koło Tigre na obszarze delty.

Oswaldo przyplłynął po nich do przystani wycieczkowej, gdzie Rubén pilnie wyznaczył mu spotkanie.

Ten dawny przyjaciel ojca mieszkał w spróchniałym baraku w dżungli: bojownik Rewolucyjnej Armii Ludu i wielki miłośnik książek, Oswaldo ukrył się w delcie zaraz po pierwszych strzałach w 1976 roku i odtąd żył tam samotnie, łowiąc ryby i malując obrazy. Pozostała w nim z tamtych czasów fobia miejska i dzika nienawiść do każdego, kto nosił mundur... Starzec wprawnie prowadził motorówkę, stojąc za sterem ze sztywną brodą zbryzganą mżawką wzbijaną przez dziób. Rubén wprowadził go w sytuację, nie podając szczegółów, a Oswaldo o nic nie pytał: Daniel Calderón nigdy nie zobaczył żadnego namalowanego przezeń płótna, jego syn był mu jak bratanek, a on znał całą okolicę jak własną kieszeń.

Sygnal z telefonu Del Pira zlokalizowano w odległości około dwudziestu kilometrów w linii prostej od przystani w Tigre. Na mapie nie było tam żadnej miejscowości, jedynie przekaźnik telekomunikacyjny na zupełnym pustkowiu. Pilot musiał dzwonić z jednej z wysepek rozrzuconych po ramionach delty. Rubén posepnie rozmyślał pośród kanistrów z wodą i paliwem. Popełnił błąd, informując Isabel Campallo o ciąży córki, bo powiedziała

o tym mężowi, który w taki czy inny sposób przekazał wiadomość zabójcom. Oni zaś dotarli do Jo Prata, odkryli ich metę. Jana... Na myśl, że mogą ją skrzywdzić, dostawał białej gorączki. Umrzeć albo oszaleć... Nie, drugi raz tego koszmaru nie przeżyje. A zwłaszcza na tym etapie swojego życia...

Na brzegach rosły palmy i bananowce. Jego torba podróżna wypełniona bronią spoczywała pod ławką, w suchym miejscu. Oswaldo płynął powoli krętą odnogą, omijając zwalone drzewa i gałęzie unoszące się na powierzchni wody. Nigdzie nie było żywego ducha prócz milionów owadów brzęczących w słońcu.

– W zasadzie kierunek jest dobry – stwierdziła Anita pochylona nad mapą.

Oswaldo mruknął coś pod nosem. Nie lubił glin, nawet jeśli były blondynkami, które miały czym oddychać. Kwiatowe płatki przenoszące pyłki wirowały w powietrzu, gdy płynęli w górę kanału. Znad mętnej wody unosiła się woń błota. Minęli pomost przy opuszczonym domu kolonialnym z drewna i gliny, parę sosnowych zagajników i obaloną wierzbę, która zatrzymywała niesione rzeką śmiecie. Zostawili za sobą ostatnie budy z blachy falistej, dalej kilometrami ciągnęła się jedynie nieprzebyta dżungla.

Spłoszony nocolot wstrząsnął skrzydłami gdzieś wśród zieleni. Opuściwszy krętą odnogę, Oswaldo popłynął prosto i przyspieszył w lagunie. Łódź miała niecałe cztery metry długości, ale potężny silnik. Wzbijali fontanny wody, nie płosząc jednak ptaków, które w delcie miały swoje królestwo. Przed nimi pojawiła się wyspa podobna do dziesiątków innych. W słońcu mignął srebrny refleks. Rubén złapał lornetkę i serce zabiło mu mocniej: światło odbiło się od kadłuba samolotu. Wodnopłatu.

Dotknął ramienia Oswalda, dając mu znak, aby zwolnił:

znaleźli ich.

Anita na dziobie stała zdenerwowana.

– Myślisz, że nas zobaczyli?

Zrobili pętlę, aby przepłynąć z dala od wyspy, i teraz wracali innym kanałem. Rubén nie odpowiedział. Miał naładowaną broń, kieszenie pełne nabojów, pałkę, nóż bojowy, granat łzawiący i trzydziestopięcioletnią nienawiść, od której skręcało go w środku. Oswaldo dowoził ich na miejsce, płynąc przy brzegu pod prąd i pod wiatr. Dochodziło południe, robiło się coraz goręcej. Rubén zerknął na swoją komórkę: miał znowu zasięg. Najbliższy posterunek policji znajdował się daleko, na Paranie.

– Zadzwoń do Ledesmy – rzekł do Anity. – Niech tu przyśle motorówkę policji rzecznej.

– Mam dzwonić do Starego? – upewniła się. – No dobra, ale kurwa, co ja mu powiem?

– Że mamy morderców Marii Campallo i praczki z calle Perú. Powiedz mu, że biorę wszystko na siebie, niech tylko ruszy tyłek.

Wykrzywiła się do niego z dziobu łodzi, zobaczyła jego lodowaty wzrok i wybrała na komórce numer komisarza. W ożywionej rozmowie wykazała się siłą perswazji. Z włosami rozwianym na wietrze rozłączyła się niebawem.

– Załatwione – powiedziała. – Postawi na nogi brygadę rzeczną. Ale będziesz miał za swoje, jeśli coś pójdzie nie tak – dodała.

Rubén nie zareagował. Policja z delty nie zjawi się wcześniej jak za trzy kwadranse. Za późno? Wyspa była coraz bliżej, jeszcze tylko sto metrów. W odległości kilku kabli spokojnie z prądem płynęła kurka wodna. Minęli stertę gałęzi nagromadzonych przy brzegu, gęsty kłęb roślinności ze spletanymi lianami. Oswaldo zwolnił, wypatrując ruchu.

Wodnopłat dostrzeżony przez lornetkę kołysał się na wodzie z drugiej strony wysepki. Wtem ujrzeli oczyszczony z zieleni teren, okrągłaki ułożone pod sosnami, a dalej, w głębi osłoniętej zatoczki, fasadę różowego domu. Rubén dał znak sternikowi, by przybił do brzegu. Oswaldo wyłączył silnik. Anita stała czujnie z bronią gotową do strzału, przepatrując cienie pod drzewami. Motorówka zaszurała po chwili o kamyki wymieszane z błotem, poprzerastane trzciniami. Zeskoczyli na ląd.

– Ukryj łódkę i czekaj tu – szepnął Rubén. – I bądź gotowy ruszyć z kopyta...

– O to się nie martw, synu.

Oswaldo mrugnął do nich uspokajająco, potem patrzył, jak się oddalają pośród drzew.

Coraz bardziej zdenerwowana Anita szła za Rubénem w cieniu sosen. Przygięty posuwał się bezszelestnie, naraz przykucnął pod osłoną gęstwy zarośli. Na tarasie przed domem było dwóch strażników, przy pomoście kołysał się przycumowany ślizgacz, a pod sosnami, jakieś dwadzieścia metrów dalej, znajdował się jeszcze jeden strażnik – facet w kołnierzu gipsowym siedział na leżaku za stertą okrągłaków. Rubén natknął się na niego w Colonii...

– Lepiej zaczekajmy na wsparcie policji – szepnęła Anita.

Rubén pokręcił głową. Za godzinę Jana może być martwa. Torturowana, zgwałcona, ze skórą spaloną przez prąd, z poranionymi najwrażliwszymi miejscami na ciele... Może nawet już nie żyje.

– Zostań tu – rzekł cicho.

Oscar Frei walczył dzielnie z komarami wpasowany w rozkładane krzesło ogrodowe, z automatem pod pachą. Nie

zauważył cienia przemykającego pod osłonę sterty bali. Wyczuł czyjąś obecność za plecami, lecz unieruchomiony w gipsowym kołnierzu, siedząc nisko na leżaku, za późno się obrócił: pałka trafiła go w skroń, aż zobaczył gwiazdy, dłoń napastnika zatkała mu usta. Oszołomionego wartownika ściągnięto z leżaka i zawleczono w cień rzucony przez okrągłaki. Próbował się podnieść, ale pod okiem poczuł ostry czubek noża raniący delikatną skórę.

– Jeden ruch, jedno głośniejsze słowo, a tak ci wydlubię oko, że mózg wypłynie... – Wyciągnięty na jego owłosionym ciele Calderón spoglądał nań wzrokiem szaleńca. – Ilu jest w środku? – szepnął tuż przy jego twarzy.

Czubek noża wciąż kłuł go pod okiem. Pina i Gómez z tarasu niczego nie zauważyli.

– Ze dwunastu – odparł Frei przygwożdżony do ziemi. – Nie wiem dokładnie...

– Wszyscy uzbrojeni?

– Nie... jeden to cywil... lekarz.

– Indianka tam jest?

Frei mrugnął na potwierdzenie.

– Gdzie jest? W którym pokoju?

– Nie wiem... Mam wartę... Nic nie widziałem.

Rubén uniósł głowę, rozejrzał się po terenie. Dwaj faceci łapali muchy na tarasie ledwie widocznym między gałęziami. Dom był stary, drewniany, postawiony na palach, z wysokimi oknami. W jednym zasłony były zaciągnięte. Frei mylił się, sądząc, że Calderón ma rozproszoną uwagę: chwycił go za przegub, by doprowadzić do zwania na nierównym podłożu, i w tej chwili ostrze przebiło skórę. Nagle, pchnięte ciężarem ciała. Frei jęknął pod

zaciskając mu usta ręką Rubéna. Żelazo weszło w oko jak w masło i dosięgło mózgu, strumieniem połała się czerwona krew. Mężczyzna po raz ostatni szarpnął się konwulsyjnie i skonał.

Rubén dyszał ciężko. Otarł z grubsza ostrze w ubranie zabitego i odpełził od okrągłaków, kierując się w miejsce, gdzie zostawił Anitę. Poziom adrenaliny w jego krwi osiągnął maksimum: z domu dobiegały potworne krzyki.

Policjantka czekała na niego wśród zieleni.

– I co?

– Jest ich dwunastu. Pójdiesz od tyłu – polecił. – Obejdź dom dzunglą i bądź gotowa. Ile masz magazynków?

– Trzy.

– OK. Jak usłyszysz strzały, atakuj od tyłu, strzelaj tam, gdzie będzie najgęściej.

Anita się skrzywiła.

– I na tym polega twój plan?

– Właśnie ją torturują – fuknął Rubén. – Rób zamieszanie, ja się zajmę resztą.

Twarcz miał bladą w cieniu drzew, w oczach kosmiczną pustkę.

– Może byś mnie pocałował, zanim umrę? – poprosiła Anita.

– Nie umrzesz.

– Na wszelki wypadek...

Starła się uśmiechać, ale ręce jej drżały. Rubén pocałował ją w usta.

– Nie umrzesz, rozumiesz?

– Rozumiem. A jak ciebie załatwią?

Uniósł brwi.

– No to po ptakach...

Blondynka o asymetrycznej twarzy dmuchnęła w grzywkę. Stres



spinał jej mięśnie, mundur miała mokry od potu. Rubén zerknął na zegarek.

– Masz pięć minut, *querida*.

Anita odpędziła strach, który ją unieruchamiał, po raz ostatni spojrzała na ukochanego i bez słowa pobiegła, kryjąc się wśród roślinności.

Rubén zaczął się podkradać do domu. Wartownicy spokojnie gadali na ocienionym tarasie. Sosny rosły za daleko, aby mógł podejść pod osłonę ich pni i poszycia. Anita będzie miała łatwiej – za domem dzungla ciągnęła się prawdopodobnie aż do rzeki, na której czekał wodnopłat. Minęły trzy minuty. Z lewej części domu dobiegł kolejny przeraźliwy krzyk, zagłuszając brzęczenie owadów. Rubén ścisnął mocniej rękojeść broni. Wewnątrz było co najmniej dziesięciu uzbrojonych mężczyzn: atakowanie domu w środku dnia zakrawało na szaleństwo.

Siedzący na krześle ogrodowym Gómez patrzył na przepływające odłamane gałęzie, na kolanach trzymając pistolet maszynowy. Krzyki w domu umilkły – niewesoło mieli się więźniowie. Pina wszedł do środka, by posłuchać radia. Porozumiewali się na migi przez szklane drzwi – no, niechże się to skończy i wynocha z tego siedliska komarów... Gómez odchylił się na składanym krześle i w tym momencie z lewej huknęło, kilka centymetrów od jego głowy posypały się odłamki drewna. Poderwał się z bronią gotową do strzału, cofnął ku domowi – kurwa, ktoś do nich wali! – i oberwał w pierś.

Pina puścił serię po ogrodzie, podnosząc alarm. Wtedy z drugiej strony domu padły strzały. Byli wzięci w dwa ognie. Parise pierwszy wpadł do kuchni, wydając krótkie rozkazy swoim ludziom, którzy wybiegali z pokoju.

– Ruchy, ruchy, kurwa mać!

Picador i Toro zajęli pozycje przy oknach, oddali kilka strzałów na oślep, gdy tymczasem Parise ewakuował generała do łazienki. Skulony przy oknie Toro klął pod nosem – nie zdążył nadzieć Indianki, zostawił ją rozciągniętą na ławie, fajfus jeszcze nie całkiem mu opadł. Etcheverry zerknął przez okienko w sieni, dojrzał w odległości około dziesięciu metrów policjantkę ukrytą za dębem: ostrzeliwała dom, pociski dziurawiły okna i drzwi, gwizdały w kuchni. Paskudna trajektoria. Pina jęknął boleśnie i złapał się za udo, z którego siknęła czerwona krew. Parise ocenił sytuację. Gliniarka wystrzela ich jak króliki, jeśli spróbują wyjść od tyłu. Trzeba kontratakować od strony wschodniej. Etcheverry pochylił głowę i dał znak łysemu, który na oślep walił krótkimi seriami, kryjąc się pod oknem. Policjantka na chwilę przestała strzelać. Parise się poderwał – zmienia magazynek.

– *Vamos!* – krzyknął do swoich ludzi. – *Vamos!*

Toro i jego kumpel wyprysnęli przez drzwi do ogrodu. Już mieli ostrzelać dąb z automatu, lecz powstrzymali się na widok tego, co ujrzeli: policjantka klęczała z rękami na karku, a Del Piro stał za nią z lufą glocka w jej jasnych włosach. Udało mu się zejść ją od tyłu...

Jak tylko wybuchła strzelanina, Rubén pobiegł ku zachodniej części domu. Dotarł do przeszklonych drzwi bez szwanku, kopniakiem je wyłamał, zdarł zasłony wraz z karniszem, gotowym do strzału coltem omiótł pomieszczenie. Najpierw zobaczył zwłoki Miguela z dziwną banderillą sterczącą z pleców, potem Janę przywiązaną do ławy. Była naga, z zakrwawioną twarzą, ale żywa.

– Rubén...

Celując z broni do uchylonych drzwi, dobył nóż, wsunął ostrze

pod więzy, czterema cięciami uwolnił Janę. Ucichły strzały w sąsiednich pomieszczeniach. Nie odrywając oczu od drzwi, Rubén podniósł Janę jak kupkę strachu, postawił na nogi.

– Możesz biec?

Członki miała zdrętwiałe, ledwie stała.

– Tak... tak...

Obydwoje drżeli.

– Uciekaj – szepnął. – Szybko.

Serca im waliły jak młot. W korytarzu pokazała się czyjaś głowa, wychynęła zza rogu na wprost pokoju tortur – głowa doktora Fillola, którego strzelanina najwyraźniej zdeorientowała.

– Uwaga! – wrzasnął ktoś za jego plecami.

Fillol podniósł rękę do ust, lecz już ich nie miał: pocisk, który padł z colta, strzaskał mu połowę zuchwy, powybił zęby. Rubén z palcem na spuście popychał Janę do wyłamanych drzwi ogrodowych.

– Trzysta metrów stąd czeka łódź – mówił gorączkowo. – Leć, dogonię cię.

Jana była naga, bez broni, z nosa wciąż ciekła jej krew. Rubén podniósł z ziemi jej spodnie i koszulkę, wetknął dziewczynie w ręce.

– Kurwa, Jana, wiej!

Huknął strzał, kula trafiła w ławę. Mapucze po raz ostatni spojrzała w jego rozgorączkowane oczy i okraczyła poruszaną przeciągiem zerwaną zasłonę. Rubén oddał trzy strzały w stronę korytarza, osłaniając jej ucieczkę, a kiedy zobaczył, że Jana sady susami wśród drzew, odzyskał nadzieję. W pokoju unosił się smród prochu. Wycofał się ku drzwiom ogrodowym, deptając rozbite szkło, i już miał wybiec za Janą, lecz zatrzymał go kobiecy krzyk:

– Rubén! Rubén!

Wołała Anita.

– Rzuć broń! – usłyszał z korytarza. – Rzuć broń albo ją rozwalę!

Mordercy dopadli Anity. Calderón zaklął pod nosem, ściskając rękojeść czterdziestkapiątki. Jeden próbuje pertraktować, inni tymczasem okrążają dom. Nie miał gdzie się ukryć, drogę ucieczki miał odciętą – to kwestia sekund...

– Rzuć broń albo ją rozwalę! – powtórzył głos w korytarzu.

Zza rogu wychynął Etcheverry, kryjąc się za przerażoną Anitą: ręce trzymała w górze, do skroni miała przystawioną lufę.

– Odstrzelę jej łeb! – zagroził Etcheverry. Posunął się z policjantką o metr, nie odrywając lufy od jej głowy. – Rzuć broń, Calderón, słyszysz?

Oprych przewyższał Anitę o głowę. Pozostali kryli się za ścianą koło jakichś drzwi. Rubén zacisnął mocniej palce na rękojeści broni – za późno na ucieczkę, z tyłu słyszał kroki co najmniej dwóch ludzi, którzy odcinali mu drogę. Wyskoczył na korytarz, na ułamek sekundy zajrzał w przerażone oczy przyjaciółki z dzieciństwa i strzelił do niej z bliska.

Trafiona Anita runęła na Etcheverry'ego, który nie zdejmował palca ze spustu. To jedno mgnienie oka okazało się dla niego fatalne – kula z czterdziestkapiątki przeszła przez ramię blondynki i dalej: utknęła w sercu stojącego za nią mordercy. Na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. Kiedy policjantka padała na podłogę, wydał ostatnie tchnienie i osunął się za nią po ścianie. Nadbiegający z zewnątrz Parise otworzył ogień od wyłamanych drzwi ogrodowych. Rubén przeskoczył ciała leżące na ziemi, przypadł pod ścianę naprzeciwko wyjścia i opróżnił magazynek, celując do ruchomych celów. Fillolem, który chwiejnym krokiem szedł przez kuchnię, trzymając się za strzaskaną zuchwę, rzuciło na zlew.

Ochroniarz Ardilesa trafiony w brzuch ostrzelał parapet serią z automatu. W tumanie pyłu rozbryznięły się drewniane drzazgi. Oparty o ścianę łazienki Pina włókł za sobą nogę – policjantka zdążyła go trafić, zanim ją rozbroili.

Rubén nie przestawał strzelać, ostatni pocisk z czterdziestki trafił mordercę w łuk brwiowy. Adrenalina buzowała mu w żyłach. Wyprostował się, sięgnął po nóż i wyczuł zagrożenie po lewej. W ułamku sekundy zlokalizował wroga, nie celując, cisnął w niego nożem – w generała Ardilesa, który czyhał koło łazienki z browningiem w garści. Stalowe ostrze wbiło mu się w ramię, zatrzymując się na kości.

Z oczami płonącymi nienawiścią Rubén sięgał po nóż, by wyrwać go z rany, gdy szarpnęło nim wyładowanie o napięciu pięćdziesięciu tysięcy woltów.

# 13

Taser XREP był pociskiem obezwładniającym przy celności strzału do trzydziestu metrów. Przy strzale z bliska istniała możliwość zatrzymania akcji serca. Calderón jednak serce miał mocne. Leżał w konwulsjach na ziemi usłanej trupami z mózgiem porażonym przez wyładowanie elektryczne. Parise z bronią w garści pociągnął nosem. Del Piro szedł ku niemu ostrożnie jak po polu minowym.

– Łap dziewczynę – rozkazał Parise pilotowi. – Zlikwiduj ją, potem przygotuj maszynę. Toro, zabezpieczasz teren. A ty – zwrócił się do Picadora – zajmij się Calderónem. Wyciągnij z niego, ile się da. Masz dziesięć minut. Ja biorę na siebie generała.

– Tak jest, szefie!

W domu powoli rozwiewał się smród prochu. Pod podeszwami skrzypiały odłamki szkła, brzęczały rozsypane łuski po pociskach. Picador zaciągnął bezwładnego Calderóna do pokoju przesłuchań, Parise tymczasem szacował straty. Sześć osób leżało na ziemi: jedna na tarasie, cztery w korytarzu, kolejna w kuchni. Ci ludzie nie żyli albo konali. Załom drzwi i podziurawiona ściana spryskane były krwią i strzępami ciał. Etcheverry się nie ruszał pod ścianą. Za to policjantka oddychała: półprzytomna jęczała na środku korytarza z zakrwawioną dziurą powyżej serca. Parise nogą odsunął od niej broń porzuconą na podłodze, przestąpił przez ciała

i podszedł do swego szefa. Błady jak płótno Ardiles przysiadł w drzwiach łazienki.

– Jak tam, generale?

Miał paskudną ranę w przedramieniu, które przyciskał, jakby je chciał ochronić.

– Niedobrze – odparł, mrugając przekrwionymi oczami. – Niedobrze...

Ostrze noża uszkodziło kość. Parise przetarł ręką twarz zlaną potem, schował taser. Ardiles mocno krwawił, jego kumpel lekarz też broczył krwawą pianą nad zlewem w kuchni, straciwszy połowę zuchwy.

– Zabandażuję ranę – rzekł Parise do Ardilesa.

Otworzył apteczkę w łazience, znalazł kompresy i środki dezynfekujące. Muszą tu zaprowadzić jaki taki porządek, pozbyć się ciał i wiać, zanim zjadą się gliny. Calderón wytropił ich w domu w delcie, miał ze sobą policjantkę, jej kumple mogli być w pobliżu. Trupy trzeba wrzucić do rzeki, może podłożyć ogień pod dom. Wodnopłat był po drugiej stronie wysepki, w odległości pięciu minut marszu... Stary generał krzywił się, gdy Parise oczyszczał ranę.

– Musi pan zaraz iść do maszyny – mówił Parise, rozrywając opakowanie bandaża. – Nie może pan tu zostać.

Rana była czysta, lecz ciągle mocno krwawiła. Ardiles nie wyglądał dobrze.

– Da pan radę?

– Tak... tak...

– Trzeba założyć szwy. Ale to dopiero w klasztorze, wcześniej nie ma jak.

– Gdzie Fillol? – zainteresował się Ardiles.

– Przykro mi, zginął w strzelaninie.

Parise przyłożył opatrunek do rany, zamocował go plastrem. Ardiles zaciskał zęby, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej opuścić ten dom. Wrócił Toro, który zbadał teren, ubranie miał zakurzone i obrane w ciernie.

– Wpadłem na jakiegoś starucha w łodzi kawałek stąd – zaraportował. – To on przywiózł tu Calderóna i tę dziewczuchę. Powiedział, że byli sami – dodał grubas, dysząc ciężko. – Gdyby było więcej glin, już byśmy ich mieli na karku.

– OK. A ten z łodzi?

– Karmi rybki.

Parise ujął generała pod zdrową rękę, pomagając mu wstać.

– Świetnie – powiedział. – Sprawdź, jak idzie Picadorowi, a ja zaprowadzę generała do maszyny. Wyciągnijcie z Calderóna wszystko, co wie, i załatwcie go. Za dziesięć minut spotykamy się przy pomoście. Wykonać!

Toro kiwnął głową, okraczył trupa Etcheverry'ego i znikł w pokoju. Parise podtrzymywał Ardilesa w różowej koszulce polo przesiąkniętej krwią.

– Może pan chodzić?

– Tak – niecierpliwie odparł generał.

– To proszę iść, ja zaraz pana dogonię.

Zostawił Ardilesa, który ruszył, lawirując między trupami, sprawdził magazynek swojego glocka i podszedł do blondynki leżącej na ziemi.

Anita oprzytomniała trochę po zamieszaniu w trakcie strzelaniny. Pocisk Rubéna przeszedł na wylot, nie naruszając żadnych organów wewnętrznych, lecz z ramienia promieniował dotkliwy ból. Korytarz, w którym leżała, śmierdział krwią



i prochem, jej obolałe ciało zaczynał obejmować coraz większy chłód. Próbowwała się podnieść, ale wstrząs hydrostatyczny przykuł ją do ziemi. Zadrżała, widząc, że łysy drażgał idzie w jej kierunku. Jego paskudna morda i wrazenie pustki skłoniły ją do działania. Wyciągnęła prawą rękę w poszukiwaniu broni, natrafiła jednak tylko na krew i kurz... Parise obrzucił wzrokiem blondynkę u swoich stóp.

– Policja zaraz tu będzie – szepnęła, licząc, że wróg się oddali.

– Oni cię nie uratują, staruszek – odparł, odbezpieczając broń.

W Anicie zadziałał odruch obronny, lecz nic nie mogła zrobić: lufa glocka celowała prosto w jej głowę.

– Ty bydlaku! – wycedziła przez zęby.

Ostatniej swej myśli Anita nie poświęciła Rubénowi uwięzionemu w pokoju obok ani czekającemu na nią kotu, ani żadnemu z mężczyzn, których kochała: Parise strzelił jej w twarz.

Wyzionęła ducha pośrodku korytarza, patrząc szeroko otwartymi oczami.

\*

Zniszczony parkiet pokoju przesłuchań usiany był łuskami po pociskach. Przez wyłamane przeszkłone drzwi wpadał wiatr, poruszając zerwaną zasłoną, słońce oświetlało pomieszczenie.

Picador przywiązał Calderóna do ławy w takiej samej pozycji jak transwestytę, zakrwawioną kukłę spoczywającą dwa kroki dalej.

– Budzisz się, Kopciuszek? – zagadnął, dowodząc nieuctwa.

Rubén dochodził do siebie, czując pod brzuchem metalową płytę. I natychmiast ogarnął go strach, dziecięcy strach rodem prosto z piekieł. Strach przed ESMA, przed tym, co robił mu Turco i inni. Nie wiedział, czy Janie udało się uciec czy też ją zabili, nie

wiedział, co z Anitą. Mięśnie miał obolałe po porażeniu prądem, był związany, a tuż obok facet o chudej twarzy grzebał w walizeczce umieszczonej na stole. Zobaczył pikaną i ścisnęło go w gardle.

Do pokoju wszedł Toro z twarzą jeszcze zroszoną potem po przebieżce dokoła domu.

– Mamy dziesięć minut – oznajmił.

Picador wyciągał przybory, zerkając na ofiarę – twardziel, co?... Wybrał banderillę, gdy jego kumpel rozdzierał koszulę więźniowi, na początek cienkie ostrze, żeby go skłonić do współpracy. Ustawił się nad jego nagimi plecami, skupił uwagę na mięśniach widocznych między drobnymi kostkami, wybrał miejsce uderzenia. Rubén rozpaczliwie i bezskutecznie szarpnął się w więzach: jednym ruchem oprawca wbił mu banderillę w kręgosłup. Przerażliwy ból pozbawił Calderóna tchu. Ostry grot utkwiał między dwoma kręgami, dosłownie przyszpilając go do metalowej płyty. Spanikowany Rubén łapczywie chwycił powietrze, ale życie zdawało się z niego uchodzić.

– No, piękniśiu, już nie takiś hardy – ucieszył się Toro. Rubéna owiał jego oddech cuchnący jak wyziewy rzeźni. – Wyśpiewasz wszystko, co wiesz – oznajmił. – Skądżeś wytrzasnął te kwity na Campalla? No?

– Od...pierdol się.

– Ha, ha, ha!

Picador przypiął zaciski pikany do uszu Calderóna. Urządzenie było prymitywne, przenośny ręczny generator, skutecznie jednak działało na podpięte części ciała. Toro nie posiadał się z radości: Calderón był ugotowany, leżał rozpięty jak motyl na ławie.

– Zobaczymy, co masz w brzuchu, chłoptasiu...

Jana uciekała, myśląc tylko o tym, że ma biec. Oglądała, co zrobili

Miguelowi, wiedziała, co Toro zrobiłby jej, gdyby Rubén nie zdążył przybyć. Biegła prosto przed siebie, a świat dokoła huczał. Nie czuła bólu w bosych stopach ani krwi ciągle ciekącej z nosa, ani smagających ją gałęzi: skóra dużo zniesie. Strach dodawał jej skrzydeł.

Gnała przez dżunglę, ściskając w rękach ubranie. Słyszała z tyłu strzały, krótką serię, nie wiedziała, co tam się stało, czy on także zdołał uciec – Rubén, Rubén, serce waliło jej w piersi jak ptak obijający się o szybę. Rubén został tam, w tym koszmarnym domu. Parła przez gęstwą wysokich traw i kolczastych krzewów, które czepiały się jej skóry, czuła krew spływającą po szyi, po piersi, czuła przerażenie, w głowie kłębiły jej się myśli, dusiły ją, Pędziła przed siebie, lecz w płucach zaczynało jej brakować powietrza. Przystanęła zdyszana, naciągnęła koszulkę i spodnie. Ptaki umilkły, w skroniach jej pulsowało. Spływała potem. Rozejrzała się na wszystkie strony, nie wiedząc, gdzie jest. Pod dachem zieleni było mroczno, nie miała pojęcia, z której strony jest odnoga delty, czy zmierza w dobrym kierunku. Szybko musi wziąć się w garść. Rubén powiedział, że gdzieś przy brzegu czeka łódź, co kazało przypuszczać, że to jest wyspa. Mapucze ledwie zdążyła zetrzeć letnią krew, która ściekała jej na usta: rozległy się cięcia maczety zagłuszające brzęczenie owadów. Ktoś za nią szedł. Ktoś, kto na pewno nie był Rubénem... Jana zacisnęła zęby i skrzyła w lewo.

Czuła bolesne drapanie lian i gałęzi, potykała się na korzeniach, ale ciągle sadyła susami po nierównym terenie, unikając pułapek, które mogłyby ją zgubić. Zdusiła krzyk, przedzierając się przez ścianę cierni, wbiegła w kępę paproci, podeszwy stóp spływały jej krwią, znowu się potknęła, przytrzymała się gałęzi, by nie upaść, i naraz krajobraz się zmienił.

Kilka olbrzymich sosen rosło na brzegu rzeki skąpanej w słońcu. Jana wciągnęła powietrze w obolałe płuca. Sosnowe szpilki były delikatniejsze dla poranionych stóp, na horyzoncie frunęły czarne ptaki, lecz świat nadal był wrogi. Z rozbitego nosa ciągle płynęła krew, coraz bliżej słyszała uderzenia maczety. Trzciny i lilie wodne rozpychały się przy brzegu. Jana pobiegła w stronę połaci roślin, które kołysały się niespiesznie. Ziemistej barwy woda wylewała się na brzeg drobnymi falami. Mapucze pokonała niewysoką skałę, zsunęła się do chłodnej rzeki i bezszelestnie skryła wśród trzcina...

\*

Del Piro z maczetą w ręku wydostał się z dżungli. Drogę uciekinierki znaczyły kropelki krwi aż do odkrytego terenu porośłego wielkimi sosnami. Nikogo jednak nie widział, chociaż trop był świeży. Przesunął walkie-talkie, by wetknąć za pas maczetę, ujął w dłoń glocka i ruszył wolno brzegiem. Indianka musi tu być...

– Gdzieś ty się schowała, dziwko? – mruknął.

Ścisnął rękojeść w wilgotnej dłoni, wyęzając wszystkie zmysły, lecz słyszał tylko szmer fal. Ciszę zakłóciły krzyki ptactwa w oddali. Uważnie wodził wzrokiem po powierzchni wody, wypatrując wynurzającej się głowy, ale wszędzie widział gładź niezmaconą bąbelkami powietrza... Z palcem na spuście dotarł do trzcina – tak, ta suka gdzieś tu musi być...

Jana skryła się z głową w mętnej wodzie, zasłaniały ją lilie wodne, lecz bez oddechu wytrzyma najwyżej dwie minuty. Kroki zabójcy zatrzymały się przy błotnistym kanale delty. Na powierzchni kołysała się warstwa rzęsy wodnej. Del Piro uważnie przepatrywał połąć kanału zarośniętą roślinami, brunatną wodę

lizącą mu buty. Trzciny miękko przyginały się na wietrze, słońce świeciło na bezchmurnym niebie. Pilot nachylił się zaintrygowany cieniutką kolorową strużką wypływającą spośród lodyg, czerwoną mgiełką, która niesiona prądem rozpływała się w brunatnej wodzie... Uśmiechnął się: Indianka jest tutaj, broczy krwią.

Wycelował z glocka w rośliny, strzelił raz, drugi. Wtem zatrzeszczała krótkofalówka zawieszona na pasku.

– Del Piro, kurwa, gdzie się podziewasz? – ryczał Parise. – Szybko!

Mapucze nic nie widziała: muł i strach zaburzały jej percepcję, dźwięki docierały zniekształcone. Jak długo była zanurzona? Minutę? Dwie? Brakowało jej powietrza, w płucach zaczynało dudnić. Nie uda się, maczeta przerąbie ją na pół. Z paleniem w piersi Jana wychynęła na powierzchnię gotowa na śmierć.

Na moment oślepiło ją słońce. Zobaczyła pusty brzeg, skały – nigdzie nie widziała człowieka, który ją ścigał. Zniknął. Przez chwilę trwała w bezruchu, nie śmiąc wyjść spośród trzciny. Zaraz też jej uszu dobiegł jakiś dźwięk, przeraźliwe wycie rozchodzące się po dżungli: syrena łodzi policji rzecznej.

\*

Jana dygotała cały czas. Szła brzegiem w kierunku tamtego domu z poranionymi stopami, rękami, dłońmi, z krwawiącym rozbitym nosem, ociekająca szlamem, niebotycznie zdenerwowana. Gdzie Rubén? Nie widziała wodnopłatu, który wystartował chwilę wcześniej, usłyszała jedynie warkot silnika, gdy maszyna wzbijała się w niebo. Słońce przeświecało między gałęziami. Znalazła łódź, o której mówił Rubén, ukrytą pod zwieszonymi gałęziami ogromnej wierzby; wsunięta pod ławkę stała skórzana torba podróżna jego

ojca. Obejrzała się na las.

– Rubén?

Nie otrzymała odpowiedzi. Dom był już niedaleko. Drogę zastawił jej gąszcz cierni, skrzyła więc w dżunglę, coraz rzadszą, w miarę jak przybliżała się do budynku. Usłyszała wyraźniejsze głosy. Przykucnęła w gęstwinie ledwie czterdzieści metrów od domu i obserwowała scenę, czując ziemisty posmak w ustach... Wszędzie kręcili się policjanci, niektórzy w kamizelkach kuloodpornych. Dwaj cywile krzatali się przy trupach. Było ich sześć, zostały ułożone rzędem na ziemi. Janę przeszedł dreszcz: nad wszystkim unosił się odór strachu. Rozgorączkowanym wzrokiem wpatrywała się w zwłoki, czarne cienie w cieniu listowia, lecz żaden z nieruchomych mężczyzn nie przypominał Rubéna. Przy szarym ślizgaczu przycumowanym do pomostu rozmawiali policjanci, ale nie rozumiała ich słów. Jeden z nich, dotąd kucający, wyprostował się i podszedł do człowieka, który wyglądał na dowódcę. Wtedy Jana zauważyła dwa ciała ułożone na ziemi osobno: blondynki w policyjnym mundurze z pogruchotaną twarzą i Rubéna zlanego krwią – również nieruchomego. Był półnagi, leżał na brzuchu z rękami wzdłuż boków, z dwiema banderillami sterczącymi z pleców...

Jana wycofała się wśród roślinności głucha na cały świat.

Szła jak automat przez czas nieokreślony, z błędnym wzrokiem. Dopiero kiedy odeszła wystarczająco daleko, z jej gardła dobył się krzyk.

CZEŚĆ TRZECIA  
**Kulan – straszna kobieta**

# 1

Czas płynął zniekształcony – czas mapuczański, w którym chwile składają się na godziny, a dzień zaczyna się od świtu. Duchy krążyły wokół, lecz Jana ich nie rozpoznawała – jeszcze nie.

Zaczekała, aż gliniarze wyniosą się z wyspy, i wróciła do łodzi przy brzegu ukrytej pod wierzbą. Kiedy policja z całym swoim kramem odpłynęła, na wysepce w delcie znowu zapanował chaos natury. Jana kryła się wśród roślin. Nos miała dwa razy większy niż normalnie, ale nie myślała o tym – w ogóle nie myślała. Jej umysł notował obrazy, bezcelowe gesty, wprawiany w ruch jakąś siłą zewnętrzną, pewną formą zawziętego pragnienia przetrwania, którą być może odziedziczyła po przodkach. Droga krętymi kanałami do cywilizacji, wodne taksówki mijane w pobliżu Tigre, motorówka porzucona niedaleko przystani, dojście do stacji kolejowej, jej przerażający wygląd – poranione bosc nogi, splamiona krwią koszulka, potwornie pokiereszowana twarz, na której widok przechodnie się cofali – podmiejski pociąg, którym dotarła do Buenos Aires, autobus: to wszystko pamiętała jak przez mgłę, jakby widziała wzrokiem konającego.

Półżywa dotarła do swojej hali w Retiro jeszcze przed nocą. Zdziczała po tym, co przeszła. Siedziała skulona w atelier, wzbudzając jądrowe kulki, które wyłaniały się z jej serca zgodnie



z teorią chińskiego syndromu. Umrzeć albo oszaleć. Teraz było już ciemno, przerażenie zaczynało ustępować popłochowi. Rzeźba z żelaza i betonu pośrodku atelier, pozaczynane prace, szkice, odrzucone kawałki... nic to już dla niej nie znaczyło. W ogóle się nie liczyło, jakby jej dotychczasowe życie wcale nie istniało. A mimo to była tutaj, Mapucze od niepamiętnych czasów, potwory zaś, które jak jej się zdawało, przepędziła samą siłą swej woli, wróciły Bramą Umarłych. Nigdy nie opuściły ziemi: czały się przebiegle, wnikały w najświeższe rany, rozkoszując się złem albo je wchłaniając, odciskiem ludzkiej duszy zdeptanej przez bezgłowe bóstwa.

Mijały godziny czasu ukradzonego, który potem, gdy przyjdzie pora rozrachunków, zostanie odliczony. Męka tego, kto bezsilnie patrzy na torturę drugiego człowieka, burza myśli jak w zeszycie, który Rubén dał jej do przeczytania w Andach... Jaki sens temu nadać? Jak to przeżyć – czy w ogóle należy przeżyć? Rubén poświęcił się dla niej po chrześcijańsku, a taką ofiarę Jana odrzucała.

Tej nocy ona cierpiała tortury sięgające głębi trzewi.

Wiatr owiewał metalową strukturę hali, odzywając się mglistym echem rzeczywistości. W mroku mozoliła się jakaś siła piekielna, niszczycielka marzeń, które sabotowała, jakby za coś musiały zapłacić, okrutne obsceniczne monstrum, które zabiło jej miłość rękami tych samych oprawców, co trzydzieści pięć lat wcześniej wykończyli jej ojca i siostrę... Nie, to wszystko nie miało sensu. Jana nie po to opuściła swoją społeczność, nie po to później tyle zniosła w latach kryzysu, by skończyć tak jak teraz... Z wolna ogarniał ją blady gniew. Nie będzie pocałunków o brzasku koło lotnika, niezabudkowych gwiazdek w oczach, jego cieplej dłoni na jej pośladkach, tysiąca pieszczot niosących pocieszenie. Przeczucie

rychłego końca? Jana nie miała pojęcia, dlaczego właściwie uciekła stamtąd, zamiast się oddać w ręce policji. Działała pod wpływem szoku, instynktownie, pchana w dżunglę przez potworny widok, który wchłonął ją lepiej niż bujna roślinność. Częstka jej duszy pozostała z Rubénem w delcie: częstka duszy marzycielki. Jana wzięła prysznic po powrocie, lecz nadal miała wrażenie, że jest brudna. Strach, którym cuchnął tamten pokój, był niepodobny do niczego, co знаła. Ciągle czuła w nozdrzach woń wieprza, który chciał ją zgwałcić, zapach wody po goleniu łysego oprycha, który ją przesłuchiwał, jego wzrok orła spadającego jak kamień na ofiarę – na nią rozciągniętą na ławie. Roztrząsała tę scenę. Widziała agonię Miguela prawie nierealną. Widziała starca, który był przy torturach – mówili do niego „generale”. To on, on musiał być osławionym bossem, jednym z dyrygentów represji, którzy widnieli w oryginalnej kartotece. Jakie to miało teraz znaczenie?

Błysnęło jej wtedy w głowie imię... Imię, które w toku wydarzeń jakoś umknęło wszystkim: ksiądz Josef... Pod koniec przesłuchania generał zapytał swoich rzeźników, co zrobić z księdzem Josefem. Matka Miguela wciąż mu smędziła o księdzu noszącym takie imię, na pewno chodziło o tego samego człowieka. Rozmawiali też wtedy o jakimś klasztorze, planie B na czas, „póki się nie wyjaśni, co w trawie piszczy”.

Tropikalna ulewa bębniła w dach pracowni.

Ołowiana kula ciągle tkwiła Janie w gardle, lecz Indianka już nie płakała. Za dużo wylała łez, jej udręka zdążyła się wypalić. Smutek, bezsilność, rozpacz – lud Mapucze walczył zawsze, do samego końca. Jana Wenchwn była *welfache*, wojowniczką, od dnia, kiedy żandarmi wyłamali drzwi domu. Nie podda się bez walki...

Kaupolikan, wódz Mapucze dowodzący w wojnie z Hiszpanią, był

okrutnie torturowany na placu w Cañete: godzinami go ćwiartowano, a on ani pisnął. Wrogowie mówili na nich „Araukanie”, ci, którzy czują gniew. W żyłach Jany właśnie ta krew płynęła.

Teraz już nic nie odczuwała. Nic oprócz nienawiści bez granic, bezkresnej.

## 2

Sen nie chciał nadejść. Na próżno przewracał się z boku na bok w łóżku na poddaszu – myśli nie dawały spokoju, przyprawiały go o bezsenność, której nie potrafiły odpędzić żadne modlitwy. Czyż nie robił jedynie tego, co doń należało? Ksiądz Josef spełniał posługę kapłańską w kościele Niepokalanego Poczęcia Marii, tym samym, w którym mistyczka Rosa wylewała swe szaleństwo i żółć, oddalonym o kilka kwartałów od pralni. Czy dobrze uczynił, informując przełożonych? Ksiądz Josef nie przypuszczał, że sprawy zajdą tak daleko. Nienawidził przemocy, widok krwi budził w nim odrazę; jego światem były książki i rady udzielane strapionym duszyczkom, które przychodziły doń po rozgrzeszenie. Powtarzał sobie zatem, że zamknie oczy na skutki swoich działań, jakby spełnienie obowiązku zwalniało go z odpowiedzialności za czyny. Tyle że przyszli po niego jacyś ludzie i zrobili zeń współnika morderstwa. Od tamtego wieczoru na zapleczu pralni dręczyły go wątpliwości, pozbawiając snu. Do kogóż się zatem odwołać, jeśli nie do Wiekuistego? Czy jednak go wysłucha? A w ogóle właściwie na co liczy? Że sprawy załatwią się same ot, tak, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki?

Ulica była jeszcze pusta o tak wczesnej porze. Ksiądz czuł się osamotniony ze swymi wątpliwościami, bardziej osamotniony niż

kiedykolwiek dotąd. W skórzanych sandałach na bosych stopach szedł ze zwieszoną głową po chodniku prowadzącym do kościoła, głęboko pogrążony w myślach. Zatrzymał się przy nim mocno odrapany samochód.

– Ojciec Josef?

Zagadnęła go Indianka w fordzie równie pokiereszowanym jak jej nos. Przystanął zaskoczony.

– Tak.

Młoda brunetka gwałtownie otworzyła drzwi i wyskoczyła z auta, aż się cofnął.

– Siadaj za kierownicą – rozkazała ochrypłym głosem.

Oniemiały kapłan przez sekundę ani drgnął. Popatrzył w czarne oczy Indianki i zadrżał, zauważywszy broń, którą trzymała ukrytą pod ponczem.

– Siadaj za kierownicą, to nic ci się nie stanie. No już!

Ksiądz Josef nie zareagował – niebo było białe, ulica rozpaczliwie pusta. Jana złapała go za sutannę i bronią przystawioną do pleców pchnęła na siedzenie.

– Ruszaj, do kurwy nędzy!

\*

Dawny dworzec Retiro wydawał się opuszczony z odrapanymi budynkami, nad którymi przebiegała nitka autostrady, i niedokończonymi rzeźbami zarośniętymi pokrzywami. Ksiądz Josef po drodze próbował przemówić Indiance do rozsądku, mówił, że go z kimś pomyliła, ale tylko wskazywała mu drogę aż do avenida del Libertador, mierząc doń z broni. Dojechali na miejsce. Pod eskortą bladego jeszcze słońca duchowny posłusznie szedł przodem do hali dworcowej.

– Nasza parafia nie ma pieniędzy, jeśli o to ci chodzi – powiedział, otwierając przesuwane drzwi. – I nie trzeba celować do mnie z broni, nie jestem groźny.

– A ja jestem – rzekła Jana z tyłu. – Idź.

Weszli do dziwnego atelier urządzonego, czym się dało – przenośny bar, sprzęt kuchenny, stare siedzenia samochodowe. Duchowny wzdrygnął się na widok arsenału złożonego pod ścianą.

– Bądź rozsądna – wyjąkał. – Odlóż broń i pogadajmy.

Lufą Indianka dała mu znak, aby się cofnął do stosu palet pełniącego rolę stołu.

– Klęknij i załóż sobie to – powiedziała, rzucając mu kajdanki. – Przykuj się do podstawy palety. Obie ręce. Szybko!

Jej głos odbijał się od blaszanego dachu. Z dala dobiegały stłumione dźwięki ruchu samochodowego na wiadukcie. Kapłan zaczął się bać. Tutaj nikt nie usłyszy jego wołania o pomoc ani huku wystrzału. Był zdany na łaskę Indianki o powiekach jeszcze spuchniętych od płaczu, celującej do niego z broni. Przełożył kajdanki między deskami palety i zatrzasnął je sobie na nadgarstkach, nie odrywając oczu od dziewczyny.

– Czego chcesz? – szepnął. – No czego?

Pozycja była niewygodna, perspektywa ucieczki żadna. Jana się przysunęła – teraz broń miał o metr od twarzy.

– Prosta sprawa, chrześcijaninie – rzekła obojętnie. – Albo powiesz, co wiesz, albo rozwalę cię jak psa. Jasne?

Kiwnął głową.

– Rosa Michellini – ciągnęła Indianka tym samym tonem. – Była twoją parafianką.

To nie było pytanie. Ksiądz zaczął dygotać. Spojrzenie Indianki było mroczne, ponure, groźne.

– Rosa... tak, tak... Do... dowiedziałem się, że biedaczka umarła – wydusił z nienaturalną miną.

– Została zamordowana – uściśliła Jana. – Wiesz dlaczego?

– Nie...

Odbezpieczyła broń.

– Nie! – wykrzyknął.

– Gadaj!

– Rosa pokazała mi pewien dokument – piskliwie rzekł klęczący duchowny. – Chodziło o dzieci ukradzione za dyktatury.

A więc dobrze trafiła.

– Kartotekę z ESMA, w której była mowa o jej synu Miguelu? – pomogła mu.

– Tak...

– Kto jej to dał?

– Kobieta. Maria Victoria Campallo.

– Stara pokazała ci ten kwit, a ty do kogo z nim poszedłeś? Do tatusia?

Zlany potem ksiądz przełknął ślinę.

– Do kogo?

– Do kardynała – odparł wreszcie. – Do... do kardynała von Wernischa.

Jana zmarszczyła brwi.

– Co to za jeden?

– Mój przełożony – wyjaśnił ksiądz Josef. – Znaczący były przełożony. W seminarium.

Tego się nie spodziewała.

– Czemu? Ten von Wernisch był w kartotece ESMA?

– Tak. Był wtedy kapelanem. Ten dokument mógł go skompromitować.

Mógł skompromitować kardynała, ale także cały Kościół.  
Chrześcijan.

Mapucze mocniej zacisnęła palce na rękojeści broni.

– Ostrzegłeś go, a on zaalarmował dawnych kumpli, tak?

Kłęczący człowiek bladł coraz bardziej.

– Nic więcej nie wiem – powiedział. – Przysięgam.

– Czyżby? A gdzie można znaleźć tego von Wernischa?

– W klasztorze – wymamrotał. – Daleko stąd.

Scena w delcie. Zabójcy. Mówili o klasztorze.

– Wszyscy tam się schronili? – naciskała z mocno bijącym sercem. – Generał i jego ludzie? Ukryli się u kardynała?

– Nie wiem, przysięgam! – zaklinał się kapłan. – Klasztor w Los Cipreses... tam jest kardynał. Tylko tyle wiem!

– Gdzie to jest?

– Niedaleko Futalaufquenu – odparł pośpiesznie. – Górska wioska blisko granicy chilijskiej.

W prowincji Chubut. Na dawnych ziemiach ludu Mapucze...  
Janie twarz się zmieniła.

– Błagam – skomlał człowiek u jej stóp – wypuść mnie. Nikomu nic nie powiem, przysięgam. Przysięgam na Boga!

– Będziesz go potrzebował, chrześcijaninie.

Schowała broń. Nie może go wypuścić – ten zdrajca uprzedzi przecież tamtych, generała i towarzyszących mu oprawców.  
Spowiednik Rosy drżał przykuty do palety.

– Zostawię cię tutaj – oznajmiła Jana bezbarwnym głosem. – Los Cipreses, tak?

– Co? Ale...

– Klasztor w Los Cipreses – powtórzyła ze złowieszczą miną. – Na pewno? Zastanów się dobrze, chrześcijaninie. Tu nikt nie



przychodzi. Możesz wrzeszczeć, ile chcesz, i tak nikt cię nie usłyszy.

Jej czarne oczy słały błyskawice.

– Tak – wybełkotał ksiądz Josef. – Na pewno... Los Cipreses niedaleko granicy. Nie zostawiaj mnie – prosił. – Nic nie powiem, przysięgam!

– Nie martw się, zostawię ci wodę.

– Co? Nie, poczekaj, możemy...

– Dobrze ci radzę: oszczędzaj ślinę. To będzie długa droga...

Słońce wspinało się po lazurowym niebie, kiedy Jana wyszła z atelier z torbami na ramieniu. Ford stał przed bramą. Zamknęła za sobą przesuwane drzwi, nie zważając na błagania księdza. Wciągnęła w płuca powietrze, obrzuciła wzrokiem swoje rzeźby. Skądś napływała woń zwierzyny, spośród wypalonych placków ziemi i miejsc porośniętych wysokimi trawami: to była pora łowów...

### 3

Jana niewiele ze sobą zabrała: kilka sztuk broni Rubéna, nóż z kościaną rączką po prababce, wełniane ponczo, które ją ogrzewało dziesięć lat wcześniej w drodze do Buenos Aires, trochę odzieży zabranej z półki, zioła, z których mogła zrobić okłady. Klucze rzuciła w krzaki po wyjściu z pracowni, zwymiotowała resztką żółci przed niedokończonym lotnikiem, przy którym się całowali, i bez żalu wyjechała z miasta, czując przerywanie w brzuchu.

Buenos Aires było teraz staruszką zamkniętą we wspomnieniach i liczącą ostatnie klejnoty nad ponurym Atlantykiem, który nie zwracał na nią uwagi. Mapucze wiele godzin jechała, przed oczami mając niezmierną pampę. Słońce łagodziło kontrasty, bezkształtny dramat, który wiódł ku ojczystej nicości. Niemal nic nie jadła od powrotu z delty, na krótko zapadła w bezdenny sen i każdą minutę przeżywała z uczuciem, że twarz jej krwawi. Mijała wielkie jeziora rojące się od ptactwa, żurawi, czapli, kaczek, flamingów, dokoła wszędzie pyszniły się barwy natury, a ona widziała tylko zmarłych.

Wzdrygnęła się, słysząc wściekłe trąbienie klaksonu – zjeżdżała na lewy pas. O forda plującego z rury wydechowej czarnymi spalinami na drodze krajowej otarła się przewożąca zwierzęta ciężarówka, zostawiając smród rzeźni w kabinie otwartej na

przestrzał... Jana zatrzymała się na najbliższej stacji benzynowej stojącej na kompletnym pustkowiu.

Dwa zakurzone dystrybutory królowały na rozpalonym od słońca placu. Nie widziała nikogo z obsługi, kto by zatankował, od oparów benzyny zawróciło jej się w głowie. Położyła dłoń na masce. Była gorąca – jeszcze tylko brakowało, żeby silnik padł z przegrzania... Spomiędzy dystrybutorów wychynął wtedy utyłany psi łeb. Z pyska zwieszał mu się czubek różowego jęzora – chudy kundel w nieokreślonym wieku i o sierści pewnie czarno-płowej. Jana zatankowała do pełna, zerknęła na sklep przy upiornej stacji. Pies przyglądał się jej z oddalenia. Długi pysk miał tak wytarty, że niewiele już pewnie czuł. Jana uśmiechnęła się blado – wyglądał, jakby miał raka...

Zapłaciła w kasie za paliwo i poszła do toalety, obrzydliwej klitki oznaczonej ręcznie namalowanymi literami. Zmieniła sobie okład. W upstrzonym brudem lustrze obejrzała napuchnięty nos, robił się granatowy, ale wydawało jej się, że przegroda jest cała. Przypatrzyła się swemu odbiciu i mimo woli przeszedł ją dreszcz – wyglądała strasznie.

Czwarta po południu. Jana wzięła colę z lodówki w sklepie, aby przegonić zapach odchodów, popatrzyła z ukosa na kanapki opakowane w plastik, zauważyła alkohole za facetem przy kasie, który dłubał w nosie nad czasopismem motoryzacyjnym.

– Wódkę poproszę – powiedziała.

Dużo go kosztowało oderwanie oczu od zdjęć w piśmie, w końcu jednak podniósł znudzony wzrok.

– Jaka?

– Obojętne.

Wąsacz odwrócił się do półki, wsunął butelkę do brązowej

papierowej torebki, zgarnął banknot z kontuaru i oparłszy łokcie na blacie, wrócił do czasopisma.

– A reszta? – zapytała.

– Nie ma. Trzydzieści peso. Nie umiesz czytać?

– Piranov – przeczytała Jana na etykiecie. – Co to za marka? Z Czadu?

– Zwykła wódka – odparł sprzedawca. – Wszyscy pijacy ją chleją. Kretyn.

Pod dystrybutory podjechała ciężarówka z chromowaniami błyszczącymi w upalnym słońcu. Jana minęła słoniowatego kierowcę, który wysiadał z kabiny, podeszła do swojego forda i zasepiła się na widok kundla wyglądającego przez okno.

– Co tu robisz?

Zapchlony pies, korzystając z wybitej szyby, rozsiadł się na fotelu pasażera. Patrzył na nią ze śmieszną miną, półprzymkniętymi ślepiami, jakby udawał, że śpi albo że tak naprawdę to nie on...

– Te, Brad Pitt, słyszysz, co mówię? Spadaj – powiedziała, otwierając drzwi. – No już, wynocha.

Pies spojrzał na nią zaropiałym pomarańczowym okiem. I tylko westchnął. Może był na dodatek głuchy. Pokręciła głową, patrząc na siwiejący pysk zwierzaka, który najwyraźniej postanowił opuścić ten zapadły kąt, i siadła za kierownicą.

– A co tam – mruknęła.

Do podnóża Andów miała jeszcze daleko. Wyjechała ze stacji benzynowej, nie obdarzywszy spojrzeniem wybrakowanego sfinksa w fotelu obok – załzawione oko pewnie płakało mu już z rok albo i dwa. Śmierdział paliwem, sierść ruszała mu się od pcheł, lecz ani drgnął, jakby znali się od niepamiętnych czasów.

Nazwała go Diesel.

\*

Po zjechaniu z krajowej „trójki” na „dwudziestkędwójkę”, która wiodła na zachód, skręcając lekko na pustynne południe, Jana po zapadnięciu nocy zatrzymała się w szczerej pampie. W bagażniku forda miała skarby w postaci narzędzi przemocy: pałek, granatu, jednej dwudziestki dwójki, trzech granatów łzawiących, trzech par kajdanków, pistoletu elektrycznego i karabinu snajperskiego w etui razem z kilkoma pudełkami amunicji.

Potrzebowała blisko dwudziestu minut, aby złożyć karabin w świetle lampki w kabinie, i jeszcze dziesięciu na ustawienie celownika na podczerwień. To był model M40A3 bazujący na starym remingtonie 700. Jana polowała dawniej z braćmi, lecz nigdy nie strzelała z tak wymyślnej broni. Wsunęła sześć nabojów do magazynku i odeszła kawałek dalej, by przetestować karabin. Równinę oblewała lekka poświata, pampa była jak gładkie morze bez portu w promieniu wielu kilometrów. Merdając ogonem, Diesel poszedł za nią przez trawy, przy okazji spaceru wietrząc się z kurzu i oparów paliwa.

– Podoba ci się imię Diesel? – zapytała Jana.

Po raz pierwszy odezwała się do niego. Pies nie odpowiedział zaabsorbowany węszeniem nie wiadomo czego. Powietrze było chłodne, noc fioletowa pod niebem usianym gwiazdami. Przeszli pampą około kilometra. Jana położyła karabin, który niosła na ramieniu, rozejrzała się po dziewiczej okolicy. Diesel złapał kilka pcheł, o mało nie oderwał sobie ucha, drapiąc się za nim tylną łapą, po czym udał się na poszukiwanie miejsca, w którym mógłby sobie ulżyć. Po upalnym dniu ziemia była jeszcze ciepła. Jana położyła się w trawie, ustawiła karabin w pozycji do strzału i zaczęła szukać celu w ciemnościach.

Znalazła: palik ogrodzenia w odległości stu metrów. Wycelowała i strzeliła, trzy razy. Dwa pierwsze pociski chybiły, strasząc tylko Diesla, który akurat sikał, trzecim rozwaliła czubek palika.

\*

W sercu prócz antracytowej burzy nie było nic. Zapchlony pies i Indianka z rozkwaszonym nosem płacząca, póki nie brakło łez: oto cała drużyna. Ford też jakoś się trzymał. Nazajutrz Jana minęła San Carlos de Barriloche z oczami palącymi po jeździe pod wiatr. Jej żołądek zniósł kawę na śniadanie, colę w południe, odrzucił natomiast kanapkę kupioną na przydrożnej stacji benzynowej. Zbocza Andów wznosiły się na tle błękitnego nieba, które nic na to nie mogło poradzić. Diesel wciąż niewzruszenie zasiadał przed zakurzoną przednią szybą, udając starego wilka morskiego gotowego do zwrotu. Dotąd nie usłyszała jego głosu. Krajobraz w końcu się zmienił: na zbocza pogórza tysiącletnie potężne drzewa rzucały cienie wydłużone przez przedwieczne słońce. Jana przebyła zielone równiny, z których wyrastały góry kryjące wierzchołki w chmurach, i pod wieczór dotarła do miasteczka Futalaufquen.

Kiedy pokonano ostatnich wodzów Mapucze, ziemie rozdano bogatym farmerom żądnym przestrzeni i wybudowano kościoły, aby nawracać dzikusów, których oszczędziły choroby. Klasztor w Los Cipreses znalazł się na terenie dzisiejszego Parku Narodowego Los Alerces, zagubionej andyjskiej doliny przylegającej do Chile. Z mapy regionu wynikało, że Jana ma już niedaleko do celu... Ford piął się wąską kamienistą drogą, wyprzedził wywrotkę przyklejoną do zbocza, wzbijając tuman czerwonego pyłu, po czym zaczął zjeżdżać do Los Cipreses.

Zapadał wieczór, gdy dotarła do górskiej wioski. Wzdłuż asfaltowej drogi ciągnął się szereg domów z zamkniętymi okiennicami, kilka ubogich z wyglądu gospodarstw. Zwolniła przed przypominającą pulperię, opatrzoną sfatygowanym szyldem gospodą, która wydawała się otwarta – jedyna oznaka życia w tej upiornej miejscowości – i pojechała dalej. Klasztor leżał na uboczu, rozległe kamienne zabudowania u stóp wzgórza porośniętego drzewami. Rolę parkingu dla gości pełnił kawałek zwykłej łąki. Nigdzie ze środka nie padało światło, tylko nad wejściem paliła się latarnia. Mapucze przeprowadziła rozpoznanie terenu, jadąc wolno, pokręciła się po okolicy, po czym wróciła do wioski.

Nadal nie było tam żywego ducha. Zatrzymała forda na ulicy.

– Jesteś głodny? – zapytała, gasząc silnik.

Diesel ziajał leniwie na siedzeniu już całym obranym w sierść.

Gospodę w Los Cipreses prowadził *mozo perdido*, „zagubiony chłopak”, jak nazywano gauczów mieszanej krwi. Jego twarz pokryta zmarszczkami wyrytymi przez górskie wiatry kontrastowała z młodzieńczym spojrzeniem, z ciemnymi nieśmiałyimi oczami, które pewnie wielu obcych nie oglądały. Jana zamówiła jedyne danie w karcie, sznycel *a la milanese*, Diesel tymczasem szperał w kubie na tyłach chałupy.

Sześć kulawych stolików zapełniało salę, na której ścianach kurzyło się parę krzywo zawieszonych trofeów myśliwskich. Metys spozierał na nią zza kontuaru wyłożonego kaflami. Jana pochłonięta swoimi planami nie odzywała się ani słowem. W tej dziurze nigdy nie była, ale znała region: przepędzona przez żandarmów jej rodzina znalazła schronienie w zaprzyjaźnionej społeczności po drugiej stronie gór...

– Nie smakuje? – spytał nieśmiało Metys.

Kobieta z rozbitym nosem ledwie tknęła dania na talerzu.

– Nie bardzo jestem głodna – wytłumaczyła się.

– Mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

Podniosła głowę.

– Co?

Zakłopotany chłopak przestępował z nogi na nogę.

– Późno już – przełamał się wreszcie. – Ma pani gdzie spać?

Klientka zrobiła podejrzliwą minę, czym prędzej więc wytłumaczył:

– Mówię o tym, bo u nas nie ma hotelu. Trzeba jechać aż do Futalaufquenu. Mieszkam tu obok z rodziną... Jak pani chce, możemy panią przenocować.

Metys z młodzieńczym wąsikiem porumieniał.

– Dziękuję – powiedziała Jana. – Wystarczy rachunek.

Zapłaciła pieniędzmi Rubéna i po nieprzyjemnym pobycie w łazience opuściła górską gospodę.

Kundel kręcił się koło wybebeszonych kubłów. Potruchtał za nią do forda, którego karoseria była w stanie nie lepszym niż jego sierść, wskoczył do środka jak do siebie i zaczął przebierać łapami, popiskując, jakby wracali do domu, by spędzić miły wieczór przy kominku.

– A toś się machnął, staruszkule – rzekła Jana, uruchamiając silnik.

Górskie zbocza odcinały się w ciemności. Dojechała do końca wioski i dalej ruszyła wypatrzoną wcześniej drogą gruntową, która wiała się w kierunku lasu na wzgórzu. Zostawiła wóz na końcu drogi wśród paproci i ciernistych zarośli. Kiedy zgasły światła, las zgęstniał. Jana narzuciła na siebie ponczo, by się ochronić przed nocnym kąsaniem chłodu, zabrała butelkę wódki i ręczny



reflektorek. Diesel węszył przez chwilę w rowie, po czym pobiegł za swoją panią aż do porośniętego krzewami płaskiego kawałka terenu, który górował nad klasztorem. Jego zabudowania znajdowały się dwieście metrów niżej, dachówki słabo oświetlał księżyc. Dobry punkt obserwacyjny.

Zmęczenie opadło ją wraz z rosą. Jana znalazła schronienie pod pehuenem, dużym drzewem o parasolowatej koronie, które zdołało się wepchnąć między sosny, usadowiła się wygodnie. Rozbijały się o nią ćmy wabione światłem i ciepłem latarki, Diesel wyłapywał każdą, która się napatoczyła. Jana odkręciła wódkę. Alkohol palił w gardło wysuszone długą drogą. Łyknęła jeszcze raz, poczuła się odrobinę lepiej. Kundel gdzieś znikł zajęty swoimi sprawami. Napila się znowu, ale dwie niedospane doby dały jej w kość. Zgasiła latarkę, położyła się twarzą do nieba.

Chile leżało po drugiej stronie Andów widocznych jako czarna masa: ziemie przodków przepadły, zachowały jednak swój magnetyzm. Jana pomyślała o młodszej siostrze, o braciach... Nie, nie może się do nich zwrócić. Nie pomogą jej zaspokoić żądz zemsty, będą raczej chcieli, by wróciła do społeczności, zamieszkała z nimi, wygnańcami na własnej ziemi. Na nic się nie zdało wszystko, co zrobiła po odejściu od nich, a teraz jeszcze w sercu miała krwawiącą ranę z powodu Rubéna... Pomyślała o nim, intensywnie, wyobraziła sobie świetlistego ducha unoszącego się gdzieś na niebie, ale widziała tylko diamenty rozpaczony na Drodze Mlecznej. Zamknęła oczy znieczulona zmęczeniem i alkoholem, czując przy boku wyliniałego kundla. Powoli jej zmysłami zawiądnęła natura.

Czy dlatego, że znalazła się w pobliżu swoich, przyzywać ją zaczął mapuczański duch znany z dzieciństwa, Ngenechen,

najwyższe bóstwo wulkanów, które od niepamiętnych czasów stawiało czoło mrocznej sile kai kai? Duchy ścierały się ze sobą w ciemnościach, niemal czuła, jak przebiegają po jej lodowatej skórze. Siły. Czuła, jak kipią spod ziemi, rozlewają po jej ciele, jakby teluryczny ogień, który wzbudzała *machi*, wciąż płonął z trzaskiem... Jana poderwała się nagle z szeroko otwartymi oczami.

– Rubén?

Trwała w bezruchu pod pehuenem, dysząc urywanie – za całą odpowiedź usłyszała tylko szelest wiatru wśród gałęzi...

\*

W białym słońcu kładły się mgły w głębi doliny. Owinięta w wełniane ponczo Jana od brzasku obserwowała klasztor, nie odrywając oka od lunetki karabinu. W magazynku sześć pocisków kaliber 7.62, zasięg strzału osiemset metrów, zoom dziesięciokrotny: mogła ostrzelać połowę dziedzińca niewidoczna wśród zarośli na wzgórzu.

Chwilę wcześniej pokazał się tam mnich, młody blondynek o rzadkich włosach. Z tego, co mówił spowiednik Rosy, leciwy kardynał von Wernisch wycofał się tu na emeryturę. Ale inni? Krążący wśród krzewów Diesel znaczył swój teren, posikując od niechcienia, a w końcu wyciągnął się obok niej. Jana wciąż nie usłyszała ani jednego szczeknięcia kundla. Temperatura podnosiła się wraz ze słońcem. Nic się nie działo. Diesel wkrótce zasnął z pyskiem na skrzyżowanych łapach, jak nakazuje szczyt psiego szyku. Jana czekała markotna, wtem serce skoczyło jej w piersi: na dziedzińcu pojawił się grubas w białej koszuli.

Prostacka twarz, bycza postać: oprawca z delty, Toro. Miała go

na muszce. Świat zadrżał w posadach. Jana intyktownie oparła palec na spuście – jedno pociągnięcie i roztrzaska mu łeb. Przez myśl przemknął jej obraz: głowa drania w kawałkach, mur zachlapany krwią, rozbryźnięte kawałki mózgu... Zapanowała jednak nad sobą. Nie była pewna, czy trafi z tej odległości. Zaalarmowana reszta bandy zabarykaduje się w klasztorze, skąd nie zdoła ich wykurzyć. A oni pošlą innych, żeby ją znaleźli, lokalną policję albo swoich ludzi, którzy zaczną na nią polować... Zachowała więc zimną krew. Byli tutaj, w tej chwili tylko to się liczyło. Na jej korzyść działał efekt zaskoczenia. Jakiś samochód na pewno schowali w obrębie klasztoru, na którymś z krytych dziedzińców. Mogłaby ich wszystkich wystrzelać, gdyby wyszli kupą, bo przecież muszą jeździć po papierosy, alkohol, jedzenie. Zdenerwowała się naraz: co robi, jeśli przyczają się tam na tydzień, dwa, nie opuszczając klasztornych murów?

Snuła mordercze plany, wciąż obserwując oświetlony słońcem dziedziniec przez lunetkę. Toro dawno znikł z pola widzenia, gdy naraz coś się wydarzyło.

Na niewielki parking na skraju lasu zajechało audi. Szary metallic. Wysiadł z niego mężczyzna w niebieskim blezerze o niemodnym fasonie i wolnym krokiem ruszył w stronę furty. Jana obserwowała przybysza w zbliżeniu: około siedemdziesiątki, średniego wzrostu, krótkie ciemne włosy na łysiejącej głowie, twarz raczej pospolita, którą już gdzieś widziała... Gdzie? Mężczyzna stał teraz przed drzwiami z surowego drewna, wahając się, czy pociągnąć za sznurek dzwonka. Jana wreszcie sobie przypomniała: zdjęcie, które Rubén otrzymał na smartfona w dniu, kiedy wracali z Andów. Facet z Colonii, który zwał. Díaz, były agent SIDE.

Franco Díaz uczestniczył w operacjach specjalnych w kraju i za granicą, zanim trafił do wywiadu. Falszowanie dokumentów, organizowanie dużego wiecu, aby sfotografować i wciągnąć na czarne listy działaczy lewicowych kilka tygodni przed puczem, infiltrowanie grup terrorystycznych, likwidowanie określonych osób, planowanie uprowadzeń... Brudna wojna, jak to się mówiło. Nie ma czystej wojny. Díaz wykonywał rozkazy. Ci, którzy je wydawali, byli surowi, ale sprawiedliwi. Źle przygotowana operacja Rosario stała się początkiem końca: po porażce na Malwinach wojskowi musieli oddać władzę i zatrzeć ślady wszystkiego, co mogłoby się obrócić przeciwko nim. Generał Bignone zaufał mu – jemu, tajnemu agentowi.

Díaz uciekł do Colonii, lecz los się na niego wziął. Związek przyczynowo-skutkowy, przejaw zżerającego go raka? Nowe komplikacje go dopadły, i to takie, że musiał się zaszyć w podrzędnym hoteliku w La Placie z tabletkami morfiny. Trzy dni w nim spędził odurzony narkotykiem, śnił, że odkopano jego skarb albo że burza zniszczyła mu rajski ogród, że policjanci i sędziowie w czarnych togach skazują go nieodwołalnie za niszczenie pamiątek historycznych, roił za dnia bez ładu i składu i wracał do rzeczywistości oszołomiony, cierpiąc katusze, błagając Głos, który go prowadził, by zmiłował się nad nim – by dał mu jeszcze odrobinę czasu... Po twardej bezlitosnej walce Głos wyłonił się z nicości i wyrwał go z objęć choroby. Potęgą wiary w Boga Jedyne go postawiła go na nogi skuteczniej niż morfina. Nie, Franco nie umrze w samotności w anonimowym hotelowym pokoju, nie zatrzyma się tak blisko celu. Kardynał służył mu moralnym wsparciem podczas brudnej wojny: teraz Díaz wierzył, że mądry starzec zdoła mu udzielić rady po raz ostatni i rozgrzeszenia

w obliczu śmierci. Dopiero potem będzie mógł odejść w spokoju.

Po opuszczeniu hotelu w La Placie, gdzie pokonał kryzys, Díaz szybko odnalazł ślad von Wernischa za pośrednictwem księdza z diecezji. I oto z twarzą naznaczoną zmęczeniem dotarł wreszcie do Los Cipreses, zapadłej dziury w Andach, po dwóch dniach jazdy w kurzu dróg. Franciszkański klasztor, w którym znalazł schronienie kardynał, stanowiły rozległe kamienne zabudowania pokryte dachówką porośłą miejscami mchem.

Franco zaparkował audi i powoli wysiadł. Choroba nie odstępowała, czyhając na pierwszy fałszywy krok.

Furta klasztorna była masywna, dzwonek z innej epoki. Díaz dotarł do celu, lecz gdy stał u wejścia, coś sprawiło, że się zawahał. Stare odruchy już wcześniej zadziałały – były agent nie zapowiedział telefonicznie swojego przyjazdu. Teraz w końcu odgonił od siebie obawy i pociągnął za sznurek dzwonka.

Po chwili otworzył mu młody zakonnik, patrząc na gościa z niejaką podejrzliwością. Surowa twarz zmieniła wyraz, kiedy Franco przedstawił się jako stary przyjaciel kardynała von Wernischa, z którym chce się zobaczyć w pilnej sprawie. Bez komentarza zakonnik wpuścił go na dziedziniec i przez dębowe drzwi wprowadził do sieni, sam zaś znikł z drugiej strony budynku.

W sieni pysznił się obraz w złoconej ramie – portret biskupa z dawnych czasów spoglądającego nań życzliwie. Czując dotkliwy ból w brzuchu, Franco łyknął tabletki w chłodnym cieniu. Na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie na kamieniach wygrzewało się parę jaszczurek, nie było żadnego przewiewu. Díaz pocił się w blezerze, gardło miał wysuszone lekami i kurzem, którego się nałykał. Na dziedziniec jakieś dwadzieścia metrów od niego wyszedł grubas, cywil o nalanej twarzy idący z refektarza z pełnym

talerzem w ręce. Pusta kabura wisiała mu pod pachą, na białej koszuli widniały mokre plamy potu.

Díaz z walącym sercem schował się za drzwi. Alert. Czerwony alert. Już nie instynkt do niego przemawiał, lecz Głos. Ostrzegał o zagrożeniu. O bliskim zagrożeniu. Franco tkwił w ukryciu. Grubas nie zauważył go z dziedzińca, całą uwagę skupiając na jedzeniu. Kim jest ten facet? Glina? Jeden z tych, co byli w Colonii? Botanik wycofywał się krok po kroku. Głos mówił mu, że nie powinien tu zostać. Że coś przeciw niemu się knuje, że to śmiertelna pułapka. Głos nakazywał mu ucieczkę. Natychmiast.

Nie czekając na powrót zakonnika, Díaz opuścił teren klasztoru. Obecność tego uzbrojonego człowieka niewątpliwie miała związek z jego Sekretem. Skąd wiedzieli, że przyjedzie tutaj? Von Wermisch był przyjacielem, ale mogli się nim posłużyć jako przynętą. Słońce na moment go oślepiło, gdy wyszedł poza obręb klasztornych murów. Samochód stał na łączce pełniącej rolę parkingu. Franco przyspieszył kroku ogarnięty irracjonalnym lękiem, pilotem odblokował drzwi audi i wsiadł za kierownicę. Odjechać stąd, jak najszybciej. Nie zauważył postaci, która wyprysnęła z pobliskich zarośli: drzwi z prawej się otworzyły i w fotelu pasażera usiadła Indianka o dzikim spojrzeniu. Miała pokierszowany nos, fioletowe worki pod oczami, pod ponczem ukrywała broń. Díaz podniósł ręce, lecz Indianka wbiła mu lufę w brzuch. Broń była odbezpieczona.

– Ruszaj albo cię rozwalę, skurwysynu...

## 4

Elena Calderón nadal mieszkała w domu w San Telmo przy avenida Independencia: tutaj przeżyła z rodziną szczęśliwe dni. Odkąd trzydzieści pięć lat wcześniej jej bliscy zniknęli, drzwi domu zawsze były otwarte, jakby Elsa i Daniel mogli wrócić. Elena zamknie je nie w dniu, gdy przywiozą jej ich szczątki – to będzie w pełni osobiste – ale w dniu, kiedy wszyscy winni zostaną osądzeni: to był jej sposób, by nie odbywać żałoby.

Pierwsze promienie słońca padły na kwiaty w ogrodzie, kiedy Susana zapukała do lśniących drewnianych drzwi i weszła, nie czekając na zaproszenie.

– Księżno? To ja! – zawołała w pustkę. – Wstawaj!

Wiceprzewodnicząca Babć z Plaza de Mayo skierowała się do kuchni, nie czekając na odpowiedź – w przeciwieństwie do niej Elena wstawiała późno, tak bowiem przywykła w przeszłości, gdy w jej sferze należało być nocnym markiem. Susana wyjęła morele z worka, żeby się nie pogniotły, zobaczyła mate na kuchence, zaczęła z trzaskiem drzwiczek przeglądać szafki w poszukiwaniu ciasta na placek. Przyjaciółka w końcu stanęła w drzwiach uczesana i umalowana, w długiej jedwabnej szacie ozdobionej haftem.

– Cześć, Księżno!

– Dzień dobry, skarbie...

– Jak zwykle wystrojona?

Elena ubrana była w suknię domową wyjątkowo wytworną, na ramiona narzuciła biały szal z angory. Zmarszczyła czoło, kiedy Susana hałaśliwie zamykała szafki kuchenne z takim impetem, jakby ze środka miało skoczyć na nią dzikie zwierzę. Zobaczyła morele, które jej energiczna przyjaciółka wysypała na stół.

– Z tym trzeba łagodnie – rzuciła ironicznie.

– Nie mogę znaleźć ciasta na tartę – broniła się Susana. – Chyba masz je w zapasie? Wszędzie zajrzałam i nie widzę. Musisz mi pomóc, wiesz, że marna ze mnie kucharka, nawet wodę przypalam!

Elena Calderón, która nigdy nie pokazywała się ludziom bez lekkiego makijażu (starość to katastrofa, szminka była dla niej kołem ratunkowym), nie cierpiała rozmawiać przed poranną matę. Nalała jej sobie do filiżanki, podczas gdy przyjaciółka nadal szalała po kuchni.

– No więc?

– Do lodówki zaglądałaś?

– Dwa razy!

– Za szybko.

Faktycznie.

– Aaa! – zawołała Susana odkrywczco.

Elena dopiła gorzką matę, kiedy przyjaciółka wykladała ciastem formę.

– Carlos będzie niedługo, a ty nieubrana jeszcze! – zwróciła jej uwagę Susana.

Ona miała na sobie białą sukienkę ze wzorem wiśni, prostą, lecz bardzo ładną.

– Zajmij się lepiej morelami, zamiast marudzić – odparła Elena,



wstając. – Za dziesięć minut będę gotowa.

Tyle czasu miała się piec tarta.

I dokładnie dziesięć minut później Elena zeszła do kuchni wystrojona niczym na ślub w Casa Rosada.

– I jak? Mogę się tak pokazać?

Idealnie leżąca niebieska sukienka, biały muślinowy kołnierzyk, angorowy szal dość duży, by przykryć cały miot rodziny pum, pociągnięte tuszem rzęsy wywinięte ku słońcu niczym płatki słonecznika. Jeszcze tylko jej brakuje długiej cygarniczki, pomyślała Susana.

– Jasne – zapewniła przyjaciółkę. – Za to martwi mnie tarta.

Elena zerknęła na swoje odbicie w dużym lustrze w holu – poprzedniego dnia w szpitalu wyglądała koszmarnie... Tarta była jeszcze gorąca, kiedy dziennikarz zatrąbił przed bramą – Rubén przepadał za morelami.

Świat wydychał opary naftowe, sprowadzając wspomnienie najczarniejszych chwil jego życia. Najgorszych. Chwil wypełnionych dzikimi myślami, wbijania szpil, ognia w ciele. Rubén wiedział, co to ból, żył z nim miesiącami, gdy go więziono: umrzeć albo oszaleć. Ból otwierał ciało jak muszlę ostrygi, wywiewał z niego wszystko prócz luźno latających atomów. Rubén stał się soplem lodu. Zimnym. Złym. Nie do zdarcia.

Kiedy po strzelaninie w delcie leżał nieprzytomny, zapamiętał matkę siedzącą przy łóżku, niewyraźne zmarszczki na jej twarzy i miękką dłoń, która gładziła go po ręce, jakby chciała wymazać Zło wżarte w jego ciało – tak samo robiła dawno temu, pocieszając go po koszmarnym śnie. Jedna szansa na sto, że wyjdzie z tego żywy: Rubén nie dawał się oprawcom, dopóki nie wbili mu drugiej banderilli. Znalezione go przywiązanego do ławy w pokoju,

zalanego krwią. Obok Miguel już dawno nie oddychał. A w nim jeszcze tliło się życie. Drugie ostrze wbite już nerwowo przy dźwięku syren policyjnych o włos ominęło serce. Ratownikom udało się powstrzymać krwotok, nie ocucili jednak rannego. Kiedy wieziono go na blok operacyjny, miał taki słaby puls i był taki wykrwawiony, że dziesięć razy mógł skonać.

Organizm wytrzymał. Spowity w bandażu Rubén na krótko odzyskiwał przytomność oszołomiony lekami, sufit zlewał mu się z plastikowymi poręczami łóżka. Środki chemiczne przyprawiały go o krótkie halucynacje, w których widział się w grobie, walczył z krokodylami i węzami, i tak przez dwa dni odurzenia. Wreszcie zaczął wracać do tego świata – do świata i do wydechanych przez niego oparów.

Szwy, gojenie, środki przeciwbólowe, ciśnienie krwi – Pichot, chirurg, który się nim zajmował, zalecił sześć dni leżenia, zanim będzie można pomyśleć o powrocie do domu. Rubén był jak lód. Anitę wykończono kulką w głowę, ciało Oswalda wyłowiono na drugim brzegu odnogi delty, nie znaleziono natomiast Mapucze, która zniknęła w całym zamieszaniu.

Rubén spoczywał na białym szpitalnym łóżku z oczami podkrążonymi z powodu koszmarów. Naprzeciw miał Ledesnę, który także prezentował nietęgą minę. Komisarz nienawidził szpitali – śmierdziało w nich chorobą, śmiercią i tak dalej – a jeszcze bardziej nienawidził myśli, że na kilka miesięcy przed emeryturą wyleci z roboty. Stary gliniarz nie oparł się chęci, by dokopać Roncerowi i Luquemu, chlubie Torresa. Ale Eduardo Campallo palnął sobie w łeb, oprychy z delty zwiały, przez co runął cały misterny plan, na dodatek w akcji zginęła jego podwładna i sprawę przejęła policja naukowa Luquego, czyli jednostka, którą

podejrzewał o korupcję na szeroką skalę. To niepowodzenie drogo mogło go kosztować.

Komisarz Ledesma, zwalisty i o dziobatym fioletowym nosie, chociaż był abstynentem, spoglądał ponurym wzrokiem, w którym gniew mieszał się ze strapieniem. Ledwie rozpoznał twarz Anity Barragan, kiedy przywieziono jej zwłoki. Jasne włosy miała pozlepiane krwią, głowa rozprysła się pod wpływem wstrząsu hydrostatycznego: strzelono do niej z bliska, wyglądało to na szybką egzekucję.

– Nie wiem, jak głęboko w tym pan siedzi, Calderón – podsumował w smrodliwym pokoju – ale z góry uprzedzam: śledzenie komórki Del Pira nigdzie nie wyjdzie, a agentka Barragan działała na własną rękę, kiedy trafiła na trop mordercy z calle Perú. Ani słowa nigdzie nie ma o Campallu i jego córce. Luque i Torres będą drzeć ze mnie skórę pasami, jak się dowiedzą, że bez ich wiedzy prowadziłem dochodzenie. Radziłbym zresztą w ogóle cicho siedzieć. Dowiedziałem się, że przyjdzie pana dzisiaj przesłuchać kapitan Roncero – poinformował. – Niech się pan ograniczy do sprawy Michelliniego. To moja rada.

– Muñoz sfałszował raport z sekcji Marii Campallo – odparł Rubén z łoża boleści. – Wystarczy ekshumować ciało.

– Po samobójstwie jej ojca? – zdziwił się Ledesma. – Człowieku, zapomnij.

– Maria została zamordowana, wie pan o tym tak samo dobrze jak ja.

– Powie pan to Luquemu i Roncerowi. Na pewno zaciekawili ich pańska wersja. Ja umyłam ręce.

W pokoju zapadła mdląca cisza. Rubénowi było potwornie gorąco w szpitalnym kaftanie, unosił się na przeciwbólowej chmurze,

która ani trochę nie pomniejszała jego żądy mordy.

– Puści pan płazem śmierć policjantki?

– Nie mam wyboru – potwierdził szef Anity. – Luque osobiście przejął sprawę, a pańskie rewelacje będzie miał w głębokim poważaniu.

Zbadane próbki prochu i testy balistyczne dowodziły, że detektyw brał udział w strzelaninie, będzie zatem musiał wyjawić szczegóły swojego dochodzenia Roncerowi, Luquemu i jego elitarnym policjantom, którzy już się od niego nie odczepią.

– Tak się pan boi Luquego? – wychrypiał Rubén. – Myślałem, że go pan nie znosi...

– Człowiek często nie znosi tego, czego się boi.

– DNA Miguela Michelliniego jest zgodne z DNA Marii Campallo – upierał się Calderón – i nie jest zgodne z DNA jego rzekomej matki, a...

– Niech pan zapomni o Campallach – przerwał mu komisarz. – Nękanie rodziny w żałobie, w dodatku zaprzyjaźnionej z burmistrzem, szybko obróci się przeciw panu, tego może być pan pewien. W raporcie, który przekazałem Luquemu, jest tylko mowa o sprawie Michelliniego – dobił go. – Stary, zostawiłeś kupę trupów za sobą. Nieważne, czy w obronie koniecznej czy nie: w tym położeniu nie możesz atakować, tylko musisz się bronić!

Uwięziony na szpitalnym łóżku, z lewą ręką mocno poobijaną, Rubén ledwie był widoczny pośród poduszek. Zamknął oczy, nagle potwornie zmęczony. Stary gliniarz wycofywał się z gry. Porzucił trop. Ale w jednym komisarz miał słuszość: policja naukowa przejęła sprawę i Luque nie będzie się z nim cackał... Ledesma przestępował z nogi na nogę przed kartą z wykresem temperatury. Pragnął jak najszybciej stąd wyjść i zarazem głupio mu było na

myśl, że zostawi detektywa samego w tym stanie.

– Mimo wszystko, hm... przykro mi z powodu tego, co się stało – powiedział.

Rubén przełknął ślinę. Nie myślał o stalowym szpikulcu, którym go przebito w domu na wysepce, ani o uszach spalonych przez pikane, ani o wyładowaniach elektrycznych, które lasowały mu mózg – myślał o Anicie, swojej koleżance, o wspomnieniach z dzieciństwa ginących tutaj, na tym szpitalnym łóżku. Ujrzał w myślach jej jasny uśmiech, kiedy jeszcze jako dziewczynka wręczała mu swój rysunek kapitana żeglującego po szarym morzu usianym błękitnymi cętkami... Ledesma chciał jeszcze coś dodać, lecz Rubén blady jak trup warknął:

– Wynoś się!

\*

Samuel i Gabriella Verónowie nie byli Argentyńczykami, tylko Chilijczykami i dlatego właśnie nie widnieli w żadnej bazie zaginionych rodziców.

Abuelas de Plaza de Mayo natrafiły w końcu na ich ślad w archiwach Casa Nazaret, schronisku przy kościele Santa Cruz, przez które przewinęło się wielu uchodźców z Chile po zamachu stanu Pinocheta. Ojciec Mujica, opiekun ubogich i uciśnionych, został zamordowany przez zbirów dyktatora, lecz działaczki zebrały zeznania ówczesnych świadków. Samuel i Gabriella Verónowie wyemigrowali do Buenos Aires pod koniec 1973 roku, niedługo po śmierci Peróna, nie wiedząc, że taka sama wojskowa klika przejmie władzę w Argentynie. Ukrywali się przed łapankami organizowanymi przez członków 3A, uniknęli szwadronów śmierci i ostatecznie zostali uprowadzeni pewnego zimowego dnia w roku

1976 wraz z córeczką, wówczas szesnastomiesięczną. Ich zniknięcie przeszło niezauważone, ponieważ argentyńskich przyjaciół Verónów, podobnie jak wcześniej ojca Mujicę, który się nimi zaopiekował, zmełły młyny systemu.

A co z ich rodziną? Babcie odnalazły ślad Verónów w Chile, gdzie bratnie stowarzyszenia walczyły o wyjaśnienie zbrodni czasów dyktatury. Samuel był przywódcą studenckiej grupy popierającej Allendego, w 1971 roku ożenił się z Gabriellą Hernandez, Argentynką poznaną na uczelni w Santiago. Upadek Allendego i zakrojone na szeroką skalę represje, które potem nastąpiły, zmusiły ich do ucieczki do Buenos Aires. Samuel zostawił wszystko w kraju. Rodzice Gabrielli byli bogatymi właścicielami ziemskimi, należały do nich setki hektarów w prowincji Mendoza. Niedługo po puczu Videli zginęli w wypadku samochodowym, zostawiając majątek Gabrielli, jedynej dziedziczce, która uprowadzona wraz z mężem nie zdążyła z niego skorzystać.

Tyle się dowiedziały Abuelas. Carlos natomiast poszedł tropem robót publicznych zainicjowanych przez juntę w celu zmodernizowania centrum miasta – chodziło o wysiedlenie biedaków i postawienie nowych budynków, na czym skorzystać miały prywatne przedsiębiorstwa. De Hoz, minister gospodarki, powierzył roboty publiczne pułkownikowi Ardilesowi (mianowanemu generałem w 1982 roku). Wojna z biedakami nie była niczym nowym: junta o połowę obniżyła pensje robotników, zlikwidowała darmowe szpitale, siedmiokrotnie podniosła ceny bydła, by zadowolić wpływową Sociedad Rural, stowarzyszenie wielkich właścicieli ziemskich; całe dzielnice były wtedy pozbawione wody lub elektryczności – w niektórych okolicach Wielkiego Buenos Aires pojawiły się choroby dawno zapomniane,

jak dyzenteria czy wścieklizna, cofając kraj o pół wieku. Dziennikarz nie poprzestał na tym: generał Ardiles nie był postacią anonimową, należał bowiem do wysokich rangą wojskowych, którymi interesował się CONADEP po upadku dyktatury. Po pięciu latach aresztu domowego objęła go ostatecznie amnestia Menema wraz z ustawą o „Punto final”. Stowarzyszenia obrony praw człowieka wznowiły żądania po objęciu władzy przez Kirchnera, ale mimo wszczętych od nowa postępowań sądowych, które niemożliwie się ciągnęły, Ardiles wykorzystywał przekraczanie terminów dochodzenia i zaświadczenia o złym stanie zdrowia, tak że ostatecznie uniknął pociągnięcia do odpowiedzialności. Oprócz emerytury wojskowej stary generał otrzymywał dywidendy od posiadanych akcji, a także z różnych przedsiębiorstw wynagrodzenie za udział w posiedzeniach, najwyraźniej wcale nie poczuwając się do żalu za przeszłość. Po umorzeniu jego sprawy Ardiles zapytany przez dziennikarza oświadczył, że na wojnie zawsze są ofiary i że ofiarami mogli być „nasi” albo „tamci” – w domyśle: czerwoni.

Susana połknęłaby chyba własną protezę.

Leandro Ardiles oddawał się dzisiaj zajęciom właściwym dla swojego wieku (osiemdziesiąt lat) w chronionym osiedlu w Santa Barbara zbudowanym przez Vivalię, firmę budowlaną Campalla. Kilkakrotnie wzywany na świadka, szczególnie w roku 2010 na procesie ESMA, Ardiles nigdy nie stawił się w sądzie, zasłaniając się zaświadczeniami lekarskimi wystawionymi przez profesora Fillola, właściciela kliniki na tym samym osiedlu w Santa Barbara: przez Fillola, którego nazwisko widniało na liście ofiar strzelaniny w delcie...

Carlos zakończył swój wykład uśmiechem na pyzatej twarzy

marnie skrywającym zawziętość.

– Ardiles – podsumował. – Jestem pewien, że on był pułkownikiem, który zorganizował wywiezienie Verónów i fałszerstwo aktów urodzenia.

Panie ze stowarzyszenia w milczeniu pokiwały głowami. Zapach moreli zazarcie walczył z wonią środków odkażających, które przesycały powietrze w szpitalnej sali. Rubén słuchał wieści, leżąc blady jak płótno mimo światła słonecznego sączącego się przez okna. Ardiles, były generał: mógł zlecać uprowadzenia i likwidację ludzi, mógł być jednym z tych, których nazwisko wymazano z kartoteki. To jednak nie tłumaczyło samobójstwa Eduarda Campalla. Dlaczego Ardiles zorganizował tajne spotkanie w Andach? Kim był człowiek, do którego zawieziono Verónów przed likwidacją? Rubén zacisnął zęby, podnosząc się na poduszkach.

– Co się stało z ziemiami Gabrielli Verón?

– Jeszcze szukamy – odparł dziennikarz. – Zwróciłem się do kancelarii sądu handlowego w Mendozie, ale na to trzeba czasu.

– Ardiles może to wykorzystać i znowu się wymigać.

– O ile już się nie wymigał – zauważyła Susana.

– Tym się nie martw, Rubén – uspokoiła go matka. – Nie popuścimy. Możesz na nas liczyć.

– Tak, tak – poparła ją Susana. – Ty wracaj do zdrowia.

– Niemożliwe – powiedział. – Nie da rady.

Głos miał chrapliwy, niemal skrzeczący.

– Czemu? – zdziwiła się Susana.

– Luque i jego banda będą mnie maglować – wyjaśnił z mętnym spojrzeniem. – A jak raz znajdę się w ich rękach, nie wypuszczą mnie.

Rubén tkwił w oparach chemii. Wyrwał igłę z wenflonu i sam



wenflon przymocowany plastrem do skóry.

– Co robisz? – wystraszyła się Elena.

– Muszę znaleźć tych bandziorów.

– Co?... Ale...

Na oczach patrzącej błagalnie matki odpinał przewody, którymi był podpięty do aparatury.

– To szaleństwo – rzekła ponuro, tyle że znała go aż za dobrze.

– Popieram – podchwyciła Susana. – Nie licz, że w tym stanie dojdiesz do końca korytarza.

– Czuję się lepiej – skłamał.

Widział wyraźnie – i właściwie na tym kończyła się jego sprawność. Carlos obrzucił wzrokiem bladą twarz przyjaciela i zrozumiał, że żadne argumenty nic tu nie działają. Taką samą miał minę, kiedy mu powiedzieli o zniknięciu Jany, świadka, którego ciała nadal szukano...

Rubén wyjął ubranie, które matka ułożyła w metalowej szafce.

– Nie możesz wyjść w tym stanie – szepnęła Elena. – To cię zabije.

W jego oczach błyszczała wściekłość.

– Ja już nie żyję.

\*

Jana.

Rubén myślał o niej bez przerwy.

Widział jej kochane oczy w domu na wyspie, jej przerażoną twarz, gdy się rozstawali. Od strzelaniny minęły trzy dni, a po niej ślad zaginął. Ona także stała się zjawą. Rubén otworzył opancerzone drzwi agencji otumaniony, niemal odurzony.

Zapasowe klucze dostał od matki, Carlos przywiózł go na calle

Perú. Ze szpitala wymknęli się ukradkiem, ale to się szybko wyda i wieść zaraz dotrze do Luquego.

Rubén zrobił kilka kroków w głąb mieszkania. Czuł się jakoś obco: zdjęcia porozwieszane na ścianach, kanapa, na której Jana spała pierwszego wieczoru – bez niej wszystko wydawało się martwe. Zbędne. Ponure. Zawróciło mu się w głowie, oparł się o barenki. Kończyło się działanie środków, które dostał dożylnie, i zaczynał narastać ból w płucach, głuchy, przejmujący. Zażył dwie tabletki przeciwbólowe zabrane ze szpitala, wetknął głowę pod zimną wodę z kranu. Na długo. Nogi miał jak z waty, lecz nie mógł tutaj zostać – kowboje Luquego w pierwszej kolejności zaczną go szukać w mieszkaniu. Wyprostował się, poszedł do sypialni w końcu korytarza – zabierze parę rzeczy, broń, niezbędne minimum...

Jęknął, odsuwając komodę po dywanie. Podniósł deski parkietowe i na moment zastygł oniemiały: ktoś opróżnił schowek na broń. Granat, granaty łzawiące, kajdanki, rewolwer, amunicja, nawet karabin snajperski i pieniądze – wszystko zniknęło. Został jedynie amerykański glock 19, tłumik do niego i trzy magazynki.

Serce szybciej zabiło Rubénowi. Jana. Tylko ona wiedziała, gdzie ukrył swój arsenał. Klucze do mieszkania zostały w torbie na łodzi Oswalda. A więc nie zginęła. Udało jej się uciec. Wróciła do Buenos Aires. Ze wzruszenia łzy napłynęły mu do oczu, szybko się jednak rozwiała nadzieja, która je wzbudziła: dlaczego Jana nie skontaktowała się z Babciami? Dlaczego nie próbowała zasięgnąć wieści o nim? Woląla zabrać broń z kryjówki, niż porozumieć się z jego matką – ewidentnie dlatego, że bronią zamierzała się posłużyć. Pod lodową zbroją Rubéna przeszedł dreszcz.

Jana była mu siostrą, siostrą w gniewie... I właśnie to wprawilo

go w przerażenie.

## 5

Skupione w strefie Kanału Panamskiego amerykańskie szkoły wojskowe wykształciły tysiące oficerów, którzy stworzyli siły bezpieczeństwa przyszłych dyktatur: nauczyli się kontrolowania ludności kraju, poznali metody przesłuchań, tortury. Zadziałał efekt domina i kolejno wojskowi przejmowali władzę w Paragwaju (1954), Brazylii (1964), Boliwii (1971), Chile i Urugwaju (1973), wreszcie w Argentynie w 1976 roku. W przeciwieństwie do swojego poprzednika Jimmy'ego Cartera republikański prezydent Ronald Reagan nie krzywił się na politykę argentyńskiej junty: były aktor zaprosił do Waszyngtonu generała Violę, następcę Videli jako przywódcy, zniósł embargo, które nie pozwalało na udzielanie pożyczek i pomoc militarną, odzegał się od Matek z Plaza de Mayo sprzeciwiających się zakładaniu „antykomunistycznych” baz szkoleniowych w kraju.

Pułkownik Ardiles został wyniesiony do rangi generała właśnie przez Violę jeszcze przed fatalnym epizodem z Malwinami. Polityczno-finansowe powiązania Leandra Ardilesa pozwoliły mu się przesmyknąć przez oczka sieci, lecz sprawa Campallów mogła wszystko postawić pod znakiem zapytania – jego dostatnią emeryturę na chronionym osiedlu w Santa Barbara, swobodę działania, a nawet wolność. Nie zdołał zapanować nad sytuacją,

wymykała mu się z rąk. Musieli na gwałt ratować się ucieczką, zraniona ręka wciąż mu dokuczała i posąg komandora zaczynał pękać pod wojskowym werniksem.

Leandro Ardiles nie cierpiał oddawać swego losu w ręce drugiego człowieka – w tym wypadku Parisego, szefa ochrony na osiedlu. Mimo że nazwiska jego i kardynała nie widniały w kartotece, która wpadła w ręce Babć z Plaza de Mayo, powściągliwy zwykle generał bardzo się zmienił, odkąd wiedział, że jest ścigany. Za dużo trupów zostawili za sobą, nie wspominając o tej przeklętej kartotece. Czy oryginał spłonął razem z domem Ossaria? To wcale nie było takie pewne. Kardynał von Wernisch ręczył za dyskrecję zakonników, kryjówka była pewna, lecz Ardiles wiedział, że tylko przejściowa. Von Wernisch był kapelanem, który w epoce największych represji wzywał siły zbrojne do „kąpeli w Jordanie krwi”, w roku 1979 otrzymał sakrę biskupią, na przełomie wieków został mianowany kardynałem – należał do hierarchów Kościoła wspierających dyktaturę Videli. Liczący dziewięćdziesiąt dwa lata von Wernisch myślał, że już do końca życia będzie dzielił czas między msze po łacinie i spokojne drzemki, ale pewnego dnia zadzwonił do niego ojciec Josef, jeden z jego byłych wychowanków. Kardynał natychmiast wszczął alarm, uruchamiając morderczy bieg zdarzeń...

Dwaj starcy gawędzili w cienistym ogrodzie, kiedy podszedł młody mnich, który pełnił rolę kardynalskiego sekretarza.

– Znowu dzwoni, eminencjo – powiedział, nachylając się nad łysym hierarchą. – Franco Díaz. Mówi, że to pilne.

Ardiles błyszczącym wzrokiem popatrzył na von Wernischa, potem na Parisego siedzącego w końcu stołu. Poprzedniego dnia Díaz zjawił się w klasztorze i bez wyjaśnienia nagle znikł. Dziwne.

Von Wernisch swego czasu doskonale znał Díaza, pobożnego patriotę, agenta SIDE. Jego przybycie do Los Cipreses to nie był przypadek.

– Już idę – rzekł generał, podnosząc się.

– Ja też – oznajmił Parise.

W głosie Díaza wyraźnie pobrzmiwało napięcie, jakość rozmowy była zła. Dzwonił z komórki, twierdził, że ma „oryginalny dokument”. Nie wyjaśnił, dlaczego poprzedniego dnia uciekł. Zwięźle powiedział tylko, że chce dokument „pilnie przekazać jego eminencji do rąk własnych”. Hierarcha pod naciskiem Ardilesa zaproponował Díazowi przyjazd do klasztoru, jednakże schorowany były agent zdawał się bać. Chciał się spotkać nad jeziorem Escondido przed zmierzchem, jakby dokument parzył go w ręce. Wzięty z zaskoczenia von Wernisch po krótkiej naradzie ze współpracownikami podał Díazowi bezpieczny numer Parisego jako kontaktowy, tym samym zgadzając się na spotkanie...

– I co o tym myślisz, eminencjo? – zapytał generał, skończywszy rozmowę.

– Díaz jest patriotą – odparł kardynał. – Można mu zaufać.

Na jego pociągłej kościstej twarzy czas się odcisnął, lecz niebieskie oczy zachowały żywość spojrzenia teologa płonącego chęcią walki: jeżeli były agent SIDE mówił prawdę, mieli okazję wymazać dawne sprawy.

Słońce przypiekało zbocza gór. W sporej odległości od grilla, który zadymiał skraj ogrodu, siedział znudzony czekaniem Gianni Del Piro ślepy na piękno Andów. Żonę udało mu się jakoś zbajerować, kiedy przyjechał na to zadupie, ale mógł się pożegnać z gorącą Lindą, która na pewno już z wielkim hukiem wyniosła się z Punta del Este. Za wszystko mu zapłacą – oczywiście będzie premia za lot,

lecz jak wycenić utratę kochanki, która praktykowała miłość francuską *on the rocks*? Tymczasem musiał tkwić w ukryciu w tym klasztorze razem z generałem i jego osobistą ochroną, skazany na towarzystwo dwóch prymitywów.

Toro „na wakacjach” wystroił się w swój ulubiony ubiór: dres. Stojąc w rozkroku przed grillem, powiedział do kumpla:

- Powinieneś spróbować!
- Poczekaj, niech się upiecze! – odparł Picador.
- Ba!

Toro hałaśliwie obwęchał dwie duże muszle jedną po drugiej, kapiąc sokami na podkoszulek. Ponieważ od dłuższej chwili popijał czerwone wino, większej różnicy to nie czyniło. Oddelegowany do kucharzenia Picador obojętnie patrzył, jak jego przyjaciel się obzera. Trzydzieści pięć lat znajomości robiło swoje. Toro miał apetyt i należało go brać takim, jaki jest. Męski, wręcz z obsesją na tym tle, bredzący stale o Sodomie i Gomorze. Tego Picador nawet nie tykał. Jego nałóg był bardziej naukowy, elegantszy. Przy swoim doświadczeniu potrafił niemalże odczuwać ból w ciele innego, ze znanstwem oceniać jego poziom. Osobiście ostrzył swoje narzędzia. Calderóna mocno bolało już od pierwszej banderilli, przyrzędu wzorowanego na ostrzu używanym podczas korridy – właśnie od banderilli wziął się jego przydomek. Picador unieruchomił Calderóna, przemienił go w kamień, w którym ból jak lawa wolno się rozprzestrzeniał, ból niejako wiekuisty – po dołożeniu pikany absolutnie nie do zniesienia. Nieważne, że gnojek nic nie powiedział.

– Poczekajże, kurwa! – ofuknął Tora. – Widzisz przecież, że nie są upieczone!

Głodomór wziął kolejnego wielkiego małża dymiącego na ruszcie,

z długim cmoknięciem wyssał go z zadowoleniem, wytarł ręce w podkoszulek jedynie trochę upaprany.

– Małże je się na surowo – oświadczył. – Nawet stare!

Sprośny rechot rozbawił tylko jego. Grubas polał sosem muszle, aż węgle zaskwierczały. Trzy dni już się objiali w tym wsiowym klasztorze. Spokojna przystań, obaj nie myśleli, że do niej dotrą – w delcie o mało ich nie dopadły gliny...

– Hej, polej wina – zażądał Toro.

Wyciągnął kubek do chudego jak szkielet kompana, trącił się z nim po raz piąty. Małże były prawie upieczone, zaraz na ruszt trafi mięso.

– Nareszcie! – huknął z kroplami sosu na kłacie, której owłosienie, czarne i twarde, przebijało spod podkoszulka.

Na klasztornym dziedzińcu zrobił się jakiś ruch, lecz nie zwrócili na to uwagi zaabsorbowani posiłkiem. Parise z chorobliwie bladą łysą czaszką przeszedł przez ogród i zatrzymał się przy grillu.

– Mamy przejażdżkę – oznajmił swoim ludziom. – Od tej chwili zakaz picia alkoholu, jasne? A ty się przebierz – rozkazał Torowi, którego twarz błyszczała od tłuszczu. – Generał i kardynał jadą z nami. Wykonać.

\*

Niezbyt późnym popołudniem wyjechali z klasztoru w Los Cipreses stłoczeni w land cruiserze o przyciemnionych szybach. Toro z Picadorem i Del Pirem ulokowali się z przodu, za nimi Ardiles i von Wernisch, łysy drażgał zaś na tyle wozu, gdzie mógł pomieścić nogi. Uzbrojeni jechali wytyczoną trasą kawałkami wyasfaltowaną, choć i wtedy dziurawą, mijając nielicznych wynędzniałych Indian na koniach, czasem ciężarówkę leśników, która zapuściła się na ten



wygwizdów.

Leandro Ardiles odzyskał nadzieję po telefonie Díaza. Były agent SIDE miał oryginalną kartotekę ESMA, najlepszą ochronę na wypadek, gdyby próbowano go zostawić własnemu losowi. Za dużo osób było zamieszanych w tę sprawę. Już oni postarają się po cichutku zapewnić mu dostatnią starość w kraju, z którym Argentyna nie ma umowy o ekstradycji... Jakąś godzinę jazdy mieli do jeziora Escondido w samym sercu parku narodowego graniczącego z Chile. W kabinie śmierdziało starością. Toro zatkał sobie nos tak, by tylko kumpel to zobaczył, i oczami wskazał za siebie, na kardynała. Von Wernisch z dłonią na kłamce obserwował drogę szklistym wzrokiem. Minęli Puerto Bustillo z kamiennymi punktami widokowymi, potem kilka nędznych gospodarstw, ostatnich bastionów cywilizacji, za którymi był już tylko las. Do jeziora Escondido było jeszcze ze dwadzieścia kilometrów.

Dwumetrowy Parise, poskładany jak scyzoryk, burczał coś w części bagażowej land cruisera z nosem w mapie rezerwatu przyrody. Słońce nad wierzchołkami sosen zaczynało się chylić ku zachodowi. Ostatnie ludzkie sadyby zniknęły, ustąpiwszy miejsca leśnej gęstwinie porastającej zbocza Andów, których szczyty pięły się ku niebu. Droga, teraz już zwykła przecinka, okazała się dłuższa, niż sądzili.

- Przy takim tempie nie wrócimy przed nocą – zauważył Picador.
- Szlag!... Ominą nas derby!
- Jakie derby?
- River–Boca! – zawołał Toro.

Od dłuższej chwili jechali kamienistą drogą gruntową. Land cruiser piał się właśnie w górę zbocza, gdy Parise zaklął w tyle wozu: w tym miejscu nie było zasięgu. Jeszcze tylko brakowało, by

Díaz akurat teraz zadzwonił. Terenówka wzbijała chmurę brunatnego kurzu na krętej przecince. Zobaczyli jezioro o przejrzystej wodzie. Escondido. Díaz miał czekać gdzieś na jego brzegu. Chory, jak się wydawało. Biedak... Dotarli na szczyt wzniesienia i zaczęli zjeżdżać długą pochyłością. Rozpędzali się coraz bardziej, gdy naraz z hukiem strzeliły opony.

Toro z całej siły wdepnął pedał hamulca, wozem zarzuciło i kierowca stracił nad nim kontrolę. Land cruiser uderzył w drzewo, odbił się od niego i z łoskotem walnął w drugie, przednią szybę poprzecinały promienie pęknięć. Parise, który nie był przypięty, zdrowo się obijał w bagażniku, pozostali trzymali się, czego kto mógł, kiedy samochód się staczał. Wreszcie znieruchomiał w zagłębieniu terenu.

Przez kilka sekund trwała cisza pełna zaskoczenia, potem rozległ się jęk kardynała, który trzymał się za żebra. Obok niego krzywił się Ardiles z ręką na temblaku.

– Co się stało?

Toro zgasił silnik, jego kumpel już trzymał w ręce broń.

– Wysiadać! – rozkazał Parise uwięziony z tyłu. – Szybko!

Picadorowi w twarz powbijały się odpryski szkła. Toro naparł na wgniecione drzwi, wysiadł pierwszy. Spod pogiętej maski szedł dym. Grubas pomógł wysiąść kardynałowi, pod którym uginały się nogi, uwolnił Ardilesa i szefa ochrony. Wszystkie cztery opony były dziurawe, terenówka stała przechylona w zapadlinie. Na przecince ktoś musiał rozsypać gwoździe.

– Díaz wciągnął nas w zasadzkę – mruknął Parise ze złością.

Dobył glocka, rozejrzył się czujnie, zrobił krok ku przecince i wtedy z lewej huknął strzał. Del Pirem rzuciło na drzwi land cruisera – oberwał pociskiem dużego kalibru prosto w pierś.

Rzęząc, osunął się na ziemię na oczach zdumionego starego kardynała.

– Kryć się! – ryknął Parise.

Kule wzbijały ziemię spod jego stóp, uderzały w pobliskie pnie drzew. Toro z Picadorem pchnęli von Wernischa i Ardilesa pod osłonę sosen, zostawiając zakrwawione ciało pilota. Strzelano z zarośli w dole zbocza. Parise wpadł na kolczaste krzaki, potknął się i wrzasnął, czując przejmujący ból w kostce. Zacisnął zęby, by nie krzyczeć, zobaczył krew i wystające przez skarpetkę odłamki kości – zrozumiał, że paskudnie oberwał.

– *Vamos, vamos!* – pogonił całe towarzystwo.

Klął, kuśtykając za resztą. Dogonił ich nieco wyżej wśród drzew. Strzelano z zarośli w dole po drugiej stronie przecinki. Toro i Picador opróżnili magazynki, waląc na oślep.

– Kryć się, do cholery!

Nie zauważyli, że ich szef jest ranny. Pomagali starcom wspiąć się po zboczu, trzymając ich pod ramię. Parise osłaniał grupę oparty o pień, cały spocony z bólu.

– Pieprzony Díaz, skurwysyn jeden... – klął pod nosem.

Kula gwizdnęła mu nad głową, druga trafiła w sąsiednie drzewo. Snajper. Paskudny teren. Parise z nogą palącą żywym ogniem pokuśtykał za grupą, która pięła się po stoku. Ardiles życzył sobie iść sam, Picador podpierał kardynała, który skarżył się na ból w żebrach. Kula rykoszetowała tuż przed nosem generała, który z ręką na temblaku zbladł w koszulce polo od Ralphi Laurena. Toro pociągnął go pod osłonę gałęzi. Za nimi ciągle gwizdały kule. Zboczyli na wschód, gdzie teren nie był taki trudny, szli, mocno dysząc. Gdzieś zniknął zapach sosen, chyba że strach osłabił im zmysły. Parise włókł za sobą ranioną nogę, sapiąc:

– *Vamos, vamos!*

Oślaniając tamtych, co rusz oddawał strzał na oślep. Posuwali się naprzód, chyląc głowy pod gałęziami, potykali się na korzeniach i kępach paproci. Von Wernisch stękał z wysiłku, musieli go niemal nieść. Strzały za nimi stawały się coraz rzadsze, a w końcu ustały... Przeszli jeszcze ze sto metrów – teraz słyszeli tylko własne dyszenie.

– Stać! – rozkazał Parise, który zamykał pochód.

Pod wielkimi drzewami panował mrok. Znikła przecinka na zboczu poniżej, widzieli jedynie ścianę roślinności, która zdawała się gęstnieć wraz z nadchodzącym zmierzchem. Parise spływał potem.

– Picador, pomóż jego eminencji ułożyć się w jakimś w miarę wygodnym miejscu. Toro, sprawdź teren. Musimy chwilę odpocząć.

– Tak jest!

Ardilesowi przybyło dziesięć lat, kardynał miał minę człowieka, którego wydarzenia przerosły. Wyczerpany wspinaczką Parise usiadł, by zbadać swoją ranę: kula strzaskała mu nogę w kostce. Teraz, gdy napięcie nieco ustąpiło, ból promieniował aż do kolana.

– Mocno oberwałeś, szefie – szepnął Picador, widząc rozmiar szkód.

– Ano... – przyznał Parise wciąż pocący się obficie.

Nadal nie było tu zasięgu sieci komórkowej, a pod araukariami zapadała noc. Nikt nie przyjdzie im z pomocą, miejsce leżało na uboczu, w dodatku dwaj starcy ograniczali możliwość ruchu. Parise rozważał sytuację: z rozwaloną nogą on także niewiele był wart. Chyba że zostawią staruchów własnemu losowi – tyle że to zarazem dałoby przyzwolenie jego ludziom, aby w razie zagrożenia porzucić ранnego szefa. Musieli wrócić na przecinkę, dotrzeć tam,

gdzie komórka będzie miała zasięg.

– Proszę pomóc mi usiąść – wysapał von Wernisch, któremu Picador pomógł się położyć. – Te piekielne korzenie strasznie gniotą.

Oparty o drzewo Ardiles zdrową ręką ocierał pot z czoła.

– Parise – rzekł niecierpliwie – możesz mi wyjaśnić, co to za pierdolnik? Gdzie Díaz?

– Nie mam pojęcia, panie generale.

– A ty, eminencjo? Zapewniałeś podobno, że Díaz to patriota?

– Nic... nie rozumiem – wyjąkał zagadnięty.

Parise rozglądał się po najbliższej okolicy, oceniał sytuację. Strzelec miał co najmniej dwie sztuki broni, rewolwer i karabin – to było prawdziwe zagrożenie. Parise mógł posłać swoich dwóch ludzi, żeby go wytropili, ale bardzo prawdopodobne było, że te tępaki dadzą się zastrzelić, zanim go znajdą. Picador podniósł skonanego kardynała, który uczepił się go kurczowo jak ostatniej deski ratunku.

– Żebra za bardzo mnie bolą – wyjęczał. – Nie dam rady iść.

– Kto to strzelał? – dopytywał Ardiles. – Díaz?

– Na pewno nie policja.

– Masz za zadanie chronić mnie!

– Mam za zadanie wyprowadzić pana stąd – warknął Parise zły z powodu bólu. – Zgadza się?

Stary zamknął buzię na kłódkę.

W zapadającym wieczorze osiadała rosa. Toro zadyszany, w powalonym ubraniu, wrócił niebawem z obchodu.

– Wszędzie cisza – zaraportował. – Ni w ząb tego nie rozumiem, szefie.

– Ja też nie – poparł go kumpel.

Łysy drągał podniósł się, zaciskając zęby z bólu.

– Trzeba wrócić na przecinkę – powiedział. – Strzelec się przynosi. Obejdziemy go.

– Auto jest do niczego, szefie.

– I klucze w nim zostały – dodał Picador.

– A PIN-u do karty nie zapomniałeś?

Toro zarechotał ze swego żartu, widząc jednak ponure miny towarzyszy, spoważniał. Słońce skryło się już po drugiej stronie wzniesień, z chwili na chwilę robiło się coraz ciemniej. Parise zadał pytanie, na które nie znał odpowiedzi:

– Jak myślicie, gdzie jest ta przecinka?

– Tam.

– Nie, tam...

– Tutaj.

– Moim zdaniem tam...

Trzy różne kierunki. Mogą nie znaleźć tej cholерnej drogi. Tylko Ardiles uważał tak jak Parise – że jest „na piątej”.

Parise rozkazał Torowi ponieść von Wernischa jak daleko da radę. Kompas został w schowku w samochodzie, nie mieli latarki, a mało co było widać, została im jedynie zapalniczka, która parzyła Tora w palce. Chcąc nie chcąc, mały oddziałek ruszył w końcu w drogę. Nocne owady wychodziły na żer. Z trudem pokonali pół kilometra, po czym skręcili w prawo. Parise liczył, że wcześniej czy później znajdą przecinkę, lecz po jakimś czasie, zbyt długim jak na jego gust, zbocze przestało opadać. Co gorsza, wyraźnie się wznosiło...

– Co jest, do ciężkiej cholery? – zezłościł się Toro, który miał dość dźwigania kardynała. – Mieliśmy dojść do drogi, nie?

Parise kuśtykał na szarym końcu. W mroku ledwie byli widoczni.

Ciasno rosnące wysokie drzewa zasłaniały niebo i gwiazdy, jeśli w ogóle świeciły. Wszyscy milczeli wyczekująco. Gęsta cisza spowijała las. Wkrótce zapadnie całkowita ciemność. Nieprzenikniona.

Generał Ardiles zrozumiał pierwszy: już po nich.

## 6

Od ziemi biła woń próchnicy. Po omacku przeszli kilkaset metrów po pochyłym terenie, następnie pożegnali się z myślą, że znajdą przecinkę. Czasami musieli obchodzić zbyt gęste kępy roślin. W końcu sami nie wiedzieli, gdzie się znajdują, czy idą na północ czy wręcz przeciwnie, na gwiazdach nikt się nie znał, zresztą tak czy owak były niewidoczne. W sumie ryzykowali, że pobłądzą na dobre, jeśli nadal będą szli na oślep. Hector Parise blady jak płótno włókł za sobą ranną nogę. Von Wernisch, którego Toro przerzucił sobie przez ramię, skarżył się na ból w biodrze i żebrach, prawdopodobnie popękanych. Po Ardilesie także widać było, że słabnie – jakby perspektywa zagrożenia wzmogła ból w zranionej ręce.

Zatrzymali się w kompletnych ciemnościach przy ciasno rosnących drzewach i gęstwie paproci.

– Zaczekamy do świtu – oznajmił Parise. – Nie ma sensu iść dalej w tych warunkach.

Faktycznie, widoczność mieli ledwie na metr. Wszyscy byli wykończeni, nikt zatem nie oponował, choć każdego dręczył niepokój na myśl o spędzeniu nocy na leśnym odludziu. Zapalniczka Tora zdechła, gdy lokowali się między korzeniami kilkusetletniego drzewa, którego korona zdawała się należeć do



innego świata. Bez ustanku zadawali sobie te same pytania, von Wernisch, któremu strasznie doskwierały kości, z jękiem przyzywał wszystkich swoich świętych. Każdemu instynkt stadny nakazywał skupienie się w grupie.

Kiedy rosa opadła, zaczął im dokuczać chłód. Nie mieli żadnego wyposażenia. I jeszcze te dziwne dźwięki dokoła... Wzdrygali się na każdy szmer. Siedzieli cicho. Ardiles, drapieżca bez łupu, wpatrywał się w czerń nocy zamknięty w pełnym urazy milczeniu, które nic dobrego nie wróżyło. Toro przez chwilę zgrywał chojraka, odgrażał się, że „dopadnie Díaza, pieprzoną ciotę”, ale potem spuścił z tonu. Potwornie go suszyło po forsownym marszu i miał już porządnego pietra przed tym lasem. Pod drzewami nic nie było widać.

Czas upływał bardzo wolno. Nikt się nie odzywał. Zaciskały się na nich obręcze ciemności, przygniatały ich coraz mocniej niczym prawie fizyczna masa, która z chwili na chwilę zdawała się bardziej ich miażdżyć. Aż przyszedł moment, gdy oprawcę dopadło uczucie dotąd mu nieznanne: klaustrofobia. Przedsmak paniki, którą należało trzymać z dala od siebie. Toro nie widział już u stóp drzewa osób wraz z nim tkwiących w przypadkowym obozowisku. Czuł tylko smród skulonych starców cuchnących strachem i śmiercią.

– Może by rozpalić ognisko? – szepnął Picador obok niego. – Mam zapałki.

– Świetny pomysł, żeby zdradzić, gdzie jesteśmy.

– Kurwa, szefie, w tym pieprzonym lesie nic nie widać!

– Jeszcze jeden powód, żeby w ukryciu czekać na świt – burknął Parise.

Z bólu zrobił się zjadliwy. W lesie panowała coraz bardziej

przygniatająca cisza przerywana czasami skrzypnięciem konarów w górze. Konarów albo i czegoś innego. Jakby ktoś ich obserwował...

– A jak tu są zwierzęta? – zaniepokoił się Toro.

– Czego się boisz, jaguarów? – zakpił jego kumpel.

– Żyją tu?

– W twojej dupie! – warknął Picador.

– Zamknąć się i trzymać oczy otwarte – ostro poleciał łysy, któremu nie było do śmiechu. – Wystawiamy wartę, żeby reszta mogła odpocząć.

W ciemnościach w zwartej masie roślinności minuty stawały się godzinami... Po jakimś czasie starcy przestali się uskarżać, już tylko dzwonili zębami z zimna. Wiatr poruszał koronami drzew. Ledwie go było słychać, jakby las tłumiał każdy dźwięk. Elektroniczny zegarek Tora wskazywał dopiero jedenastą – podróbka na skórzanym pasku ściskającym tłusty przegub. Grubas klął na mrok i głód, który mu doskwierał, na drapanie gęstych paproci, pomyślał o wieczornym meczu, by oderwać się od rzeczywistości. Drgnął mocno, gdy niedaleko coś trzasnęło... To nie był ptak. Coś cięższego.

Trącił kumpla.

– Słyszałeś?

– Co?

– Jakiś hałas – szepnął.

– Nie... Szlag, pewnie wiewiórka...

Picador nie lubił, żeby go straszono – nie w ten sposób. Kiedyś usłyszał historię facetów, którzy nocą utknęli w samochodzie na odludziu. Jeden udał się do najbliższej miejscowości po paliwo i długo nie wracał. Kumple posnęli w aucie, a po jakimś czasie

obudziło ich głucho walenie w drzwi: stuknęła głowa tego, który poszedł po paliwo...

– A teraz? – wyszeptał Toro.

– Co jest? – spytał cicho Parise na prawo od nich.

Grubas przysiągłby, że między drzewami dojrzał przemykającą postać... Tuż-tuż.

– Coś widziałem – wytchnął.

– Co?

– Kurwa, skąd mam wiedzieć?

Picador z ręką na automacie wpatrzył się w mrok, wyęzając zmysły. Z tyłu dobiegła seria cichych trzasków, jakby kroków skradających się z kierunku „na ósmej”. Obrócili się w tamtą stronę, wycelowali z broni w ciemność, czekali z walącym sercem... Cisza.

Parise podniósł się na zdrowej nodze, szeroko otwartymi oczami wpatrzony w mrok.

– Ktoś tam jest – wyszeptał Toro. – Widziałem postać...

– Jest ciemno, kretynie!

– No właśnie!

Teraz podnieśli się także zaniepokojeni starcy.

– Co jest? – zapytał generał.

W tej chwili Picador po prawej na ułamek sekundy zobaczył cień w białe pasy przemykający między drzewami. W pionowe pasy. Pieprzona zjawa. Oddał trzy strzały jeden po drugim, pociski odłupały korę z pobliskiego pnia.

– Coś tam jest! – krzyknął.

– Gdzie? – burknął łysy.

Czuł zapach prochu i strachu ciasno stłoczonych ludzi.

– Na dziesiątej!

Nie mieli punktów odniesienia, a postać zniknęła.

– Coś zobaczył? – zdenerwował się Parise.

– Zwierzę – odparł Picador. – Zwierzę w białe pasy... fosforyzujące.

– No! – potwierdził Toro.

Inni jednak nie widzieli niczego prócz rozedrganej nocnej ciemności.

– Przyśniło wam się! – zeźlił się Ardiles. – Kompletnie wam odbija!

Czas się zatrzymał. Po czym generał z prawej strony także coś dostrzegł: cień zjawy albo zwierzęcia okrążający ich bardzo szybko.

– Tam!... Tam, po prawej!

W wilgotnym powietrzu lasu huknęły strzały, na moment oświetlając ich zdumione twarze, ale jeśli coś tam było, zdążyło zniknąć, zanim się połapali.

– Diabeł! – wybuchnął von Wernisch. – On nas tu doprowadził!

Generał na oślep wymacał kurtkę Parisego, chwycił ją i nie puszczał.

– Daj mi broń! – zażądał. – Daj mi broń!

Parise strącił jego rękę. Mieli tylko trzy sztuki broni, amunicja zaś została w land cruiserze. Wtem szef ochrony wyczuł kogoś za plecami. Zawahał się i nie strzelił w obawie, że zrani kogoś ze swoich, lecz nie było wątpliwości: coś wokół nich krążyło. Coś, co wydawało się nieludzkie.

– Co to? – ryknął Toro.

– Nie zostawajmy tu! – odezwał się kardynał. – W tym lesie są złe duchy, czuję to. Czuję ich obecność. Krążą dokoła... Wy nie czujecie?

Diabeł błąkał się wokół nich. W powietrzu wisiała jakaś straszna

groźba czegoś, co wkrótce na nich spadnie. Parise czuł, że nawet Ardiles drży obok niego. Za gardło chwycił go atawistyczny lęk przed ciemnością. Wionęło paniką, kiedy zza pnia wychynęła głowa zjawy: biały pas ledwie widoczny w mroku trzy metry od niego.

– Daj to! – syknął Ardiles, łapiąc za pistolet Parisego.

Chciał mu wyrwać broń z ręki, ale łysy odepchnął go brutalnie: był ranny w nogę, a ci dwaj starcy stanowili balast. Ardiles upadł na ziemię i krzyknął z bólu, uraziwszy się w chore ramię. Parisemu tuż koło głowy świsnął pocisk, rykoszetował od pnia araukarii. Pocisk rewolwerowy wystrzelony z bliskiej odległości. Nie, to nie była zjawa, lecz przyczajony w mroku łowca. Albo kilku łowców. Parise skulił się i dał ognia, ryzykując, że wróg go zlokalizuje.

– Spadać stąd! – krzyknął. – Spadać, kurwa!

Znów nacisnął na spust – iglica szczęknęła sucho. Spróbował ponownie. Magazynek glocka był pusty.

– *Mierda!*

W ciemnościach znowu nadleciała kula, tym razem z lewej. Picador wrzasnął, wymachując rękami.

– Kurwa, trafił mnie! O kurwa mać!

– Gdzie? – przeraził się Toro. – Kurwa, gdzie?... Nic nie widać!

– *La concha de tu abuela!* – zaklął Picador przez zęby. – Mam strzaskaną nogę!

Pocisk ugodził go w piszczel. Picador stał oparty o pień, nie wiedząc, jak się utrzyma na nogach. Parise zaklął w ciemności: wystrzelają ich jak króliki, jeśli zostaną tutaj. Łowca ich obserwował, a on nie miał amunicji.

– W nogi! – rozkazał, podnosząc generała.

Szef wiał. Spanikowani Toro i Picador oddali trzy strzały, aby go osłonić, i także rzucili się do ucieczki, zostawiając von Wernischa

własnemu losowi. Podpierając przyjaciela, Toro parł przez kolczaste zarośla. Parise z Ardilesem szli w przeciwną stronę, również zapomniawszy o kardynale – myśleli tylko o ratowaniu własnej skóry. Łysy drągał zawadził o gałęzie, zachwiał się, ale utrzymał równowagę, zaciskając zęby, by nie krzyknąć.

– Zaczekaj! – wrzasnął generał. – Parise, na Boga, zaczekaj!

– Szybciej, człowieku!

Ten las był nawiedzony, ciemny choć oko wykol. Toro i Picador szli z rękami wyciągniętymi przed siebie, marząc o tym, by wydostać się z pułapki. Ścigało ich wołanie o pomoc kardynała, przeraźliwe krzyki mrozące krew w żyłach. Parli jednak naprzód przez zarośla, czując zimny dreszcz na grzbiecie.

– Boli! – wysapał Picador po kilkuset metrach. – Cholernie!

– Zamknij się, kurwa, bo nas usłyszą!

Przedzierali się po omacku, błędząc pośród płataniny lian i cierni. Toro szedł pierwszy, ręce miał zakrwawione od rozgarniania kolczastych gałęzi, próbował okraczać korzenie, toczył się jak oszalała kula. Skupiony na ucieczce z tego piekła przyrąbał głową w pień.

– Kurwa!... – zaklął półgłosem.

Wściekłym gestem przetarł czoło, strącając drobiny kory wbite w skórę, odetchnął, wciąż wpatrując się w ciemności. Nie wiedział, ile pocisków zostało mu w magazynku, a nie miał więcej amunicji. Pocił się ze strachu. Wtem uświadomił sobie, że jest sam.

– Picador! – zawołał cicho. – Gdzie jesteś?

Odpowiedzi nie było. Toro przełknął ślinę, zabrakło mu tchu: zgubił kumpla. A przecież dopiero co był tuż za nim. Tak przynajmniej sądził. Strach ścisnął mu serce. Zawrócić? Po co? Żeby te pasiaste upiory wypruły z niego flaki?

– Gdzie jesteś?... Picador! Hej! Picador!

Ciemność tłumiała nawoływania wciąż pozostające bez odzewu. Wokół aż dudniła pustka. Słyszeć było jedynie szelest wiatru wysoko w koronach drzew, poskrzypywanie gałęzi – głosy lasu, które doprowadzały go do szału. Toro czuł coraz mocniejsze parcie na odbyt. Wydało mu się, że coś dostrzegł po lewej, strzelił tam dwukrotnie. Pot zalewał mu oczy, którymi i tak nic nie widział, chociaż szeroko je rozwierał. Wywracały się w nim wnętrzości.

– U-hu! Gdzie jesteś?

Toro cofnął się, mierząc z broni do niewidzialnego celu, potknął się na zdradzieckich korzeniach, przytrzymał się lian. „*Hijo de puta, hijo de puta*”, klął. Serce mało mu nie wyskoczyło z piersi, bał się jak jeszcze nigdy w życiu. Cios mógł nadejść z każdej strony w każdej chwili, ten pieprzony las był jak kaptur, który szczelnie zasłania twarz. I wtedy usłyszał szelest liści pod czyimiś stopami, coraz bliższe kroki. Posłał w tę stronę dwa strzały.

– *Hijo de puta! Hijo de puta!*

Nacisnął kilka razy na spust, zanim spostrzegł, że iglica tylko szczęka sucho. Oczy wyszły mu na wierzch, chciał się cofnąć: ktoś go obserwował... skądś... spomiędzy gałęzi. Wyczuwał czyjąś obecność tutaj, w tych ciemnościach. Naraz włos mu się zjeżył: coś na niego skoczyło jak tygrys. Nie zdążył się usunąć. Wrzasnął i zamierzył się rękojęścią broni. Na jego piersi zatrzymał się czerwony punkcik. Toro już miał przyłożyć cholernej bestii, gdy obezwładniło go wyładowanie elektryczne.

Zachwiał się w wilgotnym powietrzu lasu, po czym sparaliżowany ciężko zwałił się na ziemię. Minęło kilka sekund.

– *La concha...*

Światło latarki oślepiło jego wytrzeszczone oczy. Toro

rozpaczliwie próbował się podnieść: na próżno. Kolba karabinu spadła mu na twarz.

\*

Padało w nocy, toteż polana zamieniła się w bajoro. Kiedy Toro otworzył oczy, najpierw zobaczył żeńskie genitalia, z których spływał mocz. Strumień ciepłej uryny tryskał z kępki czarnego owłosienia, z cipki takiej, jakie lubił najbardziej, zawieszanej kilka centymetrów nad jego twarzą.

Toro chciał się poruszyć, lecz ręce i nogi miał związane, w głowie potężnie go łupało. Wróciły nieuporządkowane wspomnienia: ucieczka przez las, panika, która sprawiła, że się rozbiegli, kompletne ciemności, zniknięcie idącego za nim Picadora, atak bestii... Odwrócił głowę, bo mocz lał się na jego rozbite wargi, świeże rany piekły.

– Żebyś nie dostał zakażenia – powiedziała Jana, kończąc opróżniać pęcherz.

Uderzenie kolbą zmiażdżyło mu usta i część szczęki. Toro wypluł dwa zęby, które utkwily mu w gardle. Zmrużył oczy. Indianka zapinała spodnie. Wyglądała strasznie z rozkwaszonym nosem i oczami obwiedzionymi czernią. Szarpnął się z zaskoczenia: dziewczyna z delty! Kurwa, co ona tu robi?

– Nie martw się, zaraz wrócę – rzekła i zniknęła pod gałęziami pobliskiego drzewa.

Jej pomalowana twarz i głos z za grobu przyprawiły go o dreszcz. Przełknął spływające do gardła skrzepy krwi. Leżał na ziemi, nie było mowy, żeby dał radę usiąść. Próba poruszenia ustami wyciskała mu z oczu łzy. Był goluteński, rzucony na polanę jak brudny łachman, z miazgą zamiast twarzy. W górze widział



kołyszące się drzewa, których korony zaczynały się rysować w świetle wstającego dnia. Jak długo tu jest? Ręce miał skrępowane na plecach, nogi w kostkach skute kajdankami, które paskudnie wpijały mu się w ciało. Wykręcił głowę i kilka kroków dalej ujrzał Picadora, także nagiego, a obok starca tak chudego, że kości mu sterczały pod skórą – kardynała z żalosną miną. Zakneblowani więźniowie ledwie unieśli nieco głowy. Von Wernisch zdawał się modlić z półprzymkniętymi powiekami, skulony, jakby chciał ukryć skurczone przyrodzenie zanurzone w kałuży. Picador leżał w podobnej pozycji blady jak śmierć, z ogłupieniem na twarzy. Był ranny w nogę, miał otwarte złamanie piszczeli, które sądząc po zgaszonym wzroku, strasznie mu doskwierało.

Spod zarośli obserwował ich niewzruszenie wyliniały pies, który ułożył się z pyskiem na skrzyżowanych łapach. Toro z wielkim wysiłkiem usiadł, w głowie mu się zawracało, wymamrotał coś pod nosem. Ta kurwa strzaskała mu szczękę... Potrzebował chwili, by w pełni odzyskać wszystkie zmysły. Wilgotny chłód przejmował go do szpiku kości. Ale może nie wszystko stracone. No bo gdzie reszta? Gdzie Parise, Ardiles?... Z prawej strony dobiegło brzęknięcie łańcucha. Obejrzał się i na skraju polany zobaczył łysawego starszego faceta przywiązanego do drzewa za szyję jak pies... Díaz? Toro dostrzegł jego obłąkany wzrok – i niewytłumaczalny strach, który już wcześniej opanował go w lesie, teraz ścisnął mu trzewia. Nastawił uszu na kolejny dźwięk. Zerknął na araukarię: pod jej gałęziami Indianka kopała dół...

Grób.

Ostro machała łopata skupiona na pracy, aby nie myśleć.

Mapucze nie znają więzień. Znają tylko odwet.

## 7

W miejscu dawnych nabrzeży portowych w Buenos Aires powstał Waterfront, supernowoczesny kompleks zaprojektowany przez renomowanych architektów zagranicznych. Statki o niewielkiej wyporności jeszcze przybijały przy ceglanych magazynach, ale inne budynki nadszarpnięte zębem czasu zostały sprzedane i przekształcone w luksusowe lofty z jacuzzi i widokiem na baseny sztucznego portu.

Rubén wiedział, że w tym stanie daleko nie zajdzie: kasznięcie wyciskało mu łzy z oczu, byle kiedy dopadał go wściekły ból, w głowie miał same ponure obrazy. Po promenadzie biegali joggerzy w profilowanych okularach. Ostrożnie krok za krokiem, otumaniony środkami przeciwbólowymi, szedł aleją platanów, która prowadziła do grobli przy Costanera Sur. Była druga po południu, nieliczni turyści anglosascy w nieśmiertelnych kraciastych szortach byczyli się na tarasach restauracji rozluźnieni miejscowym winem malbec. Rubén zatrzymał się na wysokości fregaty Sarmiento, starego statku szkolnego zamienionego na muzeum: Isabel Campallo popijała perriera na tarasie baru, w którym się umówili.

Przed wyjściem z agencji zadzwonił do niej i postawił ją przed wyborem: albo zgodzi się spotkać z nim w miejscu publicznym, albo

on powie Rodolfowi wszystko, co wie na temat kradzieży dzieci, na dowód pokazując testy DNA... Błądząc wzrokiem po okrytych plandekami żaglówkach, które kołysały się w porcie, incognito za dużymi ciemnymi okularami, wdowa skrywała ból za mgłą wywołaną przez środki uspokajające. Dopiero gdy detektyw usiadł przy stoliku, zauważyła jego obecność. Wyglądała na postarzałą o wiek z niestarannie upiętymi włosami, w czarnej sukience, z prawą ręką na temblaku wskutek niedawnego upadku.

– Moja córka i mąż nie żyją, Calderón – rzekła na powitanie. – Czego pan jeszcze chce? Uważa pan, że nie dość wycierpiałam?

Kilka kobiet z wózkami spacerowało wzdłuż tarasu, paplając z ożywieniem. Rubén zamówił espresso u kelnerki, która do nich podeszła, zapalił papierosa, czekając, aż dziewczyna się oddali, po czym zwócił się do Isabel:

– Przede wszystkim dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać. Jak już zaznaczyłem, wszystko, co pani mi powie, zostanie między nami. Nie wspomnę o tym ani w sądzie, ani na policji, ani nikomu innemu. Wyjawię pani, co wiem, i panią proszę o to samo...

Matka Marii Victorii ani drgnęła, zachowując postawę defensywną. Odkąd ten człowiek się u nich zjawił, jej życie coraz bardziej się rozsypywało: w tragicznych okolicznościach straciła najpierw córkę, potem męża. Został jej tylko syn, który zamknął się w sobie po tym, co usłyszał na cmentarzu. A ona mogła jedynie wypłakiwać swe piękne oczy.

– Odnalazłem szczątki rodziców Marii – podjął Rubén spokojnie.  
– Samuela i Gabrielli Verónów, młodego małżeństwa chilijsko-argentyńskiego zamordowanego we wrześniu siedemdziesiątego szóstego. Centrum Antropologii Sądowej potwierdziło zgodność DNA ich i Marii Victorii oraz Miguela Michelliniego, jej

prawdziwego brata... Metryki urodzenia pani dzieci są sfałszowane, wiedziała pani o tym.

Isabela Campallo pokręciła głową.

– Nie.

Kelnerka przyniosła kawę Rubénowi, który siedział z mrocznym wzrokiem.

– Proszę pani, na razie prasa o niczym nie wie, sprawa nie jest w sądzie, ale Abuelas mają materiały obciążające panią, tak że grozi pani oskarżenie o przywłaszczenie dzieci. Za to grozi siedem lat więzienia. Proszę zdecydować, czy chce pani splamić nazwisko swoje i męża.

Cisza zapadła na promenadzie, na której przy dźwięku postukujących fałów tulili się zakochani. Isabel Campallo pochyliła się bardziej nad zabandażowaną ręką.

– No więc?

– Edouardo powiedział mi kiedyś o małych – rzekła wreszcie. – O dwojgu niedużych dzieciach. Powiedział, że porzucono je pod szpitalem, że możemy je adoptować... Uwierzyłam.

– Taaa, Rodolfa znaleziono w kapuście, a Marię przyniósł bocian... Lato siedemdziesiątego szóstego roku... Wiedziała pani, co się wtedy działo, prawda? – ofuknął ją.

– Rządzili wojskowi, owszem. Co niestety nie przeszkadzało ludziom porzucać dzieci.

– A potem tych ludzi likwidowano. Oni znikali, a ich dzieci przepadały.

– Kiedy bezpłodna kobieta dostaje dwoje malutkich dzieci, chce wierzyć we wszystko – odparła Isabel. – Poza tym te dzieci i tak już nie miały rodziców – broniła się. – Daliśmy im lepsze życie, możliwość zdobycia najlepszego wykształcenia. Dbaliśmy o nie.

Zawsze.

Rubén dmuchnął jej w twarz dymem z papierosa.

– Twierdzi pani, że nie wiedziała, na jakich warunkach odbywa się adopcja waszych dzieci, i nie знаła ludzi, którzy na nią pozwolili?

– Nie. Wystarczyło mi to, co powiedział Eduardo. Może tak mi było wygodnie – przyznała. – I w takim przekonaniu żyłam.

– Ale dzieciom nigdy pani nie powiedziała, że są adoptowane.

– Nie.

– Dlaczego?

– Z wygodnictwa.

– I z tchórzostwa. Na pewno domyślała się pani, że zostały odebrane rodzicom.

– Nie. Ja chciałam je po prostu kochać. Nie potrafi pan tego zrozumieć?

Po policzkach cichutko spływały jej łzy.

– Kochać, ukrywając przed nimi prawdę o ich pochodzeniu – zgodził się Rubén. – Pielęgnowała pani schizofreniczną sytuację.

– To nie czyni z nas potworów – obruszyła się Isabel. – Oboje z mężem zawsze kochaliśmy Rodolfa i Marię Victorię jak własne dzieci.

– Jeszcze by tego brakowało, żebyście ich nienawidzili, bo były dziećmi ludzi zamordowanych – odpalił ze złością.

Dotknięta do żywego Isabel tym razem się zbuntowała.

– Ma pan pamięć krótką albo wybiórczą, Calderón. Kraj wtedy stał na skraju anarchii. Codziennie na ulicach ginęli ludzie: policjanci, sędziowie, wojskowi, szefowie przedsiębiorstw... Terrorysty mordowali wszystkich! Nieważne kto: montoneros, komuniści czy gewaryści. Oni chcieli zmieniać świat, nie

zastanawiając się, czy świat chce za to płacić krwią! Jak pan sądzi, dlaczego Argentyńczycy dobrze przyjęli pucz wojskowych? – uniosła się. – Być może popełniano błędy, ale nie bez powodu potajemnie internowano ludzi. Stawką było nasze życie albo ich!

Rubén rzucił niedopałek, z trudem hamując pragnienie, by nie zgasić go na jej twarzy.

– Pani argumenty są mocne dla kogoś, kto nie zadaje sobie pytań – zauważył cynicznie. – Czemu nic mi pani nie powiedziała, kiedy przyszedłem z informacją, że wasza córka zaginęła? Wtedy może jeszcze była szansa, żeby ją uratować. Pomyślała pani o tym czy też ideologia w pełni zawiadnęła pani sercem?

Niepokojący wyraz przewiął się przez woskową twarz detektywa.

– Rodolfo był wtedy z nami – odparła Isabel zmieszana. – Nie... nie mogłam mówić o tym przy nim.

– Podtrzymanie kłamstwa ważniejsze od życia córki, co? Obrzydzenie mnie bierze na panią – wycedził Rubén.

Isabel przełknęła łyżę. Ludzie przechadzali się po tarasie nieświadomi rozgrywającego się na nim dramatu.

– Wie pani, czemu mąż popełnił samobójstwo? – zmienił temat Rubén.

Wdowa wzruszyła wątlymi ramionami.

– Ze zgryzoty oczywiście.

– Nie zostawił żadnego wyjaśnienia?

– Nie...

– Proszę mnie nie zmuszać, żebym złamał pani drugą rękę – rzekł lodowato. – Gdyby pani mąż zabił się z żalu za córką, zostawiłby list. No więc?

– Notariusz ma.

– Co ma?

– Eduardo zostawił list. Rano w dniu swojej śmierci.

– I co jest w tym liście?

– Że cały majątek zapisuje Rodolfowi – odparła Isabel. – Ja zatrzymuję tylko dom i to, co wniosłam w posagu.

Rubén się skrzywił.

– Mąż panią wydziedziczył?

– Nie, nie, Eduardo wiedział, że nie potrzebuję pieniędzy. Moja rodzina jest bogata, nie o to chodziło... – Jej pierś w czarnej sukni podniosła się w westchnieniu. – To raczej ostatni dowód miłości dla naszego syna – wyjaśniła. – Mąż się domyślał, że Rodolfo kiedyś pozna prawdę o swojej adopcji... Chyba chciał mu udowodnić, że chociaż milczeliśmy, kochaliśmy ich oboje jak własne dzieci... chcieliśmy ich chronić.

Ten szacowny obrazek wcale nie przekonał Rubéna.

– Nie – wychrypiał. – Coś się stało... coś, co popchnęło pani męża do samobójstwa.

Prawie wszystkie bąbelki z perriera uciekły w ciepłe powietrze tarasu. Isabel Campallo podniosła głowę zaskoczona.

– Co mogło popchnąć Edouarda do samobójstwa?

– Prawda – odpowiedział. – Prawda o śmierci jego córki.

Isabel po drugiej stronie stolika była blada, niemal przezroczysta.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Wtedy na cmentarzu, kiedy wyjawilem, w jakich okolicznościach Maria zginęła, pani mąż wydawał się przerażony. Może pani sobie myśleć o mnie, co chce, ale nie zakłócałbym państwu żałoby, gdybym nie miał pewności, że została zamordowana. Myślę, że do pani męża wtedy jasno to dotarło. I to

był dla niego wstrząs.

Isabel zmarszczyła czoło.

– Z kim oprócz rodziny pani mąż się widział między pogrzebem a samobójstwem? – podjął Rubén. – Rozmawiał z policją naukową? Z Luquem?

– Nie... nie...

– Z burmistrzem? Przyjaźnił się z Torresem, prawda? To on posłał specpolicję na miejsce. Pani mąż mógł żądać wyjaśnień na temat sfałszowanego raportu z sekcji i morderstwa, które przed nim ukryto. Musieli się spotkać, rozmawiać przez telefon...

– Tak – przyznała. – Eduardo widział się z nim rano w dniu... – Nie dokończyła.

– W dniu, kiedy odebrał sobie życie – dopowiedział Rubén. – Proszę się zastanowić. Pani mąż spotyka się ze swoim przyjacielem Torresem, potem u notariusza spisuje testament na korzyść Rodolfa, po czym strzela sobie w łeb. Dlaczego pani zdaniem?

Isabel patrzyła na niego stropiona, więc mówił dalej:

– Otóż zrozumiał, że przyjaciele ukrywają przed nim prawdę. Że są zamieszani w to morderstwo.

– Nie... – Pokręciła głową niedowierzająco. – Nie, z Torresem przyjaźnimy się od tylu lat! Czegoś takiego by nie zrobił. Nie miał nic wspólnego z dyktaturą. Zresztą był za młody, miał raptem dwadzieścia lat. Niemożliwe.

– Torres mógł ulec pod naciskiem. W to jest wmieszanych wiele osób, w tym były generał, a inni mogą być z bliskiego otoczenia burmistrza.

– Nie – powtórzyła Isabel drżącym głosem. – Powtarzam: Francisco to przyjaciel rodziny, zna Marię Victorię, Rodolfa... Nie wierzę panu.



- Ale po spotkaniu z nim pani mąż popełnił samobójstwo.
- Mówię, że to niemożliwe. Francisco jest człowiekiem honoru.
- Mógł wyznać Eduardowi – tłumaczył detektyw – że jest zamieszany w sprawę, że aby ukryć morderstwo, użył środków, którymi dysponuje: Luquego i jego ludzi.
- Po co Francisco miałby to robić? – obruszyła się.
- Może chciał kogoś chronić. Kogoś, kto znalazł się w kartotece, która ujawnia adopcję waszych dzieci.
- To było ponad trzydzieści lat temu. Wtedy Francisco jeszcze nawet nie odbył służby wojskowej. Jakże miał być powiązany z dawnymi prześladowcami?

Rubén zapalił papierosa, przez co wcale nie poczuł się lepiej. I wtedy go olśniło – że też wcześniej tego nie pokojarzył! Isabel Campallo miała słuszość co do Torresa. Burmistrz Buenos Aires wcale nie starał się chronić siebie ani nikogo z przyjaciół: on chronił swego ojca. Ignacia Torresa, człowieka, który zbił wielki majątek na winie, a potem zadbał o karierę polityczną syna. Gabriella Verón miała ziemię w prowincji Mendoza... Człowiekiem, do którego ją zawieziono podczas ostatniej podróży, był Ignacio Torres.

\*

W głowie mu dudniło od wstrząsów maszyny. Za dużo naraz – szpital, Campallo, zdrada Torresa – a on ledwie stał na nogach. Seria ciosów, które przyjmował na twarz jak bokser w ringu. Jana. Rubén setki razy to roztrząsał i tylko w jeden sposób potrafił sobie wytłumaczyć jej milczenie: skoro zabrała broń z jego schowka i nie skontaktowała się z Babciami, znaczy, że uważa go za zmarłego. Nie ma innego wyjaśnienia. Rubén drżał na myśl, co Mapucze może zrobić. Nie było z nią żadnego kontaktu, jej ford zniknął. Jana

z bronią zabraną ze skrytki wyjechała z miasta i nie dawała znaku życia. Czyżby trafiła na jakiś ślad, którego on nie miał? Nie odstępował go strach, że ją straci. Cóż ona sobie myśli? Że ich wszystkich załatwi? Sama? Oszalała czy co?

Rubénowi oczy się zamykały na tylnym siedzeniu awionetki, choć turbulencje wywoływały ból w jego zmaltretowanym ciele. Za sterami cessa siedział tłusty mors, Valdés, szef pilotów na lotnisku w Tigre. Detektyw zastał go w walącym się baraku przy układaniu pasjansa na komputerze, jakby od tygodnia się stamtąd nie ruszył. Valdés nie miał wieści od Del Pira. Na widok pliku banknotów położonego na ladzie odsłonił duże zęby pożółkłe od nikotyny...

– Dolatujemy! – krzyknął teraz z kokpitu.

Twarz Rubéna lśniła od potu.

Mendoza, dziesiąta wieczór. Potrzebował łóżka, hotelu, w którym wypocznie. Szedł niespiesznie równym krokiem po płycie lotniska z lewą ręką przy boku, jakby miał złamany obojczyk. Zaciskał zęby, znosząc ból: w torbie miał glocka, a strzelał prawą ręką...

Torresowie należeli do oligarchii ziemskiej, która dwa wieki wcześniej podzieliła między siebie kraj. Ignacio dorastał w żyznej Valle de Uco, dumy Argentyny. Kochał ten cudowny region, kochał wino, które w nim wytwarzano, władzę, którą odziedziczył, i pieniądze, które przynosiła posiadłość.

Kiedyś w prowincji Mendoza produkowano najlepsze wino w kraju na bardzo wówczas chłonny rynek wewnętrzny. Wino było napojem popularnym par excellence, Ignacio jednak patrzył dalej. Argentyna, która wcześniej rozkwitła, żywiąc Europę zdewastowaną po drugiej wojnie światowej, była eksporterem surowców. A Ignacio wyczuł, że wino będzie jej nową żyłą złota. Już

w latach siedemdziesiątych zrozumiał wyższość kapitału nad pracą. I to, że wraz z liberalizacją rynków spekulacje finansowe będą niebawem przynosiły znacznie więcej niż produkcja rolnicza, hodowla bydła i lokalny przemysł, zwłaszcza jeśli zyski zaczną się lokować za granicą. Tyle że przed wejściem na te osławione rynki należało stworzyć społeczeństwo o wystarczająco twardym karku.

Ignacio wykorzystał możliwości, jakie dawała dyktatura, by poszerzyć swoją przestrzeń życiową – trzykrotnie zwiększył powierzchnię rodzinnych włości, pragnąc zbudować wymarzoną posiadłość ochrzczonej Solente.

Główne winnice w regionie koncentrowały się wokół Lujánu. Solente leżało dalej na południe, z dala od uczęszczanych dróg. Torres sprowadził z Europy i Ameryki najlepszych somelierów, pragnąc udoskonalić swoje syrahy i cabernety, dotąd sprzedawane jak leci, i zbudować reputację bodegi. Następnie postawił na nawiązanie stosunków, zbadał zagraniczne rynki zbytu, wkręcił się we wpływowe środowiska, szczególnie winiarzy i specjalistycznego pisma dokonującego oceny produktów. W latach dziewięćdziesiątych wybuchł niesamowity popyt na argentyńskie wina, zwłaszcza wina z Solente, które sprzedawały się sześć razy drożej niż dotąd. Nieważne, że z braku środków na zakup tego luksusowego teraz produktu większość rodaków Ignacia przestała pić wino: eksport z nawiązką kompensował upadek rynku krajowego.

Solente. Posiadłość miała idealne położenie geograficzne: setki hektarów winnic ciągnęły się u podnóża Andów. Co prawda rodzinne gniazdo przywodziło na myśl architekturę pinochetyjską, ale turystów i kupców witał supernowoczesny budynek. Przestronna hala ekspozycyjna ozdobiona rzeźbami i innymi

działami sztuki współczesnej, ogrody z egzotycznymi roślinami, klimatyzowany sklep z winem i innymi towarami ze znakiem firmowym posiadłości, wygodna restauracja z tarasem, z którego rozpościerał się widok na bajkowy łańcuch górski i jego ośnieżone szczyty: Solente było teraz czymś więcej niż winnicami – było marką. Dzięki tej ziemi Ignacio zgromadził dość pieniędzy, by wprowadzić starszego syna do polityki.

Casa Rosada, urząd prezydenta dla syna: w wieku siedemdziesięciu sześciu lat Ignacio taki wyznaczył sobie na uwieńczenie całego życia. Jego syn Francisco miał głowę iście prezydencką, odpowiednie zdolności, charyzmę, on zaś solidne poparcie w kręgach finansowych i przemysłowych. W ten sposób na kraju odcisnę się piętno niezniszczalne: marka Torresów.

Ignacio naturalnie miał niejakie problemy, lecz niczego nie zmieniał w swoich metodach działania. Jak zwykle o tej porze roku przybył, by pańskim okiem nadzorować winobranie. Nieliczne chmurki odpłynęły nad Andy, dzieląc się na mniejsze wzdłuż wierzchołków pod baczynym okiem wulkanu Tupungato, strażnika doliny jego dzieciństwa. Tak, mógł być dumny ze swego dzieła. Kiście opite słońcem rozciągały się jak okiem sięgnąć na zboczach – zbiór zapowiadał się wyjątkowy. Ignacio skosztował jedno grono, wypluł skórkę, pokiwał głową – kwasowość idealna... Osłonięty szerokim rondem kapelusza starzec medytował pośrodku ścieżki między rzędami winorośli, gdy naraz ktoś zawołał:

– Czy pan Torres?

Wyrwany z zamyślenia Ignacio obejrzał się zaskoczony. Zawahał się przez moment. Romero przywiózł go na szczyt parceli północnej, quad stał nieco niżej na zboczu, nie widział szofera, a połą drogą zbliżał się jakiś człowiek: wysoki brunet ubrany na czarno

maszerował równym miarowym krokiem legionisty.

– O co chodzi? – rzucił Torres.

– Musimy pogadać – odparł mężczyzna, idąc ku niemu.

Rubén źle przespał dziesięć godzin w najbliższym hotelu. Wynajął kombi koło lotniska i wyruszył do Solente, opychając się środkami przeciwbólowymi. Jeszcze dziesięć metrów i stanie przed właścicielem winnicy.

– Jeśli jest pan dziennikarzem, na pewno powiedziano panu w recepcji, że udzielam tylko umówionych wywiadów – zirytował się Ignacio. – Widzi pan, że jestem zajęty.

– Tak, dzwoniłem tam dzisiaj – odparł Rubén ze znużeniem. – Powiedziano mi, że pojechał pan w teren. Nie jestem dziennikarzem.

Detektyw zlany potem po wspinacze zatrzymał się na początku ścieżki między dwoma rzędami winorośli. Ignacio Torres był krępyim mężczyzną wciśniętym w kowbojski strój. W jego bystrych oczach widniało zniecierpliwienie. Na jego twarzy widniało zniecierpliwienie.

– Kim pan jest?

– Rubén Calderón. Pracuję dla Babé z Plaza de Mayo.

Oczy Torresa zasłaniały ray-bany, toteż nie dało się w nich wyczytać emocji.

– Czego pan chce? – zapytał sucho.

Rubén ledwie stał w palącym słońcu. Nie miał czasu do stracenia.

– Poznać prawdę o kradzieży ziemi Verónów – wypalił prosto z mostu. – Wrzesień siedemdziesiątego szóstego, pamięta pan? Pułkownik Ardiles przywiózł do pana młodą kobietę, Gabriellę, jedyną dziedziczkę tych ziem, i jej męża wyciągniętych z tajnych

kazamatów ESMA...

Ignacio poczuł się zagrożony. Zerknął w dół zbocza – quad nadal stał w połowie wysokości, nigdzie natomiast nie było tego kretyna Romera. Romero bowiem spoczywał wśród winorośli z kulką w piersiach zarobioną po krótkiej walce.

– Nikt panu nie pomoże, Torres – rzekł Rubén, domyśliwszy się, co mu chodzi po głowie. – Zwłaszcza żaden z ludzi przebranych za demonstrantów. To pan ich napuścił na Montañeza, prawda? Kto panu dał cynk? Luque?

Torres szybko rozejrzał się dokoła: zabudowania znajdowały się za daleko, żeby ich dostrzeżono.

– Nie mam nic do powiedzenia – oświadczył władczo jak zwykle.  
– Niech pan wraca, skąd przyszedł, zanim wezwę ochronę.

Z kieszonki kraciastej koszuli wyjął komórkę. Rubén prawą ręką złapał go za przegub, wykręcił i przytrzymał, póki telefon nie spadł na ziemię. Torres zaklął, zachował jednak spokój, mimo że pot wystąpił mu na czoło. Ścisnął nadgarstek drugą ręką, jakby miał mu odpaść. Rubén wyjął glocka z dokręconym tłumikiem, przystawił starcowi broń do brzucha.

– Czego pan chce? – zagulgotał Torres. – Kasy?

Rubén pokręcił lekko głową.

– Pan jak zwykle przyziemny, he?... Niech pan raczej powie, ile warte były wtedy ziemie Gabrielli Verón. Kupił je pan za kromkę chleba czy Verónowie oddali je w zamian za życie swoich dzieci?

Staremu ani jeden mięsień nie drgnął w twarzy.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtórzył. – Proszę rozmawiać z moimi prawnikami.

– A czemu nie załatwił pan sobie umowy sprzedaży w ESMA, kiedy ich torturowano? – dopytywał Rubén łagodnie. – Tak byłoby

przecież prościej, nie?

– Jestem przedsiębiorcą, nie wojskowym. Pomylił mnie pan z kimś.

– Rozumiem, że wolał pan załatwić sprawę z Ardilesem, który przywiózł do pana Verónów, żeby podpisali dokumenty sprzedaży, a potem ich zlikwidował. Komu jeszcze posmarował pan łapę? Wysokim rangą wojskowym? Verónów porwano, by zrabować ziemie Gabrielli? A może dowiedział się pan o ich istnieniu, kiedy już byli w ESMA? No, jak to było? Kto panu o nich powiedział? Ardiles?... W każdym razie podpisanie dokumentów sprzedaży zostało wymuszone na bezbronnych ludziach, których wcześniej torturowano. I którym odebrano dzieci. – Rubén podniecał się coraz bardziej.

Torres zrobił minę urażonej niewinności.

– Nigdy pan nie udowodni tych insynuacji – burknął.

– To się okaże w czasie procesu.

– Nie będzie żadnego procesu – oświadczył butnie bogacz. – Nie masz pan pojęcia, Calderón, w co wdeptujesz.

– Oj, mam pojęcie, mam – zapewnił Rubén. – Łożył pan na karierę polityczną syna, czerpiąc korzyści z ziem zrabowanych zaginionym – dołożył mu. – Kartoteka ESMA, którą zdobyła Maria Campallo, mogła panu zaszkodzić, więc potajemnie porozumiał się pan z dawnymi wspólnikami, żeby chronić swój majątek. To pan kazał porwać i zamordować Marię Campallo. Zlecił pan mokrą robotę, wykorzystując dawne znajomości z Ardilesem na czele. Luquemu i tym jego specgliniarzom kazał pan ukręcić sprawie łeb, nawet gdyby trzeba poświęcić atutowego asa, jakim był Eduardo Campallo. Przyjaciela pańskiego syna. Piękna postawa moralna – z przekąsem zauważył. – A usta ma pan stale pełne frazesów

o uczciwości.

– Pan oszalał.

– Owszem, wystarczająco, żeby palnąć panu w brzuch i zostawić pana tutaj. Będzie pan konał godzinami. – Odbezpieczył glocka, zmienił ton. – Gadaj, gdzie się ukrywa Ardiles. Gadaj natychmiast albo przysięgam, zostawię cię tu jak gówno w słońcu...

Torresa ogarnął strach. Calderón z palcem na spuście patrzył na niego wzrokiem jadowitego węża. Był gotów strzelić.

– W klasztorze – powiedział. – Na południu.

– Gdzie na południu?

– W Los Cipreses – wykrztusił. Zaszło mu w gardle. – W rejonie jezior.

Rubén zacisnął mocniej palce na rękojeści glocka. Mdliło go.

– Kto go ukrywa?

– Były kapelan... Von Wernisch.

– On też był w tej kartotece?

– Tak.

Zerwał się ciepły wiaterek.

– Zaraz to sprawdzimy.

Calderón przykucnął, podniósł komórkę Torresa, podał ją właścicielowi.

– Dzwon do klasztoru i przełącz na głośnik – rozkazał. – Na pewno numer masz w kontaktach.

Torresa opuściła hardość. Wziął telefon do ręki.

– Co mam powiedzieć?

– Zapytaj tylko, jak się ma Ardiles. A spróbuj wyciąć jakiś numer, to słowo daję, załatwię cię.

Stary kiwnął głową w stetsonie i wykonał polecenie, przed oczami mając glocka.



Po chwili odebrał zakonnik. Torres się przedstawił i zapytał o zdrowie starego przyjaciela. Odpowiedź była powściągliwa: pan Ardiles wyjechał w jakiejś pilnej sprawie z jego eminencją. W towarzystwie reszty przyjaciół. Wrócą przed nocą, nic więcej nie wie... Rubén gestem polecił zakończyć połączenie. Torres nie kłamał: byli tam... Wahał się. Do regionu jezior było ponad czterysta kilometrów, czyli kilka godzin jazdy dziurawymi drogami krajowymi. Zanim tam dotrze, Ignacio Torres zdąży uprzedzić Ardilesa i jego ludzi. Popatrzył na starego. Nie może go wypuścić. Nie może go też wpakować do pierdła: Ledesma chybaby pękł... Ciemne oczy Rubéna jeszcze bardziej pociemniały.

– Lubisz ziemię, co?... No to żryj!

Przystrojona ray-banami twarz Ignacia pobladła.

– Co?

– Żryj! – rozkazał.

– Ale...

Lufa glocka trafiła go w twarz. Torres padł na ziemię, jego kapelusz potoczył się między krzewy winorośli. Na dłonie upstrzone brązowymi plamami zaczęła kapać krew z rozbitej wargi.

– Żryj! – ryknął Rubén, ponaglając go kopniakiem. – Żryj tę cholerną ziemię albo cię rozwalę!

W oczach detektywa lśniła żądza mordy. Leżący w winoroślach Ignacio niepewnie nabrał ręką garść ziemi. Ten facet zwariował.

– Żryj, mówię!

Torres podniósł ziemię do ust, ostrożnie nabrał jej na język.

– Więcej!

Rozdygotany Torres posłuchał, uniósł głowę z ustami pełnymi ziemi, lecz Calderón nadal w niego celował.

– Jeszcze! – syknął. – No już!

Torres przetykał ziemię z wysiłkiem. Rubén czuł się teraz w słońcu jak na patelni. Miną godziny, zanim kogoś zaniepokoi nieobecność szefa dokonującego inspekcji winnic. Torres pojękiwał między kiściami winogron z brodą umorusaną brunatną ziemią i krwią, mdliło go coraz bardziej. Rubén opuścił niżej lufę glocka z tłumikiem i raz po raz strzelił mu w kolana.

## 8

Ituzaingó 67: działaczki stowarzyszenia Abuelas de Plaza de Mayo były zdenerwowane, kiedy otwierały bramkę prowadzącą do ogrodu Franca Díaza.

Do siedziby stowarzyszenia przyszedł list od Jany – zaledwie kilka słów, w które trudno było uwierzyć, bez żadnych innych wyjaśnień. Wysłano go dwa dni wcześniej z Futalaufquenu, miasteczka w Chubucie. Elena i Susana nie zastanawiały się długo. Carlos ze stosownym oprzyrządowaniem dołączył do nich na przystani w Puerto Madero, gdzie wsiedli na pierwszy prom do Colonia del Sacramento po drugiej stronie estuarium. Byli tak podekscytowani, że rejs dłużył im się niesamowicie. Wreszcie znaleźli się na miejscu. Ituzaingó 67: pałace słońce zalewało światłem ogród Díaza. Zostawiwszy otwartą bramkę, ruszyli urocą alejką, nad którą unosiły się pszczoły. Niepokalane kwiaty *palos borrachos*, malwy przy ogrodzeniu, fiołki wzdłuż rabatki, azalie, storczyki – Díaz stworzył rajski ogródek wokół swego domu.

– Napiłbym się zimnego piwa – rzekł Carlos, stawiając sprzęt pod puchowcem.

– Najpierw kop, potem zobaczymy – przywołała go do porządku Susana.

– Dwa już wypileś na promie! – przypomniała matka Rubéna.

Oślonięty słomkowym kapeluszem dziennikarz poburczał na upierdliwe starsze panie, po czym wziął się do roboty. Puchowiec, o którym Jana pisała w liście, rósł w głębi ogrodu naprzeciwko domu Ossaria – widać było jego poczerniałe mury i spalony dach wystający ponad żywopłotem. Carlos bardzo ostrożnie zdejmował ziemię pod drzewem. Elena spływała potem pod białym szalem, który chronił ją przed skwarem – nigdy jej się to nie zdarzało.

– Jak tam, Księżno? – szepnęła Susana.

– W porządku... tak, tak...

Elena nie odrywała oczu od miejsca, gdzie kopał Carlos, jakby coś mogło ją ominąć.

„Agent wywiadu nigdy nie niszczy swojego archiwum”. Jana w liście napisała, że były oficer SIDE zakopał oryginał dokumentu pod młodym puchowcem, narodowym drzewem Argentyny. Díaz, strażnik świątyni, uciekł, zostawiając rzekomo dokumenty między korzeniami totemicznego drzewa... Susana z Eleną niecierpliwiły się za plecami kopiącego Carlosa, który prócz tego, że miał skłonność do popijania alkoholu nie w porę, nie był już pierwszej młodości.

– Nuże! – poganiała go Susana.

– Mam – wysapał wreszcie brodacz, kucając koło dołka.

Przyjaciółki nachyliły się mocniej, zaglądając przez ramię dziennikarzowi, który kończył odgarniać ziemię z korzeni: między kłęczami tkwiła nieduża puszką. Carlos wydobył ją i czym prędzej schronił się w cieniu. Elena, która miała lepszy wzrok, poprawiła okulary, uzbrojona była ponadto w lupę. Odkręciła puszkę. W środku znajdowała się zwinięta rolka taśmy – tak jak Jana napisała.

– Co to? – wyszeptała wiceprzewodnicząca stowarzyszenia,

niewiele widząc. – Dokumenty z ESMA?

Elena rozwinęła kawałek taśmy. Własnym oczom nie wierzyła.

– Hej! – szturchnęła ją Susana. – Eleno, co tam masz?

– Wygląda... na mikrofilm – odparła cicho przyjaciółka.

W takim pomniejszeniu nazwiska i daty były nieczytelne, ale z całą pewnością były to sfotografowane dokumenty: na niektórych widniało cieszące się smutną sławą logo ESMA, na innych nie... Elena Calderón rozwijała dalej taśmę, czasem zerkała na jakąś klatkę przez lupę. I ziemia jakby usuwała się jej spod nóg. To była nie tylko kartoteka więzienna Samuela i Gabrielli Verónów: na mikrofilmie były dziesiątki, setki podobnych dokumentów.

– Susana – wyszeptała przejęta – to mikrofilm...

– Co? Chcesz powiedzieć, że to ten mikrofilm?

Elena kiwnęła głową okrytą szalem chroniącym ją od słońca.

– Tak, na pewno – rzekła z przekonaniem. – Mikrofilm z zaginionymi. Mamy go, Susano... On naprawdę istnieje... Mamy go...

Susana i Carlos oniemieli. Pod koniec lat siedemdziesiątych wojskowi zniszczyli raporty z tajnych operacji, kolejne dokumenty usunął generał Bignone w 1982 roku, policja federalna spaliła wszystko kilka dni przed wyborami wygranymi przez Alfonsína, krążyła jednak pogłoska, że całość dokumentów odnoszących się do zaginionych skopiowano na mikrofilmie, który ukryto w sejfie gdzieś w Panamie, Miami czy jeszcze gdzie indziej, choć należało przypuszczać, że tego dowodu najprawdopodobniej także się pozbyto. Tymczasem mieli go tutaj, przed oczami.

Rejestracja więźniów, uzyskane informacje i ich interpretacja, okresowe raporty na temat postępów w „pracy”, nazwiska i numery na liście, rozkazy otrzymane i wykonane, działania z upoważnienia

dowództwa, warty, nocne loty na rozkaz wyższych władz... Díaz na mikrofilmie zgromadził kartoteki zaginionych Argentyńczyków, sporządził ściśle tajny dokument, który powierzono jego pieczy, pieczy patrioty... Działaczkom stowarzyszenia łzy napłynęły do oczu. Całe ich życie tu było.

Nie tylko prawda o tym, co się stało z ich dziećmi i mężami: na mikrofilmie była prawda o trzydziestu tysiącach osób, które zniknęły w czasach dyktatury, prawda o tym, co zrobiono z ich ciałami. Ukradziona część historii Argentyny.

Susana ścisnęła mocno dłoń przyjaciółki. Jedna z klatek mikrofilmu dotyczyła Daniela i Elsy, lecz Elena Calderón nie bała się z nią zmierzyć. Rubén myślał, że prawda ostatecznie zniszczy jego matkę, tak jak zniszczyła ojca, mylił się jednak: Elena walczyła, ponieważ dla niej kraj pozbawiony prawdy był krajem bez pamięci. Pamięć o jej mężu i córce była tylko częścią dramatu, który jednoczył wszystkich Argentyńczyków, ofiary i katów, biernych i zaangażowanych. A ona w drżących rękach trzymała teraz Sprawiedliwość.

Abuelas de Plaza de Mayo będą mogły umrzeć w spokoju...

– To koniec naszych poszukiwań – wyszeptała Elena ze ściśniętym gardłem.

Starsze panie rozplakały się, myśląc o rodakach, o wszystkich nieszczęśnikach, którzy tak jak one będą mogli wkrótce odbyć żałobę, o białych plamach, które uda się wreszcie zapełnić danymi z mikrofilmu, o tyłu zranionych sercach, które wreszcie będą mogły się zbliżnić. Płakały w ogrodzie Díaza, nie wiedząc już, czy to łzy radości czy ulgi, płakały w ramionach Carlosa, który trzymał je w krzepiącym uścisku. Dziennikarz także z trudem hamował emocje. „Prawda jest jak olej na wodzie: zawsze wypływa na

wierzch”, powtarzali kiedyś wojskowi.

Południowe słońce paliło istnym ogniem. Elena zadzwoniła do Rubéna, pragnąc jak najszybciej podzielić się z nim niewiarygodną nowiną, lecz jego komórka nie odpowiadała.

Starsza pani w białym szalu spochmurniała wyraźnie.

– Co się dzieje? – spytała Susana.

Elena jeszcze kilka razy spróbowała z takim samym skutkiem: Rubén był poza zasięgiem.

## 9

Franco Díaz uważał, że Argentyna nie jest jeszcze gotowa na wypranie swoich brudów: trzeba wiele lat poczekać, aż odejdzie jego pokolenie. Ten czas minie, zanim urośnie jego drzewo-totem i rozrastając się, wypluje prawdę na powierzchnię. Jego wtedy nie będzie już wśród żywych, zeżre go rak, zdążą także odejść kluczowe postacie tamtych czasów.

Nie wiedział, że jego sąsiad, wkurzony niekorzystnym dlań wynikiem procesu sprzed roku, szpiegował go dzień i noc, aby dowieść, że Díaz faktycznie doprowadza do skażenia swego ogrodu; nie wiedział, że ów paranoik w oknie salonu zainstalował kamerę na podczerwień obejmującą zasięgiem cały jego rajski ogród; nie wiedział, że przeglądając jedną z kaset, Ossario zauważył, jak Díaz coś chowa wśród korzeni młodego puchowca – Franco przeżegnał się nawet, zanim przysypał ziemią to coś, rozglądając się czujnie dokoła, jakby się obawiał, że ktoś go obserwuje. Następnej nocy Ossario zakradł się do jego ogrodu, wydłubał z miękkiej jeszcze ziemi puszkę i wrócił z nią do domu. To, co ujrzał tamtej nocy, przeszło jego wyobrażenie. Díaz nie wiedział, że człowiek ów, mający obsesję na punkcie tajemnic, przekopiował dziesiątki klitek mikrofilmu, o świcie odniósł puszkę na miejsce, a potem zaczął wertować kartoteki zaginionych w poszukiwaniu świadków. I trafił



na sensację swojego życia. Eduardo Campallo, biznesmen, którego gazety zmiażdżyły byłego paparazza w czasach, gdy popadł w niełaskę, widniał w jednej z kartotek ESMA jako apropiador. Ossario, wymyśliwszy sobie, że się na nim zemści, skontaktował się z jego córką, Marią Victorią, podpisując tym samym wyrok śmierci na nią i na siebie... Nie, Franco Díaz nie wiedział, co się za tym kryje, ale to i tak już nie miało znaczenia: po pięciu godzinach w bagażniku audi ze związanymi rękami i nogami, dusząc się z kneblem w ustach, bez morfiny, która by uśmierzyła ból, były agent SIDE wyśpiewał, co wiedział.

Jana wysłuchiwała tego, nie okazując żadnych emocji, po czym zaproponowała mu układ. Zmrożony okrucieństwem widocznym w jej oczach, już czując chłód noża w swym chorym ciele, Díaz zgodził się na wszystko.

Zaciągnęła go do gęstego lasu. Przywiązany do pnia wielkiej araukarii patrzył, jak bez słowa malowała sobie twarz na czarno. Odeszła przed zmierzchem z plecakiem, karabinem i resztą broni, nie odezwawszy się ani słowem. Noc była długa, chłodna, pełna strachu. A jeżeli zostawiła go tutaj? Jeżeli już nie wróci?... Díazowi zdawało się, że słyszy strzały w oddali, krzyki, potem zapadła cisza. Zdrzemnął się w końcu przemarznięty i wystraszony.

Indianka zjawiała się krótko przed świtem, prowadząc więźniów. Było ich trzech, wszyscy skuci kajdankami: jeden mocno utykał z powodu złamanej piszczeli, podpierał go chudy starzec w sutannie. Trzeci był nieprzytomny, owinięty w koc, na którym Indianka ciągnęła go wśród drzew. W tym w sutannie, mimo żalosego wyglądu, Franco rozpoznał swojego przyjaciela von Wernischa. Kardynał najwyraźniej zdruzgotany tym, co go spotkało, próbował się z nim porozumieć, ale Franco wolał nie

ryzykować. Zakaz mówienia, ruszania się, dawania znaków – to Indianka wyraźnie zapowiedziała. Najpierw zgromadziła więźniów pośrodku polany, skrępowała im nogi, po czym zakneblowała kardynała i tego ze złamaną nogą. Następnie zdarła ze wszystkich ubranie, rozciąwszy je nożem. Strasznie wyglądała z tą pomalowaną na czarno twarzą.

Trzymany osobno Díaz miał prawo do specjalnego traktowania: nie związała mu nóg, tylko ręce w przegubach, dostał wody, a także drogocenną morfinę, którą Indianka skąpo mu wydzielała. Franca dreszcz przechodził, ilekroć spojrział na tamtych. Grubas, którego dwa dni wcześniej zauważył na klasztornym dziedzińcu, leżał z mordą potwornie poharataną, pokrytą krwią i moczem. Kilka kroków od niego milcząca Indianka metodycznie kopała dół...

– Co... co robisz? – odważył się zapytać Díaz.

Jakby nie usłyszała skupiona na pracy.

Lud Mapucze zapanował nad końmi lepiej niż *winka*, którzy przywieźli je na kontynent. U nich te zwierzęta były szybsze i wytrzymalsze, a resztę załatwiały razy włócznią. Ponieważ układy obowiązywały tylko tych, którzy w nie wierzyli, *malon* i napady były na porządku dziennym wzdłuż granicy. Wojownicy przyprowadzali wierzchowce i jeńców do obozu, gdzie fetowano każde zwycięstwo nad *winka*, najeźdźcami. Białe kobiety traktowano zgodnie z *widzimisę* wodza, mężczyzn dosłownie rzucano psom. Szybko się do nich upodabniali chrześcijanie zostawieni pod gołym niebem, półnaczy, wygłodzeni. Bici, upokarzani, zjadający resztki, które wypadły z zębów żarłocznym psom, drżący z zimna i rozpaczy, życie zawdzięczali wyłącznie przypadkowi. Po zabiciu Mapucze zjadali ich serce, głowę zaś starannie oczyszczali z mięśni i zawartości czaszki, która stawała

się *ralilonko*, naczyniem-trofeum służącym do picia chichy, wódki kukurydzianej. Kości nóg żłobiono i obrabiano z zewnątrz, robiąc z nich fujarki, na których grano, aby pobudzić do śpiewu dusze złożonych w ofierze. U Mapucze w czas wojny wszystko przybierało barwę czarną, od symbolicznej broni *gentoqui*, mistrza toporu wojennego, po wojowników, *conas*, którzy czernili sobie twarze węglem, nim wyruszyli na wojnę. Jana znalazła odpowiednie barwniki, mieszała je z wodą, by uzyskać ciemną pastę. Przygotowując farby swojego dzieciństwa, odnalazła w sobie duszę artystki, duszę mapuczańską... Wcale jej to nie pocieszyło.

Minęła godzina odmierzana szorowaniem łopaty wbijanej w ziemię i pierwszymi ptasimi świergotami. Diesel się ocknął, przeciągnął kości zeszywniałe po śnie w paprociach. Nad lasem wstawał dzień przepojony zapachem mchów, więźniowie leżeli bez ruchu na błotnistej polanie. Z powodu knebli z trudem oddychali, mięśnie mieli skostniałe z zimna i rozpacz. Picador żałośnie zerkał na przyjaciela: z nogi strzaskanej pociskiem dużego kalibru sączyła mu się lepka ciecz, każdy ruch wyrywał mu z gardła zduszone kneblem jęki. Parise zostawił ich własnemu losowi. Obok kardynał, skupiony na własnym cierpieniu, przestał zawodzić: szklistym wzrokiem obserwował ruchy diabła, który mozolił się pod drzewem. Toro, na oko najgroźniejszy mimo pokiereszowanej szczęki, ciągle wydawał z siebie pomruki, ręce miał zakrwawione od mocowania się z kajdankami. Przepęłniała go wściekłość, nic jednak nie mógł zrobić. Byli tylko trzema spętanymi zdrętwiałymi więźniami rzuconymi w bajoro na leśnym zadupiu, nagimi i przemarzniętymi do szpiku kości, obwąchiwanymi w dodatku przez jakiegoś pieprzonego kundla.

– Won! – wybełkotał przez gęstą ciecz, w której moczyła się

resztką jego zębów.

Tora przepelniała żądza wymordowania wszystkich, a dziewczucha ciągle kopała. Nie zakneblowała go jak tamtych i naszczała mu na twarz, żeby zdezynfekować rany. Dlaczego? zastanawiał się. Chce go oszczędzić?

Diesel wolno doszedł do swojej pani, która go nie widziała. Pot spływał jej po twarzy, żłobiąc w resztkach farby śmieszne cienie. Dół był już głęboki, ręce ją paliły, lecz Jana oderwała się od rzeczywistości. Kosmogonia porażki. W teatrze zmarłych stała się Kulan, straszną kobietą...

Ze łzami w oczach wypuściła z rąk łopatę.

Diesel, który chleptał wodę z kałuży, zastrzygł uszami, kiedy podchodziła, i instynktownie uciekł. Toro się przecknął zaalarmowany krótkim szczeknięciem kundla. Indianka wyszła z zarośli, twarz miała utyłaną na czarno, straszną, obłąkaną. Więźniowie zaczęli się szarpać, próbując ucieczki, na którą w pętach nie mieli szans. Jana chwyciła Picadora za zdrową nogę i zaciągnęła go do drzewa. Díaz schował się za pniem spłoszony zduszonymi jękami więźnia. Obwiązała sznurem kostkę złamanej nogi Picadora, wolny koniec przerzuciła przez gałąź wielkiej araukarii.

Tak, Jana była obłąkana: obłąkana z bólu.

Picador wrzasnął przez knebel, kiedy podciągała go za nogę do góry.

\*

Diesel znikł. O brzasku spadł drobny deszczyk, polanę omiatał paskudny wiatr.

Zawieszony za nogę na wielkiej araukarii Picador przestał jęczeć.

Janie brakło sił, aby go podciągnąć całkowicie: połową korpusu leżał na ziemi, zdrowa noga przywiązana do złamanej zwisała na niej całym ciężarem. Chrześcijanin przestał się ruszać, oczy miał wywrócone, knebel mu zwiotczał, jakby ze strachu przed urwaniem kończyny Picador skamieniał w tej niebywalej pozycji.

Jana czekała w cieniu gałęzi. Płynął czas mapuczański, w którym chwile składają się na godziny, a dni mierzone są od świtu... Zduszone wrzaski Picadora podczas wciągania przeraziły pozostałych więźniów. Próbowali uciekać, lecz nadzy i skrępowani zdołali tylko potaplać się w błocie. Widać było, że von Wernisch długo nie wytrzyma – chudy jak patyk stary kardynał dygotał z zimna, był niczym niewybuch pozostały z innej wojny, wpasowany w otoczenie. Ubłocony Toro ciągle coś bełkotał, prawdopodobnie kłął. Jana rozmyślała pod osłoną gałęzi z zamkniętymi oczami, nieruchoma jak okrutny magiczny posąg. Duch Kulan wciąż krążył wokół niej, ale nie była już sama ze swym drugim „ja”: Shoort, Xalpen, Shenu, Pahuil, widma jej prababki wracały do niej z długiej podróży, wszyscy jej dawni towarzysze snów, wszyscy świadkowie czasów sprzed epoki najeźdźców towarzyszący jej w agonii. Widziała w myślach twarz Rubéna w pokoju na wyspie, kiedy się rozstawali – wspomnienie o wyłupionych oczach.

Rozwarła powieki, lecz wcale nie było lepiej. Diesel uciekł z podkulonym ogonem i nie wracał. Pewnie zrozumiał, co się będzie działo. Opadała melancholijna mgła. Jana wstała z żelazistym posmakiem w ustach i skierowała się na środek polany, gdzie w błocie leżeli więźniowie. Pomarszczona twarz von Wernischa przybrała barwę mleka; kardynał modlił się w duchu odwrócony plecami do Tora, tłuściocha wijącego się w błocie, które widziało

jego narodziny. Szukał pewnie kamienia, czegoś ostrego. Jana ujęła kardynała pod pachy i idąc tyłem, wlokła go ku kopcowi świeżej ziemi. „Hm!... Hm!”, dobywało się spod knebla, gdy ciągnęła go zeszywniałego. Brakło mu jednak sił, aby stawić opór. Toro przestał pełzać w błocku, teraz czekał czujnie. Von Wernisch błagalnie patrzył na Indiankę wilgotnymi oczami, wpadł w panikę, znalazłszy się przy wykopanym dole. Niemrawo zaczął się szarpać, kręcił głową, wydając nieartykułowane dźwięki. Jana niczym tobół zrzuciła go do grobu.

Kardynał znikł z powierzchni ziemi. Toro przełknął ślinę. Przywiązany do drzewa Franco Díaz z przerażeniem obserwował tę scenę. Mapucze go okłamała. Dał się nabrać na ten oszukańczy układ, Indianka go nie oszczędzi w zamian za posłuszeństwo, jak obiecywała: ta dzikuska wykończy ich wszystkich po kolei... Jana głucha na jęki i zduszone błagania von Wernischa ujęła w dłoń mapuczański nóż i ruszyła w stronę Tora.

Grubas szarpnął się w więzach jak oszalały, schował głowę w ramiona, bełkocząc coś, co było pewnie pogrózkami. Przykucnęła przed wykrzywionym więźniem ze strzaskaną szczęką.

– Toro... – Obejrzała się na skraj polany, gdzie wisiał Picador. – Widzisz kumpla? – spytała bardzo spokojnie. – Proponuję ci układ: albo zgwałcisz go tak, że wyzionie ducha, jak Miguela, albo żywcem cię zakopię razem ze staruchem.

W oczach grubasa błysnęło zaskoczenie. A Jana tonem pozornie nadal spokojnym ciągnęła:

– Masz wybór, Toro: on albo ty.

Jęki von Wernischa docierały do nich z niedalekiego grobu. Picador nie reagował. Zakrwawioną twarz grubasa jeszcze bardziej wykrzywił grymas nienawiści.

– *India de mierda!* – wybełkotał.

Jana się wyprostowała. Rozwścieczony do szaleństwa grubas szamotał się u jej stóp. No tak. Gwałcił chłopców, ale nie był taki jak Miguel, co to, to nie, on był E l Toro... A Jana była Mapucze, była z ludu, na który Hiszpanie polowali z psami wytresowanymi do zagryzania Indian, a łowcy uszu otrzymywali zapłatę od sztuki. Zacznie od najgorszego: od wieprza.

Przypadła do niego. Miotał się, szarpiąc rozpaczliwie barami, lecz dosiadła go okrakiem. Oczy miała przekrwione. Złapała Tora za włosy, mocno ścisnęła w dłoni rękojeść noża. Po jej policzku spłynęła okrutna łza.

– To za Paulę... – oświadczyła, odcinając mu jedno ucho. – A to za Rubéna.

# 10

Diesel czekał niewzruszenie pod gałęziami w swoim psim sfatygowanym mundurku. Po porannym deszczu zza chmur wyrzało nieśmiało słońce. Zwierzak leżał na brzegu płynącego tu strumyka, wpatrując się w wąski horyzont, jakby mógł się na nim pojawić statek z krwi i kości... Znajomy zapach wyrwał go z marzeń głodnego psa: Diesel naraz się ożywił i potruchtał ku swojej pani, wychodząc jej naprzeciw.

Jana szła jak automat z polany nad strumyk, który znalazła poprzedniego dnia. Widok kundla nie zrobił na niej wrażenia. Diesel polizął jej rękę na powitanie, merdał ogonem, nie zwracając uwagi na naszyjnik z uszu, który jej zwisał na płaskiej piersi. Jana była nie ta sama. Nie była ani rzeźbiarką, ani mapuczańskim duchem przybyłym zza grobu, aby pomścić swoich. Długo kucała na brzegu strumyka z twarzą pokrytą spękanymi resztkami farby, nieobecny wzrokiem. Koszulkę pod kurtką miała lepłą od krwi, wrzaski Tora ciągle dźwięczały jej w głowie, ale jeszcze nie skończyła: brakowało dwóch. Parisego i Ardilesa. Dopiero potem będzie mogła dołączyć do swoich. Rubén...

Diesel szczechnął, jakby ją sprowadzał na właściwą stronę świata, wydał z siebie mysi pisk, który zginął w szemraniu strumyka. Jana umyła ręce i nóż w przejrzystej wodzie, która na chwilę zabarwiła



się na różowo. Powietrze zafalowało nad dywanem z mchów, kiedy się prostowała. Uciekinierzy zbiegli w kierunku północnym. Według szczegółowej mapy parku przez las wiodła tylko jedna droga: ta, która prowadziła do dawnej misji. Na pewno zaczekali do świtu, aby ją odszukać. Teraz mają godzinę, może dwie przewagi... Mapucze zarzuciła plecak i z karabinem na ramieniu wśliznęła się między drzewa.

Diesel ruszył za nią wśród paproci, merdając ogonem.

Ptaki znowu świergotały wśród mokrych gałęzi. Po tej strasznej nocy przy ziemi jeszcze snuła się mgła. Noga bardzo bolała, ale Parise jakoś dawał radę iść. Wydawało się, że zgubili tropiącego ich zabójcę, niemniej ich położenie wcale nie prezentowało się różowo: nie miał amunicji do pistoletu, został mu jedynie nóż w kieszeni marynarki zbyt cienkiej, by chronić przed chłodem, z bólu był potwornie zły. Pięćdziesiąt dziewięć lat. Były oficer śledczy nie był już młodzieniaszkiem, lecz wykaraska się z tego jak zawsze. Właśnie dlatego Ardiles go wybrał – nawet okaleczony pozostawał siłą natury.

Po ataku uciekali prosto przed siebie, nie zważając na krzyki, które zakłócały noc. Przedzierali się przez bujną roślinność dobrą godzinę ciągnącą się w nieskończoność, w końcu u kresu sił przystanęli. Było za ciemno, aby iść dalej. I tak nie wiedzieli, gdzie się znajdują, a obaj potrzebowali wytchnienia. Na zmianę jeden trzymał straż, drugi spał z trzewiami ściśniętymi strachem, póki nie nastał dzień. Parise mu blada twarz się zapadła, jakby coś ją wessało do środka, doskwierała mu kula tkwiąca w kostce, ale niebo jaśniejące między gałęziami podniosło go trochę na duchu. Znalazł sobie grubą gałąź, której zamierzał używać jako kostura, a w razie potrzeby jako pałki. Przemoczeni i głodni ruszyli w dalszą

drogę, czujnie rozglądając się dokoła.

Wśród ciernistych zarośli wiodło ich światło dzienne. Las rzedniał, w miarę jak wspinali się po stoku. Szli wzdłuż paproci rosnących pod drzewami i po godzinie forsownego marszu natrafili na wytyczoną ścieżkę. Prowadziła łagodną pochyłością w górę...

– Jak myślisz, Parise? – zagadnął zdyszany Ardiles.

– Dokądś prowadzi. Do drogi albo przełęczy... Przy odrobinie szczęścia komórka złapie zasięg.

Postanowili iść dalej na północ. Do diabła, w końcu dotrą przecież do cywilizacji! Na temat tajemniczego łowcy depczącego im po piętach woleli nie mówić – cudem tej nocy mu uciekli... Mgła ciągle im towarzyszyła. Na wysokości dwóch tysięcy metrów w powietrzu zaczynało brakować tlenu, zbocze robiło się coraz bardziej strome. Generał z trudem posuwał się naprzód. Odnowiła mu się rana w rękę – w ogniu walki Parise brutalnie go odepchnął, kiedy Ardiles zażądał broni – lecz pora nie była odpowiednia, by robić mu wyrzuty albo wyrównywać rachunki. Twarze oblepiał im pot wymieszany z mgłą, ziemi lepiła się do nóg wśród coraz rzadszych drzew.

– Dochodzimy do szczytu – oznajmił Parise słabym głosem.

Zobaczyli najpierw kamienny murek wśród paproci, kawałek dalej jakieś ruiny. Nieco wyżej znów była ruinka, resztki starego budynku, którego surowy wygląd pokonała roślinność.

Dawna misja.

Zbliżali się powoli, wyglądając przykrej niespodzianki. Dzikie krzewy i trawy opanowały sypiące się mury, widać jednak było zarysy klasztoru, który sądząc po stanie ruin, musiał pochodzić z epoki „podboju pustyni”.

– Zatrzymajmy się – wysapał Parise.

Na szczycie mocniej wiało, niebo wreszcie się przetało, chociaż tu i ówdzie były jeszcze strzępiaste chmury. Przysiadł na murku, by odciążyć zranioną nogę, generał tymczasem badał ruiny. Pośliznąwszy się na kamieniach, zdrową ręką Ardiles przytrzymał się rosnących tam wątłych krzaków i zaklął pod nosem. Po chwili dotarł na tyły zabudowań. Misję ulokowano na skalistym szczycie górującym nad lesistą doliną. Zbocza Andów, których wierzchołków nigdy jeszcze nie widział z tak bliska, rozpościerały się pod kłębiastymi chmurami. Stary generał zmarszczył brwi. W oddali mieniło się w słońcu jezioro, niestety niedostępne: drogę do niego zagradzał wąwóz. Poniżej gęstwa cierni i innych krzaków rozciągała się niczym morze kolców i kamieni... Ardiles się skrzywił: przeszli taki kawał drogi i utknęli w ślepym zaułku.

\*

Jana szła ponad godzinę, nim znalazła ich ślady. Wielkolud był ranny – trafiła go w nogę poprzedniego dnia jeszcze na leśnej drodze, odciski stóp w błocie miały nierówną głębokość. Stary, który z nim był, też nie szedł miarowym krokiem. Na jasnym niebie kołował drapieżny ptak. Wspinała się wśród drzew z wyschniętym gardłem, chociaż w plecaku miała wodę. Diesel ciągle u jej boku myszkował w roślinach bardziej zainteresowany ważkami niż bijącym od niej smrodem padliny. Mimo pokiereszowanego nosa Jana niemal czuła ten odór – odurzający odór śmierci. Dostrzegła ślady na mokrej ziemi. Dawny odruch z czasów, gdy polowała. Z braćmi byłoby zupełnie inaczej, ale teraz to i tak nie miało znaczenia. Krew sącząca się z uszu Picadora i Tora krzepła na jej piersiach, lecz nie myślała o tym. W ogóle nie myślała. Rewolwer był załadowany, miała w nim pięć pocisków, w karabinie sześć.

Dotąd szła miarowym równym krokiem, teraz wyraźnie zwolniła. Słońce stało już dość wysoko, widziała je między szczytami. Uciekinierzy byli niedaleko. Co zrobią, dotarłszy do dawnej misji? Zawrócą czy będą próbowali obejść przeszkodę i ruszą wzdłuż wąwozu? Aż tak daleko Mapucze nie przeprowadziła rozpoznania, przewidywała bowiem, że ogarnięci paniką rzucą się do ucieczki w kierunku przeciwnym do tego, skąd będą padały strzały... Podchodziła do misji z obawą, aż dotarła w jej pobliże.

Wierny jak cień Diesel przestał chłostać paprocie ogonem. Widząc swoją panią skuloną wśród roślin, zadarł łeb i naraz zaczął ujadać. Chrapliwie i tak głośno, że jego szczekanie poniosło się aż do doliny.

– Kurwa!... – zaklęła Jana. – Już nie miałeś kiedy otworzyć pyska?

Kopniakiem odgoniła kundla, długo wodziła wzrokiem po otoczeniu misji: nikogo... A przecież byli tu. Zawstydzony Diesel ze zwieszonym ogonem trzymał się w pewnej odległości.

– Schowaj się, do cholery!

Do słów dołączając gest, odpędziła psa, który wziął nogi za pas. Minęło kilka chwil, czekała zdenerwowana. Wkrótce znalazła sobie dobry punkt obserwacyjny na skraju lasu, położyła się w paprociach i przez lunetkę zaczęła szukać celu. Od ruin klasztoru dzielił ją kawałek prawie odkrytego terenu ogrodzonego walącym się murkiem. Jana się wahała. Ślady doprowadziły ją tutaj, lecz nie widziała ich dalej... W kucki zaczęła się ostrożnie pięć w górę zbocza z remingtonem przyciśniętym do boku. Znowu zaczynało padać, pojedyncze grube krople uderzały w liście roślin. Podeszwy jej gланów zaskrzypiały na drobnych kamykach; posuwała się stopniowo, szukając osłony, za każdym razem czujnie rozglądając

się dokoła. Była coraz bliżej ruiny budynku. Diesel gdzieś znikł – idiotyczne ujadanie kundla zdradziło jej obecność, ale nie zauważała żywego ducha. Nie, nie mogli odejść daleko: stary generał był wyczerpany, a łysego na pewno paliła gorączka przy tak strzaskanej nodze. Jana czujnie podeszła jeszcze bliżej, nie domyślając się, że ktoś ją obserwuje...

Parise w cieniu zrujnowanego budynku próbował zrobić bandaż z koszuli, gdy ujadanie psa poderwało go na nogi. Ktoś nadchodził. Łowca, ten, który zastawił pułapkę na leśnej drodze. Tym razem jednak był dzień i to oni zaskoczą jego. Kuśtykając, Parise schował się w ruinie tak, że mógł niepostrzeżenie obserwować okolicę. Ardiles, który błąkał się skrajem wąwozu, dołączył do niego zaniepokojony.

– Słyszałeś? – wyszeptał.

– Tak...

Przyczaili się w ukryciu, wypatrując ruchu w okolicy. Parisemu serce skoczyło w piersi, kiedy rozpoznał dziewczynę z delty. Ta dziwka wytropiła ich aż tutaj, a teraz próbowała okrążyć od prawej. Była już niedaleko, przemykała za pojedynczymi krzakami i kupkami gruzu...

– Niech pan wstanie – zwrócił się Parise do generała.

– Po co? – wysapał wojskowy, gdy Parise pomagał mu się podnieść. – Uważaj na rękę, do cholery!

Ze zmęczenia i strachu zachwiał się na nogach. Ledwie odzyskał równowagę, usłyszał:

– Przykro mi, generale, ale nie mam wyboru.

I Parise zaczął go ciągnąć poza osłonę kamiennych ścian.

– Co robisz?... Parise, przestań!... Ach!... – Chcąc się uczepić jego marynarki, Ardiles zgubił but i pośliznął się na kamieniach. – Co

ty...

Łysy zacisnął zęby, nieopatrznie oparłszy się na zranionej nodze, i wypchnął starego na zbocze, gdzie kryła się Indianka.

Jana usłyszała krzyk powyżej, na szczycie. Zastygła na kilka chwil. Zaraz rozległo się wołanie o pomoc. Zostawiła wszystkie rzeczy i z samym odbezpieczonym rewolwerem w ręce ruszyła naprzód, kryjąc się jak najlepiej. Jęki były coraz wyraźniejsze. Zbliżała się do nich, czujnie wypatrując każdego cienia, aż ujrzała człowieka: generał leżał w kępie ciernistych zarośli pod kawałkiem muru, na którym się zatrzymał, gdy spadał. Błady jak płótno jęczał, trzymając się za ranną rękę. Jana wycelowała doń z rewolweru i równocześnie poczuła na ciele lodowaty powiew – o sekundę za późno. Obróciła się i znalazła twarzą w twarz z Parisem, który wyprysnął z ruin. Nacisnęła na spust. Strzał padł w chwili, gdy łysy grubą gałęzią przywalił jej w nadgarstek. Pocisk trafił w ziemię, broń wyleciała jej z ręki. Jana uskoczyła w bok, lecz wielkolud złapał ją za włosy i rzucił na ziemię. Mapucze upadła na twarz. Łysy runął na nią, ale zdążyła się przetoczyć na wznak i teraz walczyła z siłą potęgowaną rozpaczą. Krzyczała, wierząc, że trafi go w postrzeloną nogę, Paris jednak był za szybki, za ciężki: przygwoździł ją do ziemi. Sto dziesięć kilo żywej wagi miażdżyło jej klatkę piersiową.

– Ty kurwo pierdolona! – syknął jej w twarz z nienawiścią.

Próbował ją unieruchomić kolanami, ale Indianka miotła się jak dzika kocica: sięgała mu do oczu, zdrapała skórę z powiek, ciężko dysząc. Ze wszystkich sił usiłowała zrzucić z siebie napastnika, lecz nie miała szans. Paris w końcu wznosił wielką pięść i przyłożył jej w rozbity nos. Trysnęła krew. Łysy sapał głośno. Klęczał na ofierze, starając się pozbyć nadmiaru adrenaliny płynącej mu w żyłach.

Przygnieciona jego ciężarem oszołomiona Mapucze znieruchomiała. A on z pięścią jeszcze zaciśniętą patrzył na rozciągniętą pod sobą dziewczynę o pomalowanej twarzy: dopadł ją. Zaraz rozejrzał się dokoła nerwowo, by mieć obraz sytuacji, która nareszcie obróciła się na jego korzyść. Wyglądało na to, że dziewczucha brocząca krwią z nosa jest sama.

Dwa kroki dalej jęczał Ardiles, który utknął przy resztkę ściany w kolczastym krzewie.

– Pomocy, Parise... Na Boga, pomóż mi!

Jana patrzyła na spowite chmurami smutne niebo, widziała nad sobą bydlaka, który klęczał jej na piersiach, przygniatał ją do ziemi. Łzy zamgłyły jej wzrok. W cholewce buta miała nóż. Podkuliła nogi, ręką starała się po omacku dosięgnąć glana. Wreszcie pod czubkami palców poczuła rękojeść noża: wyciągnęła go i resztką sił wraziła go łysemu między zebra.

Hector Parise znieruchomiał na moment zaskoczony ukłuciem. Grymas zdziwienia na jego twarzy zaraz się jednak zmienił w złość, gdy dotarło do niego, co się stało. Tyle że Jana nie trafiła w żaden organ wewnętrzny: ostrze prześliznęło się między zębami, kalecząc tylko skórę. Parise schwycił rękę trzymającą jeszcze broń, wykręcił, po czym cisnął daleko od niej mapuczański nóż przodków.

– Chciałaś mnie załatwić? – ryknął, nie posiadając się z wściekłości.

Rzucała głową, nie mogąc się uwolnić spod niego. Z pięścią tak zaciśniętą, że kostki mu pobieleły, Parise wpatrzył się w ofiarę. Dawną misję owiał lodowaty podmuch. Jana odruchowo chciała osłonić twarz, ale nie zdołała: posypał się na nią grad ciosów.

# 11

Wczesnym popołudniem Rubén zostawił Torresa w zalanej słońcem winnicy i opuścił posiadłość Solente. Wyboista droga przez pustynię biegła wzdłuż gór. Czteryście kilometrów. Rubén do zmierzchu zaciskał zęby, w podskakującym samochodzie czując się jak wieszany za flaki na rzeźnickim haku. Pokonywał kolejne wzniesienia z wrażeniem, że kabina auta zamieniła się w wannę z formaliną. Rozpalony od gorączki rozmyślał o Janie, o pustce, jaką po sobie zostawiła, o ludziach ukrytych w klasztorze na końcu świata. Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dotarł w pobliże swojego celu.

Park narodowy Los Alerces rozciąga się na przestrzeni prawie trzystu tysięcy hektarów. Pradawne lasy zarastają zbocza gór oraz brzegi przejrzystych rzek i jezior. Rubén jechał asfaltową drogą przez rezerwat przyrody, mijał nieczynne kempingi, nieliczne ubogie gospodarstwa, w których obejściu czasem pochrząkiwała świnia, pola ziemniaczane, pojedyncze krowy, szkołę... Czy to z powodu skutków ubocznych środków przeciwbólowych, czy z przegrzania, czy też wskutek zabójczych konsekwencji procesu rekonwalescencji dotarł do klasztoru w Los Cipreses w stanie bliskim zamroczenia.

Noc już zapadła w górskiej wiosce. Rubén dopił wodę z butelki



leżącej na siedzeniu, sprawdził magazynek glocka i równym krokiem pomaszerował do furty, przy której wisiał staromodny dzwonek. Leki i kurz drogi zupełnie wysuszyły mu gardło, wypijana litrami woda niczego nie zmieniała, jego ciało domagało się pozycji leżącej, zamknięcia powiek. Albo wymiany powłoki.

– Słucham pana?

Zakonnik, który zjawił się przy furcie, był niemal równie blady jak on. Sądząc po zgaszonej barwie głosu, właśnie ten człowiek odebrał telefon Torresa. Rubén przeprosił, że przeszkadza o tak późnej porze, przedstawił się jako znajomy pana Torresa i poprosił o spotkanie z kardynałem. Młody mnich w znoszonych sandałach zrobił zmartwioną minę.

– No właśnie... problem w tym, że nie wrócili – powiedział. – Ani jego eminencja, ani nikt z jego przyjaciół. Ciągłe na nich czekamy.

– Dochodzi jedenasta – zauważył Rubén.

– Tak, wiem. Przyznam, że zaczynamy się niepokoić...

Trudno było wyczuć, czy zakonnik kłamie – ledwie było widać jego twarz w słabym świetle latarni. Rubén złapał go za habit, wyciągnął na zewnątrz i prawą ręką przyparł do drewnianej furty.

– Posłuchaj, braciszku – rzekł z pogroźką w głosie – jestem zmęczony i nie mam czasu na zbędne gadanie. Jest tu Ardiles ze swoimi ludźmi?

Pod palącym spojrzeniem Rubéna zakonnikowi kilkakrotnie podskoczyła grdyka.

– Bóg mi świadkiem – odparł. – Po południu był telefon do jego eminencji. Niedługo potem wszyscy pojechali na jakieś spotkanie.

– Z kim to spotkanie?

– Nie wiem – wyznał mnich. – Jego eminencja nic nie powiedział. Ale chyba niedaleko, bo mieli wrócić przed nocą.

– Kto dzwonił do kardynała?

– Niejaki Díaz.

Zbiegły z Colonii botanik, były agent SIDE.

– Kardynał pojechał z Ardilesem i jego ludźmi? – drażył Rubén.

– No... tak.

– Czym pojechali?

– Terenówką.

– Marka!

– Czarny land cruiser – odparł zakonnik, ze strachu robiąc zeza.

– Z przyciemnionymi szybami...

Díaz. Widocznie próbował opchnąć oryginał dokumentów. Co nie tłumaczyło jednak, dokąd się udał Ardiles z resztą towarzystwa ani dlaczego nie wracali. Mnich najwyraźniej nic więcej nie wiedział.

– Była tu w ostatnich dniach Indianka? – zapytał jeszcze Rubén.

– Wysoka brunetka koło trzydziestki, Mapucze.

Zakonnik pokręcił głową.

– Nie, nikogo takiego nie było.

Rubén się skrzywił. Znowu mu się wymykali... Puścił zakonnika, który skwapliwie schronił się za furte, i wrócił do samochodu. Była ciemna noc. Zatrzymał wóz kawałek dalej na skraju lasu. Czekał ponad godzinę, obserwując wejście do klasztoru, ale nic nie przyjechało. Na zewnątrz wilgotny wiatr szeleścił gałęziami drzew. Rubén półprzytomny ze zmęczenia, oszołomiony lekami, opuścił oparcie fotela, ułożył wygodnie głowę i zapadł w głęboki sen.

Tej nocy nie nawiedził go duch Jany, lecz po przebudzeniu miał takie samo jak wcześniej złe przeczucie. Przespał jakieś sześć, siedem godzin, jego zmarznięte ciało było teraz jedną wielką skargą. Nad andyjskimi szczytami zaczynało dnieć, parking przed klasztorem był pusty. Rubén nie czuł głodu, ale wiedział, że długo

tak nie pociągnie. Uruchomił silnik.

Kot z jednym uchem naderwanym czuwał przed wybebeszonym kubłem przy jeszcze zamkniętej gospodzie. Rubén pojechał dalej, szukając jakiegoś otwartego baru. Mijał sąsiadujące z lokalem gospodarstwo, gdy w lusterku bocznym mignął mu poobijany gruchot. Na tylnym podwórku gospodarstwa. Rubén zahamował: w błocie stał stary ford z wybitą szybą po stronie pasażera. Samochód Jany, nie do pomylenia z żadnym innym. Serce zabiło mu szybciej. Wysiadł i w mżawce, która zaczęła padać, ruszył do ubogich zabudowań. Ford moknął na środku podwórza wśród stert kawałków desek i jakiegoś żelastwa. Pod zadaszeniem z blachy falistej ktoś majstrował przy podwoziu terenówki: czarnego land cruisera. Rubén z dłonią na broni gorączkowo rozejrzał się dokoła – za brudnymi oknami nie zauważył żadnego ruchu. Wyglądało na to, że w gospodarstwie nie ma nikogo prócz gościa pod wiatą pełniącą rolę garażu...

– Och!

Spod terenówki wysunął się młody chłopak i podejrzliwym wzrokiem obrzucił przybysza. Dwudziestoletni Metys miał się na baczności przed *winka*.

– Szukam kobiety, która przyjechała tym fordem – powiedział Rubén, wskazując na gruchota za sobą. – Jest tutaj?

Umorusany smarem chłopak poczerwieniał.

– Jest tutaj? – powtórzył Rubén.

– Nie...

– Więc skąd się wziął ten złom?

– To mojego ojca – wyjąkał Metys.

– Rejestracja z Buenos Aires – zauważył Rubén. – Co mi tu ściemniasz?

– Nie ściemniam... – Chłopak poczerwieniał po same uszy.

– Słuchaj, stary – łagodniej powiedział Rubén – jestem przyjacielem właścicielki tego forda. Powiedz, gdzie ona jest.

– Nie wiem – odparł Metys. – Ja tylko obsługuję w gospodzie.

– Aha... A terenówka? – drażył Rubén, wskazując land cruisera z karoserią podziurawioną kulami. – Nie powiesz chyba, że spadła z nieba prosto na twoje zapyziałe podwórko?

Metys czuł, jak przewierca go wzrok tego *winka*.

– Ojciec i brat pojechali do miasta. Oni ją przyprowadzili, ja...

– W dupie mam terenówkę – przerwał mu Rubén. – Interesują mnie faceci, którzy nią jechali. Oni i kobieta, która przyjechała fordem. Chodzi o morderstwo. Gadaj, co wiesz, inaczej będziesz miał kłopoty.

Metys przestąpił z nogi na nogę i w końcu wyznał, że obydwie samochody porzucono poprzedniego dnia w lesie. Terenówka miała wypadek, musieli ją wyciągać z zagłębienia terenu, ojciec z bratem pojechali właśnie po części do niej; ford był w takim stanie jak tutaj. Ściągnęli auta, żeby je zreperować...

– Skąd wiedzieliście, że samochody porzucono? – dociekał Rubén.

– Od tej Mapucze – odparł chłopak. – Od Jany.

Rubén wsunął młodzikowi do kieszeni kilkaset peso w banknotach.

– Pokaż mi to miejsce.

O dolną część karoserii postukiwały kamyki wyskakujące spod kół na leśnej drodze. Metys siedział w milczeniu na przednim fotelu. Zauważył rękojeść broni pod kurtką obcego, jego twarz zlaną potem mimo opuszczonej szyby, cierpienie w oczach. Na trójce jechali przez las przecinką śliską po deszczu. Metys nie był spokojny, melancholijnym wzrokiem patrzył na wzniesienia w deszczu

o zmiennym natężeniu. Zastanawiał się, czy facet kłamie, czy oskarżą ich o kradzież, o jakim morderstwie mówił. Wjechali w zakos, potem w długi wiraż z lasem po obu stronach. Chłopak dał znak, by zwolnić: byli na miejscu.

Głusza pośród jezior i wzgórz, wielkich araukarii i nieprzebytego gąszczu krzewów. Najbliższa ludzka sadyba oddalona była o wiele kilometrów... Rubén zbadał ślady na skraju przecinki. Padało, ale przy zagłębieniu terenu jedno drzewo było przechylone. Sosna. Na pniu widniały ślady lakieru. Schylił się, zauważył odłamki szkła w trawie, kawałki plastiku. I łuski. Co najmniej dziesięć łusek różnego kalibru rozrzuconych w pobliżu miejsca wypadku... Wyprostował się, czując dreszcz. Metys stał w pewnej odległości zaniepokojony, że tak łatwo zarobił tyle kasy.

– Na pewno Jana ci powiedziała, żeby zabrać terenówkę? I forda?

Chłopak kiwnął głową. Tak powiedziała poprzedniego dnia. Rubén czujnym wzrokiem obrzucił las. Między drzewami bujnie krzewiła się gęsta roślinność, chemicznie białe niebo wisiało nad wzniesieniami.

– Jest jakaś ścieżka w lesie? – zapytał.

– Tak, trochę wyżej. Ale nigdzie nie prowadzi – dodał. – Tu nic nie ma. Tylko ruiny klasztoru o jakąś godzinę, dwie marszu stąd.

Północ – to był właściwy kierunek. Rubén szedł zgodnie ze wskazówkami Metysa. Po środkach przeciwbólowych czuł drzenie w całym ciele, z lewego boku promieniował ból, tuż nad sercem kłuło go dotkliwie. Jęczał co rusz, idąc pod osłoną drzew. Hamowały go korzenie i ciernie, z gałęzi kapały ciężkie krople deszczu, zaostając zapach mokrej ziemi. Znalazł na ziemi kolejną łuskę. Karabinową. Kaliber 7.62. Taki sam jak jego remingtona. Jana. Wyruszyła za nimi na łowy w lesie... Wspiął się po łagodnie

nachylonym zboczu z obolałymi płucami, w uszach miał jedynie dudnienie pulsu brzmiące jak wołanie o pomoc. Przystanął na chwilę, by napić się wody, wyrzucił pustą butelkę, uszedł jeszcze kawałek, czując w kieszeniach kurtki ciężar trzech pełnych magazynków do pistoletu, wsłuchując się w głosy lasu. Deszcz go zmoczył, lecz nie ochłodził. Gdzieś tam była Jana, tropiła albo była tropiona pośród oceanu zieleni. Znowu się zatrzymał wyczerpany tym pościgiem, który był jak upadek w przepaść. Błoto oblepiało mu buty. Doszło go ponure skrzeczenie – kierując się nim, dotarł do pobliskiej polany.

Wiatr leniwie owiewał błotnistą przestrzeń. Pod drzewem wisiał za nogę człowiek z wykręconą głową na ziemi. Złamana piszczel wystawała przez przebitą fioletowoczną skórę, która wyglądała, jakby kończynę już zaatakowała gangrena. Rubén musiał odpędzić ptaki, by rozpoznać oprawcę z delty. Padlinożercy wydlubali mu oczy, nie miał także uszu: równe cięcie na skórze świadczyło, że nie było to dzieło ptaków.

Rubén zwymiotował pod drzewem. Wyprostował się potem, ale niebo jakby się na niego waliło. Kilka kroków dalej zauważył łopatę przy kopcu ziemi. Grób. Świeżo wykopany. Teraz go mdlilo. W paprociach znalazł kilka butelek wody, ręczny reflektorek, worki foliowe: pozostałości po obozowisku... po masakrze. Brodził w błocku, badając teren, gdy jego uwagę zwróciło jakby skomlenie dochodzące z lewej: za pniem znalazł przywiązanego do drzewa Díaza z na poły obłąkanymi oczami.

– Pomocy... – wyjęczał zeszywniałymi ustami. – Pomocy, błagam...

Díaz marzył o śmierci pośród kwiatów, a nie z głodu w tej głuszy, sfajdany ze strachu, błagający o ratunek. Skomlał jak szczenię, nie

mogąc powstrzymać dygotania. Czy rozpoznał detektywa? Rubén ze ściśniętym sercem podszedł do drzewa, do którego Díaz był przywiązany. Jana: to już nie była zemsta, lecz czyste samobójstwo.

– Gdzie ona jest? – spytał. – Gdzie Indianka?

– Iiiii...

Tak, Franco Díaz oszalał. Rubén pociągnął za łańcuch, który Díaz miał na szyi.

– Którędy poszła?... Kurwa, gadaj!

– Tam... – wskazał kierunek brudnym palcem. – Tam... Błagam, uwolnij mnie.

Na północ. Znowu na północ. Nie miał innego wyjścia, musiał mu uwierzyć. Rubén popatrzył po mokrych drzewach i bez słowa zostawił więźnia własnemu losowi. Błagania Díaza szybko ucichły. Rubén kilka razy zawołał Janę. Ledwie się trzymał na nogach. Oddychał przeponą, duch opuścił jego obolałe ciało. Sam już nie wiedział, czy nie zbłądził, czy jej nie stracił, czy nie traci wszystkiego. Glock pod kurtką ważył tonę, magazynki w kieszeni zdawały się ciągnąć go do ziemi.

– Jana?!... Jana!...

Łzy bezsilności napływały mu do oczu, kiedy tak wołał na próżno. Szedł przed siebie, nie patrząc, dokąd idzie. Lwia klatka, drobne dziecięce kroki, Elsa, Daniel... Historia bełkotała. Rubén był już u progu rozpacz, gdy pośród drzew pojawił się pies. Wyliniały kundel, który dziwnie szczeknął, podbiegając do niego drobnym kroczeniem.

– Skąd się tu wzięłeś?

Trudno było powiedzieć, czy merda ogonem czy też zdycha z głodu. Obwąchał obcego, nastawił siwiejący pysk nie wiadomo na co, podreptał w miejscu, okrążył Rubéna. Tak zapchlone stworzenie

mogło należeć chyba tylko do Jany. Kundel jakby na niego czekał, Rubén więc ruszył za nim przez las. Trawiła go gorączka, lecz wynędzniały pies miał w sobie coś znajomego i najwyraźniej dobrze wiedział, dokąd idzie. Sosny zaczęły rzednąć, coraz częściej wśród gałęzi pokazywało się niebo. Kundel co rusz oglądał się na idącego za nim człowieka, jakby go ponaglał. Rubén miał już dość. Wtem w wilgotnym powietrzu huknął strzał. Trochę wyżej, w odległości może trzystu metrów. W dawnej misji. Rubén przyspieszył, serce podeszło mu do gardła. Przy każdym kroku miał wrażenie, że wyzienie ducha, po czym naraz zniknęło wszystko: pies, mleczone niebo, deszcz. Na stoku pod samym szczytem zostały wśród ruin tylko dwie postacie: czarnowłosa kobieta i rosły łysy mężczyzna, który trzymając ją rozciągniętą na ziemi, okładał pięścią jej twarz.

Rubén fizycznie czuł pękające kości, ciekącą krew... Chyba tracił rozum. Albo miał zły sen.

– Chciałaś mnie załatwić? Chciałaś mnie załatwić?

Parise tak głośno dyszał, wyrzucając z siebie nienawiść, że nie usłyszał kroków za plecami. Kiedy się obejrzał, zobaczył jedynie dwoje ostrych jak laser mieniących się niebiesko oczu i czarny wylot lufy glocka.

Nie zwlekając, Rubén nacisnął na spust. Łysej głowa odskoczyła do tyłu, okręciło nim i runął na ziemię. Rozwiął się dym po strzale. Z tak małej odległości głowa Parisego dosłownie eksplodowała. Wystraszony pies szczeknął. Rubén wyczuł czyjąś obecność, skierował pistolet w prawo i zobaczył przy zawalonym murze roztrzęsionego starca. Ardiles. Tulił do siebie usztywnioną rękę skulony między cierniami i kamieniami porośniętymi mchem. Bezbronny.

Jana się nie ruszała przygnieciona zwłokami Parisego. Rubén



przyklęknął i z jękiem zrzucił z niej sto dziesięć kilo zbrodniarza.

– Jana...

Leżała bez ruchu obryzgana galaretowatymi strzępkami materii. Rubén widział tylko jej poharataną twarz z resztkami czarnej farby zmieszany z krwią. Nie miał pojęcia, co robić: nos, wargi, oczy – krwawa miazga... Dostrzegł naszyjnik z uszu na jej piersi, przeszedł go dreszcz zgrozy.

– Jana – wyszeptał. – Jana...

Łuki brwiowe miała porozbijane, nos zmiażdżony, usta również. Ran postrzałowych ani innych nie widział, czuł jedynie truciznę okrucieństwa w żyłach. Zerwał krwawe trofeum z jej szyi i odrzucił w bok.

– Już po wszystkim – mówił, tuląc ją. – Już po wszystkim...

Mżawka opadała na ruiny zabudowań misji. Kołysał w ramionach swoją skatowaną czarodziejkę, gładził jej włosy zlepione krwią, błagając ją, by żyła.

Nie, nie, Jana to twarda dziewczyna, nie może umrzeć, nie teraz, nie po tym, co razem przeszli. Zadrżał, gdy poczuł bicie jej serca przy swojej piersi. Westchnęła i otworzyła oczy.

– Rubén...

Jej głos jakby się wznosił z otchłani czasu. Rubénowi przemknęło przez myśl, czy on także stał się taki jak Jana, czy również jest duchem. Mapucze przez chwilę niedowierzająco spoglądała na niego z różowymi łzami w oczach, potem obok dostrzegła Diesla obwączającego martwego zbrodniarza. Wszystko na powrót stało się wyraźne, rzeczywiste: ruiny dawnej misji, białe światło dnia, mżawka. Niesamowite chwile. Rubén.

– Myślałam... że cię... zabili – wybełkotała.

Objęła go z całych sił i nienawiść, która od kilku dni skręcała jej

wnętrznosci, rozpadła się w drobny mak. Rubén ściągnął ją spośród nieżywych. Mówił do niej krzepiąco, miłośnie, wtulali się w siebie, dopóki nie pojęła swej strasznej pomyłki. Drobny deszcz chłodził im skórę. Twarz Jany była jedną wielką maską bólu, krwawe łzy spływały jej po policzkach, lecz niczego teraz nie czuła. Rubén chciał jej pomóc stanąć na nogi, sam się jednak zachwiał. Zauważyła jego bladość, lewą rękę, którą ledwie mógł poruszyć, resztki marzycielskiej duszy, które czepiały się życia.

– Dasz radę? – spytała.

– Tak...

W jej obozowisku została woda, ścieżka z bali doprowadzi ich do polany, gdzie czeka Díaz przywiązany do drzewa. Babcie z Plaza de Mayo potrzebowały byłego agenta SIDE, generała i innych, aby spisać ich zeznania i osądzić wszystkich co do jednego... Diesel niepotrzebnie siedział na straży przy Ardilesie, który szklanym wzrokiem obserwował ich z kolczastych zarośli. Jana zarzuciła sobie na barki rękę Rubéna, aby pomóc mu iść. Dadzą radę. I więcej się nie rozstaną – nigdy.

Wrogowie mówili na nich Araukanie, Wściekli Ludzie. Mapucze trąciła nogą starca skulonego na ziemi.

– Wstawaj, skurwysynu.

# Wybrana bibliografia

- Anne Chapman, *Quand le Soleil voulait tuer la Lune*, Éd. Métaillé
- Pilar Calveiro, *Pouvoir et disparition*, Éd. La Fabrique Diana
- Quattrocchi-Woisson (red.), *L'Argentine après la débâcle*, Éd. Michel Houdiard
- Miguel Benasayag, *Malgré tout*, Éd. François Maspero
- Carlos Gabetta, *Argentine, le diable dans le soleil*, Atelier Marcel Jullian
- Éric Sarner, *Mères et „folles” sur la place de Mai*, Éd. Charles Léopold Mayer
- Victoria Donda, *Moi, Victoria, enfant volée de la dictature argentine*, Éd. Robert Laffont; wyd. pol.: *Mam na imię Victoria: zaginione dzieci Argentyny*, Warszawa 2011
- Philippe Broussard, *La disparue de San Juan*, Éd. Stock
- Alicia Dujovne Ortiz, *Buenos Aires*, Éd. Champ Vallon
- Sarah Botton, *La multinationale et le bidonville*, Éd. Karthala
- Carmen Bernand, *Histoire de Buenos Aires*, Éd. Fayard
- Pierre Kalfon, *Pampa*, Points poche
- William Henry Hudson, *Un flâneur en Patagonie, Sous le vent de la pampa*, Éd. Payot
- Pauline Pascal, *Traveland*, Éd. l'Harmattan

José Muchnik, *Guide poétique de Buenos Aires*, Tiempo Éditions

# Podziękowania

Niech przyjmą *abrazo*: Magnificent Seven, wierni towarzysze przygody, niezawodni od Niceto do La Mascary; Sergio Nahuel, fotograf w każdych warunkach; Daniela, Leslie i Karla, mała mapuczańska czarodziejka zabrana na drodze do *machi*; Miguel i Barbara, *flores* i nocne marki z Buenos Aires; Nicolas i Emilie Schmerkin za imię, kontakt i ludzkich rodziców; cudowni Rodolfo De Souza i Marilù Marini od teatru do książek; a także Sophie Thonon, bojowa prawniczka; Rosa, przenikliwa działaczka Abuelas z Plaza de Mayo; fundacja Danielle Mitterrand France-Libertés; Collectif Argentin pour la Mémoire; Alicia z Paryża i inne dziewczyny, dzięki; antropolog Fabien; Musée du quai Branly za pomoc; Florent za wiedzę lotniczą; moje czytelniczki Clem i Stef z grupy Habits Noirs; *abrazo* także dla Ciebie, Aurel, za właściwe słowa, dla Susany za pogodną cierpliwość podczas przygotowań („*¡Las putas al poder!*”), dla Florence Malgloire za pierwsze lokum w San Telmo, dla Eugenia za bretońskie *asado* z delty, dla Joségo i jego mapuczańskich braci przetrzymywanych w Chile (*¡Pewkawal!*) – ale to już inna historia...

# MAPUCZE

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

CZEŚĆ PIERWSZA Młodsza siostra

0

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

CZEŚĆ DRUGA Smutny zeszyt

1

2

3

4

5

6

7

Smutny zeszyt

8

9

10

11

12

13

CZEŚĆ TRZECIA Kulan – straszna kobieta

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Wybrana bibliografia

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:

MAPUCZE

Copyright © Éditions Gallimard, 2012

Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo  
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penkysk-Kluczkowska

Korekta: Joanna Rodkiewicz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7999-106-8

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2014



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)